

43664

ZIEMIA
I JEJ
MIESZKAŃCY

Ziemia i jój mieszkańcy.

Opisy malownicze

krajów, ludów i obyczajów; z najcelniejszych autorów ojczystych
i cudzoziemskich, oraz własnych prac

zebrał

Stanisław Stroynowski.

Z wieloma rycinami.

Wydanie drugie.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55

tel. 0 22 69-78-773



Wa5149484

WARSZAWA.

NAKLAD FERDYNANDA HÖSICK.

1881.

<http://rcin.org.pl>

geogr. powst.

Дозволено цензурою.
Варшава 7 Июля 1876.



43664

Przedmowa.

Jednym z głównych zadań literatury naukowej tegoczesnej jest niewątpliwie popularyzowanie nauki. Rozumiemy pod tem nie wykładanie jej w sposób przystępny, bo takie zadanie literatura naukowa miała zawsze, ale przedstawianie jej w sposób ożywiony, obrazowy, zajmujący, tak, iżby książkę czytano nie tylko z przekonania, iż zawarte w niej rzeczy wiedzieć potrzeba, ale iż jej czytanie bawi i sprawia przyjemną rozrywkę. Nie wchodząc w to, o ile takie traktowanie nauki pożytecznem jest i być może dla uczących się, z takim wymaganiem czytającej publiczności wypada się rachować, mając na uwadze, że niemasz w dziedzinie jekiejkolwiek nauki szczegółów suchych i bezbarwnych: że takimi one stają się dopiero w skutek wykładu; i że publiczność czytająca ma wszelkie prawo żądać od nauczyciela, proszącego jej o posłuchanie, czyli pisarza, występującego przed nią z książką, iżby prawil jej swoją rzecz tak, jak słuchać ona jest usposobioną, zwłaszcza kiedy tych nauczycieli obecnie ma tak wiele, iż może bardzo między nimi przebierać.

W takiej myśli ofiarujemy naszej publiczności obecne dzieło. Jest to geografja w obrazach, zarysy krajów, miejsc i zamieszkujących je społeczności ludzkich. Kreśląc je, tłómacząc z obcych i dobierając z naszych pisarzy, mieliśmy na celu podawanie najistotniejszych wiadomości geograficznych obrazowo i w sposób, że się tak wyrazimy, malowniczy, któryby w czytaniu sprawiał rozrywkę. Chcieliśmy słowem podać

wykład nauki, któryby nie był jej wykładem, że tak powiemy, urzędowym, z katedry, którego słuchać należy z obowiązku, ale opowiadaniem, pozyskującym uwagę o ile jest przyjemnem i zajmującym, lecz które przytem trzymałoby się zawsze na gruncie nauki i traktowało o rzeczach, niewychodzących za obręb tej nauki.

Oczywiście, nasze dzieło wymaga uprzedniej znajomości przynajmniej elementarnej geografji. Posiadającym takową, a zatem całej prawie publiczności, która szuka i znajduje rozrywkę w czytaniu, pochlebiamy sobie, że podamy szereg obrazów, mogących posłużyć do odcieniowania i ukolorowania tych rysów konturowych, jakie pozostają po wykładzie nauki elementarnym. Będzie to przeto uzupełnieniem wielkiej i ważnej nauki ziemioznawstwa, które każdy myślący i żądny oświaty człowiek pozyskuje, przez czytanie opisów miejscowości i podróży, albo, co nierównie jest lepszem, lecz nie każdemu danem w dostatecznej mierze, badanie tego i sprawdzanie w podróżach i spostrzeżeniach własnych. W naszym dziele chcieliśmy zebrać i podać w jednej książce te opisy, które, żądny takich wiadomości, czytelnik odnajdować musi po wielu bardzo dziełach i to w większej części obcych.

Żeśmy przedsięwzięli rzecz dobrą i pożyteczną, temu zdaje się nikt niezaprzeczy, pomimo że wzoru dla naszej pracy nieznałem w naszej literaturze, a szukać go musieliśmy u obcych. Czy zaś dopełniliśmy naszego zadania dobrze, to rzecz inna. O tém powiemy tylko, że staraliśmy się zrobić jak najlepiej; a jak zrobiliśmy, niech sądzi i wyrokuje publiczność. Zarzucić nam można niezupełność i to najśluszniej; lecz takie dzieło będzie zawsze niezupełnem, choćbyśmy go rozszerzyli nie na dwa, lub trzy, ale nawet na dwadzieścia i trzydzieści tomów. I wtedy znajdą się miejscowości i społeczności, które będą mogły się odezwać: „Jesteśmy na ziemi, w tej a tej części świata, w tej a tej okolicy; że i u nas są rzeczy ciekawe, świadczy taki a taki

łaskawy podróżnik. Dla czegoż niema o nas wiadomości w obecnem dziele?“ Takich zarzutów, bardzo uzasadnionych, uczynić nam można bardzo wiele. Na wszystkie jedna odpowiedź: że w tej objętości, jaką daliśmy obecnej naszej pracy, więcej się pomieścić nie dało; zaś gdybyśmy objętość tę powiększyli i niewiem ile razy, zawszeby znalazło się aż nadto o czem pisać; bo jeśli systematyczny wykład geografji, przy jakimkolwiek rozwinięciu przedmiotu, zabiera wiele miejsca i w szczupłym obrębie zamknąć się nieda, to tem bardziej takie obrazy geograficzne, które nasuwają się bez liku i końca, a wszystkie ciekawe i zajmujące.

Moglibyśmy wprawdzie i nieosiągając zupełności, której osiągnąć niepodobna, zrobić jednak dzieło nasze zupełniejszem niż jest, nawet i w tej jego objętości, przez pomnożenie w niem artykułów, a coraz większe ich skracanie; lecz w takim razie ucierpiałyby pełność każdego pojedynczego artykułu; wtedy byłoby więcej wiadomości, a mniej obrazowania; więcej rysów, a mniej cieniowania i kolorowania i rzecz byłaby mniej ożywioną, a więcej suchą. Woleliśmy przeto dać mniej opisów, ale żeby każdy z nich był pełniejszym, a nadewszystko lepiej wycieniowanym i miał więcej życia, a przeto większą obudzał i przyciągał uwagę.

Drugi zarzut, uzasadniony tylko na pozór, zrobić nam można w tem, że podajemy niektóre opisy, nakreślone już zbyt dawno. Na to odpowiadamy, że w ogólności czerpaliśmy ze źródeł jak najświeższych. Opisy tłómaczone z obcych pisarzy są wszystkie daty, jeśli nie dzisiejszej, to nie dalej jak wczorajszej. Ale pragnęliśmy, o ile można więcej, dać miejsca opisom, skreślonym przez naszych mistrzów i skreślonym niepospolicie. Gdzie obrazy ich okazały się już przestarzałe i nieodpowiadające czasom obecnym, tam je odrzucaliśmy, jako należące już nie do terażniejszości, a do przeszłości, nie do geografji, a do historii; lecz gdzie od czasu, kiedy one były kreślone, nic się niezmieniło, lub tak mało, że obraz i w obecnej chwili przedstawiał zupełne podobieństwo, tam

kładliśmy go śmiało, nie bez pewnych wszakże poprawek, gdzie tego okazała się potrzeba.

Takie dzieło nie mogło żadną miarą obejść się bez ilustracji, jak to najwłaściwiej jest przyjętem w terażniejszych wydaniach, za pomocą drzeworytów w tekście. Wybór ich jest dziełem naszego nakładcy, a wykonanie, jak się zdaje, nieustępuje innym współczesnym publikacjom. Ta część dzieła, nader ważna, ufamy że pozyska uznanie publiczności.

Warszawa, Październik 1876.

St. Str.

Spis rzeczy.

I. Obrazy ziemi w ogólności.

	Str.
1. Ziemia (z ryciną)	1
2. Siłą pary objedziemy do koła całego świata	3
3. Morze	5
4. Burza na morzu (z ryciną)	7
5. Cisza morska	9
6. Przyptyw i odpływ	10
7. Prądy morskie	12
8. Działanie morza na brzegi	16
9. Okręt (z ryciną)	18
10. Nurek i jego przyrządy (z ryciną)	21
11. Życie w morzu (z ryciną)	23
12. Epoki kamienna bronzowa i żelazna	26
13. Budowy nawodne	28
14. Trzęsienia ziemi	31
15. Wulkany (z ryciną)	37
16. Wiatry	48
17. Deszcze	53
18. Klimat zwrotnikowy	59
19. Burze zwrotnikowe (z ryciną)	62
20. Trąby wodne i lądowe (z 2ma rycinami)	64
21. Lasy pierwotne	67
22. Zimna podbiegunowe	69
23. Zorza północna (z ryciną)	75
24. Lody biegunowe (z ryciną)	77
25. Lodowce (z ryciną)	81
26. Pieczary (z ryciną)	85
27. Świat roślinny i zwierzęcy w rozmaitych stronach ziemi	87
28. Rośliny uprawne w różnych szerokościach	90
29. Rozmaitość środków pożywienia	93

II. Obrazy Azji.

	Str.
30. Syberja	95
31. Kirgizy i ich życie (z ryciną)	102
32. Kaukaz, Baku i ognie święte (z ryciną)	106
33. Smyrna	110
34. Damaszek	112
35. Cedry na Libanie (z ryciną)	119
36. Jerycho, Jordan i morze Martwe (z ryciną)	123
37. Jerozolima (z 2ma rycinami)	128
38. Synai	139
39. Beduini	141
40. Mekka (z ryciną)	145
41. Persowie	146
42. Łaźnie i haremy na Wschodzie	149
43. Wyżyny Azji środkowej	150
44. Himalaje i źródła Gangesu	152
45. Indje, Ganges, Kalkutta	154
46. Benares	158
47. Ceylon	160
48. Chiny, Pekin (z ryciną)	163
49. Życie chińskie	169
50. Hongkong	172
51. Japonja, Jedo (z 2ma rycinami)	174
52. Wulkany błotniste i siarkowice na wyspie Jawa	180

III. Obrazy Afryki.

53. Kanał Suez	184
54. Aleksandrja (z ryciną).	187
55. Kair	191
56. Uroczystość mahometańska w Kairze	195
57. Piramidy (z ryciną)	199
58. Nil (z ryciną)	203
59. Abissynija	206
60. Sahara (z ryciną)	210
61. Maroko (z ryciną)	213
62. Ofiary ludzkie w Dahome (z ryciną)	218
63. Kafrowie Zulu	222

IV. Obrazy Ameryki.

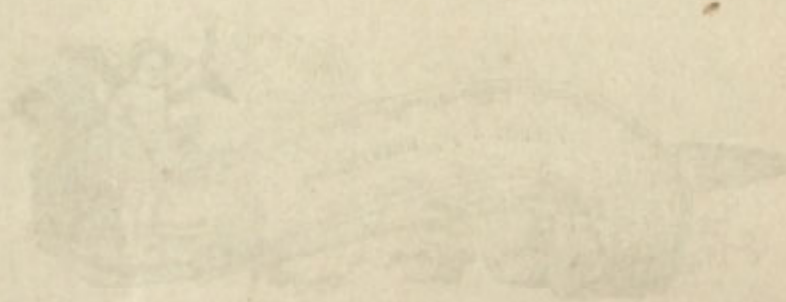
64. Eskimosy w Grenlandji z 2ma rycinami)	224
65. Niagara	228

	Str.
66. Z Nowego Jorku przez Detroit i Cincinnati do Nowego Orleanu . . .	231
67. Czikago	234
68. Sekty religijne w Ameryce północnej	236
69. Równiny Ameryki północnej	239
70. Indianie w stepach Ameryki północnej	242
71. Żegluga po rzece Mississipi (z ryciną)	245
72. Kopalnie złota w Kalifornji (z ryciną)	249
73. Miasta w Meksyku (z ryciną)	253
74. Andy	255
75. Lima i wyspy guano (z ryciną)	257
76. Równiny Ameryki południowej	261
77. Amazona	266
78. Dzień pod równikiem w Brazylii	268
79. Rio Janeiro i kopalnie djamentów w Brazylii	271
80. Butikudy w Brazylii	274
81. Buenos Ayres	275
82. Cieśnina Magellańska (z ryciną)	276

V. Obrazy Australji.

83. Australja	279
84. Pastuchy australijscy (z ryciną)	283
85. Kopalnie złota w Australji	288
86. Dzicy australijscy (z ryciną)	291
87. Wyspy Otaickie i Hawajskie	295





1. Ziemia.

Na pierwszy rzut oka ziemia, ze wszystkimi wypukłościami i wklęsłościami swojej powierzchni i rozlaniami na niej wodami, przedstawia wszędzie wielką okrągłą płaszczyznę, po za krańcami której nie masz więcej nic. Niebo wygląda jak wydęta kula nakrywająca, a raczej obejmująca w około tę płaszczyznę. Tutaj wschodzi i zachodzi słońce, raz wcześniej drugi raz później, już to po lewej, już po prawej stronie jakiej znanej góry lub gmachu, robi się dzień i noc, lato i zima, w nocy świeci księżyc i gwiazdy i nie zdają się one być zbyt wysoko nad naszymi głowami. —

Toby nam wystarczyło, gdybyśmy nie chcieli wiedzieć o ziemi coś więcej. Zastanówmy się przeto nad tym przedmiotem. Jeżeli ktoś wyjedzie z domu, by osiągnąć ostatecznej granicy ziemi, dojść do punktu, w którymby mógł, że tak powiemy, pochwycić ręką gwiazdy, może jechać kędy mu się podoba: przez Niemcy lub Rosję, Europę lub Azję i t. d. wpośród Mahometanów i narodów pogańskich, lądem i wodą, lub też wodą i lądem. Aż w końcu, gdy po długiej podróży znużony usiądzie pod drzewem i rozważy, wiele on to przebył miast, drog i pól, dziwnie mu się wyda jakaś okolica znajoma, jakieś drzewo, które mu się przypomina; a kiedy dobiegnie do jego uszu dźwięk ojczyściej mowy, przekona się zupełnie i ze smutkiem, że w swojej podróży objechał wielkie koło, że próżno silił się na rzecz niepodobną i że zamiast zajechać aż do gwiazd, wrócił do tegoż samego miejsca z kąd wyjechał.

Już wielu podróżników odbyło podobne wokoło ziemi objazdy. W ciągu od dwóch do czterech lat, a koleją i statkiem parowym jeszcze prędzej, okrążali oni kulę ziemską. Cook, angielski kapitan marynarki, dwa razy puszczał się na taką wyprawę i za każdym razem wrócił do miejsca, z którego wyjechał. Za trzecim razem pokuszenie zuchwałe przypłacił życiem na wyspie Owaihi.

Z tych podróży i z innych jeszcze danych o ziemi, uczeni przekonali się, że nie jest ona płaszczyzną, ale kulą; że zawieszona w nie-

zmierzonej i bezgranicznej przestrzeni pomiędzy słońcem, księżycem i gwiazdami, krąży jednostajnym ruchem, nieoparta na niczem; że wszędzie na niej, tak na łądach, jako i w wodach, żyje i rozwija się właściwy i rozmaity do nieskończoności świat roślinny i zwierzęcy; i że nareszcie wszędzie ją zamieszkują ludzie. Niepodobna przypuścić, iżby z powodu jej okrągłości część stworzeń obrócona była na niej głową w dół i przez to mogła spaść niewiedzieć gdzie: Takie przypuszczenie byłoby śmiesznem. Wszędzie siła ciężkości, siła dośrodkowa przyciąga wszystkie ciała do ziemi i niepozwala od niej się odłączać. Choć nazywamy to, co jest pod naszymi nogami, dołem albo spodem, a to, co jest nad naszymi głowami, górą albo wierzchem, mimo to wszyscy na ziemi w jednakowym zostają położeniu: Czy mieszkają na dolnej, czy na górnej półkuli, wszyscy mają pod nogami ziemię, a nad głowami jasne niebo i iskrzące się gwiazdy.

Czytelnik niemało się zdziwi, posłyszawszy po raz pierwszy, jak wielką jest owa kula. Średnica jej wynosi 1720, a obwód 5400 mil geogr.; powierzchnia ma 9 milionów mil kwadrat. Z tej trzy czwarte zajmują wody, a tylko jedną czwartą część łądy. Bryłowość ziemi obliczają na przeszło 2662 milionów mil sześciennych. Uczni sprawdzali to wielokrotnie i o obszarze ziemi powiadają jako o rzeczy nieulegającej żadnej wątpliwości. — Nikt jednak dotychczas nie zbażał, co utrzymuje tę olbrzymią masę ziemi w przestworze, co dało ziołom i zwierzętom pierwiastkowo siłę rozmnażania się, jakim zbiegiem szczególnych okoliczności powstał pierwszy człowiek? O tem wszystkiem nauka milczy, a mówi podanie.

Jeżeli teraz wzniesiemy się nad ziemię i coraz wyżej będziemy się piąć ku jasnijącym gwiazdom, ujrzymy zjawiska jeszcze więcej godne podziwienia: Gwiazda powiększy się naprzód jak księżyc, potem jak wielki krąg, a nareszcie jak niezmierna kula. Światło jej złągodnieje, bo się rozdzieli na większą przestrzeń, a nawet w pewnym oddaleniu już ujrzymy na niej góry i doliny; i w końcu wylądujemy na drugą podobną jak nasza ziemię. Ta ostatnia zaś, znajdując się naówczas pod naszymi nogami, wyda się mniejszą i jasnieszłą, bo światło jej więcej się skupi. W pewnym oddaleniu przedstawi się ona naprzód jak wielkie koło, potem jak kula bilardowa, a wreszcie jak inne widzialne dla nas ciała niebieskie; stanie się błyszczącą gwiazdeczką i między nią a jej siostrzycami nie znajdziemy różnicy. Ziemia zatem jest ciałem niebieskiem podobnem do niezliczonych innych. —

Ale spuśćmy się niżej, zbliźmy się ku macierzystej ziemi. Coraz się ona powiększa i nareszcie przedstawia się jak olbrzymia kula, unosząca się w przestworze. Znajdując się obok niej w pewnym

oddaleniu widzimy, jak ta kula obraca się nieustannie w około; widzimy bieguny ziemskie, zavalone piętrzącymi się lodami, jak srebrzysto jaśniejące massy; rozróżniamy już nareszcie pokrywające jej powierzchnię obszary wód i ciemne pasy stałego ładu, mniejsze morza i niezliczone wyspy i wysepki. Teraz oto zwróciła się ona do nas półkulą, zwaną starym światem. Widzimy Azję z jej ogromnymi na południu półwyspami i rozrzuconemi u wschodnich brzegów wyspami i wysepkami, których niezmierna masa składa osobną część świata, Australję. Na zachodzie uczepona, przyrosła do niej, jakby tworzyła z nią jedną całość, mała i różnokształtna Europa, na południe zaś wisi pod nią, oddzielona głęboko zachodzącym w ziemie morzem, Afryka ze swojemi strasznymi pustyniami. Drobną rąbek ładu, zaledwie dojrzany z daleka, łączy ją z Azją: to przesmyk Suez. W około falują wody morza: Na północy ocean Północny lodowaty przesuwają szybko swoje ogromne pływające góry lodu: na wschodzie bałwani się ocean Wielki zwany także bardzo niewłaściwie Spokojnym, na zachodzie ocean Atlantycki, na południu ocean Indyjski.

I znowu ziemia zwraca się inną stroną. Tam oto rozciąga się, od jednego aż prawie do drugiego bieguna, ład Ameryki. Części jego górna i dolna, odpowiadające takimiż częściami starego świata, spięte są waziatkiem pasem: to przesmyk Panama. Po obu stronach, na wschodzie i zachodzie, zalegają nieprzejrzone obszary oceanów, rozdzielające świat stary od nowego. Tylko północna część ładu biegnie ku Azji; a jako drogokazy, łączące ten zachodni ład ze wschodnim, ciemnieją tu i owdzie pasma drobnych wysepek między Ameryką północną, a Azją i Ameryką południową a Australją.

Według Hebela.

2. Siłą pary objedziemy dokoła całego świata.

Z wynalezieniem żeglugi i jazdy parowej, usunęły się przeszkody do wielkiego przedsięwzięcia, jakie dało tytuł obecnego rozdziału. Człowiek stał się panem czasu i przestrzeni.

Już temu przeszło trzy i pół wieki, 20 Września 1519, Fernao de Magelhaens na czele eskadry, składającej się z pięciu małych statków, wypłynął z portu hiszpańskiego San Lucar na zachód, dla szukania nowej drogi do bogatych w korzenie wysp Molukskich. Był on pierwszym, co przepłynął cały ocean Wielki i od wschodu dostał się do wysp Filipińskich. Tam dzielny mąż znalazł śmierć w walce z krajowcami. Gdyby nie ten zawczesny koniec, byłby

on pozyskał sławę pierwszego żeglarza, co objechał cały świat; a tak sława ta została udziałem jego towarzysza Sebastyana d'Elcano, który, na ostatnim pozostałym statku Victoria dnia 6 Września 1522, powrócił do portu San Lucar. Na opłynięcie ziemi potrzeba mu było lat trzech bez dni czternastu. —

A dziś? —

Dziś od przylądka Północnego nad oceanem Północnym, aż do wód równikowych i dalej aż do oceanu, oblewającego lody bieguna południowego, para opanowała wszystkie wody słone i trudno znaleźć port, mający byle jakie znaczenie, który byłby pozbawiony stałej komunikacji ze wszystkimi innymi, za pomocą parowej żeglugi. Podróż taka, na jaką towarzysowi Magellana potrzeba było trzech lat, teraz odbywa się wygodnie i ze wszelką pewnością w ciągu 90 dni. Jakież urok ma to wyrażenie: W ciągu dni 90 objechać całą ziemię. —

Wykonajmy zatem myślą tę przejażdżkę na około świata.

Wsiadamy na statek parowy w Marsylji. W ciągu dni 6 zanosi on nas do miasta Aleksandra Wielkiego: do Aleksandrii. Ztamtąd dojeżdżamy do Portu Said, u wejścia do kanału Suezkiego. Panuje tu wielki ruch. Mała osada na wydmie piaszczystej dziś jest znacznem miastem, mającem 16,000 ludności. To miasto łączy dwa morza: Czerwone i Śródziemne, przemysłową Europę z bogatą w płody naturalne Azją. Wpływamy na morze Czerwone, zmierzając do Aden. Droga przez to wąskie morze niezmiernie przykra, z przyczyny wirów i mnóstwa podwodnych skał. Tu przez cały rok wieją tylko dwa wiatry: północny i południowy, co bardzo nie sprzyja okrętom żaglowym. Lecz parowiec zwalcza wszelkie przeszkody i w ciągu dni 5 po wypłynięciu z Port Said jesteśmy w Adenie. Zbudowany na kraterze zgasłego wulkanu, Aden stał się dla Anglii drugim Gibraltarem wschodnim, strzegąc drogi do Indji przez morze Czerwone. Godną jest podziwienia siła, która włada na tym małym kawałku ziemi, w położeniu szczęśliwym, ale otoczonem zewsząd przez pustynie, które zamieszkują narody dzikie i barbarzyńskie. Cieniste drzewa, źródło świeżej wody i choć najuboższa zieleność są zbytkiem nieznanym na tej skale, gdzie powietrze drga od gorąca, jak gdyby wychodziło z rozpalonego pieca. A pomimo to mieszkają i tu Europejczycy, przywykli do innego życia, wyglądając z upragnieniem statku, a z nim wiadomości ze swojej ojczyzny. — Z Aden po upływie dni 11 dostajemy się do Point de Galles na wyspie Ceylon, oddawna zwanej ogrodem ziemskim. Ta wyspa drzew cynamonowych w ostatnich dopiero czasach nabrała większego znaczenia, pod względem ekonomicznym i handlowym; - do

czego przyczyniły się niemało swoboda handlu i stała komunikacja przez parową żegluję; albowiem w Ceylon schodzą się drogi pomiędzy Kalkuttą, Bombayem, wyspą Maurycygo, Singaporem i Australją. Ztamtąd po 24 dniach przez Melbourne dostajemy się do Sidney, teraźniejszej stolicy kwitnącej osady w Nowej Południowej Walji, dawniej miejsca wygnania zbrodniarzy. Ztamtąd po 7 dniach dostajemy się do Nowej Zelandji, tej australijskiej Wielkiej Brytanji. Po zwiedzeniu jej lodowców, jej gorących źródeł, jej pól dymiących siarką i jej wygasającej, niegdyś ludożerczej, ludności Maorisów, wsiadamy znowu na nasz parostatek i po przebyciu w 32 dni największego na ziemi oceanu, dostajemy się do portu San Francisco. Tu rozstajemy się na pewien czas z morzem i jedziemy dalej koleją żelazną oceanu Spokojnego, którą ukończono 8 Maja 1869, pędzeni parą, to w wysokościach podobłocznych, to po nad krawędziami niezgłębionych przepaści, to przez niedostępne skaliste wądoły, szerokie doliny, po nad bystre potoki i przez wnętrza ogromnych gór. — Pociąg, nabity ludźmi z najdalszych krajów, przelatuje puszcze, wydające się bez końca i zanosi posiewy oświaty i cywilizacji do siedlisk dzikich Indjan, szakali, niedźwiedzi, bawołów i antylop. Przestrzeń, wynoszącą 3300 mil angielskich od San Francisco aż do Nowego-Jorku, przebiegamy w ciągu dni 10. Ztamtąd także w 10 dni dostajemy się na powrót do Marsylii i oto cała podróż na około świata ukończona. —

Wszędzie posługiwaliśmy się parą. Nigdzie nie przesiadaliśmy się na okręta żaglowe i na wózki konne. Tak więc cała ziemia opasaną została smugą pary. Podróż odbywa się prawie z szybkością myśli, pewnie i bezpiecznie. Zaś koszt jej, licząc za miejsce 1 klasy, wynosi około 2000 rs.

Według Wolkenhauera.

3. Morze.

Temu co nigdy niewidział morza, przedstawia ono widok porażający. I nie dziw; bo wieleż to ludzi, udawszy się po raz pierwszy ze swojej rodzinnej wioski do miasta, podziwia nieznane, niewidzialne w swojej okolicy rzeczy. — Dla nich i niezwyklej wielkości staw i rzeka już są uderzającym zjawiskiem. Cóż dopiero kiedy ujrzą bezmiar morza, z jego ogromnemi bałwanami!

Stoimy tedy nad przestrzenią nie objętych okiem toni wodnych, których ogrom uderza szczególniej patrzącego na nie z wysoka. Szare, modre, zielone, lub jeszcze inaczej lśniące się ich przezrocza, obok których każda woda słodka wydaje się mętną, ciągną się aż

do końca widnokregu tak, iż niebo zdaje się na nich opierać. Gładkie jak zwierciadło, lub też zwijające się w pienne fale, wody ciągną się w odległość bez końca i żadna góra, żaden pagórek, żadna wyniosłość nie przerywa jednostajnej ich powierzchni. Choć w zupełnym spokoju, podnoszą one z głuchym szumem, jakby z przytłumionym rykiem, swoje ogromne fale, z którymi ani dadzą się porównać fale jakiej, nawet wielkiej, rzeki lub jeziora, rozbijając niemi brzegi wysokie, a zalewając na daleką przestrzeń niskie.

Lecz oto zawiął silny wiatr i ożywiły się te niezmiernie przestrzenie. — Coraz wyżej podnoszą się wzbijane od wiatru bałwany, coraz głębiej rozwierają się pomiędzy nimi rozdoły. Góry wodne wznoszą się tak wielkie, jak miejskie kamiennice i dopadłszy lądu rozbijają się z wściekłością o jego brzegi. Gwałtowny szum wydają rozruszane aż do głębi wody. Aż nareszcie uciszają się wiatry, morze uspokaja się powoli i powraca dawna cisza.

Teraz wступujemy na pokład okrętu, kruchym deskom powierając życie. — Pragniemy dojść tam, gdzie kończy się ta niezmierna przestrzeń wód. Już rozpięto żagle i podniesiono kotwicę. Sterujemy, gdzie nasze oczy widzą tylko nieskończoność. Coraz prędzej bieży nasz okręt. Coraz dalej unosi on nas od ojczystych brzegów. Już widać tylko szczyty wielkich gmachów i wież; już zaledwo krzyże kościołów słabo zaznaczają się na widnokregu. I one rozplynęły się w powietrzu. Jeszcze szarzeje ciemna masa lądu i już tylko sinawy pasek mgły pozostał. Wyteżamy wzrok. Tam gdzieś daleko tkwi jakiś punkcik, coraz bardziej maleje i wreszcie wszystko znikło. Gdzie spojrzeć, wody i wody. —

Więc może w jakiej innej stronie przed nami zarysuje się nowy ląd. Nic i nic. Woda i woda. Gdzie się obejrzyysz, wszędzie szklista powierzchnia ztyka się ze sklepieniem niebios. Okręt, woda i niebo: oto wszystko co się przedstawia naszym oczom. —

Nieznane uczucie trwogi przenika nas do głębi. Rankiem opuściliśmy ląd stały; teraz już dzień ma się ku końcowi i nigdzie nie widać żadnego punktu oparcia. Już i noc. Gwiazdy zasiały niebo, odbijając się w zwierciadlanej powierzchni morza. Zdaje się nam, że płyniemy w pośród dwojga niebios, mając jedno nad sobą, a drugie pod sobą. Ryby śmigają w głębi wód. Ogromny potwór morski okrąża pod wodą nasz okręt. Uciekają przed nim drobne rybki, wyskakując po nad wodę na swoich podobnych do skrzydeł płetwach. — Wtem nowe niespodziane widowisko. Cała powierzchnia wód pokryła się błyszczącymi punkcikami. Przed okrętem i po za okrętem widać jaskrawe smugi ognia. To znane żeglarzom zjawisko świecenia morza. —

Nadchodzi czas spoczynku. Kładziemy się; ale myśl o niebezpieczeństwie spania, nad taką niezgłębioną otchłanią, nie pozwala nam zmrużyć oka. Nareszcie usypiamy. Budzi nas kołysanie się okrętu. Jeszcze zmrok panuje na całej przestrzeni; wybiegamy jednak szybko na pokład, aby powitać ów ład, do którego musiał wreszcie zanieść nas okręt, idąc szybko całą noc. Lecz niestety! I dziś widzimy tylko niebo i wodę. Zdaje się, że mgła ranna zakrywa przed nami szare zarysy ziemi. Lecz oto coraz się rozjaśnia i nie widać nic. Na wschodzie coś płonie. Z łona wód powstaje zwolna i majestatycznie słońce i kiedy wychyliło całą swoją tarczę, promienie jego, wytknąwszy sobie na przejrzystej powierzchni ognistą drogę, biegną aż ku naszemu okrętowi. — Mgły podnoszą się z morza i zakrywają widok. Zdaje się wtedy, że wypłynęliśmy na jakiś strumień i że wkrótce przybijemy do brzegu. Mgła coraz ustępuje, widnokrąg się rozjaśnia; ani śladu wymarzonego ładu; woda i tylko woda. —

Tak przechodzi dzień jeden i drugi i trzeci. Oswajamy się powoli. Po nocach marzymy, że jesteśmy na lądzie w ojczyźnie. Rano z przebudzeniem się, kołysanie okrętu przypomina nam zawsze jednostajną rzeczywistość. Płyniemy cały tydzień, potem drugi i dowiadujemy się wreszcie, że jesteśmy na połowie drogi przez ocean Atlantycki do Ameryki. Wyobraźciez sobie: co to jest za ogrom ów ocean powszechny, który oblewa całą ziemię. —

A. B.

4. Burza na morzu.

Groźny dla żeglarzy nadszedł poranek. — Niebo pokryło się ołowianami chmurami, morze przybrało barwę czarną, wiatr porusza z łoskotem maszty okrętu i w jednej chwili cały widnokrąg przybrał pozór tak straszliwy, iż najstarsi i najdoświadczeni żeglarze oglądają na niebo wzrokiem trwożnym. Pozatykano wszystkie otwory i już w nocy zwinęto wyższe żagle. Okręt śmiało pruje pienne bałwany, rozbijające się z hukiem o jego boki.

W południe wiatr ustał i nastąpiła cisza tem dziwniejsza, że niespodziana. Powietrze nadzwyczaj ciężkie, trudne do oddychania. Słońce i całe niebo zabarwiły się czerwono. W dali na południo-zachodzie zarysowuje się mały czarny obłoczek, nagle podrasta, rozszerza się i już objął prawie pół nieba. Rozlega się komenda: „Na swoje miejsca! Zwinąć żagle!“ Jak ptaki majtkowie pną się na maszty, żagle zwinęto i złożono. „Żywo do roboty!

Burza nadchodzi!“ Załoga okrętowa pośpiesznie spełnia rozkazy. Wtem tuż nad widnokretem pojawia się oślepiająca biała smuga, w powietrzu drżącym rozlegają się tajemnicze złowróżbne odgłosy, jak głuche huki trąby, rozkołysane wysoko i pieniające się morze zbliża ma barwę czarną, a w większej odległości bieli się jak śnieg, bałwany zataczają ogromne kręgi i biegną ku okrętowi, zdaleka daje się słyszeć wycie jakby dzikich zwierząt — nadchodzi burza morska. —



Burza na morzu.

Pierwsze gwałtowne uderzenie wiatru pochyliło okręt na bok tak, iż jego reje dotknęły wysoko wzdętych bałwanów; ale doskonale obmyślany budynek stanął znowu w równowadze i zaczął się przebijać przez zagradzające mu drogę bałwany. W powszechnem przerażeniu dały się słyszeć słowa: „Bogu dzięki“. Niema jednak czasu do namysłów: znowu wichry uderzają w okręt, na ciemnym niebie krzyżują się ogniste błyskawice i rozlegają się grzmoty. —

Śpiętrzone bałwany wdzierają się aż na pokład okrętu, deszcz leje jak z wiadra i tak jest ciemno, że o kilka kroków nic nie widać. Zdaje się że wcześniej noc zapadła. Kapitan, przemokły od podwójnej ulewy deszczu i morskich bałwanów, stoi wytrwale na swoim mostku, wydając rozkazy. Burza wzmagą się z gwałtownością. Noc coraz ciemniejsza; tylko błyskawice rozjaśniają na chwilę nieprzeniknione ciemności, dając widzieć wzburzone morze, pietrzące się wysoko jak góry bałwany i rozwierające się między niemi przepaście, w pośród których okręt przymyka się jakby cudem.

Około północy wiatr zaczął powoli ustawać. Niebo się wyjaśniło. Po pewnych oznakach okazało się, że burza uniosła okręt daleko na stronę, ku brzegom Afryki. Rozwinęto przeto wszystkie żagle, aby oddalić się od nich na pełne morze i ująć grożącego u tych brzegów niebezpieczeństwa. Udało się wreszcie pokierować okręt ku północo-wschodowi. Wprawdzie silny wiatr chylił go gwałtownie na bok, ale dobrze zbudowany okręt opierał się mu i pruł wzdęte bałwany. Znużeni majtkowie mogli pokręcić się spóźnioną wieczszą, ale o spoczynku myśleć było nie można. Przestrach opanował i najśmielszych. Podróżni leżą na wiszących matach; bo przy ciągłym, to zapadaniu się okrętu w otchłań, to podnoszeniu się jego gdzieś wysoko, nie mogliby ustać na pokładzie. —

Wreszcie nastał poranek. Podróżni wyszli z kajut. Kapitan powitał ich wesołem: „Dzień dobry!“ Starają się uspokoić; ale widok rozburzonego morza i ciągle pietrzących się jego bałwanów jeszcze trwoży podróżników, nieobytych z takimi przejściami. Cóż znaczą siły ludzkie w obec rozhukanych żywiołów? Co znaczą rozum ludzki w obec potęgi przyrody? Oddać się trzeba na wolę losu, niezapominając wszakże, że Bóg jest panem wszelkiego stworzenia i że w Jego rękach spoczywa ludzkie życie. —

Według G. Wollnera.

5. Cisza morska.

Nie tylko burza zagraża okrętowi i jego załodze; cisza również jest dla nich niebezpieczną. Dla tego żeglarze unikają starannie tych części oceanu, w których wiatry nie wieją wcale i gdzie powierzchnia morza jest gładką, bez zmarszczek, jak nie ruchoma tafla szkła. —

Skoro okręt dostanie się do tej części morza, staje jak wkopany. Z głębi dobywają się zaduchliwe, nieczyste wyziewy

i zarażają powietrze. Majtek ze strachem widzi zbliżającą się małą rybkę, sternika, przesłańca żarłocznego wilka morskiego, który płynie zawsze za okrętami, blizkiemi zatraty. Podróżnik, widząc zbierające się dokoła okrętu wilki morskie, z przerażeniem myśli o smutnym losie, jaki go czeka. Ale i te wreszcie oddalają się od okrętu, jakby zważpiwszy o dostaniu z niego dla siebie zdobyczy. Wtedy serca najmężniejsze napełnia głęboki smutek. Czeka ich zatem los jeszcze okropniejszy, niż pożarcie przez wodne potwory. —

Stan się pogorsza. Już oto woda słodka w beczkach uległa zepsuciu, mięso zgniło, chleb zpleśniał, okręt obsiadają rozmaite owady, wierci go przeróżne robactwo. Brakuje tylko zgniłej febry, na którą ludzie mrą w kilka dni. I ta się w końcu zjawia; padają ofiary jedna po drugiej. Rozpacz owładnęła wszystkimi. —

Któż będzie tym nieszczęśliwym, co przeżyje wszystkie spodziewane nieszczęścia? Takie pytanie zadaje sobie każdy, zazdroszcząc towarzyszom wczesnej śmierci. —

Nareszcie wymierają po kolei wszyscy. Wtedy zrywa się nagły wicher i wynosi okręt na pełne morze.

Obca fregata napotyka pędzący okręt, który nie wywiesza żadnej flagi i na robione mu zapytania nie daje żadnej odpowiedzi. Strzelają do niego ślepym ładunkiem. Nic to nieznaczy. Posełają mu na ostrzeżenie mimo kulę armatnią; i ta niewywołuje żadnej odpowiedzi. Wtedy myślą że to statek rozbójniczy: strzelają do niego na prawdę. Kule robią w nim straszne wyłomy; lecz on się nie broni. — Wreszcie kapitan fregaty wysłał szalupę. — Na pokładzie niemasz nikogo; tylko w kajucie znajdują jednego trupa i zapieczetowaną flaszkę, a w niej złożony dziennik nieszczęśliwej podróży. —

W. F. A. Zimmermann.

6. Przyptyw i odpływ.

Codziennie dwukrotne wzbieranie i opadanie morza, zwane także przyptywem i odpływem, jest zjawiskiem zwyczajnem we wszystkich krajach, położonych nad oceanem i obejmuje największą przestrzeń na pobrzeżach niskich. Całą Hollandję i przyległe jej wyspy morze dwa razy na dzień to zalewa o mało niezupełnie, to równie daleko z nich ustępuje. W czasie przyptywu wzbierają wyższa i niższa Skalda, zasilone wielą strumieniami i tak powiększone rzeki łączą się z nabrzmiewającym morzem. We wszystkich

licznie przerzynających kraj kanałach woda również przybiera. Poczem za nastąpieniem odpływu, wszystkie te potoki pędzą gwałtownie do ustępującego morza, jak w rozdołach po silnej ulewie.

Wtedy lądy zaczynają wychylać się z powodzi i przestrzeń ich coraz się powiększa. Dokoła każdej wyspy wynurza się szeroki pas ziemi, na który niebawem wybiega mnóstwo ludzi, uganiających się za krabbami, czyli morskimi rakami i innymi pozostałościami morza. Morski szlam pookrywał miejsca kwitnące roślinnością. Zwykle po odpływie poziom morza zniża się na 15, a niekiedy na 20 stóp. —

Wreszcie nastaje równowaga i spokój. Zdaje się jakoby wszystkie potoki, tak gwałtownie pędzące przy odpływie, zamieniły się w stojące jeziora. Ale po krótkim przeciągu czasu znowu wraca zwykły stan. Morze powoli przybiera. Wody słodkie walczą z powodzią; powstaje ztąd pewien silny wir; nakoniec ocean zwycięża, obejmuje wszystko w olbrzymie ramiona i wkracza we wszystkie otwory lądu. Wielkie i małe kanały wypełniają się aż po brzegi, niektóre występują z brzegów; szerokie ławy piaszczyste, będące przedłużeniem dna morskiego, kryją się znowu w jego falach, rybacy, poszukiwacze ostrzyg i krabbów i przechodnie umykają po za tamy i groble, wszystkie wyspy zmniejszają się o połowę, pobrzeża lądów znikają pod wodą, zaś części ich wyższe stają się wyspami, ogromne tamy portowe, niedawno tak wysokie, teraz ledwo wystają z wody, okręt, na którym płyniemy, podnosi się w górę i z pokładu jego widzimy daleko rozlegający się po za tamami kraj nizki, przerzynające go i zawarte w wysokich sypanych brzegach kanały wezbrały tak, iż płyną po nich wielkie okręta. Wszystkie statki w czasie odpływu osiadłe na mieliznach i pochyłone smutnie i nieruchomo na bok, teraz się ruszają, prostują i zabierają do biegu, jak chorzy wróceni do zdrowia i wychodzący na świeże powietrze; w portach ruch niezwykle: rozwijają żagle i niezliczone łodzie przewożą od jednego do drugiego brzegu podróżnych i towary. Większe okręta, czekające w ujściach rzek na przypływ, teraz z rozwiniętymi żaglami dostają się do wnętrza kraju.

Odpływ przedstawia jeszcze rozmaitsze widoki, aniżeli przypływ. Tam oto, oparty bokiem o mielizny, spoczywa wielki okręt, dalej, jak rzesza nędzarzy, ciągnie pstry zastęp mieszkańców pobrzeża: okryte gałganami dzieci, poszukiwacze muszli i krabbów dążą na świeżo wynurzone przestrzenie piaszczyste za połowem. Z przypływem są w związku tylko możni i bogaci wysyłający swoje ładowne okręta w otwartą dla nich drogę; odpływ wyrzuca

połów dla biednych. Rozkrywa on skarby morza, które przypływ kryje pod swojemi wodami. Teraz ukazują się na jaw piękne konchy i różne poczwary morskie, które podczas przypływu chowają się na jego dnie. — Tam znowu sterczą resztki zatopionego okrętu, w promieniach słonecznych lśnią korale i zioła, rosnące na dnie morskiem. Nawet w powietrzu rozbudza się z odpływem większe życie; gromady ptactwa zlatują się na oschłe niziny szukając na nich obfitego żeru. Mewy, kuliki i bociany polują na robactwo morskie. W czasie zaś przypływu siedzą one spokojnie po za tamami, obżarłszy się do syta ułowioną zdobyczą.

Według Kohla.

7. Prądy morskie.

I morze ma swoje żyły wodne, przebiegające jego niezmierne cielsko, tak jak rzeki przebiegają massy lądowe. Są to prądy morskie które płyną, jak rzeki stale w swoich korytach i ograniczone są brzegami także z wody, które wyróżniają się od bieżącego potoku tem, że zostają na miejscu. —

Największym i najwspanialszym z tych prądów jest Równikowy, który okrąży całą kulę ziemską w jej największej szerokości i płynie tak szeroko, że nawet w pośród morza zajmuje przestrzeń tak wielką, jak żadna na lądach rzeka, stanowiąc znakomitą część tegoż morza. Żaden inny prąd ani może iść z nim w porównanie. Dążąc w kierunku przeciwnym wirowemu ruchowi kuli ziemskiej, podobnie jak i odpowiadający mu prąd w atnorferze, znany pod nazwą wiatrów statecznych, idzie on od wyniosłych i skalistych brzegów Peru i Chili, w które się nie wrzyna żadna głębsza zatoka, przez cały ocean Wielki aż do archipelagu Indyjsko-Australijskiego, który stawi mu pierwszą tamę. Wdziera się pomiędzy jego liczne i gęsto rozsiane wyspy i rzuca się na wschodnie brzegi Azji, ryjąc je głębokimi zatokami. On to pewnie poprzebił te wązkie i niebezpieczne cieśniny, które dzielą Nową Hollandję od Nowej Gwinei, tudzież Borneo, Celebes i Jawę, pod któremi w głębi morza granitowe skały łączą z sobą te wyspy wystające, jak olbrzymie szczyty podwodnego pasma gór, zasłaniającego potężnym wałem południowe brzegi Azji. Dostawszy się do oceanu Indyjskiego, rzuca się on na wyspy Ceylon i Madagaskar, gdzie bardzo często piękne i bogato lądowe okręta zanosi na skały, mielizny i najniebezpieczniejsze dla nich rafy koralowe. Dobiegłszy wschodnich brzegów Afryki i niemogąc iść dalej, dzieli się na dwoje. Jedna jego

część okrąży przylądek Dobrej Nadzieji, druga rzuca się w morze Czerwone. Nie darmo ciasny do niego wchód został nazwany Wrotami śmierci (ciesnina Babel-mandeb). Nie darmo stoi przed nim słup z napisem: Strzeż się (przylądek Guardafuj). Jakoż baczność wielka przy wyjściu z morza Czerwonego. Nie jeden statek, trzy i cztery razy rzucony został tam na powrót, zanim udało mu się przebyć te groźne wrota, przywarte skaliską wysepką i niemające ani jednego portu. Kiedy w głębiach przezroczystych wód tego morza dają się widzieć całe lasy czerwonych koralu, całe zbiorowiska najpiękniejszych i najrozmaitszych muszli, pomiędzy którymi przesuwają się leniwe żółwie i żwawo przemykają się pstre ryby; często ich spienione fale unoszą też szczątki rozbitych okrętów. Dalej, jak od zachodnich brzegów Ameryki ku Azji, tak od zachodnich brzegów Afryki, tenże prąd zdąża przez ocean Atlantycki ku wschodnim brzegom Ameryki, w które uderza również z taką siłą, iżby niezawodnie już przebił granitowy przesmyk Panama, gdyby go niezasłaniał archipelag Wielkich i Małych Antyli. Jak u wschodnich brzegów Afryki, prąd ten i tu dzieli się na dwoje. Część jego południowa, zakręcając się u brzegów Ameryki południowej, tworzy prąd brzegowy brazylijski, idący w odległości 200 mil od lądu na południe, a potem wraca ku południowej kończynie Afryki, zaś część północna przebiega morzem Karaibskim i wpada do zatoki Meksykańskiej, w której daje początek nowemu prądowi, zwanemu Zatokowym (Golfstrom). Ten zmierza ku północy-wschodowi, naprzód wzdłuż brzegów Florydy i Stanów Zjednoczonych Ameryki, aż do wyspy Newfoundland, na której mielizny zbiera się rok rocznie ogromna ilość sztokfiszów i również znaczna ilość statków dla ich połowu. Ztamąd zwraca się na wschód i około wysp Azorskich, które oblewa w różnych porach roku to od północy to od południa, dzieli się na dwie odnogi; północna idzie do zatoki Biskajskiej, wykręca się w niej by obleść brzegi północne Hiszpanji i zachodnie Francji, potem od zachodu oblewa wyspy Brytańskie, dalej Norwegię, której skaliste brzegi poszczerbiła w liczne i głębokie fiordy i wpada do oceanu Północnego. Południowa odnoga od wysp Azorskich zawraca się na południe i część jej, pod nazwą prądu Gwinejskiego, oblewa brzegi zachodniej Afryki aż do zatoki Gwinejskiej, biegnąc coraz prędzej tak, iż niesie okręt 30 mil na dzień. W skutek tego okręta, zmierzające do przylądka Dobrej Nadzieji, płyną tym prądem, a wracając ztamąd trzymają się daleko od brzegów. Druga część od wysp Kanaryjskich zawraca się na powrót ku brzegom Ameryki południowej i w taki sposób obiega koło dłu-

gości około 4000 mil, ale najszybciej równie szybko. Obliczono, że statek bez żagli, puszczonej na ten prąd, opłynąłby owe koło we trzy lata. W środku jego leży sławne morze traw, jedna z osobliwości Atlantyku. —

Zwrotnikowe promienie słońca nagrzewają w zatoce Meksykańskiej, jak w olbrzymim kotle, wodę do wysokiego stopnia ciepła. Golfstrom unosi tę wodę ku lądom, mającym wcale odmienną temperaturę i łagodzi ją bardziej jeszcze, aniżeli wiejące w tymże kierunku ciepłe wiatry zachodnie. Od działania tych obudwu czynników, z których wodny zdaje się nawet być silniejszym, Europa zachodnia ma klimat tak umiarkowany. Irlandja jest wyspą zieloną, jeszcze dalej na północ wysunięta Szkocja, a szczególniejsze wyspy jej zachodnie, mają też klimat daleko cieplejszy, niżby go mieć mogły pod tą szerokością, ale w innym miejscu, pomimo wpływu morza. Norwegija daleko jest cieplejszą od Szwecji. — Siedem tygodni Golfstrom idzie z zatoki Meksykańskiej aż do Norwegji i przez ten czas bardzo mało obniża swoją temperaturę. Dopiero lody biegunowe, wpadające do niego w Maju, ochładzają go cokolwiek i za to w nim giną. Zawsze jednak niesie on znaczny zapas ciepła aż do oceanu Północnego. Dzięki jemu niemasz nigdy lodów w przyładku Północnego. Zalegają one dopiero północne brzegi Azji i Ameryki. Zaś swobodnym jest od nich sam środek tego oceanu, który pod samym biegunem nie zamarza i żywi wieloryby. —

Długo przed odkryciem Ameryki dobroczynny Golfstrom przynosił z tamtej części świata Europie nie tylko ciepło, ale i drzewo, owoce i różne siemiona, składając je wiernie na brzegach Francji, Irlandji i Norwegji i dając przez to narodom Europy zachodniej dowody oczywiste istnienia i to niezbyt daleko, lądów, które wydają takie plody zasługiwały na uwagę. Pomimo to w Europie ciągle utrzymywało się mniemanie, że owe dary morza pochodzą z jakiejś zaczarowanej i ukrytej w mgłę wyspy, która w taki sposób wabi do siebie lekkomyślnych żeglarzy, aby ich uwieść i pogrążyć na dno morza. Po odkryciu tej ziemi, długo istotnie zaczarowanej, choć nieukrywającej się we mgłę, powierzano w niej umyślnie Golfstromowi flaszkę i kosze z owocami i te dochodziły w całości brzegów starego świata. —

Ocean Wschodni ma także swój ciepły, podobny do Golfstromu, prąd Japoński, który podobnie łagodzi klimat na wyspach Japońskich, Kurylskich, Aleutkich i na zachodnich brzegach Ameryki północnej. —

W morzu Śródziemnym są dwa znaczne prądy, idące jeden z oceanu, drugi z morza Czarnego. Ocean, przebiewszy pomiędzy

słupami Herkulesa pasmo gór, łączących w tem miejscu Europę z Afryką, wtargnął na leżące za niem niziny i zalawszy je, utworzył część zachodnią morza Śroziemnego. Wschodnią część tegoż utworzyło morze Czarne, niegdyś zatoka a następnie pozostałość oceanu Północnego. Wezbrane od napływających do niego w obfitości rzek, przebiło ono sobie dalsze wyjście tak, jak je widzimy obecnie i oddzieliło w taki sposób Europę od Azji. Jak zaś silnem musiało być to rozerwanie dwóch lądów, okazują liczne i rozmaicie ukształtowane wyspy archipelagu Greckiego. I dziś jeszcze wody morza Czarne, upływając ciągle do Śroziemnego, tworzą prąd dość silny w cieśninach Konstantynopolikańskiej i Dardanelskiej, który następnie idzie około brzegów Małej Azji i wzdłuż północnych brzegów Afryki aż do cieśniny Gibraltarskiej; zaś w tejże cieśninie wymija go drugi prąd, który tworzy podobnie ocean Atlantycki, wlewający ciągle swoje wody przez te cieśninę powierzch kamienną tamy, która, przegradzając ją w głębi, wiąże dotąd lądy Europy i Afryki. — Ten prąd Atlantyku bieży wzdłuż południowych brzegów Europy. Dla tego wszystkie okręta płynące przez morze Śroziemne na wschód, muszą trzymać się brzegów Europy; zaś płynące przez to morze na zachód, muszą trzymać się brzegów Afryki. —

Mnóstwo innych jeszcze prądów przebiega wszystkie morza, krzyżując się w kierunkach rozmaitych; wszystkie zaś one dają się podzielić na zimne i ciepłe. Pierwsze idą od biegunów, unosząc nagromadzone tam lody, które jak ogromne skały kryształowe długimi i wspiankami łańcuchami płyną ku zwrotnikom, gdzie tają pod palącymi promieniami słońca; drugie niosą ciepłe wody zwrotnikowe w strefy zimne. —

Tak morze w nieustannem jest krążeniu na wschodniej i na zachodniej półkuli; i na obu półkulach pozostawia tego wyraźne ślady na lądach, których brzegi, zwłaszcza wschodnie, poryło w głębokie zatoki, pokrajało w półwyspy i usiało wyspami. Oprócz tego jeszcze morze, jak olbrzymie wahadło, wykonywa cztery razy na dzień, w ściśle oznaczonym czasie, ruchy zwane przypływem i odpływem. Są to jakby uderzenia pulsowe olbrzyma, które wstrząsają całym jego ciałem. Bez tych ruchów ani wiatry wzdymające fale, ani mocna zaprawa słońca, nieuchroniłyby wód morskich od zepsucia, a wszystkich żyjących w nich stworzeń od śmierci. Tak morze od początku swojego istnienia pracuje bez odpoczynku, jak gdyby było istotą żyjącą. Prądy przebiegają na wskroś całego ciała i wszystkie jego części, jak krew po żyłach przebiega od serca po wszystkich członkach i wraca znowu do serca. —

Uderzającą analogiją znajdujemy pomiędzy prądami morza, a odpowiedniami im prądami w większym, pokrywającym go z wierzchu, oceanie atmosfery. Pilne badania wykazały, że od jednych i tychże pochodzą one przyczyn i podobne zrzadzają skutki. Można potem słusznie wnosić, że w tym oceanie atmosfery, którego dnem jest powierzchnia naszej ziemi, będąca naszą siedzibą, istnieją jeszcze i inne ruchy dla nas niewidome, jak przyływ i odpływ, które widzimy w morzach, a których istnienia w niedostępnych dla nas wyżynach atmosfery, domyślają się tylko niektórzy tegocześni badacze przyrody. Ież dotąd niewyjaśnionych należycie zjawisk atmosferycznych dałoby się wytłómaczyć przez analogiją, pomiędzy ruchami oceanu powietrznego, a odpowiadającymi im ruchami oceanu wodnego. —

St. Str.

8. Działanie morza na brzegi.

Wznoszące się tu i owdzie skały nadbrzeżne wydają się nam jak olbrzymie szańce, mające na zawsze bronić lądy od morza. Jakże błędnie jest to mniemanie, które niezna potęgi sił działających powoli, lecz nieustannie. Uderzenia bałwanów morskich o brzegi, tak ciężkie, iż skały zdają się drzeć pod nogami, pozostawiają widoczne ślady w ukształtowaniu tych skał. Głębokie w nich rozdarcia, wysokie zwieszono na dół urwiska, pokrajanie ich niekiedy w sposób najdziwniejszy, świadczą o burzącem działaniu morza. Na brzegach Bretanji i Anglji dawne podania mówią o zatopionych wsiach i lasach, których szczątki dotąd mają być widziane na dnie morza. Całe wschodnie pobrzeże Anglji, od ujścia Tay aż do ujścia Humber, stopniowo się zapada. Obszary lądu mające po kilkaset morgów przestrzeni i teraz od czasu do czasu obrywają się tam w głąb morza. U niskich pobrzeży pokrywającej te obwały zatoki, wody morza Niemieckiego zajmują swojemi falami zapadający się wielki las, którego drzewa, stojące pniami w wodzie, jeszcze są nienaruszone i wydają jeszcze żywicę. Dziś wzbiera morza na tém miejscu, gdzie przed laty stał kościółek wsi, która się zapadła. Angielskie miasto Brighton, jeszcze za panowania królowej Elżbiety, stało tam, gdzie dziś tylko sterczą z morza rzędy palów. Wyspa Chepey przy ujściu Tamizy już nie długo, za lat może jaki dziesiątek, całkiem się zapadnie. Za czasów Henryka VIII jój kościół był w odległości mili od morza, a dziś stoi on samotny i opuszczony na stromem urwisku. Cmen-

tarz i domki około niego zawaliły się w morze, a ostatnią dotąd jeszcze niepochłoniętą przez nie skałę utrzymuje tylko ludzka sztuka przez kamienne tamy i pale drewniane, wstrzymujące napór groźących zniszczeniem morskich bałwanów. Spustoszenia, wyrządzone przypliwami morza Niemieckiego, okazują pozostałe po nich zatoki Zujdersee, Dollart i Jahde. Na płaskich zachodnich pobrzeżach Jutlandji, walka lądu z morzem toczy się już od lat tysiąca. U brzegów Szleswigu przed laty 600, morze oderwało od lądu wielki i żyzny półwysep północną Fryslandę i zatopiło całkiem tak, iż pozostała z niego tylko mała wysepka; zaś przed laty 200 przypliw zniszczył i tę wysepkę, przyczem znalazło śmierć 600 ludzi. Na brzegach morza Bałtyckiego podania mówią o zatopionych ziemiach i miastach, o całym zapadłym kraju Sambji i bogatej, lecz grzesznej, Winecie, której pyszne gmachy mają dotąd być widziane na dnie morza; o dawnym połączeniu wyspy Rugji ze stałym lądem Pomorza i o gwałtownem oderwaniu od Rugji wyspy Hiddensee. Cząsy obecne stwierdzają prawdziwość podania o burzącem tamże działaniu wód Bałtyku. Gdzie na niskich i piaszczystych pobrzeżach jeszcze wdają się w morze porośle murawą, drzewami i krzakami wzgórza, wszędzie one są podmyte, korzenie drzew są obnażone i dokoła nich leżą oderwane i pokruszone odłamy skał. Gwałtowna burza wyrывa potężne bryły granitu i ciska je na nadbrzeżne tamy, podnosi masy piasku na 50, a nawet 80 stóp w górę i pędzi je od brzegów na odległe lasy. —

Tak wszędy morskie brzegi przedstawiają obraz dzikiego spustoszenia. Stała moc kamienia próżno się opiera słabemu na pozór, przeto iż powolnemu, działaniu żywiołu ruchomego. Nie tylko brzegi niskie i pokłady miękkie, gliniaste i wapienne, niszczą fale morskie; i najtwardsze i najmocniejsze skały przedstawiają rysy i rozpadliny, któremi morze wciska się do ich wnętrza i w końcu je kruszy, rozsadza i niweczy. Wprawdzie rozbite ich szczęty, wraz z naniesionym przez morze piaskiem, tworzą wały, które służą za tamę następnych powodzi; ale i te na niejaki czas tylko powstrzymują ich spustoszenia; i one w końcu bywają rozburzone i rozmiecone; i nic nieochrania brzegów od wrogiego żywiołu. W najmocniejszych stojących i wiszących urwiskach skalnych, morze wydrąży głębokie groty. Ze wściekłym rykiem, podobnym do dalekiego grzmotu, wdzierają się jego bałwany pod sklepienia tych grot i ryją je w najdziwniejsze kształty, podobne do jakichś fantastycznych widziadeł. Tam w wysokich zagłębieniach, jako w niedostępnych kryjówkach, wiją swoje gniazda ptaki

wodne; tam zaledwo mogą dostać się najodważniejsi myśliwi, czepiając się i pnąc po długich sznurach. —

Według Otto Ule.

9. Okręt.

Jeszcze słońce nie zeszło, kiedy pod mojemu oknami rozległ się silny huk wystrzału z działa. Był to znak, że passażerowie zbierać się powinni do odjazdu. Zabrałem tedy jak najspieszniej swoje rzeczy i udałem się do portu. Dzień był pochmurny: wystające z morskich toni maszty okrętów wyglądały jak las ogołocony z liści. Flagi przeróżnych barw powiewały w powietrzu; pomiędzy wysokimi czarnymi tułowami okrętów uwijało się mnóstwo małych łódek i większych łodzi; krzyki majtków, służby okrętowej, tragarzy i wszystkich nagromadzonych tam przez ciekawość, składały się na hałas i gwar niestrojny, w którym było trudno wytrzymać. Szybko pomknęliśmy się na łodzi ku okrętowi, mającemu ponieść nas na iskrzące się zielonawo morze i po ozdobnych schodkach, spuszczonej na zewnętrznej ścianie okrętu aż do wody, dostaliśmy się na pokład. Świeży wiatr poranny nadymał żagle i już weszło, ale jeszcze zakryte przez obłoki, słońce wywoływało lekki ruch w powietrzu. W godzinę wszystko było gotowe do odjazdu. Kapitan zdjął kapelusz i pomodlił się; majtkowie i wszyscy obecni poszli za tego przykładem. Po skończeniu modlitwy odjęto od boku okrętu schodki i ściągnięto do góry i uwiązano wszystkie łodzie. Sternik i locman stanęli u sterowego koła i dano rozkaz wyciągać kotwicę. Majtkowie założyli drewniane drągi w kołowrot i trzymając się ich, poszli mierzonym krokiem i ze śpiewem w koło. Z wielkim trudem i skrzypem kołowrotu wydobyto z dna ciężką kotwicę i wnet okręt się poruszył i sunął powoli i poważnie naprzód. Dwanaście wystrzałów z działa dano z naszego pokładu, na które odpowiedziano podobnie z portu i innych okrętów. I tak ocean Atlantycki poniósł na swoich barkach nasze wątle czółenka; bo takim musi wydać się i największy okręt, na jego niezmiernym obszarze. —

Nasz okręt był wielką i piękną fregatą kupiecką, długą na 120, a szeroką na 30 stóp. Miała ona, jak wszystkie okręta morskie, trzy maszty, z których środkowy jest największym i nazywa się wielkim masztem. W języku technicznym marynarki, którego my i inne narody słowiańskie nie mamy, zaś Rossja przy-

jęła od Hollendrów, Grotmast. Maszt przedni nazywa się Fokmast; tylny, Besanmast. Maszt wielki miał wysokości 80 stóp, a nałożone na niego drągi, zwane Stangami, wynosiły prawie drugie tyle, tak, iż wszystko dochodziło wysokości znacznej kościelnej wieżycy. Na wielkim maszcie powiewała kolorowa bandera,



Port.

zaś w tyle okrętu, na tak zwanym Flagstoku, flaga miasta Hamburga, z jego wieżami. Oprócz trzech pomienionych masztów, ustawionych w nierównej odległości, z przodu okrętu wystaje w kierunku zupełnie pochylonym nad wodą, jeszcze jeden maszt długi, zwany Bogsprit, będący dla okrętu prawie tem, czem dla ptaka w locie jest dziób; bowiem jego przeznaczeniem jest rozbijać, a raczej rozcinać powietrze i w taki sposób torować drogę tułowowi okrętu. Ma on wreszcie także swoje żagle. Pod Bogspritem jest zwykle pięknie wyrzeźbiony i wyłożony znak okrętu. Nasz miał orła z rozpartartemi, jakby do lotu, skrzydłami. Maszty osadzone są w grubym trampie, zwanym Kilem, który stanowi spodnią osnowę okrętu, złożoną z najmocniejszych

balów dębowych. Maszty w górę przedłużają nakładane stangi, by rozpiąć można więcej żagli. Przy masztach są umocowane poprzeczne stangi, zwane Rejamo. Na nich wiszą żagle. Mnogie setki grubych powrozów, zwanych linami okrętowemi, utrzymują maszty i żagle, aby nie zehodziły ze swoich miejsc, krzyżując się z sobą, jak nici jakiej tkanki. Każda z tych lin przybija się mocnym drewnianym klinem, lub czopem, do pokładu najczęściej u boku okrętu.

Pokład podobny jest do płaskiego dachu nad domem i otacza go w około mocne ogrodzenie. Nasz pokład miał czternaście dział, obróconych paszczami w strzelnice dokoła w ogrodzeniu. U przedniego masztu znajdowała się kuchnia, zbudowana w kształcie chatki i wewnątrz wybita blachą, dla zabezpieczenia od ognia. Była ona bardzo małą, a jednak przysposabiało się w niej jedzenie dla 150 ludzi. Dalej na przodzie znajdował się tak zwany kołowrot, na który nawija się łańcuch kotwicy. Ta zwykle waży od 25, do 30 centnarów. Każdy okręt ma ich po kilka dla bezpieczeństwa. Z przodu i z tyłu kołowrota są luki, prowadzące do sypialni majtków; schody te ubezpieczone są nakryciem i mogą być zamknięte. Po obu stronach wielkiego masztu idą w górę łańcuchy kotwicy, nawijane na mocny żelazny walec. Z przodu i z tyłu tegoż masztu są dwa wielkie otwory, któremi spuszcza się ładunek okrętowy. Ciężkie drewniane nakrycie zamyka je tak szczelnie, że woda wcisnąć się tam nie może. Przy tylnym maszcie są także otwory i nad nimi wznoszą się wielkie ramy ze wszystkich czterech stron mające okna, dla wpuszczania światła i powietrza do wielkiej i małej kajuty. Szyby w oknach zabezpieczone są mosiężnemi kratami. Nadto są jeszcze inne wielkie okrągłe grube szklanne szyby, osadzone w pokładzie z mosiężnym obwodem. Za masztem tylnym znajduje się koło sterowe, które porusza rudel, i stoją kompas, zawieszony tak, by przy każdym poruszeniu okrętu były w położeniu poziomem i by przez to ruch igły magnesowej nie miał żadnej przeszkody.

Z pokładu górnego na prawo i na lewo, prowadzą schody do pokładu niższego. Na naszym okręcie na lewo za tylnym masztem, zstępuje się do wielkiej kajuty. Była ona cała wyłożona drzewem mahoniowem. Oprócz światła, wpadającego przez wielkie ramy na pokładzie, miała jeszcze w tylnej ścianie okrętu cztery okna, które jednak od strony morza zamykane być musiały okiennicami, ażeby ich nie pobiły morskie bałwany. Ściany kajuty zdobiły pistolety i inna broń, ułożona misternie w rozmaite figury, pod samą szklaną ramą umieszczony był stół, podłoga zaśłana

dywanem, przytwierdzonym do niej tak, by się nie ruszał. Nad stołem wisiała piękna lampa żłocona; prócz tego na właściwych miejscach wisiały termometr i barometr. Po prawej i lewej stronie troje drzwi prowadziły do sypialni i wygodki pasażerów. Drzwi nie miały zawiasów, lecz odsuwały się i zasuwwały bokiem, chodząc na kółkach w metalowych żłobkach.

Każda sypialnia miała jedno okno okrągłe, w górze dające na pokład, o których oknach już mówiliśmy wyżej. Łóżka można było podnosić do ściany, aby mieć więcej miejsca do ubierania się. Każdy podróżny miał osobne łóżko, pod którym stawał swoją walizę i inne bagaże.

Druga kajuta urządzoną była tak jak pierwsza, tylko mniej kosztownie. Po środku jęj stał długi stół. Światło wpadało z góry przez ramę na pokładzie. W sypialnych celkach tęg kajuty pomieszczają się kapitan, sternicy i passazerowie, którzy mniej płacą. —

W przedniej części po środku jest skład żagli i żaglowego płótna; po lewej zaś i prawej stronie są małe śpizarnie. Przez jedną z nich prowadzą schody wdół do średniego przedziału, gdzie leży część ładunku.

Pod kajutami i składami przy przednim maszcie, jest właściwa przestrzeń okrętowa. Przez nią przechodzą trzy maszty aż do kila. Przed przednim masztem znajduje się skład węgla do kuchni. W około wielkiego masztu leżą liny kotwicowe, tamże stoją beczki z wodą i mieści się znaczna część ładunku. W tylnęj części przy tylnym maszcie jest piwnica, główna śpizarnia i w zamkniętym kacie prochownia.

O ile okręt jest w wodzie, bywa on zewnątrz obity blachą. Wszystkie zaś części drewniane i wszystkie liny oblane są smołą dla ochronienia od zepsucia.

Z podróży G. Wollnera.

10. Nurek i jego przyrządy.

Wydobywanie z wody zatopionych okrętów i połów koralu, pereł, bursztynu odbywa się w dzisiejszych czasach sposobem ulepszonym. Dawniej ludzie, przeznaczeni do podobnej czynności, kładli na siebie przyrządy zbyt ciężkie. Obecnie przyrząd dla nurka jest niezmiernie skomplikowany.

Kiedy idzie o wydostanie z morza części zatopionego ładunku okrętu, wybierają do tego kilku lub kilkunastu nurków, którzy

zaopatrzeni stosownie, spuszcza ją na dno morskie. Z nurkiem, a raczej z jego aparatem, połączoną bywa rura, wychodząca z pompy, umieszczonej na okręcie, dla odświeżania powietrza i dawania stosownych rozkazów.

Wynalazek tego aparatu, jak równie i lampy zabezpieczającej, przypisują francuzkiemu inżynierowi.



Nurek w aparacie.

Aparat, zwany Skafander, stanowi obszerne ubranie z jednej sztuki, obejmujące całego człowieka w korpusie i dochodzące do nóg i ramion. Składa się ono z materji nieprzemakalnej, a mianowicie kauczuku wulkanizowanego, podszytego wełną. Na nogach i rękach przymocowany on bywa elastycznymi rzemykami tak silnie, że woda w żaden sposób dostać się przez niego nie może. Podeszwy zaopatrzone są w łożwiane albo metalowe tafle, ważące około dwudziestu funtów. Do skafandra przydanym jest

kołnierz brązowy, zaś do tego przytwierdzony szczelnie hełm, z zabezpieczeniem również od wszelkiego przeciskania się wody. Hełm ma cztery otwory okrągłe oszklone, nadto znajduje się w nim dość wentylatorów, które nurek może łatwo otwierać i zamykać. Wielka szyba szklanna, stanowiąca Wizir czyli stronę, twarzową, jest na szrubie. W pasie aparat ściska się mocnym rzemieniem. Na piersiach umocowyywa się płaski metaliczny powietrze-zbiornik, od którego idą dwie skórzane rurki, służące do wypuszczania zgęszczonego, a wpuszczania świeżego powietrza. Przyływ i odpływ jego nurek reguluje za pomocą dwóch stosownych szrub.

Cały ten aparat jest ciężkim; ponieważ jednak woda jest daleko cięższą od powietrza, przeto ciężar jego pod wodą bywa prawie zupełnie z równoważonym i nieprzeszkadza nurkowi w ruchach tak, że może on chodzić po dnie z wszelką swobodą. Spuszcza on się do morza na linie i za pomocą tejże wydobywanym bywa na wierzch. Z początku ciśnienie słupa wody na nurka jest tak silnem, iż utrudnia mu oddychanie; lecz niebawem płuca przywykają do wdychania wpuszczanego sztucznie powietrza; a skoro następuje zużycie i przeładowanie wydychanego powietrza, dość mu podnieść głowę cokolwiek do góry, a wnet ono wyjdzie, przez urządzone na to wentylatory, na powierzchnią morza, gdzie na ów czas pokazują się bańki.

W ten sposób nurek, posiadający silne płuca, może dwie lub trzy godziny zostawać pod wodą i pracować. Ulatnia się bowiem nadmierne ciepło organizmu i przyływ powietrza reguluje się swobodnie.

Naftowa lampka bezpieczeństwa wynalezioną została umyślnie dla nurków. Łączy się ona z aparatem, wpuszczającym powietrze, którego im głębiej jest w wodzie tém więcej potrzebuje.

Za pomocą takich przyrządów robiono w porcie Tulońskim poszukiwania szczątków wielkiego okrętu Magenta, który tam zatonął przed niedawnym czasem.

S. M.

11. Życie w morzu.

I morze ma swoje góry, doliny i głębokie parowy, napełnione rozmaitym gruzem, szczętami zatopionych okrętów i gnijącymi trupami ludzi i zwierząt. Morze jest nigdy nienasyconym grobem ziemskiego życia. Tam miliony milionów ciał zwierzęcych ulegają

rozkładowi i skamieniałe ich resztki tworzą ciągnące się milami łańcuchy. Morze jest widownią nieskończonej dzikiej i morderczej walki i ojczyzną najdrapieżniejszych zwierząt. Wieczna nienawiść zamieszkuje te chłodne wody i nieustające zniszczenie utrzymuje niezmiernie życie świata morskiego. Tam ciągną gromadami lwy, tygrysy i wilki wodne, krokodyły i olbrzymie węże morskie, pożerające co dnia całe rodzaje innych zwierząt i ryb; tam polipy i meduzy zastawiają swoje sieci, na niebacznie igrające dokoła zwierzątka kręgowce; tam wieloryb pochłania na jeden raz miljardy drobnych rybek i lotne orły i mewy czatują na wyzierającego z wody dla chwycenia powietrza kowala, ze ptremi jak skrzydła motyla płetwami. Tam mieczniki i morskie niedźwiedzie polują na morskie słonie i nosorożce, a pasożytnicze robactwo czepia się płynących powoli spasyłych ryb, by utuczyć się ich tłustością. Wszystko napada i morduje. Nie słychać wszakże ani krzyków zwycięstwa, ani jęków zwyciężonych i zabijanych. Walka toczy się w tajemniczej ciszy, którą przerywa tylko plusk wody, lub drgający skok ranionego śmiertelnie zwierzęcia.

Niemniej dziwny świat roślinny rozwija się w morskiej głębi. Morze także posiada swoje lasy pierwotne, pełne wijących się lato-rośli, niezmiernie łąki, porośnięte kwiatami różnej barwy i krajobrazy, jakim nie dorównają żadne widoki lądowe. Żółty mech wije się około ciemno czerwonych krzaków koralu, wśród których żeglują rybka, z rozpostartymi jak żagle okrętu płetwami. Jakież dziwne życie jest w tych drzewach koralowych, jakim oślepiającym blaskiem świecą meduzy na purpurowych wierzchołkach wodnych palm, jakie roje iskier sypią się z niebieskich i żółto-zielonych trzciny-nych zarośli, jak gdyby ściagały się pomiędzy niemi miljony świecących robaczek. Jakaż obfitość szczególniejszych muszli, raków i różnych postaci ryb, to brylastych, to podobnych do skręconych wiązek trzciny, to do długich wijących się wstęg. Tu one mają kształt okrągły, tam naśladują wieże z zębatego szczytami, tam uzbrojone są w rogi i wystające długie kły i piły, tam zakrywają się wypuszczanym z siebie mętnym płynem, tam są gołe z kłocowatymi lub podłużnymi głowami, tam porośnięte włosami i z głowami okrągłymi. Tu z wytrzeszczonymi szklanymi oczyma, świecącymi niepewnym żółtym półblaskiem, tam w czarnych oczach okazujące prawie ludzki rozum. Można by po całych dniach rozglądać się w morskich głębiach i znajdować coraz nowe przedmioty podziwu.

W niektórych miejscach dno morza zalegają gęste pierwotne lasy; krzewy tłoczą się na krzewach, gałęzie ich splatają się jedne

z drugimi, dno pokrywają drobne wodorosle, czerwone ziółka, ciemno-żółte mchy z jaśniejszymi włóknami i liśćmi rozścielają wzorzysty kobierzec dla żółwi i ślimaków. Pomiędzy nimi tu i owdzie błyszczą większe krzewy, pozbierane jak płaszcze; po skałach wiją się oliwkowej barwy mchy, z których wygląda róża



Duo morskie.

morska w całej okazałości swoich barw. Z pośród najbujniejszych krzewów podnoszą się lilje morskie o barwach mieniących się, to jak olbrzymie wachlarze, to wyciągając z biegiem wody swoje szerokie i długie na wiele stóp liście. Z pomiędzy drzew jeszcze wyżej, bo na 30 stóp w górę, wznoszą się Laminarje, z podobnie wielkimi liśćmi; obok nich również wyniosłe Alarje, których pień u góry roizwija się w olbrzymi bo 50 stóp długi liść. Lecz jeszcze

wyżej, bo do 70 stóp w górę, sięgają drzewa tych pierwotnych lasów, biorące początek od korzonka podobnego do koralu, z którego wyrasta pieńek grubości nici, a który z czasem rozrasta się w krzew olbrzymi, wypuszczający liście na 50 stóp długie. To są palmy morskie. I takie lasy wyrastają szybko, tworzą w jakich kilka miesięcy ogromne gęstwiny, potem nagle wędną i niszczej, zasiawszy nową roślinność.

Po tych lesistych nizinach, błakają się zębate Gwiazdy morskie i niekształtne Głowacze; żarłoczne wilki morskie upędzają się za igrającymi Makrelami, lub pasącemi się mchem Barwenami. Kołysząca się na morskiej palmie w słonecznym blasku, morska żmija przypatruje się spokojnie tym dokoła ucieszkom, gonitwom i walmkom, lub pogląda z góry myśląco na pasące się w ustronnych miejscach lasu morskie krowy i konie.

I człowiek sięgnął swoją chciwą ręką do głębi morza, już to dla dostania morskiego mchu, z którego popiołu otrzymuje się jod i soda, już to dla połowu z niebezpieczeństwem życia koralu. Mieszkańcy Normandji zbierają pływający zgniły morski mech i rozwożą go daleka po swoich polach na nawóz, a Grenlandczycy w pewnych rodzajach tego mchu znajdują i dla siebie i dla swego bydła i owiec na całą długą zimę pożywienie, którego im odmawia ich nieurodzajna ziemia. Któż wyliczy wszystkie dziwy, jakie w sobie kryją ciemne głębie morza.

12. Epoki kamienna, bronzowa i żelazna.

W dziejach rozwoju ludzkości rozróżniają trzy epoki, mianowicie wiek kamienny, wiek bronzowy i wiek żelazny; przeto iż w pomienionych okresach tak broń, jako i wszelkie sprzęty domowe wyrabiano głównie z pomienionych materiałów. Oznaczają też one najwłaściwszy i najprawdopodobniejszy porządek w odkryciach.

Wiek kamienny rozdzielono później na dawniejszy i późniejszy, wedle postępu w wyrobach, które naprzód były bardzo proste, a potem mniej więcej staranne i ozdobne. Użycie kamieni odpowiada w innych miejscowościach użyciu drzewa, kości i muszli.

W niektórych krajach, jak naprzykład w Ameryce północnej i miejscami w Azji, pomiędzy epoką kamienną i bronzową, pośredniczy jeszcze epoka przechodnia miedziana, w której użycie cyny obok miedzi nie było jeszcze znanem. Ten okres przejściowy zdaje się miał miejsce wszędzie tam, gdzie czysta miedź znajduje się

w ziemi niedaleko, jak naprzykład w Ameryce w okolicy jeziora Wyższego.

Livingston utrzymuje, że dla większej części Afryki nieistniały epoki ani kamienna ani bronzowa, ponieważ negrowie od najdawniejszych czasów umieli topić i obrabiać żelazo.

Cyna rzadko gdzie znajduje się czystą i sama nie może służyć do wyrobów. Należało przeto męszać ją z innymi kruszcami. Przypadkowe odkrycia i ciągle doświadczenia, po długich i nieraz bezużytecznych próbach, doprowadziły wreszcie do wynalazku bronzu, z którego wszystkie narzędzia zaczęto wyrabiać lepiej, doskonalej i ozdobniej, aniżeli z samej miedzi. Rozpowszechniły się też one więcej daleko, aniżeli poprzednie kamienne i miedziane.

Okres miedziany przeto był tylko miejscowym, tam mianowicie, gdzie było wiele miedzi. W budowach nawodnych w Szwajcarii niezalezono ani jednego naczynia miedzianego.

Wyroby żelazne znaczyły większy nierównie postęp w szmelcarstwie, niż wyroby bronzowe; albowiem chociaż żelazo znajduje się w wielkiej ilości wszędzie, nigdzie prawie nie bywa czystem, i ten kruszec, jak wiadomo, topi się trudno. Dla tego to użycie żelaza nastąpiło wszędzie późno.

Obecnie żyjemy w epoce żelaznej. Nigdy jeszcze użycie tego kruszczu nie było tak powszechnem, chociaż w tym względzie nowa teraz nastąpiła zmiana przez to, iż zaczęto wyrabiać z niego coraz więcej stali. Moznaby przeto epokę obecną nazwać czasem lanej stali.

Przejdźmy teraz do szczegółów epoki kamiennej i jej śladów.

Wszędzie, gdzie tylko człowiek wydobył się ze stanu pierwotnego i rozwinął w sobie zmysł do sztuki, takowa zaczyna się od obrabiania kamieni i narzędzi kamiennych. Szukano czegoś twardego, czemby można było obrabiać miększe drzewo, kości, rogi itd. Jako materiał dla nadających się ku temu narzędzi kamiennych, wybierano kamienie twarde a przytem ciągle, jakie znajdowano w różnych miejscowościach, mianowicie krzemień, kwarc, serpentyn, bazalt, lawę, obsydjan a szczególniej nefrit, którego użycie ku temu zdaje się sięgać czasów najdawniejszych. Ten ostatni znajduje się dotychczas tylko w Azji i Nowej Zelandji.

Naczynia, broń i sprzęty kamienne były daleko prostsze i mniej ozdobne od bronzowych. Wszakże i one różniły się mniej więcej wedle czasu, mody i celu użycia.

Najczęściej znajdują topory, kliny i dłuta. Służyły one i jako narzędzia i jako broń. Do nich też według formy, liczą się rzadsze młoty. Przytwardzano je do toporzyska, rękojeści, trzonu z drzewa w sposób rozmaity: albo wywierciwszy w tym ostatnim otwór, albo

wbijając w rozszczep i potem przywiązując mocno rzemieniem albo łykiem, a wreszcie wbijając w grubszy koniec jeleniego rogu, mianowicie dłuta.

Po klinach, toporach, młotach i dłutach, znajdują najczęściej nożów, ostrzów strzał i narzędzi do piłowania. W Europie wyrabiano je głównie z krzemieni, w Meksyku z obsydjanu. Jeszcze długo po odkryciu Ameryki, tameczni Indianie wyrabiali z tego kamienia doskonałe brzytwy, a nawet widziano z niego bardzo kunsztownie wyrobione manele.

W Szwajcarji znajdowano kamienne narzędzia do rozmaitego użytku domowego z piaskowca i kamienie młyńskie z granitu, wreszcie niektóre ozdoby i amulety.

Kamienie służyły nadto tak w stanie naturalnym, jako i obro-bione, oddawna i jako broń dla ciskania, tak z ręki (pod Troją), jako i z procy (za czasów Dawida). Stanowiły one broń bardzo skuteczną i w czasach znacznie późniejszych, nie tylko po wynalezieniu żelaza, lecz i po wynalezieniu prochu; pierwsze bowiem kule były kamienne.

Najpierwszem i najdawniejszém użyciem kamieni było jako broni do ciskania z ręki. Takiej broni używają dotąd zwierzęta, mianowicie małpy i niedźwiedzie. Ludziom służyły one dla tego w stanie naturalnym. Później zaczęto je obrabiać i dla innych celów, naprzód grubo, a następnie w formach coraz staranniejszych i ozdobniejszych.

B. Cotta.

13. Budowy nawodne.

Nic w równej mierze nie obudza w nas tyle ciekawości, jak samże człowiek, jego dzieła i ich pomniki. Dla tego ze wszystkich odkryć naukowych najbardziej zajmującemi dla nas są odkrycia historyczne i zabytki dziejowe; i te im dawniejsze, tem więcej budzą interesu i ściągają na siebie uwagę. W rzędzie takich zabytków niepoślednie zajmują miejsce odkryte niedawno i będące przedmiotem opisów i badań nauki tegoczesnej mieszkania nawodne, sięgające zdaniem wszystkich zastanawiających się nad nimi pierwotnych wieków ludzkości, będące najdawniejszemi pomnikami bytności człowieka na ziemi.

Cóż to są przeto te mieszkania nawodne? Prawią o nich i nasze pisma uczone i pragnące za takie uchodzić, ale zwykle jako o rzeczy już wiadomej, o której podają tylko nowe świeżo wykryte lub zebrane szczegóły, a przeto w sposób taki, jak lekarze

mówią z sobą o jakim chorym, co przy najgorętszym naszym udziale dla nas jest niezrozumiałem. Dla objaśnienia przeto całej rzeczy prosimy naszych czytelników z sobą na miejsce, gdzie zostały odkryte pierwsze takie zabytki.

W Szwarzjarji, niedaleko miasta Zurichu, jest wieś Robenhausen, położona nad jeziorem Pfaffikon. Miejscowość ta, którą niegdyś w znacznej części pokrywały wody jeziora, ma torfowisko. Wr. 1854 po wydobyciu z niego, na przestrzeni około 40 metrów kwadratowych i do głębokości $1\frac{1}{2}$ metra, torfu, odkryto ślady budowy na palach, która zwróciła na siebie pilną uwagę naprzód nadzorca miejscowej szkoły P. Messikomer, po nim wnet profesora uniwersytetu zurychskiego Dra Kellera, a następnie całego uczonego świata i zaciekawionej też słusznie publiczności.

Te najdawniejsze zabytki osiadłych mieszkańców Europy nie przedstawiają nic osobliwego. Są to jamy, około 4 decymetrów kwadratowych, napełnione błotnistą wodą, z której wystają cienkie pale drewniane. Po wyczerpaniu wody okazuje się ich więcej i obejmują one kwadrat, będący jak się zdaje posadą chaty, W środku jój stojące pale zapewne podpierały dach. Pale są zwykle sosnowe, grubości od 12 do 16 centimetrów; drzewo ich zupełnie rozmiękło, ale na powietrzu prędko twardniało; w jedném tylko miejscu znaleziono je dębowe. Do głębokości 1 metra znajdowano czarny muł zmieszany z gliną. Wykopywane w nim przedmioty dają wnosić o stopniu wykształcenia mieszkańców tej starodawnej osady. Za każdym pchnięciem rydla odkrywano tam rozmaite rzeczy, najczęściej żywność: zboże w ziarnie, jabłka suszone, orzechy laskowe, kawałki chleba, połamane kości zwierząt domowych i upolowanych; obok tych w wielu miejscach noże kamienne i z kości zwierzęcej, ze śladami obrobienia i używania, topory kamienne wielkości rozmaitej, między nimi bardzo piękne małe toporki z zielonego serpentynu, rozmaite kamienie dla tłuczenia i mlewa zboża, wielkie kamienie piaskowe z wierzchu wyglądzone i noszące ślady ostrzenia na nich innych kamieni, zapewne toporów i nożów, kawałki naczyń glinianych i kamienie obrobione rozmaicie, których użytku od razu dojsć z pewnością nie można.

W zbiorach i muzeach jakie rozumie się powstały z takich zabytków, widzieć można broń kamienną, osadzoną w rogi jelenie, naczynia gliniane stołowe i kuchenne, rozmaite narzędzia i sprzęty domowe, myśliwskie, rybołowskie, roboty od najprostszej do najwytworniejszej, kamienne, bronzowe i żelazne, wreszcie kawały rozmaitej grubości płócien lnianych, narzędzia tkackie i inne.

Sprawozdanie o tak ważnem odkryciu, ogłoszone natychmiast

przez Dra Kellera, obudziło rozumie się uwagę całego świata naukowego; kiedy zaś uczyony zurichski profesor przypisał wykopany przez siebie zabytkom dawność przynajmniej sześciu tysięcy lat, uniesienie miłośników starożytności nie miało granic. Zainteresowało to szczególnie wszystkich wolnych myślicieli, którym tak odległa starożytność podawała nadzieję zachwiania, a może i obalenia powagi Biblii. Rzucono się z zapałem do szukania mieszkań nawodnych i znaleziono je na brzegach wszystkich jezior w Szwajcarii, a następnie w Niemczech, Francji, Hiszpanji i innych krajach. Gorliwi badacze udali się w dalekie strony i odszukali takie budowy aż w Japonji. I nasz kraj nie pozostał w tyle za ruchem naukowym całej ucywilizowanej Europy. I u nas znaleziono mieszkania nawodne, mianowicie niedaleko Gniezna pod wsią Tczewem, których badaniem zajmowali się szczególnie Dr. Liebelt i Dr. Łepkowski, ogłaszając swoje prace, spostrzeżenia i wnioski po naszych pismach czasowych. Dr. Przyborowski miał też znaleźć jakieś ślady takich mieszkań nad rzeką Wieprzem.

Jak Cuvier z kawałków kości zwierząt kopalnych odtworzył cały pierwotny świat zwierzęcy, tak i tegoczesni badacze mieszkań nawodnych, ze znalezionych w nich zabytków, odbudowali całą ich przedhistoryczną przeszłość. W muzeum zurichskim, urządzonem przez Dra Kellera, widzieć można model zupełny takiego mieszkania ze wszystkimi sprzętami i wyobrażenie dokładne i szczegółowe, jak pierwotni jego mieszkańcy żyli, spali, jedli, pili, polowali i łowili ryby.

Teraz pozostaje do rozwiązania kwestya najważniejsza o dawności tych mieszkań. Nie przypuszczamy z nauką wyzwoloną, iżby poprzedzały one podane przez Bibliję stworzenie Adama i Ewy. Takie i podobne tym odkrycia, których było już niemało, często bardzo na pozór sprzeczne z podaniem biblijnem, po głębszem zbadaniu zawsze się z niem godzą, jak odkrycie Kopernika. Nie można jednak zaprzeczyć, że znajdując się pod pokładami torfu, sięgają one czasów niezmiernie dawnych, epoki przedpotopowej.

Drugie, łatwiejsze do rozwiązania, pytanie jest: w jakim celu budowano te mieszkania na palach w pośród jezior, łącząc je z brzegiem zapewne przez kładki i zwodzone mosty. Uczni objaśniają to różnie. Najprawdopodobniej jednak widzieć w tych budowach obwarowanie się od napadów nieprzyjaciela. Przy niewydoskonalonych zwłaszcza środkach obrony w owych czasach pierwotnych najbezpieczniej było mieszkać na wzór bobrów na wodzie; po zdjęciu bowiem kładki, lub zwiedzeniu mostu do dalekiej budowy dostać się było niepodobna.

W końcu należy dodać, iż przy rozpowszechnionych i prowadzonych z zapałem poszukiwaniach mieszkań nawodnych, takie budowy i znajdowane w nich zabytki często bywały podrabiane tak biegle, iż prowadziły w błąd najuczciwszych archeologów; co zresztą niepowinno dziwić przy znanej łatwości tych ludzi, których doskonały pierwowzór nakreślił Walter Skott, w swojej powieści *Antykwarjusz* i którzy jak dawniej tak i teraz zawsze są do siebie podobni. Najślawniejszym z tych, jakie dotąd wykryto oszustwem tego rodzaju, było mieszkanie nawodne pod Wismarem, w księstwie meklemburgskiem, z mnóstwem najciekawszych zabytków i pomników, które ozdobiły na jakiś czas książęce muzeum w Szwerynie i których opisanie i zbadanie przyniosło uczonemu Drowi Lisch wielką sławę naprzód nauki, a w rychle potem łatwości.

St. Str.

14. Trzęsienia ziemi.

Wulkaniczne to zjawisko jest straszliwem i bardzo niszczącem. Wydarzać się ono może wszędzie, ale nawiedza szczególnie pewne miejscowości, w których i w pobliżu których są czynne wulkany. Takimi w Europie są Sycylja i wyspy archipelagu Greckiego; w Azji Japonja, w Ameryce podzwrotnikowej kraje przyległe pasmu Andów. Właściwie należałoby je zwać wstrząśnieniem, albowiem trwa ono bardzo krótko, tylko chwilowo i bywa mniej lub więcej silnem. W tym ostatnim jednak razie i w jednym mgnieniu oka wyrządza spustoszenia okropne. Objawia się ono przez ruchy szybkie, następujące po sobie w kierunku pionowym lub poziomym, a bywa także kręcące czyli rotacyjne; zdarza się też czasami zarazem pionowe i poziome. Poprzedza go zwykle uderzenie z dołu do góry z głuchym i silnym hukiem, podobne do wysadzenia ziemi prochem. Takie uderzenie było najwyraźniejszym przy strasznym trzęsieniu, które w roku 1797 obaliło miasto Rio Bamba w prowincji Quito w Ameryce południowej. Znajdowano po niem trupy ludzi, rzuconych na bardzo znaczną odległość, bo na wzgórzu La Cullca, leżącym za rzeczką Lican i mającym wysokości 100 stóp. Trzęsienie postępuje najczęściej w kierunku prostym, jak fala wodna i z szybkością od 5 do 7 mil geogr. na minutę, lub też we wszystkich zarazem kierunkach od środka do obwodu wielkiego koła, lub ellipsy i wtedy w miarę oddalenia od środka siła jego zmniejsza się. Najradsze, ale też najniebezpieczniejsze, są trzęsienia kołujące

(rotacyjne). Obracają one bez rozwalenia mury, wykręcają pola okryte zbożem i ulice wysadzone drzewami, jak to miało miejsce w Rio Bamba i w Kalabrii w południowych Włoszech.

Wybuch wulkanu przedstawia widok straszny i bywa nieraz groźnym, jak dla Herkulanum i Pompeji, ale ogranicza się tylko małą przestrzenią. Wcale co innego jest przy trzęsieniach ziemi, które widome dla oka jedynie w swoich straszliwych skutkach, rozpościerają się niekiedy na przestrzeń tysiącomilową.

Wielkie trzęsienie, które 1 Listopada 1755 zburzyło Lizbonę, dało się uczuć jednocześnie w Alpach, na brzegach Szwecji, na wyspach Antylskich, u wielkich jezior Kanady, w Turyngji, na równiach północnych Niemiec i południowych pobrzeży morza Bałtyckiego. Wtedy dalekie źródła wody przerwały swój bieg, gorące źródła w Cieplicach Czeskich naprzód ustały, a potem wzbierały z podwojoną siłą i okazały się zaprawione mocno gliną żelazną. W Kadyksie morze podniosło się na 60 stóp w górę; a na małych Antylach, gdzie przypływ zwykle miewa od 26 do 28 cali wysokości, podniósł się on naraz do 20 stóp i okazał wody całkiem czarne. Obliczono, że to trzęsienie zajęło przestrzeń czterzy razy większą od Europy.

Żadne inne zjawisko przyrody nie sprawia tyle w jednej chwili spustoszenia. Podczas trzęsienia w Sycylii r. 1693 zginęło 60,000 ludzi; w r. 1755 w Lizbonie 30,000, w r. 1797 w Rio Bamba od 30 do 40,000, a może pięć razy tyle w Małej Azji i Syrii za panowania cesarzów Tyberjusza i Justyna Starszego r. 19 i 526. W Andach bywały przykłady, że ziemia drżała przez wiele dni r rzędu bezustannie. Drżenia, trwające całe miesiące o jedneje prawie godzinie, miały miejsce tylko opodal od wulkanów, mianowicie na wschodnich stokach Alpów na górze Cenis około Fenestrelles i Pignerol od Kwietnia r. 1803; w Stanach Zjednoczonych Ameryki między Nowym Madrytem i Little Prairie na północ od Cincinnati w Grudniu 1811 i przez całą zimę 1812 i w Paszaliu Aleppo w Sierpniu i Wrześniu 1822 r.

Gwałtowne trzęsienia ziemi nie tylko niszczą miasta wraz z najtrwalszemi budowlami, lecz nadto stają się przyczyną ważnych na ziemi zmian. Trzęsienia w Kalabrii, wydarzone r. 1783, dają tego przykłady tém ważniejsze, że były opisane szczegółowo przez najznakomitszych uczonych owej epoki, jako to Vincenzio lekarza króla neapolitańskiego, Grimaldi, Hamiltona, i nakoniec przez komisję złożoną z członków królewskiej akademji w Neapolu. Wszystko w tym nieszczęśliwym kraju zostało przeistoczonem, bieg rzek wstrzymany i zmieniony, domy jedne zostały podniesione nad

poziom okolicy, inne, nawet niedalekie od tamtych, zapadły się częściowo lub zupełnie, najtrwalsze budowle popekały od góry do dołu, niektóre ich części podniosły się nad inne i fundamenta zostały wyniesione nad powierzchnię ziemi. W wielu miejscach ziemia porozpadała się, tworząc długie szpary, niekiedy na 520 stóp szerokie, z których jedne były prostem rozłupaniem, inne rozchodziły się widłowo, inne nakoniec miały prócz tego szczeliny prostopadłe do głównego kierunku pęknięcia; w innych ziemia pękała w promienie, rozchodzące się jakby od środka, jak to dzieje się na stłuczonym szkłe. Jedne z nich nagle znów się zamykały, chłonąc i gruchocąc w swojej paszczy stojące na nich budynki, inne pozostawały rozwartemi bez zmiany, albo też utworzone w chwili pierwszego wstrząśnienia powiększały się jeszcze w skutek następujących. Jak w jednym tak i w drugim przypadku dostrzegano, że obadwa brzegi albo były w jednakowej wysokości, albo że w tem miejscu powstawała niejaka wypukłość, lub też że jeden brzeg był znacznie wyższym od drugiego, co dowodziło, iż jeden koniecznie musiał być podniesiony, lub drugi znizony.

W innych znowu miejscach ziemia na rozmaitych rozległościach nagle się zapadła i pochłonęła w swych głębiach role uprawne i zabudowania. Odtąd tamże pozostały otchłanie ze ścianami pionowymi, głębokiemi na 280 do 300 stóp. W niektórych razach z dna tych otchłani wystąpiła i wylała się woda, a tak powstały jeziora, już nie mające widocznego odpływu, już dające początek ogromnym strumieniom. W innych miejscach przeciwnie wody poznikały, pochłonięte w podziemnych czeluściach albo na zawsze, albo na pewny przeciąg czasu.

Oprócz licznych szpar i różnych otchłani, które w jednych miejscach pochłonęły wody, w innych potworzyły strumienie nowe, lub zmieniły kierunek dawnych, zdarzało się także, iż massy skał, zwaliwszy się w doliny, zatrzymały tam bieg wód i tym sposobem w części górnej potworzyły jeziora. Tak nagromadzone wody utorowały sobie nowe przejścia przez podmycie ścian doliny w niektórych miejscach, albo też przez rozszerzenie jakowych w górach rozpadlin, albo nakoniec przez usunięcie zatrzymującej je przeszkody, obalivszy ją w części lub całkowicie. Ztąd powstały straszliwe spustoszenia powodziowe czyli wylewy. Silne i szybkie nurty bieżącej wody unosiły ogromne skały, a wynikające ztąd spustoszenia były równie niszczące, jak i samych trzęsień ziemi. Woda, tworząc sobie nowe łożyska i rozszerzając lub powiększając głębie dawniejszych, zostawiała na brzegach uniesione przez siebie szczątki sprawionych zniszczeń.

Nakoniec i to godne uwagi, że gdy główne działanie trzęsienia kalabryjskiego wydarzyło się między Oppido i Soriano, niemniej jednak skutki jego czuć się dawały aż w Messynie na drugiej stronie cieśniny Sycylijskiej. Większa połowa miasta została obrócona w perzynę, a 29 miasteczek i wsi znikło z powierzchni ziemi. Dno morza zniżyło się i doznało w różnych miejscach przewrotu; brzeg został jakby porozdzierany, a ziemia wzdłuż przystani Messyńskiej pochyliła się ku morzu. W skutek tego gwałtownego zniżenia, całe wzgórze u wejścia do przystani zostało w jednej chwili pochłonięte.

Trzęsienia w Chili r. 1822, 1835 i 1837 wydały niemniej szczególne skutki. Rozmaite części pobrzeża od Waldywji aż do Walparaizo, to jest na rozległości przeszło 200 mil, równie jak wyspy sąsiednie aż do Juan Fernandez, znacznie się podniosły nad poziom wód; dno morza uległo takimże zmianom w znacznej od lądu odległości. Skały nad brzegami, przedtem w wodach ukryte, wystąpiły teraz nad ich powierzchnię do wysokości 7 do 10 stóp razem z muszlami, które na nich miały swoje siedlisko; rzeki wpadające do morza przebywać było można w bród tam, gdzie przedtem pływały małe statki. Miejsca w morzu, znane jako dogodne do zarzucania kotwic, w takimże stosunku zmniejszyły swoją głębokość; a inne punkta na morzu, gdzie dawniej przechodzić mogły okręta, teraz jako mielizny nie mogą być przebyte przez statki płynące głęboko.

Podobneż okoliczności nastąpiły w Indjach r. 1819. Wśród okolicy przedtem płaskiej i jednostajnej powstało wzgórze długie na 10, a szerokie na 3 mil geograficznych, w kierunku od południowschodu ku północy zachodowi, które zatrzymało bieg rzeki Indus. Przeciwnie zaś dalej ku południowi, równoległe w tymże kierunku ląd zniżył się; przez co wieś i twierdza Syndre, jakkolwiek niezrujnowane, zostały na wpół zatopione. W wielu miejscach głębokość wschodniego ujścia rzeki powiększyła się, a w innych już jej w bród jak przedtem przejść niebyło można.

Podania ze wszystkich miejsc i czasów dostarczają dowodów tegoż samego rodzaju. Wszędzie jest mowa o rozpadniętych szczelinach ziemi, o głębokich otchłaniach, które pochłonięły będące tam kiedyś osady, a nawet całe miejscowości, z których podnoszą się duszące wyziewy, płyną masy wód, już ciepłych już zimnych, niekiedy nawet wychodzą płomienie. W innych znowu miejscach równiny zostały niespodzianie zamienione na góry, dna mórz podniesione, góry rozpadnięte, zawałone, okolice góryste, rozległe pasma skał, nagle znikły, a w ich miejscu powstały jeziora. Wody

zmieniają kierunek biegu, pochłonięte znikają pod ziemią, jeziora przerywają ograniczające je tamy i wysychają, albo też giną w ujściach podziemnych nagle powstałych. W innych przeciwnie miejscach pokazują się ogromne wodotryski, które tworzą nowe rzeczułki, biorąc początek niespodzianie z jakichś szczelin lub dziur w skałach, chociaż niepodobna wskazać początku i źródła wody. Źródła ciepłe chłodną lub ustają, inne okazują się tam, gdzie ich przedtem nie było. Te wszystkie zjawiska wskazują bytność tyluż szczelin w ziemi, często służących za nowe przejścia dla wód, które przedtem krążyły w głębi ziemi.

Autorowie dawniejsi często mówią o zjawiskach tego rodzaju w sposób niewłaściwy. Gdzie u nich napotykamy wyraźną wzmiankę o podniesieniu lub zapadnięciu brzegów morza, zwykle opowiadają rzecz przeciwnie, przypisując skutek żywiołowi bardziej ruchomemu. I tak mówią, że morze na pewnej przestrzeni cofnęło się i ustąpiło ze swojego dna, to znowu, że morze nagle zalało brzegi na większą lub mniejszą rozległość. Nastąpić to mogło jedynie w skutek poruszenia, wstrząśnienia ziemi, a z nią morskiego dna, nie zaś morza, którego poziom zawsze jest niezmiennym. Należy jednak mieć na uwadze, że chociaż zjawiska tego rodzaju przechodnie mogą być odnoszone do wahań ziemi, mogą jednak pochodzić także i od rzeczywistego ruchu udzielonego wodom morskim, lub zależeć od jednej i drugiej przyczyny. Jakoż wiemy, że przy trzęsieniach ziemi morze bywa bardzo wzburzone, że wody jego wzniesione do rozmaitych wysokości, niekiedy na znaczne przestrzenie zalewają lądy, postępując i cofając się naprzemian, przyczem wywierają spustoszenia mniej więcej daleko. Te nagle poruszenia, to naprzód, to w tył, połączone z nagłymi zmianami w skorupie ziemskiej z powodu ruchów podziemnych, miewają skutki najstraszliwsze. Dzieje wysp archipelagu Greckiego, Japonji i wielu innych miejsc dochowały pamięć okropnych zniszczeń, spowodowanych nagłymi zmianami tego rodzaju.

Rozliczne skutki, wydarzone z powodu trzęsień ziemi w oczach naszych i wskazane w wiarogodnych sprawozdaniach, upoważniają nas do przyjęcia za prawdopodobne podania tego rodzaju dochowane z czasów najdawniejszych. Któżby dzisiaj śmiał zaprzeczać Plinjuszowi, który, opierając się na dziejopisach, podaje, że Sycylja skutkiem trzęsienia ziemi została oddzieloną od półwyspu Włoskiego, że podobnież wyspa Cypr oderwała się od Syrii, Euboea od Beocji itd. Niema też zasady do zaprzeczania, iż kiedyś istniała Atlantyda, zalana według podań egipskich w ciągu jednego dnia i jednej nocy. Przyznajmy raczej, że ogół spostrzeżeń widocznie

okazuje, że ogromne podniesienia i opadania skorupy ziemskiej, tak gwałtowne doraźne, jako i powolne wiekowe, należą do rzędu tych działań wulkanicznych, za pomocą których odbyło się to ukształtowanie powierzchni ziemi, jakie dziś widzimy, a które, jakkolwiek nie tak czynne jak w czasach pierwotnych swojego istnienia, nie straciły przeto jak widzimy swojej mocy.

W przekonaniu ludu, który nie umie wzniesić się do poglądów ogólnych, a wszystkie zgoła zjawiska przyrody odnosi do przyczyn miejscowych, długotrwałe trzęsienie ziemi zapowiada utworzenie się nowego wulkanu. Zdarzało się, choć rzadko, że oczekiwania te iściły się.

To pewna, że między wybuchami wulkanów, a trzęsieniami ziemi zachodzi związek widoczny. Każdy, zwłaszcza silny, wybuch poprzedza drżenie ziemi. Uważano też, że przy trzęsieniu lizbońskim dym, wychodzący z Wezuwjusza, nagle cofnął się napowrót do jego krateru.

Szczególniejsze wrażenie sprawia to nagłe chwanie się ziemi pod nogami, dające znać o tej tajemniczej i strasznej sile przyrody, która jest pod ziemią. Każdy szelest, najmniejsze poruszenie w powietrzu, obudza wtedy uwagę. Człowiek nie dowierza gruntowi, na którym stoi.

Niezwykle to zjawisko przeraża podobnie i zwierzęta. Szczególniej boją się go świnie i psy. Krokodyle w Orinoko, zwykle milczące jak nasze jaszczurki, opuszczają trzęsące się dno rzeki i rycząc uciekają do lasu. Ludziom trzęsienie ziemi przedstawia się jak zniszczenie niemające granic. Od wybuchu wulkanu, od bieżącego potoku lawy, można uciec; przy trzęsieniu ziemi niema gdzie uciekać; wszędzie grozi zguba. Taki jednak stan ducha, wywołany wrażliwością natury ludzkiej, trwa nie długo. Jeżeli w jakim kraju trzęsienia powtarzają się peryodycznie i słabo, znika wszelka trwoga.

W okolicach bezdeszczowych Peru, mieszkańcy nie znają ani gradów, ani grzmotów, ani błyskawic i piorunów. Tam grzmoty zastępuje huk podziemny, oznajmujący trzęsienie ziemi. W skutek wieloletniego nawyknięcia i powszechnego mniemania, że silne i niebezpieczne trzęsienia bywają chyba dwa lub trzy razy w ciągu wieku, częste i nieznaczne drgania ziemi w Lima zaledwo większą ściągają uwagę, jak burza gradowa w naszej strefie umiarkowanej.

Według Humboldta i innych.

15. Wulkany.

Wulkany, których sama nazwa, przekazana nam od starożytnych, przypomina jednego z owych bogów piekielnych, których według tradycji pogańskich one miały być siedliskiem, są to otwory w skorupie ziemskiej, któremi zawarta w niej materja ognista i płynna wchodzi w zetknięcie z atmosferą i niekiedy występuje na wierzch. Materja ta utrzymuje się we właściwym poziomie nie dla tego, iżby ją zatrzymywała wierzchnia powłoka, bo ta, nawet przy obecnej swojej grubości, zbyt jest dla tego słabą, ale w skutek swojego ciężenia do środka, które ją utrzymywało i wtedy, kiedy nie było na niej nic, tak jak i obecnie ono utrzymuje w swoich naczyaniach wszystkie zebrane na jej powierzchni wody. Niekiedy jednak ta materja wzdyma się, rozrywa ściskającą ją skorupę i wylewa się na wierzch; i takowe jój występowania porównać można do pryskania warzącego się gęstego płynu, który od działania chłodu powietrza okrył się z wierzchu stwardniałą warstwą nawaru, czyli, jak mówią pospolicie, kożuchem.

Niektóre z tych otworów są dotąd czynne, to jest wyrzucają z siebie rozmaite materje zebrane, w wnętrzu ziemi; inne zagasły i zasklepiły się w długim przeciągu lat i wieków.

Otwory te są wszędzie mniej więcej wzniesione nad powierzchnię ziemską tak, iż tworzą góry, które z powodu wspólnych im cech, wyróżniających je stanowczo od wszystkich innych, składają całkiem oddzielny rodzaj wyniosłości. Najwłaściwiej byłoby przeto zwać je ogniegórami, zaś dawną ich nazwę złożyć na schowanie do pozostałego archiwum starożytnej mitologii.

Wulkany, tak czynne dotąd jako i zgasłe, zwykle stoją odosobnione tak, iż każdy stanowi górę oddzielną, nie zaś tak jak inne góry, które zwykle łączą się w nierozzerwane pasma. Takie odosobnienie ich szczególniej jest uderzającym tam, gdzie wiele ich znajduje się zebranych w jednym miejscu, jak to widzimy w gromadzie zgasłych wulkanów w Alwernji w południowej Francji. Następnie mają one wszystkie kształt sobie właściwy uciętego ostrokręgu, czyli stożka. Najwyraźniejszy i najbardziej wykończony jego pierwowzór przedstawia Amerykański wulkan Cotopaji. Wierzchołek każdego takiego stożka zwykle bywa okrągłym i tylko wyjątkowo miewa niekiedy kształt podłużny, jak to widzimy w wulkanach Pichincha w Quito, Siwelucz w Kamczatce i Galunggung na wyspie Jawa. Następnie jest on zawsze wyrażonym w kształcie mniej więcej głębokiej kotłowniny, w której środku znajduje się otwór lejkowaty, zwany paszczą wulkanu, albo kraterem. Otwór ten w wulkanach czynnych



ciągnie się aż do samej głębi, w której wre lava; w wulkanach zgasłych na zawsze lub czasowo, zasklepia się on nieraz zupełnie tak, iż sama tylko wierzchnia kotłownia pozostaje na zawsze pewną oznaką wulkanu.

Pomieniony stożek, zakończony w górze paszczą, stanowi istotną część wulkanu i utworzony jest zawsze z lawy, przepalonych kamieni, żużli, popiołów, które wulkan wyrzuca z siebie i które roztopiona lava spaja w jedną masę niezwyklej twardości i mocy. Cała ta jednak budowa jest nietrwała i podlega częstym i gwałtownym zmianom w skutek czynności samegoż wulkanu. Każdy nowy wybuch dodaje do niej nową masę żużli, popiołów i lawy, albo też rozrywa ją i tworzy nowe dla siebie otwory. Niekiedy cała ta budowa, albo część jej, zapada się do będącej pod nią otchłani, a w miejscu jej pozostaje ogromny otwór, z którego następnie powstaje nowy stożek, zwykle podobny kształtem do pierwszego i podlegający takimże zmianom. W każdym razie podnosząca się od spodu lava wstrząsa nim tak potężnie, iż ściany jego często rysują się i pękają od góry do dołu. Takowe ich rozpadliny, nieraz bardzo głębokie, rozchodzą się promienisto od górnego otworu na dół, coraz rozszerzając się u dołu; i istnienie ich przez długi przeciąg lat jest najlepszym dowodem wielkiej mocy téż stężaléj materji wulkanicznej, z której utworzonym, a raczej odlanym bywa każdy taki komin, prowadzący od wnętrza ziemi na jej powierzchnię. W skutek tego wszystkie zgasłe wulkany, pomimo niszczącego działania czasu, zachowują na zawsze swoje kształty pierwotne, po których nader łatwo jest wyróżnić je od innych gór, tak, iż tylko środkowe ich otwory zasklepiają się zupełnie i rozdarte i opalone ich boki okrywają się z czasem roślinnością.

Nie wszystkie jednak wulkany mają stożki, zbudowane z pomienionej wyżej materji; a to dla tego, że wyrzuty ich ta bardzo rozmaite i niektóre z nich wcale niewydają lawy.

W środku krateru, zasklepionego od lat wielu, tworzy się czasami nowy krater mniejszy, na którym wyrasta nowa sopka, która stanowi jakby piętro nad dawniejszą. Taki wypadek musiał zajść na Wezuwjuszu; albowiem Strabon, który opisał bardzo dokładnie tę górę przed wybuchem jej w r. 79, nie wspomina wcale o znajdującym się na niej teraz stożku. Powiada on, iż góra ta „jest żywa po bokach, ma wierzchołek ścięty, w większej części jednostajny, zupełny bezpłodny, opalony, a na nim przestrzenie napełnione szparami i kamieniami opalonymi, z czego można wnosić, że w tych miejscach znajdowały się przedtem kratery gorejące“. A zatem ów wierzchołek opisany przez Strabona jest to dzisiejsza

La Somma, wielka okrągła i wklęsła płaszczyna, będąca podstawą dzisiejszego stożka i obejmująca go krawędziem szerokiemi i daleko wystającym od strony północnej, a od strony południowej w części rozwalona i pokryta lawą od późniejszych wybuchów. Stożek wznoszący się na niej obecnie powstał zapewne w czasie owego pamiętnego wybuchu, w którym zginął znakomity naturalista rzymski Plinusz i od czasu którego ów wulkan, zgasły od wieków niepamiętnych, zaczął być na nowo czynnym. Wtedy też zapewne rozburzoną została część południowa dzisiejszej Sommy. Plinusz młodszy, który opisał nam pomieniony wybuch Wezuwjusza, powiada, iż sprowadził on straszne przekształcenie, które zważyło w morze znaczną część góry.

Niekiedy znowu dawny stożek w skutek nowego wybuchu zapada się, a na miejscu jego powstaje drugi. Taki wypadek zdarzał się kilkakrotnie z wierzchołkiem Etuy, który nieraz zniknął zupełnie. Podobnie wierzchołek amerykańskiego wulkanu Carguaraizo, który niegdyś co do wysokości ubiegał się o pierwszeństwo z górą Chimborazo, zawałił się w r. 1698. Toż samo nastąpiło z wulkanem Kapak Urku, położonym na płaskowyżynie Quito, nakrótka przed przybyciem do Ameryki Hiszpanów.

Zdarzało się nawet, że całe i to ogromne wulkany zapadały się w otchłań podziemną, a w miejscu ich potworzyły się głębokie jeziora.

Wysokość wulkanów bywa rozmaita. Najmniejszy ze znanych dotąd Volcano w Australji ma wysokości nad poziom morza 200 stóp. Największy Aconcagua w Ameryce jest jedną z najwyższych w świecie gór i dochodzi 21514 stóp. Wysokość ma wielki wpływ na czynność wulkanu; im wyżej bowiem znajduje się jego krater, tem większej siły potrzeba do wyrzucenia wrzającej pod nim materji. Dla tego też największe amerykańskie wulkany zwykle nie wydają lawy, a najczęściej wodę.

W skutek gwałtownych zmian, jakie za każdym wybuchem wulkanu zachodzą w budowie jego stożka, wysokość tych gór nie jest stałą. I tak Wezuwusz miał w r. 1822, 3830, a w r. 1832 3640 stóp; a zatem w przeciągu lat 10 zniżył się on o 130 stóp.

Wielkość kraterów bywa też rozmaita i wcale niezależny od wysokości wulkanów. Największy, jaki dotąd widziano, krater posiada wulkan Gunong Tingger na wyspie Jawa. Ma on $\frac{4}{5}$ mili w średnicy. Po nim idą mało co mniejsze Kilauea i Mauna Roa na wyspie Hawaji. Do najmniejszych należy krater wulkanu Teneuffy, mający w średnicy 600 stóp.

Oprócz kraterów głównych, które zwykle stanowią szczyty

wulkanów, z wyjątkiem wszakże niektórych jak Mauna Roa i Tennyryffa, które je mają z boku i daleko niżej od swoich szczytów środkowych, znajduje się nieraz w jednym i tymże wulkanie jeszcze po kilka kraterów bocznych. Tworzy je lava, podnosząca się wewnątrz i torująca sobie nowe drogi. Te kratery drugorzędne są mniejsze i leżą niżej od krateru głównego, a przeto zwykle są czynniejsze.

Wnętrza kraterów przedstawiają niewiele ciekawości i przeto zwykle zawodzą oczekiwanie zwiedzających je podróżnych. Po przejściu wybuchów, w czasie których zbliżył się do nich niepodobna, paszcze te okazują się jako jamy okrągłe i głębokie, których dno jest zawsze daleko mniejszem aniżeli wierzchni otwór i do których przeto można zejść aż na dół. To dno stanowi kawał lawy ztwardniałej, w którym daje się widzieć jeden lub kilka otworów, idących aż do wnętrza ziemi. Niekiedy zakrywają je masy zżużlonych kamieni. Gorąco nad niemi panuje niezmierne od 50° do 72° R. i ciągle dymią się z nich pary siarkowe, ale można niekiedy widzieć przez nie w głębi roztopioną lawę. Wreszcie są to pieczary głucho i ciemne, zdolne przejąć strachem, ale w których niemasz nic, coby mogło przemawiać do wyobraźni, albo zająć uwagę spostrzegacza. W długich przerwach między wybuchami często znikają zupełnie ślady wulkaniczne; nieraz nawet ściany kraterów okrywa roślinność. Tak opisują Wezuwusz przed wybuchem r. 1631.

Wybuchy wulkanów następują w przerwach mniej więcej znacznych. — Najniższe, jak Stromboli we Włoszech i Guacamayo w Quito, mają je prawie nieustannie; najwyższe miewają je raz w jakich sto, lub kilka set lat. Ale niemożna tego brać za ogólne prawo, bo niektóre wulkany bardzo wysokie, jak Cotopaji, mający 17,712 stóp, przy całym swoim ogromie są nadzwyczajnie czynne. Również podział wulkanów na czynne i zgasłe nie może być stanowczym; bo jakkolwiek niektóre z nich, jak Ararat w Azji, wulkany Alwernji i nadreńskie w Europie i inne, od czasów niepamiętnych, to jest przedhistorycznych, nie dały znaku życia, bywają przykłady, iż niektóre i po najdłuższym letargu przychodzą nagle do życia i zaczynają znowu być czynnymi.

Z tem wszystkim można przyjąć za ogólne prawo, iż tylko te wulkany są czynnymi, które ciągle się dymią i że dymienie się jest stanem normalnym każdego czynnego wulkanu. Dymy te, które muszą towarzyszyć wszystkim ogniom podziemnym wchodzącym w zetknięcie z atmosferą, wydobywają się przez główny krater wulkanu, jakby przez komin, często kilkoma kolumnami, z tyłu

otworów mniejszych w jego paszczy głównej, oraz przez paszcze boczne i przez wszystkie szpary i szczeliny w górze, pękającej nieraz jak piec od silnego ognia. Nad głównym kraterem tworzą one zawsze, a szczególnie podczas ciszy w powietrzu, wyniosły i szeroko rozpostarty baldachin, który jak wspaniale wywieszona flaga oznajmia ciągłą czynność wulkanu. Jak tylko to dymienie się ustaje całkiem, jest to pewną oznaką, iż zasklepiły się wszystkie otwory, prowadzące do wnętrza wulkanu i że przerwana została wszelka styczność między tym wnętrzem a atmosferą, to jest, iż ustała wszelka działalność wulkanu, podobna w tym razie do życia człowieka, objawiającego się przez dychanie, z tą różnicą, iż kiedy ustanie dychania w człowieku bywa najczęściej oznaką śmierci, w wulkanach podobne do tego ustanie dychania dymem najczęściej bywa tylko oznaką mniej więcej długiego letargu.

Niektóre wulkany od dawna przestały być czynnymi; lecz jeszcze wydają z siebie wyziewy, składające się z pary i rozmaitych gazów, w których przemaga zwykle gaz siarczany. Zresztą wyziewy te nie wszędzie są jednakowe. Takie wulkany nazywają się siarkowicami. Jest ich wszędzie niemało. W pobliżu Neapolu siarkowica Puzzuoli przedstawia obszerny krater, na dnie którego dają się widzieć potrzebne skały wulkaniczne, rozkładane przez ciągle wydobywającą się z nich parę. Zdaje się, iż te wulkany są w ostatnim perjodzie swojej działalności, po którym zagasają zupełnie. Okazuje się, iż perjod ten ciągnie się bardzo długo.

Wywiązywanie się wyżej pomienionych gazów wulkanicznych działa bardzo szkodliwie na powietrze, szczególnie tam, gdzie wydziela się gaz kwas węglowy, który jest tem niebezpieczniejszy, iż niemając zapachu i koloru, nie może być dostrzeżonym. Gaz ten w znacznej ilości wydają szczególnie siarkowice. W okolicach Neapolu dają się czuć od tamecznej siarkowicy Puzzolańskiej takie trujące wyziewy, zwane tam Mofetti. Na wyspie Jawa ten zabójczy gaz zatruł całkiem powietrze w dwóch miejscach, znanych tam jako śmiertelne.

Pary wodne, wydobywające się z wulkanów i przesycone pomienionymi gazami skroplając się w wyższych i zimniejszych warstwach atmosfery, spadają dokoła wulkanów w postaci nader obfitej rosy i przez to dają początek często znajdującym się u ich podnóża źródłom mineralnym.

Kiedy ma nastąpić wybuch wulkanu, oznajmuje go najczęściej trzęsienie ziemi, po którym wulkan zaczyna dymić daleko silniej. Kiedy wychodzące z niego dymy przybierać zaczęły barwę ognistą, jest to znakiem, iż lava podniosła się w kraterze i rozłamała jego

zasklepiiony otwór. Wtedy jej ogień zaczyna odbijać się na całej massie pomienionych dymów i rozpościera na niej łunę czerwoną i u dołu coraz jaśniejszą tak, iż massa ta coraz powiększająca się i podnosząca się, niekiedy do wysokości 1000 stóp, przedstawia ogromny słup ognisty, stojący nad kraterem i podpierający podobnie ognistą olbrzymich rozmiarów chmurę, której dalekie krańce rysują się na niebie barwą coraz ciemniej czerwoną.

Tymczasem wzbierająca w głębiach wulkanu lawa podnosi się coraz wyżej i niekiedy napełnia cały krater aż do brzegów. Wtedy działanie jej ognia daje się czuć na ścianach stożka i nawet na niższych pochyłościach góry. Otwierają się w nich nowe szpary i rozpadliny, z których biją do góry silne kłęby dymu i bijące u stóp góry źródła wysychają. Na najwyższych wulkanach, które okrywają wieczne śniegi, następuje wtedy gwałtowne topnienie tych śniegów, od których potoki wód spadają z szumem na dół.

Pomieniony słup ognia, wychodzący z krateru i którego światło bywa tylko łuną wezbranej w kraterze lawy, stanowi dopiero początek wybuchu. Następuje potem wyrzucanie ogromnej ilości ciał drobnych, pyłkowych, zwanych popiołem wulkanicznym. Bywa on podobnym do cienkiego prochu strzelniczego i składa się z rozbitych, przepalonych i rozartych części skał i kruszców. W początkach wybuchu bywa on czarnym, potem, w miarę jak wybuch ma się ku końcowi, przybiera barwę szaro-białawą. Z tym popiołem łączą się kamyki dziurkowate i rozpalone, zwane we Włoszech Lapilli, Rapilli, Puzzolane, dalej kawały pumexu i kamienie rozmaitej wielkości, wyrzucane czasami bardzo daleko. Przy wybuchach Cotopaji widziano massy kamienne, mające od 8 do 10 stóp w średnicy, upadające w odległości $1\frac{3}{4}$ mili. Nakoniec cząstki ciał stopionych, oderwane od lawy napełniającej krater, które zao krąglając się i zastygając w powietrzu, stanowią tak zwane bomby wulkaniczne. We Włoszech zowią je łzami Wezuwiusza. Wszystkie te ciała, lecące do góry, dają się widzieć w pośród ognistego słupa wychodzącego z krateru, jak iskry i głównie rozpalone. W końcu dają się widzieć całe massy takich ciał w postaci ogromnych snopów ognistych, ciskanych do góry z ogłuszającym łoskotem, jakby w skutek zasadzonych i wybuchających raz po raz ogromnych min prochu. Wtedy wybuch jest w całej swojej sile. Cała góra drży i wzrusza się w swoich posadach. Huk rozlegający się w niej przyrównać można chyba do następujących po sobie wystrzałów z jakich kilkuset największego kalibru dział. Bywa on to grubym i przeciągłym jak grzmot, to nagłym i jakby dzwięczącym i daje się słyszeć w bardzo wielkich odległościach tak, jak gdyby on

tamże wychodził z ziemi, co dowodzi iż wstrząśnienia wydające go muszą mieć miejsce w największych głębiach skorupy ziemskiej. I tak wybuchy Cotopaji dają się słyszeć najzupełniej i najwyraźniej w mieście Honda, nad rzeką Magdaleną w odległości 109 mil, wybuchy małego, ale bardzo czynnego wulkanu Cosiguina w Nicaragua dają się podobnie słyszeć w Santa Fe di Bogota w odległości 230 mil. Wybuchy Tomboru na wyspie Sumbawa jednej z Sondskich, słychać o 240 mil na wyspie Sumatra.

Cała ta massa ciał palących się, wyrzucana do góry, sprawia przez ogrzanie wielkie rozrzedzenie w atmosferze nad wulkanem, skutkiem którego bywa gwałtowny przypływ powietrza ze wszech stron, objawiający się przez wichur, który nanosi massy chmur. Nagromadzenie ich, obok massy parów, wychodzących z wulkanu i skropiających się w wyższych warstwach atmosfery, sprawia gwałtowną ulewę deszczu z gradem. Z drugiej strony w ciałach wyrzucanych z wulkanu i przechodzących gwałtownie ze stanu lotnego w stan płynny i ze stanu płynnego w stan twardy, wywołuje się silne napięcie elektryczności, która wchodząc w styczność z elektrycznością chmur wywołuje łączenie się ich i w skutek tego nieustające pioruny, których błyskawice wiją się w swoich zygzagach dokoła płomienistego słupa, stojącego nad kraterem i przesywają we wszystkich kierunkach rozpostarte nad nim i oświetlone czerwonym blaskiem chmury; zaś ciągle grzmoty, zlewając się w jeden przeciągły huk, łączą się z ogłuszającym łoskotem samego wybuchu.

Takie burze, które Humboldt odróżnia nazwą wulkanicznych, bywają przy każdym wybuchu. Można wnosić, że i w samej lawie, napełniającej krater, wywołuje się niezmierna ilość elektryczności, która działa także na elektryczność zbierających się nad nim chmur.

Popioły, wyrzucane przez wulkany podczas wybuchu, tworzą chmury niekiedy tak gęste i rozległe, iż zasłaniają całkiem światło słoneczne i okrywają ciemnością całe okolice. Następnie spadają one w większej i mniejszej odległości od ogniska wyrzutu, wraz z potokami towarzyszącej każdemu wybuchowi ulewy. W czasie wybuchu Wezuwiusza w r. 1822, deszcz z popiołem lał przez dni 12 na przestrzeni 105 mil. W skutek tego powstają powodzie szlamu, czyli tak zwane lawy wodniste, składające się z owych popiołów, rozmieszanych z wodą. We Włoszech lękają się ich więcéj daleko, aniżeli właściwej lawy. Potoki tego szlamu spadają z pochyłości góry na leżące dokoła doliny, wyrrywają drzewa, obalają domy i zalewając całe okolice, pozostawiają wszędzie grubą warstwę owych popiołów, która ustala się przez wodę i własny

ciężar i tworzy tak zwany tuf wulkaniczny, przedstawiający twardą masę zbitego popiołu, w którym dają się widzieć wyrzucone i spadłe wraz z nim kamienie, żuźle i zaokrąglone kawały zastygłej lawy.

Taka powódź szlamu, w czasie wybuchu Wezuwiusza w r. 79, zagrzebała Herkulanum i Pompeję, nakrywszy je grubym pokładem tufu, z którego wykopują te miasta obecnie. Rzeczą jest widoczna, iż Wezuwusz w owym wybuchu niewydał wcale lawy, ale wyrzucił niezmierną masę popiołów, które pokryły całą okolicę i zmieniły jój układ poziomy. Pompeja, która leżała wówczas nad morzem, znajduje się teraz o $\frac{1}{2}$ mili od brzegów. Podobne zmiany miejscowości, w skutek tejeż przyczyny, dają się widzieć na wyspie Jawa. I tam znajdują się także w znacznej odległości od brzegów i w znacznej części zagrzebane zwaliska jednego miasta, leżącego niegdyś nad morzem. Tamże opisują podróżni jedną świątynię, której tylko część wierzchnia wystaje z ziemi, a reszta jest zagrzebaną w tufie wulkanicznym.

Niekiedy chmury tych popiołów, unoszące się nad wulkanem podczas wybuchu, bywają porywane przez wiatry i unoszone bardzo daleko. W czasie wybuchu Cosiguiny w r. 1836, popioły jój zaćmiły okolice na 70 mil, a następnie popędzone były o 170 mil aż do wyspy Jamaiki. W r. 1812 popioły do wyspy St. Vincent w Antyllach zaniezione zostały aż na wyspę Barbados i sprawiły tam taką ciemność, iż wśród dnia niemożna było rozpoznać drogi. W r. 1811, w czasie wybuchu na wyspie Sumbawa, popioły z niej zaniezione zostały aż do wysp Banda i Amboine o 174 mil. W r. 1794 popioły Wezuwiusza zaleciały aż do głębi Kalabrii, a w czasie wybuchu r. 452, według świadectwa Prokopjusza, były popędzone aż do Konstantynopola.

Opadanie tych popiołów, gdziekolwiek w znacznej ilości na ziemię, bywa zabójczem dla roślinności i sprawia nieraz ogromne спустoszenia na odkrytych zasiewami polach. W skutek tego często po wybuchach wulkanów następuje dla całej okolicy nieurodzaj i głód. Dokoła czynnych wulkanów ziemia, składająca się z samych prawie takich popiołów, jest bezpłodną.

Pomienione wyżej zjawiska bywają niekiedy jedynymi skutkami wybuchu; ale najczęściej są one tylko poprzednikami następującego po nich wyrzucenia lawy, której pojawienie się stanowi ostatni akt wybuchu. Kiedy ta wrząca masa napełni cały krater, wtedy wylewa się przez jego brzegi i spada na dół w postaci ognistej kaskady. Rzadko jednak bardzo lawa dochodzi aż do samego wierzchu krateru i to jedynie w wulkanach małej i mier-

nej wysokości; w wyższych zaś przebija ona sobie zwykle jeden, lub kilka otworów, w ścianach stożka i przez nie wydobywa się na zewnątrz. Niekiedy taki otwór znajduje się niżej od tej wysokości, do której lawa podnosi się w kraterze i wtedy jej potok leci przez ten otwór w górę jak wodotrysk.

Następnie lawa, spływając po pochyłościach góry, idzie szerszą albo węższą strugą stosownie do miejscowości, na której się rozlewa i dzieli się na odnogi, obchodząc leżące jej na drodze zawady; wreszcie zatrzymuje się w miejscach głębokich, z których niemasz dla niej wyjścia. Takim sposobem w czasie wybuchu Etny w r. 1669, potok lawy, doszedłszy do murów miasta Katanji, podniósł się do wysokości 69 stóp i przesadziwszy te mury runął do miasta, kiedy większa jego część obesła je dokoła i zwróciła się ku morzu. Na wyspie Lanzarota, jednej z Kanaryjskich, widać dotąd skałę pionową, którą utworzyła lawa z wulkanu Corona del Rio, rzucająca się do morza z wysokości 900 stóp.

Zdarza się też niekiedy, mianowicie przy wybuchach małych wulkanów, leżących na równinach, iż lawa wychodząca z nich nie ma prawie żadnego spadu. W takim razie rozpościera się ona po równinie, jak wylew wody, zatapiający pola. W Islandji w r. 1783, przy wybuchu wulkanu Skaptar Jokul, leżąca u stóp jego równina porozpadała się w szpary, z których wystąpiła niezmierna ilość wrzącej lawy i ta rozpostarła się bezpośrednio po ziemi i zalała przestrzeń 50 mil kwadratowych, zapełniwszy wszystkie wklęsłości i utworzywszy obszerne i głębokie jezioro ogniste, które obecnie przedstawia ogromny pokład jednolitej skały.

Ognisty potok wrzącej lawy, po wyjściu na powierzchnię ziemską, płynie zrazu jak masa roztopionego kruszczu i od zetknięcia się z powietrzem wydaje pewny rodzaj syczenia, jak rozpalone żelazo polewane wodą, co dowodzi silnie ochładzającego na nią działania powietrza i bardzo wysokiego stopnia jej temperatury, kiedy ją obraża nawet takie dotknięcie. Wszystkie ciała, podlegające stopieniu, za spotkaniem się z nią nikną, to jest rozpływają się w jej massie, zaś palące się, jak drzewo, obracają się w węgiel. Drzewa okryte liściem, których wilgoć w stanie jest opierać się długo zwyczajnemu ogniowi, zajęte przez potok lawy, usychają w tejsze chwili; część ich, objęta przez ognisty płyn, zamienia się w węgiel, a część wierzchnia, wystająca nad potokiem, zapala się i gore jasnym płomieniem.

Następnie w skutek ochładzającego działania powietrza, ten ognisty potok w rychle gęstnieje i zastyga z wierzchu. Wtedy jego powierzchnia wzdyma się i pokrywa pękającymi bąblami, po-

tem rozmaicie fałdując się, okrywa się twardą powłoką. Ta napróżd pęka i rwie się w kawałce, unoszone przez ognisty potok, ale w końcu ustala się i tworzy jednolitą i coraz grubiejącą skorupę, jak lód powstający na rzece. Utworzona w ten sposób powłoka okrywa cały ów potok na kształt skóry i tylko rozmaicie marszczy się i gurbi, poruszana od spodu przez dalszy pod nią bieg wrzącej masy; zaś ściskając tę masę nie pozwala jej rozszerzać się i przedłużać. W skutek tego potok lawy, wzbierający od ciągłego przypływu z wulkanu, rozpiera okrywającą go skorupę i rozciągając ją coraz grubiej; zaś postępując dalej, rozrywa ją u swojego dolnego końca i szczytami jej mości sobie drogę, po której płynie, dopóki zasila go przypływ od wulkanu.

Taki przypływ ciągnie się mniej więcej długo i będąc w początkach zwykle gwałtownym, ku końcowi coraz się zinniejsza, jak potok wezbranej wody zrazu wywracający wszystko przed sobą, a następnie, w miarę ubywania wody w jego źródle, płynący coraz węższem korytem.

Spotkanie się wrzącej lawy z wodą zamienia tę ostatnią w parę. Niekiedy znaczna masa wody objętą bywa zewsząd przez ognisty potok. Wtedy przedstawia ona jezioro wrzące i buchające ogromnymi kłębami pary, dopóki nie uleci z nią w powietrze całkiem, albo w znacznej części; zaś obejmująca ją masa ognista nie zastygnie i nie okryje się pod nią twardą skorupą. Niekiedy znowu ten ognisty potok całą swoją masą nakrywa wodę z wierzchu. Wtedy ona, zamieniając się pod nim w parę, sprawia gwałtowne wybuchy, podobne do wybuchów wulkanicznych. Dla tego przed mającym nastąpić wybuchem wulkanu, wszędzie dokoła wypróżniają studnie, które, w razie wylewu na nich lawy, działają jak zasadzone pod ziemią miny prochu.

Ponieważ ogniste potoki lawy bardzo często zwracają się do morza, przeto nieraz zawiązuje się w niem zacięta walka między dwoma przeciwnymi sobie żywiołami. Wielkie wtedy jest syczenie gwałtownie gazzonej lawy, wielkie burzenie się ustępującej przed nią i buchającej parą wody, ale zawsze ostatnia zwycięża i ognisty potok zatrzymuje się w postaci nieforemnej skały, tworzącej najczęściej wysoki przylądek. Takie przylądki wybiegają w morze od Wezuwjusza i Etny. Ostatni, utworzony przez kilka leżących jeden na drugim pokładów lawy od kilku następujących po sobie wybuchów i spadających w morze z wyniosłego brzegu, dochodzi wysokości 400 stóp.

Lawa zastyga tak prędko, iż zdarzało się przy wybuchach Wezuwjusza, że potok jęj na pochyłościach góry już okryty

twardą skorupą ludzie brali gołą ręką, następnie chodzili po nim i kładli się na nim, kiedy u podnóża góry jeszcze on płynął dalej szybko i w znacznej ilości. Na Etnie daje się widzieć pokład zastygłej lawy, leżący na grubym pokładzie śniegu.

Pod swoją skorupą jednak lawa bardzo długo pozostaje w stanie płynnym i zachowuje swoją wysoką temperaturę. Znajdują pokłady lawy gorące po upływie 10, 20, 30, 40 i więcej lat.

Pokłady zastygłej lawy, jakie dają się widzieć przy wszystkich tak czynnych jak i zgasłych wulkanach, przedstawiają rozmaite formy, z których, jak również i z natury skał utworzonych przez nie, możemy sądzić o wielkości i sile wybuchów, które dały im początek, oraz o pierwotnem położeniu miejscowości, która w skutek ich podlega większym i mniejszym zmianom.

St. Str.

16. Wiatry.

Według pojęć starożytnych, wiatry będące dziećmi nieba i ziemi, pod władzą przełożonego nad nimi bożka Eola, przebywały na wyspie Eolji, leżącej na morzu Śroziemnem we wnętrzach ogromnej góry. Tam je trzymał w ścisłem więzieniu wiatrowładny Eolus, mający swoją stolicę na szczycie owej góry i ztamtał od czasu do czasu wypuszczając je na ziemię i morza, jak o tem podaje piewca Eneidy,

„z laską się rozwodzi

A jej końcem w bok skały zarazem ugodzi.“

Badacze późniejsi przestali upatrywać ich siedzibę jedynie na owej opisanej przez Wirgiljusza Eolji, zawsze jednak mieścili je w jaskiniach. Potem i to mniemanie straciło wiarę u nauki: Przekonano się, że wprawdzie wiatry często wieją z jaskiń, ale to pochodzi z całkiem innych przyczyn. Nie prędko wszakże, bo dopiero w czasach nowożytnych, udało się ludziom zbadać dokładnie to nader pospolite zjawisko i rozpoznać jego właściwe przyczyny; co stało się możebnem dopiero po zapoznaniu się z całą powierzchnią ziemi, za pomocą żeglugi.

Gdybyśmy znali tylko wiatry, wiejące w naszych strefach umiarkowanych, wątpliwa rzecz byśmy kiedykolwiek mogli poznać prawa, kierujące ich biegiem. Cóż może być niestalszego od wiatrów, nagle zmieniających kierunek, siłę i temperaturę, bez widocznej przyczyny? — Są one prawdziwem godłem zmienności. Co innego jest gdy wstąpimy w morza zwrotnikowe, gdzie od początku

Do końca roku łagodny i regularny wiatr statecznie wieje od wschodu na zachód, niosąc okręty od brzegów starego, ku brzegom nowego świata. Jest to wiatr Stateczny, albo Alizejski. Wiadomo jakie podziwienie i przestrach ogarnęły towarzyszków Kolumba, kiedy oni, po raz pierwszy puściwszy się z tym wiatrem i spostrzegłszy stały jego kierunek ku zachodowi, zwątpili o możliwości powrotu. Później tenże wiatr niósł wielkiego marynarza Magellana, którego statek odbywał pierwszą podróż na około świata przez największy ocean, któremu nadał on nazwę Spokojnego, przechowaną aż do dni naszych. Później tą samą drogą przez dwa wieki z górą, płynęły hiszpańskie galjony, ładowne złotem nowego świata od Acapulco do Manilli, kołując tak daleko by ująć od napadów angielskich i holenderskich korsarzy. Na morzach indyjskich wiatry dmą przez pół roku od północno-wschodniej, a przez drugie pół roku od południowo-zachodniej strony. Są to Mussony, czyli wiatry pór roku. Ta regularność wiatrów zwrotnikowych każe się domyślać ich ogólnych i trwałych przyczyn.

Wiatry są skutkiem naruszenia równowagi w atmosferze. Dążeniem ich jest przywrócenie tej wzburzonej równowagi. Skoro ten cel zostanie osiągniętym, ruch ustaje i ustanawia się w powietrzu cisza.

Im więcej badamy przyczyny tych zaburzeń atmosferycznej równowagi, tem bardziej przekonywamy się, że wszystkie one w istocie swej mogą być niemal całkiem odniesione do różnic temperatury sąsiednich miejsc. /

W przeszłym wieku Franklin pierwszy odkrył istotną przyczynę wiatrów, przez postrzeżenia robione w otwartem oknie. Zauważył on, co i my widzimy zawsze, choć się nad tem niezastanawiamy, iż kiedy w mieszkaniu jest ciepło a na dworze zimno, to za otwarciem okna ustanawia się tam mniej więcej silny, w miarę różnicy temperatury, podwójny przeciąg powietrza: w dole zimnego gęstszego, do ciepłego rzadszego, w górze na odwrót; co można widzieć i na dwóch ustawionych tamże zapalonych świecach.

Toż samo widzieć możemy na samotnej w pośród morza wyspie, przypomniawszy sobie, że ziemia daleko prędzej się ogrzewa niż morze. W miarę jak słońce podnosi się nad poziom, wyspa staje się cieplejszą od sąsiedniego morza. Odpowiednie im atmosfery mają udział w tej nierówności temperatur; świeże morskie powietrze zewsząd się ciśnie w postaci morskiego powiewu, który daje się czuć wzdłuż całego pobrzeża, a cieplejsze i lżejsze powietrze wyspy wznosi się w atmosferę. Podczas nocy dzieje się na odwrót. Wyspa traci ciepło przez promieniewanie i prędzej się ochładza niż morze; atmos-

fera jej, stawszy się cięższą, spływa ku morskemu powietrzu w postaci lądowego powiewu, a ta zamiana trwa dopóty, aż temperatura, a następnie i gęstość obu atmosfer, znowu będą jednakowe. Jest to zjawisko, które daje się postrzegać niemal codziennie na wszystkich morskich brzegach.

To, co widzieliśmy tu na małą skalę, odbywa się w większych rozmiarach między całym lądem i oceanem, między zwrotnikowemi a umiarkowanemi i podbiegunowemi strefami. Promienie letniego słońca mocno rozpalają grunt południowej Afryki wtenczas, gdy morza południowej Azji mają niską temperaturę zimy. Temperatura stref zwrotnikowych jest wciąż prawie jednakową i stale wyższą od temperatury reszty globu. Każdej z różnic temperatury, jako następstwo, odpowiadają niejednakowe, co do ilości i czasu trwania, szczególne atmosferyczne prądy. Różnicy między dzienną i nocną temperaturą odpowiadają dzienne powiewy, bądź wzdłuż brzegów, bądź we wnętrzu lądów u stóp gór; różnicy temperatury, pomiędzy przeciwnymi porami roku, odpowiadają mussony, będące powiewami pór roku; różnicy temperatury między zwrotnikami i biegunami, wiatry stateczne, będące wielkim całorocznym powiewem, którego stałość jest tylko wyrażeniem ciągłej nierówności w rozdziale słonecznego ciepła, pomiędzy wielkimi atmosferycznymi strefami ziemi.

Te różnice temperatury, wprawiające w ruch całą atmosferę, mają ostatecznie istotny związek z geograficzną fizyognomią kuli ziemskiej. Jej kulista postać jest przyczyną nierównego rozdziału słonecznych promieni i wielkich stref temperatury astronomicznego klimatu: gorącej, umiarkowanej i zimnej. Odmiany słonecznego klimatu muszą być głównie odniesione do geograficznych form powierzchni, do kształtów wypuklizny, tudzież do rozkładu i względnego położenia kontynentów i mórz.

Ogólne, albo stateczne wiatry, są następstwem ogólnej formy kuli ziemskiej; mussony i powiewy zależą od formy i względnego położenia ziem i mórz; wiatry zmienne pochodzą od tychże przyczyn i od starcia się ogólnych prądów. — Pierwotne znaczenie geograficznych form, odsłaniające się tu na pierwszy rzut oka, staje się coraz widoczniejszym, w miarę badania tych ruchów atmosfery.

Największa różnica temperatury u biegunów i pod równikiem sprawia ciągly napływ powietrza zimnego tam, gdzie od ciepła ono jest najbardziej rozrzedzone. Lecz wirowy obrot ziemi, unoszący jej powierzchnię stałą ciągle na wschód, pędzi okrywające ją materje płynną i lotną w kierunku przeciwnym. W skutek tego

dwa wielkie prądy powietrza, idące od biegunów ku równikowi, w miarę coraz szybszego obrotu ziemi, zwracają się coraz bardziej ku zachodowi, aż w pasie zwrotnikowym, gdzie obrót ziemi jest najszybszym, płyną one stale na zachód, jak i odpowiedni im prąd morza. Strefa, gdzie spotykają się owe dwa prądy atmosferyczne, pozostaje w pewnym rodzaju równowagi i znana jest pod nazwą pasa cisz. Tę pozorną równowagę najmniejszy wypadek gwałtownie zaburza. Tak po martwej ciszy następują tam nagłe burze, gwałtowne zawieje, wichry zwane przez Hiszpanów Tornadoes, które są postrachem żeglarzy. Uderzenia piorunu z nawalnym deszczem wydarzają się tam niemal codziennie.

Dla tychże przyczyn prądy górne, idące od równika ku biegunom, uchylają się od pierwotnej drogi, ale w kierunku odwrotnym. Wchodząc stopniowo w coraz wyższe szerokości, z wirową szybkością większą od tej, którą na drodze napotykaają, wciąż wyprzedzają ruch ziemi na każdym miejscu, to jest uchylają się coraz bardziej ku wschodowi. Ztąd powstaje prąd idący ku północo-wschodowi, to jest wiatr południowo-zachodni na półkuli północnej i prąd idący ku południo-wschodowi, to jest wiatr północno-zachodni na półkuli południowej.

Często zaprzeczane istnienie tych odwrotnych prądów atmosfery daje się spostrzegać najwyraźniej w pasie zwrotnikowym w znacznych wysokościach. Na szczycie Teneryfy wielu podróżnych znalazło wiatr zachodni, gdy na brzegu morza panował wiatr stateczny wschodni.

Ogólny bieg wiatrów odbywałby się ze ścisłą regularnością, gdyby powierzchnia kuli ziemskiej była li jednostajną powierzchnią oceanów. Ale obecność lądów i przegradzające je wyniosłości sprawiają liczne odmiany w kierunku wiatrów, tak statecznych, jako i odwrotnych: Australia, ze swojemi górami od wschodu, zatrzymuje stateczny wiatr oceanu Wielkiego; Afryka, podobnie ograniczona górami od wschodu, zatrzymuje wiatr oceanu Indyjskiego; zachodnie pasmo gór Amerykańskich zatrzymuje wiatr Atlantyku. W skutek tego wiatr stateczny panuje tylko na oceanach, zaś na lądzie czuć się daje tylko na równinach Ameryki południowej.

Na oceanie Indyjskim, ograniczonym przez lądy Azji, Afryki i Australji, leżące po obu stronach równika i przeto mające pory roku przeciwne, odmienna ich temperatura, mianowicie lato w Azji jednocześnie z zimą w Afryce i Australji i na odwrót, sprowadza wiatry peryodyczne, wiejące stale po pół roku, to od północy na południe, to od południa na północ. Na tym oceanie

take wiatry, znane pod nazwą Mussonów, panują na północ od równika zamiast wiatrów statecznych, których niedopuszczają tam od północy olbrzymie wyniosłości południowej Azji. Na południe od równika wiatr stateczny wieje tam, jak na innych oceanach.

W strefach umiarkowanych panują wiatry zmienne. Początek im wszystkim dają dwa prądy główne: na półkuli północnej północno-wschodni, który następnie pod równikiem przechodzi w wiatr stateczny i południowo-zachodni, który jest odwrotnym prądem wiatru statecznego i przeszedłszy zwrotnik zniża się na powierzchnię ziemi. Pierwszy idzie przez lądy i z natury jest suchym i zimnym; drugi, wiejąc od oceanów, z natury jest ciepłym i wilgotnym. Jaki wpływ te wiatry mają na temperaturę, widzieć można w jednakowych szerokościach geograficznych, na wschodnich i zachodnich pobrzeżach wschodniego i zachodniego lądów. Anglia, Niderlandy i północne Niemcy leżą pod tą samą szerokością, pod którą w Azji jest Kamczatka, a w Ameryce lodowaty półwysep Labrador.

W strefach umiarkowanych podobnież pasma gór, przegradzając drogę wiatrom, odwracają je lub zmieniają ich kierunek. Temu należy przypisać znakomite różnice temperatury i klimatu w krajach nie tylko będących pod jedną szerokością, ale i blizkich siebie, lecz wystawionych na powiewy nie jednych i tychże wiatrów. Dość dla tego porównać temperaturę i klimat Norwegii i sąsiedniej z nią Szwecji.

Pod biegunami, jak można się domyślać, z ustaniem ruchu ziemi ustają też i wiatry.

Dla rozpoznania kierunku i siły wiatrów służą tak zwane Anemometry, z których najprostszym jest chorągiewka na dachu, i Anemometry. Za pomocą ostatnich dostrzeżono, iż prędkość wiatrów bywa na 1 minutę od 30 metrów, kiedy wiatr jest najsłabszym, do 2700, przy najsilniejszej burzy. — Wiatr zwyczajny przebiega w minutę około 100 metrów.

Wiatry wywierają bardzo wielki i niezbędny wpływ na temperaturę, na roślinność i na zdrowie człowieka. Wpływ ten bywa zbawiennym przez to, iż one miarkują zbyteczne zimna i upały, roznoszą wilgoć od wód oceanów do atmosfery suchej na lądach, roznoszą też deszcze, oczyszczają powietrze, rozpraszając zbierające się niemi na pewnych miejscach wyziewy, wreszcie zanoszą w najdalsze okolice pyłki nasion kwiatowych i drzewnych. Jakoż znajdują nasiona krajów zwrotnikowych aż na lodach Grenlandji i Nowej Zemli. Poczynając od Aleksandrji aż do Sennaar, Egipt i Nubia pokryte są palmami pleci żeńskich. Jedna palma męzka wystarcza do zapłodnienia wielu innych, a tych zapłodnienie odbywa się za pośred-

nictwem wiatrów. Starożytni poeci przypisywali im nawet moc zapładniania zwierząt.

Przemysłny człowiek obrócił ich siłę na swoje usługi: kazał im na morzu nosić swoje okręta, a na ziemi obracać koła swoich młynów, gdzie niebyło wody, której to było robotą właściwą.

Lecz wpływ ich bywa i szkodliwym; bo one też przynoszą to zbyt zimna, to zbyt ciepła, to wszelakie zarazy, które przeto i nazywają powietrzem. One też w pewnych miejscowościach, panując wyłącznie, wywierają niekiedy dobre, ale też często i szkodliwe skutki. One wreszcie wyprawiają te wszystkie burze, huragany itd., od których tyle zniszczenia bywa na lądach i na morzu. —

St. Str.

17. Deszcze.

Najważniejszą usługą, jaką wiatry oddają ziemi, jest roznoszenie jej deszczów, tego niezbędnego zasilku, po którym ona wydaje wszelką roślinność i odkrywa w swoim łonie źródła wód lądowych. Z morza powietrze dostaje jedną ze swoich składowych części, parę wodną. Z tej powstają obłoki, które wydają deszcze i śniegi, a roznoszą je wiatry. Zaś w przedziwnej ekonomji tego świata fizycznego i pod tym względem panuje tak mądry porządek, iż kiedy samo morze dostarcza wody atmosferze, tej ilości największa dostaje się lądom, pomimo że na powierzchni ziemi, którą oblatują wiatry, one zajmują najmniej miejsca.

Ponieważ temperatura, wiatry i deszcze w ścisłym są związku i znajdują się pomiędzy sobą w stosunku bądź przyczyny, bądź skutku, ziemia więc, jak co do temperatury i wiatrów, tak i co do deszczów, może być podzieloną na trzy wielkie pasy; jeden, deszczów perjodycznych, właściwych strefie zwrotnikowej i dwa, deszczów zmiennych, właściwych strefom umiarkowanym.

W obszarach równikowych, gdzie bieg temperatury i wiatrów odbywa się w pewnym określonym porządku i deszcze również ulegają temu prawu; i zamiast nieznanych tam pór roku, wynikających ze stanu temperatury, mieszkańcy odróżniają tylko porę suchą i porę dżdżystą.

Gdzie tylko stateczny wiatr wieje z właściwą mu regularnością, niebo jest wciąż jasne i barwy ciemno-błękitnej. Lecz w miarę tego, jak słońce zbliża się do zenitu miejsca, stateczny wiatr staje się nieregularnym, niebo nabiera barwy białawej i zasępia się,

ukazują się chmury, a z niemi nagłe nawałnice i wściekle burze. Nawałnice wydarzają się coraz częściej i zmieniają się na koniec w deszczowe ulewy, zatapiające ziemię potokami wody. W tym czasie powietrze tak bywa wilgotnem, iż mieszkańcy są jakby w ciągłej parowej kąpieli. Następuje ciężki i duszący upał, ciało staje się ociężałem i wątłem. Jest to perjod epidemicznych gorączek, tak zgubnych dla znacznej liczby przybyłych z umiarkowanych krajów osadników. Za to roślinność nabywa nowej świeżości i siły, sama pustynia staje się ożywioną i na niejaki czas pokrywa się czarującą zielonością, dostarczającą paszy tysiącom zwierząt. Lecz nie zadługo słońce, postępując dalej w swym rocznym obiegu, oblewa inne miejsca swojemi prostopadłemi promieniami; deszcze ustają, a atmosfera staje się przezroczystsza, stateczny wiatr wraca do swej regularności i nieco zamyka szklanne swe podwoje do następnej pory roku.

Taka jest normalna kolej zwrotnikowych deszczów, które padają w każdym miejscu, podczas przejścia słońca przez jego zenit. Wtedy bywa lato i z ustawianiem zwyczajnego wiatru największe gorąco. Ponieważ zaś słońce przechodzi od jednego do drugiego zwrotnika, w międzyzwrotnikowych więc miejscach przypada podwójna pora dżdżysta, a te dwa perjody deszczów mniej lub więcej ściśle łączą się w jeden przeciąg czasu, stosownie do odległości miejsca od zwrotnika.

W Indyach niema takiej regularności w deszczach i takowe należą tam całkiem od mussonów. Na zachodnim pobrzeżu Malabarbskim pora dżdżysta przypada podczas południowo-zachodniego mussonu, sprowadzającego tam pary oceanu, to jest podczas północnego lata. Sucha pora przypada tam podczas północno-wschodniego mussonu. Podczas południowej zimy południowo-zachodni musson wznosi się po stokach zachodnich Gatów i staje się przyczyną gwałtownych burz i bardzo obfitych deszczów na wysokościach.

Przeciwnie wzdłuż Koromandelskiego wybrzeża, północno-wschodni musson sprowadza deszcze, napędzając tam pary z morza Bengalskiego, a z południowo-zachodnim mussonem nastaje pora sucha. Tak więc dwa te pobrzeża półwyspu mają odwrotne pory roku. Płaskowyżyna Dekanu ulega wpływowi obu stron. Pora mokra w niej przypada rozmaicie i często bywają tam dwa perjody obfitych deszczów.

Deszcze zwrotnikowe mają cechę całkiem odmienną, aniżeli w strefach umiarkowanych i zimnych. Jakoż w strefach gorących słońce wschodzi zwykle przy niebie pogodnem; lecz około godziny

10 z rana, a niekiedy i wcześniej, gromadzą się nagle chmury i wylewają potoki wody w pośród wichrów, błyskawic i grzmotów; potem ku wieczorowi, gdy upał staje się znośnym, niebo odzyskuje swój stan pogodny, co zwykle trwa przez całą noc. Z początku deszcz trwa krótko i tylko w godzinach najgorętszych; potem gdy słońce dochodzi do zenitu, zaczyna się prawie z początkiem dnia i leje nadzwyczaj obficie aż do wieczora; potem w miarę jak słońce oddala się od zenitu i deszcz się zmniejsza i znowu pada tylko w godzinach najgorętszych. Krople deszczu są ogromne, a ulewy tak wielkie, że nasze deszcze słabe tylko dają o nich wyobrażenie. Pora ta ciągnie się od trzech do pięciu miesięcy.

Dla wymiaru ilości wód deszczowych w rozmaitych miejscach, służą przyrządy bardzo, proste zwane Udometrami, czyli Deszczomiarami. Ilość ta oblicza się na wysokość w cyfrach. Silny deszcz daje pół cala. Przez takie wymiary obliczono, iż gdyby wszystka para wodna, znajdująca się w atmosferze, dała się od razu skroplić w deszcz i spadła na ziemię, której powierzchnia byłaby wygładzoną jak powierzchnia morza, ów deszcz pokryłby ją wodą na 12 centymetrów. Można potem widzieć, jak małymi środkami przyroda umie dokonywać rzeczy największych. Tak małym kapitałem 12 centymetrów wody obraca ona tak mądrze, iż jego dochodami obdarza całą ziemię hojnie. Prawda, iż nie wszystkie jej okolice jednakowo. Niektórym podobało się jej odmówić całkiem deszczu; ale te są wyjątkami; a zresztą i najskąpiej otrzymujące go mają w rok przynajmniej 25 centymetrów, a niektóre mają go aż do zbytku, ażeby i w tem, jak we wszystkim, była największa rozmaitość, w której kocha się przyroda.

Ilość wód atmosferycznych, skrapiających w pewnych miesiącach kraje zwrotnikowe, w porównaniu z ilością tych wód spadającą zwykle, u nas jest niezmierną. Obliczono, iż w przecięciu między zwrotnikami wypada rocznie w Starym Świecie 77, a w Ameryce południowej 115 cali wody. Średnia wysokość wody, spadającej w całym pasie zwrotnikowym, będzie tedy wynosić 96 cali.

W pewnych miejscowościach spada jej daleko więcej. I tak w Paramaribo, w Holenderskiej Gujanie, otrzymano 229 cali, czyli 19 stóp; w St. Louis de Maranhao 276 cali, czyli 23 stóp; w Mahabaleswar, w zachodnich Gatach na południe od Bombay, na wyniosłości 4200 stóp okazała się ogromna liczba 303 cali; zaś według najnowszych spostrzeżeń, największa ilość deszczu okazuje się na zachodnim brzegu Afryki w Sierra Leone nad zatoką Gwinejską, około 400 cali i na południowym stoku gór Khasia w Bengalu, gdzie dochodzi ona niesłychanej cyfry 600 cali.

Tem bardziej dziwią takie rezultaty, że przytoczona ilość wody spada w ciągu li kilku miesięcy i że tak powiemy na raz. W Cayenne w ciągu jednego dnia spadło raz wody na 21 cali, co równa się niemal całorocznej ilości, spadającej w szerokościach północnych. Ztąd pomimo obfitości deszczów w pasie zwrotnikowym, ilość dni jasnych bywa tam daleko większą, niż w naszych szerokościach. Nawet w ciągu pory dżdżystej słońce ukazuje się tam co dnia i nieraz bywają dni, w których ani jedna kropla deszczu nie spadnie.

Możemy sobie wyobrazić, jaki niezmierny wpływ wywierają podobnie gwałtowne nawałnice na rzeki. Zrozumiemy teraz tajemniczą niegdyś przyczynę wylewów Nilu, pochodzącą od zwrotnikowych deszczów w kraju źródeł tej rzeki.

Wielkie rzeki Ameryki południowej często miewają powodzie na czterdzieści i więcej stóp wysokości. Llanosy Orinoko zmieniają się na pewien czas w wewnętrzne morze. Amazona zatapia na znaczną przestrzeń równiny, przez które płynie. Paraguaj także tworzy laguny, które ściekają i wyparowują się podczas pory suchej.

Ilość wody, zawierającej się w postaci przezroczystych parów w atmosferze zwrotnikowej, zawsze jest znaczną i pochodzi od stale wysokiego stopnia ciepła, zwiększającego na niezmierną skalę parowanie wód. Nawet pod niebem niemającym ani chmurki, powietrze jest hojnie zaopatrzone w parę. Właśnie ta niewidoma woda, pochłaniana przez rośliny i osiadająca na ich ogromnych liściach, jest przyczyną silnej vegetacji i wiecznej wprawiającej w podziwienie zieloności pod niebem, pozbawionem deszczów i chmur przez większą połowę roku, gdy tymczasem w naszych strefach w braku deszczów w ciągu tylko kilku tygodni wszelka zieloność omdlewa i kwiaty giną od niedostatku wilgoci.

Pod względem deszczów strefy umiarkowane przedstawiają rażący kontrast z krajami zwrotnikowymi. U nas przez cały rok, chociaż nieregularnie, ziemia bywa skrapiana deszczami. Ale deszcze te są zmienne, podobnie jak i wiatry i temperatura i podlegają wpływowi wielu podrzędnych okoliczności.

Im dalej odchodzimy od zwrotników, tem więcej charakter peryodyczności znika. Ale mało posiadamy udowodnionych faktów, co do sposobu w jaki się odbywa przejście z jednej strefy do drugiej. Musimy tylko uznać, że ogólny charakter, przeciąg i częstota padania deszczów tej strefy zdają się zależeć od tysiąca miejscowych okoliczności.

W atmosferze stref umiarkowanych mniej znajduje się pary wodnej, niż w powietrzu międzyzwrotnikowym; rośliny przeto nie

mogą u nas wytrzymać przeciągłego niedostatku deszczów. Deszcze tedy u nas są częstsze, ale w miarę postępowania ku biegunom coraz mniej nawalne i drobniejsze.

W przecięciu wysokość spadającej wody w umiarkowanej strefie starego świata jest 34 cali, a w umiarkowanej strefie Ameryki 39, czyli dla całego pasa 35 cali. Niektóre wszakże punkta, tak jak w pasie zwrotnikowym, pod wpływem szczególnych przyczyn, dają cyfry wyjątkowe. I tak na półwyspie Pirenejskim u zachodniego podnóża Sierra d'Estrella, wysuwającego się w kształcie ostrogi daleko ku stronie brzegu w dolinie Mondego w Koimbrze, otrzymano niezmierną jak na Europę wysokość 135 cali, zaś w Seathwite w Anglii w hrabstwie Cumberland, najwilgotniejszym miejscu w Europie, podają wysokość deszczu na 146 cali.

Obok takich miejscowości nazbyt mokrych, są inne nazbyt suche. Tak w Ameryce, i to w pasie deszczów zwrotnikowych, Cumana ma ich tylko 8 cali; w Europie Madryt ma ich tylko 10 cali; a są i takie miejsca, w których deszczów nie masz wcale.

W ogólności można powiedzieć, iż ilość wód deszczowych jest największą w środku pasa deszczów peryodycznych, w owej strefie cisz, która jest oraz strefą burz i gdzie deszcze leją prawie ciągle. Od równika zaś w obiedwie strony ku biegunom, ilość deszczów coraz się zmniejsza.

Ukształtowanie łądów poziome, a jeszcze bardziej pionowe, wpływa na nierówny rozkład deszczów. W pasie zwrotnikowym przychodzą one z wiatrem statecznym od wschodu, w pasach umiarkowanych przynoszą je wiatry odwrotne od zachodu. Lecz chmury deszczowe są jak gąbka napuszczona wodą. Najwięcej przeto wody tej dostają kraje nadbrzeżne, które są skrapiane najpierw; zaś w miarę postępowania od brzegów, w pasie zwrotnikowym ku zachodowi, a w pasach umiarkowanych ku wschodowi, ilość deszczów musi coraz zmniejszać się, zwłaszcza tam, gdzie nie masz wielkich zatok i morz śródziemnych, które, zachodząc daleko w łądy, zasilają ich atmosferę wilgocią, z której powstają deszcze.

Pasma gór, przegradzające drogę wiatrom, zabierają od nich chmury deszczowe, które, czepiając się ich stoków obróconych ku tym wiatrom, oddają im cały zapas swoich wód. Na drugą stronę dostaje się ich już mniej, a gdzie góry są wysokie wcale nic, lub prawie jak nic.

Płaskowyżyny z natury swojej wszędzie są daleko suchsze, aniżeli równiny i stoki gór. Najwięcej pustyń, które stają się takimi przez brak deszczów, leży na płaskowyżynach.

Dla powyższych przyczyn każda część świata, a następnie

i każdy kraj wyróżnia się ilością i porą swoich deszczów. Poczem niedziw, że wyróżnia się i zależną od nich głównie roślinnością.

Stary świat, mający większą masę lądów i będący przeważnie światem płaskowyżyn, otrzymuje stosunkowo mniejszą ilość deszczów. Pod tym względem Europa jest położoną najkorzystniej. Od zachodu ma ona liczne zatoki i wielkie morza śródziemne, zaś niezbyt wysokie jej góry dają łatwy do niej przystęp wilgotnym i deszczodajnym wiatrom zachodnim. Cała jej zachodnia połowa ma klimat morski. Dopiero we wschodniej połowie zaczyna się klimat lądowy, lecz i ten niepozbawiony deszczów. Europa jest jedynym lądem bez pustyni.

Azja, której część północna jest nachylona ku północy, gdzie atmosfera jak mało ciepła, tak mało ma i wilgoci, a której reszta składa się głównie z ogromnych płaskowyżyn, którą nadto Europa przedziela od zachodu, z kąd przychodzą deszcze, ma ich w ogólności mało. Obfite deszcze zwrotnikowe zlewają tylko dwa jej półwyspy Indyjskie. Dalej najwyższe w świecie góry tamują im przystęp do środka tej części świata. Tam znajdują się pustynia Gobi i piaszczyste morza Turanu. Chiny, chociaż na brzegach morza, ale wschodniego, mają klimat lądowy. Tylko dalej leżące wyspy mają klimat morski. Cała Syberja ma klimat lądowy i suchy.

Afryka, której część największa leży w pasie zwrotnikowym, ma jednak mało deszczów. Od wschodu zagraджа im drogę wyniosłe pasmo gór Lupata. Tylko na ich wschodnich stokach chmury, przychodzące od oceanu Indyjskiego, wylewają obfite deszcze, które tam, jak w Mozambiku, czynią klimat zabójczym. Wszakże pobraże od przylądka Guardafuj do Zanguebaru ma wysokość nieznaczną. Tam przeto wiatry oceanu Indyjskiego zanoszą deszcze do wnętrza tej części świata, mianowicie do Senegambji i Gwinei, leżących w samej strefie cisz i deszczów nieustannnych. Tym one zawdzięczają swój klimat wilgotny i upładniający, a oraz tak zdradziecki i zgubny dla przybyszów z Europy.

Afryka, będąca jak i Azja światem płaskowyżyn, w swoim dotąd mało znanem i zbadanem wnętrzu, posiada też ogromne pustynie, a pomiędzy niemi największą i najstraszniejszą ze wszystkich Saharę.

Australja dotąd bardzo mało jest znaną. Ten najmniejszy z lądów, jak i Afryka, zasłonięty jest od wschodu dość wysokim pasmem gór i jak Afryka przedstawia zbitą masę lądu, niemającą zatok i półwyspów. Wnętrze jej, jak ze wszystkiego można wnosić, jest jak wnętrze Azji i Afryki bezwodną pustynią. Brak deszczów poświadcza i ubóstwo flory australijskiej.

Ameryka, świat najpiękniejszych i najżyźniejszych równin, ze wszystkich części świata otrzymuje najwięcej deszczów. Przyczynia się do tego szczególniejszą postać jej wysmukła, wyciągnięta między wschodem i zachodem. Część jej zwrotnikowa, odkryta całkiem na wschód, zraszana jest najobficiej, przez chmury idące od Atlantyku, które zatrzymują się aż pod niebotycznym wałem na jej pobrzeżu zachodnim. To też podrównikowe jej równiny, które przebiega olbrzymia Amazona ze swojemi licznemi dopływami, dorównywającemi największym rzekom małej Europy, porośłe nieprzebytymi obszarami dziewiczych lasów, mają roślinność jeźli nie przechodzącą, to pewnie dorównywającą bujnością i przepychem roślinności Indyi. Strefy jej umiarkowane, wprawdzie mniej korzystnie dla deszczów, zasłonięte są górami od zachodu; ale naprzód: te góry już są tam niższe i niezupełnie tamują przystęp na drugą stronę deszczom, idącym od oceanu Wschodniego; następnie Ameryka północna otrzymuje deszczycze i od zatoki Meksykańskiej; zaś Ameryki południowej tylko część niewielka leży w strefie umiarkowanej. Tam leżą niezbyt wreszcie obszerne suche stopy Patagonji.

Zapewne gdyby góry Skaliste były nie na zachodnich, a na wschodnich brzegach Ameryki północnej, a równiny Mississipi otwarte były południowo-zachodnim wiatrom oceanu Wielkiego, klimat ich byłby łagodniejszym i jednostajniejszym i obfitość deszczów jeszcze większa. Lecz jakież byłoby przeznaczenie tego lądu? Przegradzałyby go od Europy i pasma gór i mniej dostępne brzegi; a byłby on otwartym ku wschodniej Azji, ku Chinom.

I ta część świata ma pozbawione deszczów pustynie. Oprócz Patagonji, mającej ich choć odrobinę, na zachodnich brzegach Peru, u stóp najwyższych w tych miejscach Andów, znajdują się małe przestrzenie, pozbawione deszczów całkiem. Taką jest stolica rzezypospolitej Peruańskiej Lima i leżąca dalej na południe pustynia Atacama. Ani kropla wód atmosferycznych nie odwilża tych rąbków ziemi, skazanych na wieczną i nieubłaganą zasuchę nad brzegami morza.

St. Str.

18. Klimat zwrotnikowy.

Pomiędzy zwrotnikami dni są równe nocom. Słońce wschodzi i zachodzi, nie poprzedzone przed wschodem zorzą, ani zostawiając po zachodzie owych zmierzchów wieczornych, które rozlewają tyle wdzięków w naszych klimatach. Ożywiająca przyjemność niektó-

rych naszych wiosen, przyjemne pogody jesienne, podobne do uśmiechu tęsknego przyjaciela, który nas opuszcza, mające tyle nieokreślonego powabu, nieznanne są w tych krajach ciągle gorących, bogatych i pięknych. Lecz o ileż wspaniałość przyrody zwrotnikowej przewyższa twory innych krajów i każe zapomnieć o tem, czego brakuje w tych klimatach szczęśliwych! — „Gdyby mi wolno było oddać się wspomnieniom dalekich podróży, mówi Humboldt w swoim Kosmos, policzyłbym do rozkoszy, jakie przedstawiają wielkie widoki natury, ciszę i wspaniałość owych nocy zwrotnikowych, gdy gwiazdy pozbawione migotania rzucają łagodne światło planetarne na lekko rozkołysaną powierzchnię oceanu; wspomniałbym o owych głębokich dolinach w Kordylierach, gdzie wznoszące się palmy wysokopienne swojemi rozłożystemi wierzchołkami przebijają sklepienia innych drzew i tworzą w długich kolumnadach las nad lasami; opisałbym wysoki szczyt Tenerify, gdy warstwa pozioma chmur, rażących białością, oddziela stożek popiołów od płaszczyzny dolnej i gdy nagle, skutkiem prądu wstępującego, z brzegów krateru oko może sięgać aż do winnic Orotawy i widzieć ogrody pomarańczowe i gęste lasy bananów.“

W sprawozdaniu o handlu zagranicznym, ogłoszonym w roku 1849 przez francuzkiego ministra rolnictwa i handlu, czytamy: „Nie masz przyrody cudownie plodniejszej, jak jest przyroda w Peru. Wszędzie napotkać można ogromne lasy, rozciągające się aż do szczytów najwyższych gór, drzewa wysokości i grubości nieznaney w Europie. Pomiędzy niemi znajduje się drzewo, nazwane Crux, które byłoby najpiękniejszym i najbogatszem do robienia wykwintnych mebli. Deski rżnięte z niego są precudowne na oko, wydają się centkowane, jakby skóra lamparta, a ich słój zbity przedstawia piękne plamy ciemno-kasztanowate na tle szafranowem. Za każdym krokiem napotykamy tam dzikie owoce najrozmaitsze, jako to kakao, kawę, wanilję, które znajdują często, lecz nie razem. Żywica, guma, smocza krew (*draco sanguinea*) sączą się same z drzew. China jest tam bardzo obfitą, lecz niechęcią zapewnić, iżby była co do dobroci równą chinie z Calisaya. Kakao i kawa nawet w stanie dzikim są wyborne.“ Gdyby te kraje były poddane rolnictwu, ileż bogatych darów, rozzuczonych na los przez przyrodę, mogłoby tam być zbieranych i uprawianych.

Na tej ogromnej przestrzeni żyje wielka liczba ludów dzikich. Są oni prawie wszyscy gościnni i zapewniają, że w środku tych krajów znajdują się kopalnie złota i bogactwa niesłychane. Niegdyś misjonarze przesłali do Huanuco wiele kulek złota, znalezionych przy wydobywaniu piasku z góry, która się wznosi prawie sama

wśród tych dziewiczych lasów. Te kawałki złota, z których niektóre ważyły aż po kilka funtów, były przesłane wice-królowi Pezuela, który kazał je odesłać do muzeum madryckiego, gdzie je można jeszcze dziś oglądać. Niektóre osoby puściły się na poszukiwanie szczęśliwego Cerro S. Macieja, lecz żaden z nich niepowrócił. Można się domyślać, że jaguary, pumasy i węże, lub też mieszkańcy Cacivos położyli koniec ich odwadze.

Potrzebaby przytaczać wszystkich autorów, opisujących kraje zwrotnikowe, by przedstawić dokładnie bogactwa tej przyrody zbyt-kowej. Kiedy podróżnik opisuje wrażenia, jakich doznał na widok królestwa roślinnego w Brazylii, przywiedzie on sobie na pamięć powietrze ciepłe i napełnione tysiącem miłych woni. Widać tam motyle tak wielkie jak ptaki, a ptaki tak lśniące jak motyle. Powietrze przerzynają roje kolibrów i wielkich morfów z lazurowymi skrzydłami; w pośród traw i liści błyszczą tysiące robaczek, których światelka fosforyczne przedstawiają obraz wspaniale oświetconego miasta. Na drzewach i krzewach znajduje się mnóstwo niezliczone ptaków, osobliwie kolibrów, pokrytych lśnięciami piórami, pięknie owady i chmury różnobarwnych motylów. Najdziksze miejsca pokryte są mnóstwem najpiękniejszych kwiatów; kopalnie wydają wiele złota, dyamentów, ametystów i rozlicznych gatunków topazów. Jeżeli porzucamy kraje płaskie i wступujemy na góry, noce stają się zimniejsze i niekiedy znajdujemy lekkie warstwy lodów. Zmiana klimatu sprawia tam zmianę w roślinach i królestwie zwierzęcym; i motyle przedstawiają widok odmienny: są one mniejsze i ozdobione mniej bogatymi barwami.

We wszystkich krajach zwrotnikowych, w Ameryce, w Azji, w Afryce mielibyśmy do opisania tę samą wspaniałość i te same cuda. Mniej pałacy, a bardziej rozmaity klimat wysp jest jeszcze rozkoszniejszym, a ziemia jest tam niemniej urodzajną. Dość jest przytoczyć wyspy Kubę, Martynikę, Guadelupę, Bourbon, Maldywy, Celebes itd. Bougainville przyrównywa wyspę Otahiti do pól Eli-zyjskich. — „Nieznajdujemy tam, mówi Cook, żadnego zwierzęcia szkodliwego, ani komary ani mustyki nie brzęczą koło nas i nie-obawiamy się ukłucia żadnego owadu. Księżyc, zalewając swojemi srebrnymi promieniami powierzchnię równą oceanu, pokazywał nam w oddaleniu krajobraz, który zdawał się utworzonym ręką czarno-księżnic.“ Tenże żeglarz z równem uniesieniem mówi o archipelagu wysp Przyjacielskich, których więcej niż 150 rozrzuconych jest tu i owdzie w małej odległości, jakby tyleż czarujących ogrodów na oceanie Spokojnym.

W tych strefach, które zdaje się przebiegać powiew niebieski,

gdzie wszystkie twory przyrody świadczą o cudownej płodności ziemi, gdzie znajduje się tyle gatunków zwierząt ogromnych i silnych, cóż nareszcie mówić o człowieku? — Tam wszystko jest pięknem, wszystko cudownem, wyjąwszy człowieka. W pośród przyrody uprzywilejowanej, sam tylko człowiek jest poniżony i wyrodzony. Pod rozprzegającym działaniem zwrotnikowego klimatu jego prawdziwa przyroda została zatarta. Myśl, pojęcie, wyobrażenia stopniowo się przyćmiły, a ich upadek poniżył nawet rysy, które odbijały obraz Boga.

Według Foissaca.

19. Burze zwrotnikowe.

Prawie każdego roku kraje zwrotnikowe i nawet przyległe im strefy umiarkowane, są widownią strasznych huraganów, które zostawiają jakby pamiątkę zniszczeń w ludzkiej pamięci. W tych krajach siły przyrody, ciepło i elektryczność, podniesione do wysokiej potęgi, wywołują starcia żywiołów groźne, jakby na dowód, że rozigrana przyroda jeszcze łatwiej i prędzej zdoła obalić i zburzyć to, co płodzi tak bujnie i obficie. W r. 1502 Santo Domingo, miasto założone przez brata Krzysztofa Kolumba, zostało zniszczone przez huragan. Jedno z tych zjawisk, straszniejsze jeszcze od tych jakie były w latach 1806 i 1829, srożyło się na wyspie Bourbon dnia 28. Lutego 1850 r. i ciągnęło się aż do 4 Marca. Wszystkie narzędzia i sprzęty robotników w polach i plantacjach zostały powyrywane, dachy domów i wieże kościołów poobalane, drzewa powyrywane, całe rodziny poginęły i tylko pod gruzami znajdowano ich trupy. Wreszcie wylew morza, uzupełniając szkody poczynione przez burzę, zniszczył wszystko na polach zrujnowanych.

W nocy 4 Października 1844 roku, straszny huragan srożył się w Hawanie i trwał od godziny 10 wieczorem, aż do 3 po południu dnia następującego. Słyszano bez przerwy trzask walących się domów, przeraźliwe krzyki ludzi przywalonych zwaliskami, głosy przestרחu i modły rozpaczających jeszcze pozostałych przy życiu. W przerwach straszne błyskawice zwiększały okropność tej sceny zniszczenia. Nadedniem pokazało się żółtawe światło, które jeszcze powiększyło przestרח. Niebo zaciemniło się czarnymi chmurami, przez które niemogły przedrzeć się promienie słońca, a z nich lał nie deszcz, lecz potoki, upusty wody; rozszałałe wiatry wydawały huki podobne do bicia piorunów. Po ustaniu huraganu spostrzeżono, iż 500 domów było rozwalonych, zginęło do 70 ludzi

i wielka liczba okrętów stojących w porcie została zatopioną. Havana miała pozór miasta, zburzonego przez bombardowanie; na polu ani jedno drzewo palmowe nie pozostało w całości; największe były połamane, lub powyrywane z korzeniami; ryż, kawa, banany, ananasy, kokosy, mangosy, wszystko zostało zniszczone, całe wsie znikły, tysiące domowych zwierząt zginęło. W pozostałej części wyspy Kuby strata była niemiejszą. Huragan ten dał się czuć aż w Bermudach, Porto Rico, Jamaice i Haiti.



Burza zwrotnikowa.

Dziejopisowie wspominają o podobnych spustoszeniach w różnych krajach. Persya była często ich widownią. Takim był huragan, który srożył się 7 Kwietnia 363 r. nad brzegami Eufratu, w czasie wyprawy cesarza Juljana przeciwko Partom. Słońce było blizkiem zachodu, kiedy nagle powstała mała chmurka i zaraz prawie nastąpiła taka ciemność, iż nic nie można było rozróżnić. Zerwał się okropny huragan, przerywany licznymi błyskawicami i piorunami. Jeden z nich przewrócił żołnierza z dwoma końmi, które prowadził. Straszny wichur, zmiatając wszystko przed sobą, ogarnął cały obóz, pozrywał i poniszczył namioty i obalił na ziemię wielką liczbę Rzymian. Juljan sam, zwiedziony przez zbiega, błądził na

los po brzegach Tygru, gdzie został ogarniony chmurą piasku, która go zakryła przed oczyma wszystkich. Gdy ta chmura ustąpiła, znaleziono go przeszytego włócznią przez nieprzyjacielskiego jeźdca. Tamże na cztery wieki przedtem głód, zaraza i huragany zmusiły tryumwira Marka Antonjusza do zaniechania wojny przeciwko Partom i do wykonania nieszczęśliwego odwrotu.

Według Foissaca.

20. Trąby wodne i lądowe.

Do najciekawszych i najstraszliwszych, a na szczęście oraz najrzadszych zjawisk przyrody, należy zstępowanie brzemiennej burzy, chmur na powierzchnię ziemi. Zjawisko to bywa tak szczególnem i tak niepodobnem do żadnej innej burzy, iż tłumaczono je w sposób rozmaity. Wszakże niemożna nie widzieć w niem



Traba wodna.

działania elektryczności przeciwnych w ziemi, wodzie i chmurach. Nazywają je trąbami i pojawiają się one zwykle na morzu, lecz niekiedy, chociaż bardzo rzadko i na lądzie i bywają większe i mniejsze, dochodząc niekiedy ogromnej objętości. Zniszczenia sprawiane

przez nie z niczem się niedają porównać. Są one przeto postrachem żeglarzy i tych co mieszkają na pobrzeżach.

Zjawisko to miewa zwykle miejsce w morzach zwrotnikowych, gdzie wszystkie powietrzne zjawiska przybierają rozmiary olbrzymie, gdzie spadają nie jak u nas deszcze, a prawdziwe potopy, gdzie każdemu wylewowi wód atmosferycznych towarzyszą silne grzmoty i pioruny i gdzie szaleją burze, o jakich my. w naszej spokojnej, umiarkowanej strefie niemamy i wyobrażenia. Dawały się wszakże wiedzieć trąby i w naszej strefie, gdzie rozumie się należą do zjawisk wyjątkowych i fenomenalnych.

Kiedy ma powstać trąba, morza zaczyna wrzeć w obrębie od dwudziestu do czterdziestu metrów średnicy, poczem białą pieniającą się woda podnosi się ze środka na jedną stopę w górę nad powierzchnię morza, a nad nią się unosi czarna gęsta para, która huczy, jak gwałtowny potok i syczy, jakby ogromna gromada węzów. Wtedy chmury zbierają się ku temu miejscu i spuszczać się niżej wyciągają z siebie jeden lub kilka ostrych końców, któremi wchodzi w połączenie z parą powstającą z wody. Skoro to nastąpi, woda, wraz z parą kręcąc się, podnoszą jednym lub kilkoma słupami barwy ciemno kłękitnej w górę i wraz z chmurami tworzą jeden lub kilka słupów czyli trąb. Taka u powierzchni morza ma około stopy grubości, wyżej jeszcze się zwęża, a potem coraz się rozszerza nakszałt lejki, aż najszerszym końcem wisi w chmurach i tak idzie po wodzie lub ku brzegom, niesiona od wichrów z deszczem, grzmotami i piorunami, niszcząc wszystko na swojej drodze. Biada okrętowi, który z nią się zetknie. W jednej chwili w pogruchochanemi w drzazgi i szczapy masztami i podartemi w szmaty żaglami, idzie on na dno. Za zbliżeniem tego strasznego zjawiska, żeglarze nie widzą innego środka, jak strzelać do niego z dział. Jakóż w taki sposób udawało się niekiedy rozerwać trąbę, która wówczas z szumem spada w morze. Na lądzie gruchoce ona ze szczerem wszystkie budowy i najmocniejsze mury, wyrывa z korzeniem największe drzewa, wysusza i jakby wypija studnie i inne zbiorowiska wód, porywa i unosi drzewo, kamienie, a nawet żyjące istoty i przerzuca je czasami bardzo daleko.

Takie trąby powstają i bez udziału morza na lądach i wtedy, dla odróżnienia, zwane są lądowemi. Jedna z nich w roku 1787 ukazała się na zachodnich brzegach Francji pod Bordeaux. Niebo było mocno zachmurzone, choć powietrze spokojne i wiatr był zmienny. W tem nagle ze wszech stron zebrały się obłoki, jak góry i gwałtowny wicher spędził je na jeden punkt. W niejakiej odległości od tego punktu, spuściła się na ziemię z szybkością

błyskawicy massa chmur, barwy ciemno-błękitnej, w postaci lejki albo ostrokągu, cienkim końcem na dół i dotykała nim ziemi, kiedy obszerna jej podstawa wisała w chmurach. Dostrzegano w niej bystry ruch wirowy, który zdawał się ściągać do niej wszystkie chmury i wydawała ona i zlatywały się ku niej ciągłe błyskawice. Okoliczni mieszkańcy mieli się za zgubionych i klęczeli modląc się na widok strasznego zjawiska, które postępując, wyrwało najgrubsze dęby, rozdzierając je na drobne drzazgi, wysuszyło ogromny staw i zgruchotało na miazgi proch wielką murowaną fabrykę. Wreszcie rozerwała się ona w temże miejscu, gdzie powstała i znikła również szybko.



Trąba łądowa.

Podobne to tej trąby pojawiły się tamże we Francji 6 Lipca 1822 roku, na równinie Ossonval, o 6 mil fr. od Boulogne i Saint Omer i 25 Czerwca 1829 roku pod Monville w okolicach Treves. Przy pierwszej zauważono, iż jak zwykle kręcąc się niekiedy odbijała się od ziemi, jakby kula w odskoku, wyrzucała z siebie kule ogniste i pary ciemne siarczane ze strasznym świstem i hukiem, podobnym do strzałów karabinowych; wreszcie wzniosłszy się do góry, pękła jak bomba ogromnych rozmiarów, zostawiając na ziemi głębokie wydrążenie kołowe. Niebo było spokojne, a grzmot, który ciągle się rozlegał wokoło, ustał.

Sahara afrykańska ma podobne zjawiska, zwane trąbami piaszczystemi, które jednak są tylko naśladowaniem trąb właściwych, opisanych wyżej i nie mają z nimi nic wspólnego. Tamte są zjawiskiem elektrycznym, a te dziełem wichru w piaszczystej pustyni. Podnoszą się w niej w górę słupy piasku, mniej więcej wysokie i grube. Bywa ich nieraz tak wiele, iż przegradzają całkiem promienie stojącego nisko słońca, które wtedy barwi swoim blaskiem te kręcące się słupy tak, iż zdają się być w ogniu. Niektóre z nich wierzchołkami sięgają nieba; niektórych wierzchołki odrywają się od podstawy i rozpraszają się w powietrzu; inne rozrywają się na części mniej więcej wysoko, poczem się rozlatują; inne łamią się nagle w pośrodku z trzaskiem, jakby rozsadzane prochem. Nieraz posuwają się one powoli, cicho i majestatycznie w obec zdumionego podróżnika, jak duchy pustyni, mające go prowadzić i osłaniać; a w tem nagle je porywa wichur i z szybkością błyskawicy unosi daleko tak, iż ledwo widać je, jak cienkie wstęgi w powietrzu. Inne wpadają na podróżnych i grzebią ich w nawale piasku. Uciec od nich niepodobna, jeśli to niemniej groźne zjawisko nie rozleci się, lub nie zmieni kierunku w chwili, kiedy ma dosięgnąć swoich ofiar.

Podobne do tych wichry zrywają się i na lodowatych pustyniach Syberji, gdzie podnoszą kręcące się słupy śniegu, któremi nieraz zasypują podróżnych, jak wichry Sahary swojemi słupami piasku. Nazywają je Buranami. Takie zawieruchy śnieżne, obok nadzwyczajnych mrozów w stepach Kirgizkich zimą r. 1839, zgubiły wyprawę rosyjską do Chiwy.

Według Kahler'a i innych.

21. Lasy pierwotne.

Niezmierzone i odludne lasy ze swojemi najrozmaitszemi drzewami i krzewami w stanie pierwotnym, znajdujące się w dalekich od nas okolicach świata, przedstawiają widok taki, o jakim niezamarzyła i najbujniejsza wyobraźnia mieszkańca Europy. Już w naszych głębokich i ciemnych borach, błakającego się samotnie wędrowca przejmują pewne właściwe im wrażenie. O wielez silniejsze uczucia zdumienia i podziwu bywają za wejściem po raz pierwszy do takich nieprzebytych puszczy, jakie są w Ameryce południowej, które przechodzą rozległością nie jedno z państw niemieckich. W tych dzikich i nietkniętych ani ręką, ani stopą człowieka borach, przyroda przedstawia taką pełność i różnorodność roślinnego życia, w obec

której wszystko, co z największym staraniem sadzi i pielęgnuje człowiek, wydać się musi tylko słabem i mdłym naśladownictwem.

We wszystkich ogromnych lasach nie braknie źródeł; lecz puszcze pierwotne posiadają ich mnogość niesłychaną. Ich wilgoć, połączona z upałem zwrotnikowego słońca, podsyca roślinność tak, jak nigdzie więcej. Z roku na rok wegetacja jest tam czynną bez ustanku i po samej tylko rozmaitej zieloności liści można tam rozpoznawać pory roku. Nowa zielona szata zastępuje nieodwłocznie tę, która tu i ówdzie więdnije i opada. Obciążona roślinnością ziemia zdaje się nie może pomieścić wszystkich wykluwających się z niej krzewów; zdaje się, iż nie mają one gdzie się rozrastać, cisną się, płaczą i rosnać na drugich. Nie można stąpić kroku w tej gęstwinie, bez wyrąbywania sobie drogi siekierą. Z największą trudnością podróznik przedziera się przez bujne niskopienne krzaki, przez nierozwikłaną sieć wijących się zarośli, przez nieprzebytą gąszcz i płataniny krzewów, oczeretów, wysokich traw, wypełniających wszystkie odstępy pomiędzy większemi drzewami, zaś zielony kobierzec traw i rozpościerających się po ziemi latorośli pokrywa niezliczone upadłe i spróchniałe drzewa. Jak filary rozwalonego gmachu, wystają tu i ówdzie obłamane pnie, zaś poplątane ich gałęzie tworzą nieprzebyte żywe płoty. Nieraz się zachodzi na głębokie jamy, przepaście, moczary i trzęsawiska, przez które należy urządzić sobie przejścia sztuczne, po nałożonych na nie pniakach, gałęziach i ogromnych kokosowych liściach.

Drzewa dochodzą tam wielkości i mocy zadziwiającej. Gęstość ich liści rozpościera w lesie prawie ciemność nocy i tworzy sklepienie, którego nie przebija ani światło słoneczne, ani najsilniejszy deszcz. Olbrzymie stoletnie drzewa, z których każde ma różną i sobie właściwą szatę liściową, obwite są zewsząd nierozwikłaną siecią, przez najrozmaitsze pnące się po nich rośliny, między innymi gestolistne lijany, o których bardzo słabe wyobrażenie mogą dać nasze bluszcze i powoje. W dziwny i właściwy sobie sposób opasują one pnie drzew, rozgałęziając się na nich, podwajają ich liściowe okrycie, zaś doszedłszy ich wierzchołków, wieńczą je swoją gęstą plecionką. Lecz próżno i na wierzchołkach szukać końca tych dziwnie ciągnących się latorośli. Ztamtąd czepiają się one wierzchołków innych drzew, lub nieznalazłszy podpory, zwieszają się na dół, ażeby dopełnić i ucześcić się innego sąsiedniego pnia. Te wijące się rośliny nadają lasom pierwotnym szczególniejszą malowniczość. Najbieglejszy znawca zaledwo zdoła się rozpoznać w tej nierozgmatwanej mieszaninie najrozmaitszych gałęzi, liści, kwiatów i owoców, drzew, krzewów i wszelkiego rodzaju latorośli.

Często różnaitość rodzajów i gatunków drzew bywa tam tak wielką, iż niepodobienstwem jest rozpoznać, jaki to jest właściwie las. W strefie gorącej strzelają wysoko w górę mocarze świata roślinnego, potężne palmy ze swojemi wspaniałemi pióropuszcami, pięknymi liśćmi, kwiatami i owocami. Wysokie ich pnie, które im dały nazwę wysokopiennych, przebijają zielone sklepienie mocno splecionych gałęzi innych drzew i wystrzeliliwszy nad nie jeszcze wyżej w górę, tworzą owe lasy nad lasami, które podziwiał w swoich podróżach Humboldt. Przepyszne drzewa oliwne znajdują się szczególnie w Brazylii. Rzadziej niż palmy, dają się widzieć w pierwotnych lasach Ameryki południowej podobne to drzew olbrzymie paprocie, ze swojemi wysokimi i prostemi pniami i cienkimi gałązkami, które u jednych kończą się rozpostartemi wachlarzowo pierzastemi liśćmi, u innych zwisają nadół, jak ogromne sznurki. Niezmierna ilość drobnych krzewów porasta skały, a nawet pnie i gałęzie innych drzew. W innych lasach pierwotnych rosną ogromne dzikie figi, których szeroko rozpostarte gałęzie tworzą jakby dachy i sklepienia, rozmaicie pochyłe i wsparte na ich potężnych pniach. Po większych i szlachetniejszych drzewach, idzie nieprzeliczone pospółstwo drobnych krzewin: rozmaite rodzaje wicin, traw i mchów. Pomiedzy niemi niepoślednie zajmują miejsce soczyste i mięsiste kaktusy, w najrozmaitszych i najosobliwszych kształtach i skrętach, okryte pysznemi kwiatami. Wszystkie zresztą drzewa tam kwitną okazale; i kiedy u nas zwykle lasy są tylko zielone, tam one przedstawiają na zielonem tle niezmierny i nieskończony dąbór najpiękniejszych kwiatów.

Według F. C. Leonharda.

22. Zimna podbiegunowe.

Trudno jest wyobrazić sobie coś bardziej nieznośnego, jak pobyt w chłodach podbiegunowych; niemówimy życie, bo żyć w nich nie podobna. Tam jest przeciwieństwo owej pełni życia fizycznego, które, że tak powiemy, wre między zwrotnikami. Musi ono przeto być rażącym.

Ponuro świeci na kraju szarego nieba słońce, swoim mdłym i jakby gasnącym blaskiem, oświecając widnokrąg ciemny i jakby pogrążony w nader długim przedwieczornym mroku. Niemoże ono podnieść się nad widnokrąg i tylko leniwo się przesuwają po jego kraju, jakby chciało zachodzić i wahało się z tem bez końca. Gdzie spojrzeć, wszędy śniegi i lody. Cała przyroda zdaje się

w martwym śnie. Wszędzie cisza, w której głosy ludzkie słyhać w niezmiernej odległości najwyraźniej.

Człowiek, którego przemysł, albo żądza wiedzy i odkryć, pędzi ku tym morzom złodowaciałym i tym łądom, które trudno wyróżnić od otaczających je lodów, za zbliżeniem ku tym kresom, na których znika życie fizyczne, gdzie sam czas ustaje w swoim biegu, poznaje, iż tam wytrwać trudno. Brak ciepła czuć się daje najdotkliwiej. Na otwartem powietrzu w cieplej odzieży można jeszcze znieść i największe zimno, kiedy niema wiatru i kiedy to zimno trwa już z kilka dni; ale gdy się wchodzi do niego nie stopniowo, lecz odrazu, naprzykład kiedy okręt przybija do lodowatych brzegów z wiatrem południowym, a tam nagle go zaskoczy wiatr północny, wtedy wielka i gwałtowna zmiana temperatury bywa nie do zniesienia, dla oswojonych z nią od dawna. Krew obiega po żyłach prędzej, w nosie czuć się daje paląca suchość, usta a raczej wargi wykręcają się na wszystkie strony, język odmawia posłuszeństwa myśli i nie wymawia słów wyraźnie, zimno obejmuje każdą część ciała i mniej więcej ją obezwładnia, ręce wystawione odmarzają w kilka minut, a nawet twarz niedługo może znieść działanie zimnego wiatru.

Okręt zamknęły zewsząd lody. Morze tu zamarza, tam dymi się gęstą parą, która wnet, ścięta mrozem, tworzy chmurę szronu, ciemniejszą od najgęstszej mgły. Maszty, reje i liny okrętu okryła skorupa lodu. Rudel potrzebą nieustannie wyrąbywać z lodu, by nie stanął nieruchomo. W kajucie mającej piec, pali się dobry ogień, od którego robi się w niej gęsta mgła nie do zniesienia. By ją rozpuścić, potrzeba koniecznie pootwierać drzwi i okna. Wtedy o dwa kroki od ognia termometer pokazuje 3° R. Woda na stole i wszelki zresztą płyn, by cokolwiek dalej od pieca, wnet zamarza; oddech wychodzący z ust zamienia się w lejący szron i zamarza na okryciach ludzi, leżących w łózkach.

Przy takim zimnie niema co myśleć o połowie wielorybów. Potrzeba myśleć o zachowaniu życia, by nie zmarznąć. Mróz by można przenieść nawet i większy, gdyby nie ten przeklęty wiatr, który nim razi tak, iż natura ludzka znieść go długo nie może. Kiedy niema wiatru, zimno nie tak się czuć daje. Temperatura — 14° R. przy ciszy, równa się temperaturze — 9°, 7°, a nawet 5° R. z wiatrem. Przeto czucie niemoże służyć za miarę pewną stopnia zimna.

Dzienniki podróży do morz biegunowych podają wiele godnych uwagi szczegółów o skutkach zimna. Bardzo wielu majątków podmrażało twarze, nosy, uszy i palce u rąk i nóg. Za dotknięciem

żelaza czepia się ono palców, przy picu szklanki czepiają się ust i języka i odedrzeć je można tylko ze skórą. Jeden majtek tak był nieostrożnym, że wyniósłszy na pokład odetkaną flaszkę z wódką, zatkał ją palcem. Nie uszedł kilku kroków, a ten palec przy-marzył mu do flaszki tak, iż musiano go odciąć, by zapobiedz zapaleniu.

Żelazo staje się kruchem tak, iż jeśli nie jest najlepszego gatunku, łamie się za lada uderzeniem. Wódka nawet mocna marzenie i rozsądza flasze. Igła magnesowa staje nieruchomo, co jest godnem zastanowienia, bo doświadczenia okazują, iż zmiana temperatury niewywiera żadnego wpływu na siłę magnetyczną.

W tej chłodnej strefie ludzie podlegają bardzo chorobie gnilca (skorbutu). Wielka liczba zimujących w Grenlandji, Spicbergu i innych podbiegunowych krajach, zmarło od tej choroby. Zdaje się jednak, że nie tyle ona bywa skutkiem zimna, ile niewłaściwych, zwłaszcza tamecznemu klimatowi, pokarmów.

Jako środki najskuteczniejsze od zimna tych strefniegościnnych, zalecają ciepłą odzież z futra, które ma być, nie jak go u nas noszą, ale szerścią na wierzch, jak go noszą zwierzęta; tak ono daleko lepiej grzeje. Następnie świeże zdrowe posilne pożywienie, napoje rozgrzewające, ale nieupajające, a nadewszystko ruch. Ten szczególnie bywa potrzebnym dla przeciwdziałania obezwładniającemu wpływowi zimna, które skłania do odpoczynku, do snu, jak tego doświadczają i w naszych strefach ludzie, bliżcy zamarnięcia na śmierć.

Admirał Wrangel, który odbył podróż naukową po oceanie Północnym i Syberji, której wydał zajmujący opis, tak opisuje ubranie, służące mu do podróży zimowej lądowej: „Na wierzch mojego zwyczajnego ubrania włożyłem naprzód rodzaj kurtki ze skóry lisa biegunowego, mającej szerokie pokrycie na piersi również futrzane, potem szerokie spodnie futrzane, na nogi dwie pary puńczoch ze skóry renifera, a na wierzch buty bardzo wysokie, także ze skóry renifera. Nie na tem jednak koniec; mając podróżować konno, musiałem jeszcze osłonić kolana nakryciem futrzanem. Na wierzch takiego ubrania bierze się rodzaj kaptury, zwanej kuklianką; ta jest z podwójnej skóry renifera, obróconej szerścią na wewnątrz i na zewnątrz, z rękawami, kapturem, dostaje do kolan i ściąga się szerokim pasem. Twarz ma swoje osobne ubranie, bo potrzeba zabezpieczyć ją starannie od wiatru; dla tego nos, usta, broda i uszy nakrywają się każde osobnym kawałkiem futra. Po zakryciu się temi wszystkimi przyborami, pozostaje do zupełnego ubrania wdziać na głowę olbrzymią czapkę futrzaną. Gdy pierwszy raz

włożyłem na siebie ten ubiór, sądziłem, że nie podobna mi będzie znieść jego ciężaru; lecz później nawykłem do niego, a w końcu przekonałem się, że w mróz 40° i więcej jest on nawet bardzo wygodnym.“

Ostiaki w Syberji północnej, spędzając po kilka dni i tygodni zimą i w silne mrozy pod gołym niebem na łożach, wdziewają ubiór z podwójnej skóry renifera lub łosia, obróconej szerścią na zewnątrz i na wewnątrz, który cały stanowi jedną sztukę odzieży, okrywającą człowieka literalnie od stóp do głowy, to jest zaczyna się od butów, ciągnie się spodniami, dalej kaftanem i kończy się kapturem na głowie. Taki ubiór przyznać trzeba jeszcze lepiej zabezpiecza od zimna, bo niema przedziałów, przez które zawsze ono się przeciska. Co do pozoru, na który zawsze we wszelkich ubiorach zwraca się uwagę, niewątpliwie nadaje on człowiekowi zupełne podobieństwo do orangutanga.

Konieczność zmusza niekiedy podróżnych do pozostawiania na pewny czas w tych chłodnych pustkowiach, mianowicie do spędzania w nich zimy. Wtedy budują oni sobie szałasze i budy, w których głównym środkiem zabezpieczającym życie jest ogień. W braku takiej budy, najlepiej i najbezpieczniej jest szukać schronienia w jamie, wykopanej w śniegu. Tak czynią zwierzęta i dzicy mieszkańcy Syberji północnej, kiedy bywają zaskoczeni w lesie, lub polu burzą śnieżną.

Wyspy Spicberg pod 77°—80° szerokości północnej najeżone górami, które dały im nazwisko i na których, jak wiadomo, zimno jest jeszcze większe, nawiedzane bywają przez podróżnych, szukających tam czasowego przytułku. Był czas (1614—1617 r.), kiedy Anglja, Hollandja, Danija, Hiszpanija i Francja wysyłały tam wojenne okręta i dobijały się siłą zbrojną posiadania téj krainy nędzy i smutku. Od czasu jej odkrycia w. r. 1553 udają się tam corocznie latem okręta prawie wszystkich narodów, dla połowania wielorybów, cieląt morskich, fok, białych niedźwiedzi i lisów błękitnych. Znajdują się tam niektóre nędzne jaskry, słabe pręciki chrzanu, mak biały, kamieniołup (saxifraga), mech żółty, itd. Królestwo zwierzęce jest rozmaitsze. Widzieć tam można goelandy, petrelle, ptaki burzowe, piękne mewy białe, dość znaczną liczbę lisów białych i błękitnych, nieco niedźwiedzi, a nawet reniferów. Morze w tych strefach jest zwykle wolne od lodów, od pierwszych dni Lipca, do połowy Sierpnia. Jest to czas w którym okręty udają się na połów wielorybów.

Znajdują tam na brzegach kamienie pomnikowe, a niekiedy kości ludzkie, jedyne ślady krótkiego na tych wyspach pobytu

człowieka. Kupcy z Archangelska utrzymywali tam przez jakiś czas osadę w Nord Bank, po której została tylko pamięć. Mówią, iż jeden Rossjanin przepędził tam siedem zim, a jeden okręt norwegijski bawił przez dwa lata z rządu. W r. 1633 zostało tam na zimę siedmiu Hollendrów, do których przyłączyli się i inni, lecz wszyscy prawie wyginęli z nędzy i od skorbutu. Rossjanie, których okręt został rozstrzaskany przez lody, żyli tam przez lat sześć, utrzymując się z polowania reniferów, lisów i niedźwiedzi, których jedli mięso surowe, dla uchronienia się od skorbutu. Wreszcie okręt rossyjski zabrał ich do Archangelska.

Mrozy, jak i w sąsiedniej Grenlandji, dochodzą tam 41° R.

Jeżeli od bieguna północnego przeniesiemy się pod biegun południowy, to znajdziemy tam w odpowiednich szerokościach geograficznych temperaturę o wiele niższą. To obniżenie temperatury na całej półkuli południowej geografowie tłumaczą tem, że jest ona przeważnie wodną, kiedy północna jest przeważnie lądową. My nie podzielamy tego zdania. Wpływ morza powinienby owszem sprawiać skutek przeciwny; bo jeżeli morze łagodzi zbyt upały, to jeszcze więcej łagodzi ono zbyt zimna, jedne i drugie właściwie klimatowi lądowemu. Sądzymy, że półkula południowa jest zimniejszą nie przez to, że ma więcej wód, ale przez to, że ma więcej lądów około swojego bieguna, które o wiele powiększają masę jej lodów podbiegunowych. Jakoż ta masa zalega cały prawie ocean Południowy, zaś tu i owdzie przekracza nawet koło biegunowe i wchodzi w pas umiarkowany.

Ziemia Ognista, na południowej kończyni Ameryki, ma zimna prawie takie, jak w Grenlandji i Spicbergu; co jest bardzo zastanawiającem, bo ta wyspa leży pod 53°—56° szerokości południowej, a zatem pod szerokością Wilna i Moskwy. Słońce tam jeszcze wznosi się wysoko, dnie i noce jeszcze nie dochodzą 24 godzin, a nadto jest ona pod łagodzącym wpływem dwóch oceanów. Pomimo to jej góry, od samego podnoża, okrywają wieczne śniegi. Takie są skutki sąsiedztwa lodów biegunowych, które znajdują się od niej bardzo blisko.

Następujący wyciąg z pamiętników kapitana Cooka okazuje dostatecznie, jak ostrym jest tam klimat: — „Dnia 16 Stycznia 1769 r. Banks i doktor Solander, udawszy się w głąb Ziemi Ognistej dla zbierania roślin, z kilku ludźmi załogi okrętowej weszli na dość wyniosły wzgórek. Od razu powietrze, które było tak piękne, jak w naszych stronach w Maju, stało się mglistem i zimnem i powstały silne wichry, połączone ze śniegiem. Była już godzina ósma wieczorem, gdy po zaspokojeniu swojej cieka-

wości, zeszedli oni z pagórka w dolinę. Lubo silnie przeziębłe, całe to małe grono było zdrowem i wesołem; lecz doktor, który przebył góry, dzielące Szwecją od Norwegji, obawiał się o swoich towarzyszków, żeby nie doznali osłabienia i skostnienia od zimna nieznośnego szczególnie, gdy się łączy z utrudzeniem; zaklinał ich, by się niezatrzymywali ani chwili, choćby to kosztować miało wiele trudu, powtarzając: Ktokolwiek usiądzie, zaśnie, a kto zaśnie, ten już się nie obudzi. Ta przestroga zatrwożyła wszystkich i postępowali odważnie. Wtem doktor pierwszy niemógł się oprzeć tej potrzebie snu, przeciw której tak ostrzegał swoich towarzyszków i prosił ich, by mu pozwolili położyć się. Banks czynił mu napomnienia bezskuteczne; on już się wyciągnął na ziemi, pokrytej śniegiem. Z wielką tylko trudnością jego przyjaciel nie dał mu zasnąć. Richmond, jeden z murzynów Banksa, zaczął zostawać w tyle za swoimi towarzyszami; prośby, nalegania były bezskuteczne; gdy mówiono mu że umrze od zimna, jeżeli się zatrzyma, odpowiedział, iż niczego więcej nie pragnie, jak położyć się i umrzeć. Doktor nie wzbraniał się iść dalej, lecz prosił, by mu dozwolono tylko chwilkę się przespać, choć sam przed chwilą mówił, że zasnąć i umrzeć było tóż samo. W końcu nic nie mogło ich powstrzymać, położyli się obadwa na chruście i wpadli w głęboki sen. Na szczęście wysłani na przeciwko nich ludzie oznajmili, że o milę rozpalono mocny ogień. Zaledwo dobudzono się doktora, a choć spał on nie więcej nad pięć minut, już prawie utracił był władzę w nogach. Opierając się na swoich towarzyszach, ledwo mógł postępować dalej i z największą trudnością doszedł do ognia. Wszelkie usiłowania rozbudzić Richmonda były bez skutku. Zostawiono przy nim dwóch ludzi, których spodziewano się wkrótce zastąpić dwoma innymi, gdy ci zupełnie się rozgrzeją. Pierwsi dwaj, mając od swego rozporządzenia dwie butelki rumu, sądzili, iż niemogą użyć lepszego środka dla obudzenia Richmonda i utrzymania się samym w czujności, jak pijąc go obficie. Jeden z nich, już napół umarły, potrafił jednak złączyć się z towarzyszami, dwaj inni, błędząc jakiś czas, zasnęli; próżno usiłowano łączyć ich i przenieść. Noc była ciemna i gęsty śnieg padał płatkami. Nazajutrz znaleziono ich nieżywych. Kilku innym, lubo bardzo cierpiącym, udało się dostać do okrętu.“

Potrzeba pamiętać, iż 16 Stycznia znajdowano się tam w środku lata.

Zauważyć jeszcze należy, iż mróz zabezpiecza bardzo wszystko od gnicia. W skutek tego, wszelkiego rodzaju mięsa (wyjąwszy ryby) dają się przewozić do Grenlandji i Spicberga i tam trzymać przez

czas długi bez wędzenia, suszenia i solenia. — W atlasie historycznym Bleau, znajdujemy pomiędzy innemi szczegółami, że w r. 1835 zmarło na Spicbergu siedmiu majtków holenderskich; zaś we dwadzieścia lat potem znaleziono tam ich zwłoki w zupełnej całości. Znajdowano tamże drzewo, zachowane bez spróchnienia od lat przeszło stu.

St. Str.

23. Zorza północna.

Nawet i w tych okolicach naszej ziemi, gdzie dnie i noce ciągną się przez tygodnie i miesiące i gdzie stężające wszystko zimno gromadzi niezmierne massy śniegów i lodów, niezbywa na



Zorza północna.

pięknościach i wzniosłych obrazach przyrody. Z przerażeniem słyszymy o tych długich nocach, które w pewnej porze ogarniają owe strefy i pozbawiają je ożywczego światła słońca; lecz dobroć Stwórcy dla tego świata sprawiła, że te noce nieraz bywają piękniejsze od naszych pochmurnych dni. Niebo jasne, atmosfera

czysta, pogodne światło księżyca i szczególniejsza okazałość gwiazd, wszystko to sprawia widok tak przepysny, o jakim tylko można zamaryć. Trudno jest wyobrazić sobie, jak wspaniałe widowisko przedstawiają w taką noc szczególniejsze morza. Na niezmierzonej powierzchni wód, pojawiają się mirjady ryb wszelkiego rodzaju i wszelkiej wielkości, wszystkie ruszają się, igrają, gonią się i umykają. Wieloryb, to wynurza się z głębi, to znowu idzie na głębią i ciska w górę słupy wody; sztokfisz skacze po kołyszących się falach i odbija światło księżyca na swoich srebrnych łuskach; drobne rybki ciągną niezliczonymi gromadami ku brzegom, gdzie fale wyrzucają ich mnóstwo na piaski i gdzie zabierają je w kosze kobiety, dzieci i rybacy, zarzucający swoje sieci.

Do najwspanialszych widowisk, jakie mają miejsce w strefach podbiegunowych, należy zorza, zwana północną, ale którą byłoby właściwiej zwać biegunową, bo ona się pojawia i u jednego i u drugiego bieguna. Stanowi ją zwykle pas ognisty, którego oba końce spadają pod widnokrąg i od którego różnobarwne promienie rozpościerają się po całym niebie. Łagodny blask księżyca niezdolna przyćmić ich żywego światła. Zjawisko to poprzedza szelest jakby tarcia o siebie jedwabnych tkan. Z lekkim szmerem szerzy się ono po całym sklepieniu nieba i w zenicie promienie jego tworzą wieniec. Niekiedy okazuje się ono też w postaci dwóch chorągwi, które rozwiewają się w powietrzu i fałdując się, błyskają zmieniającym się różnobarwnym światłem. Często też podnoszą się na niebie ogromne słupy ogniste, których potem blask coraz słabnie, albo też w szybkich zmianach przechodzi przez wszystkie barwy od najjaśniejszej złotej, do najciemniejszej szafrowej, by wnet potem zniknąć, lub wybuchnąć na nowo. Niekiedy znowu z pod widnokregu wylatują strzały ogniste, przebiegają szybko całe sklepienie nieba i zapadają pod przeciwległą stronę widnokregu. Od czasu do czasu ukazuje się nagle w zenicie ogromna masa światła w postaci wieńca i wypuszczająca promienie ku ziemi, poczem w oka mgnieniu znika.

W zapiskach jednego podróżnika, znajdujemy o tem zjawisku następujące ciekawe szczegóły.

Zorza północna pokazuje się najczęściej w pogodę cichą i bywa najwyższą przy świeżym wietrze południowo-wschodnim. Tam gdzie mieliśmy sposobność ją oglądać, z początku ukazywały się zwykle słabe i nieforemne promienie światła, które, podnosząc się z po za gór, miały wielkie podobieństwo do łuny dalekiego pożaru. Potem ich kształty i ruchy stawały się coraz wyraźniejsze, rozmaitsze i świetniejsze. Mieszkańcom krajów północnych zorza

północna służy tem, że w ich długich nocach użycza im światła i że daje im z siebie wnioskować o przyszłych wiatrach i pogodzie.

W Laponji już w Listopadzie dzień jest jakim półtrogodzinnym zmrokiem. Żeby pisać lub rysować, potrzeba cały dzień palić światło i nawet objad trzeba jeść przy świecach. Dla jazdy, polowania, rybołówstwa wystarcza jasność samego zmroku. Niekiedy świt poranny bywa tak jasnym, iż można przy nim czytać druk wielkimi literami. Zimno było już tak wielkie, że najgłębsze przepaście w górach pokrywały mocne i twarde śniegi. W taką porę przedłużaliśmy naszą podróż w mnogim tłumie sanek. Wieczór zbliżał się niezwykle świetny i gwiazdy rozsiane na niebieskim sklepie jaśniały podwojonym blaskiem. Mróz był tęgi i iskrzyło się na niebie i na ziemi. Trudno jest opisać te niezwykle światła, jakimi błyskały rozwieszzone nad nami ciała niebieskie. Przechodziły one od barwy ognistej i złocisto-pomarańczowej do ponsowej i każdy ich promień przez najczystszy eter dochodził aż do nas. Zorza północna rozpoczęła swoją grę w około i nad nami. Naprzód buchnął w zenicie bładny potok światła, potem wystrzeliły z niego drgające smugi ognia, rozbiegając się szybko po całym niebie, światło ich odbijało się na każdej gałązce, na każdym liście, jak gdyby usiało je drogiemi kamieniami. Jodły i brzozy miały pozór cudnych drzew z jakiegoś piękniejszego świata. Jechaliśmy jakby zaczarowanym lasem, w którym przyroda rozkrywała swoje nie do opisaną wdzięki, by ich widokiem uprzyjemnić naszą nocną podróż. Zapatrzeni na to cudne widowisko, w szybkiej jeździe, wyglądający w naszych futrach jak straszdyła, obsypani gęsto mrozem i szronem, mieliśmy pozór nie ludzi, a jakiejś przeciągającej zgraji duchów podziemnych.

24. Lody biegunowe.

U jednego i drugiego bieguna kuli ziemskiej, zalegają lody wieczyste nie przeto, iżby trwały zawsze w swojej całości. Owszem słońce, w czasie swego kolejnego pobytu przez półroczny dzień to nad jednym, to nad drugim biegunem, swoim wprawdzie słabem lecz przeciągłym działaniem, daje i im pewny, a nawet znaczny, stopień ciepła, które rozrusza stężale od zimna oceany i kruszy niezmierne masy ich lodów, których oderwane części prądy morskie unoszą w strefy cieplejsze. Pomimo to część ich wielka pozostaje na miejscu, mianowicie przy lądach, gdzie znajdują one trwałą i mocną

oporę, aż do niedługo potem następującej zimy, która przyczynia do nich nowe massy na miejsce tych, co ubyły w lecie; i tak one trwają ciągle.

„Morze lodowate, mówi admirał Wrangel w swojej podróży po oceanie Północnym i Syberji, podczas zimy ma tę samą postać co i lodowate okolice Syberji północnej; to jest przedstawia rozległe



Góry lodowe.

tundry, zupełnie gołe i poprzecinane tu i ówdzie pasmami gór. Powierzchnia tych równin jest falista i pokryta głębokim i twardym jak lód śniegiem. W pewnych odległościach, bądź to na równinie, bądź to w wydrążeniach między lodowemi górami, napotkać tam można i wody, podobne do jezior i bagnisk.

Myśliwi, poszukujący kłów mamutowych i odważni podróżni zapuszczają się do tych niebezpiecznych obszarów, obozują tam i rozpalają na nich ognie. Niedźwiedzie polarne i lisy przychodzą niekiedy wypowiadać im straszną wojnę; lecz to niebezpieczeństwo jest mniej groźnem, niż straszny żywioł będący pod nimi, który tyle ofiar już pochłonał. Stepy lodowate przybierają kształty najdziwniejsze; ze szczytu napotykanych tam wyniesień widnokrąg odsłania się daleko i zdaje się tworzyć pasma gór barwy błękitnej. Podróżny posuwa się do nich z odwagą, lecz te przedstawiające się jego oku

doliny i skały są tylko parą wychodzącą z morza, którą wiatr unosi daleko.

Podczas lata, gdy te masy lodowe zaczynają się łamać, przedstawiają one widok wspaniały i straszny. Morze wtedy pozbywa się lodów, które je więziły przez całą zimę. Ogromne góry lodów, podnoszone przez morskie bałwany, uderzają na siebie z trzaskiem, i nikną w otchłani pokrytej pianą. Nic nie może dać wyobrażenia o tem strasznem zniszczeniu. Cała ta ogromna przestrzeń, nie dawno martwa i nieruchoma, na raz wstrząsa się i łamie z straszliwym hukiem, a jej szczęty unoszone przez spienione bałwany wyrzucane są do góry, jakby lekkie kawałki drzewa.

Po za temi rozburzonymi massami odsłania się niekiedy morze wolne, które mieszkańcy Syberji nazywają Poliną. Teraz pływają po niem ogromne góry lodu, na których niekiedy siada niezliczona gromada czarnych kaczek. W Syberji pojawienie się tych ptaków zapowiada koniec zimy.

Kapitan Scoresby, który odbył dwanaście podróży do mórz podbiegunowych, opisał z równą mocą widok, jaki mu przedstawiały lody biegunowe na brzegach Grenlandji i Spicbergu. Podług tego sławnego żeglarza lodowata przestrzeń, której oko ze szczytu masztów okrętowych nie dosięga granic, miewa nieraz rozległości od 300 do 400 mil kwadratowych. Niekiedy jej powierzchnia jest tak równą, iż powóz mogłby po niej jechać łatwo 30 i 40 mil bez przeszkody. Inną razą dają się na niej widzieć wyniosłości, z obwodami najrozmaitszemi i najbardziej zajmującemi, odbijające piękne kolory błękitno-zielonawe najświetniejszych topazów. Wysokość brył lodowych bywa najmniej od 40 do 60 metrów. Podają, iż w zatoce Baffińskiej napotkano górę lodu, wznoszącą się nad powierzchnią morza na 40 metrów, coby jej nadawało od 200 do 400 metrów wysokości całkowitej. 9 Lutego 1838 Dumont d'Urville, w swojej podróży do bieguna południowego, widział pływającą masę lodu, długą na 11,000 sążni, a wysoką na 100 stóp, ze ścianami zupełnie pionowemi. Niektóre bryły lodu wznosiły się na 150 stóp nad powierzchnią morza.

Wyprawa posłana w r. 1851, dla odszukania Jana Franklina, po zarzuceniu kotwicy pod Uperniwik u brzegów Grenlandji, posunęła się dalej na północ w zatokę Baffińską i po tysiącnych niebezpieczeństwach doszła do 75° szerokości północnej. „Góry lodowe, mówi Bellot oficer marynarki, towarzyszący kapitanowi Kennedy w tej niebezpiecznej wyprawie, miały od 200 do 300 stóp wysokości nad wodą“ Żegluga była często wstrzymywana przez ławice lodowe, rozległe na 15 do 20 mil kwadratowych.

W ostatniej podróży do bieguna północnego r. 1853—1855 Dr. Kane posunął się do 82° szerokości i znalazł morze wolne.

Podróż prawie bajeczna kapitana Weddel r. 1823 mogła podać myśl dojścia do bieguna południowego. Po przebyciu wysp Nowych Orkadów i Nowej Sztlandji, znalazł on pod 74° szer. połud. morze wolne od lodów i sądził że ono się ciągnie aż do samego bieguna; lecz podania innych żeglarzy nie potwierdziły zdania Weddela. Jego śmiałej odwadze sprzyjały zapewne okoliczności całkiem wyjątkowe, które ponawiają się zapewne tylko w długich przedziałach czasu.

Podróż, odbyta w r. 1838 przez okręty *Astrolabe* i *Zélée* pod dowództwem kapitana Dumont d'Urville, dostarczyła o morzach południowych wiadomości dokładniejszych i pewniejszych, niż poprzednie. Sławny tem podróżnik udał się śladami Weddela i 15 Stycznia napotkał pierwsze lody pod szerokością 59° 30'; przeszedł jednak dalej i dosięgnął kierunku wskazanego przez Weddela; lecz 22 Lutego, pod szerokością 64° i długością zachodnią 47° 30', napotkał tamę lodów zbitych, które, o ile mógł okiem dosięgnąć, tamowały mu zupełnie przejście. Na niezmiernej przestrzeni rozrzucone były masy rozmaitej wielkości i różnych kształtów, które przedstawiały najosobliwsze widoki, w chwili gdy je oświecały promienie słońca. Raz widziano jakby wielkie miasto z pałacami, kościołami i wieżami, inną razą jakby piękne wioski położone na brzegu wody spokojnej i otoczonej klombami drzew, najczęściej zaś jakby rozległe łomy marmurów, zarzucone mnóstwem rozmaicie powyrabianych brył. Dumont d'Urville próbował wszystkich środków przejścia, jakie mu tylko nastęrczały jego śmiałość i odwaga. Nieraz zamknięty był w około górami lodów i dwie jego korwety o mało nie zostały zgruchotane. Zatrzymany przez całych pięć dni wśród lodów nadzwyczajnej grubości, które się pospajały na około okrętów, po rozpaczliwych wysileniach w końcu zdołał się z nich wydobyć i wypłynąć na otwarte morze. Usiłował on potem na nowo posunąć się dalej ku biegunowi, lecz bezskutecznie. 15 Lutego, pod 62° szerokości, znajdował się zupełnie w tej samej przestrzeni, w której Weddel mógł wolno krążyć 5 i 6 tegoż miesiąca przed laty 15, lecz wszystkie te miejsca były niepodobne do przebycia i niemógł posunąć się dalej po za 64°.

Ze wszystkich tedy danych, jakich dostarczyły nam odkrycia pomienionych żeglarzy, a do których mało co nowego przydały czasy obecne, zdaje się, że biegun północny zalega morze, a biegun południowy ląd. Dla tego i lody przy tym ostatnim są daleko większe, aniżeli przy pierwszym. Wszyscy ludzą się nadzieją

dojścia kiedyś do samego bieguna. Jeżeli ta nadzieja kiedykolwiek ziści się, to chyba tylko u bieguna północnego, do którego, jak utrzymują wszystkie podania, stwierdzone i przez ostatnią podróż Dra Kane, prowadzi morze całkiem wolne od lodów; ale do bieguna południowego, zawałonego przez lody, które, jak się zdaje, mają trwałą oporę w łądach, nie dojdzie z pewnością nikt.

Według Foissac'a.

25. Lodowce.

Jak w kierunku poziomym pod biegunami, tak w kierunku pionowym u szczytów wysokich gór, stępujące działanie zimna tworzy również masy wiecznych lodów, zwane lodowcami. I od nich, podobnie jak od lodów biegunowych, działanie letniego słońca odrywa potężne masy, które stacza na dół w cieplejsze warstwy atmosfery; ale niema czasu stopić je ze wszystkim. Pozostają one przeto na następną zimę, która je powiększa nowym pokładem śniegów. I tak one, jak i lody biegunowe, trwają wiecznie.

Pod nazwą lodowców rozumieją bardzo często nie to, co tą nazwą oznacza nauka; mianowicie rozumieją pod tem jakieś góry lodowe, albo cyple skalne, okryte śniegiem i lodem; co zupełnie jest fałszywem. Lodowce są nie na górach, lecz w dolinach. Są to zbiorowiska śniegów i lodów, w dolinach niektórych gór, w wysokości odpowiedniej dolnej granicy wiecznych śniegów.

Jeżeli położymy rękę z rozpostartymi palcami na stół i wyobraźmy sobie przez nią góry, to sama ręka przedstawi nam główny grzbiet; palce, wybiegające z tego grzbietu, odrośla gór; a miejsca próżne między palcami, doliny, w których właśnie tworzą się lodowce.

Śniegi, spadające na wysokich górach w ciągu mniej więcej dziewięciomiesięcznej zimy, zbierają się po wysokich dolinach. Wiatry zmiatają też do nich śniegi ze szczytów gór i tak układają się w nich masy śnieżne w potężnej ilości; warstwy wierzchnie naciskają spodnie całym swoim ciężarem i tworzą z nich przez to silnie zbite masy; w lecie obwiewają je ciepłe wiatry i skrapiają ciepłe deszcze; śnieg z wierzchu taje, woda sączy się przez pokłady śnieżne coraz głębiej i wreszcie spływa z doliny. W skutek tego masa lodowca szczupleje. Lecz po krótkim lecie następuje znowu długa zima, która ścisza mrozem pozostałe przesiąkniętą wodą śniegi, zamienia je przez to w lód i nakrywa go

z wierzchu nową potężną warstwą świeżego śniegu, zapełniająca pozostałe od przesiąkającej wody szpary i ugniatającą znowu wszystko swoim ciężarem. Tak stopniowo tworzy się lodowiec z gromadzących się od roku do roku pokładów, w których śnieg, zmieszany z lodem, tworzy jedną zbitą masę. Ta z czasem wypełnia dolinę i mogłaby nie tylko dorównać, lecz i przewyższyć wysokość góry, gdyby nieubywało jej i w inny sposób. Dolina, będąca łożyskiem lodowca; ma pochyłość mniej więcej znaczną; w miarę wzrostu lodowca; wierzchnie jego pokłady naciskają go ciężarem coraz większym; mróz zimowy, stężający jego masę, coraz mniej przenika od wierzchu do jego coraz dalszej głębi, która przez to podlega coraz więcej ogrzaniu i rozkładowi od ziemi i skał, na których leży i coraz mniej stawiać może oporu niciskającym ją z góry pokładom. W skutek tego cała masa się rozciąga, rozrywa i sunie spadzistością swojego łożyska na dół. W taki sposób lodowiec znowu się uszczupla i przedłuża, zamieniając się w potok śnieżny, postępujący mniej więcej szybko, jak rzeka, wedle spadzistości swojego łożyska i ciężaru swojej masy, prędzej we środku, a powolniej u brzegów i rozumie się nie wszędzie jednakowo; zatrzymuje się zaś w niższych i cieplejszych warstwach atmosfery, w których się kończą górskie śniegi, a tworzą potoki górskich wód, z których biorą początek górskie rzeki i jeziora. Nie w jednej to wszakże dzieje się wysokości. Im szerszym i grubszym bywa potok śnieżny, tym niżej on zstępuje, bo więcej potrzeba czasu do jego stopienia. Widziano lodowce w swoim obniżaniu się oparte o lasy, zabudowania i wioski, a niekiedy i zasypujące je massami śniegów, znanymi pod nazwą lodozwałów.

Z daleka powierzchnia lodowców okazuje się równą i gładką, jakby do jeżdżenia po niej zaprzężonymi końmi wozem, ale po bliższym i dokładniejszym rozpatrzeniu, okazują się na niej utworzone z lodu, rozmaitych barw, od najpiękniejszej ciemno-zielonej, do niebieskiej lazurowej, tablice, sześciany, graniastostupy, ostrostupy, wielkości domów, a niekiedy i wysokich gmachów, a pomiędzy niemi niezliczone przerwy i rozpadliny. Niekiedy bywa ich na lodowcu tak wiele i tak one są szerokie, iż chodzić po nim jest niepodobieństwem. Bywały nieraz przykłady, iż zwiedzający lodowce z przewodnikami, w pośród białego dnia i jasnej pogody, tak zablakowali się w pośród owych rozpadlin, iż zaledwo w kilka godzin mogli odszukać z nich wyjścia. Przerwy te w lodowcach okazują się na ich powierzchni bardzo długie i z końcami ostre. Długość i szerokość ich zależy od wielkości lodowca i pochyłości

jego łożyska; bywa przeto bardzo rozmaita. Bywają takie, które świeżo powstałe łatwo można przeskakiwać, a znowu takie, co mają szerokości na 12 stóp i więcej. Wreszcie szerokość tych przerw zależy i od ichże długości; widziano bowiem i takie, które idą w poprzek przez cały lodowiec, rozcinając go zupełnie na dwoje. Takie przerwy tworzy silne ciążenie dolnej części lodowca. Badacze przyrody, zajmujący się specjalnie studjowaniem lodowców, kazali



Lodowiec.

sobie w tym celu budować na nich chatki i przesiadując w nich po kilka tygodni robili nad temi szparami szczegółowe i dokładne spostrzeżenia. Powstawanie ich oznajmia zwykle silny trzask we wnętrzu lodowca; poczem wnet ukazuje się na nim pęknięcie, jedno lub kilka, jak na tafli stłuczonego szkła. Następnie powiększanie się pęknięcia wzdłuż i w szerz można często śledzić wzrokiem. Bywają nieraz przykłady, iż pęknięcie, gdy się zrobi, wnet rozchodzi się daleko; a także zdarzało się, iż długie i szerokie rozdliny wkrótce znowu się schodziły i spajały swoje brzegi.

Takie pękanie lodowców sprawia, że chodzić po nich jest bardzo niebezpiecznie, zwłaszcza kiedy je pokryje świeżo spadły śnieg. Dla tego ostrożność każe zwiedzać je nieinaczej, jak uwiązawszy się na powrozie, aby w razie gdy się wpadnie w rozpadlinę, czy to dawną czy świeżą, być wyciągniętym przez towarzyszków, idących z tyłu. Bez tego zabezpieczającego środka rzadko udawało się wydobywać wpadłych w takie doły. Każdy taki zwykle bywa zgubionym.

Brzegowiska tego śnieżnego potoku, którym można także zwać lodowiec, tworzą tak zwane moreny. Są to długie rzędy kamieni, ciągnące się w kierunku posuwania się lodowców. Co tylko upały i mrozy, deszcze i niepogody odbijają i odłamują od skał, to wszystko spada do lodowców i bywa pochłanianem przez ich masę. Lecz lodowce posiadają siłę wypychającą, jak ciała żyjące i nie znoszą w sobie żadnego ciała obcego. Co tylko wpadnie do nich, nie wiedzieć jak głęboko, to zawsze, nieraz po upływie lat wielu, wychodzi na ich powierzchnię i wyrzucaniem bywa na brzeg. Raz pewny wieśniak z Tyrolu, idąc z noszą, wpadł w rozpadlinę lodowca i po latach 15 wyszedł na jego powierzchnię kościotrupem, z taż samą noszą na plecach.

Tak bywa i ze wszystkimi odłamami skał, których zawsze wpada do lodowców wiele. Kiedy zdarza się, iż dwa lodowce w swoim postępowaniu na dół łączą się w jeden potok, jak dwie schodzące się rzeki, wtedy wynoszone przez nie ku wewnętrznym brzegom moreny łączą się w jedną środkową linię, idącą łozyskiem lodowca. Mnogość odłamów skalnych, nagromadzonych w morenach bywa taką, iż niekiedy można je wiaść za bezpośrednie obwały gór.

Na lekko sklepionych grzbietach lodowców, dają się nadto widzieć rozrzucone i inne głazy, tak zwane stoły lodowcowe. Przy ciągnięciu podczas topnienia całej powierzchni lodowca, te jej cząstki, na których leżą takie sztuki kamieni, płyty gnejsu, lub łupku, zakryte są przez nie od bezpośredniego działania promieni słońca i ciepłych wiatrów. Przeto dokoła nich powierzchnia lodowców stopniowo taje i opada; zaś miejsca, nakryte owymi kamieniami, coraz więcej z niej wystają. W taki sposób tworzą się pod nimi słupy lodu, jakby podstawy stołów. — Ciepłe letnie powietrze, liżąc je, robi coraz wysmuklejszemi. Takie stoły lodowcowe, wglądające na olbrzymie z nich wyrosłe grzyby, znajdują się nie na wszystkich lodowcach, lecz przynajmniej na największych i dochodzą wysokości niekiedy dwóch, a nawet trzech metrów; gdy zaś lodowa podstawa takiego stoła, obrabiana słońcem i wiatrami stanie się za cienką i nie może utrzymać leżącego na niej głazu,

wtedy on z niej spada, słońce, wiatry i deszcze wyrównują wrychle powierzchnię lodowca, zaś spadły kamień następnie podnosi się w postaci nowego stoła.

Takie postępowanie mass lodowych, spoczywających na skałach, może się wydać dziwnem, ale tylko mieszkańcom krain płaskich; tak jak mieszkańcom gór, okrytych wiecznymi śniegami, wydałoby się dziwnem pozostawanie ich na miejscu nieruchomo. Uczni badacze lodowców wymierzali pomienione ich ruchy. Według Agassiza postęp lodowca Aar, jednego z największych alpejskich, od Lipca do Września, wynosił około 2 decymetrów. Professor Forbes znalazł w niektórych lodowcach góry Mont Blanc postęp jeszcze szybszy. Po obniżeniu się mniej więcej w ciągu lata, lodowce spoczywają przez zimę, nabierając nowych sił, by za nadejściem wiosny i rozbudzeniem się całej przyrody, rozpocząć swoją czynność i ruch na nowo.

Uczni badacze, którym wreszcie nie tyle chodzi o samą rzecz, ile o ogłoszenie swoich o niej oryginalnych pomysłów, dotąd siłą się nad wykryciem właściwych i istotnych przyczyn pomienionych ruchów. Zdaje się wszakże, iż niemasz innych, jak te bardzo proste, któreśmy wskazali wyżej, a które są aż nadto dostateczne.

Według Berlepscha i innych.

26. Pieczary.

Nader ciekawą osobliwością są pieczary, jaskinie, grotty podziemne znajdujące się w niektórych górach, szczególnie wapiennych. Bez ustanku tam woda sączy się szparami warstw górnych i spadłszy kroplami, zostawia cząstki w niej rozpuszczonego wapna i tak z tych cząstek wzrastają rozmaite bryły, które znajdują się w wielkiej ilości od samego dna pieczary i po jej bocznych ścianach, w kształcie słupów, drzew, skał, bram, wież, zwierząt i nazywają się soplami. Ten wapień, do dziś dnia tworzący się, jest koloru białego i brunatnego. Nieraz tym sposobem pieczary bywają poprzegradzane i wystawiają widok licznych sklepów i korytarzów z sobą połączonych. Do najciekawszych tego rodzaju pieczar, liczy się pieczara pod Postojną w Krainie, w Austrii, przeryniająca w różnych kierunkach całą górę. Widać w niej niezgłębione przepaści, obszerne komnaty, korytarze, sklepienia wsparte na grubych słupach wapiennych. Podłużne bryły wielkiej objętości, oderwane od sklepienia górnego, tu i owdzie leżą porzucane na ziemi, a na nich woda wapienna osadza w ciągu wieków

nowe słupy, dotykające już wzniesionego nad niemi sklepienia. Rzeka Poik, niedaleko wnijscia w pieczarę wpadająca, przebiega ją, tocząc szumne swe wody i spadając kilką progami, grzmiąc i hucząc, aż w niemałym oddaleniu z pod ziemi wypływa znów. Dwa mosty, utworzone znać z pospadanych skał zwalisk, sterczą nad wodami. Bez nich byłoby trudno przeprowić się przez owe wody. Pod pierwszym mostem chowają się ryby, a drugi, odległy od wnijscia o milę, wisi nad bezdenną prawie przepaścią.



Grotta Sundwich koło Izerlonu.

Pieczary pod Agtelek w Węgrzech, połączone między sobą bocznymi korytarzami i norami, tak daleko rozchodzą się pod ziemią, iż uszedłszy w nich kilka mil, jeszcze nie odkryto końca. Jedna z nich podobną jest do wspaniałego kościoła; wszystkie ściany pokryte są dziwnymi figurami, jakby rzeźbą kamienną.

Niektóre ganki, łączące owe przedziały i jamy, tak są niskie, iż przechodzący schylać się musi prawie do ziemi. Jedne są wyższe, drugie niższe, raz idzie się pod górę jakby schodami, drugi raz w dół jakby do sklepu, znów inne części w takiej są głębi, że się trzeba spuszczać po linach. Niepodobieństwo oglądać te dziwy bez światła i bez przewodnika; tyle jest tam dróg, sklepów, ganków, że łatwo w nich zabłądzisz i nie znajdziesz końca.

Innego rodzaju jest pieczara pod nazwiskim Fingala na wyspie Staffa, mależącej do Hebrydzkich. Wystaw sobie ogromną świątynię, złożoną z samych słupów bazaltowych, jak w gotyckich kościołach, które w niezliczonym mnóstwie podnoszą się z morskogo dna i zasklepiając się u góry, cudownością swoją przechodzą najwspanialsze gmachy ludzką wystawione ręką. Podróżujący wchodzi do tej świątyni łódką od strony morza, lubo idzie do niej i ścieżka wazka i bardzo przykra. Dienne światło, wpadające w te ciemne obszary, oświeca mniej więcej wszystkie ściany jaskini i odkrywa oczom dziwne utwory przyrody.

J. H.

27. Świat roślinny i zwierzęcy w rozmaitych stronach ziemi.

Oprócz człowieka i wiernego jego towarzysza psa, niemasz stworzenia, które mogłoby porównanie żyć we wszystkich okolicach ziemi. Z jakiegokolwiek punktu na powierzchni ziemskiej postępując dalej, napotykamy coraz inną roślinność i coraz inne zwierzęta. Naprzód idąc od biegunów ku równikowi, znajdujemy we wszystkich stworzeniach coraz większą mnogość i różnorodność. Tam, gdzie powierzchnię ziemi okrywają wieczne śniegi i lody, wszelkie życie organiczne obumiera, lub przejawia się tylko w drobnych porostach, trawach i mchach, które, pozbawione barwnego kwiecia, ubierają ziemię tylko jednolitą i biedną zielenią. Żwierząt prawie niema; tylko morze zdaje się chować pomiędzy swoimi potężnymi lodami niejaki stworzenia zwierzęce i zapewnić im z trudnością byt w tych chłodnych obszarach. Lecz z każdym stopniem dalej od bieguna, życie organiczne wzrasta w ilości form, bujności i mocy. Miasto niepełnych kształtów traw i mchów ukazują się wrychle rośliny drzewne: naprzód drzewa iglaste, obciążone szyszkami, potem wydające pączki kwiatów drzewa listne: dęby, buki, brzozy, topole i wierzby, dochodzące największego

rozwoju w strefie umiarkowanej. Dopiero pod zwrotnikami, lub w bliskości ich, występują olbrzymi świata roślinnego, wysmukłe palmy, wielkie jak drzewa pokrzywy i malwy, z którymi łączą się mirty i inne piękne rośliny. Tutaj, w pośród krajobrazu ożywianego przez palmy, drzewa chlebowe i pomarańczowe, przedstawiają się też wspaniałe królewskie banany, odznaczające się mocnym pniem, wielkością liści, przepychem barw i kwiatów i smakiem i posilnością owoców. Świat zwierzęcy nabiera także coraz więcej mocy i różnaitości, w miarę jak oddalamy się od bieguna ku równikowi; ale co do wielkości, nie wszystkie rodzaje zwierząt postępują równomiernie. Właśnie największe olbrzymi świata zwierzęcego: wieloryby żyją w strefach lodowatych. Z pomiędzy zwierząt lądowych, niedźwiedź biały polarny przechodzi wszystkie na ziemi drapieżne zwierzęta wielkością, a renifer, wszystkie rodzaje jeleni rozłożystością rogów. Z pomiędzy ptaków, ryb i zwierząt ziemnowodnych, strefa gorąca okazuje największe. Toż samo i z płazów i zwierząt kręgowych. Teraz, jeśli zamiast od biegunów ku równikowi postępować będziemy od zachodu na wschód, albo od wschodu na zachód dokoła ziemi i tu napotkamy we wszystkich tworach największą różnaitość. Jak Europa, tak i północna Ameryka ma swoje cieniste lasy, złożone z dębów, buków, brzoź i drzew iglastych, swoje porośnię trawami łąki i swój odpowiedni naszemu świat zwierzęcy. Lecz po bliższem rozpatrzeniu się, każdy rodzaj drzew okazuje się tam odmiennym, każdy zwierzę tuziemny różnym od naszego; wszędzie ta osobliwa część świata przedstawia nam swoje właściwe formy i rodzaje, swoje mięsożerne zwierzęta workowate, swoje morskie świnki, swoich kosmatych leniwców i inne. Lama jest pierwotnem amerykańskiem zwierzęciem domowem. W krajach wschodnich tej części świata, niemasz ani jednego swojskiego mlekodajnego stworzenia, ani jednego wydającego chleb nasienia, któreby niebyło sprowadzonym z Europy. Przed swoim odkryciem Ameryka, prócz kartofli, nie znała żadnej pożywej rośliny, mogącej służyć do czegoś więcej, jak do wymagań zbytku.

Wcale inaczej się przedstawia łąd wschodni. Azja, kolebka rodzaju ludzkiego i Europa, kolebka jego oświaty, są dwoma częściami świata, w których twórcza siła przyrody powołała do życia twory najszlachetniejsze, najpiękniejsze i najpożyteczniejsze. Na półkuli wschodniej wyróżniają się cztery wielkie obszary. Pierwszy obejmuje całą Europę północną, Azję i północną Afrykę. Odznaczającą go cechą są: rozległe lasy drzew iglastych na północy, a paczkowo kwitnących liściowych na południu i rozliczne baldasz-

kowate rośliny w okolicach średnich, z którymi łączą się drzewa laurowe, mirty i gwoździki w południowych. W granicach tego obszaru powstały wszystkie nasze drzewa owocowe i rośliny pożywne. Tu jest oraz ojczyzna wszystkich zwierząt domowych, a nawet wszelkich celniejszych rodzajów roślin i zwierząt. Jeżeli ten obszar od północy ku południowi rozdzielimy na trzy pasy, to największym z drapieżnych zwierząt będzie w pierwszym niedźwiedź polarny, w drugim niedźwiedź ciemny, a w trzecim lew. W pierwszym jeszcze rosną brzozy, w ostatnim pożywne kasztany, w średnim pośredniczą między niemi dęby i buki.

Dwa inne wielkie obszary stanowią Afryka i Indye z Chinami i przyległym archipelagiem wysp Sondskich, Molujskich i Filipińskich. Pierwsza jest najbardziej wyróżniającą się częścią świata na półkuli wschodniej. Jej bezwodne przestrzenie zdają się wskazywać w jej wnętrzu na jedną wielką płaszczyznę. Niemasz w niej ani lasów, ani łąk, będących ojczyzną bujniejszego organicznego życia; tylko na niskich pobrzeżach, przy ujściach rzek i u ich źródeł, rozwija się bujna roślinność. Nie przywiązane do jednego miejsca rodzaje zwierząt znalazły na jej rozległych wnętrzach dostatek przestworzy. Tam się pasą mnogie antylopy, ozdoba nie objętych okiem płaszczyzn, przegowate konie czyli zebry i dziwnej, jak widma zwierzęce, postaci girafy, błakające się to samotnie, to małemi gromadkami. Nietylko jednak spokojne rodzaje przeżuwających zwierząt, znajdują się tam jeszcze dzikie hyeny, straszliwe konie rzeczne, szkaradne pawjany. — Olbrzymy ptasiego rodzaju strusie i strojne kury perłowe należą też do osobliwości tej części świata.

Wcale różne od niezmiernych płaszczyzn Afryki są wyżyny południowo-wschodniej Azji z okalającą je gromadą wysp, krainy różnaitości, jakiej podobnej niemasz więcej nigdzie na ziemi. Tutaj olbrzymie, a oraz rozumne, słonie dają znać o niezmierniej żyzności gruntu, zaś krwiożercze tygrysy oznajmują niepowściągliwą żądzę, właściwą stworzeniom, nieznającym udrczenia niedostatku. Tu jest ojczyzna ryżu, najpiękniejszego na ziemi chlebnego nasienia, tu rosną wszelkie rośliny szlachetne: bawełna, herbata, kawa; ztąd pochodzą jedwabniki, piźmowce, kury domowe, bażanty i pawie. Rajske ptaki na wschodzie, a konchy perłowe na zachodzie, stanowią granice żyjącego w pośrodku nich świata zwierzęcego.

Ostatni wreszcie obszar stanowi ląd australijski, z należącym do niego wielowyspiem. Jeszcze osobliwiej od Afryki przedstawia się Nowa Holandia, której braknie wcale zwierząt ssących nie-

należących do gromady workowatych, z wyjątkiem niektórych gryzących i rozpowszechnionego wszędzie psa. Podobnie wyróżnia się ona od wszystkich innych stron świata przez swoje cienko i szarolistne drzewa i przewiewne, niedające cienia lasy. Jej dziobaki, wysokonóżne kangury i opatrzone ryjem wodne psy są jedyne w swoim rodzaju i niemają podobieństwa do żadnych innych istot zwierzęcych. Na wyspach świat roślinny i zwierzęcy jeszcze jest uboższym. Ze zwierząt ssących żadne, zdaje się, nie miało tam swojej pierwotnej ojczyzny. Niemają też one żadnych sobie właściwych rodzajów roślin. Palmy kokosowe i drzewa chlebowe są najpożyteczniejszymi szczepami na tych wyspach; ale niemają one tam równie pięknych kwiatów i soczystych owoców, jak w krajach, z których je przesadzono.

A tak, czy to obejdziemy naszą ziemię od północy ku południowi, czy od wschodu na zachód, wszędzie, tak w świecie roślinnym, jak zwierzęcym, znajdziemy największą różnorodność. Lecz nawet w jednej i tejże okolicy życie roślinne i zwierzęce zmienia się ogromnie, w miarę, jak postępujemy z równin na wyżyny i pasma gór. I tak, kiedy w strefie gorącej będziemy się podnosić coraz wyżej od poziomu morza aż do szczytów, na których leżą wieczne śniegi, to na krótszej daleko przestrzeni, jak w kierunku poziomym, będziemy mieć kolejno przed oczyma przyrodę wszystkich stref umiarkowanych i lodowatych. Już na wysokości 3000 stóp znikają palmy, a natomiast ukazują się drzewa liściowe, właściwe naszym klimatom; dalej im wyżej, tem częściej dają się widzieć drzewa iglaste; potem one jedne tylko przedstawiają świat roślinny. Jeszcze wyżej nad nimi rosną tylko karłowate krzewy, dalej ziółka, trawy i mchy, jak w krainach podbiegunowych, aż jak i w tych śnieżna powłoka rozpościera się, jak całun, na pozbawionej życia organicznego ziemi.

28. Rośliny uprawne w różnych szerokościach.

Ktoby wówczas, kiedy słowo Stwórcy wyprowadziło lądy z łona wód, spojrział na szarą powierzchnię tych lądów, pewnieby niewiele się ucieszył jej widokiem. Dopiero kiedy roślinność okryła ją swoim pysznym i barwistym kobiercem, oko ludzkie mogło z przyjemnością na niej się zatrzymać. Jakaż w tem państwie przyrody przedstawia się nam różnorodność kształtów, wielkości, piękności i barw! Roślinność przedewszystkiem nadaje każdej okolicy ziemskiej powab jej właściwy. Innym on jest na północy, innym pod

palącemi promieniami zwrotnikowego słońca, innym w strefach umiarkowanych. Dość jest na obrazie spojrzeć na wzrost roślin, by poznać, jaką okolicę ziemi obraz ten przedstawia.

Któż policzy te wszystkie rodzaje roślin, jakie ubrały powierzchnię ziemi. Lecz rośliny stanowią nie samą tylko ozdobę ziemi: są one niezbędne do utrzymania na niej życia zwierząt i ludzi. Na osobliwszą naszą uwagę zasługują te, które służą nam do pożywienia. One ta szczególniejszą rozszerzone są na dalekie obszary ziemskie. Nie trzeba myśleć, że same tylko rosnące u nas rośliny ziarniste stanowią wszystkie na ziemi rośliny pożywne. Szukajmy tedy na mappie okolic, w których te, o jakich mówić będziemy, rośliny mają swoją właściwą ojczyznę.

Najdalej na północ zachodzi jęczmień. Znajdujemy go w północnej Szkocji, na wyspach Orkadzkich i Szetlandzkich, a nawet na wyspach Faroer. W Laponji sięgają go aż pod 70° szerokości, w Rossji europejskiej granicą jego idzie między 67° a 68°, w Syberji między 58° i 59°; a w Kamczatce dochodzi tylko 57°.

Daliej w większej części północnej i całej średniej Europie, szerzy się żyto i owies. W Szwecji i Norwegji uprawa tych zbóż sięga aż do 65°, a nawet dalej. Lecz najważniejszem dla Europy zbożem jest pszenica, którą już od niepamiętnych czasów uprawiano w Małej Azji i Egipcie. Na północ uprawa jej sięga w Szkocji 58°, w Norwegji 64°, w Szwecji 62°, w Rossji 60°. W krajach gorących Europy południowej pszenica uprawiana bywa jeszcze przynajmniej w okolicach górzystych.

Jak w strefach umiarkowanych dokoła miast i wsi leżą uprawne grunta żytnie i pszenne, tak w strefach gorących miejsca ich zajmują pola ryżowe. Ze wszystkich rodzajów zboża najbardziej rozpowszechnionym jest niewątpliwie ryż. Pierwotną jego ojczyznę zdaje się być południowa Azja. Stanowi on chleb dla Indji, Chin i Japonji. Lecz nie tylko w południowej i wschodniej Azji, jest on też najgłówniejszym ziemiopłodem i w północnej Afryce, Włoszech, Grecji, południowej Francji, Hiszpanji i Portugalji. W Ameryce, od południowej części Brazylii, aż do średnich części Stanów Zjednoczonych, znalazł on dla siebie nową ojczyznę. Tak ryz stał się dla wielu i wielkich społeczności ludzkich głównym i niezbędnym środkiem wyżywienia. Uprawa jego w dobre położonych okolicach może dochodzić aż do 45° szerokości północnej.

Obok ryżu, najurodzajniejszą i najpożyteczniejszą rośliną zbożową jest kukurydza, lub turecka pszenica. Pierwotną jej ojczyznę jest zdaje się Ameryka. Ztamąd rozeszła się ona szybko po starym świecie w Indyach, Chinach, Japonji, w całej strefie zwro-

tników i przyległych jój krajach strefy umiarkowanej. W strefie gorącej Ameryki uprawa jój bywa nawet na wysokościach 12,000 stóp. W Ameryce północnej sięga ona 54° szerokości, a w Europie udaje się jeszcze nad Renem i w Marchji Brandenburgskiej. W strefach umiarkowanych daje ona od 80 do 100, a w gorącej do 400 ziarn.

Potem idzie drzewo Pisang, albo Banan, zdobne olbrzymiemi liśćmi i pięknemi kwiatami, mające wiele rodzajów, płód strefy zwrotnikowej, sadzone oraz po plantacjach. Owoce jego, będące w wielu krajach główną żywnością, jedzą surowe, albo pieczone i smażone w maśle. W większej części rodzajów mają one smak słodki, w innych nieco kwaskowaty i cierpki.

Po Bananach idzie Palma daktylowa, odznaczająca się niezwykłą mnogością owoców i będąca błogosławieństwem dla krajów gorących: dla północnej Afryki, Syrii i Arabji Szczęśliwej. Wązka przestrzeń, ciągnąca się między pasmem gór Atlasu i piaskami Sahary, jest właściwą ojczyzną téj sławnej palmy i przeto zowie się krajem daktylowym. Na oazach wielkiej pustyni, daktyle są najpożądańszym pokarmem dla podróżnych i ich jucznych zwierząt i we wszystkich krajach od 29° do 35° szerokości północnej słodkie jego owoce mają smak niezrównany.

Dalej na południe palmę daktylową zastępuje palma kokosowa, królowa lasów strefy gorącej. Ojczyzną jój zdają się być wyspy podrównikowe, między Azją i Australją. Obecnie to przepyszne i pożyteczne drzewo znajduje się nietylko we wszystkich podrównikowych krajach starego świata, mianowicie na wyspach Ceylon, Sondskich, Molukskich, ale i w Ameryce na wyspach Antylskich i w Brazylii. Świeży i dojrzały owoc téj palmy zawiera sok czysty, chłodzący i bardzo smaczny. Później w orzechu tworzy się jądro, ze smaku podobne do słodkiego migdała. Palma kokosowa da się porównać do renifera, albowiem daje człowiekowi wszystko, czego mu potrzeba do życia. Inne palmy, jak sagowa, mają w swoich pniach mączkę Sago, która mieszkańcom tych krajów, gdzie są całe lasy takich drzew, daje obfitą i dostającą się bez pracy żywność.

Strefa gorąca ma jeszcze inny rodzaj drzewa, dostarczającego niemniej obfitego pożywienia, i przeto zwanego chlebowem. Znajdujemy je na wyspach archipelagu Indyjskiego i innych w pasie zwrotnikowym. Ziarno jego, cokolwiek większe od dzikiego kasztana, leży w smacznym owocu, okrytym twardą łupiną. Ten owoc niezupełnie dojrzały, upieczony na ogniu, ma smak bulki pszennej. Po bananach drzewa chlebowe wydają najwięcej owoców. Trzy takie drzewa mogą wyżywić człowieka przez 8 miesięcy.

Ze wszystkich jednak roślin pożywnych, najbardziej rozpowszechniły się po całej ziemi kartofle. Pierwotnie w stanie dzikim znaleziono je w Ameryce w Peru i Chili. Dziś sadzą je w całej Europie aż do najdalszej północy, nawet w Islandji, gdzie niedojrzałe jęczmień, na wyżynie Indyjskiej, w Chinach, Japonji, na wyspach oceanu Wschodniego, w Australji i w większej części Ameryki. W Andach kartofle rodzą na wysokościach od 9 do 10,000 stóp nad poziomem morza. Dla wielorakiego ich użytku, stały się one w czasach obecnych dla ludzi płodem najpożyteczniejszym i niezbędniejszym.

29. Rozmaitość środków pożywienia.

Niemasz takiego państwa w przyrodzie, na które podniebienie człowieka nie zwróciło swojej uwagi. Są narody, które żyją głównie ziemią, inne roślinami, a inne wszelkimi rodzajami zwierząt. Podobnież człowiek przebiera wszystkie rodzaje świata zwierzęcego. Okazuje się z tego, iż człowiek jest stworzeniem wszystkożernem.

Ze są ludzie jedzący nawet ziemię, to widzimy w Ameryce na równinach Orinoko. Tam w pośród dzikiej i wspaniałej przyrody, żyją ludy nieznające rolnictwa, a żywiące się mrówkami, żywicą i ziemią: wyrzuty ludzkości Otomaki i Jarury. Ziemia, pożerana przez nich, jest tłustym miękkim iłem, prawdziwą gliną garncarską, zabarwioną cokolwiek niedokwasem żelaza. Z takiej ziemi lepią oni kulki, które opiekają na wolnym ogniu, dopóki z wierzchu się nie zarumieniają, a do jedzenia znowu je zwilżają wodą. Indyjanie w Ameryce, którzy tylko przy opadaniu wody w swoich rzekach karmią się rybami i żółwiami, są po większej części ludami dzikimi, gardzącymi hodowaniem roślin. W najpółnocniejszych okolicach Szwecji, używają ziemi, złożonej z wymoczków, za mąkę do chleba. Finnowie zwykli też dodawać jój obficie do mąki ze zboża. W ziemi Samarang na wyspie Jawa, mieszkańcy jedzą też il, który się sprzedaje w zapiekanych rurkach, podobnych do cynamonu. Taki szczególniejszy smak rozpowszechnił się u wielu ludów. Jemu to przypisać należy, że murzyni w Surinam z upodobaniem gryzą gliniane fajki holenderskie.

Wyżej nierównie stoi człowiek żyjący roślinami. Kiedy ziemiozerca pozostaje dzikim, w całej istocie roślinozerca objawia się łagodność właściwa jego pożywieniu. Do tych należą Ilindusy w Indji, wyrabiający z niesłychaną cierpliwością najcieńsze muszliny, wyrównyujące delikatnością tkance pajęczej. Jeśli tym religja

nakazuje poprzestawać na roślinnem pożywieniu, to wypiarze oceanu Wschodniego ograniczeni są do takiej strawy koniecznością, mając tylko drzewa chlebowe. Jakkolwiek jednak łagodność tych narodów byłaby do życzenia nam mięsożerom, niemamy powodu zazdrościć jej z innych względów tak im, jak i Celtom w Irlandji, żyjącym kartofłami, a którzy, jak i Hindusowie, dostali się pod niełagodne panowanie mięsożernych Anglików.

Tymczasem większa część ludzkości od dawna zwróciła się ku najwłaściwшему dla siebie pożywieniu: mięsem połączonem z roślinami. Każdemu większemu rodzajowi zwierzęcemu człowiek poświęcił najpilniejszą uwagę, ze względu na swój stół. Wybrał on dla niego porówno tak niższe zwierzęta brzuchowe, jako i rozmaicie ukształtowane członkowo i muszkularne grzbietowe. Najobrzydliwsze dla jada mięso mają niewątpliwie ślizge galaretowate ślimaki. A tymczasem we Franji, Belgji, Szlązku, Bawarji, Szwajcarji, Włoszech, mnóstwo ich hodują po ślimaczarniach i spożywają, chociaż więcej suchotnicy niż zdrowi. Niezmierne mnóstwo jest łakomców na ostrygi. Ale jeszcze trudniej pojąć smak Chińczyków, którzy jedzą pewne okrągłe szczególniejszego kształtu robaki morskie. Daleko bardziej rozpowszechnionem jest pożywanie zwierząt członkowych; lecz używanie takiego pokarmu zdradza niewielki stopień wykształcenia. Indyjanie peruwjańscy, jedzący z upodobaniem wszy, Hottentoci i inne narody afrykańskie, mające też wielką skłonność do takiego robactwa, stoją na najniższym szczeblu ludzkości. Również i te narody afrykańskie, które jak Buszmani żyją prawie samemi szarańczami. Używaniu na pokarm mrówek, w Indyach Wschodnich i Brazylii, zawdzięczamy zapewne kwas mrówczany. W Indyach Wschodnich szczególnież ludzie starzy i osłabieni krzepią się mrówkami, co nam przypomina też podobne używanie chrabąszczów. I te, wraz z białemi mrówkami, spożywają bardzo na wyspie Jawa. Na wyspie Ceylon jedzą pszczoły. Mieszkaniec Nowej Kaledonji pożera długie na cal pająki, a w Nowej Południowej Walji jedzą mole, które po ostrząszeniu z kurzu miszą i pieką. Jedwabniki są przysmakiem na wyspie Madagaskar, a inne robactwo drzewne w Japonji. Chińczycy wyciągają na swój stół poczwardki brzydkich much, legnących się w zgniłych rybach na morskim brzegu. Humboldt widział w Indyach dzieci, pożerające stonogi, mające 18 cali długości a $\frac{1}{2}$ cala szerokości. Indyjanie z nad Orinoko smakują też bardzo w poczwardkach owadów, które wyciągają chciwie z ziemi.

Od ryb poczyna się stół szlachetniejszy. Zwierzęta ziemnowodne, których byt ani jest zupełnie ziemnym, ani zupełnie wod-

nym, przedstawiają i dla pożywienia coś połowicznego. Tylko żółwie ze swoim delikatnem mięsem i pełnemi tłuszczu jajami, stały się ulubionym przysmakiem stołów ludzi wykształconych. Swobodni mieszkańcy powietrza już od najdawniejszych czasów dostarczali najwięcej ofiar dla kuchni człowieka, ale prawie wyłącznie tylko z ptactwa roślinożernego. Mięsożernych chroniło od takiego zaszczytu ich tranowate mięso, jakkolwiek użycie tranu rozpowszechniło się bardzo, niektóre ludy, zwłaszcza północne, uważają go za największy przysmak i bywa on nawet poczytanym za lekarstwo. Wiadomo jednak, iż te ludy, zapewne od takiego pokarmu, podlegają nader silnemu poceniu się i co idzie zatem, wielce są niechlujne. Takiu zawsze jest człowiek, jaka żywność, z której wyrabia się jego ciało. Wykształcony potomek szczepu kaukazkiego brzydzi się unikającymi dziennego światła myszami, szczurami i kretami, kiedy potomek szczepu mongolskiego bierze takowe na swój stół. W Chinach szczury, karmne jak świnię, bite i wynoszone na targi, stanowią mięso drogie, przeznaczone tylko dla Mandarynów. I z pomiędzy zwierząt ssących człowiek wybiera z wielką uwagą. Te on lubi najbardziej, które żywią się szczególnie roślinami. Do małp ma wstręt, który chyba niepowściągniony głód zdoła pokonać, właśnie dla tego, iż mają one, choć potworne, podobieństwo do człowieka. Samego człowieka ochrania przed jego własnym zębem to jedynie prawo przyrody, które nie pozwala żadnemu stworzeniu karmić się podobną do siebie istotą. Wszakże, jakby na dowód, że człowiek spaść może niżej jeszcze od zwierząt, są na niektórych wyspach Ameryki i Australji ludy dzikie, oddane ludożerstwu i gwałcące to prawo, któremu nawet bezwiednie są posłuszne i najdziksze potwory leśne.

Według K. Mullera.

30. Syberja.

Grunt Syberji jest w ogóle nieurodzajny, pokryty stepami, zamrzniętymi moczarami i ogromnemi lasami sosnowemi i modrzewiowemi. Część południowa ma klimat wygórowany, odznacza się jednak w wielu miejscach swoją żyznością. Zstępując z lodowatych szczytów gór Ałtajskich, widzieć się dają rozległe równiny, zraszane przez wspaniałe rzeki, które wszystkie płyną na północ, jakby tęp wskazując swoje przeznaczenie: nieść zapasy i środki do życia tej bezpłodnej i daleko ciągnącej się północy. Żaden pagórek niezastania rozległego widnokregu, zdającego się stykać z niebem, a równina

blyszczy najbogatszymi barwami. Tamto rośnie z kwiatem purpurowym Iris syberyjska, która tworzy podstawę tego świetnego pokrycia, otoczonego w całej swojej rozległości jaskrawcami w kwiatkach złotych i anemonami, z kwiatem narcyżu blasku srebrzystego.

Przeszedłszy grzbiet Uralu, podróżny jest w Syberji. Jedno z głównych jej miast Jakutsk, lubo pod tą samą szerokością co Amsterdam i Berlin, okazuje klimat bardzo ostry. Spuszczając się ku oceanowi lodowatemu, podziwiamy rzekę Lenę, owę wielką arterję, która przedziela Syberję i płynie krajem górzystym w pośród brzegów malowniczych. Oko widzi na pochyłościach gór pola uprawne, gęste lasy, niżej łąki, ogrody, wyspy okryte drzewami, i wreszcie chaty mieszkańców. Kireńsk, obdarzony nazwą miasta, jest tylko nędzną wioską, dostarczającą Jakutskowi wybornej kapusty, rzepy, ogórków i kartofli. Ogrody urządzają tam w taki sposób, aby je zasłonić od wiatrów północnych i wschodnich. Olekma, nad rzeką tegóż nazwiska, jest głównym handlem futer, jakimi są sobole i czarne wiewiórki. To miasto leży na granicy północnej ziem uprawnych. Za Olekmą mieszkańcy brzegów Leny niemają innych środków wyżywienia się, jak chów nielicznych trzód, polowanie, a nadewszystko rybołówstwo. Dla tego też tameczni wieśniacy mają widok opłakany, pokryci są łachmanami i wycieńczeni przez niedostatek i nędzę.

Miasto Jakutsk, założone i zamieszkałe przez kozaków, ma kilkaset mieszkańców, znanych z gościnności, ale rzadko komu mogących ją okazać. Tam, również jak w całej Syberji, użytek szkła jest nieznany. Zastępują go taflami lodu, spojonego w ramie kwadratowej za pomocą śniegu i wody; siła bowiem mrozu sprawiłaby pęknięcie szkła. Lubo Jakutsk jest miejscem środkowym handlu, ulice jego są puste, ponury smutek maluje się nie tylko na twarzach mieszkańców, ale nawet na murach domów. Po za tem miastem drogi są niegodziwe, wszelako w pewnych odległościach można napotkać jeziora z wodami przezroczystymi, ocienione modrzewiami. W tych rozległych pustyniach powietrze jest w ciszy, zaledwo przerywanej lotem ptaka, albo skokiem wiewiórki wśród liści drzew. Nakoniec widok wioski przerywa smutne myśli podróżnego. Wznosi się ona na równinie, gdzie pasą się liczne trzody wśród obfitych pastwisk. „Tam, mówi admirał Wrangel w swojej podróży, widziałem jednego Jakuta, mającego więcej jak 500,000 rubli majątku, który, wierny zwyczajom swojej miejscowości, skulony blisko Czuwali, zajadał mięso końskie i pił mleko kobyłe (Kumys).“ Ten napój rozpowszechnionym jest bardzo u narodów pasterskich pochodzenia tatarskiego. Na szczęście Jakut niezna sztuki robienia

go upajającym. W czasie wolnym opuszcza on swoją chatę na kilka dni, biorąc z sobą na pokarm tylko dostateczną ilość kumysu.

Piękną wioskę wkrótce zastępuje okolica pusta, poprzecinana niebezpiecznemi bagniskami, potem przebywa się ciemny las modrzewiów, wierzb i osiny, gdzie panuje milczenie grobowe. Na pochyłościach gór i w dolinach rosną liczne cedry karłowate, których owoc drobny i soczysty chciwie jest poszukiwany przez niedźwiedzie i wiewiórki; potem następują lasy cedrowe i sosnowe, wypełnione cietrzewiami i kuropatwami, nareszcie równiny pokryte wierzbami, brzoza, świerkami i topolami, wielkości i grubości kolosalnej.

Z Jakutska do Niżnego Kołymska, po najtrudniejszej podróży natrafiamy na ogromny łańcuch gór Werchojanskich, wznoszący się prawie kończato, najeżony skałami nagimi, poprzerzynany wąwozami pełnemi śniegu. W zimie podróży nieraz zaskoczonym bywa przez gwałtowne wichry, które, wypadając z dna przepaści, obalają w nią konie i jeźdźców. Ten łańcuch składa się cały z pokładów czarnego łupku i tworzy pod względem leśnym przedział widoczny. Na pochyłości południowej widać wznoszące się sosny i świerki, gdy tymczasem cedr, topola, brzoza i wierzba rosną na pochyłości przeciwnej. Admirał Wrangel, w czasie swojej trzygodzinnej przeprawy, miał piękną pogodę. Słońce wznosiło się na czystym niebie, skały, pokryte sopłami lodów, jaśniały tysiącem światła, lecz powietrze było napełnione lodowatemi igielkami, podobnemi do świecących blaszek. Ze szczytu widać na północ rozległą płaszczynę, zraszaną przez rzekę Jana, która bierze początek w górach Werchojanskich i wpada do oceanu Północnego.

Idąc brzegami rzeki Jana, admirał Wrangel natrafił 25 Września na nędzną budę z gałęzi, przeplataną i pokrytą liśćmi. Zdało mu się, że jest pusta, lecz jakże się zdziwił, znajdując że jest zamieszkaną, nawet w zimie, przez Tunguza i jego córkę z dwoma psami. Polowanie na renifery było ich jedynym sposobem utrzymania się. Aby powziąć wyobrażenie o okropnym życiu tych istot, potrzeba przenieść się myślą do tych pustyni lodowatych i do tej budy otwartej i wystawionej na wszystkie zmiany powietrza. Podczas gdy ojciec, opatrzony w łyżwy, puszczał się w las na ściganie reniferów i nie zawsze pomyślnie, nieszczęśliwe dziecko pozostawało samo, opuszczone przez kilka dni, zaledwie okryte i bez żywności w nędznym szałaszu, który nawet w lecie byłby niedostateczną ochroną od deszczu i burzy.

W miarę jak się posuwamy na północ, grunt jest już tylko bagnistą pustynią, zupełnie niepodobną do przebycia w czasie desz-

czów. Oko niewidzi tam ani jezior, ani łąki w szystko ma cechę smutną. Blisko brzegów Kołomy wznosi się miasto Średni Kołymsk, złożone z kilkudziesięciu domów i jednej cerkwi, zamieszkałe tylko w zimie, podczas lata bowiem cała ludność opuszcza je, udając się na polowanie i połów ryb. Z powodu braku żywności, mieszkańcy byli zmuszeni zmniejszyć liczbę psów. Połów śledzi w Kołymie mniej teraz jest korzystnym, niż był kiedyś. Na skalistych brzegach téj rzeki widzieć można kwitnące: wierzbówkę szerokolistną (*Pilobium latifolium*) i rosące: krwiściąg (*Sanguisorba*), których korzenie mieszkańcy używają za pokarm. Do Niżnego Kołym-ska już nienapotykamy ani łąk, ani lasów wysokopiennych: tu i ówdzie tylko rosną niskie i nieforemne krzaki; potem, aż do morza lodowatego, nic nie widać oprócz mchów. Dwóch dni potrzeba do przebycia drogi z Średniego Kołymska do Niżnego Kołymska. To ostatnie miasto założone r. 1644 przez jednego kozaka z Jakutska, Michała Stadukina, składa się też z kilkudziesięciu domów i jednej cerkwi i jest stolicą obwodu większego od niejednego z państw niemieckich, a którego ludność nie dochodzi i 3 tysięcy.

W Niżnym Kołymsku, w którym admirał Wrangel zostawał trzy lata, słońce bawi nad poziomem przez 52 dni, to jest od 15 Maja do 6 Lipca; zaś 22 Listopada zaczyna się noc, trwająca do 28 Grudnia. Te jednak noce są oświetlane świetną białością śniegu i wspaniałemi zorzami północnemi, prawie codziennemi. Prawie ciągle zima panuje w tych okolicach, których klimat o tyle jest różnym od klimatu Petersburga, o ile klimat tego ostatniego różni się od klimatu Paryża. Wszystko tam już oznajmia, że się przeszło granicę świata mieszkalnego. Rzadkie i karłowate krzaki, które jeszcze się napotykało tu i ówdzie, tam znikają zupełnie. Oko nie widzi już nic, prócz płaszczyzny równej i bez granic, której okropną jednostajność przerywają tylko zasadzki na lisy, kilka nędznych chat dla schronienia łowców, albo też krzyż drewniany, wznoszący się samotnie na tym rozległym cmętarzu przyrody. Niepodobna jest opisać, mówi admirał Wrangel, wrażenia, jakie sprawia ta pustynia, niedająca się z niczém porównać; a podróżny który ją przebiega, strudzony szukaniem jakiegobądź przedmiotu, na którymby mógł zatrzymać swój wzrok, cieszy się z nadejścia nocy, która sprowadza przynajmniej zmianę i osłania swoim cieniem tę niezmierną białą powłokę, równie przykrą dla oczów, jak jednostajną.

Dla mieszkańców Niżnego Kołymska, środek Marca jest początkiem wiosny, co nie przeszkadza, by termometr wskazywał w południe — 30° R. W jesieni, która się zaczyna we Wiześniu,

rzeki marzną, a termometr spada na — 44° R. W ciągu lata wierzba karłowata wypuszcza małe listki, żółte kwiatki na tundrach otwierają się, brzegi Kołomy pokrywają się nieco trawą bladozieloną, upał niekiedy dochodzi do 22° R., lecz gdy powieje wiatr północny, słaba ta zieloność żółknie, kwiaty więdną i opadają. Potrzeba przytem uważać, iż te bagniska, podczas krótkiego lata, nieodmarzają nigdy zupełnie, a tylko do pewnej głębokości. Można przeto powiedzieć, iż cała północna Syberja spoczywa na wiecznych lodach.

Wreszcie przyroda zdaje się tam mieć upodobanie dokuczać latem. W całej Syberji wznoszą się miliony much kłujących (mustyków), podobne do chmur latających, które zaciemniają niebo i są udrczeniem nieszczęśliwych mieszkańców. Te owady zmuszają renifery do wychodzenia tysiącami ze swoich lasów i przebiegania na pół odmarzłych tundr, aby dostać się do brzegów morza. Jedynym środkiem ochronnym od natręctwa tych niezdolnych żyjątek, jest podkładać ogień pod nałożone stopy mchów i zielonych drzew, z których dym jest im niemiłym. Admirał Wrangel w swojej podróży widział wiele lasów, palących się na rozległości przeszło 100 kilometrów. Olbrzymie sosny i modrzewie przedstawiały się, jak ogromne słupy ogniste. Takie pożary powstają bardzo często w Syberji przez niedbalstwo podróżnych, którzy na noclegach pod otwartym niebem zawsze rozkładają ogień i nie zadają sobie pracy gasić je przy opuszczaniu swego koczowiska. Powiadają też, co nie do pojęcia będzie gospodarnym mieszkańcom Europy zachodniej, iż sami mieszkańcy umyślnie zapalają całe lasy, aby tumany dymu wypędzały roje mustyków.

Mgły, wznoszące się z wód morskich, gdy te zamarzają, co bywa w Październiku, łagodzą nieco temperaturę. W Listopadzie zimno jest bardzo ostre. Wiatr północny wieje prawie ciągle i pędzi chmury śnieżne i zadyмки, tak zwaną kurzawę śnieżną, która pada płatkami i pokrywa drogi tak, iż wszelki ślad ich znika. W Styczniu termometr spada często na — 50° R. Taki mróz tamuje oddech. Dziki renifer cofa się naówczas do najdalszych głębi lasu, gdzie zostaje w stanie bezwładności letargicznej.

W Syberji piękność królestwa zwierzęcego walczy z nędznym stanem roślinności. Lasy pełne są reniferów, łosi, niedźwiedzi brunatnych i czarnych, lisów, wiewiórek i kun sobolowych. Wilki i izatysy, to jest lisy błękitne, przebiegają puste płaszczyny. Na wiosnę przylatują tam liczne stada łabędzi, gęsi i dzikich kaczek. Orły, wielkie puhacze i mewy uganiają się za swoją zdobyczą wzdłuż brzegów morza. Około mieszkań widzieć można stada

kruków, pod krzakami gromady białych kuropatw, a na mchach po łąkach liczne roje pindrów i małych bekasów. Pomimo to jednak krajobraz jest pęsepnny, nieożywiony, milczący jak grób.

Pomimo urzędzenia tego rozległego kraju, pełnego mądrości i filantropji, ostrość klimatu i niepłodność ziemi, czyniące sposób utrzymania się trudnym i nędznym, stawiają niepokonane przeszkody znacznemu powiększaniu się tamecznej ludności. Troskliwość o zapewnienie sobie utrzymania jest pierwszym i prawie jedynym celem dla mieszkańca Syberji. Na brzegach morza lodowatego z trudnością tylko, w krótkim ciągu szybko ubiegającego lata, kobiety zdołają zebrać niektóre aromatyczne rośliny, jagody i pożywne korzenie, które się w rychle wyczerpują. Przechowują one w lodzie górskie czernice, które mają smak wyborny i zaopatrują się w żywność z upolowanych zwierząt, a szczególnie z rybołówstwa. Gdyby nie obfitość ryb w ogromnych rzekach syberyjskich, to z pewnością ludzie tam niemieliby co jeść. Polowanie dzieli się na wiele peryodów. Zaczynają od kaczek, potem idą gęsi, a nakoniec łabędzie; nadto stawiają zasadzki na renifery i izatysy. Rybołówstwo obejmuje również wiele epok i przedstawia obrazy ożywione i przypadki zajmujące. Wiosna w Syberji jest porą najcięższą, gdyż wszystkie zapasy połowu jesiennego bywają wtedy wyczerpane; rzeki niedostarczają jeszcze ryb, dopiero bowiem w Maju Kołyma i inne rzeki syberyjskie łamią swoje lody; przedmioty osiągnięte polowaniem są drogie i niedostateczne. Głód przeto czyni straszne spustoszenia między temi ludami nędznymi i godnymi politowania. W takich miejscowościach wszyscy ludzie są sobie równi przez ubóstwo, niedostatek i cierpienia. Mieszkańców zamożniejszych wyróżnia tylko chata, czysto utrzymywana i dobre okrycie. Ubiór kobiet różni się od ubioru mężczyzn tylko cienkością zwierzęcych skór.

Główne pokolenia Syberji składają Samojezy, Tunguzy, Jakyty, Jukahiry, Czukcze i Kamczadale. Wszyscy oni są pochodzenia fińskiego i tatarskiego. Rossjanie są wygnańcami, albo synami wygnańców. Pomimo związków zawieranych z krajowcami, których przyjmują zwyczaje i ubiór, odróżniają się od nich rysami twarzy, silną i kształtniejszą budową ciała i wysmuklejszym wzrostem. Włosy mają pospolicie jasno-rude, których nie widać nigdy u krajowców. Odnaczają się też wczesną pojętnością, rzadkim darem naśladowania, żywością i wesołością, gdy tymczasem krajowcy zwykle są pęsepnni i smutni. Kobiety, nawet w Niżnym Kołymsku, zajmują się troskliwie swoją toaletą i wiele z nich jest nie bez wdzięków.

Namiętność palenia tytoniu wspólną jest zarówno mężczyznom, jak kobietom. Poszukują oni nawet najmocniejszego tytoniu, tak zwanego czerkaskiego, którego dymem zaciągają się, to jest połykają go, co sprawia pewny rodzaj odurzenia, które niekiedy sprawdza napady szaleństwa. Kumys (mleko kobyły) jest napojem mało upajającym; dla tego przekładają nad niego wódkę, której starają się nabyć za wszelką cenę. Pomimo niedostatku, krajowcy zbudowani są silnie i mają wzrost większy od średniego. Choroby między nimi są rzadkie, a starcy zachowują czerstwość do późnego wieku. Najwięcej do tego się przyczynia przebywanie prawie ciągle w ruchu i na wolnem powietrzu. Rysy i mowa Jakutów wykrywają początek tatarski. Jest to naród pasterski w całym znaczeniu, utrzymuje liczne trzody, lubi namiętnie polowanie i w niem rozwija rzadką biegłość, równie jak odwagę nieugiętą. Zahartowany niedostatkiem Jakut, podróżując wśród zimy, niebierze z sobą namiotu, na noc rozciąga sobie nakrycie swojego konia na śniegu, a siodło służy mu za poduszkę. W ten sposób śpi on pod gołem niebem, przy mrozie od 25 do 40 stopni. Głód on znosi do niewypowiedzianego stopnia. Dla tego też Jakutów nazywają ludźmi żelaznymi. Zresztą potrzeba, siła woli, a nadewszystko przyzwyczajenie, stawiają człowieka wszędzie w możności zwyciężać wszystkie rodzaje trudów, a nawet największe cierpienia fizyczne. Po spędzeniu kilku tygodni pod gołym niebem, admirał Wrangel równie jak i tameczni mieszkańcy, kończy przeświadczeniem, że mroz na 25 stopni jest temperaturą łagodną.

Czytając podobne szczegóły, próżno staramy się sobie wytłumaczyć, jakim sposobem niektóre ludy przeszły po za granice świata mieszkalnego, by osiedlić się w tych lodowatych pustyniach. Żaden pomnik, żaden opis historyczny nie mówi nam, czem kiedyś były te okolice. Podanie ciemne utrzymuje, że brzegi Kołymy były niegdyś ojczyzną narodu, który liczył więcej ognisk, aniżeli jest gwiazd na niebie. Jakoż znajdujemy tam, osobiwie nad brzegami Indihirki, jakieś dawne okopy i wielkie mogiły. Miejscowi ctarcy powiadają, że ci dawni mieszkańcy byli narodem Omoków. Czyż w epokach przedhistorycznych warunki klimatyczne tych okolic były różne od tych, jakie są obecnie? Czy bieguny ziemi zeszyły ze swego miejsca, czy kula ziemiska oziębiła się. Pytania siemne, na które wiedza ludzka nie daje dostatecznej odpowiedzi.

Z podróży bar. Wrangla.

31. Kirgizy i ich życie.

Kirgizy dotychczas są narodem koczującym, który, zamieszkując niezmierne stepy środkowej Azji z kilkoma innymi plemionami jednego z nich pochodzenia, usposobienia, sposobu życia i obyczajów, przebiega je w kierunkach rozmaitych. Cała przestrzeń od gór Uralskich, do jeziora Bałkasz Nor i od jeziora morza Kaspijskiego, do gór Ałtajskich jest ich ojczyzną. Dawniej składali oni wielkie hordy pod rozkazami chanów. Teraz podzieleni są na małe hordy, które złożone z 5 do 10 rodów, przeciągają na wysokich dwukołowych karach za swojemi trzodami, rozbijając swoje namioty tu i ówdzie, gdzie jest woda zdatna do picia. Przypadkowo zbierają się oni w większe hordy, poczem także przypadkowo dzielą się i znowu się zbierają. Niekiedy zdarza się napotykać i jedną rodzinę, z małą trzodką, samotnie błakającą się po rozległych stepach.

Biedne mieszkania tego ludu bywają urządzone tak praktycznie, jak tylko może tego dokazać naturalny rozsądek i długie doświadczenie. We trzy do czterech godziny rozbijają oni swoje namioty, a jeszcze prędzej je zbierają i układają na wozy.

Taki namiot, zwany kasza, jest w formie dzwona, zajmuje przestrzeń od 150 do 200 stóp kwadratowych i w środku ma wysokości od 10 do 12 stóp. Szkielet jego kładą mnogie drewniane słupy, powiązane rzemieniami. Na te kładą wołłoki, grubości niekiedy cała i obwiązują je taśmami lub powrozami, plecionymi i kręconymi z końskiej włosieni. Wchód zakrywa także wołłok, podszyty płótnem. W górnem pokryciu namiotu, pośrodku nad ogniskiem, które stanowi para kamieni, lub przedstawia żelazny trójnóg, bywa otwór na 2 lub 3 cale, odkrywany i zamykany za pomocą dwóch sznurków z włosieni i służący tak dla wypuszczania dymu, jako i dla wpuszczania światła.

Namiot przytwierdzony bywa mocno do wbitych dokoła w ziemię pali i dzięki swojej dobrze obmyślanej formie, opiera się wszelkim wiatrom i nieprzepuszcza deszczów. Na zimę okrywają go podwójnymi i potrójnymi grubymi wołłokami i od spodu obkopyją śniegiem. Na opał Kirgizy używają suchego krowiego i końskiego nawozu.

Wnętrze takiej kaszy przedstawia jedno z drugim całe gospodarstwo domowe Kirgiza. Okrycia wołłokowe, kozuchy baranie, kociołek, różne łachmany, pilśniowe czapki i obuwia, drewniane sprzęty i skrzynie, siodła i inne rzeczy leżą rozrzucone bez żadnego porządku i ośzczędstwa. Wołłoki zaścielają tylko część

namiotu, gdzie jest miejsce do spania; zresztą wszędzie jest goła ziemia, która wyschła i rozruszana okrywa wszystko kurzawą. Palący się na ognisku nawóz napełnia całą kaszę dymem, który nie ze wszystkim wychodzi przez otwór, a prócz tego daje się w niej czuć pewny szczególny zapach kwaśny, który w nocy bywa obrzydłym, kiedy w tak szczupłym miejscu śpi niekiedy osiem osób. Różnego rodzaju robactwo gnieździ się w kozuchach, wojskach



Rodzina kirgizka.

i nawet okryciach namiotu. Szczególniej w zimie nieznośnem jest mieszkanie w takiej kaszy, do której biedniejsi muszą zabierać i mieścić obok siebie młode cieleta, jagnięta i źrebięta. Dla tego chorujący na piersi, których lekarze wysyłają w te stepy na picie kumysu przez dwa lub trzy miesiące, każą rozbijać dla siebie osobne namioty, by przynajmniej tylko z owadami mieć do czynienia. Wyjątkowo jednak dają się widzieć kasze, których wewnątrz wygląda wcale inaczej. Na ziemi rozpostarte są drogie perskie kobierce,

a po ścianach piękne opony, pod którymi są dokoła materace i poduszki do siedzenia, na stoliku stoi piękny przyrząd do herbaty, a pod ścianą niskie łóże, zabezpieczone licznymi zasłonami od komarów. Taki namiot bywa zwykle własnością jakiego bogacza, który więcej bawi po wielkich miastach, a najczęściej jakiego zamożnego kupca, podróżującego w tych stepach dla handlu, albo i dla rozrywki.

Niezbędny sprzęt domowy w każdej zwyczajnej kaszy stanowi Tursuk. Jest to wór skórzany, obejmujący do 10 wiader i zawierający w sobie kumys. W nim też on się i gotuje.

Kumys stanowi główne pożywienie Kirgizów. Jest to mieszanina mleka krowiego, owczego, a głównie kobyłego, która przez 8 do 14 dni burzy się i kisię. Przez cały ten czas kłócą ją silnie po kilka razy na dzień długim kijem, mającym na końcu łopatkę, co powtarza się zresztą i przy każdym nabieraniu jej do jedzenia. Kumys ma woń kwasu, a smak podobny do maślanki i tak jest nasycającym, iż kto pije go poraz pierwszy, nie w stanie jest wypić go więcej nad jedną zwyczajną szklanekę. Ludzie jednak słabi, którzy zrazu nieznajdują w nim żadnego smaku, wkrótce mogą bez wielkiego wysilenia pić go i po 8 i 10 szklanek i znajdują go smacznym. Kiedy go napije się do sytości, czuje się cokolwiek podchmielonym, osłabionym, ale bez senności, tylko ociężałym do ruchu, mówienia i myślenia.

Bez kumysu Kirgizy nie mogą wytrwać ani chwili. Czy to pastuch wygania trzodę na pastwisko, bierze z sobą mały tursuk pełny. Czyto Kirgiz wyjeżdża gdzie choć na krótko, niezbędny tursuk jest przy nim z pewnością. W każdej chwili dzieci i wyrostki żłopiają go z miseczek. Kiedy przychodzi kto do Kirgiza w odwiedzinę, ten przyjmuje go zaraz kumysem. I ludzie bywają w stanie pić go bardzo wiele. W ciągu trzech do czterech godzin przy miłej pogadance, albo i bez nięj, siedzą na podebranych pod siebie nogach przy ognisku, wypijają go oni po 8 i 10 mis, z których każda mieści kwartę albo i więcej.

Wiosną i latem, kiedy bywa dość mleczywa, wyrabiają oni z krowiego i owczego mleka sér bardzo tęgi, który suszą na słońcu i chowają na zimę. Ponieważ niema u nich oznaczonej pory na jedzenie, zawsze przeto taki sér jest u nich w rękę i tak w ciągłym bywa użyciu jak kumys. Z mąki smażą oni na maśle coś w rodzaju pączków. Chleb widać u nich rzadko.

Przy uroczystych sposobnościach, rzadko zaś bez tego, zabijają oni bydle, lub konia i gotują mięso z ryżem dosyć smaczno, tylko jak i wszystkie inne potrawy bez soli. W takich razach spraszają

tyle gości, żeby zjeść wszystko. Każdy gość przy tem daje pilną baczność na to, by w niczem gospodarza nieobrazić.

Kirgizy nadzwyczaj są gościnni. Jak tylko powiedzą gospodarzowi, że do jego namiotu idą goście, wychodzi on na ich spotkanie i czeka u wejścia; potem idzie kilka kroków naprzód, porywa obydwoma rękami wyciągniętą rękę gościa, pozdrawia go i prowadzi do swego namiotu, gdzie sadza na swoim miejscu u ogniska. Zaraz podają kumys w oczekiwaniu innych potraw. Kiedy wreszcie te podadzą, wszyscy biorą z jednej wspólnej misy palcami co w niej jest i spożywają; zaś gospodarz ciągle prosi by jeść więcej i za największy zaszczyt poczytuje, kiedy gość się obje na śmierć.

Po uczcie i wytarciu palców o spodnie lub obuwie, znowu się pojawia kumys, który piją, dopóki bawi gość. Kiedy to jest Europejczyk, podają mu do jedzenia osobną miskę, łyżkę i nóż. Pomimo to Europejczyk rzadko je potrawy ich z wielkim apetytem. Głównym bowiem tego warunkiem jest, by niewidzieć jak się one przyrządzają. Tak naprzykład zdarza się bardzo często, że przy dojeniu owiec w skopek, postawiony nie zawsze jak należy, spada coś wcale niepotrzebnego. W rzadkich tylko wypadkach wyjmuje się to i wyrzuca, i w takich razach ręką brudną i bez wielkiego zachodu; lecz najczęściej nie zważa się na takie drobnostki i wszystko jak jest leje się do zakisu w tursuk. Na kociołek, w którym się gotuje jedzenie, dość jest spojrzeć, by obaczyć, że nigdy go nie myją ani czyszczą, bo wewnątrz go powleka gruba skorupa z ziemi, popiołu i nawaru od wszystkiego co się w nim gotuje.

Mężczyźni zajmują się wyłącznie pilnowaniem trzód, handlem i polowaniem. Wszystkie inne roboty należą do kobiet. I tak one rozbijają i zdejmują namioty, robią wołki, strzygą owce, plotą powrozy i t. d., oprócz zwykłych codziennych zajęć, jak dojenie owiec, krów i kłaczy, robienie sérów i kumysu i chodzenie za dziećmi.

Ciężki upał w lecie w dzień zmusza wszystkich przebywać w namiotach, kiedy prócz tego bywa to jedyny czas, w którym można spać spokojnie i bez udręczenia od komarów, które w tych stepach są straszliwe. Gdy zatem wszyscy będący w koczowisku o tej porze śpią, a trzody z pastuchami są na paszy, w koczowisku panuje zupełna cisza. Za to wielki rozruch i hałas bywa w niem z rana, a jeszcze większy wieczorem, kiedy trzody wracają z paszy na koczowisko dla dojenia. Już z daleka zapowiada ich przybycie beczenie owiec, ryczenie krów i rżenie kłaczy i budzi całe koczowisko. Kobiety szukają swoich skopów, starcy stękając wyłazą z namiotów, by usłyszeć od pastuchów co nowego, dzieci

zabierają się do łapania cieląt i źrebiąt i z okrzykami radości biegną naprzeciwko wracającej trzody, jak gdyby to była dla nich jaka nowość.

Za przybyciem na koczowisko, pastuchy spędzają bydło w kupy i dzieci biorą się do swojej czynności. Z nieustającym hałasem, śmiechem i krzykiem zaczyna się straszna gonitwa, trwająca dopóty, póki wszystkie cielęta i źrebięta nie będą połapane i uwiązane w jednym miejscu. Wtedy każda krowa przychodzi do swego cielęcia i każda klacz do swego źrebięcia i w taki sposób ani jednej sztuki nie braknie przy dojeniu. Przytem słychać ciągle swary kobiet, rozkazujące wołania pastuchów, ryki, beki i rzenia bydła. Po wydojeniu odwiązują małe i trzoda wypoczywa jakiś czas, nim na noc popędzą ją nieco dalej od namiotów.

W zimie trzody pozostają w zupełnem opuszczeniu i muszą wygrzebywać sobie paszę kopytami i racicami z pod śniegu, wystawione przytem na wszelkie niepogody, zimna i zawieje śnieżne, w skutek czego w ostre zimy zdycha większa daleko ilość bydła, aniżeli w zbyt suche lata.

Wyziwy od padającego w wielkiej ilości bydła, którego zakopywać ani myślą, zwłaszcza kiedy tego bywa mnóstwo, sprowadzają nieraz zaraźliwe choroby. Trzody składają się głównie z koni i owiec. Prócz tego bywa w nich i bydło rogate, a w niektórych okolicach i wielbłądy.

Fr. Fuhrmann.

32. Kaukaz, Baku i ognie święte.

Łańcuch gór kaukazkich zaczyna się nad morzem Czarnem, około Anapy, małemi wyniosłościami i ciągnie się nieprzerwanie mil 200, aż do jeziora morza Kaspijskiego, coraz wyżej się podnosząc ku środkowi, gdzie na niebotycznych jego szczytach leżą wieczne śniegi. Są to góry dzikie i wspaniałe. Wierchołki ich składają nagie skały i tylko niższe wyniosłości i doliny są pełne wdzięku, zamieszkałe i często, nawet na stromych stokach, ozdobione ogrodami i posiewami zboża na szczupłych polach, usypanych na podmurowaniach. Na północ łańcuch główny wypuszcza z siebie tylko kilka niedalekich i nieznaczących gałęzi i wnet prawie zaczyna się niezmierna równina, rozciągająca się ztamtąd aż do oceanu Północnego, którą na jej całej przestrzeni przerzynają tylko ledwo znaczne wyniosłości, ciągnące się dwoma długimi pasmami, z których jedno z zalegających je jezior i błot daje początek licznym

i wielkim rzekom, a drugie przegradza ich bieg podwodnemi skałami. Po tejże stronie u podnoża gór, ciągnie się szeroka na 15 mil płaszczyna, pokryta wysokimi na 10 stóp stepowemi trawami i zaroślami, w których zwykły się ukrywać zbójckie bandy Czerkiesów. Gdzie niegdzie tylko dają się tam widzieć wsie. Całe bogactwo mieszkańców stanowią liczne trzody, z którymi na wiosnę oni ciągną w góry i bawią w nich do jesieni. Po przebyciu gór, we środku idących dwoma równoległemi łańcuchami, na drugą stronę, na południe, zstępuje się na wdzięczne i bogate doliny Gruzji, które jeszcze dalej na południe ogranicza wyżyna Armenji ze swoim dwurożnym i pokrytym wiecznemi śniegami szczytem Ararat. W Czerwcu wielkie upały wypędzają i tu mieszkańców w góry; a kiedy za nastąpieniem tam jesiennych chłódów wracają oni znowu na swoje doliny, do swoich opuszczonych wiosek, czeka ich tam właściwa krajom południowym ciepła i przyjemna pora roku.

W zachodniej swojej części góry kaukazkie mają ogromne lasy, ciągnące się na 30 do 40 mil aż do morza Czarnego, a które pokryte długimi kolcami krzaki jержyny czynią nieprzebytymi. Bluszcze i winorośle, których pień dochodzi niekiedy grubości ręki, także wiją się po drzewach, oplatając je i przeskakując z jednego na drugie. Jak sznury wiszą wysoko na wierzchołkach ogromnych platanów i kasztanów długie odrośle winnej macicy, obciążone gęstemi gronami, których wielkość dochodzi rosnących po winnicach, a tylko smak nieco cierpki przypomina że są dzikie. Zdają się one zapraszać na ucztę zabłąkanego do tych dziewiczych borów wędrowca. Napełnia je ogromne mnóstwo zwierzyny, piękne bazynty i dzikie białe kury, jelenie, sarny, a szczególniej dziki, które dzięki temu, że niewybijają ich na polowaniach, kiedy mieszkańcy Mahometanie mięsa ich niejedzą, dorastają tam ogromnej wielkości i brodzą po lasach jak woły.

W części wschodniej dwa środkowe łańcuchy gór, rozchodząc się szeroko, obejmują w postaci trójkąta, którego podstawę stanowi brzeg jeziora morza Kaspijskiego, krainę wyniosłą i dziką, w której widzieć się dają tylko nagie skały we środku i gorące piaski nad morzem, tu i owdzie wyschłe krzaki, zaś nigdzie drzew i świeżej zieloności. Na wiosnę tylko cała ta okolica przybiera szatę świąteczną, kiedy topniejące w górach śniegi zasilają górskie potoki i te, napawając spragnioną ziemię, wywołują najpiękniejszą roślinność; lecz na krótko, bo ją w rychłe całkiem wypala i niszczy skwarne i skąpe w deszcze lato.

Wschodnią kończynę pasma gór kaukazkich stanowi niewysoki

i wybiegający daleko w jezioro morze Kaspijskie, przylądek Apszeron. Tam na okrągłej i samotnie stojącej górze, leży sławne miasto Baku. Stromo wznosi się ono nad brzegiem na tarasach tak, iż pokrycia domów stojących z przodu, tworzą wystawy stojących za nim. Domy te po wyższej części małe, obyczajem wschodnim otoczone są zewnątrz wysokim, grubym, niedostępnym murem i oknami, mającemi szyby papierowe, wychodzą wewnątrz na małe podwórko. Ulice przedstawiają labirynt ciasnych i krętych przejść. Kramy i warsztaty rzemieślnicze stoją ciasno jedno obok drugich, tworząc w środku miasta szerokie na 15 do 20 stóp targowisko, na którym siedzą rzemieślnicy, zajęci swoją robotą w pośród tłumów cisnącego się ludu, pod wystającymi daleko dachami, które podpierają czerwono i zielono malowane słupy. Nieraz te dachy, lub zastępujące je opony, rozciągają się nad całemi ulicami, tworząc kryte przechody. W tych przechodach i na podwórzach domów zajezdnych, tak zwanych karawanserajów, zalegają paki z towarami kupców, którzy sami zajmują ciągnące się w około podwórza izby. Z rana po modlitwie wszyscy kupcy, rzemieślnicy i ludzie mający z nimi interessa, udają się na pomienione targowisko, zaś w pozostałych częściach miasta panuje zupełna cisza i niewidać nikogo. Czasami tylko przemknie się uliczką, zawinięta od głowy do stóp w białe zasłony, z których przeglądają tylko jej oczy, niewiasta, klapiąc swoimi czerwonymi wyszywany mi złotem pantoflami po ogromnych kamieniach, wystających jak głazy w górach i tworzących jakoby bruk, którego właściciel w przeznaczeniu zdaje się jest wywracać na każdym kroku niebacznie wjeżdżające tam, zaprzężone najczęściej wielbładami, wozy i przyprawiać siedzących w nich ludzi o kalectwo. Wieczorem, kiedy kończą się targi i roboty, zjawia się na pomienionem targowisku bazarz uliczny i obstepują go zewsząd starzy i młodzi tak, iż niema on miejsca dla swojej żywej i wyrazistej gestykulacji. W karawanserajach izby są z otworami, lecz bez okien. Framuga w murze, a w niej poziomo wbita deska służy za łożo, siedzenie i stół, gwóźdź w ścianie za wieszadło na suknie, a za ognisko naczynie gliniane ze czterma dziurami i węglami drzewnymi. W karawanserajach daje się widzieć dziwna mieszanina ludzi i narodowości. Tutaj Rossjanin modli się obrócony na wschód, stojąc, żegnając się i bijąc pokłony, tam czciciel ognia klęczy przed gorejącą lampą, tam Szuita odbywa przy otwartych drzwiach swoje modły z krzykiem, płaczem i wyrzekaniem. Wreszcie Derwisze, Żydzi, Ormianie, Turcy, poganie odprawiają swoje nabożeństwa każdy po swojemu.

Okolice Baku tak piękne, iż część ich przewano rajskim

ogrodem róż, sławne są oddawna ze swoich źródeł oleju skalnego czyli nafty. W odległości godziny chodu od jednego z najczystszych takowych źródeł, znajduje się miejsce nadzwyczaj ciekawe. Jest to miejsce ogniów podziemnych, które czciciele tego żywiołu mają za święte. Za zbliżeniem do niego daje się czuć mocny za-



Świątynia ognia w Baku.

pach siarki. W pośrodku występuje z ziemi silny błękitno-żółty płomień, który w nocy przedstawia się daleko większym. W niejakiej odległości Gwebrowie, to jest czciciele ognia, pobudowali sobie małe domki. Cała przestrzeń próżna i otoczona dokoła murem pokryta jest tłustą gliną, która nie daje występować z pod ziemi

innym ogniom. Ale gdzie tego potrzeba, w domkach dokoła porobione są w glinie dziury. Kiedy zatem potrzeba ognia do gotowania jada lub czegokolwiek, dość jest przytknąć zapaloną świecę lub zapałkę do otworu i natychmiast występuje z niego płomień; a im mniejszym jest ten otwór, tem gwałtowniej bije z niego ogień. W szerokości 4 do 5 centymetrów dochodzi on wysokości prawie 1 metra. Kiedy ognia już nie potrzeba, dość jest otwór nakryć. Mieszkańcy tej miejscowości mają światło, wstawiając w otwory w glinie rurki oczeretu, długie według upodobania i powleczone wewnątrz i zewnątrz gliną, a następnie zapalając wychodzący przez nie gaz. Będący tam tkacze posługują się takim światłem przy swojej robocie.

Oprócz ogniów właściwych, dają się jeszcze widzieć około Baku inne ognie, które tylko świecą, lecz nie palą. Kiedy po ciepłych jesiennych deszczach powietrze bywa silnie ogrzane, okazują się tam całe pola w płomieniach. Często zdaje się, iż wielkie masy ognia zstępują z gór na dół; to znowu w ciemnych i ciepłych nocach po całej równinie przeciągają niezliczone, to pojedyncze, to połączone z sobą płomienie. Nieraz obejmują one całkiem rozłożone na polach karawany z wielkim przestraczem koni i mułów. Ten ogień jednak nie pali i bywa samym tylko pojawem światła.

33. Smyrna.

Smyrna, po turecku Iszmir, stolica Jonji, „kwiat i perła Wschodu, królowa miast azjatyckich“, prześliczny zdala przedstawia widok. Położona w pięknej dolinie, uwieńczonej ogrodami i oblana wodami zatoki, ciągnie się tarasowo na stokach góry Pagus, której szczyt dźwiga ruiny zamku, boki zaś zdobią gaje cyprysowe. — Stanąwszy w porcie obszernym, lecz nieco zasypanym, zarzuciliśmy kotwicę, a nazajutrz rano popłynęliśmy do miasta. Jakże wielkie spotkało nas rozczarowanie, zwłaszcza gdyśmy weszli do dzielnicy muzułmańskiej i żydowskiej. Domy niskie z dachami płaskimi, ulice ciasne i brudne, a na nich ścisk tłoczących się ludzi, osłów i wielbłądów, przed którymi co chwila trzeba ustępować, aby nie oberwać guza, lub nie stracić jednej poły sukni. Istny to obraz Wschodu, który wyszedł pięknym z rąk Stwórcy, lecz zeszpecony został przez ludzi. Tylko dzielnice chrześcijańskie, mianowicie Frauków, t. j. Europejczyków, położone nad portem ze słynną ulicą Różaną i Ormiańską, odznaczają się więk-

szą schludnością. Tu są mieszkania obcych konsulów z powiewającymi na górze banderami, domy z gankami urządzone wewnątrz z elegancją i zbytkiem, liczne sklepy, gospody, kawiarnie, mianowicie tak zwane *caffées chantants*, które są szkołą zachodniej niemoralności, a nawet i piwiarnie niemieckie, bo Niemców nigdzie nie brak; gdzie zaś jest Niemiec, tam musi być i piwo. Słowem, życie tu europejskie. Zwiedziliśmy potem Bazar, to jest rynek. W długich krytych krużgankach po obu stronach są sklepy otwarte, w których siedzą kupcy i sprzedają jednego zwykłe gatunku towary; tak, że są osobne bazyry fajek, osobne chustek, osobne korzeni, osobne broni i t. d. Najwięcej przekupniów jest Greków i Ormian, a ci w różnych językach zapraszają do siebie przechodniów, podczas gdy Turcy siedzą flegmatycznie na złożonych nogach i przesuwają paciorki, lub palą fajkę i popijają kawę, czekając aż Allah zesle jakiego kupca. Aby czasu nie tracić, ubożsi pracują w bazarach tak, że sklep jest zarazem warsztatem. Są one oraz ulubioném miejscem przechadzki; to też środkiem ciśnie się mnóstwo bogatych próżniaków mużuńskich, kobiet okrytych białemi płachtami, w czerwonych pantoflach i z kolorową zasłoną na twarzy, wreszcie wiele ślepych i kalek, żebrzących natrętnie jałmużny. Tak wyglądają na Wschodzie bazyry. Obok nich są Kany, czyli domy gościnne dla przybyłych zdala kupców i Bezestany, czyli murowane składy towarów.

Z bazarów krętymi i błotnistymi ulicami dostaliśmy się za miasto, gdzie w gaju cyprysowym jest cmentarz turecki. W cieniu tych pięknych drzew siedziały na ziemi kobiety tureckie, lecz zobaczywszy gjaurów pozakrywały czempredź twarze, lub uciekały jak gęsi spłoszone. Potem wdrapaliśmy się na górę Pagus, z kąd piękny widok otworzył się na port, najeżony masztami, czerwone dachy miasta i strzelające z pośród nich wieże i minarety. Na nagim jéj szczycie wznoszą się ruiny zamku, który cesarz Jan Komnen wznosił na ruinach starej świątyni greckiej. Widać tam jeszcze odłamy starych kolumn, kapitelów i wmurowane popiersie, które niektórzy uważają za posąg Apollina lub Amazonki. Dawniej, za czasów greckich, pokrywały tę górę wielkie gmachy i świątynie, mianowicie tu miało się znajdować Stadium, to jest plac gonitw publicznych, gdzie w roku 166 został spalony św. męczennik Polikarp; lecz dziś nawet ślady ruin nie zostały; tak, iż tradycya stała się niepewną.

Z drugiejj strony góry jest parów, nad którym znajduje się wodociąg, zaopatrujący w wodę całe miasto, spodem zaś płynie rzeczka Meles, niewielka a jednak sławna, bo nad nią w uroczém

ustroniu miał stary wieszcz grecki Homer pisać swoje bohaterskie pieśni, z kąd jego przydomek Melesigenes t. j. nad Melesem zrodzony. Smyrna jest jednym z siedmiu miast greckich, ubiegających się o zaszczyt być ojczyzną Homera.

W przeszłości to miasto przechodziło różne koleje. Założona przez Eolczyków, chociaż dawne podanie przypisuje jej początek Amazonce Smyrnie, dostała się później Jończykom i przystąpiła do związku Jońskiego. Potem ją zburzyli Lidowie, w 400 lat później, odbudowana przez Antygona i Lizymacha, stała się ogniskiem handlu, oświaty i sztuk całej Małej Azji. Następnie zajmowana kolejno przez Rzymien, Greków, rycerzy rodyjskich i Turków w wieku XIII, leżała w gruzach i dopiero pod panowaniem Turków podniosła się i zakwitła. Dziś liczy do 180,000 mieszkańców, między którymi jest 70,000 Turków, 65,000 Greków, 10,000 Franków, 15,000 Ormian i 20,000 Żydów. Grecy nie najlepszą mają sławę, o której świadczy na miejscu przysłowie: „Gdyby nie Grecy, Smyrna byłaby rajem.“

Pod względem handlu należy Smyrna do miast bardzo ożywionych. Ze wschodu po moście karawanowym ciągną do niej nieustannie szeregi wielbłądów, dźwigając na swych grzbietach płody środkowej Azji, z zachodu zaś przypływają coraz nowe statki, sprowadzając wyroby europejskie, a za to wywożąc korzenie, wina greckie, suche owoce, kobierce i dywany. Handel ten jeszcze się podniesie, gdy będzie wykończony nowy port z dokami, a koleje żelazne posuną się dalej w głąb Azji; dotąd bowiem sięgają tylko do Aidin.

Ks. J. Pelczar. Podroz 1872 r.

34. Damaszek.

Ze szczytu gór Antilibanu nagle odsłania się czarujący widok Damaszku. Zaraz u podnóża tych gór ściele się ogromna dolina Guta, ledwo objęta okiem, przetrzęta tysiącznemi zdrojami, na której tu została podzielona rzeka Baradi i uzieleniona bujnym, gęstym i nieprzejrzanym lasem najpiękniejszych drzew Wschodu. Ta cudowna dolina, którą wschodni nazywają rajem ziemskim, i pierwszeństwo jej dają między czterema rajskimi dolinami, jakie są na Wschodzie mahometańskim, graniczy od wschodu z pustynią, a po innych jej stronach piętrzą się w oddaleniu góry. Wokoło na jakich ośm mil, ciągną się na niej ogrody, a nad ich przepyszną oazą często wyskakuje jakaś kopuła, wieżyczka, albo

kiosk rozkoszny, albo przeglądają się wioski, których najmniej trzydzieści ciśnie się dokoła Damaszku. Wśród tego wielkiego lasu rozkłada się święte mosleminów miasto, długie a wąskie, z mnóstwem wież, kopuł i minaretów, pomieszanych z cyprysami i innymi drzewami, co wszystko w atmosferze czystej i blaskiem słonecznym dziwnie ozłoconej, przy błękicie bez chmur, obok graniczących gór pożółkłych i spalonych, tak przecudownie się odbija, że można przebaczyć Arabom te przesadzone pochwały Damaszku, które się wykazują w dziwnie dobieranych nazwaniach. Oprócz miana raju doskonałego, zowie się on jeszcze naszym klęnotem przyrodzenia, polem rajskich pawów, różnobarwną szyją gołębia, uroczem znamieniem na ustach świata, a nareszcie miastem, co pachnie rajem. Jakoż ich prorok Mahomet, spragniony za wodą i zielenią, będąc w czasie swej młodości w Damaszku, nazwał go miastem trzykroć szczęśliwym z przyczyny, że aniołowie Boscyc rozciągają nad niem swoje skrzydła.

Spuściłem się z góry do samego przedmieścia Ssalehije, które jest bardzo wielkie, bo liczy z górą 12 tysięcy mieszkańców. Jest to najrozkoszniejsze miejsce rajskiej doliny, gdzie są najpiękniejsze ogrody i kioski. Po wjechaniu do miasta, mocno byłem rozczarowany jego widokiem, bo domy zewnątrz, chociaż o piętrze i wielkie, jednak na wejrzenie szpetne, bo są oblepione szarą gliną. Jeszcze w 1831 roku wędrowcy nie inaczej wchodzili do tego świętego mosleminów miasta, jak piechotą i w stroju tureckim.

Do najdawniejszych w świecie miast należy Damaszek, bo już był za czasów Abrahama. Teraz jest najpiękniejszym miastem w Syrii i w rzędzie grodów cesarstwa tureckiego po Konstantynopolu, Adryanopolu, Brussie i Kairze piąte zajmuje miejsce. Ludność z przedmieściami wynosi przeszło 200 tysięcy. To miasto uważane jest przez Arabów i Turków za święte, jako usta Mekki i brama świątyni Kaaba, kędy spoczywają zwłoki ich proroka. — W Damaszku co roku zbiera się pielgrzymów, czyli Hadżi, trzydzieści i kilka tysięcy, a czasem i daleko więcej, którzy ztąd razem z paszą Damaszku, mającym tytuł Emira Hadżi, to jest przewodnika albo księcia pielgrzymów, odbywają czterdziestodniową podróż do Mekki, pod zieloną chorągwią proroka, w czasie której podróży wiele ludzi i wielbłądów ginie, a ich kości służą na pustyni za wskazówkę drogi dla przyszłej karawany.

Oto jest opis pochodzącej takiej karawany, przez naocznego świadka w Damaszku. „Dla zabezpieczenia się od zuchwalstwa tych arcy żarliwych pielgrzymów, skryliśmy się w sklepie bazaru, przez który miała ciągnąć karawana. — W tej sławnej wyprawie na-

przód postępowało 46 Santonów, czyli świętych szaleńców, a każdy niósł chorągiewkę jedwabną przez pół czerwoną i zieloną, lub żółtą i zieloną. Po nich szły trzy oddziały żołnierzy, zwanych Segban, dalej następowali żołnierze Sipahi, za nimi szło 8 kompanji Mugerubinów, z sześcią lekkimi działami, a potem szli pieszo żołnierze zamku damasceńskiego, fantastycznie przybrani w szmelcowaną starożytną zbroję. Za tymi jechali konno Janczarowie ze swoim Agą, a dalej nadworny Aga Paszy niósł dwa buńczuki, jako godła dostojności przewodnika karawany. Za buńczukami prowadzono sześć bogato przybranych najpiękniejszej rasy koni. Dalej postępował Mahmal, to jest wielki pawilon z czarnego jedwabiu, leżący na ogromnym wielbłądzie, a końce bramowane fręzlą złotą, spadając do ziemi, okrywały całego zwierza. Sam wierzch pawilonu zdobiła złota gałka, a wielbłąd miał na głowie szyji i nogach pozawiesza niesznurki nanizanych paciorek, lub muszelek morskich, albo lisie ogony. Pod pawilonem był ukryty Alkoran, na pięknym nowym kobiercu, który sułtan corocznie posyła do Mekki, a ztamtąd przywożą Padyszachowi dywan dawniejszy, który, z przyczyny swego pobytu przy grobie proroka, nabiera największej ceny. Wielbłąd, niosący te świętości, zostaje później na zawsze wolny od wszelkiego ciężaru. Potem następuje znowu oddział wojska i sam pasza, a nareszcie idzie 20 obładowanych wielbłądów i tłum pielgrzymów.

Obok nabożeństwa pielgrzymi nie zapominają i o zysku doczesnym. Każdy obładowuje się wyrobami krajowemi, a potem z Mekki przywozi różne rzeczy Arabji i Indji, jako to: mokkę, perły, dyamenty, aloes, szale i tym podobne wyroby. Ta karawana, wzbogacająca Damaszek samym napływem pielgrzymów, stanowi jeszcze główną gałąź handlu tego miasta, które jest jednym z najważniejszych punktów przemysłu. Ciągłe wychodzą z niego i przychodzą do niego karawany kupieckie, niosąc plody i wyroby Egiptu, Persji, Armenji, Indji i Europy, a szczególnie wyroby angielskie.

Bazary Damaszku są daleko piękniejsze i lepiej oświetlone, aniżeli nawet w Konstantynopolu. Korytarze obszerne, z oknami w sklepieniu i framugami, albo małemi celijkami po bokach na towary, gdzie jak w Konstantynopolu i wszędzie na Wschodzie, każde rzemiosło, każdy towar ma oddzielną ulicę. W korytarzu stolarskim trudno nie podziwiać ładnych skrzynek, stołeczków pod nogi kobiecych, lub innych sprzętów drewnianych, pięknie wysadzanych perłową macicą, lub kością słoniową. Siodlarskie i hafarskie zwracają uwagę pięknnością swego wyrobu; sklepy broni

dość wystawnie ułożone, ale sławna niegdyś fabryka szabel damascenek upadła, bo tajemnica robienia tej doskonałej broni zaginęła, po zabraniu do Persji przez Tamerlana robotników. Mówiono mi, że jeszcze można dostać u kupców dawną szablę damasceńską, najmniej za sto talarów hiszpańskich, ale na tem trzeba się znać doskonale, bo wiele robią podobnych damascenek na pozór. Nie mało korytarzy zajmują wyroby jedwabiu i bawełny dokonane w Damaszku, które celują między wyrobami syryjskiemi. Potem przedstawia się bogaty widok szalów, klejnotów i innych skarbów Persji i Indji. Według zdania kupców Damaszku, handel tego miasta znacznie upadł przez ucisk rządu egipskiego.

Więcej jak trzech godzin potrzebowałem na obejrzenie tego bazaru, zwanego starym; co wielką jest przyjemnością, bo dziwnie rozmaity przedstawia się tam widok. Te skarby, płody i wyroby Wschodu stanowią jakby historję tej strony i jej zwyczajów, a ta ciżba, cicho się snująca po korytarzach, jakże uderza rozmaitością. Wpóśród Turków, ubranych w jaskrawe kaftany i wysokie zawoje, przeciska się śmiały Beduin z twarzą opaloną, ale pięknych rysów, w swojej abbie, czyli płaszczu w szlaki sine i szare, albo czarne i białe, albo wreszcie jednego koloru; pod spodem widać pas skórzany na bawełnianej koszuli, a na głowie chustka, zupełnie rozpuszczona, w kraty zielone, czerwono, lub żółte i obwiązana w kilkoro sznurkiem misterne plecionym, a końce jej przednie są zatknięte za ten konopny wianek, lecz jadąc konno spuszcza na dół chustkę, co go od skwaru zasłania i w biegu czyni widok malowniczy. Dalej Maronita w abbie krótkiej, jak spencerek, z pod którego wypływa długa szata, a na głowie ogromny zawój ze spadającym na bok faszem, przy śmiałej postawie. Przymieszaj do tego jeszcze strój Ormian i duchownych różnych wyznań i porozrzucaj często nieme postacie, uwiniete w białe prześcieradła z czarną chusteczką na twarzy, a będziesz miał wyobrażenie przechodniów bazaru. Jest jeszcze drugi bazar zwany nowym, a nadto znajduje się ze 30 ogromnych kanów, służących przyjezdnym kupcom na składy towarów. W bazarach bywa największy, a nawet jedyny ruch mieszkańców; kupiectwo bowiem na Wschodzie jest głównem i najważniejszym zajęciem. Cały ten ruch jednak odbywa się cicho, rzadko w nim uderza gwar mówiących i wolne stąpanie mułów, osłów, a niekiedy koni i cichy krok miękkięj stopy wielbłąda bynajmniej nie przerywa spoczynku moslemistów.

Ulice Damaszku, jak we wszystkich miastach wschodnich, są kręte i wąskie. Ztąd mieszkańcy mogą w czasie skwaru przechadzać się w cieniu i chronić się choć w części od tych słaboś-

ści, które sprowadza spiekota. Wśród tych upałów dopiero pojmujemy całą słuszność skargi Tacyta na Nerona, że po spaleniu Rzymu, zamiast wązkich, szerokie porobił ulice. Często jednak, osobiwie koło zamku, wiją się dość obszerne ulice, z chodnikami po obu stronach i czystszej jak w innych miastach utrzymane.

Byłem u Arabów chrześcijan, którzy w domowym życiu niczem się nie różnią od innych mahometan, chyba tylko tem, że mają po jednej żonie. Opiszę ci dom kupca Jerzego Anchuri, a będziesz miał wyobrażenie wszystkich domów, bo są jota w jotę podobne do siebie. Z wierzchu nieładny mają pozór, widzisz bowiem jakieś ogromne zabudowania, świecące szarą gliną, prawie bez okien, tylko gdzieś na górze pokazuje się zakratowane okienko. Lecz ile są brzydkie zewnątrz, tyle wewnątrz zachwycające. Przez małe drzwi, dobrze okute, wchodzi się do wąskiego, ciemnego i nieco krętego korytarza, a to z tej przyczyny, aby nikt przy otwarciu drzwi nie zajrzał do wnętrza domu, bo Wschód we wszystkim, a szczególnie w życiu domowym, lubi się otaczać głęboką tajemnicą. Po przebyciu tego korytarza znajdujesz się w niewielkim rozkoszonym dziedzińcu, albo raczej sali, której sklepieniem jest prześliczne niebo syryjskie. Cała posadzka wyłożona różnokolorowym marmurem, w koła, kwadraty, zygzaki, gwiazdy i tym podobne figury; po rogach i bokach tej podniebnej sali rosną cytryny, pomarańcze, winna latorośl, mirt i jaszmin wdzierający się aż na dach bardzo wysokiego domu. W środku dziedzińca ustawnie bije fontanna, której spadająca woda zbiera się w ogromnej marmurowej miednicy otoczonej wkoło wazonami prześlicznych kwiatów; a w tej niby sadzawce widzisz małe różnokolorowe pływające rybki. Ściany, które otaczają ten dziedziniec, są ozdobione wcale niezłym malowidłem różnych ptaków, kiosków, łodzi, gwiazd, lub innych zygzaków w guście wschodnim. Naprzeciw korytarza wchodowego jest główny pokój, a dwa podobne też znajdują się po bokach, ale bez ściany od dziedzińca. Te pokoje są bardzo ozdobione wyłaczanami rysunkami i arabeskami w różnych żywych kolorach, a stropy, opierające się na belkach topolowych, rzniętych w guście saraceńskim, są równie złocone, malowane i często wykładane lustrami; zaś wielkie gałki ze słoniowej kości wiszą, jak u nas pająki. W środku każdego pokoju na dole jest mała fontanka w niewielkiej miednicy marmurowej, mozaikowanej we floresy marmurowe, a po obu stronach pokoju jest podniesione prawie na łokieć, wysłane materacami, przepyszniejszymi kobiercami i poduszkami. Są to sofy do siedzenia, albo raczej do wygodnego leżenia. Wkoło po ścianach widzisz framugi,

albo z drzewczkami w lustra i desenie złożone, albo bez drzewczek, gdzie na półkach ładnie ukraszonych widać najbogatsze sprzęty domu: naczynia srebrne, porcelanę chińską, różne kubki i tym podobne rzeczy. Cały ten dziedziniec z temi pokojami dolnemi, przy mruczeniu bijących wodotrysków i tych bogatych ozdobach, tem większy sprawia urok, im mniej tego spodziewałeś się po tych szopach oblepionych gliną. Piękne schody marmurowe prowadzą na piętro, gdzie z galerjami na dziedziniec idą rzędem pokoje familijne, równie ozdobione wyłaczaniem i malowaniem. Gdy wszedłem, wszystkie kobiety z dziedzińca pierchnęły, ale na głos mego towarzysza, że to Kasis czyli ksiądz, natychmiast wróciły i ucałowały rękę z uszanowaniem. Ktoby myślał, że kobiety przez wyłączenie ich z towarzystwa mężczyzn są dzikie i nieśmiałe, bardzoby się mylił. Jakaś poufałość i prostota ciebie zadziwia. Zostałem wiele kobiet przybyłych, które zajmowały obie strony głównego pokoju, bawiąc się wesołą rozmową i paleniem nargilów. Pomimo poufałości i prostoty nie widziałem nic takiego, coby trąciło zepsuciem, a nawet w tej samej prostocie nie można nie podziwiać wielkiej i szczerej uprzejmości. Po zwykłym ugoszczeniu kawą, fajką i chłodzącymi sorbetami, natychmiast sam gospodarz lub gospodyni wiedząc, że Europejczycy są ciekawi ich sposobu życia, oprowadzają po wszystkich zakątkach swego mieszkania. W ogóle Damaszku mężczyźni i kobiety w pierwszej młodości zdumiewają pięknnością, ale w trzydziestym roku tracą cały wdzięk i stają się szpetnemi przez nazbyt wydatne rysy. Białłość ich lica jest nadzwyczajna, co przypisują niektórzy karmieniu się prawie samemi owocami, a delikatność rysów wykończona. Strój kobiet w domu ma w sobie wiele fantastyczności, bo włos kruczy, bujny i uwieńczony perłami i złotemi blaszkami spada w tysiącnych drobnych koskach na jasnokolorowy kaftanik, nadzwyczaj ściśnięty, z długo wiszącymi rękawami, a całą tę postać podnoszą do niezwykłego wzrostu stołeczki, wysokie prawie na pół łokcia, pięknie wyrabiane i wysadzone słońsiową kością, które za pomocą wierzchnich obwódek są przytwierdzone do każdej nogi; i kiedy słyszysz lekki i prędki stukot po marmurowej posadzce, wtedy obróć wzrok, a ujrzysz zadziwiającą zręczność kobiet w chodzeniu na tych łyżwach. Uroda syryjska całkiem się różni od greckiej; piękność bowiem grecka ma coś w sobie żywego i wesołego, więcej gwałtowność i namiętność przebija się w rysach. Przeciwnie w Syrii piękność ma główny wyraz tęsknoty i zamyślenia; w rozmowie postrzegasz umysł marzący i mistyczny, a jakaś łagodność rozlana po całej twarzy i spojrzeniu.

Nie są to jednak istoty smutne i marzące; owszem lubią gwarzyć i częstymi wybuchami śmiechu czynią towarzystwo hucznem.

W Damaszku liczą 70 meczetów. Niektóre z nich miały być niegdyś kościołami, lecz w większej części były wzniesione przez Kalifów i innych władców Damaszku, w celu umieszczenia tam swoich grobów. Największym i najpiękniejszym jest meczet ś. Jana, będący dawniej kościołem, poświęconym ś. Janowi Chrzcicielowi, czy Damasceńskiemu, a miał go zbudować cesarz Herakliusz. Po zdobyciu miasta przez Arabów, została ta główna świątynia na pół podzielona między moslemów i chrześcijan; lecz piąty Kalif, ze szczepu Ommia Abdolmelek, wyrugował zupełnie chrześcijan, ogromnym nakładem całą tę świątynię tak przerobił i ozdobił, że odtąd uważa się za najpiękniejszy pomnik arabskiej architektury. Ma ona długości jakich 230 kroków, a najwięcej 50 szerokości; w pośrodku wieńczy ją lekka murowana kopuła, zwana kopułą orła; za wejściem uderza wspaniałość i mnóstwo kolumn z porfiru, serpentynu, dawnego zielonego marmuru i nareszcie z marmurów w różne kolory. Drzwi meczetu okryte rzeźbioną blachą i inne wewnątrz ozdoby, zachowane dotychczas, świadczą, że był on pierwotnie kościołem chrześcijańskim.

Do dawnych gmachów tego miasta należy zamek najprawdopodobniej zbudowany przez Arabów. Niegdyś był on mieszkaniem Kalifów z rodu Ommia, którzy tu mieli swoją stolicę.

Liczne tu są szpitale moslemistów dla chorych, starców, szalonych i pielgrzymów, idących i wracających z Mekki, wszystkie dawnych, fundacji i wszystkie dziś w ostatniem zaniedbaniu. Łażni w Damaszku liczą z górą 60, a niektóre z nich są wewnątrz piękniejsze i wygodniejsze nawet od carogrodzkich.

Kawiarni, tych rajów moslemińskich, liczą w Damaszku więcej jak 100; ale najbardziej sławione są za miastem, bo znajdujące się w samem mieście są brudne, brzydkie i raczej warto je nazwać fajkarniami. Pierwsze są w cienistych i rozkosznych ogrodach po nad zdrojami Barady, która tam jest podzieloną sztucznie na wiele kanałów. Te budowy z drzewa nie zalecają się wcale swoją architekturą, ale tak są stawiane, aby promienie słońca nie raziły, a tylko dawały przyjemne światło, co sprawia czarującą sprzeczność z blaskiem słonecznym, okrywającym okolicę. Okna i drzwi tak są urządzone, że dają piękny widok na miasto i okolicę i zawsze przyjemny powiew orzeźwia spoczywających. Wewnątrz jest wielka i wysoka sala, podparta malowaniami z drzewa kolumnami, między którymi znajdują się umieszczone niskie ławy, albo sofy, pokryte matami i kobiercami. W kącie jest kominek

dla prażenia nektaru mokki, a posadzka albo marmurem, albo wreszcie deskami wyłożona. Wielkie drzwi odkrywają dziedziniec napełniony drzewami, wśród których najwięcej daje się widzieć wierzba płacząca i platan, a w ich cieniu gra fontanna w marmurowej miednicy. Są to ulubione ustronia mieszkańców Damaszku. Tam zawsze muzyka i pieśni; tam płatni opowiadacze powtarzają albo różne powieści i poezje dawnych pisarzy, albo sami jakie bajki improwizują. Tam pod cieniem wierzb i przy szmerze wody, wśród wonnych obłoków tytoniu, posilając się mokałą, przepędza moslemine całe dnie w cichym zadumaniu, próżen trosk i kłopotów tego świata.

Sławne są ogrody Damaszku; lecz trudno je opisać, kiedy urok ich nie zasadza się ani na ładnym rozporządzeniu drzew, ani na różnaitości położenia, ani na żadnych ozdobach sztuki, jak to bywa w naszych ogrodach; a jednak ich piękność zda się utwierdzać podanie o raj. Ta ogromna dolina wiecznie się zieleni drzewami, które wydają oraz w obfitości owoce. Z tych najślawniejsze są morele, wielkie jak jabłka, a swoją złotą barwą i precudownym smakiem zdające się przypominać jabłko Edenu, co tak niegdyś nęciło oczy Ewy, granaty i śliwki, które w smaku nie ustępują morelom. Wśród mnóstwa gatunków winogrodu odznaczają się grona z nadzwyczaj długimi i białymi jagodami, które w jedzeniu mają bardzo przyjemną słodycz, ale do robienia wina nie są przydatne. Nazywa się ten winograd rajskim. W ogóle wszystkie owoce równiny Guta uważane są za najlepsze w świecie; co przypisują jej czerwonawej ziemi, zraszanej licznymi źródłami. Fruktą suszone, albo smażone na konfitury, stanowią nie małą gałąź handlu damasceńskiego, bo rozchodzą się po całym Wschodzie. Tęj hojności przyrody nadużywają mieszkańcy, bo obżerają się nad miarę, a ztąd febry i inne choroby w tym czasie niemiłosiernie grasują w Damaszku.

Ks. Ig. Hołowiński, Pielgrzymka 1839.

35. Cedry na Libanie.

Pod ogromnym i stromym szczytem Libanu, zwanym Makmel, wznoszącym się nad morze na ośm tysięcy stóp, kędy wieczne śniegi założyły swoją siedzibę, na niewielkim pagórku, podniesionym jednak na sześć tysięcy stóp, który formuje jakby równinę u podnóża śnieżystego wierzchołka, szumią posepnie starożytną pieśń o dawnych czasach cedry, patryarchowie roślinnego plemienia. Drzewa te składają niewielki lasek, w którym jest zapach jak od

naszych sosen i który można obejść dokoła we trzy kwadranse. Cedr jest rodzajem szpilkowego drzewa, ma liście zawsze zielone i kształtem podobny jest do naszej lipy. Wysokość jego dochodzi 30 łokci, a rozpostarte gałęzie zajmują obwód około 60 kroków. Każdy liść szpilkowy w niebo jest obrócony, co czyni jakby powietrzną murawę, wśród której często się wznoszą zielone



Liban i cedry.

szyszki jak ogórki. Młodsze drzewa wysokością dosięgają starych, ale ich gałęzie daleko niżej od pnia się rozdzielają i nie są tak równoległe od ziemi położone dla braku miejsca, lecz obficie od starych pokryte są szyszkami. Naliczyłem siedem najgrubszych, co mają obwodu od 12 do 16 łokci; znacznie grubych widziałem 26, a miernej grubości z górą 50. Wszystkie cedry najstarsze rosną jeden przy drugim, a dalej jest jakich z pięćset drzew ce-

drowych daleko młodszych i cieńszych niż pierwsze i te często są, pomieszane z sosnami.

Drzewo cedrowe odarte, ze skóry, jest bardzo podobne do jedliny, równie białe i kruche, ale daje przyjemną woń, nie tyle jednak mocną, co drzewo amerykańskie znane pospolicie w handlu pod imieniem cedru, jest znacznie cięższem od naszych drzew smolnych, smak ma gorzki, dla tego też nie chwyta się go robactwo i trwałość jego jest prawdziwie niepożyta. Bywały przykłady, że belka cedrowa, wyjęta z budynków stawianych przed dwoma tysiącami lat, była jeszcze całkiem zdrowa.

Na jednym grubym cedrze zastałem mieszkającego pustelnika. Jestto Koft rodem z Egiptu, pięknej familji, który, porzuciwszy swój kraj, udał się zrazu na górę Tabor, gdzie przepędził pięć lat w życiu pustelniczém, a potem, zwiedzając cedry, upodobał sobie to miejsce i w jednym drzewie wyrąbał wysoko małą celkę tak, że w niej może leżeć skurczony i to wydrążenie zamyka drzwiczkami. Od tej celki ciągnie się mały tarasik albo galeryjka, oparta na drugim poblizkim cedrze, przy którym postawiona gruba i sękata gałąź służy mu za schody do pomieszkania. Krucyfiks stanowi całą ozdobę jego celki i całą jego pociechę. Spowiada się on co tydzień u pustelnika kapłana Maronity, mieszkającego niedaleko w jaskini na wysokiej skale, pod którą jest kościół i klasztor Karmelitów. Człowiek to jeszcze młody, ma ledwo lat trzydzieści, rysy twarzy ładne i szlachetne; żadnego fanatyzmu i zagorzałości w nim nie widać, owszem jakaś dobroć i łagodność maluje się w jego obliczu; w obejściu bardzo uprzejmy i usłużny, na moje żądanie wyrąbał mi parę lasek cedrowych i urwał kilka szyszek, podobnych kształtem do jodłowych, tylko łuska wierzchnia drobniejsza i delikatniejsza. Lud okoliczny wielce go poważa i zawsze mu jeść przynosi; a zresztą jałmużna odwiedzających cedry daje mu utrzymanie.

Najgrubsze drzewa okryte są napisami, najczęściej Anglików. Widziałem niektóre z wieku XVII, bo te napisy coraz się lepiej rozrastają. Pod trzema cedrami widać trzy niewielkie stopy kamieni, które są ołtarzami Maronitów, Greków katolików i Ormian katolików; utrzymują bowiem mieszkańcy Libanu, że Przemienienie Pańskie stało się na tej górze; a chociaż to podanie najmniejjsze, jednak mieszkańcy zbierają się w uroczystość Przemienienia i odprawianej tu mszy świętej słuchają. Dawniej każda wieś miała swój cedr i ołtarz, a wszystko co żyło szło na ten szczyt Libanu; ale patriarcha maronicki, z przyczyny niektórych zdrożności, towarzyszących temu pospolitemu ruszeniu, zabronił tak wielkich

zgrupowań. Podanie także utrzymuje, że ten gaik cedrowy, jest szczątkiem tego samego lasu, z którego król Salomon brał drzewo na budowę kościoła, co trudno jawnie okazać, ale jest wielkie prawdopodobieństwo. Wedle powszechnego mniemania, cedr potrzebuje trzystu lat na dojście do swej dojrzałości. Drzewo to od mieszkańców nazywa się Ers i jest uważane za święte, już z przyczyny swej starożytności, już z słów psalmisty, co je mianuje drzewem Bożem, już wreszcie dla częstych wzmianek o nim w piśmie ś. I rzeczywiście niemożna bez jakiegoś uszanowania patrzeć na cedry najstarsze, które tylu panów zmieniły, tyle różnych języków słyszały i narodów widziały, co teraz zamierzchły w niewyraźnej przeszłości. Wspaniałość i majestatyczność tego drzewa dziwnie uderza; i dla tego pismo ś. często od niego bierze porównania. A teraz te cedry, zasadzone ręką Boga i co na wezwanie Dawida wnoszą hymn chwały wszechmocnemu Twórcy, jakże są wyniszczone! Samym nawet czasem starożytne drzewa ciągle ubywają. Wprawdzie młodszych jest dosyć, lecz wszystkie są wysokimi drzewami, a w całym lasku, pomimo licznie spadających szyszek, niema ani jednego wyrostka, bo nasienie za szyszkami i liśćmi niedostaje się do gruntu, który się składa z drobnych kamyczków i czerwonej ziemi. Czasem w górach Libanu spotykasz cedry, ale małe i niepiękne; tylko w tem miejscu, jak w ostatnim swoim gnieździe, zachowały się te wielowiekowe drzewa. Teraz nie się tu nie mnożą, a naturalnie muszą ubywać. Wedle ogólnego zdania, dwanaście najgrubszych sięga czasów salomonowych, zaś lat temu trzysta rachowano takich 28. Religja przeto, dla zachowania tych drogich zabytków świętej przeszłości, wzięła je w swoją opiekę. Pátryarcha maronicki zakazał pod klątwą mieszkańcom wyrąbywać nawet gałęzie i ledwo sam mogłem otrzymać pozwolenie na wzięcie dwóch lasek cedrowych, któremi, wedle mniemania ludu, niegodzi się nikogo uderzyć. Ztąd między ludem krążą różne podania, że urąbanie cedru ściąga wielką karę od Boga. Teraz widziałem przy samym lasku założone fundamenta dość wielkiego kościoła Maronitów i liczne stosy kamieni, zebrane do murowania. W przeciągu 3000 lat, jak sięga historia, siekiera Tyryjczyków i innych narodów wyniszczyła te lasy, które niegdyś cały Liban okrywały; a ogień wojny jeszcze ich więcej pożarł, bo nie jeden król assyryjski Sennacheryb wyrąbał cedry Libanu, lecz wszyscy wojownicy, obyczajem wschodnim, mścili się nie tylko na ludziach, ale i na drzewach. Nawet sam widziałem wiele oliw i morw świeżo w pień wyciętych za powstanie mieszkańców.

36. Jerycho, Jordan i morze Martwe.

W głębokiej dolinie, którą przebiega rzeka Jordan, która coraz niża się ku południowi i w dawnych czasach sławną była z płodności, leży sławne w dziejach narodu wybranego miasta Jerycho. Dziś nazywa się ono Riha, co znaczy zapach i jest bardzo biedną i niewielką wioseczką, bo składa się z jakichś dwudziestu chat arabskich, jeżeli tak można nazwać liche, prawie podziemne, szałasze z trzciny jordańskiej, osypanej piaskiem. Cała wieś i te domy są otoczone w koło ciernistymi krzakami, jakby wałem nieprzebytym dla złodziejów, bo niemożna ani konno przejechać, ani była mieszkańców uprowadzić. Ogrody wioski są ładne i dość wielkie, które ożywia strumień Elizeusza, rozdzielony na wiele malutkich poników. Jerycho, zwane w Biblii miastem palm, nie posiada dziś tych drzew i cała dolina została pozbawiona tej ozdoby. Łatwość utrzymania palmy, bo żadnego pielęgnowania niepotrzebuje, naprowadza na domysł, że w czasie licznych wojen wszystkie drzewa były wycięte i zniszczone, bo inaczej trudno wytłumaczyć to ogołocenie. Teraźniejsi mieszkańcy bynajmniej niemyślą sadzić drzew, bo chociaż bawią się niby rolnictwem i pasterstwem, jednak obyczajem Beduinów więcej ich zajmują grabieże i napady. Mnóstwo rozmaitych drzew przy największym zaniedbaniu najbujniej rośnie w ogrodach Arabów, którzy sięją trochę jęczmienia, ryżu, pszenicy, lub innego zboża, a także uprawiają mnóstwo cebuli. Wszystkie tu płody dojrzewają na czterdzieści dni pierwiej, niż w Jerozolimie; bo też różnica klimatu, choć w niewielkiej odległości, jest prawie nie do uwierzenia. Taką różnicę sprawia wyniesienie miejsca.

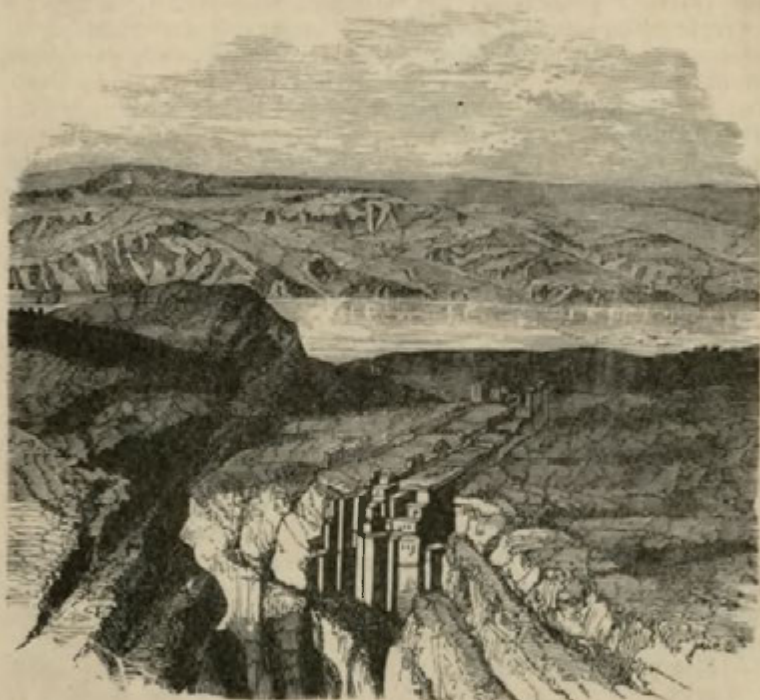
O półtorej godziny drogi od Jerycho, wśród dzikich pustyń, Jordan, uwieńczony po obu brzegach śliczną zieloną przepaską wiosennej świeżości, dziwnie odbijającą od zeschłej, skalistej i obnażonej okolicy, toczy poważnie swoje białawe nurty. Trudno sobie wyobrazić co piękniejszego i w tej pustyni więcej uroczego, nad brzegi jordańskie. Zdalea niewidzisz Jordanu, bo zielona taśma po obu stronach zupełnie ukrywa świętą rzekę. Te piękne gaje składają najczęściej wysmukłe tamarisy, płaczące wierzby, dzikie oliwy, boże drzewka, kwieciste oleandry i gruba trzcina. Gęstość tych lasków jest nie do uwierzenia i z największą trudnością, rozchylając gałęzie i drzewka, można się przecisnąć. Na wiosnę ma tu być dziwnie uroczko, bo miliony ziółek i kwiatów rozlewają woń balsamiczną, a nieprzebrane mnóstwo słowików napelnia całą okolicę słodkim kwileniem. Lecz w tych gajach często się

tają i Arabowie, chcący napaść podróżnych; a także tu mają legowisko dzikie zwierzęta: wilki, rysie i szakale; a dawniej, jak widzimy z pisma św., były jeszcze lwy i tygrysy, których wylew Jordanu wypłaszał z gajów.

Rzeka ma najwięcej czterdzieści kroków szerokości. Brzeg piaszczysty, wysoki i urwisty, który podmywając woda, często pochyla zupełnie drzewa, co razem z gajami stanowi zachwycający widok. Jordan jest głęboki, dno przy samym brzegu błotniste, a potem twarde i piaszkowate, bieg wody nadzwyczaj bystry. Wszedłszy po pas trudno ustać na nogach i pęd szybko porywa na głębie; ztąd nieumiejący pływać musi trzymać się za gałęzie pobrzeżne. Woda biaława i nieco mętna, bo w szybkim biegu miesza się z delikatnym bielutkim piaskiem, jednak bardzo przyjemna w picciu; ale woni róż jerychońskich, jak chcą dawni pielgrzymi, wcale w niej nie znalazłem. W naczyniu po krótkim czasie staje się jak łąza czystą, bo piasek osiada i może się bardzo długo chować bez zepsucia. W tem miejscu, gdzie podanie przywiązuje chrzest Zbawiciela, jest wielki zakręt koryta i nie widać zupełnie szybkiego biegu, ale zdaje się woda stać, lub przemykać się ukradkiem. Dawniej, za czasów greckiego cesarstwa, był tu krzyż drewniany, wbity w rzekę i schody marmurowe prowadziły do wody. Dotychczas w pierwszy dzień Wielkiego tygodnia zbiera się tu mnóstwo ludu, dla omycia się w Jordanie i tu zwykli maczać koszule, które później chowają na dzień swojej śmierci. Dawniej, jak widzimy z Biblii, Jordan co roku wylewał z brzegów, a teraz niewylewa; co tłumaczy tem, że bystrość rzeki w piaszkowym gruncie wyrzyła przez tyle wieków tak głębokie koryto, że przybywająca woda może się dziś utrzymać w podwyższonych brzegach.

Im więcej zbliżaliśmy się ku morzu Martwemu, tém okolica stawała się pösepniejszą. Biały piasek zmienił się na ziemię gliniastą, pomieszaną z iłem i nogi końskie w tej kruchej ziemi grzęzły jakby w piasku. Pole jerychońskie coraz bardziej się zniżało, piasek ogromny i ruchomy rozkładał się przed nami i konie zapadały w nim po kolana. Wszystko tu przybierało postać martwą. Czasem zeschłe cierniste ziołko, czasem mchy suche czerwonawe, albo krzaki wycieńczone, można było spotykać, lecz później i te ślady roślinnego życia znikły; były tylko same wydmuchy, albo ziemia popielata, przepojona saletrą i solą, która często zeskorpiała, pokrywa te bródzy piaszczyste. Dolina jerychońska ciągnie się tu, jak ogromna fossa między dwiema linijami gór i ma pozór straszny, dziki i przerażający. Na górach judzkich

i arabskich wszystko obnażone, groźne i nieruchome; barwa popielato-biaława pola i skał judzkich urozmaica się tylko czarnym kolorem szczytów arabskich, które są wyższe i tak równo ciągną się nad polem, jakby wał samem przyrodzeniem usypany. Na dolinie z każdym krokiem coraz nieplodniejszej, postrzegasz jeszcze więcej saletry jak soli, a popielatość i ruchawość gruntu zdaje



Morze Marwe.

się zapowiadać ziemię do tyła wypaloną w ogniu, że straciła wszystkie pierwiastki swej płodności. Nareszcie po dwóch godzinach męczącej i posępnej drogi, stanęliśmy na brzegu morza Martwego.

Jezioro to niema tak straszego widoku, jak chcieli niektórzy przedstawić; ale też nie jest zupełnie podobne do innych wód, jak znowu usiłowali dowieść inni. Samo jego położenie rzeczy-

wiście jest posępne, bo od wschodu je trzymają w cieśni zczerniałe góry Arabji, a na zachód obnażone wapienne skały Judei. Ciągnie się łukowato od północy, czyli od pola jerychońskiego, na południe; długości liczy jakich dziesięć mil naszych, a szerokość jego, lubo niejednakowa, nie przechodzi jednak nigdzie dobrej ukraińskiej mili. Dokoła pusto, głucho i obnażono. Woda jeziora jest czysta i przejrzysta, ale niemiłosiernie gorzka, szczypiąca i przykrzejsza od wszelkiej morskiej wody. Nadto różni się to jezioro od innych przez swoje ustawiczne wyziewy, czyli parowanie, od którego wieczna mgła unosi się nad jego kryształową szybą. Ten wyziew bywa rzadszym lub gęstszym, stosownie do pory roku albo dnia; przeto bywają tak gęste parowania, że dały powód starożytnym i niektórym nowym pisarzom do utworzenia bajki o słupach dymu, buchających z głębi przeklętych odmetów tego mokrego piekła.

Plinjsz naturalista utrzymuje, że wszelkie żyjące ciało nie może się tu utopić; Strabo powiada, że wstępując do tego morza, człowiek się unosi samą wodą i może chodzić po głębi; Tacyt powtarza toż samo, a Józef Flawiusz świadczy, że cesarz Wespazjan, dla doświadczenia, kazał rzucić kilku niewolników, związanych i ci pływali po wierzchu, jak korek. Pomimo tak poważnych świadectw, wspartych jeszcze zeznaniem wielu nowszych wędrowców i pielgrzymów, niemożna niewiedzieć w tém wielkiej przesady. Wprawdzie woda znacznie unosi i pograżyć się nie jest łatwo; lecz niepodobna chodzić niedostając dna.

Woda martwa nie żywi żadnych ryb, ma jednak plód swego rodzaju, a tym jest asphalt albo żywica, która w starożytności stanowiła bogatą gałąź przemysłu; była bowiem używaną do balsamowania ciał i ztąd Egipcyanie mnóstwo jej sprowadzali dla swoich mumij. Dawniej Żydzi robili z tego asfaltu korony albo wieńce, które wkładano w kościele nowożeńcom.

Jest podanie u ludu, że w topielach sodomskich tai się ogień, a przeto że człowiek płynąc tam daleko, może się spalić i że łódź ulega temuż wypadkowi. Niema nawet potrzeby zbijać téj bajki. Dwaj Anglicy sprowadzili barkę z Jafy i długo pływali po tém jeziorze, badając go we wszystkich kierunkach. Nowi ci żeglarze morza Martwego powiadali, że ma ono częste mielizny i że chociaż są w niem wielkie głębie, jednak wszędzie można dostać dna ołowianką. Ztąd najoczywistszy dowód, że to jezioro nie zalewa żadnego krateru wulkanicznego. Dziś wiadomo, że morze Martwe leży w nadzwyczaj głębokiej dolinie, bo na 1341 stóp niżej od morza Śródziemnego. Największa głębokość w tém

jeziorze nieprzechodzi 1308 stóp. Dno jeziora, wedle najnowszych badań, składa się z dwóch płaszczyzn, wzniosłej i zapadłej; pierwsza pokrywa się glejem klejowatym, druga solą skryształowaną. Między temi dwiema płaszczyznami ciągnie się głęboki wąwóz w kształcie koryta rzeki i w kierunku Jordanu, jakby jego dawne łoże i tam właśnie jest największa głębia.

Dzisiaj Arabowie przychodzą tu po sól, którą wygotowują z wodą i często na brzegu widzieć można zebrane ku temu drwa. Sól dobywana z tego morza jest gorzkawa i pomieszana z saletrą i siarką.

Sławne to jezioro ma rozmaite imiona; i tak zowie się ze względu na słoność morzem soli, albo najśłodsze, ze względu na położenie, morzem doliny, równiny, morzem pustyni, albo wschodniem, bo leży w rozdole, otoczone pustynią i na wschód od Judei. Najpospoliej znane jest pod imieniem morza Martwego, jak je nazywa S. Hieronim, bo rzeczywiście wszystko dokoła tam martwe i niema żadnego śladu życia, ani drzew, ani roślin. Zowie się jeszcze morzem Sodomskim, a mieszkańcy Arabi zowią je jeziorem Lota, u Greków zaś i Rzymian sławne jest pod imieniem jeziora Asfaltyckiego, czyli jeziora żywicy albo kleju.

Dawniej, gdzie teraz leży morze Martwe, była sławna dolina Siddim, przyodziana ogrodami, sadami i zielenią przyjemnych gajów. Ztąd Mojżesz porównywał ją do rajy Pańskiego. Ziemia była nadzwyczaj płodną i swoim urodzajem wedle słów Mojżesza równała się najlepszej ziemi egipskiej. Wśród téj rozkosznej doliny, umajonej i ociennionej drzewami, rozkładało się u czystych źródeł jordańskich pięć miast i te, za swoje wołające o pomstę do Boga grzechy, zostały zniszczone deszczem ognistym. Spalona od niego ziemia zapadła się i wody Jordanu, wpadłszy w tę głębię, zatrzymały się w swym biegu i utworzyły dzisiejsze jezioro.

Porównyując opis Mojżesza z położeniem miejsca, znajdujemy wszystko prawdziwem i cała okolica składa dotychczas świadectwo opowiadaniu Biblii. Strabo, a za nim ledwo nie wszyscy nowsi uważają to za sam wybuch wulkaniczny. Ale to przypuszczenie jest fałszywe i samym widokiem okolicy zbijane najdowodniej. Niemasz tam żadnych śladów wulkanicznych a tylko wszystkie przyległe pobrzeża przedstawiają zgłiszczce ogromnego pożaru, który ziemię do głębi przepalił i przesiąkł ją siarką, saletrą i solą.

Józef Flawjusz powiada, że na dnie sodomskiego jeziora można było widzieć ruiny miast nieszczęśliwych; Strabo jeszcze dalej się posuwa, bo z tych szczątków mógł zmiarkować, że Sodomą miała obwodu staj sześćdziesiąt. Wielu późniejszych i now-

szych złożyło też świadectwo o widzianych w głębi morza Martwego zabytkach. Tegoczesne badania rozwiły te wymysły próżnej wyobraźni. Zachowanie ruin Sodomy byłoby zaprawdę cudem jeszcze większym od jej zniszczenia, ale całkiem niepotrzebnym; a takich cudów Pan Bóg nie czyni. — Żeby też ogień, który strawił całą ziemię tak, że się zapadła, zachował szczątki murów i przez tyle wieków potem wpadające do tego jeziora wody Jordanu nie zamiosły ich swoim piaskiem?

Jechaliśmy dalej po nad brzegiem jeziora do ujścia Jordanu, które niebyło daleko. Konie nasze ciągle grzęzły na pustym i piaszczystym brzegu jeziora i w krotce przybyliśmy do samego ujścia. Jordan, zbliżając się do swego grobu, traci stopniowo swoją pychę, czyli gaje nadbrzeżne, tak, że w końcu otacza się ledwo żółtą szatą trzciny i ta coraz karłowacieje i drobnieje, aż w końcu z wielkim pędem wpada do jeziora i jego białawe zdroje długo się odznaczają od wody sodońskiej. Pęd rzeki sprawia tak wielkie poruszenie, że jezioro zdaje się mieć bieg na południe, co później ustaje zupełnie. Szerokość Jordanu przy ujściu jest znacznie większą, bo ma najmniej dziewięćdziesiąt kroków.

Wracaliśmy później tą samą drogą po nad jeziorem sodońskim, aż do gór judzkich. Upał był nieznośny, bo słońce, około drugiej po południu, zdawało się wszystkie swe płomienie zbierać w ten piec ognisty. Spalone i solne brzegi albo się szarzały iłem, albo białały piaskiem i gdzieś tam zaskorupiała saletra. Zeschłe cierniste zioła, obsypane kurzawą, sterczały czasem jak szkielety roślinne. Nie dziwiłem się opowiadaniu Tacyta, że wszystko, co tu samo się rodzi, albo co posieje ręka ludzka, tak zioła, jak krzewy, czernieją i za dotknięciem w proch się rozsypują; bo chociaż tak rzeczywiście nie jest, lecz na pozór do tyła zniszczone, popielate i zeschłe widzisz ciernie, że się wydają, jakby były z popiołu.

Ks. I. Hołowiński. Pielgrzymka. 1839.

37. Jerozolima.

Okolica Jerozolimy, w całym swoim obszarze, jest głuchą i straszną pustynią. W pośród wzburzonego morza tych skał, które ustawnie, na kształt ogromnej fali, pigtrzą się pod nieba, lub spadają głębokimi jarami, w pośród tej jednostajnie posępnej barwy, niosącej smutek i trwożę, wznosi się najwyższej zielona góra Samuela, jakby wyspa przytułku, lub nadpowietrzna oaza, na której



Jerozolima.

z przyjemnością spoczywa oko wędrowca zmęczone pustynią, jak ptak przelotem morza.

W krainie górzystej widok miast odkrywa się nagle i pospolicie wtedy, kiedy już się zupełnie zbliżysz; co nadzwyczaj przyczynia się do powiększenia pierwszych wrażeń. Około jedenastej przed południem przybyliśmy na białą wapienną górę i nagle ujrzelisiny przed sobą dość wielkie miasto, czepiające się po szczytach gór i opasane zębatego koła murami. To Jerozolima. Z tej białej góry najwspanialej i najpiękniej ona się przedstawia. Przyległa miastu opoka, po której czepiają się oliwy, panuje nad świętym grodem. To góra Oliwna. Kościół Salomona, lub raczej meczet Omara, wznosi zgrabną kopułę nad wszystkie budowy; na Kalwarji świątynia grobu wznosi swoje czarne kopuły; zresztą tłum ogromnych klasztorów i domów, rzadko przerywany wieżami i minaretami, nadaje odrębną postać świętemu miastu, zwłaszcza, że tu niema zieleni drzew pomieszanej z domami, zwyczajem wschodnim, bo tylko gdzieniegdzie smutny cyprys wystrzela samotnie; a jeszcze widząc tę masę kamienną domów, rzuconą na spiekłej opoce i otoczoną do koła pustynią, trudno nie uczuć wielkiego wrażenia na ten widok stolicy skał, co wyłącznym pozorem i położeniem przybiera fizyonomję jakiegoś smutku i wielkości. Spodziewałem się znaleźć Jerozolimę albo w ruinach, albo niewielką i lichą osadą; z przyjemnym zadziwieniem postrzegłem miasto z wielkimi wieżami i murami, co tak tchną wiekiem średnim, że może się zdawać, jakby dotąd panował tam Godfredy i Balduiny. „Jeruzalem, Jeruzalem! które zabijasz proroki i kamieniujesz posłańców Bożych! jakże mnogie i różne budzisz wspomnienia!“ Lecz ten tłum pamiątek, wszystkie dzieje Judy, wszystkie mordy i szturmy, a nawet wszystkie szanowne postacie prorocze, i ten Dawid z arfą, wszystko to bladło, gasło i zniknęło przed słońcem krzyża. Krzyż tylko i krzyż unosił się w mojej myśli nad tym grodem; krzyż porywał do siebie całą duszę i serce; a tak otoczeni boleśnemi wspomnieniami męki i śmierci Zbawiciela, szliśmy piechotą do Jerozolimy i wstąpiliśmy do tego grodu przez bramę Damascęńską, którą zwykli byli wchodzić dawniejsi i pobożniejsi od nas pielgrzymi. Teraz wolno chrześcijanom wchodzić każdą bramą, bez żadnej opłaty, bez żadnego pytania, albo przegładania rzeczy, jak to było niebawem dawno. Wkrótce przybyliśmy do klasztoru Zbawiciela ks. Bernardynów.

Klasztor ten znajduje się w południowo-zachodnim rogu miasta, niedaleko od murów obwodowych, między bramą Betlejemską a Damascęńską. Ś. Franciszek z Asyżu z dwunastu braćmi przy-

był w r. 1219 do Ptolomaidy. Od tego czasu XX. Bernardyni osiedli w Jerozolimie i Ptolomaidzie. Wielokrotnie potem Turcy mordowali tych stróżów grobu ś., lecz zawsze na miejsce poległych przybywali nowi z Europy. Teraźniejsza budowa XX. Bernardynów dość wygodna i wielka, ale bez żadnej architektury; jest to zbiór mieszkań, domurowywanych w różnym czasie. — Sam klasztor wewnątrz ma piękny dziedziniec, korytarze obszerne, cele niewielkie, lecz dobrze utrzymane i piękny ogród; w klasztorze kościół bogato jest przybrany, bo zakryty, przez hojność dawnych monarchów Europy, może się liczyć do najbogatszych. Te skarby najlepiej tają, aby niewzbudzać chciwości moślemistów, jednakże wiele stracono w różnych uciskach i rozruchach. Apteka klasztorna niegdyś była najbogatszą w świecie, kiedy otrzymywała w darze różne lekarstwa z Indji i Ameryki. Teraz w niej zasługuje na uwagę liczny zbiór medykamentów wschodnich, szczególnie różnych balsamów, między którymi sławny jest balsam jerozolimski, złożony z mieszaniny wszystkich balsamów i pewnych korzeni moczonych w spirytusie winnym. W klasztorze, jak tu zwykle, jest szkoła, w której dzieci Arabów katolików uczą się katechizmu, arytmetyki i innych początkowych nauk. Z klasztorem łączy się hospicjum, albo dom gościnny. Do tego domu przyjmują najochotniej XX. Bernardyni wszystkich Europejczyków, jakiej bądź wiary i starają się bez żadnej różnicy na wyznanie, zaspokajać potrzeby wędrowców, bez żadnego domagania się zapłaty. Tej bezinteresownej i najszczerzej gościnności są świadkami sami różnowiercy w swoich podróżach.

Najpierwszą w Jerozolimie świątynią jest kościół Zmartwychwstania, albo Grobu Pańskiego, leżący o parę set kroków od klasztoru Zbawiciela. Tak on jest w koło zawalony klasztorami i innymi budowlami, że formy jego zewnętrznej widzieć niepodobna. Jeden tylko front jest otwarty i dość ładny. Pilastr, ozdobiony pięcią kolumnami korynckimi, przedziela dwójce drzwi, z których prawe są zamurowane, a lewemi się wchodzi. Drzwi są w głębokich marmurowych ogiwach, ozdobionych także kolumnami; nad drzwiami widać płaskorzeźby, przedstawiające wjazd Zbawiciela do Jerozolimy, Jego nauczanie i pogrzeb. Dalej są dwa wielkie okna, odpowiednie dwóm drzwiom i podobnież w ogiwach ozdobione kolumnami; ale te okna w kościele zastąpione są szalowaniem dla mieszkania kapłanów, tak, że jedno górne okno w rotondzie wpuszcza światło do kościoła. Po lewej stronie wznosi się murowana z ciosu wieża, co dawniej była dzwonnica, ale dziś rozebrana w większej połowie z przyczyny, że ją nadwerżyło trzęsienie

ziemi. O dzwonach, jakoby schowanych przez Turków, różne bajki plecie pospólstwo. Plac przed frontem jest kwadratowy i niewielki, bo wzdłuż i wszerz ma dwadzieścia kilka kroków. Znać, że dawniej służył za przedsionek do świątyni, bo jeszcze zostały na nim ślady marmurowej posadzki i ogromne podstawy kolumn. Na środku tego placu pokazywali mi XX. Bernardyni miejsce, na którym dawniej był spalony zakonnik za wiarę świętą. Ten dziedziniec w koło otaczają klasztory należące do Greków, po bokach widać sklepiki pod nakryciem płóciennem, gdzie sprzedają różańce, konchy wyrzynane z wyobrażeniem różnych świętych, krzyżyki rozmaitego kształtu i wielkości i inne tym podobne rzeczy. Teraz kościół prawie niema przedsionka i wprost się wchodzi do świątyni; tylko przy drzwiach znajduje się między galerjami wązki przedział, gdzie straż moślemińska przebywa w czasie otwarcia kościoła, spokojnie paląc fajki i grając w szachy.

Kościół w swojej budowie, stosując się do różnych miejsc świętych które obejmuje, niema kształtu regularnego. Jednakże przedstawia kwadrat, choć nieforemny i zakończony od zachodu wielkiem półkolem, a od wschodu mniejszem i do tego ostatniego półkola przytyka kaplica Ś. Heleny w dwa niewielkie kwadraty i stanowi jakby oddzielny kościół, do którego się zstępuje po schodach, przebitych w murze świątyni grobu. Najgłówniejszą i najpiękniejszą część kościoła stanowi ogromna rotonda, umieszczona w samym końcu strony zachodniej; wspiera się na osmnastu kwadratowych pilastrach, które utrzymują galerję dokoła; na galerji te same przeciągają się pilastry i tykają wyższej w koło galerji, zamkniętej ścianami, bo tylko okna wchodzą do kościoła; tam są mieszkania mośleminów i niewierni mogą z okien zaglądać do świątyni. Dalej nad galerją kończy się ta wspaniała rotonda kopułą, w której samym środku znajduje się wielki okrągły otwór, tylko siatką drocianą zapleciony, aby ptactwo nie wlatywało. Prawie tem jednym oknem górnem oświeca się świątynia, a przez to dość jest ciemna, co tak bardzo stosowne dla kościoła grobu i więcej usposabia do smutnych rozważań. Dwadzieścia ośm kroków ma średnica tej wysokiej rotundy. Cały kościół od zachodu na wschód jest długi sto trzydzieści dwa, a szeroki z północy na południe czterdzieści pięć łokci.

W samym środku opisanej rotundy pod oknem w górze otwartem, wznosi się mała kaplica najświętszego grobu. Stan dzisiejszy tego świętego miejsca jest następujący. Grób ma postać kaplicy, wzniesionej w niewielki równoległobok i zakończonej od zachodu w półkole; a sam jej wierzch zdobi dość zgrabna kopułka

na kolumnach. Od wschodu są drzwi, na przeciwko których miejsce, aż do kaplicy Greków należy, do katolików i jest chórem XX. Bernardynów, gdzie w czasie nabożeństwa u Pańskiego grobu odmawiają jutrznię i inne pacierze kapłańskie. W tym chórze przed grobem pali się zawsze pięć lamp katolickich. Przy samem wejściu po obu stronach drzwi są kamienne podniesienia, jak ławki, na których stoi dwanaście lichtarzy: sześć ogromnych a sześć mniejszych, które należą do katolików, Greków i Ormian, bo każde wyznanie ma swoje osobne świeczniki. Nad wschodowymi drzwiczkami umieszczony jest obraz zmartwychwstania bardzo piękny, należący do katolików. Nad obrazem od wierzchu kaplicy



Widok grobu świętego.

zawieszono dość szerokie płótno, którego końce sięgają pilastrów rotundy i ten daszek płócienny, mający także wyobrażenie zmartwychwstania, ale okropnego pędzla Greków, służy dla osłony schodów w czasie deszczu, który przez otwarte w górze okno pada wprost na kaplicę grobu. Dawniej to pokrycie było z lamy złotej i srebrnej. Przez drzwi, wysokie na półtrzecia łokcia, wchodzi się do przedsionka najświętszego grobu, zwanego kaplicą Anioła. Jest to mała jakby celijka, mająca niespełna 5 łokci wzdłuż i w szerz; nieco z boku znajduje się mały stolik, gdzie w oprawie marmurowej mieści się ułomek, na półtory stopy kwadratowej, tego kamienia, na którym anioł siedział u grobu i ztąd nazywa

się ta kaplica Anielską. W niej pali się 15 lamp zawieszonych: pięć należy do Katolików, pięć do Greków, cztery do Ormian, a jedna do Koftów. Wewnątrz kaplica ładnie wyłożona jest marmurem z płaskimi kolumnami, bo tu wiele zostało z dawnej ozdoby; wszystko bowiem, co teraz było odnowionem przez Greków, nie szczyli się najmniejszym gustem. Po bokach ze strony południowej i północnej w ścianach tej celki są małe otwory okrągłe, służące nietylko dla oświetlenia, ale jeszcze dla pokazania ludowi świętego ognia, który, wedle mniemania Greków i Ormian, z nieba tu zstępuje w Wielką Sobotę.

Z kaplicy Anioła przez małe drzwiczki, będące wprost przeciwko pierwszych, wchodzi się do samej najświętszej groty. Wstępując potrzeba wół się zginać, bo wysokość drzwiczek ledwo przechodzi półtora łokcia i te drzwi grobowe były w czasie spoczynku Chrystusa Pana założone wielkim kamieniem i obwarowane pieczęcią. Sama grota jest jeszcze mniejsza od poprzedzającej kapliczki, ma bowiem wzdłuż i wszerz trzy łokcie. Zaraz po prawej stronie od wchodu na północ zajmuje połowę tej groty ława, wyciosana z żywego kamienia i okryta białym marmurem, a na półtora łokcia wysoka. Jest to najświętsze łóże grobowe Zbawiciela, które idzie wzdłuż przez całą grootę. Marmur biały, pokrywający ławę, jest pęknięty na dwoje. Powiadają, że umyślnie rozbili tę deskę kamienną, aby jej Turcy nie zabrali do ozdoby swego meczetu; jednak ani z pod tej rozpadliny niemożna widzieć właściwego kamienia grobu. Dawniej były w marmurze pokrywającym okienka, przez które można było całować samo łóże grobowe. Grób Pański był w posiadaniu wyłącznem Katolików aż do roku 1808, to jest do czasu spalania się tej świątyni. Dzisiaj wspólnie należy do Katolików, Greków i Ormian. Prawy bok tej grobowej ławy posiadają Ormianie, sam środek Grecy, a lewą stronę Kato-licy i przy każdym wydziale stoi osobny obraz i świece. Obrazy, szczególniejszemu, bardzo nieładnego pędzla. Na ścianie przy kamieniu grobowym, jest układane z marmuru w kształcie płaskorzeźby zmartwychwstanie; ale to dzieło teraźniejszych Greków tak nieładne, że trudno patrzeć. Na ścianie przeciwnej drzwiom jest obrazek Matki Boskiej. W sklepieniu znajduje się przytwierdzonych lamp 43: to jest 13 Katolików, 13 Greków, 13 Ormian i 4 Koftów. Za czasów księcia Radziwiłła było 15 lamp katolickich, należących do cesarza i różnych królów europejskich, co dziś z imienia tylko się zachowuje, bo żaden monarcha na utrzymanie swojej lampy nic nieposyła.

Cały zresztą kościół podzielony jest na kaplice, należące do

różnych wyznań. Tylko u grobu Pańskiego każde wyznanie odprawia z kolei swoje nabożeństwo.

Kościół Zmartwychwstania zbudowany był bardzo wspaniale przez ś. Helenę, matkę Konstantyna W.; potem był złupiony i znacznie zepsuty przez szacha perskiego Kozroesa; ale cesarz Herakliusz przywrócił tę budowę do dawnego stanu. Daleko więcej ucierpiała świątynia od Hakema, sułtana Egiptu, jednakże przetrwała w całości aż do r. 1808, w którym pożar, wszczęty z galerji Ormian, znacznie zniszczył ten gmach starodawny. Katołicy nie byli w stanie odbudować świątyni, bo wtedy pod silną dłońią Napoleona stękała Europa i żaden z monarchów nie miał ani czasu, ani woli myśleć o świątyni grobu. W takim położeniu Grecy, już sami, już przy pomocy Rossji, starali się naprawić szkody poczynione pożarem, a przez wdzięczność dla swoich jednowierców umieścili prawie na wszystkich drzwiach i po innych miejscach orły dwóglowne. W tem odbudowaniu Grecy najściślej zachowali dawną architekturę i dawne rozporządzenie miejsc świętych, jak to można widzieć przez porównanie z dawnymi opisami. Niedostatek pieniędzy i brak zupełny gustu nie dozwolily im przyprowadzić tej świątyni do dawnej świetności. W miejscu olbrzymich granitowych kolumn w rotondzie, lub innych miejscach, musiano postawić mурowane z kamienia czworoboczne pilastry; tylko gdzie niegdzie po bokach można oglądać kolumny nie zniszczone od pożaru. Szczególniej wyobrażenie ich świetności dają kolumny, zachowane w skarbcu katolickim, a były porządku korynckiego. — Wewnątrz ozdoby kościoła są prawie żadne, albo co gorzej, najbrzydszego gustu. Kaplice świętych miejsc, osobliwie należące do Greków i Ormian, nadzwyczaj są ubogie; szary nieogładzony kamień je osłania, a w ołtarzu jeden jaki obraz okropnego pędzla i mensa uboga, niczem nieprzykryta, stanowią cały przybór kaplicy. Jednak mimo tego wszystkiego, sama budowa pozostała po ś. Helenie, bo Grecy dźwignęli tylko upadłą w pożarze kupułę, uderza swoją wspaniałością i żywo oddycha śmiałym genjuszem rzymskim, osobliwie rotonda. Wreszcie, któryż kościół, choćby był ulany z samego złota, może się porównać z tą świątynią świątynią. Tam oko na nic niezwraca uwagi, bo te święte miejsca tak silnie przemawiają do duszy, że człowiek w ciągłym zdumieniu i zachwycie zostawać musi. Jeszcze przyczynia się do tego zaniedbania w ozdobach i do ubóstwa bojaźń mosleminów i podział świątyni na różne wyznania; każdy bowiem naród dusi po skarbcach najkosztowniejsze sprzęty, złote i srebrne lampy, aby niebudzić chciwości moślemińskiej i tylko w święta dobywają czasem na chwilę te skarby,

a pospolicie miedź i mosiądz dają się widzieć. Potem, mimo wyłącznych podziałów miejsc świętych, wszystkie są otwarte dla wszystkich, ztąd właściwie nikt się tam nie uważa za gospodarza, a przeto w czasie nabożeństwa przyniesie jakie ozdoby ze swego klasztoru, a potem znowu zostawia nagie ściany.

Dawniej było ośm wyznań, które utrzymywały nabożeństwo w kościele Grobu Pańskiego: to jest katolicy, Grecy, Ormianie, katolicy-Maronici, Koftowie, Syryjczycy, Abissyni i Georgianie; a teraz właściwie są cztery wyznania, lecz ubodzy Kofci niemają żadnego wpływu i znaczenia. Wszystkie te wyznania odznaczają się największą gorliwością w nabożeństwie i zdaje się, że wzajemnie prześcigają się w modlitwach. Jedne z drugimi żyją na pozór dość dobrze i zgodnie, ale w istocie są to nieprzyjaciele, którzy się wzajem niepuszczają z oka. O każdy obraz tu umieszczony, o każdą lampę, lub inną rzecz najmniejszą, musiało każde z drugimi prowadzić bój zacięty.

Najpiękniejszą budową w Jerozolimie jest meczet Omara, wzniesiony na miejscu dawnej świątyni Salomona, która, wedle przepowiedni Pańskiej, została przez Tytusa zburzoną tak, że nie pozostał z niej kamień na kamieniu. Na tem miejscu wiadomem stał z pewnością i z położenia i z dawnego opisu, kalif Omar zbudował meczet, który jest najdawniejszym i najpiękniejszym zabytkiem budownictwa Arabów, a w świętości równają go meczetami Medyny i Mekki. Nazywa się on El Sachrah, czyli meczet Kamienia, bo wewnątrz ma się znajdować ten sam kamień, na którym Jakób spał i widział drabinę sięgającą do nieba, a z którego później Mahomet miał podskoczyć do nieba, zostawiwszy na nim odciski swoich stóp. Meczet zbudowany jest w ogromny ośmiogran i ozdobiony w koło kolumnami, a przy drzwiach arkadami. Od wschodu, zachodu, południa i północy są drzwi, ściany okładane marmurem i upstrzone różnymi kolorami, szczególnie błękitnym, a wszędzie w górze widzisz złote napisy Koranu. Nad temi ścianami wznosi się ogromna kopuła, doskonale okrągła, w kształcie latarni z malowanemi oknami, nad którą błyszczą złożony półksiężyc. To arcydzieło sztuki saraceńskiej zyskuje niezmiernie przy odbiciu się o ogromny marmurowy dziedziniec. W tej budowie za czasów krzyżowych chwalono prawdziwego Boga. Legat Innocentego II konsekrował ten kościół, oddany Templaryuszom; ale Saladyn znowu, na miejscu złotego krzyża, osadził na szczycie półksiężyc. Na przeciwko bramy wschodniej meczetu, na wyniosłej płaszczyźnie dziedzińca, jest fontanna, okryta ładną ośmiograną

kapliczką z półkragłą kopułą i ma oznaczać miejsce, gdzie stał tron Dawida, kiedy sądził Izraela.

Klasztor Ormian heretyków, przy którym jest kościół ś. Jakóba Apostoła, zbudowany na miejscu jego męczeństwa, jest największym i najpiękniejszym na wschodzie, a co do ogromu niewiem czy i w Europie wiele mu wyrówna. Szczególniej wielkość gmachu daje się spostrzegać po wstąpieniu na jego dach płaski, przechodzący wysokością wszystkie budowy w Jeruzolinie. Przy klasztorze rozciąga się wielki ogród drzew owocowych, lub cienistych, między którymi zwraca uwagę ogromny cedr. Klasztor z ogrodem opasują w koło wysokie mury, a bramy opatrzone mocno i po ich zamknięciu może klasztor stanowić miejsce obronne.

Mury miasta swoim ogromem i strukturą przy pierwszym ujrzeniu Jeruzolimy uderzają i gwałtem przenoszą do wieków średnich. Obwód tych murów jest bardzo nieforemny, bo prócz jednej ściany przy Jozefatowej dolinie, ciągnącej się w linię prosta, wszystkie inne są pełne zakrzywień i kątów. Jednakże, niezważając na te zagięcia, można cały obwód mieć za czworobok, zwężony nieco od zachodu, a bok północny jest najdłuższy. Mury składają się z ciosu pospolicie twardego i zwykłego tu wapiennika. W koło wznoszą się szerokie i zębate blanki, a czworoboczne wieże i półwieże, których jest 66, wybiegają wysoko nad tę masę kamienną. Bram jest cztery i dwie małe furtki. Wszystkie bramy zewnątrz są pokryte żelazną blachą. Cały obwód miasta można obejść w godzinę.

Wśród dzikich i obnażonych skał, wznosi się dość wysoko płaszczyna skalna, przerywana niewielkimi wzgórzami i prawie w koło otoczona głębokimi dolami w opoce, a na tej płaszczynie wznosi się Jeruzolima. Dolina Jozefatowa, bardzo głęboka, służy miastu za olbrzymią fosę od wschodu, dolina Siloe od południa, dolina Refaim od zachodu; od północy płaszczyna skalna ciągnie się dalej i zwolna się podnosi. Z tej strony w długim przeciągu wieków, ten gród święty był obleganym przez wszystkich swoich zdobywców. Nad całym miastem panuje góra Oliwna, która stanowi bok doliny Jozefatowej; dalej na południe podnoszą czoła góra Obrzydłości, albo Obrażenia i góra Złej Rady, od zachodu i północy piętrzy się za niewielką płaszczyną ogromna góra Gihon. Położenie przeto dzisiejsze Jeruzolimy, zupełnie stosuje się do dawniejszego. Ciągnie się ona wzdłuż na ćwierć mili polskiej od wschodu na zachód, a w szerz na jakich tysiąc sześćset kroków od północy na południe.

Moślemini mieszkają głównie koło meczetu Omara. Są to

przychodni Turcy, pomieszani z Arabami, lecz z czasem przerozdził się całkiem na Arabów. Ludność ich ma wynosić do ośmiu tysięcy. Zaraz pod Syonem ciągnie się kwartał żydowski, dość wielki, domy liche często z gruzów sklecone, a często tuli się hebrajska rodzina po dawnych lochach i zwaliskach; gdzie tylko widać dom nieco porządniejszy, a i ten z wierzchu zapuszczony, zdaje się ogłaszać ukrytą wewnątrz nędzę. Na tych wązkich uliczkach nieczystość jest w całej swojej okazałości: kupy gnoju, różne padła i inne brudy najswobodniej tulą się do biednych lepierek, a często witają przechodnia pustki i rozwaliny okryte chwastem. Dwie bardzo ubogie synagogi i nielepszy szpital dla żydowskich pielgrzymów, stanowią wszystkie ich publiczne budowy; ludność ich ma wynosić pół szósta tysiąca. Właściwie żydów krajowych tu niema; wszyscy są wychodźcami z różnych krajów Europy i mówią po włosku.

Za kwartałem Żydów ciągną się na wyższej pochyłości syonskiej mieszkania Ormian, koło ich klasztoru ś. Jakóba. Prócz zakonników mało ich tu mieszka, lecz są bogaci jak wszędzie i zajmują się handlem. Liczą ich z duchownymi do pięciu set. Koło klasztoru Zbawiciela cisną się Arabi katolicy, bo Europejczyków, prócz księży, nie znajdziesz i tych wszystkich liczba ma wynosić do czterech set. Grecy także mieszkają przy swoich klasztorach i ma ich być tysiąc, a policzywszy w to jeszcze Koftów ze trzydziestu, to cała ludność Jerozolimy wynosić będzie 15,430.

Często spędzałem wieczór na tarasie klasztoru Zbawiciela i wodziłem w zadumaniu oko po całym świętym grodzie, który przedstawiał się jak na dłoni. Niezgrabne domiska, jak szopy, cisną się jedne przy drugich, a nie przywykłemu oku dla braku dachów zdają się pogorzelijskiem. Ulice wązkie, nieczyste i ciemne, bo często idą pod arkadami, przedzielają te masę kamienną. Często postrzegasz ruiny i pustki, a wszędzie głucho milczenie; niema ruchu i życia na ulicach, czasem tylko pielgrzym, lub mieszkaniec, cicho się przesuwają. Nietylko ta cichość i pępowność cechuje Jerozolimę w porze wieczornej, ale i we dnie, wyjąwszy tylko święta Wielkiej Nocy, bo wtedy tłum pielgrzymów ma na chwilę ożywić ten cmentarz. Zdaje się że śmierć Zbawiciela rzuciła wieczną żalobę na to miasto. Jeśli obrócisz oczy na przyległą okolicę, to równie pępowny i surowy przedstawia się widok. Pod tem miedzianem niebem sterczą przepalone opoki i tylko po górze Oliwnej dość rzadko czepiają się drzewa, a z resztą naga często biała skała ogranicza wejrzenie. Nie szukaj tu rozkosznych sadów wschodnich, ani przyjemnego szemrania strumieni; wszystko

tu pustynia głazów, która jednostajnością przeraża i wprawia w ponure zamyślenie. Wprawdzie za miastem znajduje się źródło Siloe, co ukrywa się w jarze przed okiem, lecz mieszkańcy nie wiele liczą na tę wodę i pospolicie używają deszczowej, która się zbiera w cysternach pod domami. To miasto we wszystkich czasach nazywane świętem i teraz u Arabów słynące pod imieniem El Kods, święte, albo Mobarek, błogosławione, coś w sobie istotnie niezmiennego zawiera i przejmuje człowieka jakąś niewymowną tęsknotą, jakimś mimowolnym smutkiem, który i na chwilę nieopuszcza. Jest to prawdziwa Jeruzalem, czyli widzenie pokoju, ale pokoju grobowego, pokoju śmierci, bo w kolo postrzegasz martwe opoki a wewnątrz martwe domy.

Ks. J. Hołowiński, Pielgrzymka. 1889.

38. Synai.

Wysoka, stroma i ciasna dolina w skałach prowadzi do sławnego klasztoru Ś. Katarzyny na górze Synai. Ciemna zieloność jego cyprysów i drzew owocowych, mile przegładająca z poza siwych murów z kamienia, z daleka wdzięczy się do pielgrzyma, zapowiadając piękną oazę, w pośrodku dzikiego i straszego pustkowia. Sam klasztor ze swojemi wysokimi i warownymi murami wygląda raczej na małą twierdzę, a nie na spokojny przybytek modlitwy i swoim pozorem niedaje wcale przewidywać gościnnego przytułku w pustyni. Brama, dla zbójceckich napadów Arabów, od dawna jest zamurowana. Cudzoziemcy chrześcijanie wciągani bywają do klasztoru na linie, przez okno będące na wysokości 30 stóp i tam przełożony ich przyjmuje pocałunkiem pokoju.

Klasztor Synai tworzy czworobok nieforemny, zamknięty potężnymi murami z głazów granitowych, wysokimi na 40 stóp i mającymi w różnych miejscach małe baszty, na których dla obrony w razie potrzeby jest kilka działek. Wewnątrz murów obwodowych ciągną się budowy klasztorne i krzyżując się w różnych kierunkach, formują wiele małych podwórz, łączących się z sobą przez ciasne i kręte przechody, idące to w górę, to na dół. Niektóre z nich zasadzone są cyprysami, lub innymi małemi drzewkami, inne kwiatami, inne mają grzędy rozmaitego warzywa, zaś po murach pną się winne latorośle. W czystem świeżem i zdrowym powietrzu górskim, w prostem i umiarkowanym życiu i jednostajnem zatrudnieniu, mieszkańcy tego klasztoru dochodzą po większej części głębokiej, czerstwej i wesołej starości. Przy codziennj

służbie Bożej, każdy mnich trudni się ogrodnictwem, albo jakim rzemiosłem. W klasztorze jest dwadzieścia cztery kaplic i kościół Przemienienia Pańskiego, jaśniejący starożytną wspaniałością i powagą. Dwa rzędy kolumn granitowych podpierają sklepienie malowane błękitno i usiane gwiazdami; posadzka jest z tafli białego i czarnego marmuru. Mnóstwo świeczników i lamp błyszczy od złota i srebra. Po ścianach wiszą niezliczone obrazy. Najpiękniejszy zdbi środkowe sklepienie. Jest to przepyszna mozaika przedstawiająca Przemienienie Pańskie: w pośrodku jest Chrystus Pan, po obu jego stronach Mojżesz i Eljasz, w dole uczniowie Pańscy. W dwóch rogach w górze są obrazy cesarza Justynjana i jego małżonki Teodory, którzy założyli ten klasztor i zbudowali tę świątynię. W miejscu, na którym Bóg ukazał się Mojżeszowi w krzaku ognistym, jest kaplica, ozdobiona pysznymi kobiercami. Posadzka jęj wykładana jest srebrem i niewolno nikomu wchodzić tam inaczej, jak boso; o czém głosi napis: „Zdejm obuwie z twoich nóg, albowiem miejsce, na którym stoisz, ziemią świętą jest.“

Straszny przechód podziemny, zamykany wewnątrz żelaznemi drzwiami, prowadzi do pięknego ogrodu klasztornego. Jest on na tarasach i zasadzony przepyszными drzewami owocowemi, których mnogość, różnaitość, bujność, dojrzałość i wyborny smak owoców świadczą o łagodnym i świeżym klimacie na tej wyniosłości. W samym prawie środku ogrodu jest kostnica. Tam w dwóch sklepach spoczywają zwłoki zmarłych kapłanów i braci zakonnych. Naprzód składają je w osobnym sklepie na żelaznych kratkach, a po dwóch lub trzech latach przenoszą do tej kostnicy.

Z klasztoru idzie ścieżka do parowu między urwistemi skałami na górze Horeb. Z tamtąd, przez mnogie zwałiska skalne i odwieczne nie przez ludzi wyrąbane schody, dostaje się na wysoko w tych górach leżącą płaszczynę, która w pośród bezpłodnych i dziko rozrzuconych skał granitowych, przedstawia się jak wdzięczna oaza. W pośrodku jej znajduje się murowana krynica, przy której samotnie wznosi się piękny cyprys. Niedaleko jest kaplica ś. Eljasza. Tu bowiem prorok, schroniwszy się przed zemstą Jezabeli na pustynię, obrał sobie mieszkanie pustelnicze. Ta mała płaszczyna leży na 1400 stóp wyżej od doliny, na której stoi klasztor. Ku północ-zachodowi ciągnie się ona prawie na godzinę drogi ponad całym grzbiętem Horebu, aż do miejsca, gdzie on nagle spada strömem urwiskiem na równinę Rahah. Na południe, tuż za kaplicą ś. Eljasza, góra podnosi się jeszcze na 900 stóp wyżej i tam tworzy jakby drugie piętro i szczyt najwyższy tych gór. Jest to góra

Mojżesza, czyli właściwa Synai. Od kaplicy ś. Eljasza w pół godziny dostaje się, również po kamiennych naturalnych schodach, na ten ostatni wierzchołek. Tworzy on płaszczyznę, mającą około 60 kroków w obwodzie. Znajduje się na niej mały meczet i kaplica chrześcijańska. Widok z tej skały, wzniesionej na 7000 stóp nad morzem, na rozrzuconą dokoła w dzikich urwiskach pustynię skalną, przeraża grozą i majestatem. „Jak królewski tron, który Bóg sobie zbudował na ziemi, nieodmienny od dnia stworzenia“, jak święta twierdza, stoi ona wśród pustyni, podniesiona ku obłokom. Gdzie tylko oczy się zwróca, niewidać nigdzie ani zielonych górskich łąk, ani lasów, ani szemrzących strumieni, ani wodospadów, ani wiosek, ani nawet pojedynczych chat. Tylko burze swoim gromowym głosem i wichry, szukające nieraz po całych dniach wyjścia przez zamknięte doliny, powtarzające wielokrotnie straszliwe echa grzmotów, przerywają tu ciszę uroczystą i przejmującą, jak nigdzie na ziemi.

W. Bässler.

39. Beduini.

Arabowie, mieszkańcy pustyni i prowadzący żywot pasterski i tułaczy, nazywają się Beduinami. Niebezpieczeństwa pustyni, upały słoneczne, wichry i walki z nieprzyjawnymi pokoleniami, hartują ich tak, że te suche i dumne postacie, z ogorzałemi od słońca licami, są może najdzielniejszymi i najmniej potrzebującymi na ziemi ludźmi. Bez żadnej skargi brodzą oni podartemi od ostrych kamieni stopami po gorących piaskach, z głową odkrytą, pod palącemi promieniami słońca, po całych dniach obok swoich wielbłądów, a wieczorem z najzupełnijszym zadowoleniem spożywają swój objad, składający się z kilku daktyłów i kubka czystej wody. Z pod ich czarnych gęstych i krzaczystych brwi, błyskają ogniem ciemne oczy, które z nadzwyczajną bystrością mierzą niezmierną rozległość pustyni. Tam, gdzie Europejczyk przy największym wysileniu wzroku nie zdola nic rozpoznać, bystre oko Beduina już poznaje liczbę zbliżających się jeźdźców, po śladach stóp na piasku widzi, czy to przeszedł przyjaciel czy nieprzyjaciel, po jednostajności lub nierówności kroków, czy on był zmęczonym, czyli nie, po głębokości śladów, czy był z noszą, czy bez noszy. Przenikliwość ich zmysłów prawie graniczy z nadprzyrodzonością. Gdzie krzyżują się tysiące różnych śladów, umieją oni odróżnić ślady swoich wielbłądów. Niezmiennie, jak sama pustynia, przechowują się ich obyczaje i zwyczaje. Zawsz eu nich zboże miele się w ręcz-

nych młynkach, a woda i mleko nosi się w skórzanych miechach. Zawsze zbrojni mieczem i piką, tułają się oni na swoich lotnych koniach i cierpliwych wielbłądach, zawsze mają swoją dawną zuchwałą butę, równie jak i dawną ochotę do rozbojów i dawne prawo krwawej pomsty. Żaden Arab i dotychczas nie przejdzie mimo krynicy, żeby jej niebłogosławił i nieżyczył jej posiadaczowi wszelakiego dobra, zawsze oni prowadzą żywot koczowniczy, pod rządem patryarchalnym, podzieleni na rody i pokolenia, zostające z sobą to w przyjaznych, to w nieprzyjaznych stosunkach. Naczelnikiem rodu jest Szejjch, to jest najstarszy, starzec. On sądzi i rozstrzyga spory, dowodzi na wojnie i prowadzi układy. Praw pisanych u Beduinów nie było nigdy, ale kary za wszelkie przestępstwa oznaczone są ściśle. Kto chce być obranym Kadi, to jest sędzią, powinien mieć dobrą pamięć i być znanym z zamiłowania sprawiedliwości.

Najświętszym dla Beduina przybytkiem jest jego namiot. Ograżyć cudzoziemca na otwartej drodze, wcale nie jest czynem haniebnym; lecz jak tylko ów cudzoziemiec wstąpił do namiotu, jego osoba i jego mienie jest dla Beduina świętem. Natychmiast w najlepszym miejscu rozścielają dla niego kobierzec i nastawiają mu ucztę. Przy odejściu jest w zwyczaj, iż cudzoziemiec zostawia podarek. Namiot składa się z dwóch części, przedzielonych wełnianą zasłoną; jedna jest dla mężczyzn, druga dla kobiet. Prócz kobierców niema żadnych innych rzeczy zbytkowych. Po zdjęciu namiotu, wiążą się razem koły, zwijają się pokrycia, tkane z szerści koziej lub wielbłądziej, nieliczne sprzęty i naczynia zabierają się w kosze i skrzynie i to wszystko pakuje się na grzbiet wielbłąda; i tak z żoną, dziećmi i całym dobytkiem, Beduin przenosi się na nową siedzibę. Niektóre pokolenia cały rok koczują ze swojemi trzodami owiec i koz.

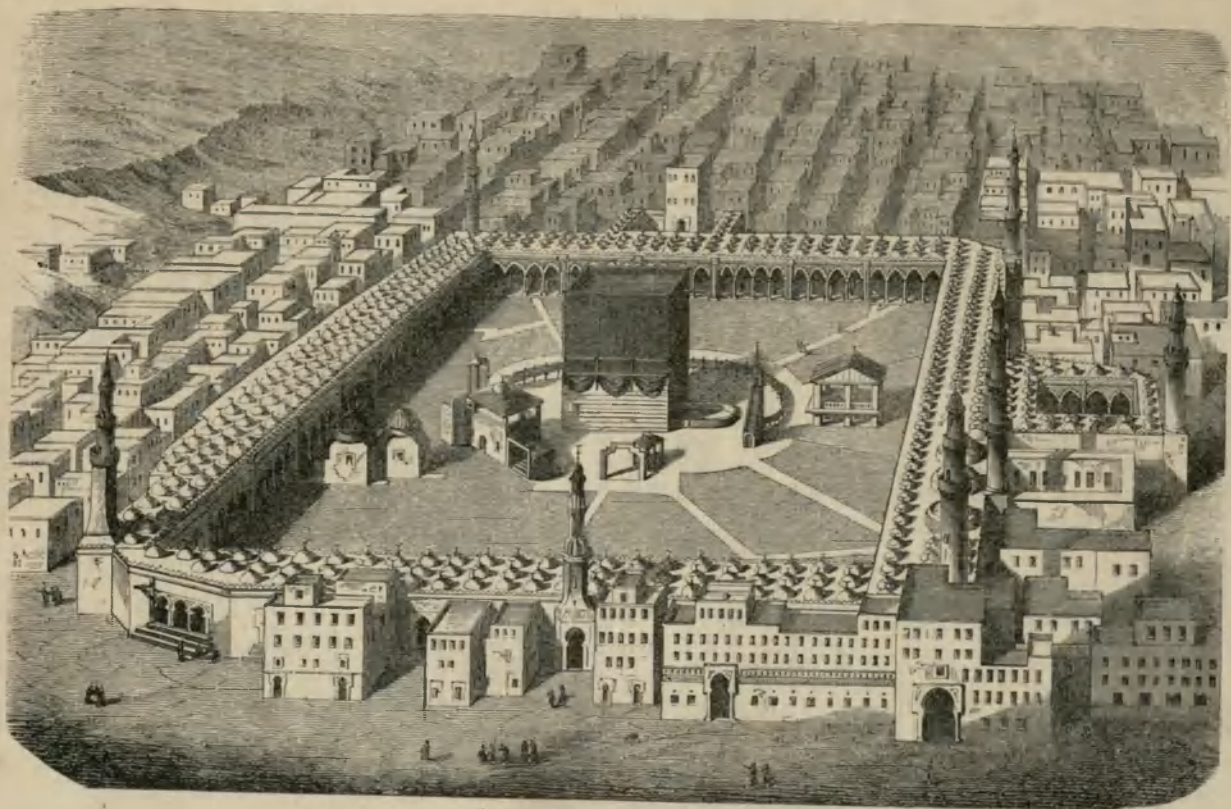
Domowe sprzęty Beduinów są zupełnie odpowiednie przyrodzie ich kraju i ich sposobowi życia. Materac służy za sofę i krzesło za stół i za łożo. Ażeby w przenosinach nie mieć wielkich ciężarów do dźwigania, wiele rzeczy robi się ze skóry, mianowicie miechy na wodę. Bywają one wielkości rozmaitej, od naszych worów na mąkę, do naszych kapiuchów na tytoń i kto tylko udaje się na pustynię, nieomieszka nigdy zawiesić na sobie mały mieszek z wodą. Miech z mlekiem zsiadłem masła. Do gotowania służy słupie i kłóci się aż do oddzielenia masła. Do gotowania służy wielkie tygłe miedziane; do tłuczenia bobów kawowych, młódczerze drewniane; do rozcierania ziarn, młynki ręczne. Gotowaniem jedzenia zajmują się kobiety, zwykle wieczorem i wtedy siedząc przed

namiotami zawodzą w pośród ciszy pustyni swoje śpiewy. Chleb bez zakwasu robi się w kształcie małych ciastek, które pieką na rozpalonych blachach lub kamieniach. Główna uczta zastawia się o zachodzie słońca. Za stół służy ziemia, którą zaścieleją nakryciem. Przed jedzeniem wszyscy umywają ręce, poczem całe towarzystwo zasiada w około na skrzyżowanych nogach i w imię Allaha wszystkie ręce tłoczą się razem do misy, w której zwykle bywa ryż z siekaną baraniną, lub koźliną. Nożów i widelców nieużywa się przy jedzeniu wcale. Kobiety zajmują się też tkaniem nakryć i osłon. Do tego służą im krośna bardzo proste. Wbija się dwa kije w ziemię, na te kładzie się dwa, trzy w poprzek i krośna są gotowe; na kije poziome nawijają się nici, kawałek drzewa służy za iglicę tkacką, a krótka włosień gazeli do nawlekania nitki.

Jakkolwiek na małym poprzestający Beduini zastosowali swoje potrzeby życia do swojej jałowej pustyni, nie mogą jednak i oni obyć się bez wielu rzeczy, których w tej pustyni niema wcale. Przeto i tam zagłada kupiec i szukając zysku, na wielbłądzie, tym okręcie pustyni, puszcza się na to morze piasku, mające jak i morze właściwe swoje niebezpieczeństwa. Wiezie on na sprzedaż broń, materje bawełniane, kobierce, naczynia miedziane, tytoń i inne rzeczy, za które często w miejscu pieniędzy bierze owce i kozy, które z podwójnym zyskiem sprzedaje za powrotem u siebie.

Wieczorami, kiedy większa część rozłożonego na koczowisku pokolenia Beduinów zbiera się przy swoich namiotach, bywają tam śpiewy, tańce i opowiadania pięknych powieści i bajek. Cicha i odludna pustynia, czyste gwiazdziste niebo i noc milcząca, tak piękna w pustyni, dziwnie nastrajają wyobraźnię Beduinów. Każdy przeto z nich umie na pamięć wiele bajek i poezji, a często i sam bywa poetą. Nawet zwyczajna mowa bywa u nich bardzo obrazową. W pustyni napotykać można i dotychczas wędrownych śpiewaków, którzy chodząc od koczowiska do koczowiska, sławią w pieśniach, z towarzyszeniem pewnego rodzaju cytry, wojnę i gościnność, swobodę i miłość.

Tam, gdzie Beduini weszli w bliższą styczność z cudzoziemcami, zmieniły się pod wieloma względami ich starodawne obyczaje i starodawne cnoty, mianowicie gościnność. Gdy podróżny jest ubogim, nikt o niego się nie troszczy, zdarza się nawet, że go wypędzą bez litości na gołą pustynię. Kiedy jest bogatym, przyjmują go chętnie, wyglądając chciwie podarku, przechodzącego o wiele wartość przyjęcia. Lecz z drugiej strony przejęli Beduini od cudzoziemców i wiele dobrego. Krwawa zemsta stała się u nich rzadszą i wymiar sprawiedliwości lepszym i porządniejszym.



Świątynia Kaaba w Mekka.

40. Mekka.

W wąskiej, zamkniętej nagiemi skałami dolinie, leży zupełnie otwarte i nieregularnie zabudowane miasto Mekka, miejsce urodzenia Mahometa i cel nabożnych pielgrzymek wszystkich muzułmanów. Każdy z nich bowiem przynajmniej raz w życiu powinien zwiedzić to święte miejsce, jeśli chce umrzeć spokojnie.

W południowej części miasta, gdzie dolina jest najszerszą, wznosi się wielki meczet, najpierwszy w całym świecie mahometańskim, w którym jest sławna Kaaba, nadająca tej świątyni całe jej znaczenie. Meczet składają cztery skrzydła, obejmujące prostokątny dziedziniec, długi na 250, a szeroki na 200 kroków. Do koła idą rzędami kolumny, od których siedem, wyłożonych kamiennymi płytami, dróg prowadzi do stojącej w pośrodku Kaaby. Jestto niewielka murowana budowla, mająca ośmnaście kroków długości, a czternaście szerokości i około czterdziestu stóp wysokości. Mahometanie powiadają, iż zbudowaną ona jest przez Abrahama i że jego syn Izmael dostarczył mu do tej budowli kamieni, które cudem wszechmocy Boskiej wychodziły z ziemi, obciosane należycie w sześciany. Kaaba ma dach zupełnie płaski i przeto cała z daleka wygląda jak sześcian. W północno-wschodnim jej rogu leży sławny czarny kamień, wznoszący się od ziemi na cztery lub pięć stóp. Mahometanie powiadają, że pochodzi on z nieba i został dany Abrahamowi przez anioła Gabryela, jako znak szczególniejszej łaski Bożej, że pierwotnie był on czystym i przezroczystym, ale przez dotknięcie nieczystej kobiety stał się czarnym i nieprzejrzystym. Ten kamień obecnie tak jest starty i wygładzony przez ciągłe dotykania i całowania, iż niepodobna rozpoznać dokładnie jego właściwości.

Ściany Kaaby zewnątrz są okryte czarną jedwabną materją, na której są wytkane różne modlitwy, ale ponieważ są one tegoż koloru co i całe okrycie, przeto z trudnością dają się odczytać. Środkiem do koła całego budynku idzie inny napis, wyszyty złotem. Dla czarnego kamienia porobione są otwory, przez które zewnątrz budowli można go dotykać. Nakrycie Kaaby leży na niej wolno tak, iż najmniejszy powiew wiatru go porusza. Według mniemania pobożnych pielgrzymów, jest to znakiem obecności siedmiudziesięciu tysięcy aniołów, którzy strzegą Kaaby. Oni to wprawiają w taki ruch jej osłony powiewem swoich skrzydeł; i gdy zagrzmi trąba na sąd ostateczny, oni ją poniosą do raju.

W około Kaaby stoi na dziedzińcu jeszcze kilka małych bu-

dynków, z których zasługuje na uwagę ten, w którym mieści się sławna święta krynica. Dostarcza ona wody całemu miastu i nie masz w niem domu i rodziny, któraby nie nabierała jej z tamtąd co dzień pełnego dzbanka. Lecz ta woda jest tylko do picia i religijnych obmyć; używać jej do gotowania i innych potrzeb domowych, uchodziłoby za bezbożność. Każdemu z pielgrzymów, przychodzących do meczetu na modlitwę wieczorną, będący przy krynicy ludzie podają z niej dzban pełny wody. Bogatsi płacą i za siebie i za ubogich. Ta woda jest poczytaną za niezawodne lekarstwo od wszelkich chorób i prawowierni muzułmanie są przekonani, że im więcej jej piją, tem przyjemniejszymi są Bogu ich modlitwy. Utrzymują oni, że jest to taż sama krynica, której Jehowa na prośbę Hagary kazał wytrysnąć na pustyni.

Pielgrzym, wszedłszy do meczetu, gdy przez jego kolumny ujrzy świętą budowę po raz pierwszy, odmawia przepisane modlitwy i czterykroć upada na ziemię, dziękując Bogu, że dał mu szczęśliwie nawiedzić to święte miejsce. Potem idzie jedną z siedmiu dróg, lecz zanim przystąpi do Kaaby, zrzuca obuwie pod amboną, na której w dni świąteczne bywają kazania. Następnie staje naprzeciw czarnego kamienia i jeszcze raz pada czterykroć na ziemię, dotykając kamienia prawą ręką, poczem obchodzi do koła Kaabę na prawo siedem razy: pierwsze trzy razy krokiem przyśpieszonym, naśladując proroka, który, gdy nieprzyjaciele jego rozpuścili słuch, że on ciężko zachorował, trzy razy obiegił dokoła Kaaby. Przy każdym obejściu odmawia się po cichu przepisane modlitwy, po których całuje się czarny kamień i jeszcze inny kamień. Nakoniec pielgrzym przystępuje jeszcze bliżej do Kaaby między czarnym kamieniem a głównymi drzwiami, przyciska do tych ostatnich piersi i z rozpostartymi rękoma błaga Boga o odpuszczenie swoich grzechów.

■ W. Grube.

41. Persowie.

Persowie są, po Chińczykach, najgrzeczniejszym narodem na Wschodzie. Są oni bardzo mili w obejściu, rozmowni i gadatliwi. Ich mowa ma woń poezji, ale oraz pełna jest przesady i kłamstwa. Pojęcie mają bystre i zręczność ogromną, która i niedostatecznymi narzędziami umie naśladować wyroby europejskie; lecz niedostaje im wytrzymałej siły i wytrwałości w pracy. Pawdziwie krwistego usposobienia, poddają się oni pierwszemu wrażeniu;

jak dzieci w jednej chwili rozczulają się do łez i wnet potem śmieją się, a po chwili zapominają o wszystkim. Nadwyzczają zmysłowi, oddani są wszystkim zmysłowym rokoszom, lubią kobiety i życie dostatnie i wygodne, lecz prawdziwie po wschodniemu umieją znosić i niedostatek i w biedzie i upośledzeniu zdobywać się na dowcip i żarty. Zdarzyło się, iż wielkorządcą Korassanu ze swoim ladajakim wezyrem, któremu zbieg nieszczęśliwych okoliczności bardzo źle posłużył na wojnie, zostali powołani przed rozgniewanego szacha do stolicy Teheranu i nim zasadzono ich do więzienia, musieli w skutek wydanego rozkazu ciągnąć publicznie przez miasto, ale nie w tryumfie na dzielnych koniach w orszaku licznej służby i wojska, przy pozdrawiających okrzykach pospółstwa, a na lichych szkapach, prowadzonych przez pacholków pałacowych i wśród sykania i świstów tegoż pospółstwa. „Czekajcie panowie, krzyknął im wtedy ktoś, zawieleście się najedli, potrzeba wam dać na wymioty!”

Chciwość zysku i pieniędzy ogromna jest we wszystkich stanach, ale szczególnie odznaczają się nią dellale, to jest komissanci, czyli pośrednicy handlowi. Podróżnik europejski dr. Brugsch opowiada: „Pewnego dnia jeden młody dellal stręczył mi się ze swojemi towarami i swojemi usługami. Na to odpowiedziałem, że mam już do takiego rodzaju posług oddawna mi znajomego starego Nasrullaha. Zaledwo wymówiłem to imię, aż na to pierwszy: „„Panie, Nasrullah jest łgarzem i oszustem. Przysięgam na Boga, że mówię prawdę. Ten stary pies, którego ojca spalono, niewart jest przestąpić pańskiego progu i dotknąć pańskich czystych rączek.““ Zapamiętałem nazwisko tego młodego kupczyka i na drugi dzień zapytałem Nasrullaha: co zacz jest ów młody jego towarzysz, zapewne dobrze mu znajomy. Na to mi on odpowiedział najspokojniej: „„Panie, cóż za pies był jego ojciec, że on śmiał przystąpić do prochu pańskich stóp? Czyż on nie jest największym łgarzem i oszustem w tutejszej stolicy? Śmiecie na jego nieczystą głowę! bodajby oblicze jego zczerniało jak noc!““ Dla należytej oceny tych dosłownie podanych mów potrzeba wiedzieć, iż, jak dowiedziałem się od mego sługi, oba oni zostawali w długoletnich najserdeczniejszych stosunkach, jakby ojca i syna i mieszkali w w jednym domu. Wszystko to jednak w Persji nie wpływa bynajmniej na interessa.

Podstawa społecznego życia, rodzina, straciła u Persów całą moc. Kobiety trzymane są w zamknięciu po haremach, a pomimo to utrzymują postronne miłośne stosunki i to robią nie z namiętności, a dla pieniędzy. Dzieci, o których gdy wyuczają się biegać,

nikt zgoła się nie troszczy, patrzą od samego dzieciństwa na największe wszeteczeństwa po haremach i słuchają tam prowadzonych w głos i bez wstydu najbrzydszych rozmów. Mężczyźni gadają o kobietach, z wyjątkiem swoich, zwykle z pogardą i lubią opowiadać o nich najbrudniejsze historje. A pomimo to przyznać trzeba, iż Persanki odznaczają się słodyczą, czułością i często niemałemi przymiotami umysłu i serca. Gdyby nie wielożeństwo i haremy, mogłyby one być najlepszemi żonami i matkami i dobrze wychowywać swoje dzieci, których pilnują same, niepowierzając mamkom i niańkom. Lecz Islam, który pozwala mieć cztery żony prawne, a ile się podoba nałożnic czasowych, nie w stanie jest podnieść i poprawić życia rodzinnego.

Niechlujstwo wszędzie jest nie do uwierzenia. By uciec od jadowitych pluskiew, które rozpowszechniły się po wszystkich domach w mieście Mianeh, poselstwo pruskie musiało rozbijać namioty w polu za miastem. Baron Minutoli, zajmujący się zbieraniem owadów, zlecił był jednemu z tamecznych mieszkańców, by mu dostał dwanaście owych strasznych pluskiew, za co mu obiecał nagrodę. Wtedy ów mąż rozparał się i w składach swojej odzieży odszukał mu natychmiast żadaną liczbę owych żyjatek, z przerażeniem wszystkich obecnych.

Jak wszystkie miasta na Wschodzie, tak i perskie z daleka przedstawiają się bardzo ładnie, lecz za przystąpieniem bliżej ich piękność zamienia się w brzydotę. Drogi są okropne i wszędzie pełne żebraków. Powiadali jedni podróżni, iż dojeżdżając do miasta Tahris, musieli przebojem torować sobie drogę przez ciżbę żebractwa obojej płci. Kobiety otulone były w wielkie niebieskie chusty, mając twarze poniżej oczu zakryte białymi osłonami. Zabiegały one poprzed konie, krzycząc do podróżnych chrześcijan: Dla Jaśnie Wielmożnego Jezusa! Dla Jaśnie Wielmożnej Marji! Dla czci proroka! Najbieglejszymi i najbezwstydniejszymi z pomiędzy żebraków są niewątpliwie Derwisze. Persowie mają zwyczaj strzydz krótko włosy na głowie, a zapuszczać i starannie utrzymywać brodę. Derwisze przeciwnie zapuszczają włosy na głowie, ale zato jej nieakrywiają niczém więcej i krzyczą niezmordowanie swoje „Ja hu!“ O wy! i „Ja haj!“ O Boże!

W. Grube.

42. Łaźnie i haremy na Wschodzie.

Łaźnie są na całym Wschodzie przedmiotem zbytku i niezbędnej potrzebą. Ludzie tam przewidziewają bieliznę najwięcej raz w miesiąc. Nic dziwego przeto, że kąpią się co dnia. Koran zabrania przystępować do modlitwy, nie obmywszy się przed wschodem słońca. Przeto każdego ranka w miastach wschodnich, dzwony zwołują do łaźni i widać ludność wszelkich stanów, śpieszącą do kąpieli. Bogaci mają łaźnie w swoich domach. Łaźnie te składają długo ciągnące się pokoje podziemne, sklepione, do których światło dzienne wpada przez cienkie szyby z alabastru. W środku ich są obszerne wanny marmurowe z wytryskami wody. Ztamtąd po rozebraniu się i przywdzianiu łaźiebnej odzieży, której częścią główną stanowią drewniane sandały, wchodzi się do sali, napelnionej gorącą parą, w której zaledwo można odetchnąć i tam dostaje się w moc dwóch silnych oprawców, którzy porywają gościa, jak wydaną im na łup ofiarę i rozciągają go na rozgrzanej płycie marmurowej. Kiedy wnet go zlewa rześisty pot, naciskają mu, wyciągają i trą wszystkie członki. Zrazu sprawia to prawdziwą mękę, ale wkrótce się z tem zwyka. Wtem przystępuje trzecia osoba i leje na wyciągniętego od głowy do stóp gorącą wodę, podczas kiedy drudzy dwaj wykręcają go, łamią, naciągają, trą i macerują na wszystkie strony. Obrabiany w taki sposób, zwłaszcza nienawykły do tego Europejczyk, radby wymknąć się i uciec, ale to mu się nie uda, bo trzymają go dobrze. Wreszcie zaczynają go trzeć, jak zgrzeblem, szczotkami z końskiej włosieni. Po skończonej operacji, trwającej dość długo, wykąpany i wymyty jak należy gość wypoczywa, składając dzięki Opatrzności, iż dała mu to szczęśliwie przeżyć, ale niedługo potem czuje zbawienne skutki łaźni wschodniej, całe ciało jakby odżywionem, niezwykłą w niem świeżość i daleko żywszy obieg krwi.

Łaźnie publiczne służą mieszkańcom stanu średniego i za miejsce zebrania. Kupcy i cudzoziemcy schodzą się tam dla robienia znajomości i załatwiania interesów, palą fajki, piją kawę i gadają o tem, co słycać w mieście. Szczególniej kobiety, mające swoje osobne łaźnie, uczęszczają do nich, jako do miejsc zebrania. Tam one oddają i przyjmują wizyty, gromadzą się w kółka, zawsze mnogie i liczne, gadają o swoich kobiecych interesach, o swoich rodzinnych i domowych stosunkach i udzielają sobie różnych słyszanych nowości i plotek, bez których i na Wschodzie, jak wszędzie, kobiety obejść się nie mogą.

Haremy mieszczą się w budowach mniej więcej obszernych i zamkniętych zewsząd wysokimi murami. Tam mieszkają kobiety i dzieci. U bogatych te niedostępne nikomu, z obcych rodzaju męskiego, ustronia mogą być przyrównane do ziemskiego raju, bo mają wszystko, co tylko wymyśleć zdoła najwyszukańszy zbytek. Od pomieszkania męskiego dzieli je obszerne podwórze, zasadzone zwykle kwiatami. Tam są najpiękniejsze róże i tulipany. W przylegających do nich ogrodach, pełno jest drzew owocowych i dających miły cień. Haremy bywają nader obszerne; każda kobieta ma nieraz po kilka pokoiów; potem idą pokoje dzieciinne, niewolników, kuchnie, piekarnie, śpizarnie, łaźnie i sypialnie samego pana. Kobiety w haremach spędzają czas na różnych właściwych sobie zabawach, najczęściej przesiadując całe dni na kobiercach rozsłanych pod oknami, wychodzącymi na ogród, gdzie wpośród drzew i kwiatów są wodotryski, piją kawę, palą tytoń i oddają sobie wizyty, a gdy upał dzienny przejdzie, idą do ogrodu, gdzie spędzają wieczór, aż nim przyjdzie noc. Dzieci zostają w haremach aż do lat 11, lub 12. Wtedy chłopcy postępują pod kierunek mężki, a dziewczęta wychodzą za mąż, albo na podarki, lub na sprzedaż. Na Wschodzie ojciec jest nieograniczonym panem swoich dzieci, tak jak sułtan i szach jest nieograniczonym panem swoich poddanych.

Według Grube i innych.

43. Wyżyny Azji środkowej.

Najwznioślejsze na ziemi płaszczyny leżą pomiędzy olbrzymimi pasmami gór średniej Azji, zajmując przestrzeń większą od całej Europy. Miejscami przedstawiają one trawiaste stopy, gdzie indziej je pokrywają wiecznie zielone i soczyste ziołka, zaś tu i ówdzie sól, jak porosty białego mchu, lub świeżo spadły śnieg, leży na gliniastej ziemi. I tak rozległe te płaszczyny, w rozmaitych swoich częściach, mają pozór odmienny. W Tybecie wschodnim ciągną się nieskończone stopy porośnięte trawą, na których szukają i znajdują dla siebie pastwiska owe kozy z długą wełną, z której wyrabiają drogie szale tybetańskie, owce i bydło rogate. Silne są latem na tych bezleśnych równinach upały południowe; powietrze jest zupełnie czyste i przejrzyste i błękit nieba okazuje się przez nie prawie czarnym, jak w najciemniejszą noc. Wschód księżycy nie rozjaśnia atmosfery i żaden blask nie zapowiada go, aż dopóki jego srebrna tarcza nie okaże się na kraju widnokrzęgu.

Gwiazdy ukazują się tak wyraźnie i z takim blaskiem, jak małe słońca. W Tybecie południowym, na niektórych tylko rzadkich miejscach, skąpo dają się widzieć trawy; zresztą wszędzie obnażone góry i płaskowyżyny przedstawiają straszny obraz dzikiego pustkowia. Cisza i samotność panuje na tych smutnych obszarach, gdzie nie widać żadnych drzew, a tylko rzadko gdzie drobne i nikłe krzaki. Kiedy skąpo i na krótko wschodzące w niektórych miejscach trawy przejdą w Październiku, cała okolica wygląda tak, jak gdyby przeszedł po niej ogień. Natenczas z niepowstrzymaną siłą suche i przejmujące zimnem wiatry wyją wpośród gołych skał, kręcąc zamieciami drobnego jak pył śniegu i zamrażają biednego wędrowca, kiedy noc go zaskoczy w parowie.

Jeszcze dzikszą i bezpłodniejszą jest wielka pustynia Gobi, zajmująca przestrzeń większą niż całe Niemcy i na której gdzieś nigdzie tylko widzieć się dają oazy, porośnięte skąpo trawą i drobnymi krzakami. Rozległe obszary piasków pomieszanych z kamykami przerywają tu i ówdzie niskie bezwodne i bezleśne wzgórza. Środkiem tej pustyni, od zachodu na wschód, ciągnie się zagłębienie, którego grunt silnie jest przesiąknięty solą, zwane Szamo, to jest morze piasku. Na zachód od niego leży dzika pustynia zwana Han-haj, to jest suche morze, której drobne i ruchome piaski, wiatry układają w długie i wysokie jak morskie fale zaspasy. Tu, jak na wszystkich pustyniach, latem słońce silnie pali, deszczu niema, a ukazująca się niekiedy mgła bywa tylko zapowiedzią wściekłych wiatrów. W zimie na całej płaszczynie mongolskiej panuje dotkliwie zimno. Przegradzające ją od północy góry są za niskie, by powstrzymać lodowate wiatry wiejące od bieguna, tembardziej, iż płaszczyna ta jest znacznie wyższą od leżących na północ równin syberyjskich. Ani jeden miesiąc w roku nie przejdzie tam bez mrozów i śniegów. Tych jednak nie spada nigdzie tyle, iżby było nie mogło pod nimi znajdować sobie paszy.

Pustynie mongolskie, przerywane przez rozmaite pasma gór, oddzieliły starożytne i od dawna wykształcone społeczności Indji i Tybetu od dzikich i barbarzyńskich ludów Azji północnej. Ścieśniły one zaludnienie tej części świata ku południowi i więcej aniżeli niebotyczny wał Himalajów powstrzymały pochód narodów i położyły nieprzebytą zaporę szerzeniu się wykształcenia i uobyczajenia na północ. Lecz z tychże pustyń wychodziły nieraz na ziemie kłęski i zniszczenia. Tutaj wychowały się narody pasterskie Awarów, Mongołów, Alanów i inne, które w swoich pochodach wstrzęsły całym światem. Jak dawniej w przeciągu wieków od wschodu

na zachód z Azji do Europy, szło ukształcenie i uobyczajenie, tak później w tymże kierunku Azja zalała Europę dziczą i barbarzyństwem. Szczęp pasterski pochodzenia tureckiego, zamieszkujący w skórzanych namiotach wyniosłą pustynię Gobi i oddawna straszny potężde chińskiej, odparty został w części ku środkowej Azji. Skutkiem tego było starcie się narodów, które nie zatrzymało się, aż u zachodnich krańców Europy. Hunnowie, Awarowie i rozmaite inne mieszaniny ludów azjatyckich ruszone były ze swoich siedlisk; hordy Hunnów ukazały się nad Wołgą, następnie w Pannonji, potem nad Marną i na kwitnących brzegach Po, wszędzie niszcząc najbogatsze plony.

Mongołowie, których pierwotną ojczyzną są niezmierne stepy Mongolji, nawet z powierzchowności są podobni do drapieżnych zwierząt, niosących światu zniszczenie. Długi i mocny tułów Mongoła osadzony jest na chudych, krzywych i krótkich nogach. Na bladym obliczu sterczą grube wargi i kończaste kości policzków; nos szeroki i spłaszczony, w głębokich jamach ocznych zerkają małe ukośnie osadzone oczka; brody niema wcale, głowa ostrzyżona i tylko z po za każdego ucha wisi długa kręcona kosa. Te postacie mężczyzn i kobiet wystawiać sobie należy nie inaczej, jak na chudych i szybkich koniach i w ciągłym ruchu. Miewali oni jednak i tak zwane mieszkania. To były namioty z pilśni, która przez skrapianie owczym mlekiem stawała się nieprzemakalną. Mieszkanie i sprzęty domowe, w czasie koczowania, szły na dwukołowych wozach. Mongołowie jedli koty, psy, szczury, myszy i inne plugawstwa; lecz najbardziej ulubionem było im mięso końskie. Napojem ich była brudna woda i krew końska, zaś największym przysmakiem był dla nich mocny i upajający napój z kobyłego mleka. Chleba nieznali i dopiero później w Europie poznali i ocenili smak wina. Broń ich stanowiły łuki i strzały, miecze, piki i maczugi. Kobiety ich doskonale strzelały z łuku. Głód i pragnienie, gorąco i zimno, naród ten nosił z największą nieczułością. Dzisiaj Chanowie mongolscy, którzy nie gdyś chcieli podbić i opanować cały świat, zostają pod władztwem Chin.

44. Himalaje i źródła Gangesu.

Góry Himalajskie, najwyższe na ziemi, przegradzają suche i zimne płaskowyżyny Tybetu, od gorących i wilgotnych równin Indji. Stoki południowe tych gór, po których spadają niezliczone potoki wód, zalegają wszędzie ogromne i przepyszne lasy. Tam na olbrzy-

mach świata roślinnego wiją się kwitnące powoje, ljany i wszelakiego rodzaju pasożytne rośliny, oplatając je i wiążąc jedne z drugimi girlandami z zielonych liści i różnobarwnych kwiatów. Wszędzie widać bujność i wielką siłę roślinną. Już tam nie słychać wstrętnego wycia szakala, ani ryku tygrysa, pozostałych na nizinie, a rozwesela słuch śpiew ptaków. Szumią liścia ogromnych drzew i czuć rzeźwiące i balsamiczne tchnienie gór i lasów. Ta leśna opaska Himalajów nie jest ludną. Mieszkają w niej tylko pastuchy, pasący po lasach swoje trzody i zbierający w nich miód i inne płody, które znoszą na niziny.

Ta kraina lasów ciągnie się w szerz od 5 do 15 mil. Wyżej las staje się rzadszym i występują skały, strome spady, głębokie parowy i urwiska. Z szumem pędzą po nich czyste jak kryształ potoki górskie, okolica więcej jest uprawną i na łąkach i wygonach, usianych kamieniami, stoją murowane domki z ogródkami, a obok nich ciągną się pola zasiane zbożem. Z każdą jednak ćwiercią mili dalej, okolica przybiera coraz bardziej charakter górski. Drogi, jak w Szwajcarii, pną się w zygawowatych kierunkach na strome urwiska, albo idą po nad głębokimi przepaściami i po śmiało rzuconych mostach przeskakują to na jeden, to na drugi brzeg biejących bystro po wąwozach potoków. Roślinność wszędzie jest bujną. Ljany i powoje zawsze oplatają drzewa, pomiędzy którymi przebiegają jelenie i sarny, zaś na ich wyniosłych wierzchołkach kołyszą się bażanty i igrają małpy. Dalej na wysokości od 4 do 5000 stóp poczyna się roślinność strefy ziemniejszej. Tam leżą piękne, żyzne i dobrze uprawne doliny Nepal i Assam, na których rozsypane są malownicze i ludne miasteczka i wioski. Na obróconych ku słońcu stokach gór, pną się starannie pielęgnowane winne latorośle i dokoła chat, budowanych jak w Szwajcarii, ciągną się sady gruszek, śliwek i moreli i pola zasiane żytem i pszenicą. Dzikie róże, głogi i krzaki jeżyny i maliny, okrywają miejsca mniej zdadne do uprawy, a na zmurszałych odłamach skał rosną poziomki, które przez cały rok kwitną i dają owoce. Ta okolica, w której najwyższe szczyty gór dochodzą 9000 stóp, stanowi trzeci pas około właściwych Himalajów.

Dopiero po przejściu średniego pasma gór, w których krajobraz zdobią jeziora, potoki, wodospady i wszelkie dziwy przyrody górskiej, odkrywa się śnieżne pasmo właściwych Himalajów. Widok tych olbrzymich gór, podnoszących się na 12 do 18,000 stóp, jest prawdziwie przerażającym i niepodobna słowami oddać całą ich grozę i wspaniałość. Ani Alpy szwajcarskie, ani góry norwęgskie, ani kaukazkie niemogą dać wyobrażenia o układzie i niesłychanych

rozmiarach tych gór, które na obszarze jakich 30 mil przedstawiają zupełny obraz śmierci. Lodowce piętrzą się na lodowcach, pustynie śnieżne na pustyniach śnieżnych, a z pośród nich powstają olbrzymie massy, jakby jakie duchy nieziemskie, przyodziane w bieli i których głowy niewyraźnie, jak dalekie białe chmurki zwane pierzastemi, rysują się w niedościgłych błękitach niebios. Tam nie doszła do nich ludzka stopa. Nawet mnogie przejścia przez Himalaje leżą wyżej od najwyższych szczytów gór europejskich i do tych przejść dostać się można zaledwo po niesłychanych wysileniach, obok których wędrówki nawet po Alpach są tylko zwyczajną przechadzką.

Na wysokości około 23,000 stóp nad poziomem morza, z pod jednego potężnego himalajskiego lodowca, wypada silny i bystry potok, który jest początkiem Gangesu. Dokoła leży bezludna i martwa pustynia lodów. By dojść aż do źródeł tej świętej rzeki, do której pogaństwo indyjskie odbywa nabożne pielgrzymki, potrzeba z największem niebezpieczeństwem życia piąć się po urwiskach skał, piętrzących się do nieskończoności w górę i po nad brzegami przepaści o niezmiernych głębiach. Każdy krok na tej drodze stawi przed oczy bardziej zajmujące, od wszelkich górskich widoków, wiekuiste uciechy tamtego świata. W miejscu gdzie Ganges pojawia się z pod swojego lodowca, stoi mała pagoda, w której kapłani Bramy udzielają pielgrzymom błogosławieństwa, sami zaś mieszkają w jaskiniach, gdzie pielgrzymi mają gospodę. Ci, co niemogą odbywać tej pielgrzymki sami, szlę sługi, którzy im przynoszą świętą wodę w naczyniach, za opłatą, przez Braminów uwierzytelnianych pieczęcią.

Według Meyera.

45. Indje, Ganges, Kalkutta.

Zbliżaliśmy się morzem ku brzegom północnym zatoki Bengalskiej. Z pod błękitnych wód występowały zielone lasy; przez perspektywę dawały się odróżnić doskonale ogromne banany, mangosy i korony palm; wonne powiewy załatywały od lądu ku naszemu okrętowi. Było to w Lutym, miesiącu kwiecistym Indji, w którym królestwo roślinne przedstawia się tam w całej swojej niewymownej okazałości i piękności. Pod Sagar Island czekaliśmy na rotmana, mającego przeprowadzić nasz okręt do Kalkutty przez Hugli, jedno z ujść Gangesu, dla żeglugi niebezpieczne. Ganges uchodząc do morza tworzy deltę niezmiernej rozległości, na której

massa jego wód drobi się na niezliczoną ilość większych i mniejszych ramion, strumieni i strumyków, rozpościerających się więcej wszere niż wzdłuż. Ziemia łąwata, wilgotna i silnie ogrzewana zwrotnikowem słońcem, a do tego od czasu do czasu zalewana przez powódzie, wydaje tam roślinność, o której bujności niemożemy nawet mieć wyobrażenia. Z pod wody strzelają w górę trzciny wysokości i grubości niesłychanej, drzewa manglowe rozpierają ziemię swojemi ogromnemi korzeniami pijąc z niej wilgoć, której nigdy wypić niemogą i odznaczają się nietyle wysokością, ile bujnością i splotami swoich rozłożystych gałęzi. Wszędzie rośnie najbujniejsza trawa, a z niej podnoszą się olbrzymie pnie mangośw, bananów, tamarind, drzew chlebowych, palm kokosowych, wachlarzowych i wszelkich innych rodzajów, w które obfituje szczególniej roślinne królestwo Indji. Niezliczone łąny i inne wijące się krzewy, oplatają i wiążą jedne z drugimi te ogromne drzewa, tworząc z nich taką gęstwinę, w której zaledwo siekierą można sobie wyrębać przejście. Lecz te nieprzebyte wilgotne zarośla, pełne rozlicznych gnijących materji, są oraz siedliskiem gorączek i różnych chorób; ich wyziewy są jadowite i zaraźliwe. Tam jest siedziba muskitów i niezliczonego mnóstwa jadowitych owadów, tam się łągną różne płazy i tam jest legowisko najdzikszych i naj-sroższych tygrysów, nosorożców i innych drapieżnych zwierząt. Na brzegi i nadbrzeżne łąwice piasku wyłażą krokodyle i żółwie.

Wieczór był przesłiczny, kiedy przez te gęste zarośla płynęliśmy szeroką odnogą Gangesu. Nad nami było niebo czyste, którego ciemny błękit przechodził aż w czarność. Na tem ciemnem tle iskrzyły się gwiazdy tak przepysznie, jak wystawić sobie niemożna na naszym szarem i mglistem niebie północnem. Po obu stronach z głębi zarośli odzywały się przerażające głosy. To były albo stada małp, gdzieś wysoko na rozłożystych gałęziach drzew swarzących się o swoje nocne siedziby, albo przenikliwe krzyki papug i kakadu, albo straszne wycia głodnych szakałów i hyeny, a w pośród nich w ciepłym nocnym powietrzu rozlegał się okropny ryk królewskiego tygrysa. Ledwo nastąpiła noc, opadły nas gęste chmury jadowitych muskitów i innych pokrewnych im owadów, kiedy nieprzewidując tej napaści staliśmy w lekkiej odzieży na pokładzie i ani dym naszych fajek, ani rozpięte dokoła wełniane osłony niemogły nas od nich ochronić.

Lecz jakież pyszny widok czekał nas, gdy światło dzienne znowu błysło po nad wierzchołkami drzew! Wtedy dopiero ujrzeliśmy kwiaty, których wonią oddychaliśmy w nocy, w najrozmaitszych barwach i dziwnych precudownych kształtach; wijące się

rośliny, pokryte tysiącami przepysznych kwiatów, zwieszały się, oplatając jedno drzewo z drugim, od pnia aż do wierzchołka. Na falach rzeki kołysały się piękne liście i kwiaty świętej dla Indjan rośliny lotos, a na brzegach trawy i drzewa błyszczały kwieciami barw najrozmaitszych. Teraz dopiero mogliśmy widzieć świetne papugi kakadu, skaczące i podlatujące na drzewach i niezliczone gromady małp, wyprawiające swoje, to śmieszne, to szkaradne gry i skoki. Na ławicach piasku wyciągały się leniwo okropne krokodyle. Wreszcie dopłynęliśmy do końca odnogi rzeki, usianej wyspami i szerokie, jak zatoka morska, koryto Gangesu rozległo się przed nami niepodzielne.

Wszędzie widzieliśmy ładne wioski, starannie uprawne pola i pracujących na nich rolników w najłżejszej odzieży. Ciekawie spozierałem na małe chatki ulepione z gliny, z daleka świecące białością i mające dachy kryte trzcina cukrową, lub sitowiem Gangesu, a niekiedy olbrzymiemi liśćmi bananów i rajskich fig, na których czerwoną jaskrawą farbą odmalowane były różne fantastyczne wyobrażenia. Jeszcze więcej zwracały na siebie naszą uwagę pagody, czyli bożnice indyjskie, swoją szczególniejszą budową i dziwniemi wieżycami. Tu i ówdzie pokazywały się też meczety muzułmańskie, ze swojemi wysmukłemi minaretami. Niezliczone łódki przebiegały po rzece od jednego do drugiego brzegu, a korytem jej płynęły okręty, rozmaitej wielkości i kształtu, miejscowe i europejskie. Pierwsze były pełne pielgrzymów, udających się na uroczystości i ofiary do świętego miejsca Hurdwar, dokąd corocznie ze wszystkich stron Indji zbiera się przeszło 2 miliony ludu, nie tylko na nabożeństwo lecz i na sławne jednocześnie odbywające się jarmarki. Tam się spotykają kupcy z Indji i z Indochin, od brzegów Indu i Gangesu i od śnieżnych gór Himalajskich.

Wreszcie ukazała się nam Kalkutta, ogromne miasto, w którym stoją pałace obok lepianek, pagody i meczety obok kościołów chrześcijańskich, gdzie jest ognisko handlu pomiędzy wszystkimi narodami Indji i Europy i wystawiane na okaz, współubiegają się o pierwszeństwo wyroby obydwóch części świata. Tam sprawy handlowe, poszukiwania zysku, idą tak bezustannie, tak niezmiordowanie, jak we wszystkich wielkich miastach Europy i Ameryki. Po nad rzeką ciągną się nieskończone rzędy domów, które ocieniają rozpostarte korony olbrzymich palm i innych drzew indyjskich, wysokością i objętością przechodzących o dwakroć największe drzewa naszych lasów. Pomiedzy niemi wznoszą się ogromne pagody i cienkie jak słupy minarety ze złożonemi na szczytach półksiężycami. Rozległy port napełniały tysiące różno-

kształtnych okrętów, od szczególniejszych i dziwacznych dla nas statków malajskich, do wojennych okrętów pod flagą angielską, od dżonk chińskich, do kupieckich okrętów europejskich, zabierających się wieźć skarby Indji ku brzegom Zachodu.

Rano wysiedliśmy na brzeg, by obejrzeć z bliska miasto. Ież życia na jego targowiskach i jaka różnobarwna mieszanina ludności na jego ulicach. Tu słychać nieznośne krzyki Hindusów, tam ostrzegające wołania kulisów, czyli tragarzy, tam odzywa się szkaradna, istna kocia, muzyka miejscowego sztukmistrza, tam idą długimi sznurami wielbłądy, prowadzone przez zimnych i poważnych Persów i obładowane towarami swojej dalekiej ojczyzny. Tam przemykają się palankiny, to jest pudła z zasłonami, siedzeniami i poduszkami wewnątrz, na których, rozwaliwszy się, spoczywają bogacze, każąc się nosić przez ubogich kulisów. Najciekawszymi byli dla nas bogaci Indjanie, radżowie krajowi, książęta siedzący na słońcach, albo leżący na tych zwierzętach, pod bogatym baldachinem lub parasolem, z fajką na długim cybuchu w ustach. Przed takim panem siedział na osobnem siedzeniu chłopiec i obwiewał go wachlarzem, a nad niezmiernem uchem zwierza siedział kierujący nim woźnica. Tak próżnujący pan każe wozić się po ulicach, wystawiając na pokaz swoją możność i swój przepych, otoczony orszakiem bogato wystrojonych sług. — Nowy czekał nas widok, gdzie od kamiennego pobrzeża marmurowe stopnie prowadzą w czyste i przejrzyste nurty rzeki. Setki Hindusów wszelakiego wieku gromadziły się tam, by z modłami zstępować do świętej rzeki. Powierzchnia jej czerniła się od niezmiernej ilości ciemnych głów, i w powietrzu rozlegał się głuchy szmer od napółgłośno odmawianych modlitw.

Należy wreszcie wspomnieć, iż Kalkutta, pomimo swego ważnego politycznego i handlowego położenia, nie jest utrzymywaną porządnie, a nawet tak, jak inne miasta dzierżaw angielskich, a zupełnie prawie tak, jak wszystkie wielkie miasta świata muzułmańskiego. Gaz, upowszechniony w Sidney i Kapie, dotąd nie oświeca tego miasta pałaców. Skrapiają go ręce ludzkie tylko i to nader skąpo. Co zaś do ochędóstwa, do czystości ulic i rynków, do oprzątania rynsztoków, ani władza, ani mieszkańcy tem się nietrudnią, starania w tym względzie powierzając poczywym zwierzętom i ptakom miejskim.

Universum.

46. Benares.

W Benares podróżny spotyka się z ową tajemniczą, a w całym swoim blasku istniejącą w Indjach religią, z owemi zabobonami, które obecnie liczą tu 200 milionów adeptów. Benares, to Jeruzalem religii Braminów, to ognisko umiejętności hinduskiej, zbudowane jest jakoby na wierzchołku trójzęba Shivy, gdy przeciwnie inne kraje naszej ziemi spoczywają na 10,000 głowach wężowych Ananta. Dla tej to właśnie przyczyny miasto Benares niepodlega nigdy trzęsieniu ziemi. Przywilej ten, acz nieoceniony, nie sam tylko zaszczyca mieszkańców nieoszacowanego i ulubionego bożkowi Brahmie grodu. Ktokolwiek odbywa doń pielgrzymkę, otrzymuje odpust zupełny, a kto ma szczęście zamknąć w nim swe oczy na wieczny spoczynek, ten niepodlega po śmierci owym strasliwym metamorfozom, w które tak jest szczodłą religja Hindusów i od razu ściśle się jednoczy ze swoim bóstwem. Wierzenie to, które dotychczas, jako niezbity artykuł wiary, utrzymuje się pomiędzy wszystkimi ludami Indii, dostatecznie tłumaczy, dla czego tak niezliczona ilość pielgrzymów zwiedza corocznie Benares i dla czego to miasto liczy przeszło milion mieszkańców.

Widok ze strony rzeki na całość tego świętego miasta, jest i nader wspaniałym i zarazem nader dziwnym. Na prawym brzegu Gangesu, jak zajrzeć okiem, ciągnie się ogromna równina, a na lewym wznosi się miasto w amfiteatr i przedstawia oku długi szereg budowli monumentalnych, wspaniałej, lecz oraz dziwnej architektury. Te budowle, pałace, świątynie, czy fortece, gdyż zrazu niepodobna odgadnąć ich charakteru, zdobne wieżami, o wyniosłych facyatach, o długich a wązkich oknach, upstrzone pawilonami i wieżyczkami chińskimi, dumnie wznoszą się po nad rzeką i łączą się z nią monumentalnemi wschodami, zwanemi Ghauts, które co do rozmiarów i wspaniałości mogą się porównać ze wschodami w Wersalu. Seciny świątyń hinduskich malowane są jaskrawemi kolorami, mają kopuły w kształcie mitr biskupich i mnóstwo złocień, a wspaniały meczet Aurengzeba, pamiątka podbojów, wznoszący się jak zwycięzca na wzgórzu, na krańcu miasta, góruje nad całym obrazem.

Z wierzchołka minaretu na świątyni Aurengzeba miasto święte zupełnie inny przedstawia widok. Wszystkie domy miasta, ze swemi płaskimi dachami, zalegają w dole przestrzeń ogromną. Podwórza tych domów są tak wązkie, ulice tak ciasne i głębokie, że cała ta masa kamiennych budowli, mieszcząca w sobie przeszło

miljonową ludność, zdaje się jakby rozległą pustynią, ożywioną tylko przez gromady papug i gołębi, poufałych gości minaretów tego niesłychanie wielkiego meczetu.

Najwęższe, najciemniejsze, najsmrodliwsze ulice Londynu lub Paryża, jeszcze nie mogą dać dostatecznego wyobrażenia ulic Benaresu. Wysokie a ponure domy, prawie bez okien, z niskimi drzwiami, smutnie się ciągną po głębokich i wilgotnych uliczkach, jak rozpadliny w skałach, do których promień słońca nigdy a nigdy nie zagląda. Wszędzie swęd brudu, śmiecia i coś duszącego w powietrzu, objawia ci, że się znajdujesz w krainie, gdzie szatan cholery i morowego powietrza założył swą siedzibę. Wśród tego zaraźliwego ogniska snuje się ludność nikła, wycieńczona, okryta czemś niewysłowionem i co krok spotykasz się z poświęconym bykiem, dumnym jak Apis i zawsze gotowym bronić ci regami przejścia przez ciasną ulicę. Obecność tych zwierząt, tak licznych po miastach Indji, jak psy w Konstantynopolu, jest istną plagą, przeciw której władze angielskie mogą działać tylko tajemnie, gdyż mieszkańcy z egipskiem uszanowaniem zapatrują się na te czworonogi, które pobożnie żywią. Hindusowie mają niezbitą wiarę, że jeśli po śmierci krewnego lub przyjaciela da się wolność poświęconemu bykowi, zwierze to na swoich rogach unosi wszystkie grzechy zmarłego i tym sposobem uwalnia go od kary wracania przez niewiedzieć ile tysięcy lat na ziemię, w postaci robaka lub ropucha. W koniecznej więc tylko ostateczności, gdy się ta ludność bycza już nazbyt powiększy, urzędnicy angielscy decydują się uwalniać od niej miasto. Wówczas policjanci nocą ścigają te zwierzęta, zapędzają je na przyległe zarośla, a tam tygrysy i lamparty niedowiarki spełniają wyrok doraźny na tych byków bogów. — Na dole domów miasta są nędzne sklepy tkanin, szkieł, zboża, w niektórych zaś kuchty prawie nagie istne djabełki, warzą rozmaite, niedające się opisać i obudzające wstręt, potrawy. Taka jest fizyognomija tych ulic, gdzie podróżny, pod wpływem niewymownej tęsknoty, z przyjemnością wita, jeśli mu się zdarzy spotkać, złożone na kupy kartofle i w straganach przekupniów warzywa, jako jedyne ślady człowieczych potrzeb wśród tego miasta, jakoby z innego świata.

Błądząc tak po tych wązkich ulicach, wśród tłumu zakwefionych kobiet, pół nagich pielgrzymów i niemal całkiem nagich fakirów, wśród ciżby ślepych, trędowatych, żebraków najobrzydliwszego pozoru, przybyliśmy do świątyni, znanej pod imieniem Vishvayesa, jednej z najbardziej uczęszczanych w Benares. Składa się ona z kilku pawilonów, murowanych z czerwonego

kamienia, okryta jest dziwaczniemi rzeźbami, kopuły ma złożone, a wszystko to obwiedzione murem. Wnętrze budowy napełniał tłum poświęconych byków, fakirów biegających po galerjach, jakby w pomieszaniu zmysłów, polewających siebie wodą i bezustannie z dziwną głośną modulacją wykrzykujących: — Ram, Ram, Ram! Gęste błocko pokrywało posadzkę pagody i dźwięczało w niej dwadzieścia razem dzwonów.

Magazyny w Benares wcale niegrzeszą ostentacją, a nawet i pięknym pozorem. Wschody strome i wązkie zaprowadziły mię do izby niskiej, pobielonej wapnem, która za całą ozdobę miała portret królowej Wiktorji i przywilej na medal srebrny, otrzymany w Londynie, z podpisem księcia Alberta. Białe sukno rozesłane na podłodze i para krzeseł, stanowiły całe umeblowanie tej izby, gdzie przed oczyma naszymi rozłożone były cudnie piękne aksamitne, złotem haftowane, kobierce i tkaniny jedwabne, klejnoty przedziwnej roboty, słowem skarby na okup króla starczyć mogące, a zgoła niedostępne kieszeni prostego turysty.

W Benares nie mieszka żaden rezydent dworów europejskich. Cała społeczność biała mieści się aż o cztery mile za miastem, do którego doskonale makademizowana prowadzi droga, wśród zgrai poświęconych małp, zabobonnie przez krajowców czczonych. Małpy te despotycznie zalegają nietylko drogę, lecz nadto i dachy domów i przyległe ogrody. Stacya, czyli miejsce pobytu Europejczyków, jest budową nieregularną i niesymetryczną; w koło niej ciągną się gmachy rozmaitych juryzdykcji, publicznej kassy, oraz więzienie, szkoły i koszary. Domy jednopiętrowe, starannie pobielone, z zielonemi zasłonami, obszernemi ogrodami, śliczny tworzą widok; lecz podobny widok powtarza się w każdym głównem mieście każdego powiatu Indji. Nie w samych tylko budowach podobną znajdziemy jednostajność do znudzenia. Czy to pod względem zajęcia i zabawy, czy pod względem przedmiotów rozmowy, czyli też wzięwszy jaki bądź żywioł towarzyski, nigdzie nieznajdzie się żadna zmiana w tych małych europejskich osadach, rozrzuconych w tem ogromnem państwie indo-brytańskim.

E. de Valbezen. — Angliey i Indje.

47. Ceylon.

W środku Listopada, po szczęśliwej żegludze, wylądowaliśmy w jednym z portów Ceylonu i ujrzelśmy tę rajską wyspę. Na brzegu spotkały nas tłumy mieszkańców w najrozmaitszych stro-

jach. Pomiędzy nimi znaczniejsi byli w płaskich muszlinowych kapeluszach i obszernych białych sukniach, podpiętych złocistemi pasami. Wrychle przyzwyczajają się do błyszczącej, ciemno-kawowej cery tuziemców i nawet znajduje się nie mała piękność w wielkich czarnych oczach właściwych Cingalezów. Obstąpieni ze wszech stron, nie bez trudności przecisnęliśmy się do starych wrót budowy holenderskiej, porośłych zielonym mchem i dostaliśmy się do będącego tuż naprzeciwko ich domu królewskiego, to jest rządowego. —

Widok z okien wywabił nas wkrótce na świeże powietrze w pole. Tam na zielonej murawie igrało mnóstwo zielonych z długimi ogonami jaszczurek; ówdzie rosły dziwnie piękne z niebieskim kwieciem powoje i czerwono kwitnące balsaminy; tam wznosiły się drzewa chlebowe z białemi pniami, szerokimi na stopę zębatego błyszczącymi liśćmi i ciężkimi, kulistemi, kosmatemi barwy żółto-zielonej owocami; tam papaje z prostemi doskonale zaokrąglonemi pniami i koronami liści na wierzchołkach, których liście są ogromne, jak parasole, a pod niemi wiszą owoce wielkości małych melonów; tam banany z grubemi pełnemi soku pniami, liśćmi długimi na ośm stóp i stojącemi prosto do góry. Któżby mógł pomyśleć, że ich pień gruby na stopę, a wysoki na 200 stóp, wyrósł tak w przeciągu jednego roku? Owoce bananów wielkie na $\frac{1}{3}$ stopy, barwy żółto-zielonej, składają ogromne grona po kilkadziesiąt w jednym; cienka ich skórka pokrywa mięso bardzo delikatne, słodkie i bez ziarn. Drzewa chlebowe wydają owoce wielkie i twarde, które niedojrzałe jedzą gotowane; owoc papaju rozcięty ma też podobieństwo do melonu; mięso jego także żółte, a gdy zupełnie jest dojrzałym, czerwone.

Trudno jest wypowiedzieć, jak dziwne wrażenie wywiera na obcego wędrowca bujność przyrody zwrotnikowej, powietrze ciepłe, wilgotne, ciężkie i przesycone mocną wonią ziół i soków drzewnych i pogodne światło dnia, przebijające się pręgami przez gęste korony palm. Krzaki okryte żółtymi, czerwonymi i niebieskimi dzwonkowatymi kwiatami, otaczają domki schludne, zbudowane w starodawnym smaku hollenderskim, z których każdy ma z boku rodzaj altany, zwanej werandą. Takie mieszkania wiejskie ciągną się po nad całą drogą do Kolombo. W przerwach lasów palmowych i innych wielkich drzew, rosną pomniejszych zarośla, tem niższe, im bliżej morza. Pod krzakami wije się mnóstwo zielonych płazów; raki morskie przepysznej barwy wylazą na kamienie, a ścigane, w szybkich skokach kryją się pod gęste czerwono kwitnące nadbrzeżne zarośla. Ananasy dojrzewają tutaj dzikie na suchych skałach,

karmione, jak się zdaje, tylko ciąglą wilgocią powietrza. Co za rozkosz siedzieć tu i rysować przepyszne grupy drzew chlebowych, mangosów i palm! albo może wprzód uszczknąć do swoich zbiorów najpiękniejsze kwiaty, a szczególnie te precudowne wijące się rośliny, łapać po czarno omszonych skałach długie na trzy stopy jaszczurki, wydobyć z pod skały djabelskiego czarnego skorpiona, albo wreszcie łowić wielkie jak dłoń z pstremi skrzydłami motyle.

Ku wieczorowi spadł ulewny deszcz, z nieustającymi błyskawicami i silnymi grzmotami. Potop dokoła mojego mieszkania okazał mi, dla czego stawiają tu domy na wysokich o 5 stóp nad ziemią podmurowaniach. Zaledwo przeszła ta zwrotnikowa ulewa i zapadła prędko noc, wszystkie drzewa zajaśniały niezliczoną ilością świecących robaczków i rozpoczęła się zwyczajna w krajach zwrotnikowych muzyka wieczorna, którą wyprawiają świerszcze, cykady, dziesięciu czy dwunastu rozmaitych rodzajów żaby drzewne, sowy, gawrony, itd. Całe to zbiorowisko robi hałas nie do opisanania. Gwar, świst, dzwonienie, bębnienie, krakanie, gęganie, kwakanie takie, jak chyba w jakimś zaczarowanym i przez złe duchy nawiedzanym miejscu. Szczególniej pokoju niedają wielkie o pięknych barwach cykady; zaś do grzechotania długonogich żab drzewnych, odzywających się nieraz odważnie z kielicha kwiatu i w obec ścigającego je człowieka, przywyka się prędko.

Nie długo zabawiwszy w Kolombo, udaliśmy się w głąb wyspy na polowanie słońców. Drugiego dnia stanęliśmy w ogromnym i gęstym lesie pierwotnym. Potężne pnie odwiecznych drzew stały tam gęsto, jeden tuż przy drugim, a wijące się rośliny obwijały je wiążąc po trzy i cztery razem. Niektóre z tych olbrzymów były już spróchniałe, inne zaczynały próchnieć. Często widzieć było można gruby jak ramie i skręcony pień powoju, obwijający kiedyś pień drzewa, które spróchniało i upadło, pozostawiając wijący się na niem powój bez podpory. Niekiedy wśród puszczy odkrywała się polana, zarosła bujną trawą, na której pełno było różnych kwiatów, a nad temi unosiły się roje motylów, poczem znowu zalegała ciemna gęstwina. Wreszcie doszliśmy do środka lasu, gdzie wystawiono dla nas dwie chatki. Ściany ich splecione z gałęzi drzew, obłożone były ich liśćmi, dach był ułożony z traw i pokryty liśćmi palmowymi, a rynny zrobione z kory drzew.

Każdego ranka przed wschodem słońca, wychodziliśmy z naszej kryjówki na słońce, które tam przechodzą wielkimi stadami. Kiedy tuziemcy zwietrzą nadchodzących słońców, wszyscy stają, strzelcy rozsypują się w gęstwinę, ja i moi słudzy pozostajemy na

miejscu. Krótki ryk przebiegającego słońa słyhać w odległości pół mili angielskiej, zaś całe stado wydaje odgłos, podobny do spadającego na las lodozwału. Kiedy słoń z podniesioną trąbą zwraca się, by albo zmiażdżyć swego nieprzyjaciela, lub odebrać od niego strzał śmiertelny, wydaje on straszny ryk, podobny do silnego głosu pękniętej trąby. Pewnego dnia stanąłem bliżej niż zwykle od strzelców. W tem z jednej i drugiej strony dał się słyszeć ryk i tuż przed nami wyszła z gęstwiny potężna trąba olbrzymiego zwierza. Szczęściem, jeden z najbieglejszych strzelców był tamże; skoczył między wychodzących słońów, jednemu, który z prawej strony już go dosięgał trąbą, wypalił w ucho, drugiemu z lewej strony w skroń. Oba powaliły się z głuchym jękiem na ziemię, wydając huk, podobny do dwóch dalekich strzałów działowych. Reszta, widząc upadających dwóch największych olbrzymów, rzuciła się w inną stronę.

W. Hofmeister.

48. Chiny, Pekin.

Oprócz wód naturalnych, w których liczbie są największe w świecie rzeki, Chiny posiadają ogromną ilość kanałów. Przeto podróżują tam najczęściej wodą i taka jazda jest tam względnie bardzo udoskonaloną. Płynęliśmy w górę rzeki Pejho, wysiadając często na brzegi. Wioski, które zwiedzałem piechotą, nieprzedstawiają żadnego interesu, ale ludzi wszędzie pełno; istne mrowiska. Dzieci wytykają mię palcem, dorośli mężczyźni patrzą na mnie obojętnie i dopiero kiedy przejdę, śmieją się ze mnie pogardliwie, kobiety kryją się przedemną. Od domu do domu kręcą się wędrowni kramarze, zachwalając głośno swoje nędzne towary. Wszystko brudne, wszystko liche, drobne, z wyjątkiem natury, która napłodziła tyłu Chińczyków.

Spostrzegamy uprawne pola, a na nich bawełnę, rośliny strąkowe, oleiste i tysiące włościan, zajętych pracą około roli. Pługi z dziwnymi zaprzęgami; to koń z oślicą, to bawół, osiel i krowa. U jednego pługą widziałem wprzęgniętych trzech mężczyzn, a u innego ośła i kobietę. Drzew nie widać nigdzie ani śladów. Na rzece liczne dżonki, z których niejedna znacznej objętości.

Wysiedliśmy na łąd w Tung-chow. To miasto leży o trzystaście mil na wschód od Pekinu i stanowi port stołecznego miasta. Między Pekinem a Tung-chowem istnieje komunikacja podwójna: kanałem i traktem pierwszej klasy, który, choć wykładany marmu-

rowemi płytami, jest w zupełnym zaniedbaniu i ledwo po nim jeździć można. Jak okiem zasięgnąć, wszędzie las masztów, a na wybrzeżu rój ludzi żółtych, brudnych, w łachmanach; wszyscy zajęci ładowaniem i wyładowywaniem statków. Po za tem mrowiskiem nie daleko od portu wznoszą się posępne zębate mury miasta, a za nimi wdali widać ogromną wielopiętrową pagodę. Oprócz nieba, które rzeczywiście tak jak nam mówiono, jest przepyszne, wszystko pozosłałe nosi na sobie piętno brudu i błota: zarówno woda jak ziemia, cera twarzy i odzież mieszkańców, mury budynków i zwierzęta pociągowe.

Z Tung-chow do Pekinu jedziemy na dzielnych wierzchowcach mongolskich. Pomijamy most Palikao wstawiony w ostatniej wyprawie Francuzów. Jest to piękna budowa z białego marmuru, przyozdobiona dziwacznymi rzeźbami. Ponieważ wielka droga znajduje się w bardzo złym stanie i pełno na niej wozów konnych jeźdźców i przechodniów, przeto posuwamy się dalej południowym brzegiem kanału. Pora już późna; bramy Pekinu muszą być o zachodzie słońca zamknięte; pędzimy więc prawie galopem, to po jakichś groblach, to wązkiemi ścieżkami, to nareszcie przez pola. Krajobraz urozmaicony przez gaje, wioseczki, samotne domki otoczone ogródkami warzywa, daleko jest ładniejszym od jednostajnych brzegów Pejho.

Wyjechawszy z ciasnego wąwozu, wszyscy naraz krzyknęliśmy ze zdziwienia i każdy mimowolnie zatrzymał swego konia. Naprost przed nami błyszczała tarcza słoneczna, a pod tą gwiazdą, jak wstęga popielata, ciągnął się bez końca olbrzymi mur zębaty. W trzech miejscach prosta jego linia była urozmaicona podwójnymi dachami bram miejskich. Z odcienia barw można sądzić o odległości, jaka je rozdziela. Po nad ciemnym murem widać było zawieszzone w powietrzu, jak mamidła, szczyty wzgórków pałacu Letniego, a w niezmiernej oddali góry Mongolji podobne do obłoków. W półgodziny potem przez bramę Tung-pienmen wjechaliśmy do miasta chińskiego, a następnie przez inną bramę wewnętrzną do miasta tatarskiego.

Miasto Pekin, zbudowane na wiele wieków przed naszą erą, było stolicą państwa Yen, po którego upadku w r. 222 przed Chr. zeszło do stanowiska prowincjonalnej miejsciny. Zdobyte następnie przez Dżengishana w r. 1215 po Chr., opuszczone i znowu odbudowane, stało się powtórnie stolicą państwa na początku wieku XV. Z tej epoki pochodzi mur obwodny i najstarsze gmachy tego miasta. Mury pekińskie podobne są do naszych zamczysk z czasów feudalnych. Tylko tutaj wszystko ma rozmiary kolosalne, kiedy w Euro-



Ulica w Pekinie
<http://rcin.org.pl>

pie budowy średniowieczne są zwykle małe. Mury obwodowe Pekinu mają od 50 do 60 stóp wysokości, 20, 40 do 50 stóp szerokości i ciągną się przeszło na 20 mil angielskich. Pomimo tak wielkiego obwodu, miasto ma tylko bram szesnaście.

Stolica państwa składa się z dwóch miast: tatarskiego i chińskiego. Na rzucie poziomym widać dwa równoległoboki. Jeden z nich, miasto tatarskie, ma swoje boki mniejsze prostopadłe do większych boków drugiego, przedstawiającego miasto chińskie. Niedawno jeszcze te nazwy dobrze odpowiadały ściśle zachowywanemu rozdziałowi zwycięzców od zwyciężonych, to jest ludzi przybyłych od północy, z po za gór mongolskich, od Chińczyków. Dziś już wielu Chińczyków mieszka w dzielnicy tatarskiej, gdyż czas w ogólności złagodził antagonizm obu narodów, chociaż niewyglądził go do szczętu. W samym środku tatarskiego miasta leży pałac cesarski, czyli właściwie miasto cesarskie, zwane „zakazanem“ otoczone murami i niedostępne dla śmiertelników, jak tego i sama jego nazwa dowodzi. Wszystkie ulice przecinają się pod kątem prostym; niektóre są szerokie, a niektóre wąskie. Mieszkania bogaczy ukryte są za murami, domy widzialne wyglądają nędznie; są to lepianki z gliny bezkształtne i bez żadnych ozdób. W mieście chińskim, gdzie zdaje się skupionem jest życie przemysłowe i handlowe, całe ulice składają się ze sklepów bardzo dobrze zaopatrzonych w wyroby krajowe, a nawet niektóre europejskie. Apteki, składy herbaty i tytoniu odznaczają się szczególniej przez wspaniałe złożone i lakierowane wystawy i kolosalne szklidy, zawieszane na stojących przed drzwiami wysokich słupach.

W mieście tatarskim nieskończone ulice z południa na północ, miejscami puste, lub złożone z biednych chat, ożywiają się w innych punktach i przedstawiają szeregi wytwornych sklepów, albo mury, po za którymi leżą niewidzialne pałace. Ale postąp tylko parę kroków dalej, a napotkasz poprzednią pustkę, albo nędzę. A jednakże nie zboczyłeś ani na krok z linii prostej, która panuje wszechwładnie w stolicy państwa śródziemnego. Główne ulice po większej części szerokie, były niegdyś wyłożone marmurem; onże niegdyś pokrywał rynsztoki. — Dziś wszystko spustoszone, wszędzie ruina; świątynie są źle utrzymane, rezydencye urzędowe wielkich mandarynów, zwykle położone na rogach ulic, nie różnią się niczem od takichże domów po innych miastach: dokoła sztachety, między niemi duży wchód, przyozdobiony niezgrabnem wyobrażeniem smoka, jeden lub dwa słupy z chorągwiami, a we drzwiach tłum interessantów. Te budynki publiczne, nie wyłączając pałacu ministrów Tsungli-yamen, nie odznaczają się bynajmniej

czystością. Uliczna kurzawa, ta straszna a nieprzezwyjężona plaga, nadała im brudną barwę i przesycała swoją cuchnącą wonią. Ten kurz, zanim stale osiadł w wysokich urzędowych przybytkach, wałęsał się pierwiej po nędznych lepiankach i wirował z wiatrem po ulicach, które miejscami wyglądają na składy wszelkiej nieczystości

Przechadzka po Pekinie wcale nie jest wygodną. Czy pieszo czy konno, niemasz czasu do rozglądania się w około; a jednakże, choć nie wszystko jest pięknem, wszystko budzi ciekawość, wszystko jest nowem i interessującym. Lecz potrzeba przytem dawać wielką baczość na wyboje, jakie deszcz lub koła przejeżdżających wozów zostawiły na ulicy, ostrożnie przechodzić po wązkich kładkach, rzuconych przez czarne i cuchnące kanały, usuwać się na bok za spotkaniem szeregów dwugarbnych wielbłądów wzrostu słońia, które prowadzą płaskonose Mongoły z szeroką twarzą, szczerą i uczciwą fizygnomią i głupowatym uśmiechem. Strzedz się także trzeba dorożek, których jest pełno. Są to taczki, zaprężone jednym lub parą koników, nakryte rodzajem namiotu i z zasłoną dla woźnicy i koni. Te wózki pierwotne kręcą się secinami; zaś do lektyki i krzesła na noszach mają prawo tylko mandaryni pewnego stopnia. Oto jeden z takich. Czterech kulisów, to jest tragarzy, niosą jego krzesło krokiem przyspieszonym; za nimi idzie sześciu służących w liberji brudnej i zużytej; także jest i krzesło. Ale mandaryn na niem wygląda ładnie: bieliznę ma białą, twarz i ręce czyste, ubior staranny i postawę wysokiego urzędnika. W ogromnych okularach pilnie on czyta jakieś papiery. Jest to Radca Stanu; udaje się on na radę i gotuje swój raport. Z powodu tłoku byliśmy zmuszeni stanąć na chwilę przy nim. Zmierzył on nas okiem pogardliwie i znowu zagłębił się w swoich papierach.

Dostaliśmy się na ulicę, prowadzącą wprost do jednej z bram „zakazanego miasta“. Wielką miałem ochotę rzucić okiem w głąb tego grodu; a ponieważ wrota były otwarte, pozwoliłem sobie tej niedyskrecji. Nie zobaczyłem tam jednak nic szczególnego. Pekin, zachowany do wyłącznego użytku cesarza, wydał mi się jak dwie krople wody podobnym do Pekinu zwykłych śmiertelników.

Wstępujemy na wierzch muru i stajemy na szycie wielkiej bramy środkowej, która prowadzi z miasta chińskiego do tatarskiego. Brama ta nazywa się Chien-Men. Patrzymy ku północy. U stóp naszych lepianki z gliny: to dzielnica Korejczyków; nieco dalej las, którego ogromne drzewa okryte są kurzawą; nad tą ruchliwą zielono-matową massą z szarém odcieniem wznosi się, po prawej stronie, wieża cerkwi missji rosyjskiej. Wprost przed

nami żółte dachy cesarskiego pałacu: grupa budynków tworzących kwadrat i otoczonych ogrodami; najpiękniejszą jej ozdobą sztuczna góra; jest to najwyższy punkt w Pekinie. Niedaleko miejsca gdzie się znajdujemy leży brama, wiodąca do miasta cesarskiego: widzę ją przed sobą i dziwię się lichemu jej pozorowi. Zresztą tak jest przyjętem u Chińczyków: bogactwo kryje się tu pod pozorem nędzy. Po za miastem zakazanem, w odległości, która się wydaje bardzo znaczną, widać dwie niedokończone wieże kościoła zwanego francuzkim, bliżej po lewej stronie wystaje po nad drzewa katedra portugalska. Po obu stronach bramy, na której stoimy, ciągną się ogromne mury, dzielące jedno miasto od drugiego; mur zewnętrzny, szerokimi uwieńczony blankami, opiera się na potężnych przecznicach; ogólny jego rys jest jednostajny, ale budowa to olbrzymia. U podnóża jej wzdłuż rowu idą w jedną i drugą stronę szeregi wielbłądów.

Obróciwszy się na południe, spostrzegamy więcej ożywiony obraz. Wspaniały most z białego marmuru prowadzi do miasta chińskiego i na długą ulicę zawsze pełną przechodniów, wozów i pociągowych zwierząt. Jest to dzielnica przemysłowa. Na widnokręgu, wprost naszej bramy, wznosi się po nad wstęgą drzew potrójny dach świątyni Nieba. Ku południo-zachodowi uderza nasze oczy wytworna o kilku piętrach pagoda. Za nią rozpościera się pole piaszczyste, po którym swobodnie hulają wiatry północne i wschodnie, rzucając tumany kurzu na zewnętrzny mur i na miasto. Pod murem leżą całe stopy naniesionego w ten sposób piasku, miejscami prawie tak wysokie, jak ów wał, lecz za pierwszym lepszym wichrem wszystkie te wydmy zamieniają się znowu na drobne atomy. Nic smutniejszego nad krajobraz z okolic Pekinu. Jest to step bez końca i granic. Widnokrąg zlewa się z atmosferą zawsze pełną kurzawy. Dla tego też widać tam niekiedy wierzchołki gór, ale ich podnóża rzadko.

Pekin jest obozem barbarzyńców, biwakujących w około namiotu swego wodza i dających przytułek tym, co uprawiają ziemię. Koczownik proteguje tu rolnika. Oto właśnie Azja; i pojmuje dla czego w wyobraźni ludów, zamieszkujących środkowe jej wyżyny od Uralu do Kaszgaru, od Kiachty do Hindukuszu, Pekin uchodzi za miasto miast, za raj ziemski, za środek świata. Dla mnie jest on pierwowzorem dawnych stolic biblijnych. Jest to Babilon lub Niniwa, gród wielki, heroiczny, barbarzyński

Bar. Hubner. Przejazdźka w około świata. 1871.

49. Życie chińskie.

Chińczycy strzygą włosy na głowie bardzo krótko, zostawiając je tylko na ciemieniu i te zaplatają w warkocz. Strój chiński osoby wyższego stanu kosztuje nie mało. Jeden z podróżnych, który bawiąc długo w Pekinie, uznał za stosowne przebrać się po chińsku, wydał na to przeszło 500 rubli i włożył na swoją osobę przybory następujące. Białe niciane pończochy z wypchanymi podszewkami, a na nich trzewiki czarne z chińskiego atlasu, spodnie, a raczej nakolenniki jedwabne, przytwierdzone podwiązkami, suknia wierzchnia jedwabna podbita barankami, pas z grubego sukna błękitny, kołnierz bobrowy i mała okrągła czapeczka atlasowa, z czerwonym jedwabnym na wierzchu guzikiem i gęstym spadającym na dół kutasem. Ubranie zimowe stanowi wierzchnia suknia błękitna z grubego sukna z podszewką jedwabną, futro wiewiórcze, kryte błękitną jedwabną materją z naszywami bobrowymi i rozporami z przodu i z tyłu; do niego osobny kołnierz bobrowy. Na to wszystko wdziewa się krótki płaszcz, z szerokimi i krótkimi rękawami. Futro ściąga się pasem jedwabnym, z naszywami z czarnego atlasu, który służy i do innych sukni. U tego pasa wisi siedem lub osiem małych torebek; w jednej jest zegarek europejski, w drugiej, chińska kamienna tabakierka z miałką jak pył tabaką i małą ołowianą łyżeczką, w trzeciej, różne rzeczy, które Chińczycy lubią żuć po jedzeniu, w czwartej, pieniądze i t. d. Przy tych torebkach wisi i futerał, w którym jest nóż i dwie laseczki kościane, zastępujące widelce.

Rano wstawszy Chińczyk wyciera twarz i ręce małym ręcznikiem, zmoczonym w gorącej wodzie, potem pije herbatę, a o godzinie 9 zasiada do objadu. O godzinie 2 po południu kończą się zajęcia biurowe i inne, robią wizyty, lub udają się do teatru. O godzinie 5 wracają wszyscy do domu i zasiadają do wieczerzy, a o godzinie 9 lub 10 idą spać.

Nabożeństwem Chińczycy zajmują się nie bardzo. Świątynie chińskie, zastanawiające swoim ogromem i wielce oryginalną budową, są opuszczone i zaniedbane. Wstęp do nich jest wzbroniony niewiernym cudzoziemcom; zaś do głównej w Pekinie świątyni Nieba, w której raz na rok sam cesarz składa ofiarę i która odtąd przez cały czas zostaje pusta i zamknięta, nie wolno wchodzić nawet i wiernym, prócz cesarza, książąt krwi i osób należących do orszaku jego cesarsko-niebieskiej mości. Mimo to wszystkie te świątynie, nie wyłączając i wielkiej świątyni Nieba, znane są cudzoziemcom,

którzy je zwiedzali i zwiedzają za pieniądze. Przełożeni stróże świątyni dostają za to bastonadę i narażając się na nią, wymagają stosownej zapłaty. W ogólności świątynie te prawie zawsze są próżne; rzadko tylko jaki urzędnik zwiedza je z obowiązk. Wtedy przynosi z sobą wiązkę pochodni z pachnącego drzewa, zapala je przed wyobrażeniem bożka i oddaje mu kilka pokłonów aż do ziemi; podczas tego obecny kapłan uderza drewnianą pałką w tarczę metaliczną; poczem modlący się rzuca niejakię pieniądze i idzie do drugiej, trzeciej itd. świątyni, w których odbywa też samo. Ludzie pospolici nawiedzają świątynie tylko w szczególniej-szych okolicznościach. Z tem wszystkiem bywają w każdym mie-sięcu pewne uroczyste dnie, w których świątynie nawiedzane są tłumnie; ale wtedy nie idzie o nabożeństwo, lecz o handel. Podwó-rze świątyni zamienia się na ówczas w targowisko, rozłożone są na nich różne towary i publiczność przechadza się pomiędzy niemi od południa do wieczora, targując się z kupcami, którzy zwykle wtedy żądają cen wygórowanych. Tamże dla rozrywki publiczności występują ze swojemi sztukami kuglarze: ten chodzi na rękach, inny rzuca i łapie noże, itd. I tak zchodzi czas aż do wieczora, w którym wszyscy się rozchodzą i znowu to podwórze jest pu-STEM aż do następującej uroczystości, będącej właściwie tylko jar-markiem.

Jedno z największych w Chinach świąt bywa, kiedy słońce dochodzi 15 stopnia w znaku Wodnika. W każdym z głównych miast, wielkorządca udaje się do bramy wschodniej i tam przy-jmuje wiosnę, którą przedstawia wielka figura gliniana, mająca po-dobieństwo bawola; potem następuje uroczysta processja, w której na tragach niosą figurę wiosny i dzieci poubierane fantastycznie i uwieńczone kwiatami i z towarzyszeniem muzyki, rozumie się chińskiej, która nam wydałaby się prawdziwie kocia. Za przy-byciem processji do pałacu wielkorządcy, ten ma stosowną prze-mowę, po której trzykrotnie uderza biczem figurę wiosny, a wtedy lud rzuca się na nią i rozbija ją. Z jej wnętrza wypada mnóstwo małych glinianych figurek i te pospólstwo rozchwytuje, często nie bez walki. W tymże czasie cesarz oddaje cześć rolnictwu. W towarzystwie książąt krwi i najpierwszych urzędników państwa, udaje się on na przygotowane dla tej uroczystości pole, ofiaruje bogom zebrane z tego pola zboże i sam zaoruje kilka bródz, przyczem postępują za nim wszyscy wysocy dostojnicy. Podobnież cesarzowa oddaje cześć uprawie drzew morwowych i chowaniu jedwabników. W towarzystwie najpierwszych dam dworskich, udaje się ona dla złożenia ofiary wynalazcy uprawy jedwabiu; poczem

zbierają się liście morwowe, przeznaczone na żywienie cesarskich jedwabników; przytem odbywają się i inne czynności, należące do wyrabiania jedwabiu, jako to: ogrzewanie orzechów jedwabnych w wodzie, zwijanie przedziwa, itd. Z szesnastu „Przykazań Boskich“ wydanych dla ludu, czwarte ściąga się wyłącznie do wyżej pomienionych czynności. Powiedziano w niem: Będiesz miał pieczę o swoich gruntach i morwowych drzewach, iżby ci dawały żywność i odzież.

Traktyernie są w wielkiej ilości po miastach chińskich i urządzone dla przyjmowania wszelakiego stopnia, gości, których od rana do wieczora zawsze w nich pełno. Dla prostego ludu w ogromnej sali ogólnej ustawione są stoły i stołki; dla wyższej publiczności są pokoje osobne, które zwykle wynajmują całe towarzystwa. Bogaci przejadają w traktyerniach ogromne summy i tem się chlubią. Pomiędzy innymi wyszukaniami potrawami chińskiej kuchni niepospolite miejsce zajmuje pieczony lód, który się przyrządza sposobem następującym: Bierze się kawałek lodu i macza się go naprzód w ciasto z jaj, cukru i różnych mocnych przypraw, a potem bardzo szybko w roztopione sadło; poczem wnet ten przysmak podaje się na stół. Smakosze biorąc go do ust parzą się, a rozkąsiwszy dostają od zimna bolu zębów i w tem jest cały smak. W ogólności kuchnia chińska jest niesmaczną, bo wszystko w niej przyrządza się bez soli i musi pływać w sadle. Gości Chińczycy raczą zawsze w traktyerniach. Po ucztach największą zabawą dla Chińczyków są widowiska teatralne, które zaczynają się o godzinie 11 z rana i ciągną się do 6 wieczorem.

Kobiety nie chodzą ani do traktyerni, ani do teatru. Po mieście zamożniejsze jeżdżą w powozach, a należące do wyższej klasy noszone są w lektykach. Wyjście na ulicę możnej Chinki lub Mandżurki bywa nader okazałem: naprzód postępuje jezdziec, za nim jedzie wóz na dwóch kołach, zaprzężony mułem, którym kieruje siedzący na przodzie woźnica; z jednej i drugiej strony idzie dwóch ludzi, którzy podtrzymują wóz, a z tyłu jedzie drugi jezdziec. Przy wysiadaniu, ponieważ bywa ono z przodu, woźnica wyprzega muła; poczem idący obok słudzy nachylają wózek ku schodkom i wnet odwracają się tyłem, albowiem nie mogą patrzeć na oblicze swojej pani. Wyjazd pana bywa okazałym przez mnogość towarzyszących mu jeźdców; zwykle jednak bywają oni w obdartej liberji i siedzą na chudych i nędznych szkapach.

Pogrzeby chińskie są bardzo okazałe i często rujnują dziedziców nieboszczyka, którego z obowiązku muszą uczcić ostatnią posługą. Wspaniałość, na jaką tylko zdobyć się można przytem,

jest wynikiem czci, jaką Chińczycy otaczają zmarłych i następstwem rodzinnego przywiązania, które jest zasadniczą cnotą narodową w Chinach. Podróźni podają mnóstwo opisów tego widowiska, bardzo częstego w Pekinie i po innych miastach chińskich, liczących mieszkańców na miliony. Baron Hubner był w Pekinie świadkiem jednego pogrzebu urzędnika czwartej kategorie. Zwłoki niesiono pod ogromnym baldachinem z sukna szkarłatnego bogato, ale po barbarzyńsku, przybranym we frendzle i świecidełka; przed trumną, na pustym białym obitem krześle, niesioną była dusza zmarłego; dalej jechała rodzina w kilkunastu wynajętych pojazdach: wszyscy w żałobie: nawet wynajęci woźnicy poprzyczepiali swoim szkapom białe kokardy. Rodzina i przyjaciele wyglądali bardzo ubogo. Wspaniałej trumnie towarzyszyły liczne i bogate chorągwie, złoczone i lakierowane piki, które nieśli ludzie, idący po dwóch z każdej strony ulicy i parasole w kształcie długich jedwabnych cylindrów, karmazynowe lub niebieskie, przyzdobione frendzlami i bogato haftowane złotem, niektóre pokryte mnóstwem napisów, a drugie dziwnymi rysunkami smoków i potworów. Co kilka kroków ludzie przybrani jak kłowny, w obcisłej odzieży, w spodniach jedwabnych szkarłatnych i w takichże czapkach, uderzali w gongi i tem regulowali pochód całego orszaku. Na przemiany też kilka orkiestr przegrywało po chińsku, to jest napełniało powietrze niemiłymi i dyzharmonijnymi dźwiękami.

Dziwny kontrast z tą pogrzebową pompą stanowiło obojętne zachowanie się przechodniów; nikt nie zatrzymywał się; zaledwo raczono rzucać okiem i to jeszcze z pewną niechęcią. Widocznem było, iż ci ludzie śpieszą się i nie lubią tłoku.

Według W. Grube i bar. Hubnera.

50. Hongkong.

Wyobraźcie sobie w wielkich rozmiarach Gibraltar, zwrócony ku północy. Naprzeciw tej skalistej wysepki leży ląd stały. Wyśiadłszy wdrapałem się zaraz na najwyższy szczyt wyspy, gdzie dumnie powiewa flaga europejska. Słońce było już nisko i rzucało surowe, fantastyczne, przesadzone jakieś barwy na całą okolicę, na niebo, wodę i ziemię. Żałowałbym malarza, silącego się odtworzyć te efekta, lecz winszowałbym temu, coby tego dokonać potrafił. Na południe słońce i mgła walczą o panowanie nad wysepkami, które w tej chwili wyglądają jak czarne punkta na tle płynnego złota, objętego w srebrne ramy. Na północ leży

miasto zwane urzędownie Wiktorja, a pospolicie Hongkong. Piętrzy sie ono pod naszymi stopami i niespostrzegamy nic więcej prócz dachów, podwórzy i ulic. Dalej port z mnóstwem fregat pancernych, korwet, kanonierek, pakietbotów, będących własnością wielkich spółek, słowem z mnóstwem parowych i żaglowych statków, mniejszej lub większej objętości.

Naprost nas, w odległości trzech lub czterech mil, wysokie pasmo skał nagich, popękanych, barwy wpadającej w różowe i karminowe odcienia, co je czyni podobnemi do wielkiego koralowego naszyjnika: to ląd stały. Na zachód dwie cieśniny, prowadzące jedna do Kantonu, druga do Makao. Na północo-wschód trzecia cieśnina, przez którą przybyliśmy. Jest ona podobną do jeziora, otoczonego z jednej strony skałami lądu stałego, a z drugiej wierzchołkami skał Hongkongu.

Widziałem gdzieindziej bardziej delikatne i bardziej harmonijne efekta świetlne; równie dziwacznych atoli nigdzie niewidziałem.

Wiktorja jest to wdzięczne, sympatyczne i imponujące miasto angielskie i podzwrotnikowe razem, mieszanina pałaców i domków wiejskich. Nigdzie się tak harmonijnie nie łączą poezja natury i proza życia codziennego, komfort angielski i upająca bujność zwrotnikowa. Ulice dobrze makadamizowane, porządnie utrzymane, czyste, ciągną się wzdłuż skał, już to pośród domów, których fronty pretensjonalne kryją się zalotnie po za werandami, już wśród ogrodów, szpalerów bambusowych, lub balustrad kamiennych. Jest to Wentnor, albo Shanklin, gdyby się im przypatrywać przez szkło powiększające przy blasku światła elektrycznego. Wszędzie pełno drzew, bananów, bambusów, świerków. Można by zwiedzić cały Hongkong piechotą, niewystawiając się na światło promieni słonecznych. Gdziekolwiek się obrócisz, wszędzie widać krzesła, używane jako lektyki. Kulis, w ogromnym słomianym kapeluszu, bierze cię na ramiona i niesie krokiem mierzonym. Rozkoszną jest taka przechadzka w otwartem krzesle nocą. W dzielnicach położonych niżej, nadzwyczajny panuje ruch; widać tam oficerów, żołnierzy sypojów, to jest krajowców, z wyzółką twarzą, w czerwonych mundurach, Parsów, Hindusów, Chińczyków, Malajczyków, wykwintnie ubrane damy europejskie, mężczyzny i kobiety z cerą oliwkową, ubrane na sposób europejski: są to zmieszani z krajowcami potomkowie dawnych osadników portugalskich. Natomiast im bardziej postępuje się w górę, tem bardziej ruch się zmniejsza; niepostrzeżenie w końcu miasto zamienia się w wieś. Jeszcze tylko parę kroków, a znajdziemy się wśród nagich skał, pokrytych wonnymi ziołami

i krzewami, wśród których ciągnie się piękna makadamizowana droga, ze wspaniałym tu i ówdzie widokiem na okolice.

Ze stanowiska politycznego i wojennego, nadzwyczaj jest wielką ważność tej wysepki od czasu, gdy się dostała w ręce swoich dzisiejszych posiadaczy. Zdaje mi się, że żaden Anglik niemoże zwiedzać tego miasta bez poczucia pewnej słusznej dumy. Hongkong, to ręka, osady nad cieśniną Malakka, Ceylon, Aden i Malta, to ramiona, zaś Anglja, to głowa i serce tego brytańskiego olbrzyma, który dzierży południową Azję i daleki Wschód.

Bar. Hubner, Przejazdka w około świata. 1871.

51. Japonja, Jedo.

Lud japoński jest uprzejmy, słodki, grzeczny, wesoły, uśmiechnięty. Jest to poczciwe dziecko, ale zawsze dziecko. Krajowcy niższych klas mają cerę brązową od słońca, a niekiedy czerwono i niebiesko tatuowaną, co pod względem barw i rysunku czyni ich podobnymi do starych lak japońskich. Ludzie wszystkich klas golą sobie głowy z przodu i zostawiają tylko mały warkocz, który im się wdzięcznie chwieje po nad ciemieniem. Noszą wążkie spodnie, które latem zrzucają, a poprzestają tylko na prostej tunice kitajkowej lub bawełnianej, stosownie do zamożności, a gdy są w domu, tylko na Fundashi. Od Mikada aż do ostatniego kulisa, każdy Japończyk, który się szanuje, uważa ten pas za główną część składową ubrania.

Każdy Japończyk, z wyjątkiem tylko kupców, którzy stoją na najniższym szczeblu hierarchicznej drabiny, należy do kogoś, nie w charakterze sługi lub niewolnika, lecz jak członek klanu, całości, podzielonej na kilka kast, a tworzącej w gruncie rzeczy jedną wielką rodzinę, której głową jest książę czyli Dajmio. Ma on swoich radców, swoich lenników, Samurajów, czyli dwuszablowych rycerzy, inni bowiem mogą nosić tylko jedną szablę, oraz wszelakiego stopnia żołnierzy i oficyalistów. Każdy nosi na grzbiecie i na rękawach tuniki herb księcia lub korporacji, w której usługach zostaje. Jest to zwykle jakiś kwiat, lub para liter, umieszczonych wewnątrz koła. Fizyognomja zewnętrzna kraju niewielkiej dotąd uległa zmianie.

Co się tycze kobiet, to chociaż wszyscy autorowie książek i artykułów dziennikarskich zachwycają się niemi, właściwie mówiąc nie są one piękne. Rysy mają niezbyt regularne, policzki trochę zanadto wypukłe, duże i piękne czarne oczy nazbyt wążkie

a skutkiem mięsistych warg, cała fizyognomja traci na delikatności. To wszystko jednak mniejsza: najgorszą wadą jest ta okoliczność, że młode dziewczęta, wychodząc za mąż, wyrrywają sobie brwi i czernią zęby. Ale przytem są wesole, pełne prostoty, wdzięku, naturalnej dystynkcyj i jeśli wierzyć młodym autorom, którzy studjowali obyczaje japońskie w herbaciarniach Jokohamy, nad-



Japończyk.



Japonka.

zwyczaj są łatwe w stosunkach towarzyskich. Ich ubranie głowy składa się z dwóch lub trzech czarnych wstążek, zgrabnie przewiązanych i spiętych dwiema szpilkami, strój, spódnica i okrycie z szerokim pasem, tworzącym z tyłu wielki węzeł. Obuwie, małe deseczki przymocowane do wielkiego palca za pomocą rzemyczków.

Kto niewiedział, ten niemoże sobie wyobrazić tego tłumu, który się snuje po ulicach, z ciągłym uśmiechem na ustach i w bezustannych wzajemnych ukłonach. Jeżeli chodzi o jaką wielką figurę, ten tłum korzy się, ale z taką zwinnością i godnością, że ten objaw zdaje się tracić wszystko, co jest w nim poniżającego i przybiera tylko charakter nieco przesadzonej grzeczności i uszanowania. Na ulicy, która swoją nadzwyczajną czystością wprawia w zdumienie, rozglądasz się i w prawo i w lewo, żałując, że nie masz stu oczu dla lepszego objęcia tych wszystkich scen. Wtem uszu twoich dobiega miarowy hałas i śpiew, albo raczej krzyk

kulisów, którzy u długich bambusów na swych atletycznych bar-
kach niosą jakieś pudła. Po tatuowanem ich ciele pot spływa;
prócz małej w około bioder opony zupełnie są nadzy; i oni się
uśmiechają; podczas krótkich wypoczynków gawędzą wesoło i prawią
sobie nawzajem grzeczności.

Jedo stolica Japonji i jedno z największych miast na świecie,
zajmujące 36 mil kwadratowych i mające około 2 milionów miesz-
kańców, dopiero od lat 7 zostało otwartem dla cudzoziemców
i dokładnie przez nich poznanem. Wyobraźcie sobie pagórkowatą
równinę, którą z południa obmywają niskie wody obszernej zatoki,
z północy i ze wschodu ograniczoną przez piękną i szeroką rzekę,
a na samym południowym krańcu przeciętą równolegle do morza
łańcuchem niewysokich wzgórz. Mniej więcej w samym środku
tej równiny, choć nieco bliżej morza, wznosi się zaokrąglony kopiec,
mający 3 do 4 mil obwodu. Na północno-wschodzie od wielkiej
rzeki, ciągnie się drugi szereg pagórków w kierunku zachodnim.
Oto grunt, na którym leży stolica Japonji. Rzeka nosi nazwisko
Sumidagawa. Na kopcu wznosi się dawny zamek Sziogunów, który
od lat 7 jest rezydencją Mikada. Lesiste wzgórze na północo-
wschód zamku zowie się Meno i obejmuje świątynię, wraz z gro-
bowcami niektórych dawnych monarchów Jedo. Drugie wzgórze
na południu, zwane Shiba, zawiera wspaniałe pomniki grobowe
innych Sziogunów. Między wzgórzami, na około niskiego stożka,
podtrzymującego zamek cesarski rozciąga się miasto. Jego gra-
nice są: na północy Sumidagawa, która zakręciwszy się wpada do
morza, na wschodzie pola, na południu zatoka, na zachodzie drob-
ne dolinki, pełne drzew iglastych, bambusowych, ryżowisk, zlewające
się prawie z miastem. Na wschodniej stronie rzeki leży duże przed-
mieście Hondjo. Na południowo-zachodnim krańcu miasta wielkie
sioło Shinagawa, będące dalszym ciągiem przedmieścia Tanagawa.

Jedo dzieli się na cztery części: Jiro, Sotojiro, Midzi i Hondjo.

Jiro jest to zamek cesarski. Mury tylko zewnętrzne widzieć
można. Odwieczne drzewa, sadzone ręką wielkiego Taiko-Samy
w końcu XVI. wieku, zakrywają przed okiem profanów miejsca,
w których dziś synowie bogów mieszkają. Na stokach kopca roś-
nie murawa zawsze świeża i zielona, dokoła ciągnie się szeroki
kanał, który w lecie pokrywają kwiaty lotosu. Do wnętrza tych
świętych miejsc żaden śmiertelnik zajrzeć nie może, prócz dworzan
i wielkich dygnitarzy. Czasami w rzadkich chwilach zbliżenia się
do osoby cesarza, wpuszczają tam i cudzoziemskich ministrów.

Naokoło Jiro ciągnie się Sotojiro. Tutaj wnoszą się Yashki,
to jest pałace wielkich dostojników dworu, ministrów i nakoniec

Dajmiosów, którzy niegdyś, podlegając władzy SzioGUNów, obowiązani byli co rok przez sześć miesięcy mieszkać w Jedo. Dzielnicę Sotojiro odgranicza szeroki kanał, tworzący nieforemne koło. Tylko w stronie wschodniej sięga ona aż do Sumidagawy. Ta część Sotojiro posiada długie ulice i mnóstwo uliczek poprzecznych, krzyżujących się z głównymi arterjami. Jest to dzielnica wielkiego handlu, którą Anglicy słusznie nazywają „City“. Pięknością i ele-



Tajkun (cesarz japoński) i jedna z żon jego w galowym ubiorze.

gancją swoich sklepów, ożywieniem, tłumnym od rana do wieczora ruchem, tworzy ona szczególnie kontrast z prostokątnymi gmachami pałaców, dziś po większej części zamkniętych, z ciszą i osamotnieniem dzielnicy arystokratycznej.

Na północ, na zachód i na południe Sotojiro, leży Midzi czyli właściwe miasto; kilkanaście mostów, na silnych arkadach, utrzymuje komunikację między temi dwiema dzielnicami. Najślawniejszy jest Nipon-bashi, to jest most japoński, tak nazwany dla tego, że przezeń idzie wielka droga cesarska, przecinająca wielką wyspę Nipon od samego krańca południowego wprost Kiusiu, aż do krańca

północnego wprost Hakodate na wyspie Jesso. Droga ta wewnątrz miasta zowie się Odori, to jest ulica wielka. Nipon-bashi stanowi geograficzny środek państwa. W urzędowych obliczeniach od tego miejsca liczą się odległości, do wszystkich miast i wsi w Japonji. Midzi jest labiryntem ulic ludnych i pustych, ogrodów, sadów, pól ryżowych, parków i świątyń, z których najpiękniejsze są Asakusa na północo-wschodzie i Shiba na południo-zachodzie. Najbardziej ożywionymi częściami Midzi są Odori i inne ulice, równoległe do morza; w innych miejscach jest tak pusto jak na wsi. Na północ Tanagawy miasto znika wśród gajów i pol, zasianych ryżem. Na południu, nad samem morzem niedaleko ujścia wielkiej rzeki, powstała od kilku lat Tsukiji, dzielnica cudzoziemców; otoczona i przecięta licznymi kanałami, ale pozbawiona sadów i drzew, wygląda dość pępośnie. Znajdujemy tu wielki hotel akcyjny, nędznie naśladowujący amerykańskie karawanseraje, domy mieszkalne konsułów i kilkudziesięciu przebywających tu stale cudzoziemców i narzeczcie skromną restaurację francuzką, którą właściciel szumnie zatytułował „Hotel de France“.

Na lewym brzegu Sumidagawy leży przedmieście Hondjo. Tutaj w pobliżu znajduje się mnóstwo herbaciarni, oraz Hatagoyów, to jest dosłownie „miejsce spoczynku“. Dalej nieco wielkie magazyny rządowe i pałace Dajmiosów. Na północnym krańcu mieszkają Etasy, Jetasy, rasa przeklęta, japońskie parjasy.

Oto ogólna fizyognomja Jedo. Co zaś do żywiołów, z których się składa ten dziwny i tak nowy dla przybysza obraz, naliczyłem ich cztery, powtarzające się bez końca. Te zasadnicze elementa są: świątynia, Yashki, czyli rezydencja Dajmiosa, dom prostego obywatela i magazyn ogniotrwały.

W świątyni spotyka się najczęściej charakter buddyjski. Jedo jest przedewszystkiem miastem Sziogunów; oni budowali to miasto i zrobili zeń stolicę państwa. Wiadomo zaś, że Szioguni opiekowali się zawsze buddaizmem i praktykowali go.

Yashki są tylko z nazwiska pałacami. Są to grupy domostw, otoczone jednopiętrowymi oficynami, pozbawione wszelkich zalet architektonicznych, pobielone wapnem, z oknami zaopatrzonemi w czarne drewniane kraty. Budynki te służą jednocześnie za mury zewnętrzne i za mieszkania dla dworzan i sług pańskich. Nizkie i jeśli tylko położenie zezwala, prostokątne, mają wielkie podobieństwo do składów na towary, lub do koszar. Dach ułożony z czarnych cegieł, obwiedzionych białym paskiem. Są to dwie barwy panujące w Sotojiro.

Zwyczajny dom mieszczkański w Jedo, jak i w całej Japonji,

jest to ciężki dach, oparty na filarach i zupełnie otwarty od ulicy i podwórza. Na noc zamykają go ruchomemi opuszczanemi ścianami. Gdzie są okienka, to składają się z ram, zaklejonych białym papierem. Przechadzając się po ulicy, swobodnie zaglądamy wewnątrz; całe życie domowe widzimy jak na dłoni; nic bo niema potrzeby ukrywać. Oto para kobiet, obnażonych w tej porze aż do pasa, zajmuje się kuchnią; mężczyźni, zupełnie nadzy, prócz fundoshi, czyli chusty koło bioder, leżą na podłodze i palą fajki; dzieci igrają w półcieniu; w jednym kącie płonie ogień, w drugim na małym ołtarzyku stoją penaty domowe, lampka, kwiaty i mnóstwo małych papierków; na kwadratowym stolczku kilka filiżanek; herbata stoi gotowa od rana do nocy; sprzętów niema żadnych, ale za to piękne maty; wszystko czyszcuteńkie. Jeżeli dom zawiera w sobie sklep, to zwykle górne piętro, zbudowane z drzewa tak, iż wszystko przez nie widać i zaopatrzone balkonem, służy za magazyn.

Prócz tych konstrukcji są jeszcze, jak powiedziałem, magazyny ogniotrwałe. Taki magazyn stanowi rodzaj niskiej baszty drewnianej, pokrytej warstwą cementu, podobnego do stiuku i pomalowanej czarno. Okienka w niej małe, zamykane ciężkimi żelaznymi okiennicami. Każdy taki budynek jest miejscem składu kosztowności podczas pożaru lub burzy. Mieszkańcy czempredzej wnoszą doń drogie przedmioty, zamykają i uciekają co sił starczy, nie troszcząc się o burzę, ogień, lub trzęsienie ziemi.

Wymienione powyżej czworaki budynki nadają całemu Jedo właściwą fizyognomję. Wyobraźcie sobie świątynie, rozrzucone wszędzie, Yashki, ugrupowane naokoło cesarskiego zamku, dość pospolite w Hondjo, a bardzo rzadkie na południo-wschodzie miasta, wyobraźcie sobie nieskończone mnóstwo małych domków, a wszystkie do siebie podobne i w handlowej dzielnicy Sotojiro gęsto przeplatane czarnemi basztami, wyobraźcie sobie nakoniec ulice, nie szerokie w istocie, ale wydające się szerokiemi z powodu małego wyniesienia nad poziom budynków, te ulice pełne mężczyzn, kobiet z ludu (bo damy wielkiego świata wcale się nie pokazują), dzieci, przepełnione ociemniałymi, Norimonami, Kanghami, Jinrikizhami. Norimon i Kangho zastępują miejsce palankinu; pierwszy jest to kosz zamknięty, drugi kosz otwarty, zawieszony na drągu bambusowym, trzymany przez kulisów na barkach. Jinrikisha jest to powóz, nowy dla Japonji, znany dopiero od lat kilku, a już po samem Jedo krąży takich pojazdów przeszło dwadzieścia tysięcy. Jest to wózek o dwóch kołach, pięknie lakierowany, pokryty białą budą i ciągniony przez jednego człowieka. Wyalazca

tego wózka dorobił się dużego majątku. A teraz wyobraźcie sobie jeszcze długie szeregi tych wózków, w których siedzą kobiety, bonzy, śpiewaczki, tancerki dziwacznie ufryzowane, jednym słowem Japończycy i Japonki zupełnie takie same, jak na porcelanie lub wachlarzach, wyobraźcie sobie to wszystko, a będziecie mieli pojęcie o wielkiej stolicy dalekiego Wschodu. W dzielnicach bogatych, gdzie nadzieja zyskowych łupów przynęca złodzieji, pełno na ulicach odwachów i rogatek; są one zamykane na noc, co wielce przeszkadza cyrkulacji ludzi, nie tamując bynajmniej drogi łotrom. Wreszcie śmiało powiedzieć można, że w całej Azji niema drugiego wielkiego miasta, któreby mogło się porównać z Jedo pod względem czystości. I w Europie niewiele się znajduje miast równie porządných.

Jedo ma także cechę pomyślności i wesela, która przyjemnie robi wrażenie. Codziennie w kilku dzielnicach przypada uroczystość jakiegoś boga. Przed domami na drzewach bambusowych urządzają ognie sztuczne; przed świątyniami wnoszą słupy do wdrapywania się i igrzysk gimnastycznych; bonzy snują się tłumnie po ulicach, mieszczanie stają przed sklepami i patrzą na przechodzące ulicą processje. Jest to wyborny pretekst do próżnowania; ale ryżu przecie nie brak, ludzie poprzestają na małym i w starej szczęśliwej Japonji nieznanne są zarówno bogactwo, jak niedola.

Hubner. Przejazdźka w koło świata. 1871.

52. Wulkany błotniste i siarkowice na wyspie Jawa.

Jawa, jedna ze czterech najwspanialszych świecideł największego i najpiękniejszego na ziemi zbiorowiska wysp, jest zaprawdę pięknnością straszliwą, podobną do gadziny błyszczącej najświetniejszymi barwami, a zbrojnej śmiertelnym jadem, której wzrok odurza i swoim czarem wabi do śmierci. Wyspa ta zdumiewa olbrzymią działalnością sił przyrody, która przypomina pierwsze młodzieńcze wieki naszej ziemi i której gwałtowność jest zarówno życiodawczą, jak zabójczą. Widzimy tam największą ilość wód lądowych, któremi przesiąkła ziemia staje się błotnistą, przy największej ilości nieustannie czynnych wulkanów i w skutek tego ciągłe najbliższe zetknięcie się i najsilniejsze działanie na siebie dwóch przeciwnych żywiołów, których ustawiczna walka wzrusza tam gwałtowniej, niż gdziekolwiek obejmującą je powłokę ziemską,

niszczy i wywraca jej kształty zewnętrzne i zamienia ją w rozburzoną i dymiącą się masę błota. Na tym wrzącym nadmiarem fizycznego życia gruncie, rozruszanym ciągłymi przewrotami, unawożonym wulkanicznymi wyrzutami wszelakiego rodzaju, polewanym całą obfitością swoich wód i palonym promieniami równikowego słońca padającymi bez cienia, rozwija się najbujniejsza i w krajach równikowych, roślinność. W pośród upajającego jej przepychu, kwiatów i owoców, których tylko mdłe naśladowanie widzieć możemy po cieplarniach, olbrzymich drzew, których nieobaczmy i w cieplarniach, a możemy poznać tylko z opisów i drzeworytów, zaś pomiędzy którymi są i jadowite, lęgną się tam w przerażającym mnóstwie ogromne drapieżne zwierzęta. Tam obok poważnych, rozumnych i nieszkodliwych słoniów jest oraz ojczyzna krwawych tygrysów; tam na każdym kroku z pod najokazalszych i najpiękniejszych róż, kaktusów i innych cudów flory podrównikowej, przeziara okropny łeb najjadowitszej żmiji. Tam klimat jest, że tak powiemy, zbyt silnie rozkosznym; upały równikowe miarkowane są przez wpływ tuż będącego oceanu i rzeźwiące od niego powiewy; lecz przytem srożą się tam burze, obok których wszystkie nasze wydać się mogą prawdziwie dziecinną igraszką żywiołów. Tam to na niewielkiej przestrzeni 2326 mil kwadratowych znajduje się przeszło 100 wulkanów i to rozmaitych. Wiele z nich już zgasło, lecz jeszcze wiele jest czynnych. Jedne z nich grożą ognistą lawą, drugie smrodliwem błotem, a obok nich mnogie siarkowice zięją duszącymi wyziewami.

Niektóre wulkany znane są z wyrzutów wody i błota. Napełniające ich kratery wody, rozgrzane do wysokiego stopnia, prze-syczone gazami i zmieszane z popiołem i różnymi częściami stałymi, tworzą rodzaj błota wulkanicznego, którego potoki sprawiają spustoszenia większe, aniżeli potoki lawy, przez to, iż biegną prędzej i rozlewają się na przestrzeń daleko większą.

Burzące działanie wybuchu na budowę samego wulkanu bywa też daleko większem od wody, aniżeli od samej lawy, tak, iż najczęściej taki wybuch wywraca ze szczytem wulkan, zamieniając go w bezładną, błotnistą i dymiącą się ruinę, podobną do rozpekłego wrzodu na okrywającej ziemię skórze.

W skutek takiego rozkładającego działania pary wodnej i gazów na skorupę ziemską, które daje się widzieć szczególnie przy wulkanach błotnistych i siarkowicach, nieraz tworzą się około nich dziury szerokie i głębokie, napełnione błotem gorącym i przesyconem kwasem siarczanym i węglowym. Przeto zwiedzający takie wulkany i siarkowice powinni mieć się bardzo na bacności, aby

nie wpaść w jakie takie trzęsawisko, gorsze i niebezpieczniejsze od wszelkich innych.

Najznakomitsze wybuchy błotniste, z którymi wszelkie inne ani mogą iść w porównanie, są na wyspie Jawa. Tam pary wodne w ilości nadzwyczajnej, zmieszane z wielką ilością gazów w temperaturze podniesionej, wywierają nadzwyczaj silne działanie na otaczające je ciała stałe. Niszczą one wszystkie skały, rozkładają je w rozmaity sposób i zamieniają na proch, na rzadkie ciasto, tworząc z nich całkiem nowe związki chemiczne. Powstaje ztąd w głębi krateru masa błotnista, która coraz się powiększa kosztem rozkładanych przez nią skał i w końcu napełnia całe wnętrze wulkanu. Wtedy, nie mogąc się oprzeć ciągłemu działaniu rozpierającej ją pary, sprawia ona wybuch i w tem wysileniu najczęściej rozsadza górę, której już poprzednio stoczyła wnętrze.

Następują wówczas straszliwe wylewy, już nie law, jak w zwyczajnych wulkanach, lecz ogromnej ilości wody wrzącej, przesyconej kwasem siarczanym wraz z gęstym mułem, niszczące wszystko co napotykają i zalewające całe okolice błotem siarczanem, które nazywają Buah. Taki wypadek nastąpił w r. 1822 przy wybuchu wulkanu Gallung Gung. W pośród trzęsienia ziemi i przerażającego łoskotu, góra ta zniżyła się, wierzchołek jej zaczął się zapadać, chylić i w końcu całkiem się przewrócić. Z rozpadłych jej boków wypłynęły potoki wody gorącej, błotnistej i przesyconej siarką i zalały całą okolicę tak, iż wielka liczba mieszkańców zginęła w tym śmierzącym potopie. Toż samo nastąpiło z wulkanem Teszem, w którego kraterze utworzyło się przedtem jezioro siarczane. W r. 1817 góra ta zawaliła się zupełnie, a jej wody kwaśne spustoszyły kawał kraju. Zapewne podobnem do tego było i zapadnięcie się wulkanu Papandajan. Ta przedtem najwyższa na wyspie góra zawaliła się całkiem w r. 1772 i pociągnęła za sobą 40 wsi zbudowanych na jej stokach, pozostawiwszy po sobie błotniste jezioro.

Wyspa Jawa posiada nadto siarkowice, najznakomitsze ze wszystkich, jakie istnieją gdziekolwiek. Leżą one jedna obok drugiej na stokach gór Gunong Prahau i na wyżynie Dieng i warte są szczegółowej wzmianki.

Kawa Scorodevi, czyli Telaga Tringo, to jest jezioro Tatarskie, leży w pobliżu wsi Batur. Zdaleka już widać w lesie podnoszący się słup dymu i słychać szum. Jeden i drugi wychodzi ze skały ciemnej w kształcie półkola i wysokiej na 40 stóp, która u podnóża ma zagłębienie w postaci kotłowniny, mające 15 stóp w średnicy. Znajduje się w niem woda w stanie wrzenia; we

środku podnosi się ona do 4 i 5 stóp w górę i wydaje gęstą parę, niemającą żadnego zapachu i zbierającą się w grube obłoki. Niżej cokolwiek znajduje się kilka mniejszych otworów. Głuchy szum, syczenie i huk podziemny dają się słyszeć nieustannie w tem miejscu, wzniesionem na 6238 stóp nad poziom morza. Woda ma temperaturę 66° R.

Niedaleko ztamtąd leży sławna dolina śmierci: Pakereman, albo Sitsimat, w której znajduje się siarkowica, wydająca w bardzo znacznej ilości zabijające gazy siarczano-węglowe. Jej paszcza ziejąca śmiercią jest w kształcie głębokiej kotliny i leży na bardzo stromej pochyłości góry tak, iż tylna krawędź jej wznosi się o 100 stóp wyżej od przedniej, gdzie jest do niej przystęp. Dokoła są gęste zarośla. W głębi krateru nie widać nic, prócz gołych skał i kamieni. Siarkowica ta leży na wysokości od 200 do 300 stóp. Krater jej ma do 300 stóp w średnicy. Trujące jego wyziewy, całkiem niewidome, zdaje się bywają w pewnych porach silniejsze i słabsze; zawsze jednak zabijają one w jednej chwili mniejsze zwierzęta i ptastwo; zaś większe i silniejsze wytrzymują je nie długo. To też do koła tego miejsca, będącego postrachem całej okolicy, zalegają ziemię kościotrupy ptaków, kóz, jeleni, tygrysów, a nawet kości ludzkie, gdyż wszystko dusi się i ginie w tem siedlisku spustoszenia.

O kilka mil od Batur, w stronie północno-wschodniej, leży bagnista siarkowica Telega Leri. W pośrodku otoczonej wysokiemi górami i przepaścistą doliny, dają się tam widzieć powstałe w skutek trzęsień ziemi liczne i rozmaitej wielkości lejkowate zapadliny. W najgłębszem takim miejscu znajduje się krater, z którego biją źródła wody siarczanéj i gorącej i rozlewając się dokoła, tworzą ziejącą parą bagnisko. Wszystkie skały i kamienie roztopzone są przez nie i zamienione w glinę, w rzadkie ciasto. W miejscach płębszych woda bagniska jest czystą i zimną, ale gdzie tylko napotyka się bijące źródła, których liczba jest nader wielką, tam woda ma temperaturę 45°, 54°, a miejscami i 64° R. i bywa mętną. Niemożna prawie kroku stąpić, żeby nie natknąć się na te strumienie, z których sycząc wydobywa się para, z bardzo słabym zapachem siarki i rozpościera po całej dolinie grubą, ciepłą i przenikającą wilgocią mgłę, jak w parowej łaźni. Całe bagnisko, z będącym w środku jego kraterem, rozciąga się od północy ku południowi przeszło na 700 stóp.

Wyżyna Dieng, w pośrodku której na wysokości 6296 stóp leży wieś Dieng, najwyższe zamieszkałe przez ludzi miejsce na całej wyspie, tworzy okrytą zielonością płaszczyznę, otoczoną zewsząd na-

kształt krateru wyniosłą ścianą gór, których pochyłości przyodziejają bujne i cieniste lasy. W południowym jej końcu leży krater siarkowicy Kawa Diondro di Muka, mający około 1000 stóp w średnicy i zamknięty górami od północy i południa. Jest on całkiem ukryty w lesie, ale już z daleka oznajmuje go woń siarki. W pośród pobielających skał i kamieni daje się tam widzieć wielka ilość dziur, szerokich od 20 do 30 stóp, napełnionych szlamem siarczanym i mnóstwo źródeł, z których bije i sączy się woda mętna, przesycona siarką i mająca temperaturę 73° R. Z tych wszystkich dziur daje się też słyszeć nieustanny szum, warzenie się i belkotanie wody i podnoszą się gęste pary ze słabym zapachem siarki.

Niedaleko ztamtąd leży druga siarkowica trująca Kawa Pakkuodio, czyli Goa Upas, w ogromnej wpadlinie na pochyłości góry. Wnętrze jej paszczy napełniają kawałce rozbitych skał i kamieni. W pośród nich znajdują się liczne dziury, z których największa ma 15 stóp w średnicy. Ze wszystkich, a szczególnie z największej, wydobywa się bez żadnego szmeru i całkiem niewidzialny, zabójczy gaz siarczano-węglowy.

Oprócz tych znajduje się na wyspie Jawa jeszcze kilka siarkowic, wydających podobne do wyżej wzmiankowanych wyziewy.

S. Str.

53. Kanał Suez.

Afryka jest teraz zupełną wyspą, ze wszech stron oblaną słonymi wodami morza. Granicę jej od Azji od 17 Listopada 1869 stanowi kanał Suez.

Ciekawe są dzieje tego przedsięwzięcia, które okazuje, jak silnie bywają dawne tradycje. Odwieczny pomysł przekopania międzymorza zajmował już Faraona Nechao około r. 615 przed Chr., według niektórych zaś jeszcze przed nim Sezostrysa, następnie cesarza rzymskiego Trajana, a po nim kalifa Omara. W ostatnich czasach stał się on ulubioną myślą Francuzów i przez Napoleona I, który chciał wykonać go w roku 1798, będąc jeszcze generałem Bonaparte, został przekazany Napoleonowi III. Wiele było zdań za i przeciw wykonalności tego przedsięwzięcia. Wreszcie najnowsze badania na miejscu usunęły błędne przypuszczenia o różnicy poziomu dwóch morz; zaś przeszkody techniczne musiały ustąpić przed wydoskonaloną znajomością inżynierji tegoczesną. W r. przeto 1854 inżynier francuzki Ferdynand Lesseps, zhołdowawszy dla swego projektu opinię publiczną i ze środkami, jakich

dostarczyło mu zawiązane dla wykonania go towarzystwo akcyjne, otrzymał od ówczesnego wice-króla Egiptu Saida Paszy pozwolenie na prowadzenie budowy, która była rozpoczętą w r. 1859. Nieraz dokonanie dzieła okazywało się wątpliwem; nieraz brakło pieniędzy i akcyonariusze bywali zmuszeni wnosić dopłaty; lecz wreszcie przedsięwzięcie zostało dokonaniem i jakiegokolwiek losy czekają go w przyszłości, Lesseps będzie zawsze liczonem do najśmielszych pionierów nauki praktycznej. W każdym razie miał on zawsze gorliwe poparcie i opiekę silnego rządu, który nie bez słuszności w dokonaniu tego przedsięwzięcia upatrywał chwałę Francji cesarskiej. Lecz przez lat 15 musiał on z żelazną wytrwałością zwalczać trudne do pojęcia przeszkody, które przemógł wszystkie i teraz cieszy się spełnieniem wielkiego dzieła, któremu jakkolwiek jeszcze niejednego braknie, już w istocie jest zrobotowanym.

17 Lutego 1867 statek austriacki Primo pierwszy bez ładunku przejechał kanał w całej jego długości. 30 Listopada 1868 Monitor francuzki ogłosił doniesienie, iż francuzki okręt Levrette, w drodze do wysp Komorskich, przepłynął kanał. 18 Marca 1869 w obecności wice-króla Egiptu i księcia Walji wprowadzone były z pożądanym skutkiem wody morza Śródziemnego do jezior gorzkich, które przeryna kanał. Wreszcie 17 Listopada tegoż roku miało miejsce uroczyste otwarcie kanału, które uświetnili swoją obecnością cesarzowa francuzka, cesarz austriacki, książę następcy pruski i inne książęce osobistości.

Kanał zaczyna się u Portu Said nad morzem Śródziemnem, ma długości 162 kilometry (22 mil niemieckich) a głębokości 8 metrów (25 stóp). Zamierzona szerokość 100 metrów jeszcze jest nie wszędzie, a ogranicza się w miejscach trudnych, jak na przykład pod El Ferdane, El Guisar, El Schaluf, do 58 metrów; i dno kanału, mające być szerokiem na 44 metry, ma w tych miejscach tylko 22. Przeto nie mało jeszcze pozostaje do roboty.

Port Said, stworzenie Lessepsa, leży na smutnym piaszczystym pobrzeżu. Dziś jest to miasto zupełnie europejskie, mające 15,000 mieszkańców, pomiędzy którymi, obok Egipcyan, przemagają Francuzi, Austriacy, Włosi i Lewantyńcy. Są tam meczety, kościoły, szpitale, hotele, kawiarnie, a między niemi i cafés chantants; przebywają w niem gubernator i konsulowie różnych państw. Port nowo stworzony jak i miasto, ma latarnię, warsztaty okrętowe, i zamknięty jest przez dwie tamy, zbudowane ze sztucznych kamieni po 10 metrów sześciennych objętości i 400 centnarów wagi. Za materiały do tych olbrzymich tam, z których wschodnia jest

krótszą od zachodniej, służył wydobywany przy kopaniu kanału piasek, który mieszano z cementem. To miasto ma wielką przyszłość; już teraz jest ono stanowiskiem dla parowców; krążących po morzu Śródziemnym i może prześcignąć Aleksandrję, tak jak ta prześcignęła Rosettę i Damiettę.

Od Portu Said kanał idzie wprost na południe, przeryzując jezioro Mensaleh, do El Kandara i tu na rozciągłości 45 kilometrów (6 mil niemieckich) przechodzi między tamami, które, jakkolwiek budowane z wydobytego błotnego materiału, są zupełnie mocne i trwałe. Tu wreszcie było jeszcze najmniej trudności. Dalej na południe, po przebyciu jeziora Mensaleh od El Kandara, kanał przechodzi przez jezioro Ballah aż do El Ferdane i tam pod El Guisr napodyka grunt stały i znacznie podniesiony, mianowicie od dna do 50 stóp. Tam przeto roboty były większe, które dokonać się dały tylko po wyłożeniu ogromnych sum, pracą wielu tysięcy rąk i olbrzymich machin. W tem miejscu, jak już nadmieniono, kanał ma mniejszą od zamierzonej szerokość. Dalsze roboty ułatwiło znowu małe jezioro Timasah, leżące prawie w środku całej rozciągłości kanału. Na północnym brzegu tego słonego jeziora, otoczonego pięknymi wiejskimi domkami, leży główne miasto kanałowe Ismailja, w którym znajduje się cały zarząd kanału i piękne mieszkanie p. Lessepsa. Miasto założone r. 1862 ma dziś do 7000 mieszkańców, których trzecią część składają Europejczycy, piękne ogrody, położenie w ogólności zdrowe i pod każdym względem jest najprzyjemniejszym miejscem nad kanałem, który dotychczas przechodził same tylko smutne pustynie. Po raz pierwszy napotykamy tu jedno z najważniejszych dzieł, bez którego cała robota kanału pozostałaby urojeniem; to odkrycie w r. 1864 kanału wody słodkiej, który od Zaggazig prowadzi wodę ze wschodniej odnogi Nilu do Ismailji i Suezu. Co było najniezbędniejszą potrzebą w jej pustyni na całej przestrzeni kanału, to było dostarczonem przez ten nowy kanał boczny, który zapewnił dalsze roboty, a prócz tego służy i do przewozu, a nadto gdzie tylko wylewa swoje wody na pustynię, tam cudownym sposobem tworzy na niej żyzne oazy.

Z południowego końca jeziora Timsah, kanał, mając szerokości tylko 58 metrów, wchodzi w trudne do przebycia grunta Tossam i Serapeum. Tu należało nietylko przebijać wzgórze, wysokie na 30 stóp (54 stóp od dna), ale i kopać się w ruchomych piaskach, zawsze gromadzących zasypianiem. W tem miejscu kanał ma tylko w samym środku głębokości od 6 do 8 metrów. Po przebyciu wydm piaszczystych Tossam i Serapeum, bierze on kierunek połud-

niowo-wschodni i przerzyna jeziora gorzkie około 40 kilometrów długości i 4 do 12 szerokości, wyschłe naczynia wody słonej, których poziom leży na 4 do 12 metrów niżej od poziomu morza. Teraz je wypełnia woda z morza Śródziemnego, której weszło tam 2000 milionów metrów sześciennych.

W jeziorach gorzkich inżynierowie mieli robotę łatwą; ale po wyjściu z nich na południo-wschód napotkali znowu na trudną i najcięższą ze wszystkich. Pod El Schaluf między jeziorami gorzkiemi i Suez, znaczna część kanału musiała przechodzić przez grunt skalisty. Tutaj przeto szerokość kanału jest daleko niezupełną. Nareszcie zatoka Suez, w której po raz pierwszy dają się widzieć wody morza Czerwonego, nie przedstawiła żadnych trudności; ale potrzeba było zagłębić tę nazbyt miłąkłą zatokę; i dla tej przyczyny poprowadzono kanał nieco opodal od tego miasta do morza Czerwonego. Port Suez z jego tamami, dokami i wszelkimi zakładami buduje nie kompanja kanału, a rząd egipski; nie prędko jeszcze będzie on skończonym. Z tem wszystkiem Suez, przed laty 15 biedna miejscina, teraz już jest znacznem miastem i ma 35,000 mieszkańców. Całkowita ilość ziemi, piasku i kamieni, wyjęta i jeszcze pozostała do wyjęcia z kanału, według podań urzędowych wynosi 75 milionów metrów sześciennych.

Z ilustracji francuzkiej.

54. Aleksandrja.

Brzegi Afryki przy ujściach Nilu są tak płaskie, że ów nie zbyt wysoki, acz dawniej do cudów świata policzony Farus, dalej kolumna Pompejusza, a nawet maszty okrętów, stojących w porcie Aleksandrji, dobre pół godziny pierwiej gołemu przedstawiają się oku, zanim ono łąd stały odkryć potrafi. Pomału i szczyty minaretów wychodzą na widnokrąg i całe miasto wysuwa się jakoby z morza, przypominając nieco przyjazd do Wenecji. Zresztą miasto Aleksandra Wielkiego ma niejedną i w losach swoich analogję z wspaniałą królową Adryatyku. Oba te miasta trzymały, rzec można, monopol handlu wschodniego, aż do odkrycia przyładka Dobrej Nadzieji. Odkrycie to nowej drogi do Indji zniszczyło po większej części bogactwo i potęgę ich obu.

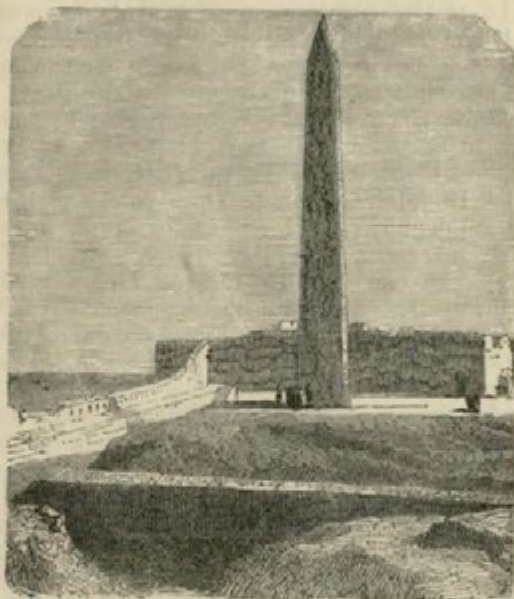
Wjazd do portu Aleksandrji jest nader trudny, w pewnych chwilach nawet niepodobny. Żaden statek, nawet wśród najpiękniejszej pogody, bez miejscowego sternika się nieobejdzie. Za pomocą takiego, po wielu zygzagach, wpłynęliśmy szczęśliwie do portu.

Iskanderja lub Skanderja, tak dziś po arabsku nazywa się Aleksandrja, na pierwszy rzut oka od strony portu, wyjąwszy kilka minaretów, jest nowo zabudowana i wydaje się prawie europejskiem miastem. Ale cecha ta znika zupełnie, skoro się wejdzie w ciasne uliczki, prowadzące do tak zwanego wielkiego placu czyli rynku, części miasta przez Europejczyków zamieszkałej. Uliczki cztery do sześciu kroków szerokie, wysokie bardzo domy drewniane bez okien, lub z oknami zabitými za pomocą krat drewnianych, sklepy niższe od chodników ulicznych, jak piwnice, błota dużo, psy, osły, wielbłądy, snujące się nieprzerwanie, ruch przytém ludności bardzo wielki, kontrastujący dziwacznie z nieruchomością ludzi, siedzących we drzwiach domów i po sklepach: Arabcy spokojnie palący fajki, rzekłbyś statuy w framugach, przytém ciągła zmiana błyskotek, kolorów i nowości, gwar i wrzask całkiem od europejskiego różny, nadto brud i smród, przed jakim każde nasze najgorsze żydowskie miasteczko ustąpićby musiało — otóż w kilku wyrazach obraz, w jakim się Wschód przybywającemu do Aleksandrji przedstawia. Ale obraz ten jest oświecony tak jasnym słońcem, otoczony atmosferą tak przezroczystą, że ani oczy pierwszém, oni piersi drugą dość nacieszyć się nie mogą.

Po półgodzinnem dosłownie brodzeniu w owym steku niechlujstwa, wychodzi się od razu na plac ogromny, złożony z murowanych w czworobok pięknych kamienic, pod linję wyciągniętych, całkiem europejskiej architektury, a przejście to jest tak nagłe i niespodziane, że ów wschodni świat przebyły nakształt snu się wydaje. W każdym niemal mieście wschodniem jest osobna część miasta, zamieszkała przez Europejczyków i zwana Quartier franc. Francuzom bowiem jeszcze z wojen krzyżowych została chwała, że pod imieniem Franków wszyscy mieszczą się Europejczycy. Na tym placu są hotele, trzymane przez Francuzów i Anglików i zastosowane do zwyczajów tych narodów.

Starożytności Aleksandrji, dostępne i dla niearcheologów, a zadziwiająco swą pięknnością, nie są liczne. W pierwszym rzędzie są tak zwane Igły Kleopatry. Są to obeliski, z których jeden stoi w całej swej okazałości, drugi leży obalony na ziemi. Były one przez jednego z cesarzów rzymskich przywiezione z Heliopolis do Aleksandrji i, niewiedzieć dla czego, tradycja wbrew prawdzie przywiązała do nich imię Kleopatry. Jak wszystkie obeliski, są one z granitu syenkiego, dzisiejszego Asuan, pokryte hieroglifami, które wnosić każą, że dochodzą czasów Ozyrysa II, trzeciego następcy Ramsesa. Wysokość stojącego obelisku jest 70 stóp, przekątnia podstawy wynosi przeszło 7 stóp, jest on zatem mniejszy od

lukorskiego obelisku w Paryżu. Leżący zaś tuż obok niego, który się coraz więcej w ziemię kryje i jest nieco uszkodzony, ma 66 stóp długości. Mehmet Ali darował go Anglikom na pamiątkę ukończenia sławnej kampanji z r. 1801. Dotąd jednak spoczywa on na ziemi egipskiej i zdaje się, że Anglja nie wielką do niego przywiązuje wartość, skoro pomimo bliskości morza dotąd go nie zabrała.



Igły Kleopatry.

Drugim pomnikiem starożytnym jest tak zwana kolumna Pompejusza. Jest ona granitowa i należy do najkolosalniejszych; stoi na wzgórzu za miastem, wysokość jej jest 99 stóp, sam słupek kolumny ma 73 stóp, obwód 30 stóp, a przekątня kapitelu 16 stóp. Słupek w pięknym nadzwyczajnie jest stylu, ale kapitel i piedestał zdają się być późniejszym dziełem i do innej należeć epoki. To też cała kolumna jest przedmiotem wielkich między uczonymi dyskusji. Nie jest pewna kto ją postawił, ale to pewna, że przed dwudziestą kilkoma laty majtkowie angielscy dostali się na jej

wierzch za pomocą określonych około niej lin okrętowych, zaś sam kapitan, ze swoim sztabem, zjadł na samym szczycie paradny rozbif, wypił butelkę, czy kilka (ile z pewnością nie wiadomo), Sherry i wypisał ogromnemi białemi literami, tuż pod korynckimi ozdobami kolumny, swoje nazwisko, które z dołu doskonale do dziś dnia można czytać.

Za miastem nad morzem pokazują łąźnie Kleopatry, niby miejsce, gdzie czarująca ta królowa chodziła się kąpać. Tu wiara jest konieczną, bo w tych dziurach między skałami zaledwo rekiny i haje miałyby ochotę się pluskać. Dzisiaj nikt tam kąpać się nieśmie, na tych bowiem brzegach morza Śroziemnego kąpiel morska jest niebezpieczną, z przyczyny wielkiej ilości tych żarłocznych potworów. Tuż obok mają być resztki rzymskiego obozu Cezara. Jest to czworobok z wiekowych ruin muru złożony i wypełniony rumowiskiem. Sądziłbym raczej, że to są szczątki pałacu Kleopatry, jak twierdzą niektórzy. Nieco dalej i głębiej ku miastu znajdują się katakomby, z których ciągle oprócz kości dobywają piękne kawały marmuru, alabastru, a nawet sarkofagi w zupełnie dobrym stanie. Są one zdaje się z czasu Ptolomeuszów. Jest to nieprzebrana kopalnia kamieni, dla wznoszonych w Aleksandrji budowli. Od katakomb aż do miasta, prawie ćwierć mili prowadzi droga rzymska, brukowana wielkimi kamiennymi płytami i nieźle dotąd przechowana.

Aleksandrja w czasie swojego kwitnienia miała jak wiadomo 300,000 wolnych mieszkańców i według świadectw Strabona, Diadora i Polibiusza podobną liczbę niewolników. Obwód jej wynosił 15 mil. Następnie pod panowaniem Arabów i Turków, podupadła ona tak, iż w końcu przeszłego wieku liczba jej mieszkańców zeszła do 25,000. Obecnie na nowo ona się podnosi i ma 200,000 mieszkańców, co zawdzięcza głównie Mehmetowi Ali.

W krajach, zostających pod rządem despotycznym, pomyślność miast głównie od panujących zawisła. Jeśli panujący polubi sobie jakie miasto, jeśli uzna je za dogodne narzędzie do swoich zamiarów, lub odpowiednie celom swej polityki, a częstokroć zabawom i skłonnościom, natedy miasto to szybko wzrasta, ludność jego powiększa się i wzbogaca. Protekcja bowiem ciągła, nawet pomoc i co większa, pewien faworytyzm są potrzebne dla handlu i przemysłu w krajach, gdzie niema innego kodeksu, oprócz woli panującego.

W tych szczęśliwych warunkach znalazła się Aleksandrja za panowania Mehmeta Ali. Śmiały ten reformator Egiptu, aby się utrzymać na stanowisku, zdolnościami i odwagą zdobytem, potrze-

bował przedewszystkiem trzech rzeczy: armji, floty i pieniędzy. Wszystkie więc reformy nie mogły spuszczać z oka tych głównych przedmiotów. Skanderja, z obszernym portem i napływem cudzoziemców, stawała się punktem centralnym wszelkich operacji. W niej też Mehmet Ali założył, powiedzieć można, stolicę i mieszkał w niej większą część roku. Pałac jego nad morzem jest piękny, wspaniały, prawdziwie książęcy. Żył on dość długo, aby miasto w wiele bardzo przyozdobił gmachów. Stało też wiele pałaców, kamienice, willi, a część miasta, począwszy od Piazza grande, ma szerokie ulice i domy całkiem europejskie. W ulicach tych i na spacerach za miastem mnóstwo ekwipażów, po większej części angielskich karet, koczów, kabrioletów, a nawet tillbury.

Ulice w Aleksandrji są wcale niebrukowane, ale dla braku deszczów te, które są szerokie, niemają ani koleji głębokich, ani dziur; a ziemia będąca iłem, w paradną ubija się drogę. W lecie tylko kurz nieznośny dokucza. Zaprzęgi angielskie, stangrety zaś i lokaje po większej części są Arabcy lub Murzyni. Do tego kontrastu dodać jeszcze trzeba, że zawsze człowiek jeden z laską naprzód biegnie. Laufry te w nocy mają pochodnie.

Mieszkańcy Aleksandrji z tylu różnych ras się składają i tak rozliczne mają odzienia, że rysy ich fizyczne, ubiór i gesta więcej z początku zajmują, niż charakter i sposób życia. Jakkolwiek chrześcijanie europejscy czyli Frankowie, bo to wszystko jedno tutaj znaczy, niemają takiego wpływu w Egipcie dzisiaj, jaki mieli za czasów Mehmeta Ali, liczba ich wszakże się powiększa i znaczenie, jeżeli się nie rozszerza, to niezawodnie wzmacnia. Przy wzmaganju się ludności chrześcijańskiej w Aleksandrji, większem od ludności muzułmańskiej, można przewidywać, iż to miasto nie długo stanie się całkiem europejskie.

M. Majłn. Podróż na Wschód 1852.

55. Kair.

Kair, po arabsku El Masr lub Masr el Kahirah, to jest stolica zwycięzka, założony w r. 973 przez Gohera, wodza kalifa El Moez, a obwarowany przez Saladyna, należy do najpiękniejszych i najciekawszych miast Wschodu. Dla mieszkańca Europy ma on tem większy urok, iż niezatracił cechy orientalnej, chociaż obecny chedyw chce wwałtem i tu przeschodzić cywilizację zachodnią. Rzecz można, że Kair jest żywym muzeum narodów, bo spotkasz tu ludzi wszelkiego języka, stroju i koloru twarzy, począwszy od

białego Europejczyka, aż do brunatnego Berberyjczyka i czarnego Murzyna.

Zadna stolica nie może dać wyobrażenia o Kairze. Przebiegając ulice bez nazwy, bez bruku, ciasne, krzywe, kręte, co chwila kończące się impasem, zasłane śmieciem wszelkiego rodzaju, pokryte kawałkami plecionek z trzciny, które je od promieni słonecznych bronić mają, a złożone z dwóch rzędów domów, czasem pięknych, jakby pałaców, częściej nędznych, zawsze nieforemnych, przegradzanych co parę kroków to lepianką, to ruiną, przysiadz można, że się błąka w prawdziwym labiryncie. Mało kto chodzi w Kairze piechotą, oprócz pospólstwa; wszystko jeździ na koniach lub osłach; wielbłądy obciążone snują się szeregiem, bawoły ciągną wozy na niskich kółkach, których osie niesmarowane skrzypią niemiłosiernie, wszystko idącem piechotą zagraża i w ciągłych jest on obrotach; ekwipaże, lubo rzadkie, pędzą kłusem, poprzedzane laufkami, wojskowi i zamożniejsi na koniach lub mułach, reszta na osłach, krzyk saisów i burchierów: — rygelak, szumała: na prawo, na lewo, bezprzestannie i chrapliwie odbija się w uszach; gwar sprzedających, z towarem na wózkach, taczkach lub na głowie, połączony ze skrzypieniem kół, słuch rozdziera; tu kaleki ciągną za suknię i płaczą dla wzbudzenia litości, tam kłótnia, która nie jest niczem innym jak tylko dobijaniem targu, dalej derwisz leżący na progu meczetu, otoczony kobietami, którym udziela rad; a w całej tej ludności, na dwadzieścia osób, zdało mi się, że jeden był ślepy, dziewięciu jednookich, a połowa tylko zdrowe miała oczy. Oto w ogólnych rysach obraz, jaki w przelocie przedstawiają po raz pierwszy ulice Kairu.

Po Konstantynopolu Kair jest największym miastem Wschodu. Jeszcze w r. 1583 książę Radziwił naliczył w niem 30,000 domów, 16,000 ulic i 6800 meczetów, w czym jednak jest widoczna przesada. Według nowych podań, liczba mieszkańców dochodzi do 400,000. Z tych 12,000 Koptów, 8000 Żydów, 2000 Ormian, 6000 Greków i do 20,000 Europejczyków. Reszta wszyscy Muzułmanie. Miasto całe obejmuje cztery dzielnice, zaludnione przez Franków, Koptów, Arabów i Żydów.

Frankowie, czyli chrześcijanie, zajmują długą ulicę Muski wraz z przyległościami; tu jest kościół katolicki i klasztor OO. Franciszkanów, gdzie rezyduje wikaryusz apostolski Egiptu, tu są także mieszkania konsulów i sklepy kupców europejskich; katolików będzie tu przeszło 10,000. W tej dzielnicy ściera się cywilizacja europejska z obyczajem wschodnim, podczas gdy dzielnica arabska zachowała poniekąd cechę rodzimą. Zobaczysz tu wazkie i kręte

zaułki, na gorze pokryte matami, na dole wysłane błotem, w którym walają się gromady psów, dalej domy drewniane o dwóch lub trzech piętrach, mające okna zakratowane i ganki wystające, a tak do siebie zbliżone, że możnaby prawie przeleźć z domu do domu, wreszcie ogromne meczety, obok bud przekupniów i wspaniałe pałace, obok rozwalonych lepianek. Długi czas Europejczyk tylko nieśmiało zapuszczał się w ten labirynt ulic, gdzie go łatwo spotkać mogła obelga; lecz odkąd niestrudzony „chorąży cywilizacji“ Izmail Pasza i tu wkraczać poczyna, Wschód ustępuje nieśmiało przed Zachodem. Na jego wszechwładne skinienie odkrywają się i rozszerzają ulice, domy walą się w gruzy, całe dzielnice znikają, a natomiast powstają przestronne i brukowane drogi, pyszne ogrody, pałace i wille, jedném słowem Kair przedzierzgnie się niezadługo w stolicę europejską.

Na gorze Mokattam wznosi się cytadella. Piękny ztąd widok: w górze jasne i zawsze pogodne niebo, w dole okrągłe kopuły, wyniosłe minarety, czerwone pałace i szare domy, opasane wieńcem ślicznych gajów; dalej zaś zielona płaszczyna, po której wije się wężykowato wstęga nilowa, a dalej jeszcze olbrzymie piramidy i nieprzejrzana okiem pustynia. Cytadella, sama dosyć zaniedbana, mieści w sobie koszary, biuro ministerjum wojny, meczet alabastrowy i studnię Józefa.

Meczet alabastrowy, wzniesiony przez Mehmeta Ali i w którym jest jego grób, należy do arcydzieł nowszej sztuki muzułmańskiej. Studnia Józefa wykuta w skale, ze schodami prowadzącymi aż na dno, ma głębokości 276 stóp i sięga czasów Faraonów. Legenda miejscowa mieści tu więzienie egipskiego Józefa.

Kair posiada przeszło 300 meczetów. Według przysłowia arabskiego niema w Kairze mieszkańca, któryby wszystkie widział. Lecz wiele z nich jest na pół rozwalonych, co niepochlebnie świadczy o religijności Arabów. Najpiękniejszy pod względem struktury jest meczet sułtana Hassana, leżący pod cytadellą na placu Rumelich, mianowicie odznacza się zgrabną kopułą i maurytańskimi rzeźbami. Najstarszym jest meczet Achmeta Ibn Tulun, zbudowany według planu Kaaby w r. 879, jak świadczy napis kuficzny; dziś prawie jest w ruinie, bo zostały tylko cztery szeregi arkad z wianowaniem ostrołukowem, z czegoby wnosić można, że styl ostrołukowy, gotyckim zwany, jest pierwotnym wynalazkiem Saracenów i od nich przeszedł do chrześcijan. Do tych meczetów nie mógł dawniej wchodzić giaur niewierny; dziś wprowadza do nich wszystkich mały baczysz.

Przy meczecie kwiatów El Azhar jest uniwersytet muzuł-

mański, [czyli szkoła teologiczna, w której duchowni i prawnicy uczą się Koranu i Zawiet el amian, czyli tak zwana kaplica ciemnych, gdzie z osobnych funduszków żyje pewna liczba tych biedaków, po większej części studentów, włóczęgów i najzjadliwszych fanatyków. Z nich to wychodzą Muezzyni, zwoływający ze szczytów minaretów na modlitwę, na co umyślnie wybierają ślepych, aby nie zaglądali do wnętrza domów.

Bazary w Kairze, jak we wszystkich miastach wschodnich, są wązkie i kryte ulice, mające po obu stronach otwarte kramy przekupniów. Środkiem ich tłoczy się mnóstwo ciekawych, bo dla Araba bazar jest giełdą, teatrem i miejscem przechadzki, gdzie załatwia interesa, używa wypoczynku i przysłuchuje się dźwiękom wędrownych grajków, lub opowiadaniom wschodnich poetów. I tu, jak wszędzie na Wschodzie, każde rzemiosło, każdy rodzaj wyrobów lub towarów ma swoje oddzielne miejsce. Targi odbywają się spokojnie, bo flegmatyczny muzułmanim nie lubi wiele mówić i nikogo nie nagli, spuszczając się w tym względzie na opatrność Allaha; jeżeli jednak kupujący jest znaczniejszą osobą, zaprasza go do kramu, a nawet poczęstuje kawą i fajką. W środku bazarów są ogromne kany, to jest magazyny towarów, służące oraz za domy gościnne dla podróżnych, mianowicie dla pielgrzymów do Mekki.

Godnym widzenia jest także plac Esbekieh. Za czasów Napoleona I, mającego w tej stronie główną kwaterę, był tu staw, który Mehemet Ali kazał osuszyć i w śliczny park angielski zamienił. Lecz dzisiejszy wicekról, któremu nie jest obcą żyłka spekulacyjna, część tylko ogrodu zostawił, resztę zaś zniszczył i sprzedał pod budowlę. Teraz wznosi się tu teatr opery włoskiej, cyrk konny, główne hotele i wiele pięknych pałaców; największą zaś ozdobą tego placu jest olbrzymia statua konna zwycięzcy pod Konieh Ibrahima Paszy. W przyległym ogrodzie publicznym zbierają się wieczorem mieszkańcy Kairu, aby słuchać muzyki wojskowej i podziwiać oświetlenie gazowe, które urządza chciwy rozrywek i grosza chedyw.

Tu świat muzułmański miesza się z europejskim, zachowując atoli odrębne swe cechy.

Z podróży M. Manna i ks. I. Pelczara.

56. Uroczystość mahometańska w Kairze.

Przybyliśmy do Kairu na zamknięcie uroczystości Mulid en Nebi, towarzyszącej świętu urodzin Mahometa. Tej uroczystości widzieć niemożna już nigdzie, tylko w Kairze, gdzie fanatyzm islamizmu jeszcze ma swoje siedlisko. Plac Ezbekieh miał pozór niezwyčajny: po wszystkich alejach ciągnące tłumy, bezustanne okrzyki i śpiewy, migające różnobarwne sztandary i znaki, w pośród sykomorów i akacji wystrzeliwające szczyty namiotów i estrad, przybranych w różne kolorowe świecidła, wszystko to zapowiadało dzień świąteczny.

Niebyło czasu do stracenia. Wpadłem przeto na pierwszego lepszego osła, którego mi podano i przyłączywszy się do towarzystwa, złożonego z dwóch dam i kilku mężczyzn, udałem się na miejsce, gdzie miała się odprawiać właśnie w tej chwili najciekawsza część ceremonji.

Tysiące ludu zalegały obszerną płaszczyznę, na której rozbite były namioty i powbijane ogromnej wysokości słupy, połączone z sobą linami w rozmaitych kierunkach. Niezliczone mnóstwo wstęg i sztandarów majaczyło w powietrzu i przedzielało gęste tumany wznoszącego się kurzu. Obraz ten obłany promieniami słońca padającymi prostopadle, z niczém niemożna było porównać, chyba tylko z krzykami, od których trzęsła się rozpalona atmosfera. Całość przedstawiała harmonię, jakkolwiek rażącą. W chwili gdy zatkiał uszy, zdało mi się, że do takiego obrazu potrzeba takiego krzyku i nawzajem przy zamkniętych oczach myśl podobne krzyki w takim mieściła obrazie. Jak w okrzykach, które się rozlegały, nic prócz głosu ludzkiego rozróżnić nie można było, tak też i w massach, które je wydawały, pochwycić prawie niepodobna ani wyrazów twarzy, ani ubiorów: nic prócz mieszaniny wszelkich kolorów, zmieniających ciągle położenie w bardzo gwałtownych ruchach i gestach.

Pod opieką dragomana wziętego z hotelu, wjechaliśmy w szpaler dość wązki, który przez sam środek tych tłumów utrzymywało z ciężką biedą wojsko pod bronią stojące i policyanci, zaopatrzeni w kurbace. Szpalerem tym miał po ciałach ludzkich przejeżdżać święty turecki Santon, to jest derwisz, uznany za takiego z powodu nadzwyczajnych egzaltacji i napadów epileptycznych, które tu za natchnienie uchodzą. Ceremonię tę tratowania ludzi konno, nazwaną Doseh, odbywał teraz Szeik, czyli przełożony derwiszów sekty Sadieh, który jest kaznodzieją w Ehatib w meczecie Has-

sana i ma przywilej tego cudu. Cud naturalnie ma zależeć na tem, aby nikogo z leżących na ziemi nieuszkodził. Przepędziwszy noc na modlitwach, po odbytem w meczecie nabożeństwie, udawał się on na to właśnie miejsce, gdzieśmy się znajdowali i gdzie lud cały oczekiwał jego przybycia.

Wnet ujrzeliśmy masę ludzi, biejącą szpalerem, w najokropniejszych konwulsjach krzyczących przeraźliwym, a przecież wycieńczonym głosem: Allah Allah, wywracających się, tarzających się po ziemi, targających na sobie odzienie, wydzierających sobie włosy, łypających oczami. Obok nich biegli inni, krzyczący podobnie, przewracający pierwszych i zmuszający biciem i kopaniem, aby raz upadłszy nie powstawali więcej.

Widok to był tak niesłychany, iż od tej chwili zdawało mi się, że jestem we śnie, że mnie dusi zhora. Ludzie w konwulsjach, a było ich kilka set, leżeli już wszyscy na ziemi. Byli to derwisze, fanatycy, którzy chcąc wziąć udział w cudzie zapisali się w wilją, co za wielki uważane jest zaszczyt i daje niejako świadectwo pewnej doskonałości religijnej.

Ale łatwiej się zapisać, aniżeli rzucić pod końskie kopyta. Z tej przyczyny wycieńczony ciałem postem i przygotowany się małą dozą drażniącego narkotyku, ludzie ci zbierają się od rana na modlitwę, to jest krzyczą i rzucają głową, ciałem, w prawo i lewo, kręcą się w koło, słowem odurzają się i męczą dopóty, dopóki wysileniem fizycznym nie dójdą do pewnego stopnia omamienia, zawrotu lub konwulsji. W tym stanie dopiero przybiegają, pędzeni przez lud, który pomaga im z wielkim zapałem i energią do spełnienia powziętego obowiązku. Tych, którzy się sami nie przewrócą, lud obala gwałtem i razami zmusza do ułożenia się tuż jeden obok drugiego twarzą do ziemi i to pod linię; psujących symetrię ciągnie, tego za nogi, tamtego za głowę lub ręce, pięścią lub kurbaczem zalecając spokojność, dopóki nie nadejdzie oczekiwany święty.

Ukazała się niebawem procesya derwiszów, poprzedzona muzyką i sztandarami, która wśród okrzyków Allah przeszła w całości przez nieszczęśliwych towarzyszy po większej części już jak bez ducha leżących. Zostawiony był do przejścia tak ciasny szpaler, że z jednej strony nóg, z drugiej zaś głów fanatycznych ofiar bezpośrednio dotykał. Zaraz za procesją jechał, na ogromnym gnadym koniu, poprostu mówiąc opasły Turek w zielonym turbanie. Ów oczekiwany święty był człowiekiem mającym może lat czterdzieści, z czarną niewielką brodą, ubrany dość bogato, kiwał się na koniu jak pijany, wyraz twarzy miał śpiący.

Na widok jego powstały krzyki zagłuszające, a między nimi jeden zupełnie nowy, jakby tysiąca gdaczących indyków. Krzyk ten, całkiem odrębnej i dzikiej oryginalności, jest sposobem wyrażenia radości, zapału, entuzjazmu u kobiet, nie tylko w Egipcie ale na całym Wschodzie. Takim krzykiem zagrzewają one do bitwy i towarzyszą walce u Beduinów; z takim krzykiem słyszałem wjeżdżające karawany Koptów do Jerozolimy, takim nareszcie krzykiem wyrażają wszelkie uciechy i udział w zabawach i uroczystościach. Gdyby nie ten krzyk, nie byłbym też wcale spostrzegł obecności kobiet w tej massie ludu, jaką miałem przed sobą. Obejrawszy się dopiero w kierunku z kąd krzyk dochodził, spostrzegłem, że tysiące kobiet razem zebranych, czarnymi woalami na twarzach i w niebieskie chustki udrapowanych, stało nieco na ustroniu.

Tymczasem koń świętego, w piękny rząd przybrany, wstrzymał się nieco przed ową drogą, ułożoną z ciał ludzkich, a ułożoną tak, że nie było sposobu postawić kopyta bez stąpienia na ciało. Był to jakby kobierzec, usłany bez żadnej przerwy. Po krótkim oporze szlachetne zwierze niepewnym krokiem postępować zaczęło, a tentent głuchy i miękki zdało mi się iż dochodził mych uszów. Dwóch ludzi prowadziło konia za cugle i starało się utrzymać tak, aby nie schodził z linii i nietratował, tylko części ciała między krzyżami i kolanami. Każde zboczenie było dla leżących nieboraków bardzo niebezpieczne, a jednakowoż nieobeszło się bez tego, właśnie dla tego, że go prowadzono. Chociaż mi mówiono, że koń bywa do tego spaceru wprawiany, a niebardzo rozumiem jakim sposobem, zda mi się, że derwisze lepiejby na tym wyszli, gdyby się całkiem szlachetnemu instynktowi zwierza, zwłaszcza z rasy arabskiej, powierzyli. Bądź co bądź, chociaż koń był niekuty, cud według mnie się nie udał; skoro bowiem święty, bardzo zresztą do Bachusa podobny, przejechał, ujrzałem na dwóch przedemną leżących, ślady krwi na biodrach i karku; sądzę więc, że pokaleczonych było wielu. U wyznawców islamizmu zfanatyzowanych cud udaje się zawsze, bo jeżeli są uszkodzeni, to dowodzi tylko, że tacy niebyli godni zaszczytu brania w nim udziału. Wstyd jedynie na nich spada i co prędzej odprowadzeni zostają do przygotowanego na ten cel szpitalu. Niemniej przerażający, a może okropniejszy od widoku krwi, był widok tych ludzi, z których jedni sami się porywali i dalej biegli jak szaleni, drugich podejmowano bez zmysłów i odnoszono, niemogąc ich przywrócić do przytomności, inni znów w ciągłych byli konwulsjach, rzucali się i szamotali tocząc pianę i krzycząc głuchym głosem: Allah!

Niemogąc się pozbyć wrażenia nader przykrego, jakie sprawiła na mnie cała ta obrzydliwa ceremonia, postanowiłem odpędzić je innem. Przebrawszy się, siadłem znów na osła i pojechałem do miasta. Przejeżdżając przez Ezbekieh, aby się do głównej dostać ulicy, widziałem wszelakiego rodzaju huśtawki, koła, w których błazny, zwani tutaj Sutari, bawili publiczność przedstawieniem, przypominającym włoskiego pulcinella, a w obkładaniu się wzajemnie kurbaczem najwyższe mającym perypece. Przybiegali do mnie czarnoksiężniki i żonglery, ofiarując za piasra zjeść żywego węża, którego trzymali w ręce. Wszystko do było ogonem uroczystości, równie parszywym, jak ona sama.

Około godziny 8mej zakończyła uroczystość illuminacja. Oświecenie placu, o którym już mówiłem, palów, namiotów, owych lin, które teraz jak girlandy z różnobarwnych lampionów wyglądały, nie było dosyć rześiste, aby całe massy ludności niezdawały się błąkać w ciemnościach. Wszakże to, co się mnie błąkaniem wydawało, było zabawą i to zabawą pełną wesołości, okrzyków, muzyki, skoków, która się bez pijaństwa, bitwy, a co największa bez policji obchodziła. Przez kilka godzin chodziłem wszędzie, gdzie tylko mię wabiły większy hałas i głośniejsze uciechy; nigdzie niespostrzegłem ani guzów, ani jednego pijanego człowieka, ani choćby cienia interwencji lub opieki władzy. Rzecz, przyznaję, szczególna i fenomen nadzwyczajny! przy takim fanatyzmie, taka dobroduszość; przy takim barbarzyństwie, takie uszanowanie praw każdego; przy takim upojeniu, taka wstrzemięźliwość.

Trudno jednak było śledzić charakteru w dalszych i nie tak wydatnych odcieniach; bo owe krzyki dzikie były mi całkiem niezrozumiałe, a zabawy nie miały swego że tak powiem wyrazu. Były one po większej części zagadką: jakieś przebiegające grupy przy odgłosie bębenków i piszczałek, jedne krzyczące, drugie skaczące, radujące się wszystkie, słowem było w tem coś pierwotnego coś przypominającego uczucie, o jakim powiadają wyrazy biblijne: „a radość w Izraelu była wielka“ bez żadnej wzmianki, jakie radości tej towarzyszyły oznaki.

Wyjątek w ogólnej wrzawie czyniły kawiarnie i namioty. W kawiarniach goście pili kawę i palili nargile lub fajki, ze spokojnością nieodstępną tej czynności na Wschodzie. W namiotach, które od kawiarni tem się różniły, że miały jedno tylko wejście i więcej w nich było światła, derwisze odprawiali modlitwy. Byli oni podzieleni na sekty: ale sądzę, że tego niezdolny rozpoznać, chyba muzułmanin, lub Europejczyk doskonale z arabskim obecnym językiem. Namioty wszystkie otwarte i do wszystkich wejście

wolne; wewnątrz krąg złożony ze stojących lub siedzących derwiszów, wykrzykujących pewne wyrazy w pewnym takcie i stosownie do tego albo kiwających samą głową to na przód, to w tył, to w prawo i lewo, albo rzucających się całym ciałem w tym samym kierunku. Całemu kołu przewodził jeden niby leader, zmieniając takt i wyrazy. Takt bywał coraz szybszy, a głosy w końcu jak ryk brzmiały. Gdy upojenie, zawrót głowy, lub konwulsje dochodziły pewnego stopnia, towarzystwo wypoczywało, siadając na rogózkach lub dywanach, rozciągniętych po środku namiotu, piło kawę, a nawet paliło fajki, a inne znów zgromadzenie, jak się zdaje już pokrzepione, wstawało, robiło krąg i zaczynało krzyki i kiwania, wołając najczęściej Ałłah, Iłłah, Iłłah, Hu! za każdym wyrazem rzucając konwulsyjnie głową i tak bez końca.

Przypatrując się długo temu monotonnemu widowisku, które działając jakby kontrastem wprowadza Europejczyka w pewne osłupienie, nie tylko dręczy nieznośnie uczucie obrzydliwości, ale nadto człowiek maca się za pulsa, aby się przekonać, czy istotnie widzi to na jawie; lub też pyta, czy sam nie jest warjatem? Podobno widok ten główną jest zabawą mieszkańców Kairu; wszystkie bowiem namioty były przepełnione widzami i tłumy ich ciągle się przenosiły z jednego do drugiego.

Bezsilny i ogłupiały, jak gdybym sam był derwiszem, udałem się na spoczynek, rozmyślając ze smutkiem, jak kraj, który będąc w łonie kościoła liczył tylu wielkich biskupów, świątłych mężów i posiadał Tebaidę, hołduje dziś ulemom i derwiszom, zabobonom i fanatyzmowi.

M. Mjajlo. Podróż na Wschód, 1852.

57. Piramidy.

Ostatnim celem podróży egipskiej nie siągającej po za Kair, są piramidy; bo trudno pominąć te najstarsze i największe dzieła rąk ludzkich. Stoją one już na kresach pustyni, jakby bramy wiodące do krainy śmierci; były to bowiem grobowce Faraonów, sterczące dumnie nad grobami poddanych. Dawniej jadąc na osiołku można było ugrzeznąć w błocie, zwłaszcza po wylewie Nilu, lecz w r. 1869 grzeczny Chedyw kazał na przyjęcie cesarzowej Eugenji wysypać piękną drogę ocienioną aleami, a nawet u stóp piramid zbudował zgrabny pawilon, który jednak ze strachem i wstydem patrzy na swych olbrzymich sąsiadów, urągających się z modnego karła. Minąwszy wspaniały most na Nilu i piękne

pałace wice króla w Dzesireh i Dziseh, wjechaliśmy na szeroką płaszczyznę, okrytą dojrzewającymi już łanami. Wnet z okolicznych wiosek puściło się za nami kilkunastu szybkonogich Arabów, a chociaż pędziliśmy cwałem, mimo to dotarli razem z nami do piramid i nieokazywali nawet zmęczenia; snadź nadzieja baczyszkuniosła ich na skrzydłach. — Niebawem przybył także Szejk pobliskiej wioski, odbierający w imieniu wicekróla podatek 5 fran-



Piramida Moroe.

ków od wszystkich, którzy chcą dostać się na szczyt piramidy, lub do jej wnętrza, lecz za to ma dostarczyć podróżnym przewodników; odkąd bowiem jakiś Anglik roztrzaskał głowę na głazach piramidy, niewolno drapać się na szczyt bez pomocy Arabów.

A więc jesteśmy u stóp piramid, z których czterdzieści wieków na nas spogląda. Istne to potwory kamienne, przechodzące swym ogromem wszystko, co ręka ludzka dotąd utworzyła i słusznie powiedziano, że cały Watykan z kościołem Św. Piotra, lub cały Eskurial ze swojemi 22 dziedzińcami, klasztorami i pałacami zmieściłyby się we środku, a wieża strasburska niedosięłaby szczytu; wysokość bowiem piramidy pierwszej czyli Cheopsa wynosiła dawniej 480 stóp, dziś do 450, jeden bok na powstawie liczył dawniej 764, teraz 746 stóp, sama zaś powierzchnia podstawy zajmuje niemniej jak 548,000 stóp kwadratowych, czyli przeszło 21 morgów, podczas gdy cała objętość przenosi 90 milionów stóp sześciennych. Najlepsze wyobrażenie o wielkości piramid daje wyrachowanie, że z kamieni zebranych na trzy groby Faraonów możnaby całą Francję otoczyć murem, szerokim na stopę i mającym 10 stóp wysokości; albo z jednej tylko piramidy zbu-

dować 66 tumów kolońskich. Co do początku piramid różne są zdania. Niektórzy uczeni odnoszą je do r. 2300 przed Chryst. i przypisują Faraonom: Cheopsowi (Chufu) i jego bratu Chefrenowi (Chafra). Inni uważają piramidy za dzieło obcych pokoleń, które do Egiptu wtargnęły, a co do ich celu sądzą, że służyły nietylko za grobowce, ale i za miejska schadzek i nauk tajemnych, czyli misterji egipskich i nawet za wały graniczne, mające powstrzymać szerzącą się coraz dalej pustynię. Hebrajskie tradycje nazywają chętnie synów Izraela twórcami piramid i przeznaczają takowe na śpichrze Józefa. Według Plinjusza zbudowanie trzech piramid kosztowało 78 lat i 4 miesiące, według Herodota aż 106 lat i pracę milionów ludzi, bo co ćwierć roku po 100,000 robotników się zmieniało. Będzie w tém coś przesady, tyle atoli jest pewnem że te molochoy kamienne pożarły życie wielu i wielu tysięcy ludzi i przetrwały bardzo wiele późniejszych gmachów. Jest przysłowie w Egipcie: „Wszystko lęka się czasu, a czas lęka się piramid.“

Herodot, podróżujący tu w roku 460 przed Chryst., widział piramidę Cheopsa, pokrytą granitowemi płytami, które zdobiły hieroglificzne obrazy i znaki; lecz później te płyty odpadły, a odkryły się głazy, tworzące jakby 200 potężnych schodów, po których wstępuje się na wierzch. Ponieważ jednak kamienie są zbyt wysokie, bo niektóre mają do 3 stóp, a do tego pochyłość jest nieznaczna, przeto bez obcej pomocy wejście jest prawie niemożliwe. Z wierzchniej płaszczyzny tej największej piramidy co za widok rozległy! ku zachodowi jak daleko okiem sięgniesz, ciągnie się bezbrzeżna pustynia, z której wiatr pędzi tumany piasku; ku północy widać żyzne niwy i rozrzucone wioski; ku wschodowi ciągnie się żółte pasmo Mokattam, mające u swoich stóp wspaniały Kair i szeroką równinę nilową; ku południowi zielona kępa drzew palmowych wskazuje miejsce gdzie leżało sławne Memfis; dalej zaś ukazują się piramidy w Abuzir, Sakkara i Dahszur, wreszcie obok piramida Chefrena i ogromny sfinx, pilnujący grobów egipskich. A w około cisza głęboka; tylko czasem wiatr zahuczy z pustyni, lub jedna piramida szepnie coś do drugiej, — lecz tak cicho, że trudno dosłyszeć.

Wejście do środka piramidy nie jest tak niebezpieczne, ale za to przykrzejsze. — Krużganek idący w górę wiedzie do komnaty króla, mającej 19 stóp wysokości, 34 długości, a 17 szerokości. Sala ta, wyłożona czerwonym granitem, mieści w sobie kamienny sarkofag króla Chufu albo Cheopsa, dziś oskubany przez Arabów, którzy kawałki sprzedają podróżnym. W górze pokazują dwa wązkie otwory, wychodzące po obu bokach piramidy, któremi świeże

powietrze wchodzi do wnętrza, podczas gdy pod spodem kryje się tak zwana studnia, idąca do nieznannej głębi. Powyżej sali królewskiej są cztery izby Davisona i mała izdebka Campbella; poniżej zaś jest komnata królowej, mająca 14 stóp wysokości, 18 długości, a $16\frac{1}{2}$ szerokości. Wejście do tego wnętrza odkrył w roku 820 kalif Mamun i próżno tam szukał skarbów.

Druga piramida, wzniesiona przez króla Chefrana albo Chafra, ma dziś $477\frac{1}{2}$ stóp wysokości, zaś szerokość jej podstawy wynosi $690\frac{3}{4}$ stóp. Część jej najwyższa ma pokrycie z płyt granitowych spojonych cementem, w skutek czego wejście na szczyt jest bardzo trudnem. W środkowej komnacie, którą r. 1816 odkrył Belzoni, znaleziono granitowy sarkofag, zawierający trochę prochu.

Trzecią i najmniejszą piramidę zbudował Mykerinos albo Menkera, trzeci Faraon z czwartej dynastji. Ma ona tylko 203 stóp wysokości, a jej wnętrze, dokąd w r. 1837 przedarł się angielski półkownik Wyse, zawiera dwie komnaty z grobowcami Faraona i żony jego Nikotris. Mumię królewską, którą chewi skarbów Arabowie wyrzucili z trumny na ziemię, przewieziono do muzeum brytańskiego, zaś kamienny jej sarkofag leży na dnie morza, gdzie go wyrzucono podczas burzy. — Wszystkich piramid w Egipcie liczą 67.

U stóp piramid leży, jakby stróż dawnych grobowców, olbrzymi potwór, mający głowę ludzką a kadłub lwa, zwany Sfinxem. Cała ta postać składa się z jednego i niewiele ociosanego kamienia, bo tylko głowę wyrzeźbiono i dorobiono łapy; to też napis mówi, iż bogowie utworzyli ciało sfinxa. Aby poznać, co to jest za ogrom, dość powiedzieć, że w uchu tego kolosalnego posągu człowiek dorosły skryć się może. Ma on być dziełem króla Chafra i przedstawiać bożka słońca Horem Hu, ku czci którego wzniesiony, jak o tem świadczy napis, znalezione we środku. Dawniej twarz, przedstawiająca rysy regularne, była malowana na czerwono, głowa zaś miała ubranie królewskie i tarczę na wierzchu, lecz dziś tarcza znikła, malowidła spelżyły, a twarz uszkodziły wichry i kule Mameluków, strzelających tu do celu, tak, iż jej krakuje lewego oka, górnej wargi, kawałka brody i całego nosa. W środku między piersią i łapami, r. 1860, znany archeolog Mariette odkrył wewnętrzną świątynię z postacią króla Chafra i obrazem Totmesa IV ofiarującego sfinxowi. Lecz wstęp do wnętrza jest niemożliwy, bo piasek, gnany z pustyni, coraz bardziej zasypuje dumającego nad przeszłością olbrzyma, którego Arabowie w swoim poetycznym języku nazywają lwem nocnym.

58. Nil.

Źródłem błogosławieństwa i że tak powiemy życiodawczą żyłą Egiptu jest rzeka Nil. Powstaje ona ze zlewu dwóch wielkich rzek, Białej i Niebieskiej, łączących się obok miasta Khartum pod 15° 29' szerokości północnej. Rzeka Niebieska wytryska w górach Abissyńskich, gdzie jej źródła odkrył angielski podróżnik Bruce. Rzeka Biała ma, według najnowszych odkryć Spekego i Samuela Bakera, swój początek w ogromnym jeziorze Ukerewe czyli Wiktorya Nyanza, leżącym pod samym równikiem. Przepłynąwszy jezioro Mrutan Nzige, czyli Albert Nyanza, toczy ona swe brudne wody przez bagniste płaszczyny, gdzie wśród nieprzebytych gęstw i borów roją się gromady ptactwa, małp, antylop, koni morskich i krokodyłów. Powyżej Khartum przerzyna pustynię Nubijską, tworzy kilka wodospadów, poczem wkroczywszy pod Assuan do Egiptu, poniżej Kairu dzieli się na dwie wielkie odnogi, któremi wpływa do morza. Rzecz dziwna, że ta rzeka, licząca przeszło 845 mil długości, na przestrzeni 350 mil niema żadnych dopływów; zaś im więcej zbliża się do ujścia, tem więcej ubywa. Zkądże więc bierze swe wody, zwłaszcza w czasie ogromnych corocznych wylewów? Jedyne z zasilających jej źródła deszczów zwrotnikowych. Te wylewy peryodyczne Nilu dają życie całej krainie, która inaczej stałaby się bezpłodną i martwą pustynią; bo nie tylko corocznie zwilżają one wypaloną od słońca ziemię, lecz nadto, pokrywając piaszczyste obszary tłustym ilem, uniesionym z gór, czynią je niesłychanie żyznymi. Ztąd dzisiejsi Egipcyanie, w swej obrazowej mowie, nazywają Nil ojcem błogosławieństwa, a dawniejsi oddawali mu część boską pod różnemi godłami.

Po wiosennych deszczach Nil poczyna wzbierać, w Lipcu dochodzi wezbrany do Kairu, a w Sierpniu i Wrześniu przerzynają groble, aby woda zalała pola i napełniła kanały. Do oznaczenia wysokości wody służy nilometr na wyspie Roda, który musi być pokryty do 22 stopni. Inaczej pewna część pól zostaje nieuprawną, albo też przeciwnie, wylew jest zbyt silny i zrządza zniszczenia. Przez dwa lub trzy tygodnie woda pozostaje w swej mierze, a wtenczas w całym kraju jest jakby wielkie święto ludowe, poczem opada i ścieka w kanały i dopiero wtedy następuje siejba. Nadto mają mieszkańcy osobne przyrządy, zwane Sakije i Szudaki, któremi wyciągają wodę z Nilu, aby niemi zwilżyć pola wyżej położone, do których Nil nie sięga, albo też uzyskać przez częstsze nawodnienie drugie i trzecie żniwo. Za pomocą kieratów obraca-

nych przez bydłęta, lub znane u nas zórawie, czerpią naczyniami skórczanemi wodę z łożyska Nilu, albo też z głębszych kanałów, poczem małemi rowami wypuszczają ją na pola. Co więcej, Mehmet Ali zamyslał urządzić poniżej Kairu ogromne zastawy na Nilu, aby niemi wstrzymywać wodę według woli i napełniać nią kanały; lecz ogromne to dzieło, pochłonawszy miliony, nie doszło do skutku. Wreszcie nie można pominąć, że w braku deszczów i źródojów woda nilowa stanowi główny i jedyny, a przytem bardzo miły napój, zwłaszcza gdy się go oczyści z mułu i ochłodzi w dzban-



Wylew Nilu.

kach porowatych, zwanych Gule. Dawniej roznoszono ją w workach skórczanych; dziś w Aleksandrji i Kairze są osobne filtrownie, czyli przyrządy do czyszczenia wody, zkaąd kanałami rozchodzi się po domach. Lecz nie brak i dzisiaj przekupniów wody na ulicach Kairu.

Najnowsze badania Speke, Granta i Bakera okazały, iż deszcze zwrotnikowe, spadające w strefie środkowej prawie przez cały rok, zasilają jeziora Wiktorji i Alberta taką ilością wody, która wystarcza dla Nilu w całym jego biegu po bezwodnych, skwarnych, piaszczystych pustyniach, przez trzydzieści stopni szerokości.

Tak tedy na pierwszy rzut oka może się zdawać, iż odkrycie źródeł Nilu odkryło też wielowiekową tajemnicę jego wielkich corocznych wylewów i że płodność ziemi egipskiej zależy od wód zbierających się od deszczów w pomienionych jeziorach. Ale zbadanie dopływów nilowych z gór Abissyńskich rozkłada cały system tej rzeki na dwie połowy, z których każda ma właściwy udział w dobrodziejstwach, jakimi ta rzeka darzy przebiegany przez siebie kraj.

Jeziora środkowej Afryki darzą Egipt życiem, stwarzając ogromną rzekę, mającą we wszystkich porach roku taką ilość wody, której nie mogą wypić suche powietrze i piaski pustyni. Gdyby jednak ta rzeka nie miała żadnych dopływów, to nie występowałyby ona nigdy ze swoich brzegów, Egipt pozbawiony jej corocznych wylewów, byłby, nie jak jest, krajem najżyźniejszym w świecie, a zaledwo mogącym wyżywić własną ludność, bo uprawa roli ograniczałaby się w nim do samych brzegów rzeki.

Nawodnienie, które przez coroczne składy iltu utworzyło dolinę dolnego Egiptu i od którego zależy cała zżyźność tego kraju, ma początek wcale niezawisły od jezior Afryki środkowej i pochodzi wyłącznie od dopływów, jakie Nil odbiera z gór Abissynji.

Dwie główne rzeki abissyńskie wpadające do Nilu: Niebieska i Atbara, w czasie deszczów w Abissynji od połowy Czerwca do Września, zamieniają się w ogromne potoki, a w pozostałych miesiącach suchych opadają tak, że ledwo ich są ślady. Niebieska bywa tak mialką, iż przestaje być spławną, a Atbara zupełnie wysycha.

Kiedy przeto ustają dopływy z Abissynji, Nil ma wody jedynie z jezior Afryki środkowej; zaś wylewy jego, które pokrywają wodą i nanoszonym przez nią iltm cały dolny Egipt, mają miejsce właśnie w porze deszczów w Abissynji.

I nie samo tylko nawodnienie pochodzi od wezbranych dopływów abissyńskich, lecz i nanosy iltu, które utworzyły deltę nilową i którą coroczne wylewy rozszerzają coraz dalej, są dziełem tychże dopływów, a szczególnie Atbary, zwanej przez Arabów rzeką czarną, przeto iż nanosi z sobą więcej czarnej ziemi, aniżeli wszystkie inne dopływy Nilu, tak, iż jej przeważnie należy przypisać płodność Egiptu.

Można przeto powiedzieć, iż jeziora Afryki środkowej dają Egipcjom życie, a góry Abissynji karmią go.

Według Backera i innych.

59. Abissynija.

Jak niebotyczna warownia wznosi się Abissynija ponad okalające ją spalone płaszczyny. W południowo-wschodniej stronie oddzielona od właściwej Abissynji niewielką stepową przestrzenią, podnosi się rozległa, żyzna i obdarzona najlepszym klimatem kraina górzysta, którą zajmuje państwo abissyńskie Szoa. Wszystkie te ziemie są w posiadaniu niewątpliwych potomków tej prastarej pierwotnej ludności etyopskiej, o której świadczą najdawniejsze pomniki rodzaju ludzkiego.

Powierzchność Abissyńczyka, pomimo często dość ciemnej barwy skóry, daleką jest od pierwowzoru negra. Budowa jego ciała jest dość proporcjonalną i zwykle smukłości właściwej, twarz ściągła, rysy jej delikatne i regularne, nos mały, prosty, niekiedy zgięty, wargi cienkie, kości policzkowe mało wystające, oczy wielkie i ogniste, włosy miękkie i proste, zaplatane i zaczesane jak na dawnych pomnikach egipskich, broda zarasta słabo.

Szoa leży w strefie gorącej i składa się z łańcuchów i grup wysokich gór, a przeto, stosownie do mniej i więcej wzniesionego położenia, ma klimat bardzo rozmaity; na wyniosłych dolinach i płaszczynach w każdej porze roku powietrze jest świeże i rzeźwiące; zimy tam nie bywa wcale. W niskich, zarosłych lasami dolinach, żywność ziemi przechodzi wszelkie wyobrażenie. Wszystkie rodzaje zbóż, kawa i herbata udają się tam doskonale. Wszędzie woniają mirty, dzikie róże, jaśminy i te wszystkie pyszne kwiaty, któremi szczycą się nasze cieplarnie, tam karmione gorącym i przesyconym wilgocią powietrzem, dochodzą zadziwiającego wzrostu. W końcu pory dżdżystej gorąco na nizinach staje się nieznośnym; straszliwe zgniłe gorączki szerzą się po wszystkich tych kwitnących okolicach i nawet ptaki uciekają z tego parnego i zatrutego powietrza.

Krajobraz górski urozmaicają wiejskie zagrody; czyste zdroje wód spadają z szumem po skałach, między którymi idzie droga; urodzajne i okryte bujnym zbożem pola znajdują się w pobliżu stołecznego miasta Ankober. Wyszędłszy z lasu drzew jałowcowych i oliwnych, daje się widzieć, w całej swej właściwej miejscowej krasie, na okrytej zielonością górze rozrzucone miasto. Grupy domów krytych słomą, rozmaitej wielkości i kształtów, jak stodoły i stogi siana, pną się jedne ponad drugimi na nierównych pochyłościach góry od jej podnóża aż do szczytu, na którym wznosi się

zamek Negusa, te jest panująco, ze swojemi wywiedzionemi z gliny kominami.

Większość mieszkańców państwa Szoa przyznaje się do religii chrześcijańskiej, ale pogrążoną jest w najgrubszej nieobyczajności i najśmieszniejszych przesądach. Zachowują oni ściśle wszelkie ceremonije religijne, niepojmując wcale ich znaczenia. Prowadzą częste wojny dla nabierania niewolników i palą wieś dla porywania ludzi, których sprzedają wędrującym kupcom mużułmańskim.

Zwyczajny ubiór stanowi płaszcz bawełniany biały z materji krajowej. Pieniędzy krajowych niema. W obiegu krążą stare austriackie talary srebrne. Za zdawkową monetę służą rozmaitej wielkości chustki bawełniane i sztuki soli.

Każdego przejeżdżającego zaraz uderza powierzchowność kobiet w Szoa. Strzygą one sobie włosy i gołą brwi, a w miejscu tych malują łuki, zachodzące aż na policzki. Damy, starające się podobać, przeprowadzają sobie oprócz tego czerwona linię przez czoło i nos, która często i ładną twarz zupełnie szpeci. Wreszcie nie tylko, jak wszystkie kobiety na Wschodzie, farbują sobie paznokcie u rąk, ale oraz i u nóg, czerwono.

Półkownik Harris był w mieście Ankober na tygodniowym targu, odbywającym się w każdy Wtorek. W środku targowiska pod starą akacją siedział wójt miasta, otoczony pacholkami, którzy wybierali od kupców podatek. Tylko w tym dniu wolno jest w mieście kupować i sprzedawać. Wszyscy przeto spieszyli na targ, dla porobienia zapasów na cały tydzień.

Tam przychodzi wieśniak abisyński, uwinęty w chusty bawełniane, jak pierwowzór egipskiej mumji i z głębokim pokłonem składa wielkorządcy targowemu w daninę postanowioną miarkę ziarna ze swego skórzanego wora, lub masła ze swego dzbana.

Tam przekupień z Hurrur, w turbanie i niebieskiem w kraty pasie, siedzi ze swojemi zagranicznymi towarami, między którymi najwięcej jest szklanych paciorek i tym podobnych świecidełek; prowadzi on handel drobny, bierze w miejscu srebra kawałki soli, a pomimo to miny tak przekupnia jak i kupujących bywają zaognione, jakby tam chodziło o miljony dukatów. Ludzie z Argobbo są mahometanami, lecz nie wiele się odróżniają od chrześcijan z Amhara; dopiero po zdjęciu płaszczów widać u pierwszych na szyji paciorki z jasnych kulek, kiedy drudzy mają w miejscu ich niebieski sznurek. Lecz kobiety odróżniają się zaraz długimi wijąciami się po ramionach splotami włosów, obszernym płaszczem z czerwonej materji i kapturem zawiązanym pod brodą, jak u mniszek. Poobwieszane amuletami i paciorkami, obwieszczają one

swoją wiarę częstym powtarzaniem: „Hamdulillah“, to jest: niech będzie pochwalony Allah! Zaś opaste kobiety z Szoa odpowiadają na wszystko przechodzącym słowami: „Egsia behir meskin“, to jest Dzięki Bogu.

Od bram pałacu byłego Negusa, czyli króla Sahela Selasi, opowiada Harris dalej, ciągnie tłum ciemnoskórych dziewcząt ku rzece. Biedne te stworzenia w łańcuchach, które zaledwo przykrywają ich wysmukłe ciała, mają na karkach wiszące na rzemieniach ciężkie gliniane dzbany. Są to niewolnice i mowa Amhara jest dla nich obcą. Zwoje polnych kwiatów ubierają splecione włosy tych branek, które, dla skrócenia sobie godzin ciężkiej pracy, zawodzą żałośnie pieśni. Za nimi idą kobiety średniego wieku z dworu Negusa, w których umysłach czas zatarł wszelkie wspomnienia o rodzinie i ojczyźnie. Noszą one, jak najpierwsze w kraju niewiasty, odzież przestronną, świetniejącą pręgami purpurowemi, w uszach mają srebrne kolce, a ciężkie cynowe obrączki na rękach i nogach. Ich włosy zaplecione w liczne drobne koski, połyskujące tłuszczem i lica urozównane, zwracają uwagę i najobojętniejszych widzów. Mały dzbanaszek wisi u nich na piersiach na rzemiennej taśmie, będącej oznaką niewoli i stoi nad nimi dozorca z długą cienką laską, niedając im chodzić swobodnie po murawie, a tylko po wąskiej wydeptanej ścieżce.

Wtém wychodzi z zamku skromnie ubrana panienka. To Wulata Georgis zaufana niewolnica królowej, urodzona i wychowana w zamku, gdzie obchodzą się z nią łaskawie, wyjąwszy gdy stłuczenie karafki, lub łakome dorwanie się do zakazanego półmiska ściąga na nią małą karę. Oto jej potrzeba gwałtem pieniędzy i z płaczem ona prosi o jeden talar, by zapłacić za stłuczone zwierciadło królowej, za co niech Pan Bóg wynagrodzi! — Ale z jej oczek widać, że to filut. Niewiadomo czy zbiera ona te pieniądze na odkupienie zrobionej szkody, czy po prostu dla siebie. Wreszcie i w pierwszym razie posiadanie, choć na czas najkrótszy pieniędzy, sprawia jej radość niewymowną i z pokorą pada ona do nóg każdemu, kto jej sunie w wyciągniętą rączkę pożądanego talara.

Harris opisuje obchód wesela księżniczki, na które zaproszono i poselstwo angielskie. Na tronie, ubranym nadzwyczajnie pstro, siedział król, któremu balwierz jeszcze fryzował włosy i przystrajał je w zielone gałązki szparagów. Podwórze było pełne ciekawych i na przodzie jego szykowały się rzędami niewolnice. Szczególniejszego kroju koszule niebieskie i czerwone nadawały im pozór zupełnie dziwacki. Każda niosła na głowie koszyk z wierzby,

z którego zwisały w fantastycznych zwojach wyszywane perłami zasłony. Te starożytne postacie niewieście niosły wiano panny młodej, do którego i same należały. Za niemi na mule przystrojonym w pstre opony, łańcuszki i dzwonki jechała panna młoda w towarzystwie księżniczki Worka Ferri (to jest złoty owoc). Obiedwie damy miały na sobie wielkie jedwabne karmazynowe szale i rodzaj kapturków z siatki srebrzystej, okrywające włosy i ściągające się na czole rąbkami, z którego wisały zasłony i błyszczące kulki, suknie długie karmazynowe i twarze umalowane czerwoną ochrą i z błękitnymi łukami, w miejscu wyrwanych brwi. Za niemi postępowała królewska muzyka i tłum niewolnic, ustrojonych w zielone kurteczki i jadących na mułach. Rozpoczęły się śpiewy i tańce, przy grzmiącym odgłosie bębnów. W końcu pan młody zbliżył się do tronu i złożył hołd królowi, uderzając czołem o ziemię. Nie było kościelnego błogosławieństwa i pani młoda udała się do swego nowego pomieszkania.

Na czele przez wielką bramę, postępowała czereda brudnych kuchtów, niosących na głowach rądle, konwie i inne kuchenne naczynia; za nimi szło sto niewolnic z koszami chleba, faskami miodu, sukniami, pierzynami i innymi rzeczami. Następnie szli grając królewscy fleciści, a za nimi pani młoda „nad wszystkich wywyższona.“ Dwie panny dworskie, trzymające faszki pełne wina, jechały po obu stronach swojej pani. Konne amazonki, uzbrojone w długie białe laski, trzymały pospólstwo w przyzwoitem oddaleniu; wreszcie służba przyboczna i trzystu wybranych kopijników zamykało długi pochód.

Wtedy składano królowi powinszowania z powodu zakończonej szczęśliwie wojennej wyprawy. Monarcha barbarzyński odpowiedział: „Bóg moich ojców dopomógł mi. Położyłem trupem szesnaście tysięcy sześć set moich nieprzyjaciół i zabrałem im trzydzieści siedem tysięcy czterdzieści dwie sztuk bydła.“ Obecni członkowie poselstwa angielskiego przełożyli, że było nieludzkim i niegodnym monarchy chrześcijańskiego takie mordowanie niewinnych i bezbronych starców, niewiast i dzieci. Na to król uśmiechnął się i jakoby nieco ze wstydem rzekł spuściwszy oczy: „Wiem ja dobrze, iż tak postępować się niegodzi; lecz we wszystkich krajach robią tak, jak przyjęty obyczaj każe. Gallasowie wybijają w Amhara wszystkich bez różnicy; i my odpłacamy się im temże.“

60. Sahara.

Największą i najokropniejszą na ziemi pustynią jest Sahara, morze bezwodne, zajmujące cały środek północnej Afryki i obszernością równające się dwóm trzecim częściom Europy. Grunt jest albo nagą skałą, albo okryty grubym żwirem i kamieniami, albo warstwą drobnego piasku. Podróżny widzi przed sobą nieobjęte okiem morze piaszczyste, które przebyć ma nadzieję tylko na swoim wielbłądzie. Dokoła niego ciągnie się mniej i więcej szeroki pas ziemi żyznej, który w większej części oblewa morze rzeczywiste. Tak w stronie północnej, między Saharą i morzem Środonienném, leżą Tripolis, Tunis, Algierja i państwo Maroko, na wschód Egipt, obłany dalej morzem Czerwonem.

Północno wschodnia część Sahary ciągnąca się aż ku dolinie Nilu, nazywa się pustynią Libijską, a część południowo wschodnia pustynią Nubijską. Na płaskiej poziomej powierzchni pierwszej, często po całych dniach nie napotyka się ani ziarna piasku i widać tylko czyste niebo nad głową i stałą opokę pod nogami. Z doliny Nilu idzie się naprzód pod górę, a potem po dzikiej przykrej i niebezpiecznej, nawet dla wielbłądów, drodze znowu z góry; i to przejście jest wstępem do pustyni Libijskiej. Jak daleko sięga oko, niewidać nic prócz skał i piasków i tylko tu i ówdzie w niezmiernej dali rozrzucone grupy palm daktylowych. Jak zielone wyspy, leżą pojedynczo lub grupami ocienione drzewami miejsca, gdzie jest woda, i ku nim jedynie zwracają się tęskne oczy spragnionego wędrowca. Tylko po tych oazach kierują się karawany z Barbarji do Senegalu i do Nigru, oraz z Syrii, Arabji i Egiptu, przez pustynię na zachód. W południowo wschodniej stronie leżą dwie wielkie oazy: Kordofan i Darfur. Pierwsza przedstawia zieloną równinę, którą przebiegają pasma pagórków, jest bardzo żyzną i gęsto zaludnioną. Druga, ważna przez swój handel, zwłaszcza niewolnikami, w porze dżdżystej miewa liczne małe i wielkie źródła, które w czasie następującej suszy znikają. W głównym jej mieście Kobbe, mającem 6000 mieszkańców, niemasz ani jednego domu, niezajętego przez kupców i cudzoziemców. Władcą tej oazy jest sułtan z rodu maurytańsko arabskiego. Corocznie przedsiębiorą tu wielkie wyprawy dla łowu niewolników. Karawany wychodzą ztąd w rozmaite strony z tysiącami wielbłądów i niewolników i następnie, obładowane towarami Wschodu i Zachodu, wracają do swojej ojczyzny.

W pustyni Nubijskiej, gdzie na granicach dolnego Egiptu w IV

wieku po Chr. żyło mnóstwo mnichów i pustelników, podróżny znajduje dotąd wiele zabytków dawnych klasztorów. Na tym oceanie piasków, od wschodu do zachodu rozsianych, jest więcej jak 50 większych i mniejszych oaz. Szczepienie daktylów jest głównem zajęciem mieszkańców, na tych wyspach piaszczystego morza. O czternaście dni drogi od Aleksandrii, w południowo wschodniej stronie od Barki, leży oaza Ammona, niegdyś sławna wyrocznią Jowisza Ammona, państwem kąpieliskiem, świątynią i cienistymi gajami palm i drzew oliwnych. Z pustych skał tej sławnej oazy zstępuje się na dół na zieloną żyzną dolinę Siwah, z głównem miastem tegoż nazwiska. Tam leżą mile obok siebie uprawne niwy i cieniste gaje palm, drzew oliwnych i pomarańczowych. Najpiękniejsze owoce: daktyle granaty, pomarańcze, rajskie figi, oliwy, morele i inne wyborne jagody, których niewydają oazy sąsiednie, tam orzeźwiają mieszkańców i przybyłych cudzoziemców.

W samym środku całej pustyni i północnej Afryki leży, 60 mil długa i 40 mil szeroka, oaza Fezzan. Jest to wielka i głęboka nizina. Główne jej miasto Murzuk, leżące pod 26° szerokości północnej, ma najwyższą średnią temperaturę na całej ziemi. Na zachód ziemia jest pusta i jałowa, na wschód i południe sucha i pokryta solą. Deszcze tu są bardzo rzadkie, ale wiele źródeł daje ziemi płodność; wydaje ona w obfitości zboża, jarzyny ogrodowe i owoce: mianowicie granaty, figi i wyborne wodniste kawony; najważniejszym jednak płodem jej są daktyle, będące głównem pożywieniem ludzi i wielbłądów. Mieszkańcy zajmują się handlem i rozbojem. Tu jest najważniejszy plac handlowy w całej północnej Afryce, punkt pośredni między Wschodem i Zachodem mahometańskim, między Mekką i Kairem z jednej strony, a Sudanem i Marokiem z drugiej strony. Przez cały rok tu nieustają targi; ale największy tłok kupców bywa podczas wielkiego jarmarku, kiedy zbierają się tu przybywające ze wszech stron karawany. W on czas bywają tu kupcy z Sudanu ze swojemi bogactwami: złotym proszkiem, strusimi piórami, kością słoniową i niewolnikami; inni są ze wschodu i zachodu: z Egiptu i krajów barbarzyńskich. Miasto Sebha, otoczone pięknymi lasami palmowemi, rozłożone jest w kształcie amfiteatru i w niem dają się widzieć ludzie wszelakich barw: od jasnoskórych mieszkańców Północy, do ciemnoskórych Mulatów i całkiem czarnych mieszkańców Murzuku. Fezzan jest ostatnią wielką oazą, na której jeszcze daje się widzieć płodność tutejszej przyrody i afrykański zwrotnikowy świat roślinny i zwierzęcy przedstawia się jeszcze w całej swej okazałości.

Po za oazami wśród pustyni, znajdują się tylko małe suche i niedołęzne krzewy, tu i ówdzie różne osty i ziołka pachnące; w niektórych bezpiecznych miejscach, rosną cierniste mimozy, z których kory ciecze sytna guma. Takim twardem pożywieniem z ostów i cierniów musi zadowalniać się wielbłąd, przeznaczony od przyrody na okręt w tej pustyni. Oprócz niego wewnątrz pustyni



Oaza w pustyni.

napotykają się tylko bystronogie antylopy i strusie. Na krajach pustyni, gdzie źródła wody zapładniają ziemię, znajdują się dziki i słonie, a gdzie tych niema, ukazują się lwy i pantery. Ptaki dają się widzieć tylko do pewnych odległości od miejsc zamieszkałych; najdalej w pustyni znajdują się sępy, sokoły i kruki, po miastach wróble, a po gajach palmowych dzikie gołębie. Kwiaty są tu rzadkie, a przeto niewiele znajduje się i rodzajów owadów; nawet much tu niema, ale za to wiele jest mrówek, szarańczy i skorpionów. Wreszcie na oazach i dokoła nich znajdują

się dzikie koty, hyeny, szakale, lisy, bawoły, jeże, myszy i szczury. Konie, woły, owce, kozy i psy są rzadkie i drogie. Mieszkańcy pustyni Maurowie składają hordy dzikie, koczownicze i zbójckie.

Dr. R. Binder.

61. Maroko.

Mogreb, czyli państwo najodleglejsze Zachodu, (tak bowiem Maurowie nazywają swój kraj) zajmuje w Afryce taki prawie obszar jaki Hiszpanja w Europie. Umieszczone pomiędzy małym morzem (Śródziemnem) i morzem bez brzegów (oceanem), przecięte jest od wschodu na zachód długim pasmem gór, których śnieżne szczyty sięgają po za granice widoku w obłoki. Jest to Atlas, potężny Atlas, ów znany poetycznym Grekom król ziemi, na której pasły się nieprzeliczone trzody, na której rosły drzewa z liśćmi złotem świecącemi, ze złotemi gałęziami i złotym owocem, król państwa obronnego wysokim murem i strzeżonego przez okropnego smoka. Skamieniały w pośrodku swojego państwa olbrzymi starzec dźwiga na swych barkach kopułę niebieską, a w łonie swem kryje nieprzebane bogactwa.

Smoka z ognistym ogonem znajdujemy na południu, na pograniczu Sahary. To ów okropny wiatr Sim u hu, który wznosi, skupia, porywa z sobą na odległość kilku mil w morze, pałające ogniem piaski pustyni. Tam na ziemi bezpłodnej żyją hordy barbarzyńców, niechące podlegać nikomu i żywiące się łupami zdobytymi na karawanach.

Na brzegach północno wschodnich państwa Marokańskiego, wznoszą się niebotyczne ostrokończaste skały. To prowincja zwana Rif, której mieszkańcy, również barbarzyńcy jak Beduini w Saharze, trudnią się łowami na lądzie, a rozbojem na morzu, i jak tamci niechęcą ulegać cesarzowi Maroko. Pustynie Angadu i Mulaja przegradzają prowincję Rif od Algerji; od zachodu Rif przytyka do prowincji El Garb, wystającej jak ogromny głaz z Afryki i scieśniającej morze Śródziemne przy jego ujściu do oceanu.

Od przylądka Spartel rozpoczyna się długa linja brzegów oceanu i na tejtto widzimy porty kupieckie dość znakomite, znane pod nazwiskiem Larasz, Rabath, Mazagran, Mogador. Inne miasta jak Sale, Amazor, Safi, Santa Cruz, leżą po największej części w ruinach. Na tym brzegu znajdują się całe miasta, niegdyś sławne zamożnością, zaś dziś przeistoczone w zupełne ruiny, w zwaliska bez żadnej ludności. Wielka zaraza, w roku 1799, wyludniła

wiele miejsc do szczytu i zadała ostatni cios nieszczęsnej krainie od wielu, wielu wieków chylącej się ku upadkowi.

Liczne i bystre strumienie spadają ze szczytów Atlasu; lecz zatkane przy ujściu do morza ławami piasku, którym niedbalstwo Maurów dało się skupić, potoki te i rzeki nie są spławnymi dla większych statków. Gdy śniegi topnieją na Atlasie i gdy padają deszcze, ta sama przyczyna, która robi rzeki niezdatnymi do spławu, staje się powodem strasznych powodzi. Wody, niemogąc wylać się swobodnie do morza, rozpościerają się na prawo i na lewo w ogromne bagniska, które potem zarażają powietrze niezdrawemi wyziewami i sprowadzają niezliczone choroby. W wielu miejscach wymarła z tej przyczyny cała ludność, wiele miast zginęło w bagnach.

A jednak ten kraj, opasany z czterech stron morzem, piaskami, górami i pustynią, zawiera jeszcze tysiące mil kwadratowych, pokrytych najpyszniejszymi ogrodami starego Atlasu. Poprzecinana dolinami, płaszczynami i tarasem, którego rozmaite i różnostronne pochyłości sprzyjają bujności roślin, od zboża aż do owoców zwrotnikowych, ta ziemia obiecana pokrywa się czarującą roślinnością, w wielu miejscach do roku trzy daje żniwa i to bez innej zaprawy, jak tej, którą pozostawiają stada pasącego się bydła, lub popioły spalonej słomy.

Jackson, który szesnaście lat bawił w różnych prowincjach Maroku, daje zastanawiający przykład siły roślinnej w tym kraju. „Podróżowałem w prowincji zwanej Suza, pomiędzy plantacjami oliwnymi. W blizkości miasta Messa znajduje się jedna z tych plantacji nadzwyczajnie obszerna. Drzewa jej są pyszne i wysokie jak u nas klony, (mówi Jackson Anglik) ale nie w szeregach ustawione, a rozsiane w nieporządku, co mnie zastanowiło, inne bowiem plantacje rosły w bardzo regularnych szkach. Pytałem się o przyczynę tej nieregularności i dowiedziałem się, że jeden z cesarzewiczów obozował kiedyś w tem miejscu z całym swym wojskiem, w pochodzie ku Sudanowi. Żerdzie, służące do przymocowania koni, były ścięte z drzew oliwnych, rosnących w blizkości i wbite w ziemię, w której pozostały po opuszczeniu obozu. Potem te żerdzie przyjęły się i wybujały w ogromny las. Przypatrzwszy się zblizka, dodaje Jackson, nagięciu drzew i porządkowi w którym były ustawione, rozpoznałem z dokładnością, że w ten sposób zwykła obóz rozstawiać kawalerja.“

Ta żyzna prowincja Suzy, która niegdyś stanowiła osobne państwo, dziś jeszcze jest najpiękniejszym brylantem w koronie cesarza Maroko. Drzewa oliwne, migdałowe, daktyle, pomarańcze

i wino, trzcina cukrowa, najpiękniejsze indygo, udają się tutaj bez żadnej trudności, bez żadnej prawie pieczołowitości ze strony rolników. A okolice miasta głównego Tarodan, to istny raj: kwiaty współubiegają się tu o świetność kolorów z ptakami, węże są piękne a niejadowite, a mały i grzeczne i smaczne. To kraj obiecany.

I klimat cudnie jest przyjemny. Tylko w początkach Września Simuchu tu świszczy i wyje czasem tylko przez dni trzy, ale czasem także i przez dni dwadzieścia. Wreszcie tylko w południowych częściach tej krainy, czuć się daje cała srogość tego nieznosnego wiatru, który zawsze poprzedza owe deszcze zwane ljali, padające najczęściej przez dni czterdzieści. I w części najmniej żyznej udają się jeszcze wybornie pszenica turecka, proso, bawełna, indygo, ryż, szafran i konopie; a gummy, miodu, sezamów, soli, saletry jest podostatkiem.

Prowincja Haha posiada całe lasy arganu: drzewa, którego pestki zawierają wyśmienitą oliwę, nadzwyczajnie zdrową i palącą się dwa razy dłużej, jak oliwa z oliwek zwyczajnych. Tam także rośnie arar: owo piękne i trwale drzewo, którego nigdy nie czepia się żaden robak.

Cedry, drzewo, korkowe, dęby i akacja świętojańska, orzech i oliwki, figi, daktyle i pomarańcze, granaty i kasztany, magnolje, akacje, bzy, geranje, kaktusy i aloesy, wszystkiego ogromne, zastanawiające mnóstwo; a zwierzyny i pięknego bydła, owiec szczególnie, wielkie nieprzeliczone chmary.

Jednakże, dodaje pan Jackson, wszystko chyli się ku widocznemu upadkowi w tym kraju żyznym, a ubogim. Nikt tu nie jest pewnym swego; gdzie dostatek, tam niezadługo może być nędza, kalectwo i śmierć nawet. Tylko nędzarz żyje tu bez trwogi stracenia owocu swej pracy; ale go głód zabija, pomimo całego miłosierdzia Maurów, Arabów i Beduinów. Cesarze maurytańscy zakazują wywozu zboża i na przekor axyomatowi politycznemu, który głosi że taniość zboża jest błogosławieństwem, w Maroko im tańsze zboże tem lud biedniejszy. Tak jest na nieszczęście na tej ziemi, że człowiek gdy, go nadzieja zysku nie pobudza, z mniejszą daleko pracuje gorliwością; człowiek zaś niepracujący szkodliwym jest dla ziemi ciężarem i pod pozorną nieruchomością i próżniacką spokojnością często pała zawiścią, dumą i podstępem.

Rząd marokański daleko jest arbitralniejszym od tureckiego. Sułtan dzierży w swoim ręku życie, własność a nawet i sumienie poddanych. Jako potomek Mahometa jest on władcą wszystkich prawowiernych. Żadna rada, żaden dywan nie tamuje jego naj-

wyższej władzy. On jest najwyższym sędzią, nieomylnym tłumaczem Koranu i jedynym wykonawcą prawa, z jego własnej woli wynikającego.

Trudno widzieć coś równie pstrego i kolorem twarzy i ubrania, jak jest ludność państwa marokańskiego. Składa się ona istotnie z różnorodnych, częścią nawet nieprzyjaznych sobie żywiołów; jako to: z Maurów, Arabów, Berberów, Kabylów, Żydów i Negrów.

Maurowie stanowią największą i najoświecieńszą część ludności; mieszkają prawie wyłącznie w miastach, piastują wszystkie wyższe urzędy i panują nad krajem. Oni jedynie wchodzą w styczność z Europejczykami.

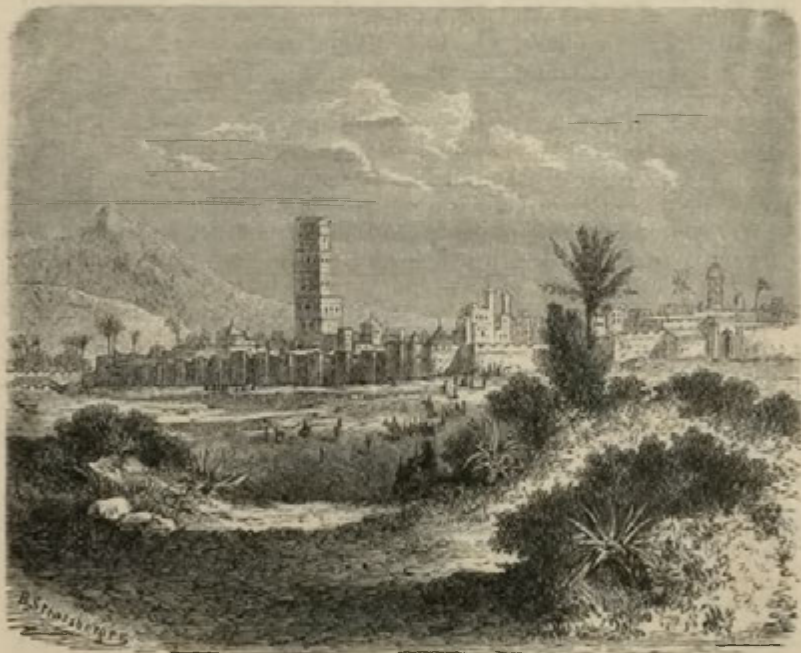
Arabowie mieszkają częścią w namiotach, częścią po wsiach. Mieszkańcy namiotów są narodem koczującym, przebywają na rozległych płaszczynach wnętrza kraju i mało zależą od swego sułtana, którego uznają tylko dla formy. Opuszczając jedno miejsce już spasione, dla drugiego obfitszego w pastwiska, opłacają się sułtanowi, lub jego paszy; wszystka bowiem ziemia należy do panującego.

Najdziksze m plemiem są Berbery. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, są oni potomkami pierwotnych mieszkańców kraju, Numidyjczyków. Największa część żyje w górach i lasach i zajmuje się więcej łowami, rybołówstwem i rozbojem, jak rolnictwem; tych Maurowie i Arabowie nazywają Kabylami, czyli Kabajlami i nie cierpią jak czartów. Szczep ten choć tak starożytny ale dziki, słabe ma wyobrażenie o bóstwie i nie obserwuje, prócz kilku zabobonnych form, żadnego stałego wyznania religijnego. Inni Berberowie, trudniący się hodowaniem bydła, mniej dzikiego są usposobienia i cokolwiek więcej mają oświaty i sumienia; nazywają ich tutaj Amazirgami.

Żydzi mieszkają, jak wszędzie, po miastach i oddają się łatwiejszym rzemiosłom i tak zwanemu handlowi, to jest szacherce. Czynniejszymi są i przemysłniejszymi jak Maurowie i dla tego stają się niezbędnie potrzebni w tym kraju, choć ich każdy nienawidzi i choć wszyscy, nawet Murzyni, nimi gardzą.

Murzyni są po większej części niewolnikami, używanymi za ogrodników i do straży haremu. Wielką ich część cesarz zakupuje do swej przybocznej gwardji, tak świetnej, pysznie uzbrojonej i ubranej, jak trudno widzieć coś podobnego. Jest jej 6000. Jest także wielu Murzynów wolnych i trudniących się rzemiosłami i handlem; są to w ogólności ludzie bardzo rzetelni, zgodni i zrzędni.

Stołeczne miasto Maroko bardzo rozległe, niegdyś w XII wieku posiadające do 700,000 ludności, dziś zachowało jej część ledwo dwunastą. Założonem zostało r. 1050, jak mówią, na miejscu rzymskiego Bocanum Hemerum. Całe jest otoczone murem na 32 stóp wysokim, w okręgu długim na $2\frac{5}{7}$ mil geogr. Na odległość pół strzału z ręcznej broni, to jest 150 kroków, znajdują się



Maroko.

w tym murze wieżyczki, na większych zaś przestrzeniach wysokie i potężne baszty, uzbrojone działami. Ulice są bezludne, domów bardzo wiele leży w gruzach, place publiczne ogołoczone i puste; ale wszystkie meczety, a jest ich do 80, w dobrym jeszcze znajdują się stanie. Kilka z nich jest bardzo pięknych; zaś meczet główny, zwany El Colubia, wzniesiony w wieku XII, jest okazałym, pięknej, Alhambry przypominającej, struktury i w szczególach prawdziwie ozdobny, uroczy, a nawet wyszukano wykwintny.

Główny bazar i karawanseraj miasta, zwany tutaj Kajsarin, może pomieścić do 10000 ludzi i 5000 bydła. Tu się zbierają karawany, rozchodzące się w najodleglejsze strony: do Mekinezu, Tangeru, Suzy, Tafiletu, Mogadoru, a nawet owe wielkie karawany, które dwa razy na rok idą do Tombuktu, miasta niedawno znanego światu, otoczonego dotychczas całym urokiem złotej tajemniczości.

Do właściwego miasta nie weszliśmy wcale, tylko do osobnego, na wschód od Maroku leżącego grodu, otoczonego jeszcze wyższym jak miasto, a na obwód 1¹/₂ mili długim murem. To sławny ów zamek i seraj sułtanów marokańskich, z ogrodami, w których uroki przyrody walczą z pięknosciami sztuki. Te ogrody przebiega rzeka Tenesift i zasila swojemi wodami głębokie jeziora, kanały, fontanny i wodociągi. Gmachy główne są wzniesione z ogromnych głazów granitowych; pomniejszych gmachów, koszar i officyn, przeznaczonych dla dworzan, jest daleko więcej aniżeli w Wersalu; a domków osobnych, o jednym piętrze, rozsiansych po parkach i ogrodach, jest przynajmniej ze dwieście pięćdziesiąt.

Ten niezmierny ogród, w którym nie braknie ani gmachów, ani placów, ani dziedzińców, zamieszkuje często sam cesarz.

Wspomnienia z podróży Dra Tripplina 1852.

62. Ofiary ludzkie w Dahome.

W mieście stołecznem Abome znajduje się grób królewski w wielkiej jaskini. W pośrodku jej dla zmarłego monarchy wznosi się nie wysokie rusztowanie, otoczone żelaznemi poręczami i na niem stawi się trumna. Robi się ona z gliny, rozczynionej krwią stu zabitych jeńców wojennych, którzy mają na tamtym świecie składać straż honorową zmarłego. W trumnie głowa spoczywa na czaszkach zwyciężonych królów i wodzów i do koła rusztowania kładą mnóstwo innych czaszek.

Po tém wystawieniu ciała, otwierają się drzwi grobowego sklepu i zstępuje do niego osiem nadwornych tanecznic i pięćdziesiąt wojowników. Daje się im żywność na kilka dni i zlecenie iść za swoim panem do królestwa cieniów, to jest zostają oni żywcem pogrzebani. Można mieć pojęcie, jak silnym jest obłęd tego ludu, z tego, iż zawsze się znajduje dość ochotników, ubiegających się o zaszczyt takiego pogrzebania. Trzy dni grób pozostaje otwartym; po czém najpierwszy minister państwa nakrywa trumnę czarnym całunem, rozdziela pomiędzy dostojników dworu



<http://rcin.org.pl>
Ofiary ludzkie w Dahome.

i tanecznicze szaty i ozdoby, które następca tronu składa w darze pamięci zmarłego i grób się zamyka.

Przez 18 miesięcy nowy monarcha sprawuje władzę jako regent w imieniu zmarłego króla, mając obok siebie dwóch ministrów. Po upływie tego czasu zwołuje się do pałacu wielkie zebranie i odbywa się wielka processja do królewskiego grobu; otwierają trumnę i wyjmują czaszkę zmarłego. Regent bierze ją w lewą rękę, a w prawej trzyma mały toporek; poczem ogłasza publicznie że król umarł i on w miejscu jego obejmuje rządy. Wtedy wszystek lud upada na twarz i posypuje głowy prochem. Ale te oznaki żalu trwają nie długo; król kładzie czaszkę i toporek na stronę, dobywa szabli i oznajmia, że on jest panem i władcą. Na to wszyscy podnoszą okrzyki radości i rozpoczynają się śpiewy i tańce przy odgłosie straszliwej muzyki.

Przyjętem jest, iż przy tej okoliczności wszystkie możne w kraju osoby i Europejczycy, posiadający tam faktorje, składają dworowi podarki. Uroczystość ta wstąpienia na tron ma nazwę „wielkiego zwyczaj“ dla odróżnienia od innych dorocznych uroczystości. Wtedy zabijają ogromne mnóstwo ludzi, którzy wszyscy mają nieść zmarłemu królowi na tamten świat wiadomość, że jego następca objął po nim rządy. Krew zamordowanych ofiar zbiera się i rozczynia się w niej glina, której wyrabia się szczególniejszego kształtu naczynie; w te kładą czaszkę i kości zmarłego monarchy i potem je zamykają. W naznaczony dzień nowy monarcha staje przed tą urną i składa jej cześć, lejąc w nią przez zrobione na to otwory wódkę, rzuca też w nią Kauri, to jest muszle używane za monety; albowiem zmarły i na tamtym świecie potrzebuje pieniędzy na swoje wydatki i byłoby hańbą dla jego następcy, gdyby na to musiał on zaciągać długi.

Wszystkie pomienione zwyczaje zachowane były jeszcze w r. 1860. Wprawdzie wytworzyły się w arystokracji dahomejskiej dwa stronnictwa, z których jedno obstawało silnie za ścisłym przestrzeganiem dawnych krwawych zwyczajów, kiedy drugie było za niejakiem ich złagodzeniem nadal; ale pierwsze wzięło przewagę. Dawny obyczaj pozostał tedy w swojej mocy, i gdy król Bahadu oznajmił swoje panowanie, lała się krew potokami, jak w czasach przeszłych.

Wreszcie nie sama tylko pomieniona uroczystość obchodzoną bywa przez zabijanie ludzi; zaślepienie i fanatyzm domagają się w tym kraju prawie z każdym dniem nowych ofiar. Jeden misyonarz protestancki opowiada co następuje.

11 Lipca 1860 przozono mię przyjechać do Abome. W drodze

napotkałem człowieka, niesionego na rozpiętej macie pod ogromnym parasolem; miał on na sobie ubiór majtka i przeprowadzał go orszak liczny. Dowiedziałem się, że miano go wrzucić do morza, a z nim oraz dwóch strażników portowych. Za cóż? Oto by służyli zmarłemu królowi, kiedy przyjdzie mu ochota kąpać się w morzu.

W Kanna spotkaliśmy nowego króla, który prosił nas stawić się przed nim na dzień 16 Lipca w jego stolicy. Gdyśmy tam przybyli, prosił on nas siedzieć; poczem stawiono przed nim człowieka ze związanymi rękoma i zakneblowaną gębą; był to posłaniec, którego król wyprawiał na tamten świat z pozdrowieniem do swego ojca. Zarazże w naszych oczach zaprowadzono go na grób zmarłego monarchy i tam zamordowano.

Wkrótce potem, także w naszej obecności, przyprowadzono królowi czterech innych ludzi, a z nimi jelenia, małpę i ptaka i wszystkim pouciano łby, z wyjątkiem tylko ptaka. Otrzymali oni zlecenie oznajmić zmarłemu monarsze w królestwie cieniów, iż jego syn zarządził na ziemi wielką uroczystość, dla uczczenia pamięci swego ojca. W szczególności zaś, jeden człowiek miał oznajmić o tem wszystkim duchom, nawiedzającym targi krajowe, drugi miał powiedzieć o tem wszystkim istotom, przebywającym w wodach, trzeci duchom, jeżdżącym po wielkich drogach czwartemu zaś kazano zapowiedzieć to w ogólności wszystkim mieszkańcom niebieskich przestworów; jelen miał oznajmić to zwierzętom leśnym, małpa, zwierzętom swojego rodzaju na drzewach, a ptak, mieszkańcom powietrza. Temu jednemu niewiadomo dla czego dozwolono dopełnić swojego poselstwa przy życiu.

17 Lipca król rozkazał przy odgłosie bębnow zapowiedzieć ludowi, że w rychle odbywać się będzie wielka uroczystość. Bawiący w Abome Europejczycy radzi było oddalić się, by nie patrzeć na okropne widowisko; ale król nie puścił ich. Uroczystość rozpoczęła się 22 Lipca 1860. Ledwo dzień zaświtał, zamordowano w pałacu przeszło 100 mężczyzn i tyleż kobiet; poczem wyszedł król i obecni wojownicy i amazonki powitali go wystrzałami z ręcznej broni; następnie składało władcy pozdrowienie 90 oficerów i 120 książąt i księżniczek, z których każdy i każda ofiarowali mu od 2 do 4 niewolników, mających być zabitymi na cześć zmarłego. Niektórzy z osadników portugalskich ofiarowali też królowi 20 ludzi na zabicie, a prócz tych jeszcze pewną ilość wołów, owiec, kóz, ptactwa, kauri, srebra i rumu. Inni Europejczycy nie chcieli czynić nic podobnego.

1 Sierpnia, gdy król był obecnym przy uroczystości żałobnej,

pochowano 60 ludzi, 50 owiec, tyleż kóz i 40 kogutów i wrzucono do grobu królewskiego wielką ilość kauri. — Potem gdy król obchodził w koło swojego pałacu, strzelano ciągle z ręcznej broni; a gdy skończył swojej obchód, zabito jeszcze 50 niewolników. Wreszcie pan się ułaskawił i 10 pozostałych udarował życiem. Na drugi dzień kazał on rzucić pospolstwu kauri i materję bawełnianie i rad patrzył, jak ludzie rzucali się na nie, wydzielali je sobie i bili się o nie.

Całe 3 tygodnie trwały już te straszne uroczystości, a jeszcze nie mogliśmy uzyskać pozwolenia na odjazd. Wreszcie mnie pozwolono udać się do Whydah; ale musiałem przyrzec, że na 12 Października będę z powrotem w Abome. Dotrzymałem słowa, stałem się na dzień oznaczony i zaraz byłem proszony do króla. Przed bramą pałacową naliczyliśmy wtedy 90 głów ludzkich, świeżo uciętych tegoż ranka. Krew jeszcze lała się obficie. Bahadu pokazywał nam podarki, jakie zamierzał posłać swemu zmarłemu ojcu: dwa wozy, trzy misy, dwa dzbany herbaty, puszkę cukru i garnek masła. Wszystkie te naczynia były ze srebra i złożone na przepysznej poduszce na małym wózku, ciągnionym przez 6 amazonek. Następnie dodano jeszcze do tego trzy jedwabne wiszące maty z zasłonami i niektóre inne rzeczy.

We trzy dni potem znowu byliśmy wezwani do pałacu, by obaczyć znowu 60 świeżo uciętych głów ludzkich, zawieszonych po obu stronach bramy, a po upływie nowych trzech dni przybyło jeszcze 36 nowych ofiar.

Na wielkim rynku miasta wystawiono cztery wielkie rusztowania, z których król kazał rzucić pospolstwu muszle; i tamże zamordowano 60 ludzi. Patrząc na takie okropności rozchorowałem się i rad byłem temu, bo wypuszczono mię nareszcie z tego miasta, w którym jeszcze mordy nie ustały.

Globus.

63. Kafrowie Zulu.

Pocziwy to naród Kafrów Zulu. Przez całą drogę, jaką odbyłem między nimi, nie zginęło mi nic i z najdrobniejszych rzeczy, pomimo że gdyby chcieli tylko, mieli zawsze najlepszą sposobność do kradzieży. Są oni towarzyscy, rozmowni i gościnni. Każdy, kto przybędzie, proszonym jest do stołu. Przedmiotem rozmowy są wypadki dnia, mianowicie szczęśliwego polowania. Wieczorami przy pałającym ognisku, gadają o tém nieraz aż do późnej nocy.

Opowiadaniu towarzyszy minika tak żywa i wyrazista, że i bez znajomości języka można się domyślać rzeczy i śledzić za opowiadaniem. Ludzie ci w stanie są długo i statecznie znosić głód; ale kiedy potem upolują moc zwierzyny, zjadają jej od razu tyle, że Europejczycy to wydaje się niepodobieństwem. W łowach są niezmordowani i wytrzymałość ich na wszelkie przy tem trudy jest nie do pojęcia. Kiedy podejmą się przenieść z jednego miejsca na drugie choćby i największy ciężar, nie ustają nigdy w pracy przed dokonaniem dzieła. Ulubioną ich bronią jest pika, zwana Assagai. Każdy wychodząc sam jeden ma zawsze z sobą pięć lub sześć takich lekkich oszczepów i do używania ich wprawia się od dzieciństwa. Broń ta utrzymuje się w czystości i jej ostrze musi zawsze błyszczeć. Uprawą roli zajmują się kobiety, których system muszkularny, w skutek takiej ciężkiej pracy, jest niezwykle rozwiniętym. Prawa u nich były dawniej bardzo surowe; złodziejstwo i przestępstwa przeciw obyczajom karane były śmiercią. Kto chce się żenić, musi na to otrzymać pozwolenie od swego królika, którego wszystkie w kraju dziewczęta są własnością i który wynagradza niemi każdego według stanu i zasługi. Człowiek, mający jakiegokolwiek znaczenie bierze zwykle 5 lub 6 żon. Mężczyzna żonaty nosi na głowie, według krajowego zwyczaju, obręcz z gumy wplecioną w wełniste włosy i która zawsze musi być utrzymywana czysto, co zadaje niemało pracy miejscowym fryzjerom. Znaczniejsi Zulu, tak jak i Chińczycy, zapuszczają bardzo długie paznokcie na małych palcach obu rąk. Wszyscy mężczyźni, jakiegokolwiek stanu, namiętnie zażywają bardzo mocną tabakę, wyrabianą z tytoniu krajowego.

Mieszkania utrzymywane są bardzo czysto. Chata dość przestronna, kształtem podobna do pszczelnika, ma podłogę z czarnej twardo ubitej gliny. W środku jest owalne zagłębienie na ogień, który wypada rozpałać niekiedy i dla ogrzania chaty w chłodne dnie, a zwłaszcza nocą. Dla siedzenia do koła niego rozścielają pięknie plecione maty, które zwinięte wiszą na ścianach. Resztę sprzętów składają broń, mianowicie piki, fiasze z wydrążonych tykw i stołki, wyrobione starannie z czarnego drzewa. Wszystko to ustawione jest porządnie pod ścianami chaty, która, zabezpieczona należycie od wiatrów i niepogody, jest bardzo miłym schronieniem, zwłaszcza w czasie upałów nieznośnych o południu. Gdy gospodarz zaczyna z gośćmi rozmowę, podają wszystkim tabakę i napój w rodzaju piwa, sporządzony z krajowego prosa, zwanego kaffir. Piją go z wielkiej tykwy, idącej z rąk do rąk. Trunek ten ma smak kwaskowaty i upaja. Wejście do chaty jest tak niskiem,

że można tylko wleźć do niej na czworakach. Takie chaty w pewnej odległości od siebie, stoją do koła, będącego w środku ogrodzenia, do którego na noc zapędzają bydło; zaś całą taką osadę, zwaną Kraal, otacza zewnątrz mocne ogrodzenie z palów przeplatanych gałęziami, a to dla zabezpieczenia od lwów i lampartów. Każdej prawie nocy hyeny podstępują aż pod sam kraal i dają znać o sobie straszliwym rykiem.

Budową chat zajmują się mężczyźni, oprócz tego polowaniem i więcej niczem. Jedzą najwięcej mięso ze zwierzyny; mleko od krów przeznaczone jest głównie dla kobiet i dzieci. Na polach, bardzo żyznych, sieją kukurudzę, pewny rodzaj prosa, zwany kaffir, i harbuzy. W ogrodach założonych i utrzymywanych przez niektórych osiadłych tam Europejczyków, doskonale rodzą się wszystkie kuchenne warzywa, cytryny, pomarańcze, figi, migdały, ananasy, banany i inne owoce.

Kafrowie Zulu mają siebie za najdzielniejszych wojowników w całej południowo wschodniej Afryce i takimi są niewątpliwie; mają jednakże zbawienną obawę broni ognistej europejskiej, zwłaszcza przypatrzwszy się jej działaniu w wojnach osadników angielskich ze swoimi czarnymi sąsiadami. Wyobrażenia religijne tego narodu są bardzo ciemne; wierzą oni w życie po śmierci, mające być gdzieś głęboko pod ziemią. Umarłych grzebią w postaci siedzącej. Oprócz tego wszyscy wierzą w czary i w złych duchów, od których zabezpieczają się przez talizmany. Ale nie masz u nich i śladu jakiegokolwiek pojęcia o czci Boga, lub ofiarze. W obec śmierci zachowują na pozór zupełną spokojność. — Okazują też wielką zdolność do muzyki, jeżeli zasadne są spostrzeżenia tego przez kilku podających o tem wiadomość podróżnych.

Globus.

64. Eskimosy w Grenlandji.

Tuziemcy Grenlandji należą do plemienia Eskimosów. Ich skład ciała, mowa i sposób życia okazują, że należą oni do tego wielkiego szczepu polarnego, który zamieszkuje całą głęboką Północ, tak brzegi morza, jak i wnętrza lądów w pośród śniegów i lodów tak daleko, jak sięga morski pies. Eskimosy grenlandzcy nazywają sami siebie Inuit, to jest ludzie, albo istoty ludzkie; postaci są małej, krępej, często grubej, twarz mają szeroką i płaską, oczy pozbawione wszelkiego wyrazu, nos mały, wargi

spodnie grube i włosy czarne, grube, spadające na ich ogorzałe oblicza. Skóra ich jest więcej jasną, niż ciemną, ale bardzo brudną od nieochędźstwa i wydaje woń tłuszczu, nader wstrętną i nieznośną dla Europejczyka. W stronach południowych napoty-



Wnętrze chaty Eskimosów.

kają postacie bardziej wysmukłe i twarze ładniejsze i wyrazistsze. Grenlandczyk jest zwykle leniwym, ciężkim i w ogóle obojętnym na wszystko, co do koła niego dzieje się, lecz oraz pospolicie dobrej myśli i wesołym. Rzadko on przychodzi do kłótni, a nawet do sprzeczki, a zaledwo do gwałtowniejszej niż zwykle mowy; nie ma on stałych zdań, troszczy się jedynie o to, co najbliższej go

dotyczy i co mu jest niezbędnie potrzebnem i kiedy tylko może śpi po całych dniach i nocach. Przytem wszystkiem Eskimosy wielce są zarozumiali: w przekonaniu ich żaden naród nie może z nimi się równać. Chcąc pochwalić jakiego cudzoziemca mówią oni: „Jest on dobrze wychowanym tak jak my“ albo: „Zdaje się on być Innuitem“. Gwałty i przestępstwa wydarzają się u nich bardzo rzadko. Kto zawini przeciwko drugiemu bywa publicznie wyszydzonym; Grenlandzcy bowiem mają silną skłonność do satyry i język bardzo ostry. Missyonarz Egede w początkach wycierpiał od nich nie mało; przyrównywali oni jego długi nos do rogu jelenia, a gdy on im opowiadał o życiu i mecie Chrystusa Pana, robili oni uwagi: „Gdyby on był przyszedł do nas, pokochalibyśmy go i słuchalibyśmy go chętnie. Co za głupi ludzie. Zabijać tego który dawał życie.“ Lubią oni swoich krewnych i powinowatych, ale są nieczuli na nieszczęścia tych, co nie są im bliżcy i niewiele ich obchodzi nawet ostateczna zguba takich, z którymi niełączą ich żadne związki rodzinne.

Nie tworzą oni żadnego państwa, ani mają jakikolwiek rząd i ogólną zwierzchność, a to dla tej prostej przyczyny, iż wszelkich takich urzędzeń nie potrzebują wcale: Nie mają nieprzyjaciół, z którymi by musieli toczyć wojny, pomiędzy sobą żyją w pokoju, każda własność jest u nich tylko osobistą, morze jest wspólną własnością wszystkich, a że ich ziemia nie może być nigdzie uprawną, przeto niema u nich gruntów i własności gruntowej. Każdy żyje jak może, nie szkodząc przez to nikomu. Dopóki ocean dostarcza morskich psów, nie braknie im tranu na pokarm i skór na odzież; zaś innych potrzeb, ciężarów, konieczności narodów cywilizowanych nie znają oni wcale. Nigdy jeszcze nie okazała się u nich potrzeba wodza i naczelnika i był to fakt szczególniejszy i wyjątkowy, że kapitan Ross znalazł gdzieś u Eskimosów w Grenlandji, tam gdzie jej brzegi, zavalone lodami, nie są nawet oznaczone z pewnością na kartach, jakiegoś niby królika, rozkazującego pewnej ludności i pobierającego od niej daninę w rybach i zwierzyźnie. Latem oni mieszkają w namiotach, a zimą w domach, a raczej chatach, mających wysokości od 5 do 6, szerokości 12, a długości do 100 stóp, w których pod jednym dachem mieszczą się mnogie rodziny. Ściany takiej chaty wewnątrz okryte są skórami, dla zabezpieczenia ich od wiatrów i wilgoci, a pod temi idą ławy, w środku pali się wielka lampa nalana tranem, która służy oraz za piec i ognisko, a nad nią wisi kamienny lub żelazny kociołek, w którym gotuje się jedzenie. Szyby w oknach są nie ze szkła, a z trzewów morskich psów i wielorybów. Wchód jest

wąski i długi bez drzwi; pomimo że ciągle przez niego wychodzi z chaty gorąco, pozostaje go wszakże tyle, iż nawet w zimie Grenlandczycy siedzą w niej prawie rozebrani. Europejczyk nie mógłby wytrzymać w niej dla zaduchu i brudu.

Grenlandczyk żyje prawie tylko tem, co mu daje morze, i przeto z największą starannością buduje sobie łódkę, którą pędzić i sterować wiosłem umie doskonale. Łódź mężka ma od 12 do 14 stóp długości, $1\frac{1}{2}$ stopy szerokości i 12 cali głębokości. Szkielet jej z drzewa i rogów wielorybich, obciążony jest nieprzemakalną skórą i cała ona waży nie więcej jak 30 funtów. W środku jej znajduje się opatrzoną powrozem otwór, w który



Chatki śniegowe Eskimosów.

Eskimos włazi i przymocowuje do niego swoją odzież ze skóry morskiego psa, poczem siedzi sobie w wodzie zupełnie sucho i w najteższe mrozy ma ciepło od swego własnego parowania. W tej ledziuchnej łódce lata on po morzu tak bezpiecznie, jak morski ptak. Gdyby nawet ona przewróciła się, dość jest pociągnąć wiosłem, by ją znowu przywieźć do równowagi; ale gdy wypuści z rąk wiosło, wtedy przepadł bezpowrotnie. Łódź kobieca jest dwa razy dłuższą i trzy lub cztery razy szerszą od poprzedniej, bardzo sprężystą, lecz z płaskim dnem i dla tego może pływać tylko po spokojnych wodach. Siada do niej z wiosłami cztery lub pięć kobiet, które u Eskimosów obarczone są najcięższą pracą.

Do nich należy szycie odzieży i obuwia, garbowanie skór, budowanie chat i łódek, rozbijanie namiotów, gotowanie jedzenia, suszenie przemokłej odzieży i doglądanie dzieci; mężczyzna poczytuje wszelką pracę za ubliżającą sobie; jedynem jego zajęciem jest polowanie i rybołówstwo. Ponieważ u Grenlandczyków bogactwo jest nieznanem, przeto narzeczona wnosi u nich w posagu tylko swoje zdrowe ręce. Ale obyczaj i przyzwoitość każe i u nich pannom drożyć się z wyjściem za mąż, o co rodzice bynajmniej się nie troszczą; potrzeba wtedy parę dni popłakać, a potem umknąć w góry i dać się sprowadzić narzeczonemu.

Grenlandja byłaby niemieszkalną nawet dla Eskimosów, gdyby nie morskie psy, tak dla nich niezbędne, jak dla Lapończyków renifery. Żywią się oni ich mięsem, okrywają siebie, swoje domy i łódki ich skórą, a z ich tłustości mają światło i opał. Biją je harpuną, do której umocowany jest pęcherz. Jedzą też i ptaki morskie. Najśmielsi pływacze polują na wieloryby, ale tylko wspólnie z Duńczykami. Wtedy myją się i przywdziewają najlepsze suknie, w przekonaniu, że wieloryb nie ścierpi ich zabrudzonych. Co do obmywania i czyszczenia naczyń, w których gotuje się i podaje strawa, tem nie zajmują się nawet kobiety; pozostawia się to psom, które wylizują wszystko gładko swojemi językami.

Dr. Karl Andree.

65. Niagara.

Nad wodospadem, prawie na dwieście stóp nad powierzchnią rzeki, stoi hotel Pawilonu, zwyczajna gościna wszystkich podróżnych, przybywających oglądać to dziwowisko przyrody. Wodospad, jak wiadomo, rozdziela się na dwie części: jedna z nich należy do Kanady, druga do Stanów Zjednoczonych. Między dwiema częściami tego tarasu i tego olbrzymiego wodospadu, znajduje się wyspa Koz, która je dzieli, a łączy się z brzegiem amerykańskim mostem wiszącym, długim na 1000 stóp, budową prawie czarodziejską, której łańcuchy z żelaza kręconego wydają się z daleka, jak nitki, przeciągnięte między gałęziami dwóch płaczących wierzb. Z balkonu hotelu, w którym i ja się zatrzymałem, widać tylko część amerykańską wodospadu. Kiedy księżyc świeci na stronie południowej widnokregu, część obrócona w stronę północno-zachodnią pograżona jest w cieniu. Słychać tylko wieczny grzmot i ponure jęki tej ogromnej masy spadającej wody. Pochłania ona wszystkie

inne głosy przyrody i niewidzialną jest prawie wśród jasności, którą zalane są okoliczne lasy. Wszystko to jest raczej wielkie, aniżeli piękne; zdaje się że księżyc większy, niebo błękitniejsze, głębie powietrzne bardziej oddalone, obłoki bielsze, powiew wiatru gwałtowniejszy, deszcz w gęstszych kroplach, widnokreghi bardziej oddalone, aniżeli w starym świecie. Nareszcie jakby wschody z szalejącego wód, któreby z łatwością objęły w jedno trzysta wodospadów, takich jak w Szaffuzie. Jeżeli Europejczyk, nowo przybyły w te okolice, zamiast przesadzania swoich wrażeń rzeczywistych, zajmie się ich badaniem, przekona się, że prawdziwy wpływ, jaki na niego wywiera ten kolosalny rozwój wszystkich sił przyrody, nie jest uczuciem przyjemności, ale raczej osłupienia i ogłuszenia.

Wiadomo, że wodospad niszczy sam siebie stopniowo i cofa się z roku na rok. Ucieczka łagodna i powolna, która zresztą nie pociąga za sobą żadnych następstw. Ten olbrzymi gzymś skalisty, z którego wody, od stworzenia świata, spadają na dwieście stóp na szerokości trzech czwartych mili, zużywa się koniecznie trochę, pod działaniem tak silnem i tak nieustannem. Skała traci w taki sposób około jednej stopy na rok, a skutkiem tego masy wód tyleż ustępują. Jeżeli przypuścimy, że niegdyś zajmowały one miejsce Kingstonu, potrzeba było 40,000 lat, aby zajęły obecne swe położenie. Potrzeba będzie jeszcze 100,000 lat, aby dojść mogły do jeziora Erie, ku któremu się kieruje ich pochód wsteczny.

Wodospad rozciąga się na podwójnej linii, złamanej tak rozlegle, że szerokość tego nieforemnego tarasu, niestosowna do jego wysokości, zmniejsza znacznie ogólne wrażenie. Niagara, jak wszystko to co wielkie, zyskuje na bliższem rozpatrzeniu.

Ze strony Clifton House, przeciw wodospadowi zwanego amerykańskim, należy przypatrywać się temu wielkiemu zjawisku. Przybywa się tam przez bardzo piękną aleję, która idzie lewym brzegiem rzeki. O południu słońce błyszczało w całej okazałości i mgły ranne rozproszyły się, kiedym się udał do Clifton House. Ciągłe zagłuszany wiecznym grzmotem rzeki, ale oddychając z radością świeżem i zdrowem powietrzem lasów i jezior, wkrótce doszedłem jakby do portyku, z kąd mogłem zmierzyć okiem podwójne wzniesienie skał. Kilka kłębow podobnych do śniegu, albo do piany, kręciły się na spodzie podwójnej masy wody. Widok prawdziwie wspaniały. W środku tego co nazywają podkową, słup pary wznosił się jak kolumna kręcona i powiewał jak biała chorągiew na szczycie wodospadu. Ten spadek podkowa winien swoją nazwę półkolistemu zakrzywieniu, tworzącemu wielki

gzymś, z którego ciskają się bałwany. Oko śledzi na prawo i na lewo dwie linije nieregularne i ukośne, opierające się o skałę odosobnioną w środku, która się nazywa wyspą Koz i zajmuje mniej więcej czwartą część całej przestrzeni. Wyobraźcie sobie ogromny taras, złożony ze stosów kamieni, albo skał, którego rozmiary ogólne podaliśmy i pod tą liniją poprzeczną, rozbitą w kilku punktach, przepaść, której głębokość podaliśmy także i masę wody, spadającą tam w ilości obliczonej 672,000 tonn na minutę, — oto Niagara.

Co jest dziwnem, a jednak zgodnem ze słabością naszego rozumu, to, że ten sławny wodospad zdawał mi się nadewszystko zajmującym i pysznym w miejscu, w którym go już widzieć nie mogłem: pod wilgotnym i przezroczystym łukiem, który on opisuje rzucając się ze skalnego progu; i tam tylko, muszę wyznać, doznałem nakoniec wzruszeń uroczystych, do których każdy podróżny się gotuje, a które mię zrazu zawiodły. Około trzeciej godziny udałem się na most, prowadzący do wyspy Koz. Jak go zbudowano w podobnem położeniu, to jest właśnie, o czem nie mogę mieć żadnego wyobrażenia. Pręty żelazne odpowiednio ułożone i okręcone, unoszą tę lekką i nadzwyczajną machine. Most drżał, wody huczały pod naszymi stopami, ich ruchome zwierciadło roztaczało się jak materja srebrna na wprawionym w obrót walcu; nareszcie przybyliśmy. Skoro tylko stanąłem na wyspie, znalazłem się między spadkiem wód amerykańskich i kanadyjskich z uszami ogłuszonemi ich hałasem i obłany przyskajęciami ich kroplami. Z pod skały zstępował jakby zwieszony dość urwisto lasek, a pod nim w głębi otwiera się przepaść. Wschody drewniane, kręcone, ułatwiają zejście i prowadzą podróżnego nie tylko do stóp wodospadu, ale nawet pod niego.

Im niżej zstępowaliśmy, tem bardziej wzmagała się ciemność. Na prawo i na lewo, wśród półcienia kolory tęczy tańcowały i mieniały się kręcąc się nieskończonego walca. Im więcej się wpatrujesz, tem mniej widzisz. Schodząc dalej, znaleźliśmy się pod wielkim wodospadem. Tam to zaczynają się czary, pałace kryształowe wróżki Ondiny. Dwie przestrzenie wód, rozdzielone u swojego źródła, obchodzą podstawę wyspy, a łącząc swój rzut podwójny, tworzą jedną tylko arkadę, która zawsze się toczy i pod którą się przechodzi. Kiedy podniesiesz oczy, widzisz tylko tę arkadę wspaniałą, wirującą, białawą, jak perłowa koncha, błyszczącą na dwóch kończynach odcinka koła, który opisują wody światłem błękitnem i ruchomem, a w środku blado-zielonem, popręgowanem

białemi żyłkami, jak najpiękniejszy marmur. Wtedy wszelkie wspomnienie zwyczajnych krajobrazów i ziemskich widoków znika.

Charles. Podróże po nowym świecie.

66. Z Nowego Jorku przez Detroit i Cincinnati do Nowego Orleanu.

Późno po południu wsiałem na jeden z niezliczonych parostatków, stojących pod Nowym Jorkiem, by rzeką Hudson udać się do Albany. Hudson jest jedną z najpiękniejszych rzek. Ciche i gładkie jak zwierciadło, lecz szeroko i wspaniale rozlewające się jego wody, obejmują z jednej i drugiej strony wysokie i urwiste skały, w pośród których przegładają tu i ówdzie małe miasteczka i wiejskie domki, w pośród zielonych sadów, a po samej rzece nieustannie się unosi ogromne mnóstwo większych i mniejszych statków. Zrana obaczyliśmy Albany.

Miasto rozkłada się pysznie nad Hudsonem i kanałem Erie, po którym spławiane są wszystkie produkty, jakich dostarczają pola, góry i puszcze nieskończenie bogatego Zachodu. Następnie Hudson niesie je do morza, zaś tam zabiera jeszcze cenniejsze wyroby ludzkich rąk i kierowanych przez człowieka maszyn, jakie wydają sławne ze swoich rękodzielni miasta, po obu stronach oceanu. Przez Albany też idzie kolej żelazna od jeziora Erie do stanów Nowej Anglii. Jechałem dalej kanałem na małym, długim statku, ciągnionym kołmi. Nieustannie mijaliśmy statki, naładowane zbożem, miodem, wódką, olejem, mięsem, słoniną, skórami, solą i wszelkimi innymi produktami. Wszędzie nad kanałem budują się nowe osady, fabryki i składy. Siekiera tępi lasy, by wydobyc z pod nich pola, których plony, dzięki łatwości odstawy wodą, opłacają się we dwójnasób. Tu leżą miasta Rochester, Troja, Syrakuzy, Rzym, Lyon i inne, w krótkim czasie powstałe z ziemi jak grzyby. Mnie pociągały szczególnie całkiem obce rodzaje kwiatów i krzewów, bujnie rosnące na polach i okrytych zaroślami wzgórzach. Odkąd opuściłem górną Bawarię i Włochy, nie widziałem jeszcze tak jasnego nieba i tak barwistego krajobrazu. Do kanału przytyka kolej żelazna z syczącą i dymiącą lokomotywą i droga bita, po której wleką się wozy i wózki mieszczan i wieśniaków. Wreszcie dociągnęliśmy do leżącego na drugim końcu kanału miasta Buffalo. W samym mieście wre gorącz-

kowa czynność handlu, a dokoła coraz dalej zabudowują się białe domki wiejskie, ogniska spokojnej działalności rolniczej. Po dwóch godzinach dalszej drogi, odkryła się przed nami niezmierną okiem powierzchnia jeziora Erie.

Parostatek poniósł nas przez to jezioro, od którego południowych brzegów koleje żelazne i kanały prowadzą do rzeki Ohio. Po kilkudniowej jeździe wodnej wylądowaliśmy w Detroit, na zachodnim brzegu jeziora. Przed stoma laty Detroit było małą wioską; teraz jest kwitnącem miastem, ma szerokie, wysadzone drzewami ulice, piękne domy i ogromne składy zboża. Jest ono progiem do wielkiej krainy zachodniej, w której życie i kultura materialna rozwijają się jeszcze prędzej, niż w starych dzielnicach Rzeczypospolitej amerykańskiej. Po dwunastogodzinnej podróży koleją żelazną, przez wdzięczne pola i malownicze doliny stanu Ohio, stanąłem w Cincinnati. To miasto jest niemiecką stolicą Ameryki, zaś Amerykanie nazwali je królową Zachodu. Miasto pyszne i piękne wznosi się na pagórkach, oblanych ogromną rzeką Ohio, na której przeciwnym brzegu ciągną się podobne do najpiękniejszych ogrodów niwy Kentucky. Jeśli w liczbie 200,000 mieszkańców Cincinnati Niemcy nie stanowią większości, to duch niemiecki ma tu przewagę niewątpliwą. Wszędzie indziej język angielski przemógł i pokonał inne; tutaj tylko musiał ustąpić niemieckiemu. Do tego brzegi Ohio i okolice Cincinnati dziwnie przypominają kraje nadreńskie; a kiedy jeszcze obijają się tam o uszy niemiecka mowa i niemieckie pieśni, to zapomina się i zdaje się być w Niemczech. Cincinnati jest głównym stanowiskiem na drodze do niezmiernej doliny Mississipi; leży ono prawie o 350 mil od oceanu Atlantyckiego i przyjmuje na swoje parostatki podróźnych i towary z Ameryki wschodniej i ze starego świata, jadące do Nowego Orleanu i wszystkich krajów, leżących nad wodami Mississipi. Mniejsze statki chodzą w górę Ohio jeszcze dalej aż do Pittsburga, a ztamtąd koleje żelazne odstawiają do Baltymoru i Filadelfji. Cincinnati jest teraz ogniskiem działalności przemysłowej i handlowej, którego promienie sięgają na wschód aż do oceanu Atlantyckiego, na zachód w bezmierne stepy, na północ aż do wielkich jezior i rozkwitających nad nimi nowych miast, a na południe aż do granic Meksyku. Wiele tu jest fabryk i rękodzielni, między którymi zasługuje na uwagę zakład stolarski, prowadzony przez Niemców. Zajmuje on prawie całe dwie ulice. Tam maszyny wyręczają co najmniej 1000 biegłych stolarzy. Olbrzymia maszyna parowa, wprawiająca w ruch nieskończoną ilość pił, heblów, wałów tokarskich, polerowni itd., zabiera kłocę surowego drzewa, tak jak

wyrabane były w lesie i wydaje z nich gotowe stoły, krzesła, kanapy, łózka, komody itd. Wyrabia ona co tydzień 200 tuzinów krzesel, a na rok 50 tysięcy łózek. W jednej fabryce podszew pokrajano w ciągu roku 10 tysięcy wołowych skór na podszwy; zaś jedna fabryka obuwia zużytkowała 500 centnarów ćwieków żelaznych i 300 korcy drewnianych. Wszystko od prostych ćwieków, aż do najprzedniejszych sprzętów domowych, robią maszyny.

Co jesień spędzają i zwożą zblizka i zdaleka do Cincinnati od 12 do 15,000 wieprzów i od 3 do 4000 wołów i tam je biją, solą, wędzą i rozsełają we wszystkie strony. Podobnie i wino, dostarczane z mnogich do koła miasta winnic i poziomki, zapakowane w lodzie, jadą ztąd do Nowego Jorku, do Nowego Orleanu i w inne miejsca.

Z Cincinnati jechałem dalej na zachód i przebywszy szybko parostatkiem wiele set mil angielskich, stanąłem w Saint Louis, poniżej ujścia Missuri do Mississipi. Ztamtąd po ośmiu dniach dostawszy się do miasteczka Vincennes, ujrzałem niezmierzone stopy, rozciągające się przez cały stan Illinois. Lecz w chłodnej porze roku, w której odbywałem moją podróż, przedstawiają one widok pośępny. Wysokie i zawsze kołyszące się trawy, były całkiem pożółkłe. Niezmierna płaszczyna, w odległości ograniczona lasem, pozbawiona barwy wiosennej i okryta suchą słomą, nie miała w sobie nic pięknego. Nocowałem po rzadkich w stepie wioskach i folwarkach, lub pod gołym niebem. Najcieńszą bywała przeprawa przez rozległe bagniska i wylewy rzeczne. Po ośmiu dniach drogi wróciłem znowu nad Mississipi. Za tą rzeką w stanie Missuri osiadło wielu Niemców, mianowicie Szwabów. Uprawiają oni rolę i wożą drzewo na sprzedaż do Saint Louis.

Z Saint Louis jechałem na południo-zachód i po tygodniu drogi przez bezludne lasy i stopy, w których rzadko gdzie napotykały się małe osady i folwarki, stanąłem nad brzegami Arkanzas, gdzie ogromne lasy pełne są dzikich kur, zwanych w Europie włoskimi. Tamże widziałem koczowisko Indjan. Na rozłożonych ogniach gotowali oni sobie w kotłach ogromne sztuki bawołów, jeleni, niedźwiedzi, wiewiórki, dzikie koty i inną zwierzynę, jaką dało się upolować. Przeprawiwszy się przez Arkanzas i ciągnąc dalej w tymże południowo-zachodnim kierunku, dotarłem aż do rzeki Red-River i granic Texas. Tu zobaczyłem plantacje i niewolnictwo, które i dotychczas jeszcze nie jest całkiem wykorze-nione w stanach południowych. Często wypadało mi nocować na plantacjach. Tam dokoła blokauzu nadzorcy, stoją niskie chatki niewolników. Po długich podróżach przez góry, doliny, stopy,

lasy pierwotne i przepawach przez wezbrane w nich potoki, postępując zawsze na wschód, stanąłem znowu nad rzeką Red-River, której brzegi zalegają gromady alligatorów, grzejących się na południowym już silnie dogrzewającym słońcu. Puściwszy się po bystrych, jak wypuszczona strzała, wodach tej rzeki, przepłynąłem w 5 dni do 90 mil i znowu znalazłem się na wodach Mississipi. Tu już cały kraj ma cechę południową. Drzewa, przybrane w srebrzyste opony mchu, mają pozór całkiem odmienny. Przesiadłem się z mojej małej łódki na parostatek i późnym wieczorem stanąłem w Nowym Orleanie. To miasto leży całkiem w bagnach i tylko przez sypane do koła tamy zabezpiecza się od wylewów Mississipi. Można powiedzieć, że cała ta okolica stworzona jest na mieszkanie nie dla ludzi, a tylko dla alligatorów, muskitów i żab; i bardzo słusznie nazywają Nowy Orlean cmentarzem Stanów Zjednoczonych Ameryki. W górę rzeki jej brzegi są przeszliczne; pyszne plantacje i domki wiejskie, w pośród sadów pomarańcz, granatów i drzew chinowych, przedstawiają widok czarujący. Droga wodna po Ohio i Mississipi, z Cincinnati do Nowego Orleanu wynosi 400 mil.

Z podróży niemieckiego naturalisty.

67. Czikago.

Czikago jest prawdziwym cudem, nie tylko pomiędzy miastami Stanów Zjednoczonych Ameryki, ale i pomiędzy miastami całego świata. Przed laty 40 było to stanowisko wojenne, na ostatnich granicach ziem cywilizowanych, a dziś jest wielkiem miastem, liczącem przeszło 300,000 mieszkańców. Główna jego ulica Wabash avenue, długa na dwie mile i wymoszczona brukiem drewnianym Nicholsona, ma z obu stron gmachy, którym nie wiele równych widzieć można i w najpiękniejszych częściach Nowego Jorku, Filadelfji i Waszingtonu. Cudzoziemca, oglądającego tę pyszną ulicę, uderza szczególnie klasyczna wytworność i różnaitość budownictwa. Nie masz tu wcale tej jednostajności, która morduje oczy, zwłaszcza na ulicach Filadelfji. Każdy niemal dom wyróżnia się tu od sąsiedniego, a jednak wszystkie tworzą piękną i harmonijną całość. Różnaito barwy gmachów murowanych, to z marmuru, to z ciemnego piaskowca, to z cegły, wielce przyjemne są dla oka. Dawne domy budwane z drzewa, nader gustowne w swoim rodzaju, szybko ustępują miejsca wspaniałym, arystokratycznym gmachom z kamienia; i za jakich lat kilka, cała ta wspaniała ulica iść będzie

między dwoma nieprzerwanymi rzędami pałaców. Latem wszędzie tu są kwiaty; wzdłuż chodników stojące w ogrodzeniach drzewa, okrywa zieloność i cała ulica wydaje się kwitnącym gajem. Miłą jest przechadzka i przejażdżka wieczorem pod temi drzewami, które przypominają lasek Buloński pod Paryżem i Hyde Park londyński. Ulica Miczigan, także na dwie mile, brukowana podobnie, drugą jest co do wspaniałości i piękności. Idzie ona tuż po nad pięknym jeziorem tegoż nazwiska, którego niezmierną okiem powierzchnię ożywiają na wiosnę i latem nieprzeliczone żagle i dymiące kominy parostatków.

Miasto ma wiele kościołów, budowanych we wszystkich stylach i w których, jak i w domach zamożnych mieszkańców, dobry smak łączy się ze znajomością budownictwa taką, jaka rzadko widzieć się daje po innych miastach amerykańskich. Świątynie rozmaitych wyznań: katolickie, Presbiterjanów, Metodystów, Uniwersalistów i innych sekt, których jak wiadomo w kraju tym jest bardzo wiele, tu zdają się mieć na celu głównie prześcignąć drugich wspaniałością i pięknnością swojej budowy.

20,000 dzieci uczy się w szkołach, utrzymywanych kosztem publicznym i gmachy szkolne należą do najpiękniejszych w mieście. Szkół jest 22, a jeszcze nie wystarczają one dla wzrastającej szybko ludności. W ostatnich latach wydano milion dollarów na urządzenie nowych szkół i tych jeszcze okazało się za mało.

Pociągów kolei żelaznych przychodzi i wychodzi z Czikago codziennie 80. — Dworzec kolei centralnej Illinois przypomina sławny dworzec Charing Cross w Londynie. Zbudowany on jest cały z granitu i ma wspaniały okrągły szklany dach, pod którym zalega sieć kolei, a na nich długie rzędy wagonów czekają swojego przeznaczenia. Jedne z nich polecą ku zatoce Meksykańskiej, drugie ku góróm Skalistym, te na wschód, tamte na północ. Widok ten przekonywa przybyłego mieszkańca Europy, że ci osadnicy zachodni mają słuszność pysznić się swoją działalnością, która postawiła ich w możności wznieść w środku swojego obszernego i tak niedawno zaludnionego kraju, taką pyszną stolicę.

Czikago w tyłu rzeczach przodkuje innym miastom, iż trudno jest wyliczyć je wszystkie. Zbudowany w ostatnich czasach olbrzymi wodociąg podziemny, który prowadzi do miasta wodę po pod jeziorem Miczigan, wprawia w zdumienie wszystkich cudzoziemców. Trzy lata ciągnęła się jego budowa, która od brzegów jeziora idzie jeszcze na dwie mile. Dotąd okazuje się ona trwać i w najlepszym stanie. U wchodu do wodociągu utrzymywanem jest światło. Oczekują, że kongres postanowi wzniesienie tam stałej

wodnej latarni. Oprócz téj miasto posiada jeszcze nad jeziorem drugą wodną latarnię. Innem wielkiem dla miasta zadaniem jest oczyszczenie i utrzymanie koryta rzeki. Próbują przyjść do tego przez zagłębienie i rozszerzenie przylegającego do niej kanału. Koszta tej roboty obliczono na $2\frac{1}{2}$ miliony dolarów. Ciągnie się ona z przerwami już od lat dwóch, a dokonania jej oczekują za lat trzy.

Zamierzona też jest przez miasto inna robota wielce ważna: przebite tunnelu na ulicy Waszington pod rzeką, na której most bywa rozwieranym dla przepuszczania okrętów, co zatrzymuje na ulicy komunikację i sprawia stratę czasu nader ważną, która w Stanach Zjednoczonych Ameryki oblicza się na pieniądze. Ten tunnel, za którym pewnie pójdzie wiele innych, ma być cały z kamienia, a tak głęboko pod łożyskiem rzeki, iżby ona miała wszelką głębokość dla żeglugi.

Niezwykła cena gruntów w samem mieście i za miastem jest najpewniejszą oznaką jego wzrostu. Tam, gdzie kiedyś płacono 50 dolarów za włókę, teraz płacą tyleż za stopę kwadratową. Wiele jest w mieście domów i magazynów, których roczny czynsz wynosi od 10 do 15,000 dolarów. Mieszkanie porządne można mieć ledwo za 1200 dolarów na rok. Centralna kolej Illinois ofiarowała miastu 2 miliony dolarów za bardzo mały stosunkowo kawałek gruntu, na którym chce budować nowy dworzec i warsztaty, na co dotąd niezezwalają właściciele domów ulicy Miczigan. W Czikago wszystko robi się na wielką skalę. Tak i na ogród publiczny i bulwary rada miejska łoży teraz setki tysięcy dolarów.

Według gazety amerykańskiej.

68. Sekty religijne w Ameryce północnej.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki nie masz kościoła panującego i żadnych praw państwowych religijnych. Każdemu pozo-
stawiona jest swoboda objawiać otwarcie swe przekonania i mniemania religijne, bronić takowych, opowiadać je i do istniejących w kraju 43 sekt dodać jeszcze nową.

W tych nowych sektach znaleźć można wiele niedorzeczności. Najwięcej ich jest u Shakerów i Mormonów. Z nabożeństwa Czarnych Metodystów wynieśliśmy, zamiast poważnego i podniosłego wrażenia, całkiem temu przeciwnie. Czarny kaznodzieja przemawiał naprzód spokojnie i przyzwyczajenie, ale potem zaczął wpadać w coraz większy zapał i zachwyty, gadał coraz gwałtowniej, a wreszcie

uderzając zaciśnionemi pięściami w swoją mównicę, krzyknął: „Djabeł jest w tem zebraniu, otwórzcie okna!“ Całe zgromadzenie poruszyło się nadzwyczajnie i powstał w niem straszny hałas; wreszcie wszyscy się uspokoili i zapanowała martwa cisza. Potem dało się słyszeć głucho mruczenie, które zamieniło się we łkanie, a w końcu wybuchło w okropnych wrzaskach. To było znakiem, że duch zstąpił, święci i błogosławi swoje dzieło. Głos mówcy podniósł się znowu i zaczął z czułością i pieśczołą mówić o słodkim Jezusie. Potem mówca zeszedł ze swego miejsca, siadł na „ławie utrapienia“ i wezwał wiernych, by złożyli swoje głowy na jego łonie. Uczyniono to i wnet całe zgromadzenie ogarnął jakiś nagły dziki szal; wielu dostało konwulsji i krzyczało: „Jezu, Jezu, przybądź mi na pomoc!“ Ofiary szału padały na ziemię, zaś inni krzyczeli: „Chwała! Chwała!“ Na widok tego, co się działo, opadła wszystkich jakaś niepojęta radość; wszyscy z czułością zaczęli się obejmować, ścisnąć i całować, skakać do góry, klaskać w dłonie, tupać nogami, dostawać nowych konwulsji, a przytem wszystkim wrzeszczeć, jak opętani. Metodyści są między ludnością tak białą jak i czarną. Liczba ich przechodzi 3 miliony. Ich kościół episkopalny składa się z dyakonów, starszych i biskupów, lecz najczęściej jest wędrownych kaznodziejów; tych liczą do 5000.

U Shakerów nabożeństwo przedstawia widok szczególniejszy. Jest to bal, lub poranek tańczący. Ci, co w taki sposób oddają cześć Bogu, powołują się na króla Dawida, który także tańczył przed arką przymierza. Obecni stają w dwa rzędy naprzeciwko sobie. Jeden rząd zaczyna śpiew dość jednostajny, klaszcząc w takt rękoma i tańczy. Na to rząd przeciwny rozpoczyna też taniec, ze śpiewem i klaskaniem w dłonie. Następują potem szczególniejsze tury, passaże i bardzo piękne i biegle obracania się w koło. Potem nagle następuje cisza. Nabożeństwo się skończyło i wszyscy w milczeniu opuszczają dom Boży. Najlichniesze osady Shakerów znajdują się w hrabstwie Kolumbji, w stanach Nowego Jorku, Ohio, Kentucky i niektórych innych. Liczbę ich podają na 4000.

Kwakrowie, których główną siedzibą jest Filadelfia, na swój pozór nie wiele ściągają uwagi. Stojące kołnierze u sukien, staromodne fraki i ogromne sprzączki u trzewików, niegdyś odznaczające wszystkich zgoła Kwaków, teraz skutkiem ducha czasu i wszechwładnej mody wyszły już całkiem z użycia. Byłem nieraz obecnym na nabożeństwie Kwaków, ale nie słyszałem nigdy ani modlitwy, ani kazania. Zrazu podobał mi się miły spokój panujący w zebraniu; ale ten spokój ciągnący się przez całe dwie godziny trwania nabożeństwa, stawał mi się w końcu nieznośnym.

Kwakrowie nie mają żadnego duchowieństwa; każdemu zgoła, kto czuje się powołanym i natchnionym przez Ducha świętego, wolno zaczynać w głos modlitwę i prawić kazanie. Otóż na nieszczęście nie doczekałem się nigdy zejścia Ducha świętego; gdzieś on się zapodział i w mojej obecności nie raczył zstąpić na nikogo ze zgromadzonych. Dom modlitwy kwaków jest bardzo prosty i nieodznacza się niczem zgoła, ale utrzymany jest bardzo czysto. Dla zebrania służy sala, nieco ciemna, w której na przodzie jest podwyższenie dla starszych.

Sekta Mormonów powstała w naszych czasach. Założycielem jej był Joe Smith w stanie Missouri. Ogłosił się on posłańcem Boga i miał otrzymać od anioła zaginione pisma niejakiego proroka żydowskiego Mormona; przetłumaczył je na język angielski, wzbogaciwszy swojemi dodatkami i wydał w księdze, którą podał za kodex nowej wiary. W dziele tem uderza wielka niezajomość historii i w ogólności jest ono tkanką najwierutniejszych i najbardziej kłamstw. Pomimo to jednak obalamuciło ono tak umysły ciemnego spóółstwa, iż jego autor w krótkim czasie zebrał sobie mnóstwo ślepych zwolenników. Wgnany z Missouri, założył on w stanie Illinois miasto Nauwoo. Mormoni oddali się pracowicie rolnictwu i przyszli do bogactwa i siły, lecz obudzili ku sobie nienawiść mieszkańców, którzy wystąpili przeciwko nim ze skargami. Joe Smith, za jakieś wykroczenie przeciw prawom krajowym, został schwytyany, wsadzony do więzienia i tam zamordowany przez jakieś przebrane osoby. Ciągłe zażalenia na Mormonów spowodowały wreszcie na nich wyprawę wojenną, która zakończyła się zdobyciem ich miasta i wypędzeniem ich w roku 1846. Wtedy udali się oni daleko na zachód i tam między jeziorami Słonem i Utah założyli osadę, nazwaną Deseret, czyli Nowym Syonem, w której panuje równość i wspólność mienia i kobiet. Ta osada, dzięki swojemu położeniu na drodze do kalifornijskich kopalni złota, nabrała w prędkim czasie wielkiego znaczenia i obecnie ma być w stanie bardzo kwitnącym. Od roku 1850 stanowi ona, pod nazwą Utah, osobną ziemię Stanów Zjednoczonych Ameryki. Następcą Joe Smitha został Brigham Young, który propagował swoje wiare w Europie i w Paryżu miał pozyskać zwolenników.

Unitaryszcze odprawiają nabożeństwo podobnie jak protestanci. Kościół ich, który zwiedziliśmy, jest bardzo prosty. Nabożeństwo rozpoczęło się od pięknego śpiewu, któremu jedna z obecnych dam wtórowała na fortepianie. Potem nastąpiła wspólna modlitwa, potem znowu śpiew, a na zakończenie dobre kazanie na temat: „Kto miłuje swego syna, ten go kara.“ Śpiew był krótki, ładnej

melodji i wypowiadał chwałę Pana Jezusa. — Bracia Morawscy mają w Stanach Zjednoczonych Ameryki liczne osady; z których najznakomitszą jest Betlejem w Pensylwanji. Po niej zasługują na uwagę Nazaret, Lititz i Salem w Karolinie południowej. Cała ludność Braci Morawskich, która w ogóle uchodzi za pracowitą, oszczędną i zamożną, wynosi do 12 tysięcy dusz.

Według Zieglera.

69. Równiny Ameryki północnej.

Do właściwości Ameryki, wyróżniających ją od wszystkich innych części świata, jak jej położenie we wszystkich strefach, mnogość i wielkość rzek, wybujała roślinność i wiele innych, należą też jej niezmierne i mające odrębny charakter równiny. Niepodobne są one zgoła ani do spalonych pustyń Afryki, ani do zlodowaciałych rozłogów północnej Azji, ani do uprawnych równin europejskich, które przechodzą i wielkością i obfitością wszelkich płodów. Dwie trzecie części Ameryki stanowią równiny. W Ameryce północnej są one jeszcze większe niż w południowej. Ograniczone od zachodu pasmem gór Skalistych, od wschodu pasmem gór Allegańskich, poniżają się one na północ ku oceanowi Lodowatemu i na południe ku zatoce Meksykańskiej. Pomiędzy wielkimi jeziorami Kanady a źródłami Mississipi i Missuri, idzie pasmo nieznacznych pagórków, stanowiące przedział wód i rozgraniczenie dwóch stoków tej niezmiernej równiny.

Po stoku południowym toczy swoje bystre i mętne wody olbrzymia rzeka Mississipi, przyjmująca do siebie mnóstwo dopływów, przechodzących wielkością mnogie znakomite rzeki europejskie. Przebijając się przez nieprzebyte gęstwiny lasów pierwotnych, wrywa ona z korzeniami i unosi potężne drzewa, które później odnajdują leżące w jej delcie, albo w zatoce Meksykańskiej. Od prawego brzegu Mississipi grunt podnosi się nieznacznie aż do podnóża gór Skalistych, z których wypływają Missuri, Arkanzas i rzeka Czerwona, z mnogimi dopływami, niosąc swoje wody ojców rzek Ameryki północnej. Od lewego brzegu grunt podobnie się podnosi przez rozmaite wzgórza i doliny, aż do gór Allegańskich, z których wypływa piękna rzeka Ohio, dążąc również do Mississipi przez piękne i żyzne kraje, zasilona sześcioma spławnikami dopływami.

Od gór Skalistych aż do Mississipi i nieco jeszcze dalej, rozlegają się niezmierzone okiem płaszczyzny, znane pod nazwą

stepów. Jak daleko sięga wzrok, nie widać nic, jak równiny bez końca. Tylko gdzie równina wyższa ztyka się z niższą, jej krańce przedstawiają się w dali jakby jakie wzgórza. Wystawmy sobie całe Niemcy jako nieprzerwaną jednostajną równinę, a jeszcze mieć będziemy tylko zmniejszony obraz tej równiny amerykańskiej. Nie jest ona zgoła podobną do afrykańskiej Sahary. Jak tamte piaski, tak tę zalega nieprzejrzane morze bujnych traw, kołyszące swoje zielone fale pod niezmiernym jak one błękitem nieba. Wysokie trawy a wśród nich kwiaty, tu i ówdzie pojedynczo lub grupami rozrzucone drzewa, pasąca się trzody i gdzieniegdzie samotnie i daleko od siebie stojące domki, oto wszystko co się tu przedstawia oczom. Cisza panuje na tych obszarach, w których żadne echo nie powtarza wydanego głosu; przerywa ją tylko brzęczenie chrabąszczów, latanie motyli i straszliwe ślizganie się węzów. Chwiejące się od wiatrów trawy zupełnie są podobne do ruchliwej powierzchni morza; suchy pień drzewa, wystający tu i ówdzie z trawiastych przestrzeni, przypomina obrany z lin i żagłów maszt okrętowy. Daniel, skaczący przez wyniosłe trawy, podobny jest do delfina, wyskakującego i wpadającego na powrót do morza. Grupy drzew na dalekim widnokręgu ukazują się jak wyspy i pod ich miłym cieniem nie jeden podróżny znalazł świeżą wodę i wszelkiego rodzaju owoce, które uratowały go od głodnej śmierci. Na tych wyspach stoją druznie obok siebie drzewa najrozmaitszych kształtów i dorastają niezmiernej wysokości. Dzikie winne latorośle i inne wijące się krzewy oplatają się koło nich, sięgając od gałęzi do wierzchołków, przeskakują z trzciny cukrowej na drzewa dębowe, tulipanowe i inne i tworzą najrozmaitsze sklepienia, grotty i mosty. Z pośrodku takiej grupy drzew wystrzela w górę wspaniała magnolja i swojemi rozpostartemi gałęzmi z białym kwiatem panuje nad całą wyspą. Pod tą pstrą zaroślą przebywa mnóstwo zwierza; niedźwiedź kołysze się na gałęziach wiązu, wślizgając tam za miodem i winnemi gronami; czarne wiewiórki igrają w ciemnej gęstwinie drzew orzechowych; drozdy z długimi ogonami zlatują ze srebrnych topoli na trawy; zielone papugi krążąc wlażą na wierzchołki cyprysów, kolibry błyskają na jaśminach, a węże syczą pod gęstwiną platanów. Wpośród ciszy nocnej rozlega się przerażający ryk jaguara, który próbuje siły swoich szponów na drzewie, wstrząsając niem aż do wierzchołka. Często na tych wyspach stepowych daje się widzieć długi szaro-srebrzysty mech, zwisający z gałęzi drzew na 6 do 8 stóp, pod którym drzewo przedstawia się jak olbrzymia masa, szeroka na kilkaset i do 130 stóp wysokości. Nie

widać ani jego konarów, ani gałęzi, ani liści, a tylko okrywającą wszystko srebrno-szarą oponę, z której zwisają aż do ziemi miliony srebrzystych włosów. Wszedłszy pod to nakrycie zdaje się być w dziwnej kryjówce. Kolosalny pień drzewa, z mnogiemi wyrostami i garbami, wznosi się niekiedy na 40 stóp w górę, zanim się rozrośnie w gałęzie. Całkiem inaczej jak te olbrzymie straszdyła nocne, wyglądają delikatne i czułe mimozy, pojawiające się często samotnie wśród cichej równiny. Czarujące to drzewo nęci do siebie wędrowca, lecz zaledwo stanie on na ziemi, w której kryją się jego korzenie, zaraz ono drży jakby od strachu, wstydliwie zwiija swoje liście i smętnie opuszcza gałęzie ku ziemi.

Stepy te najpiękniej przedstawiają się na wiosnę, kiedy wpośród świeżych traw kwitną na nich niezliczone róże polne, tuberozy i astry, tak piękne i bujne, jak w żadnym ogrodzie. Zrana ich oblicza obmyte najczystszą rosą, wpatrują się w błękitne i nie zaciemnione żadną chmurką niebo, a wieczorem lekka para zalega te wyspy. Roze świecących robaczków latają we wszystkie strony i oświetlają coraz grubszą ciemność nadchodzącej nocy. Wreszcie na tych niezmiernych kwitnących równinach, słoneczne światło wyprawia często mamidła w powietrzu. Na dalekich krańcach widnokregu ukazują się czarującej piękności wzgórze, ogrody, wieże i rzędy kolumn, jeziora i rzeki; aż ponętne i zwodnicze ich obrazy nikną w jednej chwili.

Nie wszędzie jednak wielkie równiny Ameryki północnej mają taki pozór; wcale inaczej przedstawiają się ich stoki północne, schylone do oceanu Lodowatego. Tam zamiast wesołych gajów liściastych, ukazują się pępne lasy iglaste; w miejscu pstrych zwójów kwiatów i czepiających się latorośli, wiszą w ziemie na gałęziach drzew grube sople lodu, pod których ciężarem zginają się najmocniejsze konary i mniejszy stawiają opór wściekłym podmuchom wiatrów północnych, które łamią gałęzie, obalają drzewa i w całym tym smutnym zimowym krajobrazie sprawiają straszny zamęt. Dalej ku północy znikają i lasy sosnowe i w miarę zbliżania się do oceanu Północnego, przedstawia się coraz dziksza i smutniejsza pustynia. Ledwo gdzie ukazuje się ona zamieszkałą przez ludzi. Tu i ówdzie jeszcze pojawiające się sosny i brzozy karłowacieją i kładąc się na ziemię, chronią się od mroźnych wiatrów po za skałami i kamieniami. Gdzieindziej tak bujne i piękne trawy stepowe dosięgają tu zaledwo wysokości palca i mają barwę płową.

Na drugim swoim ostatecznym końcu południowym, te równiny mają znowu pozór odmienny. To co na północy sprawia lodo-

wate tchnienie zimy, dopełnia tu skwar lata. W krótkim czasie najbujniejszy porost traw zamienia się tu w chmurę kurzawy; ziemia pozbywa się tu całkiem swojej kwiecistej i woniącej szaty i rozpada się od gorąca. Tylko bagniste lasy opierają się niszczącemu działaniu upałów, ale te są przybytkami śmierci; powietrze w nich, przepełnione wyziewami, jest zabójczem. Wzdłuż gór Skalistych ciągną się także długie pasy ziemi niezamieszkałej, gdzie wody są rzadkie i grunt nagi zalega tylko ciemny żwir, pomieszany z piaskiem. Gdzie kończy się pokład żywej ziemi stepów, kończy się też nieprzerwany kobierzec zielonych traw, a wśród nich lilij, malw, astrów i innych różnobarwnych kwiatów, a pojawiają się kaktusy, które odtąd cechują kraj, aż do brzegów oceanu Wschodniego. W miejscu rozmaitych kształtów drzew, pojawiają się tylko topole i wierzby, a na brzegach strumieni krzaki różowe i malinowe. Z prawej strony Mississipi dają się też widzieć wielkie przestrzenie gruntu przesyconego solą; w niektórych miejscach pokrywa ona ziemię grubo na 2 i 3 cale, jak świeżo spadły śnieg.

Na wschód za rzeką Mississipi, znajdują się już tylko niewielkie stepy, a zaczyna się kraj falisty, który niegdyś okrywały lasy pierwotne. Teraz już są one bardzo przetrzebione, przez posuwającą się ku zachodowi ludność. Wszakże jeszcze na setki mil ciągną się tu dawne lasy, w których dają się widzieć odwieczne wspinałe drzewa, oplatanie wijąciami się roślinami i kwitnąciami krzewami, które tworzą z nich nieprzebyte gęstwiny.

Gude i Grube.

70. Indjanie w stepach Ameryki północnej.

Przed odkryciem Ameryki, ta część świata zamieszkaną była przez różne narody, które na jej równinach i w puszczech żyły w swoim stanie pierwotnym. Biali przybysze europejscy, osiadłszy w ich siedzibach wschodnich, wyparli ich coraz dalej i dalej ku zachodowi; choroby i wódka znacznie umniejszyły liczne niegdyś ich plemiona, z których wiele już całkiem wygasło. Obecnie w ziemiach Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, żyje około 300,000 Indjan. Na zachód, za rzeką Arkanzas, w tak zwanych posiadłościach indyjskich, wiele ich zajmuje się uprawą roli. Inni po dawnemu żyją łowiectwem na równinach między rzeką Mississipi i górami Skalistemi. Tam oni przebiegają stepy, zajęci jedynie polowaniem i wojną.

Indianie amerykańscy odznaczają się mocną budową ciała, którego wyrobienie przez bieganie, pływanie, łażenie po drzewach, skakanie, jest dla nich rzeczą główną. Przytem zmysły mają tak ostre, jak żaden inny naród na ziemi. Sokolim wzrokiem umieją oni wypatrzeć tropy wszelakiego zwierza i ślady swoich przyjaciół i swoich nieprzyjaciół, doskonałymi są jeźdźcami i odważnie polują w stepach na bawoły, będące ich głównym pożywieniem. Na nieprzyjaciela uderzają wtedy tylko, kiedy mają nad nim przewagę i najczęściej nocą, lub z ukrytej zasadzki.

Włosy noszą długie, maszczą je tłustością i ubierają w pióra i inne ozdoby; brodę starannie wyskubują. U mnogich pokoleń utrzymuje się dotąd zwyczaj tatuowania, jakkolwiek wykalanie na skórze i naprowadzanie farbami figur sprawia wielki ból. Oprócz tego jeszcze malują oni sobie na ciele rozmaite figury i zawieszają różne ozdoby. Odzież ich stanowi zwykle kozuch, jeleni lub owczy, ubrany kunsztownie w szklanne perełki i gronostaje i spodnie obcisłe, ze skóry jeleniej, na szwach ozdobione kołcami jeża; przez ramię wisi skóra bawola, na której przedstawione są bohaterskie czyny tego, co ją nosi. W czasach terażniejszych kupują oni nadto u białych chusty pstre, któremi okrywają głowę i ramiona. Na wojnę przybierają strój właściwy, mający im nadawać postać straszłą: mianowicie malują sobie stosownie ciało i przyprawiają rogi i ogony.

Chaty każde pokolenie buduje sobie inaczej. Na twardo ubitej ziemi zabijają pale i zewnątrz obijają je ziemią; na tych palach utwierdzają drugie pochyło, które schodząc się tworzą ostrokończasty dach; na ten kładą skoszoną trawę, a z wierzchu ubijają ziemią. U niektórych rozpinają na chatach i bawole skóry. W środku znajduje się ognisko, a na niem zawieszony kociołek z mięsem bawolem; dym wychodzi przez zrobiony w górze otwór. Do koła pod ścianami są łoża ze skór bawolich, zaś na palach około nich wisi odzież, broń, worek z tytoniem i inne rzeczy. Składająca się z takich chat, zwanych wigwamami, wioska indyjska rozkłada się zwykle do koła największej chaty, która stanowi świątynię. Całym gospodarstwem domowym, budowaniem chat, robieniem odzieży i przyrządów łowieckich trudnią się kobiety. Mężczyźni kiedy nie są zajęci polowaniem lub wojną, jak dawni Niemcy, spoczywają leżąc na niedźwiedzich skórach.

Kiedy Indianin wychodzi na wojnę, która bywa bardzo często między ich różnemi pokoleniami, z oczów jego błyska wściekły ogień. Uzbrojeni w piki, łuki i strzały, maczugi i noże, z dzikim i okropnym krzykiem rzucają się oni na siebie, aż dopóki jedna

strona nie ustąpi. Strzały ich są zatrute i z zaczepnemi hakami. Teraz używają oni i broni ognistej. Nieprzyjaciel, zabity lub pojmany w niewolę, bywa skalpowanym, to jest zwycięzca zdziera mu z głowy skórę i zawiesza ją na pamiątkę u swego pasa. Potem zwycięstwo obchodzonem jest przez zabawy i tańce, przy których pojmanym jeńcom zadają najokropniejsze męczarnie. Zwykle jeńiec bywa uwiązany do pala, w około którego mężczyźni i kobiety zawodzą taniec; potem kobiety nakładają do koła stos drzewa i zapalają go; zaś jeńiec, pieczony przy wolnym ogniu, zwykle pali spokojnie fajkę i wesoło rozpowiada, ilu to z pomiędzy nich on zabił.

Taniec stanowi najistotniejszą część zabawy u Indian amerykańskich i ma oraz przytem często i znaczenie religijne. Tancerze malują sobie na twarzy i na piersiach różne figury i obwieszają się sznurkami, na których nanizane są zęby zwierząt, dzwonki i różne grzechotki, zaś głowę ubierają w różnobarwne pióra. Przy tych tańcach śpiewają różne dzikie pieśni, dmą w piszczałki z trzciny, biją w bębny i wytrząsają dynie próżne, napełnione ziarnem; zaś ruchy i skoki tancerzy stają się przy tem coraz dziksze i gwałtowniejsze; przybierając postawy groźne, rzucają oni jedni na drugich oszczepami i przyjmują je na skórzane tarcze. Jak oni sami, tak i tańce ich są dzikie. Rozwolnienie ich sięga tak daleko, iż tylko najdzielniejszy w boju jako wódz, może ich wszystkich wprawić w posłuszeństwo. Kobiety uważane są przez nich jako sługi. Chłopcy uczą się tylko dosiadać koni, pływać, ciskać oszczepem i strzelać z łuku; dziewczęta robót domowych. Chłopcy przytem bywają bici, smagani, męczeni w rozmaity najdotkliwszy sposób, by stawali się wytrwałymi do znoszenia i największych cierpień.

O Bogu i rzeczach boskich mają oni dotąd pojęcia szczególniejsze, chociaż wszyscy wierzą w istność wielkiego ducha. O stworzeniu świata u różnych rodów są podania rozmaite. Według jednych ziemia była niezmiernem morzem i zamieszkiwał je tylko jeden wielki ptak, którego oczy były ogniem spojrzenia błyskawicami, a ruchy grzmotami. Kiedy ów ptak dotknął morza, powstały z niego lądy, a na nich zwierzęta i niektóre z nich w czarodziejski sposób zamieniły się w ludzi. Inne pokolenia mniemają, iż pochodzą od psów albo raków, albo też że ich przodkowie żyli w ziemi i wyszli na jej powierzchnię po winnej latorośli. Wiele innych też jest u nich w tym rodzaju podań. Co do życia po śmierci, wielu jest mniemania, że człowiek ma dwie dusze, z których jedna wstępuje do ojczyzny duchów, zaś druga pozostaje z ciałem i następnie

przechodzi w inne ciało. Do krainy duchów idzie się po drodze mlecznej, ale potrzeba na niej przebywać mnogie trudności, przepływać w kamiennych czołnach szerokie i bystre potoki, po ślizkim grzbiecie węża przechodzić bezdenne przepaście, zaś kto upadnie, ten zamienia się w rybę lub żółwia; na przeciwnym brzegu spotykają przychodnia olbrzymie psy i szczekając, grożą mu rozszarpaniem. Obok Najwyższej Istności wierzą oni jeszcze w mnóstwo duchów podrzędnych, w części im przyjaznych, w części wrogich i z którymi można wchodzić w bliższe stosunki przez czary.

Takimi są Indjanie w stepach amerykańskich, żyjący dotąd w stanie pierwotnym. Wiele jednak z nich już nabyło niejakiego wykształcenia, zajmuje się rolnictwem i chowem bydła, a niektórzy nawet wyczyli się czytać i pisać. Zupełnie uczywilizowanymi mogą być poczytani Czoktasy, między rzekami Redriwer i Arkanzas. Ci nie tylko trudnią się uprawą roli, ale posiadają młyny, tartaki i inne maszyny gospodarskie; ich kraj rządony jest przez wybranych od ludu obywateli, którzy odbywają publiczne obrady, a nawet mają szkoły i wyższe zakłady naukowe, na które przeznaczane są niemałe summy pieniężne.

Grube.

71. Żegluga po rzece Mississipi.

Obszerna dolina Mississipi, w której mogłoby się pomieścić wybornie trzydzieści milionów ludzi, przy ciągłym wzroście i posuwaniu się ludności Stanów Zjednoczonych wschodnich na zachód, liczy dotąd zaledwo dziewięć milionów mieszkańców. Trudno sobie wystawić, jak piorunującej czynności symbolem jest ten olbrzym rzek, toczący z mułem swoich wód ogromne dęby, szczątki pierwotnych lasów i tłum statków, fregat, szalup, magazynów, tratw, sklepów, pracowni, nawet teatrów. Wszystko to się pcha w nieładzie tak straszliwym, o jakim nie można mieć wyobrażenia; wszystko to skacze w natłoku, z pewnym rodzajem młodzieńczej radości Tytana, który tylko co się narodził. Już świecą się na brzegach dachy kilku miast; już kościoły i rękodzielnie pokazały się z tej ziemi, od wczoraj zamieszkałej. Cóż to więc będzie, kiedy cała przestrzeń się napełni, kiedy ta massa wód, szersza dziesięć razy od Tamizy pod Londynem, a więcej niż pięćdziesiąt razy od Sekwany pod Paryżem, będzie obmywać stopy tysiąca siedlisk zamożnych, z czynnemi fabrykami, folwarkami i ogrodami. Od Wisconsin aż do Nowego Orleanu, będzie to tylko jedna wielka ulica

na mil trzysta, na której w miejscu domów będą miasta; ale wówczas nie znajdziemy tego cudnego widoku, który dziś żeglugę po Mississipi czyni tak ciekawą, zwłaszcza w nocy.

Opuściwszy Saint Louis, Mississipi, którą Missouri, jej hołdownik, powiększa ogromną masą swoich mętnych i błotnistych wód



Rzeka Mississipi.

wpada na bardzo nagłą pochyłość i znowu przyjmuje drugi haracz, niemniej ogromny, od rzeki Ohio. Ojciec Ren, który Niemcy czczą jak rzekę największą w świecie, jest niczem w porównaniu z tym olbrzymim potokiem. Co mu nadaje szczególny charakter, to bluffy, znajdujące się na jego brzegach, czyli urwiste pochyłości i przylądki, już to cofające się, już występujące naprzód, a two-

rzące kształty i postawy najrozmaitsze. Skały ostrokątne, piramidy zaokrąglone, spłaszczone, zniżające się ku środkowi, wyciosane z dziwactwem często rubasznem, a które uwieńczone są lasami i wioskami. Podczas pięknej pogody atmosfera amerykańska ma dziwną przejrzystość; powietrze tak jest czystem, iż pozwala oku przenikać aż do ostatnich krańców widnokregu. Była do prawdziwie żywa rozkosz dla mnie, stać na pokładzie wąskiego statku, i patrzeć na uciekające zdaleka te wioski, jakby od wczoraj pobudowane, zawieszane na wierzchołkach gór, lub kąpiące stopy w szumiących wodach, a otoczone już to gęstwiną liści, jak gniazda ptasze, już wiszące na cyplach tak stromych, nad któremi do tego panują tak gęste lasy, że zdawałoby się, iż te domki wpadną zaraz do rzeki.

W każdej chwili olbrzymie parostatki, malowane na czarno i na biało, z kominami białymi i czarnymi, a rurami wymiarów nadzwyczajnych, pływają jedne za drugimi po Mississipi, wyrzucając potoki sinych iskier, które błyszcząc wpadają w czarne łożysko rzeki; pożerają one niesłychaną ilość palnego materiału. Są to statki nadzwyczaj lekkie, zbudowane z desek lada jak spojonych z sobą i mające trwać najwięcej kilka miesięcy. Latają one po wodach, pożerając całe lasy, z chyżością zapalonych strzał, niekiedy giną od ognia, czasami od wody, albo i od obu tych żywiołów. Nie masz nic pospolitszego, jak dowiedzieć się, że Mississipi pochłonęła dwa albo trzy takie statki, z całym ich ładunkiem.

Ta żegluga po Mississipi jest prawdziwym obrazem amerykańskiej cywilizacji. Obszerna rozległość rzeki, aż do jej zejścia się z Ohio, okryta jest statkami tak rozmaitemi, że prawie niepodobna oznaczyć je lub przeliczyć. Najwięcej jest parostatków, których pokład przepełniony podróżnymi. Jedne z nich toną same przez się, inne uderzywszy się o drugi statek giną pospołu. Tu nie bardzo uważają na to. W krajach nowych, gdzie człowiek jest tak małą rzeczą, życie ludzkie także się nie wiele ceni.

Postrzegasz pewien rodzaj białych gór, podobnych do stogów siana, które płyną wspaniale po rzece. Są to paki nałożone wełną, dziesięć lub piętnaście metr w długie, a dwa albo trzy szerokie. Dalej statki płaskie, ścięte po obu końcach, ozdobione niekiedy czemś na kształt skrzydła i kierowane przez dwa wiosła, umieszczone na przedzie, przeryniają wodę, albo raczej pospieszają z nią; budowa ich jest lekka, — przeznaczone płynąć z rzeką, nie mogłyby iść w górę. Kiedy te improwizowane okręty dojdą swego przeznaczenia, rozbijają je i materiały obracają na inny użytek. Taki tu jest przemysł narodu, którego głównie zajmuje szybkość

działania i zysk obecny. Tu i ówdzie pojedyncze barki, zbudowane w kształcie namiotów z desek ledwo ociosanych, unoszą całe rodziny, emigrujące z pościelą, meblami i domowymi zwierzętami; a które skoro tylko przybędą do nowej osady, natychmiast rozbiją w kawałki swoją małą arkę Noego. Niekiedy są to pływające domy, zawczasu przygotowane, które skoro tylko raz zostaną spuszczone na rzekę, przybędą aż do miejsca, gdzie postanowiono zamieszkać. Można widzieć pływające sklepy z sztyldami, modami, towarami kolonialnymi, fajansowymi, wełnianymi. Zamiast użycia konia i dwóch kół, jak nasi handlarze i kupcy jeżdżący z towarami, właściciel uzbrojony jest parą wioseł, które poruszają jego sklep. Są wreszcie i pływające teatry, a na nich marjonetki, kuglarze, cienie chińskie, a nawet i wielkie przedstawienia, gdzie grają sztuki Szekspira między niebem i wodą. Potem nadchodzą długie tratwy z ogromnych drzew wyciętych w oddalonych lasach przez tego, który je spławia, aby sprzedać o kilka set mil od ustronia, w którym rosły. Wszystko to jest olbrzymie, niekształtne, dziwaczne, pełne ruchu, życia i działania. Jest to siła przyrody i siła człowieka, które się przepełniają i walczą razem.

Sceny, które dzieją się na pokładzie tych statków, niemniej są zadziwiające. Na te to szalupy wsiadają kupami kawalerowie przemysłu, których nigdzie niema tak wiele, tak biegłych i tak śmiałych, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki. W ogóle przepędzają oni czas na pomocie na grach hazardowych. Większa część tych szanownych panów uzbrojona jest w rewolwery, to jest pistolety, z których można strzelać siedem do dziesięciu razy bez przerwy. Inni przekładają nóż bowie, z którego robią użytek straszny. Wydarza im się niekiedy zrabować całe miasto, co wykonywają spokojnie, zręcznie, bez najmniejszego hasału. O ile są oni silni, o tyle miasto wystawione na rabunek im się poddaje. Ale często potem można oglądać mnóstwo ciał, wiszących na latarniach. Są to nasi łowcy cudzej własności, których schwytaono i powieszono bez żadnego sądu, ani jakiegokolwiek formy processu.

Ten kraj, który przebyłem prędko, jeszcze jest rządzony tą dziką i doraźną sprawiedliwością, której dawniejsze Stany Zjednoczone już nie znają. W kierunku Karoliny południowej, Luizjany i Nowego Orleanu, a bardziej jeszcze w Texas, mieszanina dzikości pierwotnego życia i zepsutego życia cywilizowanego uderza podróżującego nie mało. Prawo sprawiedliwości doraźnej i bez sądu, tak zwane prawo latarni, ma wielu stronników na południu. Oczewiście, że pustynia, którą starają się owładnąć z taką wytrwałością, oddziaływa na swoich zwycięzców i czyni ich dzikimi jak wilki.

Nikt nie życzyłby tutaj oczekiwać powolnego wykonywania prawa pisanego, jakie jest znane i szanowane, a przynajmniej jakie było szanowane u narodów europejskich. Im bardziej oddala się ku krajom środkowym Stanów Zjednoczonych Ameryki, tem straszniejszem staje się okrucieństwo dzikiego życia. Często miesza się do tego jakieś poważne i pobożne wspomnienie purytańskiego kalwinizmu i ta mieszanina wydaje najdziwaczniejsze w świecie skutki.

Chasles, Podróże po nowym świecie.

72. Kopalnie złota w Kalifornji.

Byliśmy w Kalifornji niedługo po odkryciu w niej kopalni złota. Zrzucamy kotwicę w przystani San Francisco, przy ujściu dwóch rzek: San Sacramento i San Joachim. Przystań pyszna, jak żadna w Ameryce, okolica powabna, ale miasto samo nędzne, a co najgorsza, że w niem prawie nie było mieszkańców. Jeszcze przed kilkoma miesiącami to miasto było ożywione czynnym ruchem, jeszcze było kwitnące i szybko wzrastające w pomyślność, a my znaleźliśmy je pustem i bezludnem, bo wszyscy mężczyźni tłumnie je opuścili i pociągnęli do kopalni złota, odkrytych niedaleko za fortem Sutter. Opuściliśmy miasto, w którem prócz starców i dzieci pozostały tylko kobiety; ale i z tych silniejsze pociągnęły do kopalni i tam zarabiają dziennie, w co trudno uwierzyć, po dwie uncye złota, to jest po 300 złotych polskich.

Wszędzie, gdzieśmy tylko przejeżdżali, wszystko było zaniedbanem i opuszczonem, młyny próżnowały, na polu konie i bydło pasło się w zbożu, domy i osady waliły się, kościoły nawet i plebanije zostały bez służby Bożej. Gospodarze, urzędnicy, adwokaci, lekarze, księża, mnichy i zakrystyany, wszystko poszło szukać złota.

O półtorej mili geograficznej od fortu Sutter, leży miejsce zwane dolną kopalnią. Tam ujrzelśmy na pagórkach tysiące namiotów, baraków i szałasów, a nad brzegiem rzeki, pomimo najokropniejszego skwaru, parę tysięcy ludzi skwapliwie pracowało nad płukaniem złota, odbywając to w sposób jak najprostszy, za pomocą koszyków, kobiałek i przetaków. W parowach gór tej okolicy i w łożyskach strumieni wyschłych latem, bardzo często znajdują się kawałki złota, ważące do pięciu uncji, połączone mechanicznie z kwarcem, co właśnie jest powodem, że je woda nie mogła zanieść daleko od pierwotnych pokładów. Małe strumyki, spadające do złotego San Sacramento i doliny tej rzeki

zdumiewają bogactwem szlachetnego kruszcu. Pokazano nam wąż na 300 stóp długi, 4 szeroki, 2 głęboki, z którego dwaj znani nam ludzie wydobyli w przeciągu kilku dni, ilość złota, wartującą przeszło 17,000 dolarów. Mnie się zdaje niezawodnem, że jest jeszcze dużo takich miejsc, dotąd nieznanych i nietkniętych. Dzielne dobyte złota, płukanego w miesiącu bieżącym, podają tutejsi statystycy na 50,000 dolarów, czyli blisko 70,000 rubli.



Poszukiwanie złota.

Cała prawie okolica znana z pokładów złota, z małemi wyjątkami, jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki. Rząd jednakże nie ma tu dziś dostatecznej siły materialnej na utrzymanie swej powagi właściciela i kto tylko chce, ten zbiera złoto, nie pytając się o pozwolenie. Już się zdarzyło, że wojsko posłane na rozpedzenie ludności szukającej złota, samo rozeszło się, dla wygrzebywania bagnetami pożądanego kruszcu. W krótkim czasie tyle tu zbiegnie się ludzi i powstanie tyle nieprawych przywłaszczycieli wspólnego bogactwa, że może żaden rząd im nie podda.

Przechodzi wyobrażenie, jaki szła pracy ogarnęła tu nie tylko anglosaskich przybyszów ze Stanów Zjednoczonych, ale i hiszpańskiego pochodzenia mieszkańców tych krain, niegdyś tak żyznych, że każdy z nich mógł siebie wyżywić jak najwyborniej pracą parogodzinną na dzień i resztę dnia przepędzać obyczajem hiszpańskim w gnuśności, lub też w szalonej uciechu, harując na koniach, grając w karty, pijąc i śpiewając od rana do wieczora z przyjaciółmi, lub też z pierwszym lepszym gościem. W przeciągu jednego roku zmieniły się w sposób zdumiewający wszelkie stosunki na całym obszarze Kalifornji, a ten obszar Humboldt obrachował na 4000 mil kwadratowych. Gościnność, wesołość, taniłość, znikły razem z gnuśnością; każdy Hiszpan chce teraz być milionowym panem; opuszczono żyzne pola, konie zdziczały, bydło pociągowe i robocze zjedzono, wszystko rzuciło się do kopalni, trawiąca gorączka chciwości ogarnęła umysły.

Kopalnie złota ściągnęły do Kalifornji ogromny napływ ludności i skutkiem tego było podniesienie się w niej rolnictwa, przemysłu i handlu. Przekonano się, że istotne bogactwo tego kraju polega nie na złocie* które wydobywają z wnętrza jego ziemi, lecz na żyzności tej ziemi. Jeżeli można wierzyć statystycznym cyfrom, jakie widziałem, już szóstą część ornych gruntów zostaje tu pod plugiem. Głównymi produktami są i zawsze będą zboża. To co sprzątają z pola, wystarcza nie tylko na potrzeby miejscowe, ale także na znaczny wywóz mąki do Japonji, Chin i Meksyku. Rozumie się, iż wywóz będzie się powiększał z każdym rokiem. Nie sądzę atoli, żeby kiedykolwiek zboża z ponad oceanu Spokojnego mogły naprawdę współzawodniczyć z zapasami olbrzymich i niewyczerpanych śpichlerzy Minnesoty, Wisconsinu i innych Stanów środkowych. Zboże kalifornijskie musi być i nadal wywożone tylko do Ameryki południowej i na krańce Wschodu.

Z pomiędzy różnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego, najlepiej się tu opłaca sadownictwo i w ogóle ogrodnictwo. Są okolice, gdzie grunt zajęty pod hodowlę drzew owocowych i uprawę jarzyn przynosi zyski bajeczne. Rozwija się też hodowla winogrodu. Bardzo mi chwalono tutejsze wina, ale nie widziałem, żeby je kto pił. Nie sądzę, aby mogły wytrzymać współzawodnictwo z francuzkami, nawet na miejscu. Wzdłuż kolei żelaznych, mianowicie zaś nad tą drogą, która przerywając całą północną część Kalifornji i cały Oregon, wkrótce połączy zatokę San Francisco z Portlandem, cena ziemi wzrasta w stosunku niesłychanym.

Im więcej rozwija się tu handel, przemysł i rolnictwo, tem silniejsza wzmaga się reakcja przeciwko eksploatacji kopalni.

Często rozprawiano o tém w mojej obecności. Słyszałem nawet, jak ludzie, którzy w takiej materji są powagą, występowali ze zdaniem bardzo według mnie paradoksalnem, a mianowicie, że koszta eksploatacji pochłaniają zyski i że tyleż złota zakopano w ziemi, ile go z niej wydobyto. Takie niechętnie usposobienie względem eksploatacji kopalni rozszerza się coraz bardziej. Liczne są do tego powody i same na myśl przychodzą. Przybywający tu pojedynczo poszukiwacze złota nie przywożą z sobą żadnych kapitałów, nie przedstawiają żadnej rękjmi moralności i w ogóle stanowią klasę wychodźców najmniej godną poszanowania; w kopalniach ulegają wpływowi atmosfery zepsutej, jaka tam istnieje; tytuły własności nie są ściśle oznaczone. Zład bezustanne bójki, to pomiędzy różnemi bandami górników, to znowu między górnkami a plantatorami. Cały byt tych ludzi jest ciągłą protestacją przeciw zasadniczym warunkom życia ucywilizowanego. Co do rządu, to widocznie zbywa mu na środkach, albo na ochocie, zmuszenia ich do posłuszeństwa prawu. Lecz nie koniec na tem. Doświadczenie przekonało, że z wyjątkiem rzadkich przypadkowych wydarzeń, indywidua nie mogą walczyć ze stowarzyszeniami. Dorszedszy prędzej lub później do upadku, do ruiny, przestają pracować i zamieniają się odtąd w postrach plantatorów! Są to prawdziwi bandyci, plaga kalifornijskiego społeczeństwa. Zresztą i stowarzyszenia, a są między niemi większe i mniejsze, wszystkich około trzech tysięcy, bywają narażane często na znaczne ryzyka; olbrzymim zyskom odpowiadają rujnujące straty; cała ich działalność w gruncie rzeczy jest ogromną grą hazardową, gdyż niepewność i chyżość zysku lub straty stanowi charakterystyczną jej cechę. Słusznie z tego powodu utrzymują, że poszukiwanie złota jest nieustającym źródłem demoralizacji. Z punktu zaś zapatrywania się czysto materialnego, jest to ciągłe niszczenie gruntów ornych, które mogłyby być użytkowane inaczej, gdyby je uprawiano, zamiast kopać do głębi. Dość jest przebiezd kolejną okręgi górnicze, żeby zrozumieć, na jak rozległą skalę odbywa się to niszczenie. Gdzie tylko odbywano prace hydrauliczne, tam wszędzie z najżyźniejszego gruntu pozostał tylko chaos kamieni i żwiru.

Ale sam nadmiar złego stanie się tu lekarstwem. Przyjdzie chwila, kiedy rolnictwo, już i dzisiaj rozwijające się olbrzymim krokiem, będzie w stanie wystąpić do zwycięzkiej z górnictwem waiki o ziemię. Będzie to szczęśliwa rewolucja, której lepsza i znacznie cząstka ogółu wyczekuje z upragnieniem. „Kopalnie są dla nas klęską“, oto co tu słyszę od wszystkich. Najlepiej scharakteryzował to przekonanie jeden kaznodzieja protestancki z San

Francisco. „Nie łudzmy się“, powiedział. „Historja dowodzi, że żadne społeczeństwo nie mogło się dobrze uorganizować na ziemi złotodajnej. Sama przyroda w takim kraju odznacza się złą wiarą. Psuje ona człowieka, łudzi go, oszukuje, sztydzi z jego pracy podejmowanej w pocie czoła, robi z niej hazardowną zabawkę, a słowo ludzkie zamienia w kłamstwo.“

Z podróży dra. Tripplina i bar. Hübnera.

73. Miasta w Meksyku.

Co odznacza szczególnie miasta meksykańskie, to proste ulice, obszerne place, wielkie domy, murowane z kamienia i z płaskimi dachami, mnogie kościoły z błyszczącymi kopułami, ogromne, podobne do obronnych zamków, klasztory i wspaniałe wodociągi. Przedmieścia wewnątrz kraju są niepokazne, brudne i zamieszkałe tylko przez najuboższą ludność; dokoła nędznych chat leżą kupy gruzu i śmiecia, zwłoki zdechłych zwierząt i wszelkiego rodzaju nieczystości; w pośród tych uwijają się chude i zgłodniałe psiska i zlatują żarłoczne sępy; zaś podróżny omija je przyspieszonym krokiem, by oszczędzić wrażeń, nazbyt wstrętnych dla oczu i dla nosa. Na pobrzeżach wschodnich przedmieścia składają ogrody, pełne drzew owocowych, mianowicie pomarańcz, granatów, mangoś, drzew kawowych i innych, z pomiędzy których mile przezierają, kryte czerwoną dachówką, domki. W samych miastach ulice są brukowane i mają po obu stronach podniesione chodniki dla pieszych.

W każdym mieście meksykańskim najcelniejszym miejscem jest główny plac, którego jedną stronę zajmuje kościół katedralny, a po innych wznoszą się ogromne kamiennice. Dolne ich piętro składa się z otwartych pod arkadami przechodów; tam są różne sklepy, magazyny, kawiarnie i winiarnie. Środek placu zwykle zdobi jakiś pomnik, albo piękna studnia; tamże często sadzone są rzędami drzewa i pod nimi urządzone ulice do spacerów. Po małych miasteczkach tamże odbywają się tygodniowe targi. Trudno jest wystawić sobie coś piękniejszego, jak rynek w Kordubie. Biali i Indianie, Metysy, Mulaci i Negry, wszyscy ubrani czysto, tłoczą się zmieszani w pstrą cizbę. Nie masz nigdzie takiej różnorodności owoców wszystkich stref, jak tu na pograniczu krajów gorących i umiarkowanych. I ten wir życia obejmuje pyszny krajobraz przyrody zwrotnikowej; wyniosłe palmy i szerokolistne banany z wolna się kołyszą w łagodnym powietrzu; zaś głąb krajobrazu

zamyka piętrząca się Orizaba, ze swoim ostrokągowym i błyszczącym wiecznymi śniegami szczytem.

Ten plac miejski jest dla Meksykanów tem, czem dla dawnych Rzymian było forum. Każde wydarzenie tutaj miewa pierwszy rozgłos; tutaj bywa obchodzoną każda uroczystość, tutaj odbywają się wybory, tu wygłaszają publiczne mowy, tu bywają popisy miejskiej straży, palą się ognie stuczne i t. d. Przed nabożeń-



Na ulicy w Meksyku.

stwem i po nabożeństwie obywatele przechadzają się pod arkadami kamiennic i wieczorami zachodzą tamże, by napotkać kogo ze znajomych, usłyszeć co nowego, lub pogadać o interesach. Tam oparci co filary wróżbici udzielają swoich wyroczeni, poganiacze mułów szukają, komu się wynająć napowrót, tandeciarze z różnymi fatalaszkami wystawiają na pokaz swoje świecidełka przechodzącym młodą panienkom, które żadnym okiem przypatrują się błyszczącym w ich rękach naszyjnikom i kolczykom.

Z tego placu rozchodzą się celniejsze ulice, na których piękne

domy zamieszkałe są przez zamożniejszych obywateli. Największy ruch bywa tam w godzinach przedpołudniowych: urzędnicy śpieszą do swoich biur, kupcy do swoich kantorów, faktorowie biegają w sprawach handlowych, lekarze nawiedzają mieszkania panów, muły idą obciążone towarami, osły dźwigają pełne wory, Indianie biegną ze swojemi noszami na rynek, gdzie sprzedają owoce i jarzyny, snuje się mnóstwo mnichów w różnobarwnych sukniach, księża świeccy idą do swoich kościołów, studenci w długich sukniach i biretach idą słuchać swoich odczytów, damy w czarnych jedwabnych sukniach i zarzuconych na głowę, obszytych koronkami mantylach, idą krokiem poważnym i uroczystym do kościoła, lub na targ. Przekupnie wszelakiego rodzaju obwołują roznoszone przez siebie towary, chłopcy z piekarni świeży chleb, inni pieczone dzikie kaczkę, Indianki swoje owoce, i jarzyny, wreszcie inni swoje trzewiki, chustki, gazety, świstki i t. d. Często na środku ulicy stoją krowy, wydojone przed domami swoich właścicieli. Latem przeciągają też po ulicach przekupnie lodu i świeżej wody, a obok nich inni z cukierkami i ci obwołują swoje, pożądane podczas upałów, przysmaki.

Warsztaty rzemieślnicze stoją otworem i z ulicy widać wszystko co się w nich robi; krawcy, szewcy, siodlarze, na swoich niskich stołkach, wyjeżdżają często aż na ulicę; podobnie i blacharze kotlarze, złotnicy pracują przy otwartych drzwiach; srebrnicy są i po wsiach, bo wszystkie ozdoby robią tu z czystego srebra i złota. Meksykanie mają to do siebie, iż jakiegokolwiek rzeczy wolą nie mieć wcale, aniżeli mieć ją nie w najlepszym gatunku. Dla tego na targach przednie bawełniane chustki mają pokup, a gorsze, choć tańsze, nie znajdują kupców. Kto nie może mieć pończoch jedwabnych, woli nie nosić ich wcale. Od samego rana aż do południa dzwony nie ustają; kościołów i klasztorów jest bowiem wiele i te poczytują sobie za powinność i zaszczyt często wzruszać powietrze metalicznemi głosami, nawołującemi do modlitwy. U wielkich dzwonów powróż bywa zawsze przywiązywany do serca, by uderzać niemi w miarę według upodobania.

C. Sartorius.

74. Andy.

Pasma Andów, gór najwyższych na lądzie zachodnim i mało co ustępujących najwyższemu szczytom ładu wschodniego, ciągnie się nieprzerwanie przez sześćdziesiąt stopni szerokości geograficznej, od północnej do południowej kończyny Ameryki. W Chili pasmo

to, jeszcze pojedyncze, dochodzi już 12,000 stóp wysokości i zajmuje wszerz na powierzchni około 20 mil. Ogólny charakter Andów zupełnie jest różnym od charakteru Alp szwajcarskich i tyrolskich. Przedewszystkiem i najwięcej uderzają tutaj straszne pustkowia, niezmierne, gołe, wysokie nieraz na 2000 stóp i strome skały, doliny przepaściste, z bardzo skąpą roślinnością, wreszcie skały i skały ciągnące się bez końca i wszędzie przejmująca strachem pustynia. W zarysach Alp panuje niezwykła różnaitość: tam wierzchołki wznoszą się jeden nad drugi; obok szczytów zaokrąglonych jak banie, wystają ostre piramidy i wierzchołki rozdzielone. Nic podobnego nie masz w Andach; tak zdaleka, jak i zbliżka przedstawiają one wał niepodzielny, po nad który tylko rzadko gdzie wystają pojedyncze szczyty. Osobno wzięte grupy tych gór ukazują się wszędzie jako niezmierne, ale jednostajne masy. — A jednak widok ich przeto jeszcze jest wspanialszym. W europejskich Alpach, pomiędzy górami w rozmaitych wysokościach, ciągną się mniej więcej szerokie i okryte zielonością doliny, na których bujna roślinność daje się widzieć aż do samej granicy wiecznych śniegów; wszędzie tam są lasy, niżej liściowe a wyżej iglaste; lodowce sinieją spuszczając się z najwyższych rozpadlin grzbietu i w dolinach często zalegają zwierciadlane szyby jezior, których brzegi tworzą to nagie skały, to gęste zarośla, to wdzięczne i ubarwione kwiatami łąki. Żaden podobny temu widok nie rozwesela w Andach; wszędzie nagie skały mają barwę ciemną, siwą, lub żółtawą, aż do wysokości, w której wieczne śniegi tworzą jednostajną białą jakoby płaszczyznę. Tu i ówdzie dziko czerwienieją skały porfirowe ze szczytami rozdartymi, a pomiędzy niemi zalegają wązkie, ciemne i głębokie nieraz na 5000 stóp parowy, które jednak ciągną się niedaleko, by mogły być dolinami i zwykle zasypane są odłamami skał i gruzem. Tylko karłowate krzaki i biedne pączki traw, niemogące utworzyć zielonej murawy, wydobywają się z trudem z rozpadłych skał. W bezludnych pustkowiach tych gór nie widać nigdzie śladów ręki człowieka, która przeobraża wszystko, czego się dotknie i umie wszędzie nadać odmienną cechę widokom dzikiej przyrody: ani miłych i spokojnych zagrod wiejskich, ani ruchliwych i gwarnych miasteczek, ani kunsztownie w skałach wyciosanych dróg, ani skrętnie wyzyskanych i starannie uprawnych pól. Tu nie pozdrawia wędrowca wołanie pastucha, kiedy o świcie wdziera się on na strome skały, ani wita go spokojny odgłos dzwonu wiejskiego kościółka w dolinie, kiedy wraca wieczorem. Te góry, będące prawdziwą pustynią, nigdy nie były zamieszkane i takimi pozostaną, aż dopóki powolne i stop-

niowe działanie czynników zewnętrznych nie zmieni ich przyrody o tyle, że jak gdzieindziej, z opok, skał i gładów wytworzy ziemię roślinną.

E. Poppig.

75. Lima i wyspy guano.

Było to w Grudniu, gdy wysiedliśmy na zachodnie brzegi Ameryki południowej, u przylądka wyspy Świętego Wawrzyńca, która zamyka przystań Callao. Im bliżej lądu, tem więcej widzieliśmy krzyżujących się z sobą rozmaitej wielkości łódek lanchas, szalup, gondol i tem większa dolatywała nas wrzawa z grobli portowej. W pośród niej dawał się słyszeć świst dającej znać o sobie lokomotywy. Tak tedy przybiliśmy do Ameryki i to po jej drugiej stronie, opłynawszy ją dokoła przylądka Rogowego. Byliśmy na oceanie Wschodnim o 3, do 4000 mil od Niemiec. Między nami a starym światem, leżał w całej swojej szerokości ląd amerykański, a za nim również w całej szerokości ocean Atlantycki.

Niedługo bawiliśmy w porcie Callao, gdzie nie masz nic prócz tego, co ściąga się do żeglugi i handlu. W pół godziny po wyjściu na ląd, siedzieliśmy już w wagonie, który unosił nas do Limy, stołecznego miasta Peru. To szczęście, że jest droga żelazna w tym kraju, gdzie drogi bite są dotychczas rzeczą nieznaną. Wspomnimy tu nawiasem, iż ten brak dobrych dróg i porządnych środków komunikacyjnych jest największem nieszczęściem Peru i główną przyczyną ubóstwa tego kraju, obfitującego w złoto, a oraz uderzającym dowodem, jak źle i po prostacku gospodarowali tu Hiszpanie. Można by pomyśleć, że przybyli tu oni z jakimś uprzedzeniem do wszelkich dobrych dróg. Bez tego, czyżby oni mogli zaniedbać wielką bitą drogę, zrobioną jeszcze przez Indjan, która szła od dawnej stolicy Inkasów do wszystkich główniejszych miast ich państwa i śmiało mogła równać się z najlepszymi drogami w Europie i tak haniebnie dać jej upaść, aby tuż obok łamać sobie karki na zaimprovizowanych przez siebie drogach, a raczej bezdrożach? Jestto rzecz tak prosta, że nie daje się wytłómaczyć niczem, jak tylko dumą hiszpańską, która niechciała i wiedzieć o jakimkolwiek pogańskim dziele Indjan. Gdyby przed trzema wiekami Pizarro, zamiast podbijać ten kraj dla Hiszpanji, połączył się z Inkasami i założył w nim państwo niepodległe, to może los Peru byłby teraz innym i lepszym. Nie-

podlegały ten kraj następnie hiszpańskim rządóm i hiszpańskiej chciwości złota, a w ostatnich czasach, południowo-amerykańskiemu republikanizmowi, które doprowadziły go w końcu do tego, że dziś pobrzeżne jego miasta dostają zboże i jarzyny ogrodowe dla większej taniości z Chili, a nawet z Europy; że niebiją w kraju pieniędzy, bo koszta na to przechodzą wartość samychże pieniędzy i że Peru, przy wszystkich swoich skarbach, od dawnaby zginęło z głodu, gdyby jeszcze nie podtrzymywało się swoim guano.



Lima.

Lima, stolica państwa, jest świetnym szyldem, wywieszonym nad krajem zupełnie podupadłym; i ktoby chciał o Peru sądzić z jego stolicy, tenby strasznie się omylił. Ta stolica posiada 100,000 mieszkańców, proste, długie i szerokie ulice, przeszło 70 kościołów i klasztorów; hoteli, zajazdów, szynkowni co niemiara; muzeum, uniwersytet, wiele zakładów naukowych, pałac rządowy i inkwizycji, sklepy i magazyny, w których świecą wszelkie zbytki, jakich tylko dostać można za pieniądze; przejeżdżają po niem piękne pojazdy, w których siedzą panowie i panie, ubrane według ostatniej

paryżkiej mody, a za którymi stoi liberja w srebrnych i złotych galonach; po kościołach księży występują w złotych ornatach, na ulicach i publicznych placach straż miejska i policja w karmazynowych spodniach konno; wreszcie massa popółstwa taka, jak po wszystkich wielkich miastach; słowem jest tu wszystko, czego tylko wymaga nowoczesna cywilizacja. Ale kto chce choć na chwilę wyjść za bramy miasta, dobrze zrobi, kiedy zaopatrzy się w parę nabitych pistoletów; albowiem tuż za bramą tego zamorskiego Paryża daje się zaraz poznać z właściwej strony ów miły kraj, którego jest on szczęśliwą stolicą; a nawet i w samem mieście, w przytykającej do bramy aleji topolowej, jedynem publicznem miejscu przechadzki, jakie posiada Lima, każdego wieczora grozi niebezpieczeństwo być obdartym do koszuli.

Peru, odkąd wybiło się na niepodległość, jest rzecząpospolitą i ma prezydenta, który, po niejakim czasie panowania, bywa zwykle w skutek maleńkiej rewolucji zrzucanym i wypędzanym. Wówczas kiedy jest bez pieniędzy, może umierać z głodu. W takich okolicznościach rzecz bardzo jasna, że każdy tymczasowy naczelnik rzeczypospolitej, a z nim i wszyscy jego przyjaciele i stronnicy, którzy od najpierwszego ministra do ostatniego celnika z nim razem powstają i padają, myślą przedewszystkiem o zabezpieczeniu swojej wielce niepewnej przyszłości. Obecnie właściwy i prawie jedyny dochód państwa stanowi guano. Ogólnym dzierżawcą wszystkich jego pokładów jest jeden dom handlowy angielski, który, oprócz umówionego rocznego czynszu, dawać musi rządowi i zaliczki w miarę jego potrzeb. Za lat kilka pewnie i ostatnie kawałki guano będą sprzedane za gotówkę, z której można zaręczyć, iż nie znajdzie się w skarbie państwa ani jednego srebrnego dolara.

Gdy ujrzelśmy z naszego statku wyspy Chinchas, jak trzy czarne punkciki na końcu morskiego widnokregu, majtkowie krzyknęli: „Otóż i wyspy gówniane!“ a kapitan zapytał, czy nie czujemy już ich zapachu? W rzeczy samej im bliżej, tem mocniej zaczęła nas dolatywać od guanowych skał woń salmiaku. Omdlewałem prawie od nudności, jaką sprawiał mi ten smród, przez cały czas ładowania statku; ale poszło to jakoś lepiej i prędzej, niż się zrazu zdało. Gorzej było majtkom, kiedy musieli to łopatami zgarniać nabrane guano z pokładu na dół; i niejeden z nowozacieżnych padł przy tej robocie bez zmysłów. Najnieznośniej bywa, kiedy okręt stawa pod mangueras, to jest bułakami i żłobami na skałach, z których, z wysokości od 60 do 80 stóp, zrzućcanem bywa guano. Wtedy obejmuje ono wszystko swoim du-

szącym świadem. Za to w taki sposób ładowanie odbywa się najprędzej i w kilka dni zapełnia się największy okręt. W czasie naszej bytności, stało na kotwicach u wysp Chinchas do 170 okrętów i niektóre musiały wyczekiwać 30, 60 i 100 dni na swój ładunek.

Już zmierzchało, kiedy przyszlśmy na miejsce, gdzie kopano i wyrąbывano żelaznemi oskardami guano, które jedni poczytują za gnój ptaszy skamieniały, a drudzy za pewny rodzaj lawy. Zastaliśmy około 50 Chińczyków, męczonych tą robotą. Jedni rąbali te śmierdzące pokłady, drudzy ładowali je na taczki i zwozili na tuż stojący wielki wóz. Nad nimi stał krępy jak dąb Murzyn i wysoki jak dąb Hiszpan, z twarzą silnie ogorzałą i iskrzącemi się z pod cienistych brwi oczyma, zupełnie podobny do herszta rozbójników. Jeden i drugi trzymał, zwieszony z małego palca prawej ręki, godło swojej władzy: bicz pleciony z surowej byczej skóry, który często spadał na plecy to tego to owego robotnika. Kiedy wóz był pełny z wierzchem, Murzyn popędził i głosem i biczem dwoje zaprzężonych do niego bydła, w postaci człowieka i te puściły się biegiem ze swoim ciężarem, rozpościerającym w około duszącą smrodem kurzawę, zaciągnęły go do mangueras i przewróciwszy, wyrzuciły wszystko na stojący pod skałą okręt; poczem wrócili przechodząc około nas, jedni spokojnie i w milczeniu, drudzy szczerząc zęby i wystawiając język, inni wyprawiając różne skoki. Prawdziwy strach mię ogarnął, kiedy nasz przewodnik, wskazując mi na jednego, wywracającego takie koźły, rzekł: „Widzisz pan tego niecnotę? Czy dasz pan temu wiarę, że nie dalej jak wczoraj rano dostał on trzydzieści takich batów, jakie pan widzisz, które przecinają skórę i po których trzeba koniecznie zmywać rany słoną wodą, bo od gorąca zaraz one gniją? —“

Ażeby dostać tych chińskich robotników, Amerykanie wzięli się na sposób godny siebie. Korzystając z tego, że w Chinach rokrocznie wiele ludności, dla braku miejsca, musi wynosić się ze swego kraju, łapią oni biedaków, którzy chcą przesiedlać się do Ameryki i zobowiązują ich kontraktami na piśmie do uiszczenia za przewóz na miejsce 80 dolarów, a w razie niemożności do wysługiwania za to od 5 do 8 lat; i taką ofiarę oszukaństwa legalnego, za przybyciem do Ameryki, oddają na robotę komukolwiek, to jest po prostu sprzedają na czas oznaczony w kontrakcie. Jest to więc zupełna niewola, tylko czasowa, ale za to tém gorsza. Taki robotnik bywa traktowanym gorzej niż robocza szkapą; i w kraju, gdzie są prawa przeciwko ciemieniu i dręczeniu zwierząt, tych niewolników czasowych niezastanawiają prawa żadne. Stali

niewolnicy Murzyni mają przynajmniej wolne od roboty dnie niedzielne i świąteczne; niewolnicy czasowi chińscy nie mają i takich, bo niema o tem wzmianki w kontrakcie. Murzyna kupuje się drogo i odprzedać można również drogo; przeto go się cokolwiek szanuje; chińczyka na lat kilka nabywa się tanio, a odprzedaje się jeszcze taniej; zatem pozostaje tylko przez czas zawarowany w kontrakcie wycisnąć z niego tyle pracy, ile on może wytrzymać. Znośniejszą też jest bez porównania dola tutejszych niewolnych Murzynów, od tutejszych niewolnych Chińczyków. Prawda, że pierwszych smagają batami do krwi; ale drugich smagają aż do kości.

Dr. F. W. Gravenhorst.

76. Równiny Ameryki południowej.

Od północnych krańców Ameryki południowej, gdzie pasmo gór Wenezuela ciągnie się po nad brzegami morza Karaibskiego, aż do cieśniny Magellańskiej, całą prawie i drugą połowę lądu zachodniego zajmują też niezmiernie płaszczyste, które, jak w północnej jego połowie, ograniczają od zachodu Andy, a od wschodu wzgórza Wenezueli, Gujany i Brazylii. Na południowym swoim końcu dochodzą one aż do samych brzegów oceanu Atlantyckiego. W największej ich rozległości od zachodu na wschód, przerzyna je największa z rzek Ameryki i całego świata, Amazona. Pomimo że te płaszczystiny w największej części są pod palącymi promieniami zwrotnikowego słońca, niepodobne są one bynajmniej do wielkiej płaszczystiny afrykańskiej Sahary. Takie podobieństwo miałyby miejsce wtedy, gdyby inną była własność ich gruntu, a szczególnie gdyby pasmo Andów leżało nie na zachodnim, a na wschodnim brzeżu Ameryki. Wtedy wiatry stateczne, niosąc z sobą pary wyciągnięte przez atmosferę z oceanu Atlantyckiego, oddawałyby je w deszczach tylko wschodnim stokom tych gór, jak to ma miejsce w Afryce, zasłoniętej od wschodu przez góry Lupata i niezraszałyby niemi całej leżącej przed temi górami równiny. Ta niezmierna przestrzeń, równająca się prawie całej Europie, dzieli się na trzy części, z których każdą odznacza jej właściwy charakter. Część północna, najmniejsza, zawiera stepy zwane llanos i jest właściwie doliną rzeki Orinoko; część średnią, zwaną silvas, będącą doliną rzeki Amazony i przechodzącą pięć razy obszerność Niemiec, okrywają w całej rozciągłości nieprzybyte lasy pierwotne; część południowa zawiera stepy, zwane pampas i roz-

ciąga się o tyle, że kiedy w stronie północnej ma palmy, południowa jej część przedstawia pola, pokryte wiecznym lodem.

Pomiędzy stepami obudwu Ameryki, najodludniejsze są pampasy. Zaczynają się one już od północno wschodniej części Ziemi Ognistej; dalej na północ, ciągnąc się przez całą Patagonję aż do rzeki Colorado, przedstawiają wszędzie kamienistą pustynię, której jednostajność przerywają tylko kępki ciemnych traw, niskie krzaki tarnu, małe jeziorka słone i pokłady soli, podobne do świeżo spadłych śniegów. Tu i owdzie przerzyna płaszczyznę suchy parów, albo łożysko jakiej nieznaczej rzeczki, której wody nie są w stanie zasilić gruntu wilgocią. Deszcze tu są bardzo rzadkie; po skwarnych upałach następują ostre chłody i nawet tuziemcy Indjanie uciekają z tych pustyni, kiedy złączą świszczęć po nich przynikające mrozem orkany. W tych pustyniach żyją touyou, zwierze podobne do kazuara i zdziczałe psy, mieszkające gromadami w podziemnych jamach

Za rzeką Colorado na północ, znika grunt nagi kamienisty, a zaczyna się ziemia wapnista, na której niewidać ani drzew ani krzaków, a tylko wszędzie jednostajne grube trawy. Gdziegdzie w bardzo znacznych odległościach, pokazuje się samotne umbu, jedyne drzewo, wyrastające na tym gruncie. Całą tę ogromną przestrzeń, rozciągającą się od stóp Andów na mil 200, aż do oceanu Atlantyckiego, zajmują pampasy Buenos Ayres. O 40 mil na zachód od Buenos Ayres, w porze zwykłych deszczów ukazuje się tam stepowa roślinność ze swoją świeżą zielenią, potem z wiosną trawy wędną i pozostają tylko wysokie na 10 stóp osty z długimi kolcami; w lecie usychają one całkiem i wiatry łamią je i rozmiatają po stepie. Dalej na zachód równiny okrywają gęste i wysokie trawy, usiane różnobarwnem kwieciami, któremi pasą się niezliczone stada bydła i koni. Dalej idą bagna i trzęsawiska, potem kamienista i przzerwana parowami płaszczyzna, a nakoniec u podnóża Andów, gęste zarośla cierni i karłowatych drzew.

Dalej na północ ciągnące się płaszczyzny, które przerywają rzeki Parana i Paraguaj ze swojemi licznymi dopływami, wkraczają już w strefę gorącą. Okryte bujnymi trawami, dającymi najobfitsze pastwiska, okazują już i zwrotnikowe rośliny, między innymi palmy. Gaje pomarańczowe i inne najrozmaitsze rozrzucone są jak kępy, na zielonem i upstrzonem najrozmaitszemi kwiatami morzu traw. Wpółród tych stepów rozrzucone są domki wiejskie rzadkich mieszkańców. Dochodząc zwrotnika południowego, na zachodniej stronie Paraguaju, zielony step zmienia się w piasz-

czystą pustynię, która wydaje tylko aloesy i różne rodzaje kaktusów. Za tą pustynią na północ zaczynają się już kraje lesiste.

Pampasy Buenos Ayres u stóp Andów mają poziom bardzo niski. Tam przeto spadające z gór potoki rozlewają się w jeziora, bagniska i nachodząc na pokłady soli, tworzą z nich jeziora słone. Wszystkie te stojące wody, nieraz bardzo rozległe, zarastają wodne rośliny. Kiedy od deszczów i topniejących w górach śniegów wzbierają górskie potoki, wtedy i wszystkie rzeczony jeziora i bagna występują ze swoich brzegów i zatapiając całą płaszczyznę, roznoszą po niej użyzniający muł. Wtedy giną niezliczone stada pasących się na stepach zwierząt. Podobnież zagrażają im zgubą pożary w tych stepach, szczególniej straszne, kiedy trawy są suche.

Silvasy, składające drugą średnią część wielkiej równiny Ameryki południowej, mają grunt nie tak jednostajny, ale zarosły wszędzie przez lasy tak gęste, iż przebywać je można tylko po licznych rzekach, które wszystkie są dopływami jednego wielkiego zbiornika Amazony. Cała ta przestrzeń jest jedną lesistą płaszczyzną, ciągnącą się na 330 mil wzdłuż i od 70 do 170 mil wszcz, po obu stronach rzeki głównej. Ziemia tu jest nadzwyczajnie płodną. Padające i gnijące drzewa tych lasów pierwotnych użyzniły ją na lat tysiące. Nieznośne parne gorąco zalega w niedostępnych i nieprzebytych gęstwinach tych puszczy, do których nie dostaje się nawet powiew wiatru. Te równiny, które zdaje się wybujała roślinność zwrotnikowa wzięła w swoje wyłączne posiadanie, całą swoją potęgą zagradzając do nich przystęp człowiekowi, temu nieodzownemu niszcycielowi i przeobraźcielowi przyrody dzikiej, w porze deszczów perjodycznych zatapiane są przez silnie, jak wszędzie w tym czasie, wzbierające rzeki. Podnoszące się z nich obficie pary tworzą gęstą mgłę, która okrywa te wszystkie lasy i jak śnieżne morze rozlega się po nad wysokie i rozłożyste szczyty olbrzymich drzew, oplecione jak zwykle i powiązane z sobą wijącemi się po nich lianami. Od wschodu słońca aż do zachodu, martwa cisza panuje w tych zaroślach; potem rozlegają się w nich przerywane i straszliwe głosy tysięcy zawieszkujących je zwierząt; o północy znowu robi się cicho, aż przed rannym świtem znowu wszystko budzi się z uśpiania i dziki ryk mieszkańców puszczy wita nadchodzący dzień. Wpółśród tych przerażających głosów można dosłyszeć i kwilenie drobnych ptaszek i czarujący śpiew słowika. Niepodobna jest opisać jaka trwoga i niepokój objawia się w całej puszczy, pośród jej zwierzęcego i ptaszego świata, kiedy nadchodzi burza. Pary upał zdaje się dochodzić do przesilenia, a w tem zaczynają się kołysać wierzchołki drzew,

choć się zdaje się nieporusza ich żaden powiew wiatru; głuchy szelest przelatuje wyższe warstwy atmosfery, jak zapowiedź jakiejś nagłej zmiany i wnet ciemność nocy obejmuje całą puszcę i wichry uderza w nią z całą wściekłością, od której trzeszczą i stękają potężne konary wiekowych drzew; przeraźliwe błyskawice i wślad za nimi rozlegające się grzmoty oświecają zamęt wichrów i ulewy, przed którym chowają się po najgłębszych kryjówkach zwierzęta i ptaki; nawet ryby w trwodze spuszczaają się do głębi, kiedy ogromne łożysko Amazony nie może zmieścić wzbierających jej wód i te podnoszą swoje fale, jak rozhukane morze i występują z brzegów.

Ostatnią północną część wielkiej płaszczyny Ameryki południowej, stanowią, ciągnące się po jednej i drugiej stronie rzeki Orinoko, stopy zwane llanos, obejmujące na północ od równika przestrzeń przeszło 15,000 mil kwadratowych. Na tych niezmiernych płaszczynach niewidać żadnej wyniosłości i często ani drzewa, ani krzaku. W porze dżdżystej okrywa je bogata stepowa roślinność, którą wrychle wypala zupełnie następująca pora sucha, i wtedy one mają pozór zupełnej pustyni. Wszystkie trawy, zioła, kwiaty wyschłe rozlatują się na proch i całkiem naga ziemia rozpada się od gorąca. Taki widok przedstawia się tu wszędzie, gdzie na przestrzeni od 50 do 60 mil kwadratowych znajdują się jedynie małe strumienie, zwykle wysychające podczas suszy. Tylko gdzie są źródła i bagniska, tam utrzymuje się roślinność, a wśród niej i drzewa, mianowicie palmy, których ogromne, podobne do wachlarzy liście, nie tracą nigdy swojej zieloności. Od Grudnia do Lutego rozciąga się nad temi nieobejrzanemi równinami czyste bezobłoczne niebo. W początkach Marca ciemny błękit nieba staje się cokolwiek jaśniejszym i powietrze napełnia się większą wilgocią. Ciche błyskawice w stronie południowej i godzinie przerwy wiatru statecznego zapowiadają nadejście pory dżdżystej. Ku końcowi Kwietnia cały błękit nieba powleka się barwą szarą i upał staje się nieznośnym; na długo przed porannym świtem dzikie zwierzęta wydają płaczliwie ryki; następują codzienne burze z gwałtowną ulewą i nagle spalone posuchą stopy przybierają wcale inny pozór; zaledwo ziemia napoiła się cokolwiek spadłą wodą, wnet okrywa się ona bujną trawą i pachnącemi ziołami; rośliny wodne otwierają na deszcz swoje kwiaty, ptaki zaczynają śpiewać głośniej, woły i konie ciągną rzeźwiej na paszę i w szybko i wysoko rosnące trawy kryje się centkowany pięknie jaguar, gotując się ze swoim skokiem na przeciągające mimo zwierzęta; z rozczyntonych przez ulewy bagnisk, wyłażą olbrzymie

węże wodne, krokodyle i inne płazy, stężałe podczas suszy w zaschłym mule; wezbrane wody rzek, jezior i błot zatapiają okolice na wiele set mil kwadratowych, a po ustąpieniu z nich wód, pozostaje naniesiony przez nie użyźniający muł, który wnet okrywa się najbujniejszą roślinnością. Lecz kiedy przejdzie pora dżdży, z bezobłocznego nieba prostopadłe promienie słońca wypalają w rychle na węgiel świeżą roślinność i ta obraca się w proch, który wiatr unosi; obnażona ziemia tężeje znowu i rozpada się od suchego upału; chmury, kurzawy podnoszą się z niej i wirują, jak słupy piasku na Saharze; ta kurzawa, rozpościerając się w powietrzu, sprawia duszność; wiatr wschodni, zamiast odświeżenia przynosi zdaje się nowy jeszcze większy upał. Objęte chmurami unoszącego się wszędzie drobnego pyłu, palone głodem i pragnieniem, ociężałe wleką się po pustych polach trzody wołów. a konie wyciągnawszy szyje wietrzą, czyli nowy powiew nieprzyzniesie im cokolwiek wilgoci, oznajmującej niezupełnie gdzie wyschły strumień, jezioro, lub bagno. Nawet wpośród chłodu nocy niemają te zwierzęta spokoju; wtedy na nie wpadają ogromne nietoperze i ssą im krew, pozostawiając po sobie ropiejące rany, w których następnie gnieżdżą się muskity i inne kłujące i mniej więcej jadowite owady. Kiedy przypadkiem jedna iskra padnie na tę ziemię, pełną suchej słomy, wtedy od rzeki do rzeki wszystko bucha pożarem — zwierzęta giną, a ziemia wypala się jak cegła, aż następujące przez lat kilka niepogody znowu ją pokruszą i zamienią na grunt urodzajny.

Po tych bezdrzewnych stepach przeciągają pstre jelenie, pancerniki, stada leniwych wodnych świń, ładnie pręgowane zybety, zarazające powietrze swoją nieprzyjemną wonią, ogromne bezgrzywe lwy, pstre jaguary, samopas brodzące buhaje i wiele innych rodzajów zwierząt. Od czasu odkrycia Ameryki na tych stepach żyją też niezliczone stada bydła i koni; a nawet człowiek pobudował w nich dla siebie domki, chociaż w odległości jedne od drugich o całe dni drogi. Wreszcie tu i ówdzie nad rzekami, są małe miasteczka, dla utrzymania przez te pustkowia komunikacji z brzegami.

W południowej stronie tych stepów bieży, przebiwszy się przez góry Sierra de la Parime, wielka rzeka Orinoko. Górny jej bieg do pomienionych gór odznaczają potężne wodospady; jeden z nich Atures przedstawia zbiorowisko skalistych wysp, pomiędzy którymi rzeka z wielką trudnością toruje sobie drogę. Wody jej to przekraczają nagromadzone z głazów tamy, to wpadają pomiędzy nie z głuchym szumem; nieraz opuszczają swoje łożysko, które oka-

zuje się suchem, przeto iż rzeka wybiła sobie dalszą drogę podziemną. Po drugiej stronie rzeki widać rozległą zieloną równinę, za nią podnoszące się stromo nagie skały granitowe, a w głębi sięgające obłoków góry. Dolina rzeki jest głęboką i pustą, tylko wysoko w powietrzu unoszą się nad nią sępy; dalej ją okrywają gęste lasy, a za niemi wznoszą się wyniosłe góry, których szczyty tworzą ogromne zaokrąglone skały granitowe.

Dalej rzeka płynie wspaniale przez najrozmaitsze okolice, przyjmując dopływy większe od Dunaju; dolina jej okazuje się większą niż całe Niemcy; wreszcie powierzchnia jej rozpościera się jak morze przed zdumionemi oczyma podróżnika. Spienione jej fale, walcząc z przeciwnym jej biegowi wiatrem, piętrzą się wysoko z szumem, przy którym nie słychać w powietrzu krzykliwych głosów czapli, flamingów i płaskonosych gęsi, przeciągających długimi szeregami z jednego brzegu na drugi. Niekiedy w pośród ogromnych bałwanów dają się spostrzegać krokodyle, rozcinające niespokojne wody z ukosa swojemi długimi ogonami. Widnokrąg obejmuje las jak wieńcem, ale nigdzie on nie dochodzi do samej rzeki. Szerokie jej pobrzeża, zawsze pod palącemi promieniami zwrotnikowego słońca puste i bezpłodne, jak brzegi morza, przedstawiają się zdaleka w powietrznem mamidle, jak zwierciadlana powierzchnia spokojnych wód, w pośród których, jak prąd oceanu, daje się rozpoznać szeroko rozpostarty bieg jednego z największych na ziemi potoków.

77. Amazona.

Z trzech wielkich systemów rzecznych Ameryki południowej, środkowy tworzy Amazona, największa na ziemi rzeka co do szerokości i głębokości, a długością ustępująca tylko afrykańskiemu Nilowi. Tem system wód zajmuje przestrzeń prawie dziesięć razy większą jak Niemcy. Dopływy Amazony przechodzą wielkością największe rzeki Europy. Od swojego początku z górskiego jeziora w Andach peruańskich, ta rzeka nosi nazwę Marannon, od ujścia do niej Yućayali aż do ujścia Rio Negro, nazywa się Sili-moes, dalej aż do swego ujścia do oceanu Atlantyckiego ma nazwę Amazona. Najprzód płynie ona, między dwoma idącemi obok siebie łańcuchami najwyższych gór, na północ; potem niedochodząc o 5° do równika, zstępuje z gór na równiny i odtąd płynie ciągle na wschód przez niezmierne lasy pierwotne Brazylii, aż do swego ujścia pod samym równikiem, tworzącego ogromną zatokę, zasianą mnóstwem wielkich i małych wysp. Coroczne wzbieranie i opa-

danie jej wód tworzy najwspanialsze widowisko przyrody. Wzbie-
ranie zaczyna się we Wrześniu i dochodzi największej wysokości
w Marcu. Kiedy wody podniosą się w korycie po nad jego piasz-
czyste wyspy i kępy i pokryją całkiem ich wysokie trawy i si-
towia, ptactwo odlatuje z tych miejsc i ciągnie ku stepom na
południe i na północ. Okolica, którą dotąd napełniały swoim
krzykiem czajki i kuliki, staje się pustą i milczącą i ryby igrają
tam, gdzie przedtem wypoczywały na słońcu krokodyle i szukały
sobie pożywienia wodne świnie i tapiry. Wreszcie rzeka wystę-
puje gwałtownie ze swoich brzegów i rozlewa się daleko po ni-
zinach. Drzewa uginają się i łamią pod naporem powodzi, a zwie-
rzęta w przerażeniu uciekają na miejsca wyższe. Tylko niektóre
ptaki z rodzaju bażantów i kraczące papugi utrzymują się na
szczytach najwyższych drzew. Tymczasem woda zasila soki po-
żywne roślin i z zalanych przez nią lasów podnoszą się tysiące
wonnych kwiatów; kiedy szlamowata woda oblewa pnie drzew,
ich wierzchołki wieńczą różnobarne kwiaty i las wygląda jak wy-
rastający z wody najpiękniejszy ogród. Teraz ryby przebiegają
w płasach, pod temi drzewami ocieniającemi wody; krokodyle i
żółwie rzeczne podobnie opuszczają głębie i przechodzą w te roz-
pościerające się daleko odmęty. Po upływie czterech do sześciu
tygodni najwyższego stanu wód, okryte mułem posady lasów wy-
nurzą się z powodzi, szybko porastają najbujniejszą trawą i
małemi drzewkami i zwierzęta wracają znowu na swoje dawne
zwyczajne siedziby.

Nad tą olbrzymią rzeką niemasz nigdzie, jak nad innemi
rzekami, zwłaszcza u nas w Europie, ruchliwych i ożywionych prze-
mysłem miast, kwitnących wiosek i samotnych wiejskich domków.
Tylko obrazy dzikiej przyrody uderzają wszędzie oczy płynącego
po jej niezmiernych nurtach wędrowca. Od samego wyjścia
rzeki z gór, wszędzie obadwa jej brzegi zalegają bez przerwy puszcze.
Gdzieniegdzie tylko ukazuje się nad brzegiem samotna chatka,
lub wioska dzikich Indian i napotyka się na jej rozległych i łą-
godnie kołyszących się falach małą łódkę, z miedziano-skór-
nymi żeglarzami. Oni jedni zamieszkują te puszcze, będące dotąd
siedzibą wyłączną dzikich zwierząt i dzikich ludzi. W głębokiej
ciszy bez najmniejszego szmeru skrada się Indianin, zbrojny łukiem
i strzałami przez nieprzebyte gęstwiny, w których jego wprawne
oko umie wypatrywać ślady zwierzyny i unikać grożącego niebez-
pieczeństwa i wnet cicho, ale szparko leci jego mała, lecz mocno
zatruta strzała i osiąga daleko i niechybnie swoją ofiarę. Z ubi-
tym przez siebie zwierzem, uzbieranemi w lesie owocami, z któ-

rych ma zaprawę do napoju, włóknami palmowemi, z których plecie swoje maty, miodem, woskiem i innemi płodami leśnemi wraca on potem do swojej ustronnej chatki, gdzie jego żona suszy zgromadzone zapasy, łapie żółwie i zajmuje się gotowaniem strawy i innemi domowemi czynnościami. Ściany tej chaty są z drewnianych balów, powiązanych długimi i cienkimi gałązkami powojów; a nakrycie jest z palmowych liści. Tam przebywa Indianin zwykle ponury, milczący i podejrzliwy, pędząc życie samotnie i biorąc udział w towarzystwie swoich ziomków i sąsiadów tylko dla dzikich tańców.

Martius Poppig i inni.

78. Dzień pod równikiem w Brazylii.

Bije godzina trzecia z rana; opuszczam mój hamak, otwieram okiennicę i poglądam na ciemną uroczystą noc. Świetnie błyszczą gwiazdy i tuż płynąca rzeka odbija światło zachodzącego księżyca; wszystko dokoła jest w tajemniczej ciszy. Biorę ślepą latarkę i chodząc po rzeźwiącym nocnym chłodem gaju, przypatruję się drzewom i krzakom. Niektóre śpią ze złożonemi liśćmi, inne stoją spokojnie, rozpostarłszy się wśród nocnej ciszy. Rzadko gdzie kwiaty są rozwarte; tylko słodko woniejące krzaki paulini! pozdrawiają swojemi wyziewami przechodnia, a cienista manga podnosi, dla zasłonięcia go od nocnej rosy, swoją gęstolistną koronę.

Jak widma unoszą się dokoła błędnego światła mojej latarki ogromne nocne motyle. Coraz silniej rosa przenika wdychające ją łąki i wilgotne powietrze nocy orzeźwia rozgrzane członki. Cykada swoim głosem zaprasza mię napowrót do domu, gdzie brzęczenie moskitów, podobne do bębnienia, skrzeczenie ogromnych żab i płacziwe nawoływania ptactwa już mi nie dają usnąć. O godzinie piątej widzę jak dokoła szarzeje poranek. Jednostajna przezroczysta szarość, połączona z różowem światłem jutrenki, rozpościera się dokoła po niebie; tylko w zenicie pozostaje ono ciemnem; kształty drzew stają się coraz bardziej widoczne, różowe światło zaczyna się odbijać na ich wierzchołkach; wiatr poranny wrusza ich gałęzmi i liśćmi, chrabąszcze dudnią, komary brzęczą, ptaki się odzywają, małpy wrzeszczą, cisnąc się napowrót w gęstwinę boru, nocne motyle uciekają przed światłem dnia w ciemność leśną; gryzące zwierzęta chowają się po swoich kryjówkach i chytre kuny umykają po cichu od ptactwa domowego, które głośny kogut budzi swoim rannem pianiem.

Coraz jaśniej w powietrzu; nadchodzi dzień. Z pod widnokregu ukazuje się okraina słońca, jak czerwona błyskawica i słońce wschodzi. W jednej chwili staje ono całe po nad widnokregiem i strzela swojemi pałającymi promieniami po nad ziemią. Żadnego obłoczka niemasz na niebie i zupełnie czyste jego sklepienie obejmuje ziemię. Wszystko dysze życiem; rośliny i zwierzęta rozpoczęły używanie i walkę. O godzinie siódmej rosa znika, wiatr lądowy zaczyna ustawać i już czuć gorąco. Słońce wznosi się szybko i prosto w górę po czystym i przejrzysto-szafirowém niebie, w którym jednostajnie rozpuściły się wszystkie pary, aż później na zachodnim krańcu widnokregu, zbierają się z nich małe białe pierzaste chmurki, które się rozpościerają coraz dalej. O godzinie dziewiątej cała łąka wyschła, las wystawia cały przepych swoich liści laurowych i kwiaty się rozwijają. Jeszcze godzina, a obłoki się gromadzą, piętrzą się coraz wyżej i przedstawiają się w ogromnych i gęstych massach. Rośliny drżą pod silnie pałącymi promieniami słońca i omdlałe poddają się upajacemu ich działaniu. Złociste chrabąszcze i kolibry fruują brzęcząc, a pstre motyle igrając w powietrzu, przedstawiają ciągłą grę kolorów. Po wszystkich ścieżkach roją się tłumy mrówek, w długim pochodzie ciągnących do swojej budowy liścia. — Ale już i wielkie leniwe zwierzęta doznają przyjemności słońca; krokodyl wydobywa się z nadbrzeżnego mułu i rozciąga się na gorącym piasku; jaszczurki i żółwie wychodzą ze swoich ciemnych i wilgotnych kryjówek i świecące pstremi, lub ciemnymi barwami węże wyłażą na oblane gorącym światłem słońca trawniki. Tymczasem obłoki zbierają się niżej, coraz gęstsze, cięższe i ciemniejsze, aż zarazem zaciągają cały widnokrag i zakrywają całkiem słońce; lecz rozgrzane powietrze nalega tym większym upałem na ziemię.

Nadchodzi południe. Głód i pragnienie pędzi tu i ówdzie zwierzęta i tylko ocieężałe i leniwe, zabrawszy się pod cień lasu nie czują, co gotuje się w przyrodzie. Już powietrze się ochładza i podmuchują w niem gwałtownie wiatry, aż wzruszają las, a potem morze, które poczerniało i zaczęło się pienić i bałwanic. Zrywa się burza. Trzy lub cztery razy blado-jasna błyskawica rozdziera obłoki, trzy lub cztery razy rozlega się po niej grzmot i deszcz spada gęstemi kroplami. Rośliny wyciągają ku niemu cheiwie swoje zwiędłe od upału liście i kwiaty. Jeszcze nowy grzmot i już nie deszcz, ale potop spada potokami wody; las odrycha, kwiaty pochylają się, liście opadają, wyschłe i spróchniałe gałęzie wichur oblamuje i unosi daleko.

I zwierzęcy świat poczuwa wściekłość burzy. Kiedy z trzaskiem

lecą obrywane z drzew liścia i gałęzie, drząc szukają pod niemi schronienia roje owadów. Zmordowany łowami zwierz ustaje w ściąganiu swej zdobyczy. Tylko zimnokrwiste zwierzęta ziemnowodne rade są z ulewy i w tysięcznych głosach żabich odzywają się z zalanych łąk. Źródła wzbierają mętną wodą, która strumieniami bieży po lesie i wpada w rozpadliny popękanej od upałów ziemi. Odświeżone powietrze pozbywa się całego znoju. Chmury, wylawszy z siebie całe brzemie wód, rozchodzą się i nikną. Jeszcze chwila i już burza przeszła.

W świeżym blasku występuje słońce z po za mass obłoków, ściskających się i ustępujących coraz dalej na północ i na południe. Znowu niebo rozwiera swoje szafirowe przezrocza nad ziemią i ta wnet zapomina o niedawnym swoim strachu. W godzinę potem niema już i śladu przeszłej burzy. Tak nadchodzi wieczór. Słońce zniża się i okrążone mieniąciami się w powietrzu barwami, spada pod widnokrąg. Z jego zejściem ustają niespokojne ruchy w państwie zwierzęcem, które cicho udaje się na spoczynek. Jeszcze ostatnie odbłyски zaszłego słońca świecą tu i ówdzie na podniosłych szczytach drzew. A w tem po nad ciemnym lasem wznosi swoją pełną srebrzystą twarz cichy i łagodny księżyc i wszystkie przedmioty przybierają w jego świetle nowe formy. Nadchodzi noc i przyroda pogrąża się w senne marzenia. Z korném zaufaniem spogląda człowiek w niebo, iskrzące się nad nim tysiącami gwiazd i pokój go ogarnia po zeszłym dniu i jego używaniach i trwogach.

Tak przechodzi każdy prawie dzień w tej skwarnej strefie, a przynajmniej przez większą część dni w roku powtarzają się te zjawiska. Odmiany pór roku ledwo dają się tu rozpoznawać i z małemi różnicami spotykają się z sobą pory sucha i dżdżysta. Podyscana od gorąca i wilgoci roślinność okrywa przez rok cały ziemię najbujniejszym zarostem i wiele roślin więcej niż raz na rok kwitną i wydają owoce. Niektóre z nich uobecniają wiosnę, inne równocześnie jesień. Lasy nigdy tu nie pozbywają się zielonej szaty: kiedy stare liścia opadają, wnet na ich miejsce rozwijają się nowe pączki. Takiemu rozrostowi roślin odpowiada obfitość i piękność owoców i tylko ze słuchu znają tu nieurodzaj i niedostatek.

Z podróży Spixa.

79. Rio Janeiro i kopalnie djamentów w Brazylii.

Wylądowaliśmy w stolicy Brazylii w połowie Maja, w samą wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego, wielkiej uroczystości, którą we wszystkich kościołach zapowiadano najsolenniej sposobem bardzo dziwnym, to jest wyrzucaniem w powietrze potężnych rac kongrewskich. Te race pękały w niesłychanej wysokości i wracały ognistemi wężkowatemi szmermelami, sycząc i pryskając ogniem i dymem na dachy miasta. Ze wszystkich kościołów miasta Janeiro, a jest ich przeszło dwadzieścia, szturmowano w niebo takimi racami i bardzo wydawała się urocą owa kanonada w powietrznych przestworach. Prawie codzień ogłaszają tym sposobem w jakimś kościele jakieś święto; oprócz tego każdy kościół ma corocznie nowennę, to jest święto trwające dziewięć dni. Wówczas ani na chwilę nieustaje owa powietrzna kanonada, zarówno dniem jak nocą i te fajerwerki dodają stolicy brazylijskiej jakiegoś cudnego uroku i jakiegoś osobliwego charakteru, którym się głęboko w pamięć zapisuje. Proch jest bardzo tanim w Brazylii, a ogniomistrze z Janeiro słyną z biegłości nawet w Paryżu.

Nie widziałem nigdzie, ani nawet w Rzymie, ołtarzy przybieranych w tak niesłychaną ilość świec, jak tutaj. Pali się ich częstokroć podczas summy arcybiskupiej w kościele archikatedralnym, od spodu ołtarza aż do szczytu sklepienia, do dziesięciu tysięcy. Widok tak ogromnej ściany płomienia jest do nieopisania wspaniały i przejmujący. Wszystkie te świece są z białego wosku, sprowadzanego z Afryki i niemało kosztują; ale dobrowolne składki, zbierane przez Irmandades, to jest bractwa, pokrywają bardzo dostatecznie wydatki tak drogiego nabożeństwa. Widać więc, że siła wiary nie ostygła w Brazylii, chociaż dzisiaj wolno i protestantom publicznie odprawiać nabożeństwo.

O religijności mieszkańców świadczy zresztą stan tutejszych świątyń, po większej części bardzo okazałych, mianowicie kościoły św. Franciszka, kościół de la Candelaria (świecznika) i de Rosario (rózańca). Piękne obdarzające miasto niewymownym urokiem są owe kościoły, wieńczące szczyty gór, na których podnózu wzniesione jest miasto. Jak te miłe świątynie przyciągają! Chętnie opuszczasz kręte ulice miasta, bieżysz w górę, pniesz się po nad klomby kwiatów, opasujące ją w połowie wysokości i stajesz narazem u progu świętego przybytku, do którego zaledwo dochodzi gazdrem zgiełk hałaśliwego miasta.

Na szczególną uwagę zasługuje klasztor Benedyktynów, wznie-

siony przed trzema wiekami z ogromnych głazów, w stylu niesłychanie surowym. Korytarze i sale zdumiewają rozmiarami, widoki z nich zewsząd zachwycają; raz widzisz niezmierny ocean, raz niebotyczne góry, raz nieprzejrzone bory, raz uśmiechające się kwiatami ogrody. Wszystkie sufity tego klasztoru są rzeźbione z bardzo drogiego drzewa, zwanego jaracanda i prześlicznie złoczone. Jest tu kilkadziesiąt niezłych przez artystów Brazylii wykonanych obrazów, jest także biblioteka, zawierająca same tylko portugalskie dzieła i rękopisma i dla tego bardzo ciekawa. Stoi ona otworem dla publiczności co dzień przez dwanaście godzin i bardzo pilnie jest uczęszczaną. Codziennie ze trzydziestu literatów i uczniów robi tu wyciągi.

Na innem wzgórzu wznosi się klasztor św. Teresy. W Brazylii klasztory żeńskie niebardzo są lubiane: uważają tu, że celibat kobiet nader jest szkodliwym dobrobytowi kraju, bardzo jeszcze ubogiego w ludność. Dwa tylko są klasztory żeńskie w Rio Janeiro: jeden bielutki i z najładniejszą facjata, leży na smaragdowej murawie, pośród klombów z najpiękniejszemi kwiatami, drugi, ogromnych rozmiarów gmach, położony jest wśród miasta i oparty o koszary milicji policyjnej, najgorszej zgraji łotrów, jaka istnieje w Brazylii. Miasto posiada także dwa domy rekolekcji dla kobiet. W jednym z nich małżonkowie umieszczają swe żonki, gdy te, zamiast pilnowania swoich poważnych obowiązków, puszczają się na płochość. Drugi zakład rekolekcyjny jest przeznaczonym na przytułek dla dziewcząt sierót. Rząd wyposaża corocznie dziesięć z nich najlepiej prowadzących się i daje każdej po 500,000 posagu. Szumno brzmi ta cyfra, ale to reissów, a więc na naszą monetę zaledwie 4500 złotych. Prawda, że i to wystarczy na pierwszy początek w kraju, w którym każdy znajdzie pole do pracy.

Nie jest też stolica Brazylii i bez zakładów naukowych. Istnieje tu szkoła wojskowa z kursem siedmioletnim, szkoła marynarki z trzechletnim, szkoła medyczno chirurgiczna z pięcioletnim, akademja sztuk pięknych i dwa seminarja, w których uczą języka greckiego, łaciny, francuzkiego, retoryki filozofji i teologji.

Pod niejednym względem Brazylija jest krainą cudów, a tak chciała Opatrzność, żeby prowincja najżyźniejsza i najwydatniejsza Brazylii, była zarazem ową obiecaną ziemią, zawierającą w swem łonie niewyczerpane skarby mineralne. W prowincji Minas Geraes i Matto Grosso odkryto przed wiekiem, że znajdujące się tam w obfitości, a dotychczas wzgardzone kamyki, są djamentami tak czystej wody, jak djamenty Golkondu i Pennazu. Na odgłos tego

odkrycia tłumy nieprzejrzane rzuciły się na Brazylję z chciwością sępów, łaknących żeru. W pierwszych zaraz latach 25,000 ludzi trudniło się poszukiwaniem djamentów i wszyscy rolnicy, jeszcze wówczas tak rzadko rozsiani po niedawno odkrytym kraju, wzgardzili pięknymi darami Cerery i Pomony, dla zwodniczych darów Plutusa. Przewidujący minister portugalski Pombal zakazał wprawdzie poszukiwań, obawiając się złego wpływu takowych na rolnictwo, w którym najsluszniej upatrywał prawdziwe źródło dobrego bytu i trwałego bogactwa, ale już nie mógł się oprzeć prawdowi, ciągnącemu zbyt silnie ludzi ku tak łatwym do zdobycia bogactwom.

Zasypano Europę kamieniami, za które tyle pięknych kobiet, męskich żołnierzy, a nawet uczonych filozofów zaprzedało duszę; i skutkiem tej obfitości djamentów w Brazylii nastąpiło zniżenie ceny tychże — i cnoty zarazem.

Ogólny wydatek wszystkich kopalni djamentowych Brazylii, do roku 1847, wypada na 10 milionów karatów, wartości blisko 100 milionów rubli srebrem.

Niestety! Cały ten ogrom bogactwa ani o krok jeden nie posunął Brazylii w oświacie i pomyślności. Oświeceniższym jest góral Norwegji na swych nagich i nieurodzajnych skałach. Zdaje się, że tych szlachetnych kamieni czepiało się przekleństwo, rzucone przez nieszczęśliwych niewolników, którzy, pod pałacem techniczem zwrotnikowego słońca, za najlichszą strawę musieli wydobywać codziennie drogie klejnoty, służące do zabawy serc próżnych. Żądza wzbogacenia się oderwała pracowitego wieśniaka od pług, rzemieślnika od warsztatu, księdza od ołtarza, a lekarza od łoża boleści; rola legła odłogiem, miasta spustoszały. Brazylja okropnie na tem ucierpiała i dotąd cierpi. Dziś, jak to przyznawał sam cesarz Don Pedro II, ponowienie rozkazu Pombala, zamykającego kopalnie djamentów, byłoby największem dla kraju dobrodziejstwem. „Ale zanadto właściciele przywileju kopalnego w naszych kortezach, a co gorsza, zanadto ich w ministerjach angielskich,“ dodawał z gorzkim uśmiechem dobry i światły monarcha Brazylii.

Szczęśliwym, oświeconym, cnotliwym i zamożnym ten kraj może zostać jedynie przez rolnictwo, któremu też rząd terażniejszy podaje rękę. Bodajby się wyczerpały jak najprędzej skarby mineralne Brazylii, a dopiero wtedy dla tej pięknej krainy pomyślniejsza zaświeci dola.

Z podróży dra. T. Tripplina.

80. Butikudy w Brazylii.

Ze wszystkich dzikich ludów na ziemi, najzręczniejszymi i najzdolniejszymi są bez wątpienia brazylijscy Butikudy i nikt pewnie równać się nie może z Butikudem zbrojnym w łuk, strzały i wór z kamieniami. Próby największej siły i zręczności dla nich są igraszką. I tak, wypuszczają oni z łuku strzałę tak wysoko, że ona całkiem znika z oczów, a po jakimś czasie spada znowu na toż samo miejsce, z którego wyszła. Butikudy chodzą zupełnie nago, barwę skóry mają ciemno-miedzianą, włosy długie i lśniące się; końce uszów długie, przedziurawione i zatknięte kawałkami drzewa, dostają im prawie aż do ramion; w dolną wargę, także przedziurawioną, zakładają pierścień z twardego drzewa, który często zwisa aż pod brodę. Zamieszkują oni niezmierne lasy i puszcze Brazylii. Te im dostarczają w obfitości pożywienia, a pod drzewami mają na noc przytułek. Rozkładają się na nocleg około nałożonego ognia. Kobiety zdejmują z pleców dzieci i gotują w kotłach strawę z upolowanej zwierzyny. Wszyscy jedzą, a potem kładą się spać i rano wstawszy spędzają dzień tak, jak i poprzedni, bez wielkich potrzeb i zachodów.

Dziki zwierz brazylijskich puszczy, przybliżywszy się do Butikuda na sto kroków, już jest jego pewną zdobyczą. W jednym mgnieniu oka podwójny jego łuk jest napięty i z szybkością błyskawicy wypuszczony kamień poraża swoją ofiarę mocno i niechybnie. O ile jednak Butikudy przechodzą wszystkich innych dzikich zręcznością i siłą fizyczną, o tyle niżej stoją od najdzikszych, jakie są gdziekolwiek, ludów w uobyczajeniu i pojęciach moralnych. Nie znają oni nawet żadnych uczuć wzajemnego przywiązania i pokrewieństwa: miłość rodzinna, ojcowska, macierzyńska, braterska, u nich nie istnieją wcale, a przywiązane do nich obowiązki kończą się prędko. Wyciągają i przekalają dziecku uszy i dolną wargę i zakładają w nie grube drewna, a potem kiedy już może chodzić, dają mu łuk, strzały i kamienie, ukazują pole i powiadają: „Szukaj sobie pożywienia i zwalczaj każdą istotę żyjącą, która zechce ci stawić opór.“ Umarłych nikt nie żałuje, ani płacze, ani wspominają. I tacy ludzie żyją na ziemi.

Z zapisek niemieckiego wedrowca.

Sl. Buenos Ayres.

Spienione fale oceanu rozbijały się z szumem o sterczące tu i ówdzie i gładko przez nie wylizane głązy wzdłuż przystani Buenos Ayres, do której przybiliśmy i całe pobrzeże przed nami roilo się mnóstwem najdziwniejszych fantastycznych postaci. Zewsząd mierzyły nas wzrokiem twarze ponure, ostrych rysów i ogorzałe od słońca, pod czarnymi kapeluszami i czerwonymi czapkami; gdzie zaś tylko rzuciliśmy okiem, wszędzie uderzały nas barwy jaskrawe, pstre, a najczęściej karmazynowe. Strój mężczyzn jeszcze podwyższał malowniczość tych barw. Na głowie siedziała najczęściej czerwona, hardo na stronę przechylona czapka, płaszcz, tak zwany poncho, stanowiła sztuka czworokątna materji, z otworem pośrodku, przez który wystawała głowa, kiedy końce w malowniczych fałdach spadały na dół, spinane zwykle na prawem ramieniu guzikiem lub haftką, iżby dawały ruszać się swobodniej; spodnie białe, przepasane na biodrach pstrą chustą, a na nogach obuwie, z surowej skóry byczej lub końskiej. W takim stroju sadi na koniu obywatel wiejski rzeczypospolitej Argentyńskiej, tak zwany gaucho, wsparty wielkimi wystającymi z półbucików palcami na małych i cienkich strzemionach, z lewą ręką na lasso, umocowanem z tyłu u siodła, pośepnie mierzy obcych swojemi ostremi ciemnymi oczyma i poprawiwszy się w siodle puszcza się wyciągniętym cwałem wzdłuż pobrzeży.

Niezliczone łodzie z rozpiętymi żaglami odbijają od brzegu, lub snują się pomiędzy stojącymi na kotwicach okrętami. Ogromne dwukolne kary zajeżdżają w miałką u brzegu wodę, by zabierać ze statków ludzi i ładunek. Tu chłopiec ciemnej cery w podartym poncho, pędzi do wody stado małosłych i dziko wyglądających koni; tam najdziczey i najdziwniej wyglądający żołnierze panoszą się w próżniactwie przed domem kapitana portu; tuż obok weselą się i śpiewają pijani majtkowie. Dokoła kraj płaski i porośły skapo drzewami; w mieście domy z ciemno-czerwonej cegły, niskie, z płaskimi dachami i kratowanemi oknami. Każdy obywatel musi być w jaskrawo-czerwonej wescie i z czerwoną wstęgą u kapelusza i w pętlicy z dewizą, którą obwołują i nocni stróże. Ulice źle oświecone, a jeszcze gorzej brukowane, kościoły liczne z okrągłemi sklepionemi kopułami; miasto wreszcie rozlega się bardzo szeroko, domy bowiem mają obszerne dziedzińce.

Wyższej klasy mężczyźni są we frakach, wierzchnich okryciach, spodniach długich i kapeluszach czarnych; kobiety w man-

tylach; na ulicach zgiełk; dzikie postacie gauchosów w powiewających ponchosach i chustach na głowie, ogromne, niezgrabne wozy, zaprzężone wołami, na dwóch olbrzymich, niekiedy 10 stóp wysokich i powiązanych rzemieniami kołach, wlekące się powoli przez miasto, parobki ze wsi rano jadący na targ konno z dwiema blaszanymi konwiami mleka, jedną wiszącą na gołej nodze, a drugą u siodła, żołnierze w łachmanach na straży przed gmachami rządowymi, czerwono-jaskrawe barwy w ubiorach całej ludności, długie noże za pasem, domy niskie i okna z kratami, wszystko to sprawia widok szczególniejszy.

Gerstacker.

82. Cieśnina Magellańska.

Całkowita długość cieśniny Magellańskiej wynosi około 300 mil angielskich, — a szerokość jej bywa rozmaita, od 2 do 20 tychże mil. Część wschodnia i zachodnia przylegających do niej lądów różnią się ogromnie, tak pozorem zewnętrznym jak i klimatem. — Na wschód ciągną się bezdrzewne stepy, nad nimi czyste i pogodne niebo i wieją silne, suche i chłodne wiatry; na zachód podnoszą się z morza prawie pionowo wysokie góry, odziane zawsze zieloną buczyną i spadają obfite deszcze, a w swoim czasie śniegi i grady. Ponurą i smutną jest ta droga, ale ma ona ważność dla handlu, przeto iż największym parowcom skraca drogę do oceanu Wschodniego i otwiera przystęp do zachodnich brzegów Ameryki w piękniejszych szerokościach, omijając silne prądy około przylądka Rogowego, przeciw którym walczyć musi całą swoją siłą okręt i jego maszyna. W naszych czasach nastąpiła nowa era dla żeglugi około południowego końca Ameryki. Teraz wszystkie okręta wojenne i większa część kupieckich są parowe. Dla nich tedy cieśnina Magellańska jest drogą bez porównania lepszą, aniżeli trudne i niebezpieczne okrążanie przylądka Rogowego. Obecnie co miesiąc, długi poczet wielkich parowców chodzi z Liverpoola do Valparaiso przez pomienioną cieśninę i przebywa całą tę drogę w 42 dni, a zatem prędzej od jazdy wprost z przeprawą lądową przez Panama. Kapitan Mayne, który na statku Nassau wykonywał roboty miernicze w tych miejscach od r. 1866 do 1869, podał nam zajmujące wiadomości o przyrodzie tych krajów i ich mieszkańcach. Z tego sprawozdań wyjmujemy szczegóły następujące.

Strony wschodnie cieśniny zamieszkują Patagończycy. Ich



Cieśnina Magellańska.
<http://rcin.org.pl>

odzież ze skór lam guanaco nadaje im pozór wzrostu wyższego niż jaki mają rzeczywiście. Naczelnik jednego pokolenia Casimiro mówił po hiszpańsku i przy pierwszym spotkaniu z kapitanem wyprosił u niego dwie butelki romu, jak powiadał dla przyzwoitości, która wymaga, by naczelnik odwiedzający naczelnika zrobił mu podarek. Kapitan zadał był sobie pracę zmierzyć wzrost wielu widzianych przez siebie Patagonów. Jeden z nich miał 6 stóp 10¹/₂ cali, wielu innych po 6 stóp 4 cale, w przecięciu jednak wzrost ich był na 5 stóp, 10 lub 11 cali, co czyni 4 lub 5 cali więcej od średniego wzrostu Anglików. Kobiety mają wzrost odpowiedni. Okazało się tedy, iż wieści o wzroście olbrzymim Patagonów są przesadzone. Powodem do tego jest odzież ich, która o tyleż dodaje wzrostu, o ile każda odzież kobieca dodaje go mężczyźnie. Niemało też przyczynia się do takich wieści zwyczaj tamecznych mieszkańców stawać obok swoich chat na podwyższeniach, by z nich gapić się na przeciągające mimo okręty. Wtedy oni wydają się istotnie olbrzymami.

Patagończycy zamieszkują tylko jedną stronę cieśniny i nieprzechodzą na zachód dalej, jak do osady chilijskiej Punta Arenas; nie utrzymują żadnych łodzi i okazują wielki wstręt do podróży wodnych. Uderzającą jest różnica między nimi, a mieszkańcami górzystych i lesistych krajów na zachód i wysp leżących na południe, które dzieli od nich tylko wazka przestrzeń morza. Wszystkie te wyspy tworzą tak zwana Ziemię Ognistą. Mieszkańcy jej wschodni są na pozór ładniejsi od swoich braci zachodnich, prawdopodobnie dla tego, iż żywią się lepiej mięsem lam guanaco. Zachodni zamieszkują obie strony cieśniny. Wyróżniają się oni do Patagonów pod każdym względem; szczególnie zaś tem, iż są małego wzrostu, niekształtnej budowy ciała i szpetnych rysów twarzy; ale mają jedną wielką przed tamtymi zaletę: to wstręt do wszystkich mocnych napojów. Kapitan Mayne robił z nimi co do tego doświadczenia i nigdy nie mógł skłonić mieszkańca Ziemi Ognistej napić się powtórnie wódki albo wina, kiedy Patagończyk lał ich w siebie, ile tylko mu dawano. W wysokim stopniu ludzie ci posiadają zdolność małpowania wszystkiego; powtarzali wszystko, co im gadano i pomrukiwali słyszane śpiewy majtków, chociaż głos piszczałki niemile raził ich uszy. Największą dla nich zabawą było patrzeć, jak oficerowie we dwojgu przechadzali się na pokładzie okrętu. Wtedy wszyscy brali się podobnie za ręce i chodzili podobnie za nimi, wymijając ich z największą zręcznością, kiedy wypadało wracać.

Założona niedawno nad cieśniną osada chilijska Punta Arenas

liczy obecnie 800 mieszkańców i oznaki cywilizacji szerzą się dookoła niej szybko. Niedawno też odkryto w pobliżu jej pokłady kamiennego węgla. Będzie tu zatem ważne stanowisko dla parostatków. Podczas wspomnianych wyżej pomiarów, statek Nassau wpłynął w małą zatokę wyspy Ś. Magdeleny, o 12 mil angielskich od Punta Arenas, niezwiędzanej dotąd przez nikogo. Wnet go okrążyły niezliczone gromady morskich psów, dziwujących się takiej niebywałej nigdy i niesłychanej napaści na swoje siedziby, a na okolicznych skałach pojawiły się niemniej liczne gromady tłustych gęsi, także w spokojnie głupim podziwieniu nad tem niepojętem dla siebie zjawiskiem. Ani zwierzęta ani ptaki nie uległy się przystępujących do siebie ludzi, ani domyślając się w nich nieprzyjaciół; szczególnie gęsi, które nie ustępowały ze swoich skał, nawet kiedy wdrapali się na nie majtkowie i dziobały ich za nogi.

Ausland.

83. Australja.

Nowa Hollandja czyli Australja, to ostatnie dziecko stałego lądu i najdziwniejsze. Wszystko jest paradoksalnem na tym lądzie wiecznej sprzeczności z Europą. W królestwie roślinnem występują tam eukalipty, czyli drzewa gummowe, w postaci olbrzymich słupów z liśćmi pionowemi a nie poziomemi, akacje bez liści, których liczne i różne gatunki jeszcze bardziej oddalają się od roślin wszystkich innych części świata. Drzewa te, palone od słońca, nie dają żadnego cienia. Botanik angielski p. Brown, który podróżował po Australji dla obznajomienia się zupełnego z florą tego lądu, był smutnie zadziwiony widokiem dziwnym jego lasów i pól. Wszędzie jednostajny odcień oliwkowy, którego wiosna nie zieleni, który w jesieni nie żółknie, który mężczy wrok na ogromnej linii pagorków i któremu brakuje największej ozdoby przyrody, różnaitości. W swoim Prodromie flory Nowej Hollandji ten botanik następnie przedstawia przykre wrażenia, jakie sprawia tameczny niemy i głuchy krajobraz.

Na wszystkich drzewach i krzakach australijskich budowa liści jest jednokształtną. Ich położenie prostopadłe, zupełna jednostajność, kończyny ostre, proste i równo położone, nadają postać twardą, dziwną, niegościnną, lasom Nowej Hollandji i ziemi Van Diemen. Są so lasy ponure, ale nie malownicze i jałowej jakiejś smętności. Dziwnym zbiegiem okoliczności, albo raczej przeznaczenia, Anglja okrywa te smutne wybrzeża wyrzutem swojej ludno-

ści biednej i występnej. Jakkolwiek nowych tych osadników cechuje wielka śmiałość i przedsiębiorczość, udało się im jednak dotąd zająć tylko bardzo małą częśćkę ziem, rozciągających się po za wybrzeżem. Wnętrze ładu dotąd jest prawie nieznanem. Corocznie nowe wyprawy kierują się ku tym pustyniom, jednak tracą ludzi, konie, muły i powracają wycieńczone, niezrobiwszy żadnego ważnego odkrycia. Oxley i inni badacze przedstawiają stepy które przebyli, jako strasznie smutne. Niema w nich wielkich rzek, płaszczyzny bez końca, pokryte olbrzymiem sitowiem, pomiędzy którem krążą leniwo wody czarne, nie będące ani rzekami ani błotem. W porze wzbierania wód, podróżny zaledwo napotyka wzgórek ziemi, na którym może rozłożyć swoje koczowisko. Opływanie brzegów przedstawia już to rzeczywiste niebezpieczeństwa, już to straszliwą bezpłodność. Obszerne wybrzeża, płaskie i w linii prostej, rozciągają się jak wzrok sięga i rozpościerają w dali aż do końca widnokregu, w którym giną, piaski białe, na słońcu błyszczące i bez śladu roślinności. Nic smutniejszego dla oka. To nie stopniowa niepłodność, do której się powoli przyzwyczajają, jak się oswiają z nieprzyjacielem, który następuje, to jest zupełna pustynia, śmierć, jałowość powszechna, nie do pokonania, nieskończona. Żadnego śladu zwierzyny, ani nawet fok uspionych na brzegu, ani jednego ptaszka, któryby składał gniazdo w piasku ruchomym; życie ustąpiło, a okręt płynący brzegiem niema nawet nadziei schronienia, jeżeli przerażające burze tych okolic rzucą go na skały. Czystość powietrza czyni jeszcze bardziej dotkliwym to spustoszenie bez granic.

Niekiedy spostrzegasz w dali mały dym, który się zagina i ulatnia. To zwiastuje, że jeden albo dwoje krajowców założyli koczowisko tam, gdzie żadna żyjąca istota nie będzie śmiała ich niepokoić.

Wkrótce ten obraz, jednokształtny i żałobny, zmienia się w sposób szczególniejszy. Znika już jednostajność, ustępuje ona miejsca chaosowi. Z głębi morza występują dzikie skały, jak ruiny; przechodzisz pod arkadami z ogromnemi sklepieniami, potem idziesz wzdłuż murów, ściętych prostopadłe w niezmiernej wysokości. W niektórych miejscach przewrót jest tak przerażającym, że majtek, zabłąkany w tych przestrzeniach, nie wie, czy jest dzień czy noc. Wyziewy i mgły kręcą się nad jego głową, woda ścieśniana i rozbijana tysiącem przeszkód, rzuca się, wre i huczy, morze nie jest nigdy spokojne, niebo nie jest nigdy czyste, wiatr dmie bez bońca, burzliwe czarne bałwany toczą się po olbrzymich wąwozach, pokłady bazaltowe pokazują się ukośnie, jak ostrogi

zbrojne kolecami i zwieszają się nad przepaścią, wiry i prądy przeciwne wody, spotykające się w wiecznej walce, noszą i odtrącają szczątki rozbitych okrętów. Tam niema, właściwie mówiąc, brzegu, ale zbiór skał, nagromadzonych bez ładu, w których woda wre i wpada w ziemię. Ścieżki urwiste, jedyne któremi iść można, prowadzą do stałego ładu, to jest do dróg w wąwozach zagłębiających się w labiryntach, gdzie niejeden żeglarz znikł bez śladu. Zstąpienie nawet w te otchłanie jest niebezpiecznym, powiada jeden polski podróżny, p. Strzelecki: co do wyjścia ztąd, to jest prawie niepodobnym; te straszne rozdarcia, wązkie i głębokie, są zamknięte, często nawet zakryte massami skał wapiennych, które niekiedy się oddalają, a niekiedy zbliżają do łożyska potoków i do ich milczących głębin. Miałem nieszczęście wpaść jednego dnia w te pustynie podziemne i zaledwo zdołałem wydobyć siebie i swoich ludzi z tych zawitych zakrętów, po kilku dniach trudów, głodu i nieustannego niebezpieczeństwa. Jeśli się uniknie tych niebezpieczeństw i dojdzie do środka ładu, znaleźć można tylko, zwłaszcza ku brzegom wschodnim Australji, bardzo mało roślin trawiastych i pożywnych; wszędzie krzewy z liśćmi lancowatemi, ciernistemi, jakby z żelaza. Zaledwo kilka rozprzeczłych drzew figowych przypominają w pewnych odległościach wdzięk i wspaniałą wytworność lasów naszej półkuli. Kangury są największemi czworonożnemi zwierzętami, jakie się tam spotykają. Za to mrówki ogromnej wielkości i węże, opatrzone jadem najsubtelniejszym, zamieszkują nagie skały i wypruchniałe pnie drzew. Szczególniejszego rodzaju klęskami darzy tamedzna przyroda; straszliwy wiatr obwiewa swojemi gorącemi powiewami i poraża bezpłodnością wszystko, co się znajdzie na jego przejściu. Jeden z tegoczesnych podróżnych, sławny badacz, tak opisuje jego skutki:

„Kiedyśmy płynęli z Nowej Zelandji do Sydney, byliśmy porwani o 60 mil od brzegu powiewem wiatru gorącego, wielkiej gwałtowności, którego temperatura była do 60°. Przez dwa dni niepodobna nam było dobić się do portu Jackson. Wiatr nakoniec uspokoił się i kiedyśmy już mogli wylądować, ujrzeliśmy wszystkie nasze powrozy, żagle, liny okrętowe, maszty, okryte popiołem czerwonym bardzo delikatnym, który, poddany rozbirowi, okazał się być pyłem metalicznym, zmieszany z glinki i krzemienia sproszkowanego. Wiatr, przechodząc przez obszerne i nieuprawne okolice wnętrza Australji, będące zapewne pustyniami piasków i skał granitowych, zmiata niektóre cząstki składowe tych skał. Następnie w powietrzu te atomy nabierają przez tarcie

się siły elektrycznej. Wtedy w swoim przejściu niszczą życie i pożerają rośliny: winogrona nikną, rośliny trawiaste i grzaskowe więdną, części wodniste szczerpów winnych schną natychmiast, całe pola, zasiane zbożem i kartoflami, tracą swoje zbiory, zielone liście żółcieją; oddechanie staje się trudnym, krew przyływa do głowy, ustanie transpiracji, trudność oddechania, zapalenie oczów, często olśnienie, przedstawiają u człowieka oznaki podobne do tych, jakie w innych szerokościach i długościach geograficznych sprawiają Samum lub Siroko. Za zbliżeniem się tego wiatru, rozpierzchają się obłoki i mgły, powietrze gorące i suche cięży nad ziemią, widać jak latają w powietrzu, albo raczej uderzają się wzajemnie, niekiedy prostopadle, gałęzie i kawałki roślin, które pęd poruszył. Rzekłbyś, że to olbrzymia baterja elektryczna. W istocie najbystrzejsi badacze przyrody, jak Humboldt, przypisali to zjawisko elektryczności, wywiązującej się przez zbliżenie i tarcie się tych wszystkich cząstek, oderwanych od skał i wstrząsanych gwałtownie w powietrzu.

Oświata i genjusz człowieka nie będą miały trudniejszej zdobyczy do dokonania, jak ten kraj, tak obszerny, obdarzony tak małą ilością środków, a usiany tyłoma zawodami i niebezpieczeństwami. Rośliny europejskie, przyswojone przez osadników angielskich w Nowej Południowej Walji, wyrodziłyby się prędko bez najstaranniejszej uprawy i ciągłego podlewania.

Nowa społeczność, która się przeniosła i przyswoiła na kilku punktach tego wybrzeża, mianowicie w okolicach wschodnich, w Sidney i w Paramatta, jest zupełnie godną tych ram, w których jest umieszczoną. Nic podobnego nie można widzieć w innych częściach świata. Dzieli się ona na dwa jakby narody: czystych i nieczystych, które żywią przeciwko sobie nienawiść silną i z latami coraz się zwiększającą. Czyści są to osadnicy, nazywający się także baranami białymi. Nie mają oni żadnych stosunków towarzyskich z nieczystymi, czyli baranami czarnymi, którzy są dziećmi i potomkami zesłanych i za okazywaną sobie pogardę płacą nienawiścią. Ludności te zasila podwójny prąd: wolnych osadników, których liczba wzrasta i nowoskaszanych, których także nabiera się niemało po szynkowniach i innych jaskiniach zepsucia w Anglii. Jeżeli barany białe odpychają wszelkiego rodzaju łączność i przedstawianie z baranami czarnymi, ci ostatni odpłacają im to dobrze. Już się tam utworzyła arystokracja złodziejska, szlachta rozbójników i synów rozbójników, które chcą mieć stosunki tylko z podobnymi sobie. Są tam wszystkie przesady szlacheckie: pewne kluby wymagają dowodzenia pochodzenia łotrowskiego i poświadczają go

herbem w całej formie; potrzeba dla tego mieć w żyłach krew człowieka, coby przynajmniej kradł chustki w Londynie, albo skazany był na wygnanie za fałszerstwo. Ta szczególniejsza arystokracja nie jest bez wpływu, albowiem dość często można widzieć skazanych, wzbogacających się dzięki swojej zręczności i energii. Często nawet ma ona przewagę nad szlachtą czystą, arystokracją osadników, ludźmi porządniejszymi, cnotliwsiymi, gospodarniejszymi, lecz mniej czynnymi i posiadającymi mniej środków inteligencji i energii. Przyszłość rozwiąże, jak się później urządzią stosunki tych dwóch ludów. Dotąd było niepodobna nietylko je złączyć albo zbliżyć, ale nawet zapobiedz ciągłemu postępowi ich nienawiści. Napróżno dawano wygnańcom usamowolnionym, znanym pod nazwą ludzi rządowych, też same prawa co i nowym osadnikom; napróżno rząd chciał zawrzeć, a przynajmniej przygotować, traktat pokoju i przymierza między temi dwiema częściami ludności; wszystko się rozbiło o podwójny opór jednej i drugiej strony. Występek dziedziczny okazał się również uporczywym jak i dziedziczna cnota.

F. Chasles. Podróże po nowym świecie.

84. Pastuchy australijscy.

Owczarstwo i w Australji, tak jak w Europie, jest życiem bardzo spokojnem i wcale nie ciężkiem. Przez cały dzień dość jest pastuchowi tylko czasem spojrzeć na swoje owce i może on pod drzewem oddawać się miłemu próżnowaniu; same psy utrzymują trzodę w porządku. Wieczorem zapędzają owce do zagrody, urządzanej z przenośnych płotów, zaś pastuch sypia w swojej chacie, albo w budce z desek przy owczarni. Doglądanie owiec jest tedy zatrudnieniem łatwym, a nawet, powiedzieć można, próżniackiem; płaca jest dość wysoka, tak, iż daje możność po latach kilku nabyć kawałek własnego gruntu; a z tem wszystkiem ten rodzaj zajęcia w Australji dla człowieka, który myśli, przedstawia życie przekłete. Przez cały rok, który w Australji ma także dni 365, pastuch wypędza tam swoją trzodę na też same pastwiska, patrzy na też same pola, na też same drzewa, na też samą wodę i na też same zwierzęta; nie ma żadnego towarzystwa, nie ma z kim pomówić, z kim się porozumieć; jedynym jego wiernym towarzyszem jest pies. W odległości kilkomilowej, niekiedy o cały dzień drogi od jego pastwiska, znajduje się inne, które ma też swojego pastucha. Rzadko kiedy na jednym znajdują się dwie osoby. Pod każdym



Pastuchy australijscy.

przeto względem owczarz australijski doświadcza na sobie systemu pensylwańskiego odosobnionego więzienia i nie powinien mieć za wiele rozumu, bo utraci go całkiem. Zajęciem głównem pastucha australijskiego w polu jest przegrywanie na drumli, albo na harmonice. Lecz dla nabycia tego instrumentu, musi on wędrować do najbliższego miasteczka, leżącego najmniej o dwieście mil angielskich.

Obok owiec, pielęgnują też w Australji ogromną ilość bydła i koni. Dla nich urządzenie pastwisk jest innym. Właściwie dla całej gromady tamecznego bydła jest tylko jedno pastwisko, dogłądane przez wielu nadzorców i jedna pasie się na niem trzoda, czyli raczej: konie, źrebięta, woły, krowy, buhaje, chodzą gdzie im się podoba, niekiedy po całych miesiącach niedogłądane przez nikogo. Od dzikich psów te zwierzęta mogą się obronić same, a kiedy tuziemcy uprowadzą czasem jaką sztukę bydła, albo złodziej weźmie sobie konia, za którego nie zapłaci, na to nie ma rady. Chowając bydło, rachują na skórę, rogi i tłuszcz. Prawie na wszystkich pastwiskach urządzone są wielkie warzelnie, obecnie parowe, dla dostawiania tłuszczu, w sposób najprostszy i prędki. Bydło strzelają, albo rzną, obdzierają ze skóry, ćwiartują, rąbią na sztuki i rzucają w wielkie kotły żelazne, mające miarę sądową i mieszczące od 16 do 24 wołów, lub trzy razy tyle owiec. W tych kotłach wywarza się łój i zlewa się z nich w beczki, które potem idą do Anglii. Tamże idą skóry i rogi. Chów bydła przynosi wielkie zyski, jeśli nie bywa złych lat, to jest bydło nie choruje i nie pada, lub, co zdarza się częściej, susza nie wyniszczy paszy. Wtedy wszystko bydło i stare i młode biją i oddają na warzelnie.

Gorzej jeszcze w takich razach bywa chowającym konie. Kiedy letnia zasucha wzmaga się i niema paszy, niepozostaje im nic innego, jak wszystkie konie pędzić do Sidney, lub Melbourne na sprzedaż z licytacji. Tam idą one po 2 do 10 funtów sterlingów za sztukę i bywają odprawiane do Nowej Zelandji, lub do Indji. Częściej jednak w takich razach pozostawiają konie w polu ich losowi. Kiedy lato bywa dobre i zwierzęta mają dosyć paszy i wody, pyszny widok przedstawia zapędzanie do stacji stada koni, przeznaczanych na sprzedaż, lub do ujeżdżania. O świcie dwaj lub trzej nadzorcy wyjeżdżają w pole, by zbierać konie, rozproszone po różnych, szczególnie częszczanych przez siebie, pastwiskach. O południu słychać w polu głośnie trzaskania z biczków, nawoływania i tentent, od którego zdaje się drzeć ziemia. Niedługo potem nadciągają z szybkością wiatru konie, parsające

i spienione od gorąca i biegu i w kilka minut już są zapędzone i zamknięte w wielkiej zagrodzie z płotów, wysokich od 8 do 9 stóp. Z ujeżdżaniem koni w Australji zachodu bywa niewiele. Naprzód wybranego na to konia łapią na arkan i wyciągają z zagrody, przyczem rozumie się dziko się on miota, bije, kąsa i broni się jak tylko może, aż założą mu na przednie nogi pęta, które mu nieprzeszkadzają chodzić, ale niedają mu skakać. Ażeby każdego pojedynczo konia ujeździć należyście, na to niema czasu; dość tego, że jak mówią, zwierze się przełamie i by dojść do tego, ujeżdżacze postępują nawet w sposób srogi i barbarzyński. Z tem wszystkiem Australja posiada wielką ilość doskonałych koni wszystkich, silnych i zaprawionych do wszelkich trudów i niewygód, które z ogromnym zyskiem sprzedawane są do Indji, gdzie bardzo je cenią i poszukują dla wojska. Właściciel, posyłający konie do Indji, płaci za ich przewóz na okręcie zwykle po 25 funtów sterlingów od sztuki, po odstawieniu w dobrym stanie na miejscu, gdzie je sprzedaje po 50 do 80 funtów sterlingów. Rzecz to jest zatem jak widać ryzykowna, ale obiecująca grube zyski. Po odkryciu australijskich kopalni złota, okazała się większa jak dotąd potrzeba koni i w samym kraju.

Nadzorca bydła i koni gardzi owczarzem i jego zajęciem, w przekonaniu, że niegodną jest męczyzny rzeczą po całych dniach przesiadywać próżno nad trzodą owiec. Taki nadzorca jest przedewszystkiem jeźdźcem i z całego powierzonego sobie stada koni bierze pod siebie, rozumie się, najlepszego. Takiego mu też i potrzeba; nietylko bowiem musi on być w stanie przesadzać rowy i płoty, lecz i nielekać się rogów dzikiego byka. Nasi masztalerze okazaliby się w swojej sztuce bardzo poślednimi wobec koniarza australijskiego; ten dopiero, lecz tylko na miejscu w Australji, pokazałby im, czego może człowiek dokazać na koniu, jak należy sadzić przez ogromne parowy i leżące, z rozpostartemi daleko gałęziami, drzewa i przebiegać cwałem gęstwiny leśne, nie troszcząc się o wszelkie trudności i niebezpieczeństwa pod nogami, co jest rzeczą konia, kiedy jeździec ma aż nadto pracy w ochranianiu swojej własnej głowy; kiedy bowiem las jest niskopienny, w każdej chwili może on zawisnąć na gęsto rozpościerających się w poprzek gałęziach, lub być przez nie rozszarpanym. Spędzanie bydła, które wielokroć razy na rok należy dokonywać i dla przeglądu i dla bicia na wywar, bywa bardzo ciężkie i niebezpieczne dla jeźdźców i koni, zwłaszcza kiedy gnane bez ustanku i oporne bydło nagle się obróci przeciwko jeźdźcom. Wówczas

niepozostaje nic, jak najspieszniej zmykać, komu niechce się dostać na rogi rozjuszonego byka.

Przegląd bydła odbywa się zwykle za udziałem w tem dla pomocy sąsiadów. — Kiedy już umówione są i wydane wszystkie ku temu rozporządzenia, wszyscy, tak panowie jak i słudzy, wsiadają na konie z harapami i zaczyna się polowanie. Wnet po wszystkich stronach rozległej knieji daje się słyszeć traskanie tych biczków, których bardzo boją się i woły i konie, bo nader dotkliwie dają się one czuć ich skóróm; wystraszone bydłeta, zwłaszcza stare, które wiedzą z doświadczenia o co idzie, spiesznie dążą na wyznaczone dla ich zebrania miejsce; za nimi jedzie nadzorca i popędza je głosem i traskaniem z bicza. Tak ze wszech stron nadciągają kupy bydła i przybywając, łączą się w jedną coraz powiększającą się gromadę. Kiedy już się zbierze wszystko bydło, pędzą je do zagrody. Dokoła traskają biczem, jeźdźcy nawołują i krzyczą, psy szczekają, bydło ryczy i bieży tłumnie, napierając jedno drugie, przez pola i wzgórze, strome spady, ciasne i głębokie parowy; całe to ryczące stado okrążają ze wszech stron jeźdźcy, by go trzymać w kupie i niedawać się rozpierzchać na strony, pomimo że chmury wzbijanej przez bydło kurzawy całkiem je zakrywają przed oczyma. Tu i ówdzie wpadają na siebie wściekle dwa rozhukane byki, lecz wnet ciężkie razy bicza przerywają rozpoczynającą się potyczkę i zmuszają obie strony do odwrotu. Tam znowu krowa miota się gwałtownie w ciżbie i rogami toruje sobie przez nią drogę, bo zgubiła w śpiesznym pochodzie swoje ciele i teraz słyszy je beczące gdzieś daleko. Konie pod jeźdźcami rżą od ochoty i zapału, które i ich, tak jak jeźdźców, ozywiają w tej gonitwie. Nareszcie w odległości ukazuje się zagroda; kiedy bydło ją ujrzy, wnet przychodzi mu na pamięć, jakie tam dzieją się okropności i usiłuje się rozpierzchnąć; ale te zamysły, nie łączne a pojedyncze, bywają wnet poskramiane biczami. Tu okazuje się cała zręczność, rączność i rozum koni, które same baczą pilnie na każdy podejrzaný ruch pędzonego bydła i uprzedzając wolę swoich jeźdźców, zabiegają każdemu zaniarowi ucieczki. Wreszcie zjajane i okryte kurzawą bydło wpędza się i zamyka w zagrodzie. Po przejrzeniu, każda nowu sztuka znaczy się przez operację zbyt bolesną. Łapią bydle na arkan, obalają na ziemię i krępują tak, że niemoże się ani ruszyć. Potem rozpalają do czerwonosci żelazo ze znakiem właściciela, służące do piętnowania bydła i przyłożywszy trzymają go tak długo, aż przepali całą skórę. Rana potem się zabliznia, ale wypalone piętno pozostaje wyraźnem, aż do najpóźniejszej starości.

Po odbytym przeglądzie bydła, pewna jego część przeznaczają się na sprzedaż, lub na zabicie do warzelnii. Wybrane na to zapędzają się w osobną zagrodę, a reszta wypuszcza się na wolność. Z dzikiem zadowoleniem i szybkością wiatru, wymyka się oswobodzone bydło przez rozwarte wrota zagrody i rozpierzcha się po okolicznych polach i lasach, śpiesząc na swoje dawne siedziby; zaś przeznaczone na zabicie lub na sprzedaż, pod strażą odpowiedniej liczby pastuchów, pędzone są na targ lub do warzelnii. I to pędzenie, które niekiedy odbywa się daleko, miewa swoje mniej więcej wzruszające ustępy. To jakich kilka sztuk bydła zabłąka się w jakim głębokim parowie, lub w zaroślach, których tak wiele jest po drodze, to i w otwartym polu po nocy cała trzoda zajdzie nie wiedzieć gdzie, to znowu powstaje w niej niezmierne zamieszanie w skutek przeprawy wpływ przez rzekę lub strumień. A przytem wszystkim należy zawsze się troszczyć, aby w miejscach gdzie stawa się na nocleg, była dostateczna ilość paszy i wody. A tu częste pożary w stepach wyrządzają w tem szkody niespodziewane. Słowem pastuch bydła ma o czem myśleć i czem się kłopotać, więcej daleko niż owczarz; a jednak w końcu życia, tak jednego jak drugiego, przedstawia się zarówno samotnem, jednostajnem i nudnem nie do zniesienia. Objasnia to w części, dla czego u tych pastuchów daje się postrzegać w całym ich postępowaniu, wychodzącym po za ich codzienne jednostajne zajęcia, jakaś dzikość. I to jest smutną prawdą, że najwięcej chorych po domach warjatów w australijskich miastach bywa z pomiędzy pastuchów.

Fr. Christmann.

55. Kopalnie złota w Australji.

Pierwszą myśl o istnieniu złota w Australji, Anglicy zawdzięczają postrzeżeniom naszego ziomka Strzeleckiego. Uczony ten badacz, przed kilkunastoma laty przechodząc znane miejsca w Nowo-południowej Walji, równie jak i w prowincji Wiktorji, robił poszukiwania geologiczne, wyciągając z nich nieomylnie, jak się pokazało później, wnioski, że pewne przestrzenie ziemi, szczególnie w ostatniej, zawierają kruszec, bardzo dziś potrzebny dla Anglji. Gdzież już Anglja podziewać miała swoje wyroby, za które sprowadza chleb, dla co raz bardziej wzrastającej na swoich wyspach ludności.

Strzelecki przeszedł góry Niebieskie, które ani są niebieskie, ani wysokie. Gdyby one stały około Kordyljerów, Alp, albo

i naszych Karpat, zwanoby je pagórkami. Na łądzie po większej części płaskim, mogą się one tymczasem nazywać górami, póki gdzieś w nieznanym dotąd środku tego łądu nieznajdą się inne, bardziej zasługujące na taką nazwę. Upewniano mnie, że jeden z wyższych szczytów nazwał Strzelecki górą Kościuszki, na pamiątkę męża, pomiędzy którego ziomeków liczyć się jest zaszczytem dla każdego z nas. Góra Kościuszki znajdować się ma na pograniczu Nowo-południowej Walji i prowincji Wiktorji o 50 mil od morza.

O kopalniach złota w Australji ani myślano kiedykolwiek. W Burabura, w prowincji Adelajdy, zaczęto przed 30 laty wyrabiać miedz. Zapewne ta gałąź górnictwa byłaby przynosiła wielkie korzyści, bo żadne w świecie kopalnie tego kruszcu niemogłyby były wykazać 90%, jak australijskie; ale brak robotników, a zatem wysoka płaca tych, którzy za przybyciem dla osiedlenia się w Australji, zmuszeni byli najmować się dla utrzymania życia, nie odpowiadała w cenie produkcyjnej miedzi, wyrabianej w Europie za niską płacę górników. Kopalnie miedzi niewiele ściągały ludzi, zaludnienie zatem owych miejsc Australji szło bardzo tępo, a nie prawie jeszcze ona nie produkowała, coby można było brać w zamian za produkta angielskie. W roku 1839 i 1840, Strzelecki robił wycieczki badawcze z Sydney w różne okolice, spisywał swoje spostrzeżenia i raport jego o pewności znajdowania się złota w Australji przesłanym został do rządu angielskiego 2 Września 1840, przez Jerzego Gips, podówczas gubernatora Nowo-południowej Walji. Niektórzy Anglicy utrzymują, że jednocześnie ze Strzeleckim, a nawet może przed nim, o istnieniu złota w Australji objawił Anglik Edmond Hargraves. — Zapewne; bo gdzieżby można Polakowi zawdzięczać jaki wielki wynalazek i przyznać mu jakie wielkie odkrycie i płynące z niego korzyści, jeżeli nie dla świata, to przynajmniej dla kraju, gdzie tyle gnieździ się mądrości. Kopernikowi nawet niewolno być Polakiem. Jakżeby mógł jakiś Strzelecki mieć tyle nauki, by wynalazł złoto tam, gdzie Hargraves był ze swoim rozumem? — Tymczasem niewiadomo z jakiego powodu ograniczony Strzelecki tak jest szanowanym przez rząd angielski, iż pobiera od niego znaczną pensję, wydał pod swoim nazwiskiem w języku angielskim dzieło o swoich postrzeżeniach geologicznych w Australji i nikt mu tych jego postrzeżeń niezaprzecza. — To pewna, że o złocie w Australji niewiedział nikt od czasu jej odkrycia i założenia w niej pierwszej osady, aż do r. 1840. Potem nawet bardzo pomału robiono poszukiwania i dopiero w r. 1849 i 1850 dzienniki europejskie ogłosiły Australję rywalką Kalifornji. Najpierwej znaleziono ten kruszec w Nowo-południowej

Walji, potem, jak niektórzy utrzymują przypadkiem, w prowincji Wiktorji trafił ktoś na bogate miejsce, gdzie są dziś kopalnie Balarat i Forest Kreek. — Bendigo miało być odkryte przez deportowanego tego nazwiska, niegdyś sławnego boksera w Anglii; później zaś Owens o 50 mil od rzeki Murray, prawie na pograniczu prowincji Wiktorji i Nowo-południowej Walji. Te były główne miejsca z licznymi rozgałęzieniami, ciągnącemi się w różnych kierunkach koło głównych kopalni, a wszystkie przyległe wzgórza i równiny były próbowane i wyrabiane, jeżeli dochód złota był zadowolniającym. Następnie odkryto wiele nowych kopalni.

Uważając na kuli ziemskiej położenie krajów, gdzie dotychczas znajdowano ten kruszec, widzimy, że między pewnymi stopniami długości geograficznej po obu stronach kuli ziemskiej, więcej znajduje się złota niż gdzieindziej. Zaczawszy od Australji, a szczególnie od prowincji Wiktorji i Nowo-południowej Walji, pas, w którym ono się znajduje, idzie dalej przez wyspy azjatyckie, przez Indje, przecina kraje górne, dochodzi Uralu i zimnych stref Syberji; na drugiej półkuli najobficiej znajduje się w Chili, Peru; zaś temi czasy odkryto go w Truxilias, pierwaj niż w Australji, w Kalifornji i znowu aż w Kanadzie; w roku 1853 niedaleko Quebeku znaleziono kawał rudy złotej, ważący 2 funty. Oprócz tego jest złoto w Afryce i w Europie, a nawet kroniki twierdzą, że znajdowano go u nas. I tak według Długosza, miano widzieć bryłę złota, znalezioną niedaleko wsi Łącko, na granicy węgierskiej; według Starowolskiego, złoto miało się znajdować w górach pod Nowym Targiem i około Sącza, jako téż około Kielc; Miechowita podaje, że koło Buczacza, w wodzie spadającej ze skały, miało się świecić złoto jak opilki; według Sarnickiego, znaleziono go pod Orszą, a według Rzączyńskiego, w Tatrach i na Ukrainie. Teraz nawet odnogi gór Karpackich, ze strony Węgier i Siedmiogrodu, zamykają w sobie ten kruszec. Niezawadnie być on musi i z tej strony Karpatów, bo te góry mieszczą w sobie kwarc, oker, granit i żelazo, obok których znajduje się zawsze złoto. Należałoby tylko uważnie przejść podgórze, a miejsca złotopodne znalazłoby uczeni geologowie. Możeby głębiej szukać trzeba tutaj, jak w Australji i Kalifornji, coby połączeniem było z większym kosztem i trudnościami; możeby korzyści nie dorównały australijskim, ale kto wie, czyby przy pracy i szczęściu nie natrafiono i na znaczniejsze pokłady.

O górnikach australijskich powiedzieć można, iż liczną ich familję składają ludzie ze wszystkich części świata, wszystkich krajów i wyznań religijnych, rozmaitego usposobienia i wykształ-

cenia, wszystkie rodzaje rzemieślników, artyści, literaci i uczeni, księża i żołnierze, majtkowie, dzicy tatuowani i deportowani zbrodniarze, zmieszani w jeden komput, w jednakowym ubiorze, przymuszeni zapomnieć o dawnych zwyczajach, nawyczkach i zatrudnieniach, temuż samemu oddawać się zawodowi i żyć jednostajnym życiem górnika. Kopią oni jeden przy drugim i żadnego z nich powierzchowność nie zdradza dawniejszego znaczenia, godności lub wykształcenia umysłowego. Wszystko to brodate, zakurzone i zabłocone, a niejeden z nich i spojrzeć przedtém nie raczył na takiego, z którym teraz wspólnie pracuje. Wszyscy tam są połączeni jednym nazwiskiem górnicy. Tylko różne odcienia twarzy i mowa odznacza pochodzenie i narodowość; ale niktby nie odgadł, czem kto był i co umie.

Podróż do Australji S. Korzelińskiego 1852—1856.

86. Dziecy australijscy.

Nikt dotąd nie policzył ludności całej Australji. Oprócz osadników i ludzi pracujących w kopalniach, są tam i dziecy tuziemcy, tułający się po lasach po kilku, kilkunastu, a czasem większymi stadami, jak dzikie zwierzęta. Bez miejsca stałego pobytu, bez domów i bud, lub szałasów, leżą oni pod drzewami, dziś w tém, jutro w innem miejscu, opuszczają tymczasowe koczowiska wedle fantazji, lub potrzeby zbliżenia się do rzek, gdzie łatwiej znaleźć mogą pożywienie, składające się z mięsa kangurów, oposumów, ryb, dzikich kaczek, robaków i węzów. Kanguru zabijają dzidą z twardego drzewa, rzucając nią nadzwyczaj zręcznie w znaczną odległość i rzadko bardzo chybiając celu. Do rzucenia dzidą szczególniejszą przybierają postawę; stojąc na prawej nodze podnoszą lewe kolano ze spuszczoną na dół niższą częścią nogi tak, że z ciałem tworzy kąt prosty, na wyższej części nogi, jakby na ławce wspierają dzidę, a mierząc okiem bystrem odległość, prawą ręką posuwają naprzód i w tył dzidę, jakby dla większego rozmachania, poczem oceniwszy przestrzeń, którą ma przebiec, nadają ostateczne silne pchnięcie, a dzida zrywa się z nogi, jak raca z kozła, świszcze w powietrzu i uderza w miejsce upatrzone. Oposumy wyciągają z dziur w spróchniałych drzewach. Wzrok dzikiego bystrzejszy niż orli, dojrzy na twardej korze subtelne ślady tego małego zwierza, po których poznaje, że wylazł na drzewo. Parę razy pokazywał mi dziki te ślady, ale cywilizowane oko prędzej straciłoby działalność, niżby coś więcej dojrzieć mogło,

jak tylko koreę. Zręczność ich w łażeniu na drzewa jest godną zastanowienia. Dzikiemu dosyć małej dziurki, w którąby mógł zmieścić wielki palec nogi; na nim utrzymuje cały ciężar ciała, póki wyżej nie wydlubie pewnym rodzajem siekierki, zwanej tomahawkiem, nowego zagłębienia, niby następującego stopnia, na wielki palec drugiej nogi. Nim to skuteczni, okrąża wolną nogą pień drzewa, jak wiele zająć może i tym sposobem utrzymuje się bez pomocy rąk, jakby do pnia przyklejony, przechyla się na wszystkie strony i zagląda poza drzewo, istna małpa. Ryby łapie rękoma, nurzając się w wodę, co także i kobiety umieją; zaś na kangarów i oposumów polują tylko mężczyźni. Na ryby większe jak cob, znajduwaną w znaczniejszych rzekach, używają włóczni z twardego drzewa, bardzo długiej; z nią kładą się na wystającym urwisku brzegu, kłodzie, lub wystającym nad wodą drzewie, i czatują cierpliwie na zdobycz. Zobaczywszy coba, zwolna wsuwają koniec włóczni w wodę, posuwają ostrożnie, by nie spłoszyć ryby, coraz bliżej, a gdy już przysuną o tyle, że pewnośc trafienia nie jest wątpliwą, ostateczny nadają impet. Dzikie kaczkki, upatrzawszy na wodzie, nurkują pod nie i chwytają za nogi. Wreszcie wykonywują oni cudowne prawie rzeczy, w czem dopomaga im wzrok i słuch, wykształcone do najwyższego stopnia. Jeżeli trzeba wysledzić popełnione zabójstwo, wynaleźć zbrodniarza, lub ciało gdzieś w lasach schowane, dziki niezawodnie rozwiąże to trudne zadanie.

Język dzikich nie wszędzie jest zupełnie jednakowy. Niektóre przedmioty inaczej się nazywają w Nowo-południowej Walji, a inaczej w Wiktorji lub Adelajdzie. Co do zwyczajów i niektórych obrzędów, zachodzą też u nich różnice. Chociaż dzicy australijscy mało różnią się od zwierząt, mają przecie wyobrażenie własności, ze względu na kobiety czyli żony, jakkolwiek zasady moralności nie bardzo są między nimi przestrzegane. Wybieranie czyli przywłaszczanie towarzyszek życia wymaga przecie i u nich jakiegoś obrządku, który się różni w okolicach odległych od siebie. I tak w Nowej Walji, koło Murrumbidzi, stawiają oblubienicę wyprostowaną pod drzewem, przyszły małżonek przystępuje z twardym kawałkiem drzewa, przykładając go do przednich zębów narzeczonej, a uderzając w drugi koniec, wybija je, może dla tego, żeby na przyszłość zrobić ją dla siebie nieszkodliwą.

Dzicy przywiązują wiarę do talizmanów. Są to małe kryształki, bardzo czyste, które często znajdować można w głębi ziemi w kopalniach, a w niektórych miejscach koło rzeki Mackarie, o 3 mile od Bathurst, na powierzchni. Sposób, jakim Krodzje, rodzaj czarnoksiężnika u dzikich, oszukuje swoich klientów, udzie-

lając im talizmany, jest śmieszny, choć oryginalne przygotowanie do tego malowniczo straszne. Kiedy dzień zastąpi ciemna noc, a w lasach panuje cichość, zaczynają w nich błyskać małe światła; są to ognie, utrzymywane jasno dorzucaniem liści i kory; przy nich czarne postacie, pomalowane w różne linje białą i czerwoną gliną, skaczą w najdziwniejszy sposób, przerywając cichą krzykiem przeraźliwym, któremu kobiety, siedzące w grupach, wtorują



Przygotowanie oblubienicy do ślubu u dzikich w Australji.

jednostajnem pogrzebowem wyciem. Lasy odwieczne, ognie w noc ciemną, białe i czerwone linje na ciałach czarnych, nadające odrażający piekielny pozór postaciom, to przysiadającym do ziemi, wyginającym się jakby w konwulsjach, to znowu okrażającym ognie w dzikich skokach, wrzask, wycia i jęki, mogą przejąć odrazą i zarazem przestraszyć Europejczyka, pierwszy raz patrzącego na ten obraz, przypominający puszcze amerykańskie i ludożerczą biesiadę Indian, odmalowane przez Fenimora Coopera.

Nikt jeszcze nie zbałał pojęć religijnych dzikich australijskich, o istności najwyższej Boga. Utrzymują oni, że gdzieś na szczytach niedostępnych gór mieszka zły duch, nazywany Yahoo, który karmi się ludźmi, a szczególnie ciałami małych dzieci. Mniemanie to utrzymywane pokrywa nienaturalne zbrodnie kobiet, niszczących swoje dzieci, które stały się im ciężarem. Za każdą razą, kiedy dziecko zniknie, na zapytanie gdzie go podziały, odpowiadają one: „Yahoo wziął.“ Grzmotów boją się tak jak Kafry w Afryce, a jak wielu utrzymuje, wierzą w przejście duszy z jednego ciała w drugie. Podług ich mniemania, dusza z umierającego dzikiego wchodzi w człowieka białego. Trudno wierzyć temu opowiadaniu, bo w takim razie powinnyby dzicy szanować swoją duszę w białem ciele; a przecież jak tylko im się zdarzy sposobność cichaczem i bezkarnie zabić białego, niemieszcząją tego nigdy. Szczególniej samotnych owczarzy znachodzą często pomordowanych.

Chytrość i podstęp jest ich przymiotem, lecz zarazem i głupota; gdyż zdaje się im, że mogą Europejczyka zwieść słowami i pokrywać niemi swoje chęci. Pamięć mają nadzwyczajnie bystrą, osobliwie rysów twarzy białego, raz widzianych, niezapomną przez lat kilka i jeżeli od niego doznali jakiej przykrości, odpłacą mu to niezawodnie, kiedy tylko nadarzy się sposobność.

Pracy bardzo nie lubią i za największą rokosz poczytują palić tytoń, skoro tylko jakim sposobem mogą dostać fajkę.

Niektórzy dzicy niezupełnie są obojętnymi na strój; zdaje się jednak, że nie wiele jeszcze mają wyobrażenia o tem, co by istotnie łagodziło w oczach patrzącego widok ich postaci. Dla nich samych nie potrzeba, jak skóry oposumów. Chcąc jednak uchodzić w oczach białych braci za ludzi niby przyzwoitych, biorą na siebie kawałek koszuli; czasem ubierają niższą część ciała, gdy wyższa pozostaje naga; niekiedy udartym strzępkiem z ponsowej wełnianej koszuli górnika, jakby wtażką, obwiązują podobną do pudła głowę. Kobiety nie bardzo skłonne są do strojów i zwykle chodzą nago.

Probowano bezskutecznie przyswoić kobiety dzikie. W pierwszych czasach, kiedy niedostatek kobiet w Australji był wielki, kilku osadników chwyciło dzikie piękności i pojęło je za żony. Przez jakiś czas podobał im się strój, równie jak i rodzaj życia; wkrótce jednak, przymuszone odstąpić od wrodzonego lenistwa i zajmować się małemi obowiązkami gospodarskimi, zatęskniły za

swojemi lasami i pewnego poranku umknęły w puszcze, zostawiając za sobą domy, stroje europejskie i cywilizowanych małżonków, którzy też za nimi nie gonili.

Podróż do Australji S. Korzelińskiego. 1852—1856.

87. Wyspy Otaickie i Hawajskie.

Piękne są wybrzeża i uśmiechające się ogrody wyspy Taiti, królowej archipelagu Otahiti. Przylądek Wenus wkracza wysokimi palmami daleko w morze. Tu się rozkłada Matawaj, dawna stolica archipelagu. O trzy mile ztamtąd leży nowa stolica Papeity, której przystań jest wygodniejsza, zasłonięta zewnątrz pasmem wysokich skał i przepuszcza okręty tylko przez wązki przesmyk. Papeity jest miastem, a nawet miastem królewskim. Wznosi się tu kilka pałaców, pyszne mieszkania konsulów francuzkiego, angielskiego i amerykańskiego, których flagi narodowe powiewają dumnie na wysokich masztach, zatniętych na szczycie bastjonu lub belwederu, oraz pałac zimowy królowej otaickiej, z wielką flagą karmazynową, na której świeci srebrna gwiazda, herb Jej Królewskiej Mości. Dwa szeregi domów, domków i chattek ciągną się wzdłuż brzegu; każda z tych siedzib otoczona bujnym ogrodem; wysoko ponad dachami sterczą szczyty palm kokosowych i zwieszają swe czuby, niby parasole; jest i bulwark do wyładowywania towarów, są magazyny, sklepy, hotele, a na nich pełno olbrzymich napisów, najczęściej w angielskim i otaickim języku. Drogi dobrze są utrzymywane na całej wyspie. Powieźdżałbyś, że te monumentalne drogi sypali Rzymianie; a tymczasem utworzyły je niewiasty otaickie, karane robotą za grzechy, które tej wyspie nadały nazwę nowej Cytery. Ile ich musiały popełniać, kiedy te drogi wiecznotrwale tak dobrze utrzymywane. Jednak miasteczko to nie zawiera więcej nad 2000 ludności. Wypiarze tutejsi nie lubią mieszkać w mieście, wolą żyć rozsiani w szalasach, po całym przestworzu wyspy, w cudnych gajach tej prawdziwej ziemi obiecanej. Królowa nawet odwiedza swój pałac tylko wtedy, gdy zasiada w radzie państwa, otwiera parlament i przymuje deputacje europejskie; zresztą przebywa w prześlicznym ustroniu wiejskiem Mutu-Utu, którego ogrody dotykają brzegów morza i rzeki spadającej doń z gór wysokich na 11,000 stóp, które piętrzą się we wnętrzu, jak Alpy.

Z dobre pół mili za miastem, już na podnózu tych gór, sterczą gruzy owego ogromnego, na 1000 stóp długiego, budynku,

wzniesionego przez króla Pomare II, Mieczysława, Klodoweusza, Konstantyna otaickiego w r. 1808, na chwałę chrześcijańskiego Boga, którego potęgę uznał i ludowi swojemu uznawać kazał, zniszczył w swoim państwie bałwochwalstwo i przetłómaczył Biblię na język otaicki. Miała Taiti swą erę żarliwości religijnej, nim misjonarze angielscy świętość tego uczucia zużytkowali na ujarznienie i zubożenie kraju. Okropnie tu gospodarowali Anglicy. Znikło ztąd wprawdzie barbarzyństwo, ale razem z dobrotliwą naiwnością ludu; obudzono tu wstydlivość, ale niewystępiono niemoralności; wypiarze nauczyli się czytać i śpiewać psalmy, ale pozapominali prawie ze szczeniem własnych kunsztów, przedtem tak zachwycająco piękne wydających płody; nauczyli się uprawiać ziemię, sadić kartofle, siać zboże, hodować bydło rogate, z innych krajów sprowadzone, a za to prawie zapomnieli chodzić około kokosów, gojawów, pomarańcz, bananów i patatów, tych miłych pożywnych i zdrowych owoców zwrotnikowych.

Przez zatoki, przesmyki i labirynty niewypowiedzianej piękności, dostajemy się do drugiej wyspy Eimeo, zajmującej obszar czterech mil kwadratowych. Jeżeli wyspa Taiti jest piękną, to wyspę Eimeo słusznie nazwać można rajem, Eldoradem, przechodzącą pięknoscią wszystko, co można sobie wyobrazić. Więcej jest tutaj żyźnych płaszczyn, gór nie nagich, lecz pokrytych bujną roślinnością, więcej wód spadających kaskadami, a sama roślinność o wiele silniejszą. Tu już niema owych dróg, bitych na rozkazy misjonarzy przez biedne kobiety, które uległy złym natchnieniom żywego temperamentu, lecz ścieżki kręte ciągną się, niby nasze litewskie drożyny, pomiędzy żywymi płotami nad brzegami rzek, płasających z głośnym szmerem z głazu na głaz, mrujących po kamyczkach różnokolorowych, świecących okrągławych. A tu znowu drzewa olbrzymie, jakich nie widać i w puszczy Białowieskiej i zgoła nigdzie w Europie. W gajach śpiewają, gwizdzą, świergocą roje ptaków, połyskujących najcudniejszymi barwami: smaragdowe grzywacze, turkawki całe niebieskie z purpurowymi główkami, zwane tu kuru-kuru, gołębie duże, z odmianami w najświetniejszych barwach, prześliczne papużki, nie większe od dzwońców, całe zielone, z długim ogonem, a dziobem i pazurami najżywszego karminu, filusie żółte z niebieskim czubkiem i taka moc malutkich, jak kolibry, konopków, że częstokroć cały rój krył się w kwiecie bluszczu wielkim, jak kapelusz. Rośliny wijące się, liany grube jak lina, pięły się od drzewa do drzewa, a żadnego nigdzie gadu, oprócz obrączkowca koralowego, prześlicznego węża, zupełnie niewinnego, a tak łaskawego, że gdy dziewczica

otaicka weźmie go i nim włosy sobie obwinie, wówczas biedny wąż nie śmie się ruszyć i tylko ściska pukle pięknej córki Oceanji.

¶ Chrystjanizm protestancki nie przeszedł w krew tutejszego ludu. W kościołach narodowi księża odprawiają po swojemu protestanckie nabożeństwo. Są to szałas na biało tynkowane, osłonięte drzewami z wieżyczkami, na których wisi sygnaturka i tkwi godło Zbawiciela. Zawsze jednak oddają część zmarłym, czego przecież protestantyzm nie dozwala. Bardzo gęsto rozsiane są tak zwane Moraje, czyli przybytki grobowe, w których wśród ziół i żywic aromatycznych, suszą się na powietrzu zwłoki nieboszczyków. Niektóre z nich, poobwijane starannie w liścia z drzew pachnących, tak się wybornie od wielu lat konserwują, że choć zeschły się zupełnie, wyrazu twarzy niezmieniły. Oddać hołd morajowi rodziny, jest to zdobyć sobie u niej prawo gościnności, nieraz w zanađto rozległem tego znaczeniu. Otóż dziwne połączenie zabytków katolicyzmu i bałwochwalstwa. Ci dobrzy ludzie wybierają sobie z każdej religii, co im najdogodniejsze, w czem zresztą podobni są do wielu oświeconych ludzi, którzy sami nie wiedzą, co myślą, co robią i w co wierzą. Takie było zbałamucenie pod względem religijnym na wyspach Otaickich. Mdły, suchy i nudny metodyzm nie wystarczał temu ludowi, który przechował w duszy pierwotną poezję i pociąg do bałwochwalstwa. Katolicyzm byłby się tu przyjął i rozkrzewił daleko łatwiej. Zanieśli go na te wyspy missjonarze francuzcy od dawna, bo po zwiedzeniu ich przez Bougainvilla, lecz wkrótce potem zniesiono chrystjanizm i wszelką religję we Francji. Potem Anglicy, korzystając z niemocy francuzkiej na morzu, rozciągnęli swój protektorat na te cudne wyspy. Przybyli pod ich opieką missjonarze Metodyści; za wpływem ich, a szczególnie sławnego w swoim czasie Pritcharda, który z rzeźnika londyńskiego został przemysłowcem, najbogatszym kupcem na wyspach Otaickich, lekarzem, pierwszym ministrem, doradcą i powiernikiem królowej tych wysp, a przytęm missjonarzem i konsulem królestwa Wielkiej Brytanji, zaczęto prześladować missjonarzy francuzkich, opowiadających naukę Chrystusa z prawdziwym poświęceniem i wyrzeczeniem się wszelkich wygod i majątków. Ten wspaniały widok apostołów, żyjących z dnia na dzień w ubóstwie i zawsze gotowych do położenia życia za swą wiarę, zanađto bił w oczy i raził missjonarzy, przybyłych z żonami, dziećmi i rozlicznymi krewnymi. Wypędzono więc precz tych Jezuitów. Słabo broniła Francja swoich missjonarzów, bo król Ludwik Filip nie chciał ubliżyć Angli; tylko kilku kapitanów lub admirałów francuzkich wystąpiło czasem, a najczęściej bardzo nie-

wcześnie i nieumarkowanie w ich obronie. Wreszcie chciwi missjonarze angielscy znudzili cały naród wymaganiami i intrygami najrozmaitszego rodzaju i królowa, po długich sporach z Francuzami, przyjęła protektorat Francji. Odtąd nastąpiła inna era życia dla Otaiti. Otworzyło to znowu wstęp missjonarzom francuzkim i niebawem wszyscy mieszkańcy archipelagu zapragnęli przystać do katolicyzmu i byliby niezawodnie przystali, gdyby sama królowa Pomare, córka owego wielkiego Pomara II, Klodowusza i Konstantina swojego państwa, który przetłómaczył Biblię na język otaicki, a przytęm wypijał codziennie po trzy butelki romu, wierna wyznaniu, wprowadzonemu przez swego ojca, nie była ze łzami w oczach odwodziła lud od przestępienia.

Ale wszyscy mieszkańcy wyspy Eimeo i pobliskiej wysępi Faratea przystali do katolicyzmu i ogłosiwszy się gminą katolicką, zażądali proboszcza, wyznaczyli mu grunta, zbudowali bardzo wygodne mieszkanie, stodołę, oborę i znieśli dziesięciny.

Rząd, widząc jednomyślność i jednogodność mieszkańców, już od bardzo dawna przychylnych katolicyzmowi, nie śmiał się sprzeciwić i inne dał przeznaczenie pastorom wysp Eimeo i Faratea, pozostałym bez trzody i dziesięciny.

Obecnie religją państwa Otahiti jest chrześcijańska jakiegobądź wyznania. Kościoły są katolickie i ewangelickie, ostatnie jeszcze w większej liczbie. Missjonarze protestancy już zakończyli tu swoje dzieło, choć z pewnością nie nawrócili jeszcze wszystkich pogan; ale nienajlepszą zostawili o sobie opinię, zwłaszcza u swoich następców księży katolickich. I w tęm nic dziwnego, bo nawet pomijając różność religji, zawsze kapłan z powołania musi nienawidzić missjonarza we fraku, tak jak prawdziwy żołnierz nienawidzi gwardzistę narodowego, a prawdziwy lekarz, owczarza, zażęgnywacza, magnetyzera, lub innego szarlatana, trudniącego się leczeniem.

Wyspy Hawajskie, czyli Sandwich, odległe są prawie o tyle na północ od równika, o ile wyspy Otaićkie są oddalone od niego na południe, to jest o 18 stopni geograficznych; z czego wypada, że pierwsze leżą od drugich o mil pięćset czterdzieści i kilka. Przestrzęń tę przebiegliśmy w dni dziesięć i już nawet ósmego dnia ujrzelśmy z daleka szczyty wysokich na 15,000 stóp śnieżnic, wznoszących się olbrzymim łańcuchem na tym znakomitym archipelagu. A gdyśmy się zbliżyli do największej z wysp, zwanej Owaja i wzdłuż jej brzegów płynęli, zachwycającym nasycalismy się widokiem. Strumienie i rzeki spadały kaskadami z największych szczytów śnieżnic aż do morza i po drodze oblewały gaje, pola,

ogrody i łąki tej prześlicznej ziemi. Mnóstwo chat i szałasów pięło się po stronach gór, coraz wyżej i wyżej, a na polanach i halach liczne pasły się trzody niedawno tu sprowadzonych merynosów. Drzewa wieńczące te wzgórza, świeża zieloność gajów, żywy aromat kwiatów zdobiących łąki i pola, widok drzew najrozmaitszego rodzaju, obciążonych owocami, wszystko to unosiło nas i zachwycało; ale na nieszczęście nie mogliśmy zbliżyć się do tego raj, bo morze rozbijało się o jego skaliste brzegi z przerażającą wściekłością. Pienisty, na dwieście stóp wysoki wał otaczał całą wyspę. Pomimo tak wzburzonej fali, wypiarze puścili się ku nam w wielkiem mnóstwie długich i wazkich łodzi; koniecznie chcieli dopłynąć do naszej fregaty, ale nie sposób, bośmy biegli z szybkością nadzwyczajną, lubo prócz kierownego żadnego innego nie zatknęliśmy żagla. Z jednego statku czepiono się wprawdzie rzuconej z okrętu liny, ale ten statek, uniesiony z szybkością na grzbiecie bałwanów w jednym mgnieniu oka napełnił się wodą i zatonął. Indjanie nie stracili głowy, tylko puścili linę, połapali wyrzucone z łodzi i pływające w falach owoce i prosięta, wydobyli z nurtów oceanu łódkę, długą na 25 stóp, a szeroką i głęboką na jedną, wyczerpali z niej wodę pagajami, to jest wiosłami podobnemi do łopat i znów wsiadłszy na czołno, pędzili za nami, aby czepić się liny, z powodu której już się z dziesięć innych statków przewróciło. Te manewra pływackie odbywały się na morzu, miotanem falą wysoką jak domy; zdaje się, że to przechodzi ludzkie wyobrażenie i może niejeden temu nie da wiary, a jednak tak było. Wszyscy pływali z taką zdumiewającą biegłością.

Dopiero na drugi dzień, okrążywszy wyspę od strony zachodniej, zdołaliśmy wylądować na Owaję, nad którą sterczą trzy śnieżnice, wyższe od Montblanc. Ta wyspa liczy do 85,000 ludności.

Stolicą archipelagu jest Honoruru (inni piszą Honolulu; bo mieszkańcy tutejsi wymawiają r, prawie zupełnie jak l), miasto mające 12,000 mieszkańców, a położone na wyspie Oahu, największej z całego archipelagu.

Zwiedziwszy na Owaji wioskę Kowroma, w której (r. 1779) został zamordowany przez obrażonych krajowców świetny, ale zbyt surowy kapitan Cook, zasłużony odkrywca tych i tylu innych wysp, zwróciliśmy się ku stolicy królewskiej i zarzuciliśmy kotwicę w przystani Honoruru.

Hawajczycy, pod nader wieloma względami, bardzo są podobni do Otaitczyków, oddalonych o blisko 600 mil geograficznych, przedzielonych morzem, równikiem, skalistemi brzegami i mnóstwem innych zawad. Mieszkańcy Hawaji i Otaiti należą niezaprzecze-

nie do najszlachetniejszego szczepu jednej i tej samej, prawie wszędzie pięknej rasy malajskiej; ale w budowie towarzyskiej już zachodzą znakomite różnice. Królestwo Hawajskie ma swoją arystokrację, prawie na tą samą stopę uorganizowaną jak angielska. Na archipelagu Hawajskim wiele znaczy urodzenie, ale tylko u tego, kto posiada osobiste przymioty, a najwięcej cenionymi tutaj są rozum, mężstwo, siła i wzrost. Szlachcica ogołconego z osobistych przymiotów nikt tu niepojawia; prawie wszyscy bez wyjątku naczelnicy odznaczają się wysokim, sześć stóp przechodzącym wzrostem i odpowiednią siłą. Nawet damy wyższego tonu, z nader małymi wyjątkami, wyróżniają się wzrostem, tuszą i pięknnością, od niewiast z mieszczaństwa, i z ludu; ale arystokracja męzka i żeńska rekrutuje się ciągle i uzupełnia w niższych warstwach społeczeństwa, przyswajając sobie wszystkie indywidua, znakomitsze wymienionymi przymiotami. Człowiek wysoko urodzony, jeśli nie świeci żadnym przymiotem, zstąpić musi w niższe warstwy i zadowolnić się towarzystwem sobie podobniejszych ludzi. Zaiste na bardzo logicznych prawach natury i rozumu oparte owo towarzystwo dzikich, niedawno okrytych i dopiero od pół wieku używających dobrodziejstwa chrystjanizmu. Ależ w prostym naturalnym rozumie leżą wielkie zasoby dobrej logiki. Większe ciężary, większe odpowiedzialności ciążą na arystokracji hawajskiej; męźniejszych też, wytrwalszych i rozumniejszych nabiera sobie ta arystokracja ludzi i mniej dopytuje się o urodzenie, jak o przymioty osobiste.

Co do charakterystyki fizycznej, mieszkańcy tego archipelagu mniej są zwinnymi, pojętymi i zręcznymi od Otaitczyków, równie łagodnego i gościnnego usposobienia, ale daleko drażliwsi w punkcie honoru. Mszczą się okrutnie za wyrządzoną sobie obrazę.

Oświecenie europejskie odarło ich już teraz ze znacznej części pierwotnej oryginalności. Niegdyś ubierali się malowniczo w hełmy, plecione z piór i liści, w płaszcze z podobnego wyrobu nadzwyczaj świetne i przepaski, służące za resztę ubrania. Dziś zapoznawszy się z Europejczykami, wpadli w śmieszny manę ubierania się pół po europejsku, a pół po swojemu. I tak naprzykład, widziałem tu jakiegoś jegomościa we fraku angielskiego tamburmażora i w hełmie z piór, zresztą był w stanie natury. Drugi znów dostojny urzędnik miał na nogach rajtuzy, a na głowie kapelusze kardynalski. Inny wreszcie miał tylko krótkie atłasowe spodnie, chodził przytęm boso i z okropną herkulesowską maczugą w ręku. Mała tylko ilość wyspiarzy nosi ubiór pierwotny z

krajczaków, plecionych z rozmaitych włókien łyka i taśm różnokolorowych.

Prócz mnóstwa Chińczyków, którzy tutaj osiedli z żonami, dziećmi, z rozlicznymi towarami i szczerze się biorą do uprawy ziemi, prócz kilkunastu Żydów, którzy tu zjechali na szacherkę z najodleglejszych okolic, a nawet z Polski, wszyscy w państwie hawajskiem mają wyznawać wiarę chrześcijańską; tak przynajmniej utrzymują missjonarze amerykańscy. Ale tak nie jest. Missjonarze złożyli wprawdzie deklarację, że cały archipelag został nawróconym i że się tu skończyło dzieło missji, ale dla tego tego uczynili, żeby parlament hawajski zabronił innym missjonarzom, a zwłaszcza katolickim, wstępu do kraju. Oni sami częścią rozjechali się w inne strony, a po większej części uzyskawszy posady ministrów, profesorów, adwokatów, pastorów, pozostali w kraju, lub pozakładali handle, lub nawet w własnych żyją dochodów. We wnętrzu zaś większych wysp, w miejscowościach mniej dostępnych, żyją jeszcze tysiące bałwochwalców; ale już wojny z sobą nie toczą i już się nie zjadają. Tę im trzeba oddać sprawiedliwość.

Kościółów jest dziewięć w Honoruru i kilka kaplic. W jednej z nich, zwanej żeglarską (Seamans Chapel), odprawia się codziennie nabożeństwo dla majtków angielskich i amerykańskich. Pastor jest oraz redaktorem pisma literackiego, które obnoszą po wszystkich kątach i dziurach, a nawet po okrętach i sprzedają numerami.

Malowidła w tej kaplicy wystawiają w kolosalnych rozmiarach olejnymi farbami — skutki alkoholu na wątrobę ludzką. Jest to raczej gabinet anatomiczny, a nie przybytek Boga. Takiemi środkami pocziwy pastor chce odstraszyć angielskiego majtka od używania gorzałki.

Tatuowanie, to jest trwałe malowanie ciała, utrzymuje się jeszcze na wyspach Hawajskich, Otaickich i innych na oceanie Wschodnim i swojemi szczegółami wyróżnia osoby wyższego i niższego rodu. Królowa hawajska miała na środku czoła wykłute w skórze i napuszczone złotą farbą słońce, po bokach czoła gwiazdy, na jednym policzku skaczącego lwa, na drugim łuczника, przyklekającego z napiętym łukiem, a na brodzie drobnego koziorożca. Z tem słońcem, gwiazdami i znakami zodyaku, królowa wyglądała jak firmament, a po prostu mówiąc, śmiesznie; lecz na ciele, a mianowicie na udach, była tatuowaną tak ślicznie, iż nie sądziłem nawet, by tatuowanie mogło być doprowadzonym do takiej doskonałości. Były to esy, floresy, arabeski, indyjskie węzły, pagody, ptaszki i motyle, napuszczane złotem i najżywszemi, najdobrań-

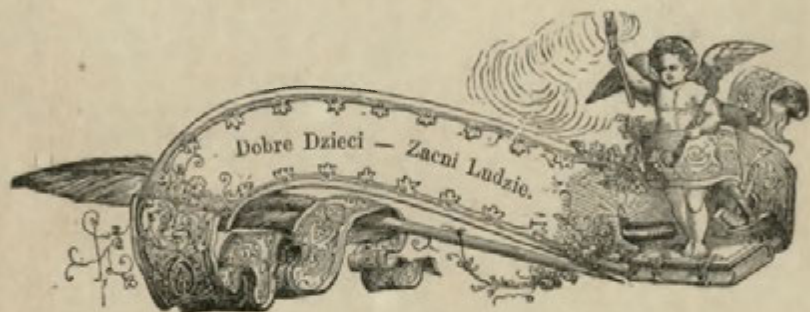
szemi farbami; rysunek motylów i ptaków najzupełniej wdzięczny, koloryt ich wyborny, zawikłanie zaś esów i floresów tak kunsztowne, że napatrzeć się nie można; było to arcydzieło w swoim rodzaju.

Tatuowanie jest mozolną dla artysty-chirurga i bolesną dla pacjenta operacją. Wielkiej powierzchni od razu centkować niepodobna, bo łatwo zabić lub zatrucć pacjenta i naraz można tylko jednym kolorem napuszczać skórę. Na każdy kolor tedy trzeba na nowo wracać z tatuowaniem, tak jak w chromolitografji. Po wykluciu rysunku i napuszczeniu go farbą (najsztubtelniejszym proszkiem złotym, ultramaryną, karminem, lub też innemi piękno-barwnemi ziemiami), część tatuowana puchnie, czerwieni się, wypaca żółtawą materję, która schnąc zamienia się w strupy. Te odpadają dopiero w cztery tygodnie, poczem ukazuje się powierzchnia najpowabniej wyrysowana i wymalowana. Całemu temu procesowi chorobliwemu towarzyszy, jak w prawdziwej róży, ból części tatuowanej, nadto ból głowy i mocna, nieraz śmiertelna, gorączka. Takim poddają się Indjanie katuszom, dla dogodzenia próżności.

Z podróży dra. A. Zanowicza, 1847.

KONIEC.





30 -

53285/31260



43664